

ANDREAS GOESSLING

# *Opus*

tom I

## ZAKAZANA KSIĘGA

Przekład: Dariusz Salamon



# ROZDZIAŁ I

# 1

DOPIERO ZA OSTATNIM ZAKRĘTEM DROGI na horyzoncie ukazała się zagroda i – jak zawsze w takiej sytuacji – serce Amosa zabiło szybciej na widok tej pełnej zakamarków, drewnianej chatki, do której po lewej stronie przylegała wałca się obora, a po prawej – okolony chwiejącym się płotem ogród. Cała ta skromna posiadłość była położona w dolinie, otoczonej przez tworzący literę „u” potok Gründleinsbach, wzdłuż którego ciągnęły się z kolei sitowie i pastwiska. Swego czasu strumień napędzał istniejące tu niegdyś koło młyńskie, jednak młyn nie był używany już od trzydziestu lat, od czasu gdy Valentin Kronus wydzierżawił ten folwark od pana von Höhenstein. Od tamtej pory uczony pustelnik zapełniał izby książkami i zwojami pism, zamieniając dawny młyn w bibliotekę.

I jak zawsze gdy Amos wkraczał w ten krąg w kształcie litery „u”, gdzie rozlegało się szemranie i bulgotanie potoku, i tym razem miał wrażenie, jakby zanurzał się w strumieniu obrazów, barw i szeptanych opowieści. Musiała minąć godzina, zanim przybiegł tu przez jodłowy las, gnany niepokojem na myśl, że stryj Heribert znów mógłby spróbować zabronić mu utrzymywania kontaktów z Kronusem. Ale teraz, gdy stukał już zardzewiałą kołatką do drzwi, jego zmartwienie wydało mu się śmieszne; gdyby Kronus na to nie zezwolił, rycerz Heribert von Höhenstein nigdy nie zdołałby ich rozdzielić. I mimo że służba piętnastoletniego chłopca u uczonego nie mogła przedstawiać większej wartości, Amos czuł wyraźnie, że starzec go lubił i cenił.

– Otwarte, wejdz – zabrzmiał cichy, ale stanowczy głos Kronusa.

Amos wszedł do środka. Drzwi prowadziły prosto do dawnej izby dziennej, która służyła uczonemu w piśmie jednocześnie za skryptorium i lektorium. Wzdłuż ścian ciągnęły się sięgające aż po sufit regały, szczelnie zapełnione księgami, zwojami pism i stosami papierów. Pośrodku izby wznosił się masywny pulpit, za którym Kronus spędził połowę swego życia. Wykonany był z połyskującego czarnego drewna, a swoimi konturami przypominał postawioną na sztorc, na wpół otwartą księgę. Jego przednia strona była pokryta złotymi intarsjami, które swym

wyglądem przypominały litery, choć Amos nie potrafił odszyfrować żadnej z nich. I tym razem starzec stał z piórem w ręku za pulpitem, pochylony nad swoim rękopisem.

– Ci dranie nie chcieli cię do mnie puścić, ale ty dopiąłeś swego. – Kronus odłożył pióro na bok, wyszedł zza pulpitu i zbliżył się do chłopca dziarskim krokiem. Wzrostem nieznacznie przewyższał Amosa, a jego okryta czarną, szeroką peleryną postać była szczupła i zgarbiona. Twarz miał przeoraną zmarszczkami, włosy jeszcze bujne, choć poprząkane siwizną. Mimo to sprawiał dziwne wrażenie osoby bez wieku, być może za sprawą jego błękitnych oczu – czystego, pełnego blasku spojrzenia. – Dobrze się spisaleś, chłopcze. – Valentin Kronus położył swe dłonie na przedramionach Amosa i przyciągnął go na chwilę do siebie. – Bądź pozdrowiony, Amosie von Höhenstein.

Jego dotyk był zwiewny jak muśnięcie piórkiem. Już po chwili wypuścił z objęć Amosa, przytrzymał go jeszcze przez moment, bacznie mu się przyglądając z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– Tylko nie zacznij mi tu znowu prawić o moich rzekomych zdolnościach jasnowidzenia. Po prostu wyczytałem z twojej twarzy, że stryj nie chciał cię już do mnie puścić.

– Nawet nie odważył się mi tego powiedzieć osobiście. Zamiast tego wysłał najpierw swojego kapitana – Amos pokręcił głową – ale od razu wyczułem, że do tego nie dopuścicie.

– W żadnym razie. Przynajmniej dopóki żyję, a moje dzieło nie zostanie ukończone. – Starzec odwrócił się ponownie w stronę swojego manuskryptu i skinieniem nakazał chłopcu, by wraz z nim podszedł do pulpitu służącego mu do pisanie i czytania.

Amos także nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Jak to cudownie, panie, że znów mogę być z wami.

Chłopiec stanął obok uczonego między otwartymi stronami ogromnej księgi, które stanowiły pulpity. Był to najdziwniejszy mebel, jaki kiedykolwiek widział. Podobnie jak zewnętrzna strona księgi, także od wewnątrz powierzchnia pulpitu pokryta była tajemniczymi znakami. Na wierzchu leżała kartka papieru, zapisana do połowy równym pismem Kronusa. Była obłożona piórami, kałamarzami i innymi przedmiotami, które stary mędrzec zawsze miał przy sobie: trupa czaszką z kości słoniowej, przytwierdzoną do górnej krawędzi pulpitu, która była tak duża jak pięść Amosa, połączoną gałązką jemioli i srebrnym pentagramem.

Pewnego razu Kronus wyjaśnił mu zupełnie mimochodem, że są to rzeczy o wielkiej magicznej mocy, których używano od tysiący lat w celu wskrzeszania umarłych i zaklinania demonów. I tylko dlatego że starzec posiadał te magiczne przedmioty, Amos ani przez chwilę nie

uwierzył, że Kronus jedynie z jego twarzy wyczytał to, co wydarzyło się przed jego przyjściem. Kronos posiadał dar przenoszenia się duchem w odległe miejsca, nawet jeśli jego ciało od lat, ba, od całych dziesięcioleci, tkwiło przykute do tego odludzia.

– Spójrz tu – powiedział Kronus, wskazując na zapisany w połowie arkusz papieru. – Czytaj, ale tylko podpis. – Swoją pomarszczoną prawicą zakrył fragment, który dopisał już poniżej. – Pamiętasz jeszcze? – Spojrzał na Amosa w wymowny sposób.

– Mówicie tak, jakby zdarzyło mi się już kiedyś zapomnieć którekolwiek z waszych słów. – Amos pochylił się nad pismem. Gdy odszyfrowywał wypisany zdobnymi czcionkami nagłówek, jego serce zaczęło walić. „O przewoźniku, co płynął pod prąd”. Musiał się przytrzymać pulpitu, tak mu się nagle zakręciło w głowie. – Czy to oznacza, że zaczęliście już pisać czwartą opowieść, panie?

– Czwartą i ostatnią – potwierdził Kronus. – Jeśli wcześniej nie opuszczą mnie siły, to skończę książkę za miesiąc... Taką przynajmniej mam nadzieję. – Dał znać chłopcu, by ten wszedł przed nim do tylnej izby. – Poczekaj tam chwilę, a ja przyniosę jeszcze tylko klucz do szafy na książki.

Kronus szperał drobiazgowo z przodu w skryptorium, szukając klucza. Tymczasem Amos usiadł na stolku w tylnej izbie i myślał o spięciu, od którego zaczął się dla niego ten dzień.

JAK ZAWSZE W PONIEDZIAŁEK Amos zbudził się jeszcze przed pierwszym brzaskiem. Wstał, włożył kaftan, spodnie i opasał się swoim pasem z krótkim mieczem. Cicho otworzył drzwi od swojej komnaty i wstrzymując oddech nasłuchiwał, zanim zaczął torować sobie drogę.

Najpierw skierował się przez mroczną salę zamkową w stronę okutych żelazem drzwi, prowadzących bezpośrednio na dziedziniec. Wszędzie dookoła – na drewnianych ławach, na workach z sianem lub na gołej ziemi – leżeli śpiący mężczyźni. W żadnym razie nie mógł obudzić nikogo, bo doskonale wiedzieli, dokąd chłopiec wykrada się w każdy poniedziałek wczesnym rankiem. Przede wszystkim zaś wiedzieli, jak niskie mniemanie o tych wycieczkach swego bratanka ma rycerz Heribert. Gdyby wybili na alarm, znowu doszłoby do ciągnącej się w nieskończoność wymiany zdań ze stryjem.

Tak cicho, jak to tylko było możliwe, Amos pchnął ciężkie dębowe drzwi. Niebo nad zamkowym dziedzińcem zaczęło siwieć. Pierwsze ptaki zleciały już na blanki i zaczęły świergotać. Mimo że dzień jeszcze nie nastał, w powietrzu można było już wyczuć kurz i ciepło.

Pobiegł przez zamkowy dziedziniec w kierunku zatechłej piwnicy obok wieży wschodniej, na której w dzień i w nocy stali na straży dwaj wartownicy. Tuż za nimi znajdowało się wąskie przejście na zewnątrz. Amos chciał właśnie przekraść się na paluszkach, gdy drzwi od strony piwnicy otworzyły się, a za nimi pojawiła się wysoka, barczysta postać.

– Dokąd to tak wcześnie, paniczu? – Kapitan Höttsche zawiesił kciuki na pasie okalającym jego pokaźny brzuch. Jego broda była czarna jak smoła, miejscami poprzeplatana srebrzystymi pasmami. Przez plecy miał przewieszony na rzemieniu arkebus, jednak nawet bez tej broni Höttsche Sorgass, najwierniejszy spośród towarzyszy boju rycerza Heriberta, budził strach już samym swym wyglądem. Był o półtorej głowy wyższy i z pewnością trzy razy cięższy od Amosa. Na jego czole, dokładnie nad nosem, widniała krwistoczerwona blizna w kształcie litery „X”, pamiątka po walce, której Höttsche omal nie przyplacił życiem. I za każdym razem,

gdy kapitan o niej opowiadał, miała zupełnie inny przebieg niż we wszystkich wcześniejszych wersjach.

– Do Kronusa. Dziś jest przecież poniedziałek – powiedział Amos, chcąc przy tym minąć Höttsego, by dostać się do przejścia na zewnątrz. Ale kapitan położył mu rękę na ramieniu.

– Twój stryj nie zamierza już tego dłużej tolerować – wymamrotał. – Dziś powinieneś pojechać z nami, wyprawiamy się przeciwko Czechom.

Amos przestraszył się. Daremnie starał się doszukać w twarzy Höttsego jakiegoś znaku świadczącego o tym, że nabija go tylko w butelkę.

– Dlaczego więc stryj sam mi o tym nie powiedział – zapytał.

– Dlaczego wysła w tym celu ciebie, Höttse?

– Mówię w jego imieniu. – Kapitan skrzyżował ramiona na piersi. – On przysiągł na grób twego ojca, chłopcze, że przyjmie cię jako własnego syna oraz że wychowa cię na swego dziedzica i następcę. A teraz nadszedł najwyższy czas, aby spełnić tę obietnicę.

– Ale ja nie chcę. – Amos spuścił głowę. Zaczęło go dusić w gardle. – Ja nie mogę z wami iść – wyrzucił z siebie. Już wkrótce miną trzy lata, odkąd on i jego siostra Oda stali się sierotami. Zbrodniczy podpalacze napadli na ich dom i obrócili wszystko w proch. Jego siostra skończyła wtedy trzynaście lat, on miał dopiero dwanaście.

– Nie chcę się stać takim, jaki jest stryj Heribert – kontynuował stanowczym głosem. – Mój ojciec też zawsze mówił... – Jednak wtedy urwał w połowie zdania. Co też mogły obchodzić Höttsego jego sprawy rodzinne?

Rycerz Heribert von Höhenstein był starszym bratem ojca Amosa i Ody. Odziedziczył główną siedzibę rodu, a Amos był jedynym męskim potomkiem rodziny. A więc było rzeczą oczywistą, że stryj Heribert przyjmie bratanka do siebie, tymczasem Oda zamieszkała u swojej ciotki w Norymberdze. Jednak o ile obaj bracia z wyglądu byli podobni jak dwie krople wody, o tyle pod każdym innym względem diametralnie się między sobą różnili. Ferdinand von Höhenstein był zgodnym i opiekuńczym mężem, który nie znajdował żadnej przyjemności ani w prowadzeniu wojen, ani w polowaniach. Tymczasem Heribert był awanturnikiem i pijakiem, który z rodowego zamku Höhenstein uczynił jaskinię rozbójników, a sam żył z rozboju i najazdów łupieżczych na czeską granicę.

– Twój ojciec nie żyje, chłopcze – powiedział Höttse do pogrążonego w myślach Amosa – a więc zacznij się wreszcie oswajać z myślą, że pewnego dnia odziedziczysz zamek Höhenstein. Dlatego też nie wypada, byś przekopywał grzędy z rzepą staremu Kronusowi. Od

teraz, Bastian, nowy paź, będzie chodził do niego zamiast ciebie. I tak jest jeszcze za słaby i nazbyt bojaźliwy, by brać udział w walce. A ty pojedziesz z nami do Czech.

Podczas gdy Höttsche jeszcze mówił, Amos w jednej chwili stał się bardzo spokojny. Już od miesięcy przeczuwał, że stryj prędzej czy później zabroni mu utrzymywania kontaktów z Kronusem. I od tego samego czasu było dla niego jasne, że wolałby uciec i radzić sobie na własną rękę, niż pozwolić, by Heribert wytresował go na wojownika i rycerza-rozbójnika.

– I tak dalej będę chodził do Kronusa – powiedział – bo on chce przecież, żebym to ja mu pomagał, a nie jakiś paź czy pacholek. Przekaż tę wiadomość mojemu stryjowi, Höttsche. A teraz pozwól mi przejść.

– Stary chce tego? – Kapitan zmrużył oczy. – A kto ma więcej do powiedzenia, chłopcze, twój stryj czy ten gryziپیórek Kronus?

– Kronus! – odparł Amos, nie zastanawiając się nawet przez chwilę. Sam nawet nie wiedział, że odważy się udzielić takiej odpowiedzi. Jednak jeszcze bardziej niż jego własna odpowiedź zdziwiła go reakcja Höttschego.

– Do cholery, w takim razie nie będę się już mieszał – wymamrotał kapitan. – Rycerz powinien sam... – Höttschemu w jednej chwili odpłynęła cała krew z twarzy. Wykonał sztywny krok i odblokował przejście.

Już po chwili Amos przeciskał się przez ciasny przesmyk w murach zamku. Ścieżka na zewnątrz była wąska, a wzdłuż niej ciągnęły się głązy. Natomiast już kilka kroków dalej opadała stromo. Jednak Amos mógłby zejść nią nawet z zawiązanymi oczami, tak często pokonywał ten karkołomny trakt tam i z powrotem – w każdy poniedziałek pieszo, we wszystkie inne dni w swej wyobraźni.

Wkrótce pognał szybkim krokiem przez jodłowy las, co zajęło mu jakąś godzinę. W połowie drogi strumień Gründleinsbach wytryskał ze źródła z poziomej szczeliny w porośniętej mchem ścianie skalnej, która wyglądem przypominała olbrzymie, wydatne usta. Jak za każdym razem Amos zatrzymał się tu na chwilę, by odpocząć. Wypił kilka łyków wody, nim ruszył dalej, tym razem spadzistą ścieżką po lewej stronie szemrzącego strumienia.

Tak, Kronus jest potężny, myślał sobie raz po raz w drodze. I najwidoczniej Höttsche też to odczuł przed chwilą: Valentin Kronus był zniedołężniałym, starym mężczyzną – a mimo to posiadał o wiele większą moc niż rycerz Heribert, a nawet urzędnik książęcy tam na dole, w Kirchenlamitz.



### 3

– MUSISZ COŚ DLA MNIE ZAŁATWIĆ. – Kronus, trzymając masywny klucz w ręce, wszedł do tylnej izby za Amosem i zamknął drzwi. – Nie prosiłbym cię o to – ciągnął dalej – gdyby nie było to tak niezwykle ważne. Dla mojego dzieła, *Księgi duchów* – sam chyba rozumiesz. I gdybym ci nie ufał jak własnemu synowi.

– Wszystko, co rozkażecie, panie. – Oczy Amosa rozwarły się szeroko z podniecenia, a jego serce zaczęło bić jeszcze szybciej, o ile było to w ogóle możliwe. Zazwyczaj wykonywał dla starego drobne prace w domu – utrzymywał w porządku ogród warzywny, wyrzucał gnój ze stajni lub przygotowywał posiłek z chleba i sera żółtego, wina i pieczeni, które taszczył ze sobą z zamku w zawiniątku na plecach. Jednak dzisiaj Kronus wymagał od niego czegoś zupełnie innego. Czuł to bardzo wyraźnie.

*Księga duchów* była dziełem życia Kronusa. Stary pracował nad nią od kilku dziesięcioleci. Ale o co chodziło w tej księdze – to nie było do końca jasne dla Amosa aż do dzisiejszego dnia. Już przed dwoma laty, gdy pierwszy raz przyszedł do Kronusa, musiał mu przysiąc, iż wszystko, co zobaczy i usłyszy w domu starego, zachowa wyłącznie dla siebie. Potężne moce usiłowały nie dopuścić, by Kronus ukończył księgę. Gdyby natrafiły na jego ślad, niechybnie skończyłyby na stosie lub szubienicy.

– Księga – jak tłumaczył mu Kronus – będzie niczym arka Noego dla najdrogocenniejszych skarbów duchowych. Dla ludzkości. A ci, którzy mnie szukają, chcieliby na wieki zamknąć te skarby w swoich lochach. Skoro o nich mowa, to najchętniej zabroniliby po prostu wszystkich myśli i opowieści, jeżeli tylko nie zostały one uwzględnione w Biblii lub wyraźnie dopuszczone przez Watykan w Rzymie. Tak, obawiam się, że gdyby to było w ich mocy, po prostu znieśliby nawet ludzką wyobraźnię, by nikt już nie mógł wymyślić niczego lub marzyć o czymkolwiek, co by im nie odpowiadało. I dlatego też, drogi Amosie – dorzucił Kronus, łagodnie się uśmiechając – w ich oczach moja *Księga duchów* jest tak niebezpieczna. Bo ja – w przeciwieństwie do nich – chcę nauczyć moich czytelników posługiwania się wyobraźnią

w taki sposób, by mogli odkryć w swoim wnętrzu niezrównanie drogocenny skarb. Skarb, który czyni bogatym i potężnym, a także pozwala na o wiele głębsze zrozumienie tajemnic nieba i ziemi, niż kiedykolwiek umożliwiłyby to traktaty uczonych czy przypowieści duchownych – skarb, dzięki któremu posiadliby magiczną moc.

Także mała izba tylna starego młyna przypominała wnętrze pierwotnej arki. Szafy z poczerńiałego, zwietrzałego drewna pokrywały ściany. Podłoga w izbie również składała się ze szcerniałych od starości desek. Powietrze wewnątrz przesycone było wilgocią i wonią stęchlizny. Przez małe okno w tylnej ścianie dobiegał szum przepływającego nieopodal strumienia Gründleinsbach, dzięki czemu wzmacniało się dodatkowo wrażenie, jakby przebywało się w brzuchu dryfującej po morzach arki.

Kronus podszedł do jednej z masywnych szaf i wsunął klucz do zamka. Już kilka razy Amos obserwował, jak pustelnik otwierał jedne z ciężkich drzwi, by poszukać w środku jakiegoś pisma. Szafa była aż do ostatniego kąta zapchana prastarymi księgami i rękopisami, których samo tylko posiadanie miało, według Kronusa, stanowić zagrożenie dla życia.

I tak na przykład *Księga zaklęć* została spisana trzy tysiące lat temu w języku aramejskim. Oprawiona w splekaną, połyskującą zielonkawo skórę, której łuskowata powierzchnia przypominała raczej jaszczurkę niż stałocieplne zwierzęta. Pewnego razu Kronus na oczach Amosa wyciągnął tę opasłą księgę z szafy i otworzył specjalnie dla niego. Amos ujrzał wtedy jedynie mnóstwo niezrozumiałych znaków i równie niepojętych symboli, na wpół odurzony zapachem pleśni, który dobywał się z księgi, jakby z wnętrza zamkniętej od długiego czasu jaskini.

Lub *Księga cieni*, cienka, prawie nic nieważąca, w popielatej oprawie: zagadkowe dzieło pewnego greckiego mędrca, który miał ponoć opanować sztukę przekształcania świata dookoła siebie dokładnie w tę historię, którą właśnie opisywał.

Przy jeszcze innej okazji Kronus pokazał mu *Pieśń przemian*, silnie pożółkły, postrzępiony zwój pisma, sporządzony przed ponad tysiącem lat przez pewnego jasnowidzącego Araba. Mężczyzna ni stąd, ni zowąd stał się naczyniem potężnych wizji i pieśni spływających nań całymi miesiącami. Początkowo wzbierał się przed tym zadaniem, gdyż do tej pory nie był ani kapłanem, ani poetą, lecz prowadził żywot zwykłego sekretarza Rady Miejskiej. Po tym jak usłyszał i spisał *Pieśń przemian*, wizje opuściły go, a on wrócił z ulgą do swojego wcześniejszego życia.

Zawsze razem gdy Amos przybywał do starego młyna, pytał starego mężczyznę, o co

chodzi z tą jego *Księgą duchów*, i prawie za każdym razem Kronus używał innych obrazów i metafor. Niemal tak samo jak kapitan Höttische, który zawsze serwował inną zabawną historyjkę, gdy pytano go o pochodzenie blizny w kształcie litery „X” na jego czole.

„Księga, którą pisał, tłumaczył mu przykładowo Kronus, jest jak magiczny eliksir, bo zawiera esencję wszystkich pism magicznych i wizjonerskich, wszystkich mitów i eposów wartych tego, by przekazać je potomnym. Kto więc wchłonie w siebie *Księgę duchów* w całości, posiada moc maga. Przy tym księga nie zawiera żadnych magicznych zaklęć. Żadnych przymuszających zaklęć, żadnych przepisów na proch lub opary, za pomocą których można by przywoływać demony lub zamieniać błoto w złoto”.

Dopiero kilka tygodni temu stary uczonek wyjaśnił mu po raz pierwszy, do czego miała się sprowadzać przynajmniej część tego magicznego działania. Wszyscy ludzie, którzy wchłonęli w siebie pierwszą historię z *Księgi duchów* – wyjaśniał – będą potrafili na dużą odległość nawiązywać kontakt z każdym człowiekiem, który również ją sobie przyswoił. Tytuł tej pierwszej historii brzmi następująco: *O rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem*. I z każdą kolejną opowieścią z *Księgi duchów*, którą czytelnik całkowicie sobie przyswoi, jego magiczna moc będzie coraz bardziej rosła”.

Wszystko to wydawało się takie dziwne i zagadkowe, że Amos czasem pytał sam siebie, czy stary mężczyzna nie postradał przypadkiem rozumu albo czy nie uważa go przypadkiem za głupca. Mimo to w najskrytszej głębi serca czuł, że nic z tych jego podejrzeń nie jest prawdą: Valentin Kronus posiadał nadnaturalne moce i każdy, kto potrafi przebrnąć przez *całą Księgę duchów*, także uzyska magiczną moc.

Tydzień później, gdy Amos ponownie go odwiedził, chłopiec zebrał w sobie całą odwagę i zapytał Kronusa, czy on sam też kiedyś będzie mógł przeczytać *Księgę duchów*. Kronus położył mu na ramieniu swoją lekką jak piórko dłoń i uśmiechając się uspokajająco, odrzekł:

– Nie nadszedł jeszcze czas na to, moja księga nie jest wystarczająco zaawansowana, podobnie jak i twój duch. Ale miej cierpliwość, Amosie! Obaj jesteśmy na dobrej drodze.

Dziś jednak Kronus sprawiał wrażenie nadzwyczaj małowómnego. Bez słowa wyjaśnienia otworzył drzwi szafy, wyciągnął z niej kopertę i zaryglował je z powrotem. Odwrócił się, uczynił połowę kroku w stronę Amosa, a następnie zapatrzył się w ziemię, nad czymś się zastanawiając. Prawdopodobnie dopadły go wątpliwości, czy Amos sprosta temu zadaniu. Jednak już po chwili przemógł się i energicznym ruchem wcisnął mu kopertę do ręki.

– Ten list – zawołał, usiłując przekrzyknąć huk strumienia – zanieś dla mnie do

Norymbergi. Wyrusz w drogę natychmiast, Amosie, sprawa jest pilna. W drukarni Kobergera nieopodal zamku książęcego pracuje zecer o nazwisku Hebedank. Jemu przekaz kopertę – i nie zapomnij – treść koperty jest przeznaczona wyłącznie dla Hebedanka. Nie powierzaj listu nikomu innemu. Hebedank będzie czekał na ciebie pojutrze od trzeciej do czwartej przed wejściem głównym do drukarni. Czy zrozumiałeś wszystko?

Amos przytaknął, mimo że w głowie miał chaos. Jeszcze nigdy dotąd nie wyruszał w tak odległą podróż – do Norymbergi musiało być jakieś sto mil. Aby dotrzeć do celu w ciągu dwóch dni, musiałby jechać konno niemalże cały dzień i całą noc. Tak czy owak, nie wolno mu było zmrużyć oka ani na chwilę, w przeciwnym razie list mógłby się dostać w niepowołane ręce. Jednak niezależnie od piętujących się przed nim trudności, na pewno zdoła je pokonać, tego był pewien.

Koperta była cienka i lekka, zdawało się, że zawiera tylko kilka kartek. Amos wsunął ją pod swój kaftan, tymczasem stary mężczyzna udzielał mu dalszych wskazówek:

– Konie z mojej stajni znasz lepiej ode mnie. Weź ze sobą oba, zmieniaj je co cztery, pięć godzin. Dzięki temu będziesz mógł pokonać drogę w mniej niż dwa dni. I weź jeszcze ze sobą to.

– Wygrzebał mały lniany worek i położył go na płaskiej dłoni Amosa. Worek był niespodziewanie ciężki i dobył z siebie cichy zgrzyt, gdy Amos objął go palcami. – Osiem guldenów – powiedział stary mężczyzna, uśmiechając się. – Powinno wystarczyć dla ciebie i dla twojego ujmującego stryja Heriberta. – Policzki Amosa oblały się rumieńcem, ale Kronus pokiwał uspokajająco głową. – Nie przejmuj się tak bardzo, chłopcze. Jak wiadomo krewnych sobie wybrać nie można, a ten rycerz jest strasznie chciwy. Daj mu jednego guldena, żeby pozwolił ci jechać, i obiecaj mu kolejnego, gdy wrócisz za cztery dni cały i zdrowy. Sam się przekonasz, że to go zachęci, by nie utrudniał ci wyprawy.

Amos zawiesił sobie na szyi skórzany rzemień i upchnął pod kaftan sakiewkę. Zanim zdołał jeszcze coś powiedzieć, Kronus znów chwycił go za ręce i przyciągnął do siebie, lekko i zwiewnie.

– Na pewno wszystko ci się uda, jestem tego pewien – powiedział i po chwili przesunął go w stronę drzwi. – Ale teraz pospiesz się już, przed tobą długa droga.

I RZECZYWIŚCIE GULDENY KRONUSA ZDZIAŁAŁY CUDA. Ledwo Amos zdążył wcisnąć stryjowi złotą monetę do ręki, a twarz Heriberta od razu się rozchmurzyła.

– I chce zapłacić jeszcze jednego guldena, gdy wrócisz cały i zdrowy? To się da zrobić.

Rycerz zerwał się ze swego pokrytego niedźwiedzią sierścią ulubionego fotela. Mimo że było jeszcze wcześniej rano, większość jego ludzi trzymała w rękach przelewające się kufle piwa. Na stołach w sali zamkowej parowały już pieczenie, kapusty i papki warzywne, wyłożone w wielkich misach. Trzech paziów muzykowało na lutni i fujarce – w jednym z nich Amos rozpoznał młodego Bastiana, którego Höttsche chciał posłać zamiast niego do Kronusa.

Nie było już o tym mowy – wręcz przeciwnie. Stryj położył Amosowi rękę na ramionach i wypychał go ku wyjściu. Kilku spośród jego ludzi leżało jeszcze zaspanych na ziemi – przechodząc obok, rycerz wymierzał im solidne kopniaki.

– Jazda mi stąd, wy nicponie. Bierzcie przykład z panicza.

Gdy Amos zamknął oczy, prawie wmówił sobie przez moment, że jego ojciec idzie obok niego i obejmuje jego ramiona. Nawet głosy obu braci były do siebie podobne – nawet jeśli Heribert miał ciągle chrypkę od picia i awanturowania się.

– W dwa dni aż do Norymbergi? – wykrzyknął rycerz. – To będzie mordercza jazda, chłopcze. Wypchnął chłopca na zamkowy dziedziniec, sam zaś pozostał w progu, mrugając oczami w jasnym świetle dnia.

Amos uwiązał konie Kronusa u drzwi do zamku. Karosz przywitał go cichym parsknięciem, tymczasem kasztan zarżał nerwowo.

– Rumaki gotowe? – Stryj Heribert spojrział w zamyśleniu na konie, a następnie na Amosa. – Po co ten cholerny pośpiech, chłopcze? Amos wzruszył po prostu ramionami. Stryj nie wycisnie już z niego ani jednego słowa. – I dlaczego nie wyśle kuriera, jak to czynił przez te wszystkie lata?

Amos pokręcił tylko głową w milczeniu. Już nie raz słyszał, jak Höttsche zdawał stryjowi

sprawozdanie o posłańcach konnych lub emisariuszach podróżujących dorożką, przybywających do dawnego młyna, niekiedy o najciemniejszej nocnej porze. O tajemniczych skrzyniach i paczkach dostarczanych na miejsce lub ponownie przekazywanych kurierom. Zwiadowcy Höttschego mieli dopatrzeć się na skrzyniach i listach godeł oraz pieczęci słynnych klasztorów, uniwersytetów, a nawet dworów książęcych. I rzeczywiście nasuwało się pytanie: Dlaczego Kronus powierzył tym razem tak ważne zadanie piętnastoletniemu chłopcu?

Ale nawet gdyby Amos znał odpowiedź na to pytanie, z pewnością nie zdradziłby jej stryjowi. Na szczęście Heribert nie wracał już do tej sprawy.

– Może Kronus będzie chciał w przyszłości używać cię częściej jako posłańca – wymamrotał. – Dopilnuj więc, by zadanie zostało dobrze wykonane. Dwa guldeny za przejazdkę konno – nieźle. Zwłaszcza jeśli posłaniec jest prawdziwym żółtodziobem. – Zdjął swoją rękę z ramion Amosa i popchnął go przyjaźnie na bok.

– Niech ci będzie, żółtodziób. – Amos dotknął koniuszkami palców brody. Wyczuł ślady zarostu, a nad górną wargą rosły mu już nawet wąsy: czarne jak włosy, które nosił aż do ramion, choć były wiotkie niczym cała jego postać. Mimo że ćwiczył się regularnie w zapasach i fechtunku wraz z paziami – synami wasali rycerza Heriberta – jego mięśnie po prostu nie chciały rosnąć.

– Nie ma nic złego w żartach, synku. – Wydawało się, jakby wszystkie obelgi, którymi stryj kiedykolwiek obrzucał tego „klechę” i „gryzpiórka” Valentina Kronusa, wymazano z jego pamięci. Nieprędko też zacznie mówić o rzekomo wydelikacującym wpływie lektury książek, przed którym chciał uchronić swego bratanka. W każdym razie na pewno dopóty, dopóki ten „stary wariat” będzie hojnie płacił złotymi monetami. Dwa guldeny były w rzeczy samej sowitą opłatą dla posłańca – za pół guldena można było dostać na targu zbożowym w Wunsiedel dwa centnary mąki żytniej lub jedną utuczoną świnie. Heribert i Höttsche często już radzili nad tym, jakby tu uszczknąć nieco z majątku najwidoczniej zamożnego Kronusa. Ale do tej pory Heribert von Höhenstein wzdrygał się jednak na myśl, by splądrować skrzynie ze skarbami swego dzierżawcy. Bo nawet jeśli Valentin Kronus był oderwanym od życia molem książkowym, to jednak najwidoczniej posiadał potężnych przyjaciół. I mimo że Heribert von Höhenstein coraz częściej w ostatnich latach uprawiał rozbójnictwo, zdawał sobie sprawę, iż nie można bezkarnie napadać na każdą pozornie bezbronną ofiarę.

– Höttsche! – Heribert zagrzemiał tak donośnie na zamkowym dziedzińcu, że kasztan rżąc, stanął dęba. – Do mnie, ty stary wyrobniku.

Kapitan wyczłapał z wartowni. Jego mina zdradzała, że spodziewa się najgorszego. W końcu dziś rano złamał wyraźny rozkaz swego pana. Wydawał się tym bardziej zaskoczony, że Heribert przywoływał go gestami, uśmiechając się.

– Osiodłaj konia i zaprowadź panicza na dół, do komendantury. Potrzebuje niezawodnej eskorty do Norymbergi, zrozumiałeś, a nie takich przekupnych chłopów jak ostatnio, do diabła. – Rycerz potoczył zaklinająco oczami, a Höttsche gapił się z takim zdumieniem, że Amos omal nie parsknął śmiechem. – Chcę dwóch najlepszych żołnierzy dla mojego bratanka – ciągnął Heribert z kamienną miną. – Przekaż tę informację ode mnie komendantowi. Każdy z nich powinien wziąć drugiego konia na zmianę – jutro w południe panicz musi być w Norymberdze. Koszty – dorzucił, trzaskając Amosa po ramieniu – ponoszę, ma się rozumieć, sam.

## 5

JECHALI OSTRYM KLUSEM traktem handlowym na południe. Dwaj żołnierze, którzy towarzyszyli Amosowi jako eskorta w drodze do Norymbergi, nosili imiona Marek i Bardo, a byli chłopskimi synami w wieku niespełna dwudziestu lat. W niebieskich mundurach wyglądali jak eskorta margrabiego. Podobnie jak Amos, zdawali się nie odnajdować upodobania w konnej galopadzie. Na czele jechał zazwyczaj Bardo, a gdy pojawiała się przed nim dorożka lub ociążale kołyszący się wóz chłopski, jasnowłosy żołnierz podnosił do ust swój róg i dął w niego przeraźliwie. I nieważne, czy chodziło o wędrowca podróżującego pieszo, rycerzy czy nawet zaprzężone w kilka koni wozy podróżne. Wszyscy musieli schodzić im z drogi lub stawać na jej poboczu, podczas gdy Amos i jego towarzysze mijali ich, jadąc jeden za drugim: najpierw Bardo, później Amos, a jako straż tylna rudowłosy Marek. Każdy z nich prowadził drugiego, rżącego konia. Amosowi tak podobała się ta jazda, że mógłby wiwatować i śpiewać z radości.

Bardo i Marek, uzbrojeni w strzelby, miecze i sztylety, wydawali się doskonale wyposażeni i mogli odeprzeć każdy ewentualny atak na swojego podopiecznego. Ale kto w ogóle odważyłby się napaść na nich tu na drodze? W rachubę wchodziłby jedynie Höttsche i jego ludzie – już nie raz robili interesy ze sprzedajnymi żołnierzami i wabili nieszczęsnych podróżnych w zasadzkę. Jednak Amos był chroniony w dwójnasób, przez rycerzy Heriberta i żołnierzy margrabiego – tak więc nic złego nie mogło się przytrafić ani jemu samemu, ani listowi Kronusa. Niebezpieczeństwo czyhało jednak w Norymberdze. Tam Amos sam musi dotrzeć pieszo do drukarni pod zamkiem książęcym. Bardo i Marek zaś mają czekać na niego, wraz z końmi, w oberży blisko murów miejskich.

Nie minęło jeszcze południe, a Wunsiedel leżało już daleko za nimi. Na wzgórzu nieopodal murów miasta, w cieniu dębu, zjedli posiłek, a następnie osiodłali swoje konie i po niespełna półgodzinnym postoju ruszyli znowu. Wcześniej Amos przyjeżdżał od czasu do czasu ze swoimi rodzicami do Wunsiedel, by zrobić zakupy na targu i zapalić świeczkę w kościele Apostołów – ich dwór znajdował się niedaleko od miasta, był położony w chronionej przed



wiatrem i niepogodą dolinie. Wunsiedel było największym miastem w Smreczanach i wraz ze swoimi murami obronnymi, wieloma kościołami, klasztorami oraz placami targowymi zawsze wydawało się Amosowi niezmiernie i wielkie. Mimo to według Kronusa dumnie Wunsiedel było tylko chłopską wioską w porównaniu z wolnym miastem Rzeszy – Norymbergą, gdzie mieszkało dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Miasto należało do największych metropolii na całym Zachodzie. Większe miały być tylko Kolonia nad Renem i legendarna Wenecja.

Nastawał już zmierzch, gdy dotarli do osady targowej Pegnitz. Od godzin porannych przemierzyli już prawie sześćdziesiąt mil. Zamiast radosnego podniecenia Amos czuł teraz już tylko zmęczenie i piekący ból w kościach. Także Bardo i Marek wydawali się zmęczeni podróżą – w każdym razie nie certowali się, rozpraszając tłum ludzi, którzy tłoczyli się wokół nich kilkaset metrów przed bramą miejską Pegnitz.

A były to całe tuziny obdartych nędzarzy. Niektórzy ubrani w szare peleryny, inni zaś jedynie owinięci w kilka szmat. Jak na tajny znak wylegli po obu stronach drogi z lasu, podążając z wrzaskiem, z rozłożonymi rękami lub wyciągniętymi zebrząco dłońmi w stronę Amosa i jego towarzyszy. Pewien rosły mężczyzna, którego wychudzone ciało okryte było jedynie kilkoma strzępami sukna, wydawał się ich przywódcą. Z mroczną miną spojrział w górę ku jeźdźcom i wskazując laską w kierunku Amosa, zawołał:

– Czyńcie pokutę. Bliski jest koniec świata!

Wyjąc i skomląc niczym dusze potępieńców, tłum żebraków jeszcze bardziej zaczął się tłoczyć wokół Amosa i jego koni. Kasztan zaczął się płoszyć i dreptać.

– O, Zbawicielu, jesteśmy gotowi! – zaskrzeczeili nędzarze.

– Przyjmij nas do swego królestwa niebieskiego!

Amos daremnie próbował uspokoić swoje konie. Pochylił się, zanucił karoszowi do ucha, kasztana pogłaskał po oblanej potem szyi.

– Bardo, Marek – krzyknął. – Wyciągnijcie mnie stąd!

Jednak gdy obaj żołnierze przyszli mu wreszcie z pomocą, sytuacja stała się już nie do opanowania: Bardo zadał w swój róg, jednak tłum odpowiedział zdwojonym wyciem i skamlaniem. Marek zdjął z ramienia arkebuz i oddał z niego grzmiący strzał w wieczorne niebo. Wtedy kasztan stanął dęba, rżąc, i mimo że Amos rozpaczliwie usiłował przytrzymać się szyi i tułowia zwierzęcia, został po chwili zrzucony, upadając jednocześnie w sam środek wrzeszczącego i tupiącego tłumu.

A upadł na ramię z takim impetem, że ból zamroczył go na kilka chwil. Gdy doszedł do

siebie, zauważył spryskaną błotem szczupłą dłoń wijącą się pod jego kaftanem.

– Hej! – zawołał. – Precz z łapami!

Pewien chłopiec, być może młodszy od niego o rok, siedział w kucki obok niego na ziemi. Jego jasne włosy były rozczochrane i skołtunione, twarz i koszula posklejane błotem, jakby wytarzał się w kałuży. W ręce, którą właśnie wyciągnął spod kaftana Amosa, ścisnął kurczowo kopertę Kronusa.

Amos krzyknął. Jął chwytać na oślep i złapał chłopca za nadgarstek. Jednak ten oskoczył i wyrwał mu się z uścisku. Koperta upadła na ziemię obok Amosa, była zmięta, lecz nienaruszona. Po chwili chłopiec odwrócił się i zniknął w tłumie.

Amos pomacał się po piersi – sakiewka z guldenami Kronusa tkwiła jeszcze w kaftanie. Gdy Amos wstawał z wielkim trudem, chowając kopertę, Bardo i Marek, zatroskani, obchodzili go wokół jak pasterskie psy. Jeden z nich dobył miecz, drugi trzymał broń gotową do wystrzału. Jednak obdartusy pochowały się już w lesie – droga przed nimi była pusta, tylko konie stały grzecznie kilka kroków z przodu i skubały skurzoną trawę.

– Co to byli za ludzie? – spytał Marek. – I czego od was chcieli, panie?

Gdy ruszyli ponownie, Amos poprosił obu chłopców, by zwracali się do niego po imieniu. Jednak ci z przerażeniem pokręcili głowami; Amos wywodził się ze szlachty, tymczasem oni byli tylko synami prostych chłopów. Chcąc nie chcąc, pogodził się z myślą, że tych dwóch zwracano się do niego słowami pełnymi szacunku: »wy”, „panie” lub w najlepszym razie tytułowali go „paniczem Amosem”.

– Od panicza Amosa niczego – odparł Bardo. – To był prorok wieszczący koniec świata wraz ze swoimi żebrakami, ty tumanie. Nie słyszałeś, co ostatnio opowiadał komendant? Ci krzykacze z piekła rodem mnożą się jak muchy ostatnimi czasy – bo minęło 1499 lat od narodzin Chrystusa i niektórzy wierzą, że Mesjasz powróci na początku roku 1500.

Marek spojrział zrozpaczony i podrapał się po swojej rudej czuprynie.

– Ale ten facet z kijem wskazał na was, paniczu.

Amos wzruszył ramionami. Jego prawe ramię wciąż bolało od upadku.

– Ten z kijem chciał być może uratować nasze dusze – powiedział – ale ten drugi, z brudnymi rękami, bardziej interesował się moim dobytkiem.

To, że jasnowłosy chłopiec miał już w ręce kopertę Kronusa, pominął milczeniem. To musiał być tylko głupi przypadek. Jakże ten złodziej miałby wiedzieć cokolwiek o liście? Nie, to na pewno nie miało żadnego znaczenia – chłopiec chciał go po prostu okraść, a jako pierwsza

wpadła mu w ręce koperta.

Jakkolwiek uspokajająco brzmiało to wyjaśnienie, Amos przewracał się później na swoim posłaniu w gospodzie „Pod Białym Jagnięciem” z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Zegary z wież kościelnych wybijały najpierw jedenastą wieczorem, północ, a później pierwszą w nocy. W szynku, na snopkach ze słomy – poza nim i jego żołnierzami – leżał jeszcze z tuzin mężczyzn, kobiet oraz dzieci, jednak ich regularne oddechy, chrapanie i pomrukiwanie przez sen wskazywały na to, że wszyscy spali głęboko i twardo. Amos czuł zmęczenie we wszystkich członkach, a jego głowa była całkiem otępiała – ze zmęczenia i z powodu kufla podpiwka, który to – wbrew swoim zwyczajom – wychylił wraz z Bardem i Markiem do kolacji. Jednak za każdym razem, gdy dopadał go już sen, przed oczami ukazywał mu się prorok zapowiadający koniec świata, wyciągający kij przeciw niemu, a także list w brudnej ręce złodzieja.

A może ten blondyn szukał koperty Kronusa? Zastanawiał się raz za razem. Ale jakżeby to było możliwe? Bo niezależnie od tego, jak potężni mogli być przeciwnicy Kronusa, jakim sposobem mieliby się dowiedzieć, że stary mężczyzna wysłał go dziś nad ranem z kopertą do Norymbergi? A nawet jeśli w jakiś sposób o wszystkim się dowiedzieli, jak mogli w okamgnieniu zaaranżować wszystko to, co wydarzyło się wcześniej przed bramą miejską Pegnitz? Tłum łachmianarzy wybiegający z krzykiem z lasu, jasnowłosego chłopca, który rzucił się akurat na Amosa – nie, to wszystko wydarzyło się ot, tak po prostu. Te obdartusy czały się w lesie, wypatrując kogoś nadjeżdżającego, by coś wyzebrać, kogoś wystraszyć, a może nawet obrabować, i nic pewnie więcej się za tym kryje.

Im bardziej sobie to wmawiał, tym mniej go to przekonywało. Koperta zawierała jedną, może dwie kartki, jednak dla przeciwników Kronusa mogły być one tak drogocenne, że za wszelką cenę chcieli je zdobyć. Po co? Czy po to, by je zniszczyć, tak jak – według Kronusa – najchętniej zniszcziliby wszystkie księgi i zwoje pism, które starzec przechowywał w swoim domu? Jednak jeśli rzeczywiście wiedzieli, że został wysłany przez Kronusa do Norymbergi, to równie dobrze musieli wiedzieć, gdzie mieszka sam Kronus, gdzie gromadzi swoje dzieła i gdzie pisze swoją *Księgę duchów*.

Amos analizował sytuację ze wszystkich stron, ale nie mógł doszukać się w całej tej sprawie żadnego sensu. Gdyby choć przeczytał był przynajmniej pierwszą opowieść z *Księgi duchów* i „wchłonął ją w siebie”, tak jak to było według Kronusa konieczne, to mógłby teraz w magiczny sposób nawiązać kontakt z mądrym uczonym. Nie mówiąc już o innych opowieściach, które – jak wynika ze słów Kronusa – mają tysiąckrotnie potężniejsze działanie. Jednak, jak

dotąd, Amos nie dostąpił zaszczytu przeczytania ani jednej linijki *Księgi duchów*, dlatego też musiał kierować się swoim własnym umysłem i kręcił się w kółko, nie mogąc znaleźć rozwiązania.

W końcu zmęczenie wzięło górę – dzwony wybijały już trzecią nad ranem, gdy Amosa zmorzył niespokojny sen.

Oprzytomniał, gdy znów poczuł szukającą po omacku dłoń pod swoim kaftanem. Ponadto usłyszał lekko dyszący oddech nad swoją twarzą i poczuł coś cienkiego jak nić, co łaskotało go po czole i policzkach – czyżby kołtuny tego jasnowłosego łotra?

Leżał tak sparaliżowany, że nie mógł poruszyć nawet palcem. Dookoła nic nie było widać. Wieczorem gospodarz zabarykadował okna drewnianymi okiennicami, zanim zgasił światło. Amosowi z trudem przychodziło nawet oddychanie, jedynie serce waliło mu jak oszalałe. Być może wszystko to mu się tylko śniło i jeśli udałoby mu się teraz wyrwać z tego snu, wszystko znów byłoby w porządku?

W końcu zdołał się otrząsnąć z odrętwienia. Pomacał ręką pod kaftanem i znalazł list dokładnie w tym miejscu, w którym go wcześniej upchnął, a obok niego cicho brzęczącą sakiewkę z monetami. Zamachał też ręką w powietrzu nad sobą, ale nikogo tam nie było. Czy miałby teraz wstać, przejść przez izbę, potykając się o nogi śpiących ludzi i szukać w tej ciemnicy chłopca? Nie, to nie miało sensu – albo wszystko mu się tylko przyśniło, albo chłopiec czmychnął już daleko stąd. Z szeroko otwartymi oczami i kołatającym sercem Amos leżał w mroku, nie mogąc doczekać się dnia.

Gdy dosiadł już ponownie karosza Kronusa, jadąc kłusem między Bardem i Markiem drogą wiodącą do Norymbergi, czuł się tak zmęczony i rozbity, jakby pół nocy przewalczył z tym brudnym złodziejaszkiem. Dopiero gdy koło południa przed jego oczami wystrzeliła ku górze ogromna Norymberga z niezliczonymi, mieniącymi się wieżami i dachami, stopniowo wybudził się z tępego oszołomienia i rozmyślań.

Amos uśmiechając się, usiłował przepędzić mroczne myśli. Tu, w Norymberdze, nikt poza nim samym i zecerem Hebedankiem nie może wiedzieć o liście, który ma przekazać. A gdy już uda mu się spełnić misję, popędzi prosto do domu ciotki Ulryki, by wreszcie znów zobaczyć się ze swoją siostrą Odą. Od czasu śmierci rodziców Oda mieszkała tu, w Norymberdze, gdzie ciotka Ulryka prowadziła dom dla osieroconych dziewcząt pozbawionych środków do życia.

## 6

NORYMBERGA BYŁA PRAWDZIWYM GĄSZCZEM wałów, blanek, schodów, uliczek oraz fos. Ledwo Amos minął bramę miejską, pozostawiając swoich towarzyszy wraz z końmi w gospodzie nieopodal Bramy Panieńskiej, a już stracił orientację. Ciemno, ciasno i duszno było w dużym mieście – wyższe piętra domów wystawały ponad uliczki, tak że do ziemi mogło się przedostać tylko niewiele światła. Po słońcu w ogóle nie było śladu – Amos nie potrafiłby nawet określić, czy porusza się ono teraz na zachód, na południe, czy w jeszcze innym kierunku.

Ludzie przepychali się, tłoczyli i trącali wzajemnie. Wszyscy trajkotali, śmiali się, klęli jeden przez drugiego – kupcy w powiewających pelerynach, rzemieślnicy w czarnych kapeluszach, kuglarze i wędrowni sztukmistrze w krzykliwie kolorowych kostiumach oraz szacowne mieszczki, wracające ze swoimi służącymi z targu, z koszykami pełnymi warzyw i krwistych kawałków mięsa.

Amos nigdy jeszcze nie widział tylu ludzi naraz, tak wielu twarzy, kapeluszy, czapek, fryzur, tak różnorodnych krojów zakietów, lasek ułatwiających chodzenie, pantofli. Od tego nadmiaru zakręciło mu się w głowie – brakowało bowiem miejsca, świeżego powietrza i światła słonecznego. Fetor potu tysięcy ciał ludzkich mieszał się z wyśmienitymi zapachami dochodzącymi z piekarń i karczm. Wszystkie okna i drzwi były szeroko otwarte, a z piwnicznych warsztatów dochodziło ogłuszające walenie młotów oraz zgrzyt pił. Tymczasem na górze, w izbach służące podśpiewywały, na dole przed drzwiami gdały kury, czekały psy, a dzieci bawiły się na brudnym podwórku. Z pobliskiej wieży kościelnej rozbrzmiał dzwon wybijający godziny. Była dwunasta. Tak więc zostały mu jeszcze trzy godziny, by rozeznąć się w mieście i wysledzić drukarnię Kobergera przy placu Egidien, gdzie miał czekać na niego zecer Hebedank. Amos trzymał kopertę Kronusa i sakiewkę mocno przyciśnięte obiema rękami do siebie. Pot ściekał mu po czole i karku, jego policzki płonęły. Mimo letniego upału nie odważył się jednak zdjąć kaftana, pod którym ukrywał przed ulicznikami i innymi podejrzanyimi typami swój

dobytek.

Tych było tutaj pod dostatkiem. Kilka razy Amos widział już, jak kieszonkowcy i inny motloch okradali znieczeka niespodziewającym się niczego złego chłopów. Jeden wymyślał upatrzonej ofierze, tymczasem drugi korzystał z zamieszania i opróżniał w mgnieniu oka wszystkie kieszenie biedaczyny. O nie, on nie da się tak łatwo okpić, myślał sobie Amos. Jednak w głowie huczało mu już od tego gwaru dookoła, a od kurczowego ściskania listu i sakiewki rozboleły go ręce.

Zatrzymał się przed fontanną, włożył głowę pod strumień zimnej wody, pijąc łączywie kilka łyków. Woda smakowała żelazem i czuć było w niej domieszkę zgnilizny – prawdziwa kloaka, w porównaniu z czystą wodą w strumieniu Gründleinsbach. Mimo to, idąc dalej z ociekającymi wodą włosami, poczuł się nieco bardziej rześko. Przynajmniej szedł ulicą pod górkę, a że drukarnia miała się znajdować pod zamkiem książęcym, nie mógł iść w niewłaściwym kierunku.

Na rogu jednego z domów stał mały chłopiec – miał jakieś osiem, może dziewięć lat – trzymający w ręku stos ugniecionych kartek. Każdemu z przechodzących obok wręczał jedną, a większość przechodniów chętnie ją brała. Mimo to Amos rozejrzał się podejrzliwie w prawo i w lewo, zanim przyjął kartkę od chłopca. On już naprawdę zaczynał widzieć zjawy! Jak gdyby chłopiec zajął tu stanowisko ze swoimi ulotkami tylko po to, by udawać, odwracać uwagę i by odebrać mu list.

Ulotka była zadrukowana obelżywymi rymami o księciu biskupie Bambergu. Georg III to diabeł wcielony, tak było napisane, a kapelusz biskupi miał nosić tylko z jednego powodu: by ukryć szatańskie rogi. Ale już niedługo, bo wkrótce, powróci Mesjasz i strąci wszystkich grzeszników i rozpustników do piekła, jak to zostało zapisane w Biblii.

Amos czytał te wersy, idąc powoli dalej. A ten rubaszny dowcip tak bardzo przypadł mu do gustu, że prawie w ogóle nie zauważył, jak trąca innych i jak jest przez innych poszturchiwany. Sam od siódmego do jedenastego roku życia chodził do szkoły łacińskiej, dzięki czemu potrafił do pewnego stopnia płynnie pisać i czytać. Jednak z wszystkich tych ksiąg i zwojów pisma w bibliotece Kronusa mógł odszyfrować zaledwie znikomą część – większość z nich spisana była w językach obcych, takich jak grecki, arabski czy nawet aramejski. I nawet autorzy piszący po niemiecku czy po łacinie używali tak zagmatwanego, zaszyfrowanego języka, że Amos mógł odczytać jedynie pojedyncze słowa, choć sens całości pozostawał dla niego zagadką.

Natomiast obelżywy tekst ulotki można było zrozumieć bez żadnych problemów. Za każdym razem w święto Wielkiej Nocy biskup miał zlecać – zgodnie z szatańskim obyczajem – zarżnięcie czarnego owczarka, by następnie z rozkoszą zjadać go zamiast baranka wielkanocnego. Tymczasem kadzidło odurzające wiernych podczas mszy świętej miało składać się z oparów, które Jego Świątobliwość rzekomo wypuszczał, stojąc na kazalnicy, z okolic znajdujących się poniżej jego pasa.

Amos nie wytrzymał i parsknął śmiechem – omal się przy tym nie zadławiając. Gdy podniósł wzrok sponad ulotki, w odległości trzech kroków od niego stał jakiś dygnitarz, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ceklarz lub woźny sądowy. Był to rosły mężczyzna o ogniście czerwonej brodzie, którego ogromna klatka piersiowa omal nie rozrywała munduru. W lewej ręce trzymał drewnianą pałkę, w prawej rączkę swego noża, patrząc przy tym z gniewną miną na ulicę.

Na szczęście nie zwracał uwagi na Amosa. Ten zmiął kartkę i upuścił ją do jednej z luk piwnicznych na brzegu drogi. Gdy przekradał się obok ceklarza, dzwony na wszystkich wieżach kościelnych wybijały ponownie godzinę: było już wpół do drugiej.

Amos coraz dalej przedzierał się przez gąszcz uliczek w kierunku wzgórza zamkowego, aż natknął się na szerszą ulicę. Tutaj szli nie tylko piesi, lecz podążali konno jeźdźcy, a nawet torowały sobie drogę wystawne dorożki. Droga nie była wyłożona kocimi łbami, natomiast miała pełno wyrw i pokrywały ją śmieci oraz końskie łajno. Jednak na samej górze, na jej końcu, Amos ujrzał ogromny zamek z wieżami i wałami. Gdzieś przy jednej z uliczek u dołu, między wystrzelającymi ku niebu domami patrycjusza, musiała znajdować się drukarnia, gdzie miał spotkać się z tym Hebedankiem.

Nabrawszy ponownie odwagi, szedł pewnie ulicą, choć ścisk tutaj był jeszcze większy. Pewien rycerz, bluzgając, wyminął go. Zniecierpliwiony mężczyzna popędzał ostrogami srokatego konia. Na plecach niósł tarczę połyskującą w słońcu. Amos, oślepiony jej blaskiem, zmrużył oczy. Wtedy srokaty koń stanął dęba i prawie równocześnie rozległ się głośny krzyk. Rycerz zaklął, tymczasem koń skoczył i zniknął po chwili wśród zamieszania. Dwa kroki od Amosa, na poboczu drogi, upadła młoda kobieta.

Leżała na plecach z lekko zgiętymi nogami, jej twarz była blada i wykrzywiona grymasem. Amos kucnął obok niej, sięgnął po jej dłoń. Musiała mieć mniej więcej tyle sam lat co on – raczej dziewczyna niż młoda kobieta.

– Jesteś ranna? – zapytał.

Dziewczyna pokręciła tylko lekko głową. Jej strój był prosty, prawie nędzny – szara rozpinana do dołu sukienka sięgająca łydek. Na nogach miała chodaki. Jej pszeniczne włosy rozsypane dookoła głowy – jak promienie słońca, pomyślał – unurzały się w ulicznym błocie.

Spoglądała na niego zielonymi niczym u kota oczami.

– Pomożesz mi wstać? – Jej głos nieco zadrżał. Ostrożnie pomógł jej się podnieść i zanim jeszcze zdążyła porządnie stanąć, rzuciła mu się na szyję. Poczł jej ciepły oddech na swoim uchu. Jedną dłonią przywarła do jego pleców, a drugą do jego piersi.

– Dziękuję – wyszeptała, po czym odwróciła się i zniknęła w bocznej uliczce.

Amos patrzył na nią zupełnie oszołomiony. Zdawało mu się, że czuje jeszcze dotyk jej miękkiego policzka na swoim ramieniu, jej dłoń na swej piersi. Wtedy zaświtała mu w głowie najstraszliwsza myśl: okpiła go! Rozłożył pelerynę, macał pod nią obiema rękami, szukał wszędzie, pod ręką, na ziemi.

Ale po kopercie nie było ani śladu, podobnie jak po złodziejce.



– HEJ, POCZEKAJ!

Dziewczyna była już na drugim końcu ulicy, gdy Amos przebudził się z odrętwienia. I oczywiście nie myślała wcale o tym, by na niego poczekać: mógł jeszcze tylko dostrzec, jak dziewczyna znika tam z tyłu, po prawej stronie w następnej uliczce, a może w bramie.

Amos biegł za nią, co sił w nogach. Sakiewka z guldenami Kronusa kołysała się na rzemieniu zawieszonym na szyi – najwidoczniej dziewczyna wcale nie interesowała się pieniędzmi. Podobnie jak wczoraj ten drań w Pegnitz.

Oboje chcieli tylko listu – przy tym nie mogli przecież wiedzieć niczego o tajemniczej kopercie! A może jednak?

Amos śpieszył wzdłuż ulicy. Była jeszcze ciaśniejsza, ciemniejsza i brudniejsza niż te, którymi szedł do tej pory. Ponure domki na skraju drogi wyglądały, jakby miały się zawalić. Zdawało się, jakby zza wąskich okien wyglądały czające się pary oczu. Z jednych drzwi wyskoczył duży, żółty pies, który biegł obok niego, ujadając. Zmiataj, cholerny zwierzaku!, pomyślał, i zdawało się, jakby pies rzeczywiście zrozumiał to zaklęcie: odstał od niego, usiadł na środku ulicy i spoglądał na Amosa posepnym spojrzeniem.

Ale nawet jeśli Amos potrafił wydawać za pomocą własnych myśli polecenia żółtym psom – to nie działały one w żadnym razie na blondwłose dziewczyny. Amos zatrzymał się na końcu ulicy. Po prawej stronie znajdował się wąski otwór między dwoma na wpół zawalonymi domami – tędy musiała uciec złodziejka. Z narastającym niepokojem pobiegł dalej – przedostał się na mroczne podwórze, zupełnie zastawione zepsutymi taczkami, drabinami i innymi rupieciami.

Cały szmat czasu zajęło mu bieganie i wspinięcie się między rupieciami. Nie udało mu się jednak znaleźć ani śladu po dziewczynie. Był wściekły, zmęczony i konał z pragnienia. Krzyknął jeszcze kilka razy za nią, później szukał już tylko w milczeniu i zawzięcie. Kronus mu zaufał, a on wpadł w pułapkę jak ostatni głupek. Jeśli nie wyśledzi dziewczyny, nie odzyska listu i nie

dostarczy go o uzgodnionej porze, nigdy już nie dostanie żadnego zadania do wykonania od starego mężczyzny. Zamiast zdobywania magicznych mocy poprzez lekturę *Księgi duchów*, będzie musiał wyprawiać się ze stryjem Heribertem, kapitanem Höttschem i innymi – napadać na drodze na Bogu ducha winnych podróżnych lub walczyć z Czechami.

Najbardziej gniewało go to, że nie rozumiał nawet, co tu się w ogóle działo. Bo też kto poza stryjem Heribertem mógł wiedzieć, że Kronus wysłał go z listem do Norymbergi? Abstrahując oczywiście od samego starego uczonego – ale ten nie mógłby przecież mieć interesu w tym, by obrabowano jego własnego posłańca.

W końcu Amos odkrył na wpół ukrytą za stosem złamanych dyszli i drabin, studnię z żurawiem. Na pokruszonym gzymsie siedziała dziewczyna, która spoglądała spokojnie w jego stronę z wyczekującym uśmiechem. Obok niej leżała koperta – jeden lekki powiew wiatru mógł ją zdmuchnąć do studni, a wtedy list przepadłby na zawsze.

Amos jednym susem znalazł się tuż przy niej i zagarnął kopertę dla siebie. Policzki płonęły mu jak ogień – od upału, od całego tego zdenerwowania, ale przede wszystkim ze złości.

– Dlaczego to zrobiłaś? – krzyknął w stronę dziewczyny.

Na jej twarzy odmalował się teraz szyderczy uśmiech.

– Zrobiłam, co takiego?

Chwycił ją za ramię, potrząsnął nią – był wściekły. Na szyi nosiła zawieszony na skórzanym rzemieniu amulet, który podskakiwał teraz bezładnie na jej piersiach – wygięty z drutu trójkąt, z niebieskim kamieniem w środku, który z powodu swojego kształtu i barwy nie bez powodu nazywano wilczookiem.

– Kto ci powiedział – wykrzyczał – że masz mi ukraść tę kopertę?

Wtedy ktoś chwycił Amosa od tyłu i odwrócił. Jego oczom ukazał się młody jeszcze mężczyzna o posturze niedźwiedzia, ubrany w brązowy habit mnicha zakonu żebraczego. Spojrzał z gniewem na Amosa, a w jego oczach zaiskrzyło szyderstwo.

– Nie wiesz, jak się należy zachować?

– Ale ona... – Zaczął Amos i ugryzł się w język.

– Ona co? – zapytał mnich.

Amos pokręcił tylko głową. Mnich wyglądał na prostodusznego człowieka i na pewno nie był w zмовie z tą złodziejką. Mimo to Amos musiał zachować milczenie także względem niego. Przysiągł to Kronusowi, poza tym mężczyzna w habicie nie wyjaśnił mu, dlaczego ktoś nieustannie próbuje odebrać mu tę kopertę.

– A teraz lepiej stąd znikaj – powiedział energicznym tonem.

Amos skinął głową. Gdy się obrócił, po dziewczynie nie było już żadnego śladu. Nawet go to za bardzo nie zdziwiło – w końcu musiała mieć wprawę w wykradaniu się niepostrzeżenie. A wśród wszystkich tych piętrzących się na podwórzu rupieci nietrudno było rozplątać się w jednej chwili.

Mimo to nie opuszczało go dziwne uczucie – jak gdyby dziewczyna była duchem, urojeniem, którym go mamiono. Jednak już po kilku chwilach Amos zapomniał o tym. Znowu rozbrzmiały zewsząd dzwony wybijające godzinę: trzy pełne, a później trzy cichsze uderzenia – za kwadrans czwarta.

– Dobry Boże, nie dopuść do tego – wymamrotał. Ten Hebedank będzie na niego czekał przy tylnym wejściu do drukarni Kobergera jeszcze tylko kwadrans – a on, Amos, nie znalazł jeszcze nawet drukarni, zamiast tego błąkał się po bocznych uliczkach i podwórzach.

Nie troszcząc się już więcej o mnicha czy dziewczynę, Amos wsunął ponownie kopertę z listem pod pelerynę i zaczął znowu biec. Wypadł z podwórza, później pobiegł ciemnymi uliczkami, a następnie szeroką drogą pod górkę. Ulica wiodąca na zamek zdawała ciągnąć się w nieskończoność. Raz za razem zatrzymywał się przed grupkami ludzi, musiał wymijać rycerzy lub przepuszczać przetaczające się obok z łoskotem dorożki. W pewnej chwili zatrzymał się bez tchu i podparł się rękami zwiniętymi w pięści pod boki. Właśnie wybijała czwarta – wyraźnie widział przed oczyma, jak zecer Hebedank kręci smutno głową i znika znowu za wąskimi drzwiami drukarni.

Ale może nie wszystko jeszcze stracone? Ukradkiem wyjął list spod peleryny. Koperta była zmięta i podarta w jednym rogu, jednak najważniejsze było to, że udało mu się uratować list przed wszystkimi atakami.

Co ciekawe, wokół koperty zawinięty był skórzany rzemień, który dziewczyna przed chwilą nosiła na szyi – srebrny trójkąt wciąż zwisał z rzemienia, brakowało tylko kamienia. Musiał zerwać jej amulet z szyi w trakcie szarpaniny, niczego nie zauważając, a później wsadzić go wraz z listem. I pozbawił ją amuletu, pomyślał. Chciała go okraść, tymczasem to on miał teraz w torbie coś, co należało do złodziejki.

Dzielnica pod zamkiem była rozleglejsza, niż to się wydawało na pierwszy rzut oka, patrząc od strony podnóża. Minęło kolejne pół godziny, zanim Amos znalazł wreszcie Egidienplatz, gdzie mieściła się, ulokowana wśród całego mnóstwa domów, słynna drukarnia Kobergera. Według Kronusa była to największa drukarnia w Rzeszy Niemieckiej i jedna z

najznacniejszych drukarni na całym świecie. Anton Koberger wydał *Watchronik* (Kronikę świata) Schedla, równie słynną *Arzneibuch* (Farmakopeę) i wiele innych dzieł w języku niemieckim i łacińskim. Zalekniiony Amos zakradł się wokół kompleksu budynków, aż natknął się na niepozorną bramę z tylnej strony. Wszedł na podwórze, zobaczył wozy załadowane zwojami papieru i wygarbowanymi skórami zwierzęcymi i zbliżył się do półotwartych drzwi, przez które na zewnątrz dochodziły odgłosy walenia młotem i stukania butami.

Za drzwiami siedziały dwa tuziny mężczyzn w szarych fartuchach, którzy sortowali żelazne czcionki w skrzyniach lub układali je w słowa lub wiersze w metalowych formach. Stukot i walenie młotem musiały dochodzić z głębiej położonych hal, bo tu – w zecerni – panowała cisza, przerywana cichym pobrzękiwaniem czcionek drukarskich.

Pewien starszy rzemieślnik, pracujący za ustawionym na podeście pulpitem, wytarł sobie dłonie w szmatkę i podszedł z rozgniewanym wyrazem twarzy do Amosa.

– Czego tu szukasz, chłopcze? – zapytał nieprzychylnym tonem.

– Szukam... – powiedział Amos i musiał najpierw przełknąć ślinę. – Chcę się widzieć z zecerem Hebedankiem – zaczął od nowa. Wyciągnął z peleryny list, jeden z rogów manuskryptu wyzierał z rozdartej koperty.

Mężczyzna pokręcił z gniewem głową.

– Znikaj – powiedział tak cicho, że zrozumiał go tylko z trudem. – Nie ma tu żadnego Hebedanka.

– Ale ja mam dla niego list – nalegał równie cicho Amos.

Wtedy inny mężczyzna chwycił go za ramię i wyciągnął na zewnątrz.

– Oszalałeś? – syknął. – Dlaczego od razu nie pójdziesz na rynek i nie wykrzyczysz wszem wobec, że nie obchodzi cię cenzor książek?

– Cenzor książek? – powtórzył Amos. Teraz niczego już nie rozumiał.

– Jeśli twoje papiery są w porządku – wymruczał rzemieślnik – to idź na przód do oficyny i zdaj tam wszystko. A jeśli nie...

– W mgnieniu oka złagodniały jego rysy twarzy. Z niemal ojcowskim uśmiechem patrzył na Amosa. Jednak swego zdania już nie dokończył, po prostu pozostało niedopowiedziane, jakby zawieszony na zapleczu znanej na całym świecie drukarni.

Amos poczłapał ze zwieszoną głową z powrotem na Egidienplatz. Kopertę trzymał w dalszym ciągu w dłoni, nie zwracając za bardzo uwagi na to, co robi, ponownie obszedł budynek, dochodząc pod wejście główne z przodu. Wejście to wyglądało sto razy okazalej niż tylne do

zecerni – łukowate schody prowadziły w górę do dwuskrzydłowych drzwi, nad którymi wryto dłutem ozdobnymi drukowanymi literami słowo *Oficyna*. Gdy Amos zastanawiał się jeszcze nad tym, czy nie powinien zapytać tam w biurze drukami o zecera Hebedanka, u góry otworzyły się drzwi, a w progu pojawił się strażnik w mundurze lub policjant. Miał ogromne wąsy, a na widok Amosa odruchowo sięgnął ręką po pałkę, którą nosił u pasa po lewej stronie.

I wtedy Amosowi puściły nerwy. Już i tak był zupełnie zmieszany, po tym jak najpierw dwukrotnie uratował list, a później i tak wszystko sknocił. Strażnik ze strasznymi wąsami przeraził go nie na żarty. Tym bardziej że Amos wciąż trzymał otwarcie w dłoni naderwaną kopertę, a strażnik krzyknął jeszcze coś w jego stronę, co brzmiało mniej więcej tak:

– Hej, chłopcze, gdzieś to kupił?

Jakby to on był złodziejem i ukradł list, a nie go obronił – nie, tego było już za wiele: rzucił się do ucieczki, pędząc na łeb, na szyję. Tymczasem strażnik zadął za nim na alarm, a z wszystkich stron odpowiedzieli mu inni ceklarze, którzy również zadęli w swoje rogi.

Cenzor książek?, pomyślał Amos, biegnąc. I rzekomo nie znali tam żadnego Hebedanka? A ta jasnowłosa dziewczyna pewnie wskoczyła po prostu do studni, gdy tak nagle zniknęła przed chwilą? Amos pędził cały czas przed siebie, a w jego głowie kłębiły się bez ładu i składu obrazy, pytania i zagadki. Dopiero gdy zabrakło mu tchu, zatrzymał się, nie mając innego wyboru. Wszystko wokół niego zaczęło się kręcić, a on sam usiadł nagle na ziemi, mimo że nie przypominał sobie, by chciał usiąść.

Rozejrzał się dookoła, usiłując złapać oddech. Po ceklarzu z przerażającymi wąsami nie było już ani śladu, jak okiem sięgnąć, nie oznaczało to jednak, że rzeczywiście zgubił ich wszystkich. Na szczęście w tej samej chwili zatrzymała się obok niego dorożka, a mężczyzna siedzący na koźle wozu skinął głową zachęcająco w jego stronę i powiedział:

– Stoicie tak, jakbyście potrzebowali dorożki, paniczu.

Amos nie dał sobie tego powtarzać dwa razy. Nogami jak z waty wspiął się na wóz.

– Zawieź mnie do sierocińca świętej Otylii – powiedział.

Podczas jazdy Amos wciąż rozglądał się nieufanie dookoła.

Z trudem udawało mu się trzymać oczy szeroko otwarte, poza tym i tak nie mógłby powiedzieć, kim są jego prześladowcy, których tak bardzo się obawiał. Czy była nim zielonooka dziewczyna wraz ze swymi pomocnikami, czy też ceklarze posadzający go o kradzież listu?

## ODA ZROBIŁA WIELKIE OCZY.

– Amos, to naprawdę ty? – Siostra objęła go mocno, by już po chwili ponownie go od siebie odsunąć. – Jak ty urosłeś! – Ujęła go za rękę i przyglądała mu się ze zadziwieniem.

A co dopiero ty, pomyślał Amos. Mając szesnaście i pół roku, Oda nie była już dziewczyną, lecz młodą kobietą. Mimo że przewyższał ją o pół głowy, sam wydawał się sobie niezdarny i niedojrzały w porównaniu z siostrą.

Oda pokręciła głową, potrząsając jednocześnie swymi czarnymi lokami.

– Skąd się tu w ogóle wzięłeś? – wykrzyknęła. – Powiedz coś wreszcie!

Jednak zanim zdążył jeszcze udzielić odpowiedzi, siostra już wpadła mu w słowo. – Twój głos, Amosie! Brzmi zupełnie jak...

– Ugryzła się w wargę. Jej oczy zaczęły błyszczeć. Przez chwilę znów wyglądała jak mała dziewczynka, którą wciąż przechowywał w swojej pamięci. – ... jak ojca. Masz taki sam głos jak tata! – wydusiła z siebie przez ły.

Ponownie objęła go i jęła obcałowywać po całej twarzy. Dla Amosa cała sytuacja była przykra, nawet jeśli w pokoju nie było nikogo poza nimi. Ciotka Ulryka zmierzyła go surowym wzrokiem, gdy tak nagle pojawił się w progu drzwi, i pokręciła z dezaprobatą nosem, bo wokół niego roztaczał się zapach konia i potu. Jednak na szczęście była wystarczająco taktowna, by zostawić rodzeństwo sam na sam, jako że spotkali się przecież po długiej rozłące.

– Wiem, Oda, tak, wiem – wymamrotał Amos, usiłując uwolnić się z jej objęcia.

Od czasu gdy rozdzielono ich po śmierci rodziców, tylko raz widział się z siostrą. A było to ponad rok temu, gdy Oda przybyła wraz z ciotką Ulryką na zamek Höhenstein. Wtedy też – zaraz po przybyciu na miejsce – ciotka, znana z surowych zasad, poróżniła się z Heribertem. W jej opinii na zamku panują stosunki „jak w najpotworniejszym z piekieł”. Jednocześnie z okazji ich wizyty Heribert kazał zatknąć na dachu wieży chorągiew rodową Höhensteinów. Widać było na niej ustylizowanego orła nad dwoma skrzyżowanymi mieczami, których szpice przeszywały

oczy powalonego smoka. Jednak nawet te honory nie zdołały udobruchać ciotki: wyjechała po dwóch dniach, zabierając ze sobą Odę, i od tamtego czasu rodzeństwo więcej się już nie widziało.

Wreszcie udało mu się od niej uwolnić. Podeszedł do okna i popatrzył jakby mimochodem przez okno na uliczkę. Jak okiem sięgnąć, nie było tam ani ceklarzy z wąsami, ani bez wąsów. Nie zobaczył także dziewczyny o zielonych oczach i wprawnych złodziejskich dłoniach.

– Amos, co z tobą? Czemu stoisz przy oknie niczym jakiś obcy? – Gdy się odwrócił, ujrzał Odę siedzącą na krześle przy stole. Jej pokój był ciasny, mroczny i wyposażony tylko w najbardziej niezbędne sprzęty. Łóżko, skrzynię, stojący obok stolik, do którego przystawione były dwa drewniane krzesła. O żadnym porównaniu z wielkimi, rozjaśnionymi pokojami w ich wcześniejszym domu rodzinnym nie mogło być mowy. Pamięta tam łożę z baldachimem w pokoju Ody, z malowanymi szafami, z wygodnymi fotelami w wielkiej izbie. Był nawet klawikord, na którym matka Matylda wygrywała często wieczorami przepełnione tęsknotą melodie.

– Podejdź no tutaj, usiądź przy mnie – powiedziała siostra Amosa. – Porozmawiajmy. Co cię sprowadza do Norymbergi, nie przyjechałeś tu przecież tylko z mojego powodu?

– Pilna misja. – Amos rzucił jeszcze jedno szybkie spojrzenie na zewnątrz. Zmierzchało się, uliczka była cicha i wyludniona.

– Nie wolno mi już mówić nic więcej, siostrzyczko. – Przysiadł się do niej, a ona pochyliła się nad nim i wzięła jego lewą dłoń w swoje ręce.

– Misja, ale chyba nie od stryja Heriberta?

Pokręcił głową.

– Stryj nie ma z tym nic wspólnego. Nie mówmy już o tym, Oda. Nie wolno mi.

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– Przysięgnij mi, że nie chodzi o żadne niecne sprawy – nalegała. – I że nigdy nie pogwałcisz praw boskich ani książęcych. Przysięgnij, Amosie, na pamięć naszych rodziców!

Uniósł swoją prawicę i złożył usta do przysięgi. Ale wtedy przypomniał sobie, co powiedział mu przedtem ten opryskliwy rzemieślnik w zecerni: istnieje cenzor książek, który decyduje o tym, które książki mogą być drukowane, a które nie. A *Księga duchów*, nad którą Kronus spędził połowę swego życia, należy bez wątpienia do tych, których cenzor nigdy nie pozwoli drukować. Z jakiego innego powodu Kronus miałby ukrywać się w starym młynie i dlaczego, jeśli nie z tego powodu, wysłał Amosa do tajemniczego zecera Hebedanka?

Najprawdopodobniej właśnie dlatego, że Hebedank miał dopilnować, by *Księga duchów* została wydrukowana bez zezwolenia cenzora.

Amos opuścił swoją dłoń na stół.

– Nie mogę – powiedział. – Ale to nie ma żadnego związku ze stryjem – dorzucił pospiesznie. – I na pewno nie chodzi o żadne nieczne sprawki. – Wzruszył ramionami. Znał Ode na tyle dobrze, by przewidzieć, że taka odpowiedź na pewno jej nie zadowoli. Ale w tej chwili nie mógł jej już niczego więcej wyjawiać.

– Nie chodzi o nieczne sprawki, ale mimo to przysięgać nie chcesz? – Oda trzymała teraz jego rękę w tak kurczowym uścisku, jakby miał lada chwila runąć do piekielnej czeluści. Jej oczy znów zaczęły nachodzić łzami. – Czyżbyś zapomniał, co obiecałam naszej matce, na kilka dni przed jej śmiercią?

W tej surowo skrojonej szarej szacie, którą musiała nosić z nakazu ciotki Ulryki, Oda wyglądała prawie jak zakonnica. Jej blada cera, smukła, ale wyrazista postać tak bardzo przypominały mu matkę, że nie mógł wręcz oderwać od niej oczu. Musiał raz po raz odwracać wzrok, gdyż odczuwał duszący uścisk w gardle.

– Jak możesz tak mówić, Odo – rzekł do siostry. – Jakże mógłbym zapomnieć?

– Ale zachowujesz się tak – wymyślała mu – jakby cię to już w ogóle nie obchodziło, jakby liczył się już tylko stryj Heribert.

– Boże, Odo, uwierz mi wreszcie. – Jakże miałby to jej wytłumaczyć? – Ze stryjem nie ma to nic a nic wspólnego!

Na szczęście właśnie w tej chwili usłyszeli pukanie do drzwi. Oda zawołała:

– Wejść!

Do pokoju weszły dwie spośród dziewczynek, które dorastały w sierocińcu pod opieką ciotki Ulryki. W tych swoich niedopasowanych ciemnoszarych fartuchach, z włosami skrzętnie schowanymi pod jasnoszarymi czepkami, wyglądały jak nieszczęsne ptaszęta, które właśnie wypadły ze swego gniazda. Nieśmiało pokłoniły się przed gościem i podały do stołu skromną kolację: czerstwy chleb żytni z resztkami miękkiego sera i dzbanem wypełnionym po brzegi wodą.

Amos i Oda zjadali się z apetytem. Na szczęście wydawało się, że Oda zapomniała o przysiędze – zamiast tego zaczęła opowiadać o straszliwej nocy sprzed trzech lat, podczas której zginęli ich rodzice.

– Uratowałeś mi życie, Amosie – powiedziała. – Będę ci za to wdzięczna na wieki. –



Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

– Nasi rodzice nie żyją – wpatrywał się posepnym wzrokiem w dzban – a ja nigdy sobie tego nie daruję.

– Ależ, Amosie, miałeś wtedy dwanaście lat. Byłeś jeszcze dzieckiem!

– I co z tego – nalegał. – Powiniennem był walczyć z podpalaczami, zamiast chować się z tobą w piwnicy.

Na szczęście zjedli już swoją kolację. Teraz, gdy znowu ożyły w nich wspomnienia, nie przełknęliby już ani kęsa.

Działo się to w pewną noc późnego lata. Już od miesięcy grasująca w okolicy Wunsiedel horda buntowników i podpalaczy sprawiała, że mieszkańcy drżeli ze strachu. Ludzie ci podburzali innych przeciwko wszystkim możliwym panom – nieważne, czy chodziło o księży czy biskupów, rycerzy czy panów ziemskich, takich jak ojciec Amosa i Ody. Tu i ówdzie zdarzało się już, że podpalano dwory, a ich właścicieli przepędzano.

Tamtej nocy Amosa zbudziły dochodzące z oddali ciężkie kroki i rozgardiasz podnieconych głosów. Wykradł się ze swojego pokoju na poddaszu i obudził siostrę, której pokój znajdował się zaraz obok. Gestykulując, dał jej do zrozumienia, że powinni zejść na dół, że muszą się ukryć. Oda skinęła głową w milczeniu i już po chwili oboje zbiegali ramię w ramię po skrzypiących schodach.

I właśnie gdy dobiegli już do westybulu, drzwi wejściowe pękły z przeraźliwym hukiem. W świetle kilku lamp zobaczyli, że ich rodzice stoją w samym środku sali: matka z bronią gotową do strzału, ojciec – z wyciągniętym mieczem.

Ojciec skinieniem głowy wydał im rozkaz, by ukryli się w piwnicy. Trzęsąc się, Amos i Oda zbiegli piwnicznymi schodami do najbardziej oddalonego pomieszczenia, w którym stała kamienna skrzynia z wyżłobionym krzyżem Chrystusa.

– Gdyby na nas napadli – taki rozkaz wydał mu ojciec już kilka tygodni wcześniej – ukrycie się, ty i twoja siostra, w kamiennej skrzyni. Tam będziecie bezpieczni. Nie wychodźcie z niej ani się nie ruszajcie, niezależnie od tego, co będzie się działo na górze.

Amos dokładnie zastosował się do tego zalecenia, nawet jeśli tysiące razy musiał się opanowywać, by nie odsunąć wieka i nie zakraść się z powrotem na górę. Tam, gdzie rozbrzmiewały strzały i brzęk mieczy, przekleństwa i krzyki, a na koniec trzaskanie i prychnie płomieni. Później usłyszeli kroki na schodach i u dołu, w korytarzu piwnicy, coraz głośniejsze, tak że Amos przycisnął dłoń do ust Ody, by ta nie zdradziła się szlochaniem. Mężczyźni krążyli

przez chwilę w kółko po piwnicy, raz skrzynia zatrzęsła się pod gwałtownym uderzeniem lub kopnięciem. Na szczęście podpalaczom nie przyszło na myśl, by zajrzeć do środka.

Dopiero po wielu godzinach, gdy na górze znów zapanowała zupełna cisza, Amos odważył się podnieść wieko skrzyni. Z ich domu pozostały tylko dymiące mury i zwęglone belki. Spalone ciała ich rodziców przypominały teraz bezkształtne grudki, twarze szerniały i tak się skurczyły, że nie sposób było ich rozpoznać.

– Nie minął nawet tydzień – powiedziała Oda, spazmatycznie szlochając – od czasu gdy matka kazała mi przysiąc, że zawsze będę na ciebie uważała, Amosie i że będę cię pilnowała, gdyby ich kiedyś zabrakło. Jakby przeczuwała, że nie pożyją już zbyt długo. A ty co? – Zaczęła nagle krzyczeć: – Nicponiu? – Podskoczyła, chwyciła go za kaftan i jęła nim szarpać we wszystkie strony. Zaciśnęła dłonie w małe pięści i zaczęła go nimi okładać. – Wiesz dobrze – wykrzyczała Oda przez łzy – że przysięgłam to matce, a mimo to dajesz się stryjowi sprowadzić na drogę hańby i występku!

Znosił to, że tak na niego krzyczała, że nim potrząsała i go biła. Zamiast się bronić, uniół tylko ręce na wysokość głowy, żeby jej uderzenia nie trafiały go w twarz. Jednocześnie z oczu ciekły mu łzy, tak po prostu, nie, żeby było mu przykro, i nawet nie usiłował ukryć tego przed Odą. Im dłużej na niego krzyczała i go biła, im dłużej ronili łzy, tym lżej robiło mu się na sercu.

– A teraz daj już spokój, siostrzyczko – powiedział po jakimś czasie. Paliło go w gardle, jakby nałykał się ognia. Wstał, objął ją lekko, jak to zwykł robić Kronus. – Jestem śmiertelnie zmęczony, Odo – powiedział. – Pokażesz mi, gdzie mogę się tu przespać?

Oda również ocierała łzy.

– Ale tylko pod warunkiem, że jutro z samego rana zaczniemy razem przekonywać ciotkę Ulrykę – mówiła z trudem. – Musi mi pozwolić odwiedzić cię na jesieni na zamku Höhenstein.

– Obiecuję – powiedział. Uśmiechnęli się do siebie złączeni spiskiem, co łatwo dało się wyczytać z ich twarzy. Było tak jak dawniej – a w każdym razie prawie tak samo jak za starych, dobrych czasów.

## 9

– ZASTANÓW SIĘ DOBRZE, Amosie – powiedział Valentin Kronus – jak wyglądał mężczyzna, który ci powiedział, że nie ma u nich żadnego Hebedanka.

Amos wsypał najpierw karoszowi i kasztanowi wiadro owsa do żłobu. W drodze powrotnej z Norymbergi znów jechali ostrym kłusem, a nawet udało im się pokonać całą trasę w niecałe półtora dnia. Gdy w Kirchenlamitz pożegnał się z obydwojema eskortującymi go żołnierzami, podążył prosto do chaty Kronusa. I zanim jeszcze Amos zdążył oporządzić konie, w stajni pojawił się już stary uczonec, najwidoczniej spragniony wieści o przeżyciach jego posłańca w Norymberdze. Był zaciekawiony, ale także spokojny, prawie wesoły – tymczasem ponury wyraz twarzy Amosa musiał zdradzać, że podróż zakończyła się fiaskiem.

– Był w średnim wieku – zaczął Amos. – Jego włosy były już przerzedzone, raczej szare niż brązowe. I miał ponury grymas wokół ust, jakby przygnębiały go jakieś troski.

– Słuszne spostrzeżenie – pochwalił go Kronus. – Tyle tylko, że ten mężczyzna to właśnie Hebedank. – Jego uśmiech stawał się coraz radośniejszy, tymczasem Amos niczego już z tego nie rozumiał.

– Chodźmy do biblioteki – zarządził Kronus. – W środku wszystko ci wyjaśnię. Jak to jest możliwe, że ten mężczyzna nazywa się Hebedank, a mimo to nie zna Hebedanka. I dlaczego jesteś dobrym posłańcem, mimo że nie udało ci się dostarczyć listu. – Energicznym krokiem starzec opuścił stajnię i udał się z powrotem do domu.

Amos pospieszył za nim.

– A to, że od razu dwóch złodziei usiłowało mi ukraść list, panie. Czy to też was rozwesela? – zawołał podniesionym głosem w stronę, z której dobiegał odgłos szemrzącego strumienia Grunleinsbach opływającego stary młyn. Najpewniej dlatego, że był zdenerwowany. Jeśli Kronusowi było tak spieszno z tym listem, to dlaczego nie wydawał się zaniepokojony faktem, że Amos wrócił, nic nie załatwiwszy?

– Nie, chłopcze, nie rozwesela mnie to. – Kronus wszedł do domu i zaryglował za sobą

drzwi. – Jednak nie dziwi mnie to też specjalnie – dorzucił. – Żyjemy po prostu w niespokojnych czasach. Dziś w wielu miejscach więcej jest oszustów niż porządnych ludzi.

– Ale oni oboje interesowali się tylko waszym listem – zastrzegł Amos. – Wcale nie zwracali uwagi na moją – waszą – sakiewkę.

– Przełożył sobie rzemyk przez głowę, zamierzając mu zwrócić woreczek z monetami. – Zostały cztery guldeny i czternaście groszy – powiedział i od razu zaczął wyliczać koszty podróży. – Dwa guldeny dla stryja, dwanaście groszy dla towarzyszących żołnierzy, a kolejne czternaście na jedzenie i kwaterunek – to nam daje razem trzy guldeny i sześć groszy.

Kronus skinął w jego stronę, ale nie uczynił nic by przyjąć z powrotem sakiewkę.

– Złodzieje uwierzą, że list jest o wiele cenniejszym łupem. A sakiewkę na razie zachowaj, Amosie. Jeśli poproszę cię następnym razem o przysługę, będziesz jej potrzebował. – Wycofał się za swój pulpit i przejechał palcem wskazującym po oczodołach w czaszce z kości słoniowej. – A więc chłopca z Pegnitz zmusiłeś do ucieczki? – Radosny uśmiech ponownie zagościł na jego twarzy. – A za dziewczyną w Norymberdze nawet pobiegłeś, by odebrać jej łup? Doskonale, Amosie, naprawdę jestem z ciebie bardzo zadowolony.

Amos nie wiedział już, co powiedzieć, ani nawet, co o tym wszystkim myśleć.

– A list – wyrwało mu się wreszcie – nie jesteście ani trochę rozczarowani, że przywiozłem go ze sobą? – Ponownie przewiesił sakiewkę przez szyję, a następnie wydobył kopertę spod kaftana, by wręczyć ją Kronusowi.

Jednak stary mężczyzna znów wykazywał niewielkie zainteresowanie w odzyskaniu swojej własności.

– List jest już i tak prawie otwarty – powiedział. – Otwórz go do końca i zobacz, co jest w nim napisane.

Amos jął teraz niepewnie obracać kopertę w dłoniach. Wyglądała na pogniecioną i rozdartą, a na tylnej stronie wyraźnie widać było odcisk pozostawiony przez zabrudzony kciuk chłopca, który wyrwał mu list w Pegnitz. W jednym z rogów koperta była podarta, a z dziury wystawał włożony do środka list.

Kronus podał mu srebrną pięcioramienną gwiazdę.

– Nie wiem, czy ten pentagram będzie miał dzisiaj magiczną moc – powiedział – ale doskonale nadaje się do otwarcia listu.

Palce Amosa zamknęły się na srebrze. Pentagram wielkością niewiele różnił się od guldena, jednak był nadzwyczaj ciężki. Jednym z rogów zadrapał krawędź koperty, z której

wysypała się zawartość – jedna kartka papieru zapisana kilkoma zaledwie wierszami starannym pismem Kronusa.

*Hebedank, gotuj się.*

*W wyznaczonym czasie Opus zostanie zwieńczone.*

VK.

– Rozumiesz już? – zapytał Kronus.

Amos wpatrywał się w papier, który trzymał w ręce.

– Nie, panie, ni w ząb – westchnął z głębi serca. – Proszę was, byście mi to objaśnili.

– Ależ to całkiem proste – wykrzyknął uczoney. – Mężczyzna, z którym rozmawiałeś u Kobergera, nie nazywa się oczywiście Hebedank. Od wielu lat jest moim zaufanym człowiekiem i jeśli otrzymuje ode mnie „wiadomość dla Hebedanka”, oznacza to po prostu, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Równie dobrze mógłbym wysłać mu pustą kopertę. Lub kogoś, kto po prostu poinformowałby go, że ma „wiadomość dla Hebedanka”. Ponieważ przekazałeś mu właśnie taką wiadomość, Amosie, moje przesłanie dotarło do niego, tak więc zrobiłeś wszystko, jak się należy. Dlatego też dziękuję ci z całego serca, mój młody przyjacielu.

Amos wciąż jeszcze był oszołomiony. Wyczuwał, że Kronus patrzy na niego wyczekująco, jednak nie mógł na niego spojrzeć. Ze spuszczoną głową patrzył na list i pentagram, które trzymał w swoich rękach. Miał wrażenie, że Kronus wodził go za nos, że wykorzystał go do jakiegoś celu, a on sam nie rozumiał po prostu, co się za tym kryje. Poza tym nie chciał sobie pomyśleć nic złego o starym mężczyźnie. Kronus był dla niego gwiazdą rozbłyskującą w ciemnościach. Gdyby nie on, Amos nie chciałby, nie potrafiłby już żyć.

– Uważaj, chcę ci coś pokazać – powiedział Kronus. – Zdaję sobie sprawę, że niektóre rzeczy, których od ciebie wymagam, muszą wydawać ci się niezwykle. Ale wierz mi, Amosie, że nie wtajemniczam cię we wszystkie szczegóły tylko dla twojego własnego dobra. Moi przeciwnicy są potężni i wyzbyci wszelkich skrupułów.

– Wskazał na regały pełne ksiąg i zwojów pisma. – Oni naprawdę nie przebijają w środkach, jeśli tylko spodziewają się, że uda im się dzięki temu przyspieszyć polowanie. – Przerwał na chwilę, a jego twarz stała się ponura jakby od bolesnych wspomnień. – O tak, to prawdziwi łowcy – ciągnął dalej. – Ich dłonie są splamione krwią, całym morzem krwi, nawet

jeśli w przypadku łupu, który spodziewają się zdobyć, nie chodzi ani o zwierzęta, ani o ludzi, tylko o książki.

– Cenzor książek? – Amos podszedł krok do przodu, teraz stał bezpośrednio przy pulpicie, który miał kształt postawionej na sztorc, na wpół otwartej księgi. – Czy to on wysłał tych łowców? – Pochylił się nad czarnym, zdobionym złotymi znakami pulpitem i odłożył tam list oraz pentagram.

Siwowłose uczoney kiwnął głową.

– Cenzor Rzeszy i inkwizytor. Obaj mają swoją siedzibę w Norymberdze i ściśle ze sobą współpracują. Jeden służy cesarzowi, drugi – Kościołowi. Obaj stoją na czele urzędów z setkami urzędników i tajnych pracowników. Jednym pociągnięciem pióra mogą wtrącić człowieka do więzienia lub do celi tortur, powiesić na szubienicy lub spalić na stosie. I obaj niczego się tak nie boją jak książek, które mogłyby zachwiać władzę cesarza lub Kościoła.

– Takich książek jak wasza *Księga duchów*, panie? – Amos nie miał już prawie śmiałości, by podnieść swój głos. Zatrwożony patrzył dookoła, jakby łowcy książek stali już zaczajeni pod drzwiami i oknami, nasłuchując.

Kronus ponownie kiwnął głową. Starał się podtrzymać, chwytając za oba boki swojego ogromnego pulpitu. Nagle jego wygląd zmienił się tak, że przypominał teraz zmęczonego, osłabionego człowieka.

– Gdyby wiedzieli o *Księdze duchów* i o jej magicznej mocy – powiedział – z pewnością poruszyliby niebo i ziemię, by nie dopuścić do jej wydrukowania. Musisz zdać sobie sprawę z jednej rzeczy, Amosie: jeszcze jedno lub dwa pokolenia temu łowcy książek mieli łatwe zadanie. Nie istniały jeszcze wtedy prasy drukarskie – aby powielić rękopis, trzeba było go mozolnie przepisywać. Wytrawny uczoney potrzebował wówczas połowy życia, by stworzyć zaledwie dziesięć egzemplarzy jednej książki. Jeśli więc inkwizycja postanowiła wtedy, że daną książkę należy zniszczyć, ponieważ zawierała na przykład zaklęcia służące do przyzywania pewnych demonów, to łowcy książek musieli odnaleźć tylko oryginał i garść sporządzonych kopii. Tak czy owak, tylko nieliczni ludzie potrafili pisać i czytać, a większość z nich to byli mnisi i zakonnice w klasztorach, gdzie łowcy mogli sprawować kontrolę, nie natrafiając na większe trudności. Tymczasem dzisiaj... – Na twarzy Kronusa znów zagościł uśmiech. – Właśnie widziałeś na własne oczy – ciągnął dalej – co się dzieje w Norymberdze. W przyszłości życie będzie się rozgrywało w wielkich miastach, a nie, jak dotąd, w klasztorach czy zamkach, takich jak siedziba twojego stryja Heriberta. Wszystko to należy już do przeszłości. Dziś każdy rzemieślnik, każdy

kupiec może posłać swoich synów do szkoły, gdzie ci nauczą się czytać, pisać i liczyć. A drukarnia, taka jak ta Korbergera, w ciągu kilku dni potrafi wydrukować setki egzemplarzy danej książki. Po cóż nam jeszcze skrybowie w klasztorach?

Patrzył na Amosa tak uważnie, jakby spodziewał się po nim jakiejś odpowiedzi. Ale Amos wzruszył tylko bezradnie ramionami. Łowcy książek, których dłonie są splamione krwią, działający w imieniu cesarza i Kościoła? Sam już nie bardzo wiedział, co powinien myśleć – albo Kronus był wariatem, albo najodważniejszym człowiekiem na świecie. Albo jedno i drugie.

– Łowcy książek prowadzą rozpaczliwy bój z czasem – kontynuował tymczasem Kronus – i świetnie zdają sobie z tego sprawę: istnieją jeszcze bardzo nieliczne kopie większości starych pism, zawierających mądrość nagromadzoną przez całe tysiąclecia. – Znów wskazał na wypełnione prastarymi księgami regały w swoim skryptorium. – Takich bibliotek jak ta – ciągnął dalej – istnieje, poza klasztorami, w najlepszym razie pół tuzina w całej Europie. Tak więc nie wszystko jeszcze stracone dla łowców książek, muszą tylko jak najszybciej odnaleźć te nieliczne biblioteki i roztoczyć nad nimi swoją władzę. Bo jeśli już wszystkie te rękopisy raz trafią do druku i zostaną powielone w setkach egzemplarzy, nawet potężny cenzor Rzeszy ani wszechmocny inkwizytor nie będą mogli cofnąć wskazówek zegara.

Pozornie pogrążony w swych myślach wziął pozłocaną gałązkę jemioli i zaczął ją obracać w swoich dłoniach.

– Wyobraź sobie wiadro wypełnione wodą, Amosie – ciągnął dalej. – Dopóki w dnie wiadra znajduje się tylko kilka wzerów, możesz bez większego trudu zebrać przeciekające krople. Jeśli jednak wybijesz spód, to wtedy – wszystko diabli wzięli!

Wypowiadając ostatnie zdanie, wbił gałąź jemioli ostrym zakończeniem do jednego z oczodołów czaszki i przekreślił ją w lewo. Rozległo się głuche skrzypienie i w tym samym momencie Kronusa pochłonęła podłoga. Sam stary mężczyzna uniósł ręce, nie przestawał się w żadnym razie uśmiechać i bynajmniej nie sprawiał wrażenia przerażonego – mimo że na oczach Amosa zniknął w ziemi.

## 10

PRZEZ DŁUŻSZĄ CHWILĘ Amos stał po prostu i gapił się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widział Kronusa. Jego członki ogarnął bezwład, a w głowie zaszumiało mu od tej nagłej pustki. Ożywił się dopiero wtedy, gdy usłyszał dobiegający z głębi głos uczonego – Amosie? Co ty tam robisz u góry?

Amos ostrożnie obszedł tajemniczy czarny mebel. I właśnie w tym miejscu, gdzie Kronus stał za swoim pulpitem, pisząc lub czytając, w ziemi powstała okrągła dziura.

– Gdzie jesteś, chłopcze? – Głos starego uczonego zabrzmiał przerażająco. – Przecież mówiłem, że chcę ci jeszcze coś pokazać.

– Tam u dołu, panie? – Amos przykucnął obok dziury w podłodze i wpatrywał się w dół. W dziurze było strasznie ciemno, ale Amos słyszał odgłosy krzątania i zaraz potem zapaliła się pochodnia.

– Tak, a gdzie indziej?

Teraz rozpoznał Kronusa: stary mężczyzna stał na dole, pod nim, na ziemi, z mocno odchyloną głową, spoglądając wyczekująco w stronę Amosa. W lewej dłoni trzymał pochodnię, z której unosił się biały, cicho skwierczący płomień.

– Ale jak ja tam do was zejść? – Szyb był głęboki na co najmniej trzy metry.

– Przecież widziałeś, jak wprawiłem w ruch tę windę. Przekręć klucz, a potem pociągnij w swoją stronę dźwig. – Kronus zrobił krok do tyłu i zniknął Amosowi z pola widzenia.

Z góry widać było jeszcze tylko drżący płomień i jego tańczący w otchłani cień. Dopiero teraz stało się dla Amosa jasne, że tam u dołu istniało o wiele więcej takich pionowych szybów, w których można było siebie – lub nieproszonego gościa – opuścić w dół za pomocą zapadni. Najwidoczniej chodziło o dostęp do jakiegoś podziemnego tunelu prowadzącego diabli wiedzą dokąd.

Amos wyprostował się. Nieufnie spojrzął na pozłacaną gałąź jemioly, która tkwiła jeszcze swoim zaostrzonym końcem w lewym oku trupiej czaszki. Kronus powiedział, że to klucz.



Chłopiec chwycił za ozdobiony liśćmi i gałązkami koniec i ostrożnie przekreślił gałąź jemioli w prawo.

Tryby poruszyły się z przeraźliwym stęknieniem. Zazgrzytały łańcuchy, zajęczały liny – a po chwili zapadnia, chwiejąc się, przesunęła się do góry, a dziura w ziemi zniknęła. Dźwięki wydawane przez mechanizm ucichły. Poza dochodzącym z oddali szumem strumienia Gründleinsbach i walącym sercem Amosa, niczego już nie było słychać.

Ostrożnie postawił stopę na płycie podłogi, później na drugiej. Naśladując Kronusa, pochylił się do przodu, ponownie przekreślił klucz w lewo – i popędził z uniesionymi rękoma w dół, w głąb podziemnego świata.

– Tak dobrze! – rzekł stary mężczyzna. – Zapamiętaj sobie wszystko, co dziś widziałeś i słyszałeś. Chciałem ci pokazać tę podziemną aparaturę, byś się przekonał, jak bardzo ci ufam, i żebyś ty także zaufał mnie. – Odwrócił się i pobiegł zwinnym krokiem podziemnym korytarzem. Amos pospieszył za nim. – Ten tunel – powiedział Kronus – biegnie pod strumieniem Gründleinsbach. Po drugiej stronie, w zaroślach, znajduje się drugi szyb, prowadzący z powrotem na powierzchnię ziemi. – Przeszedł jeszcze kilkanaście kroków, a następnie zatrzymał się i wyciągnął rękę z pochodnią. – To jest wyjście, ze zwykłą drabiną sznurkową, widzisz?

– Tak, panie – odparł Amos. Stali tuż obok siebie, między wilgotnymi ścianami skalnymi. Wysoko nad nimi, poprzez wąskie szpary sączyło się trochę światła. – Ale pokazaliście mi ten tunel nie tylko po to, by wzmocnić moje zaufanie do was?

Kronus kiwnął głową, uśmiechając się.

– Nie tylko po to – przyznał. – Być może nadejdzie kiedyś taki dzień, że wiedza o tym tajnym korytarzu jakoś ci się przyda. Poza tym ten tunel, prowadzący z mojej pustelni na zewnątrz, do szerokiego świata, już od zawsze wydawał mi się coś symbolizować. Ale teraz wracajmy – przerwał. – Tu na dole jest wilgotno i zimno.

W takich warunkach człowiek w moim wieku czuje się prawie jak w swym własnym grobie.

Dopiero gdy znaleźli się obaj z powrotem w skrytorium, Kronus pociągnął wąż symbolu.

– Pewnego pięknego dnia łowcy książek odnajdą moją kryjówkę i bardzo skrupulatnie dobiorą się do mojej biblioteki – powiedział. – Wiem o tym już od dawna, ale nawet gdyby udało mi się znaleźć jakiś sposób, by skutecznie ukryć moje księgi – to i tak byłoby za mało. Rozumiesz?

Amos pokręcił głową.

– Nawet gdyby mi się udało – ciągnął dalej Kronus – wydrukować wszystkie książki z mojej biblioteki i rozprowadzić je po całym świecie w setkach egzemplarzy za plecami cenzora, tak aby łowcy książek nigdy nie mogli ich zebrać i zniszczyć – nawet wtedy byłoby to o wiele za mało. A wiesz, dlaczego by tak było?

– O tak – powiedział Amos. – Wiem dobrze, panie: bo prawie nikt nie mógłby czytać tych książek. I nieważne, w jak wielu egzemplarzach zleciłibyście ich drukowanie w księgarni Kobergera.

Stary mężczyzna podszedł do Amosa i spojrzał na niego z radosnym uśmiechem na twarzy.

– Jesteś bystrzejszy, niż myślałem, chłopcze. Tak, doskonale to ująłeś. Aby móc zrozumieć prastare księgi, trzeba najpierw nauczyć się wymarłych języków i przestudiować dzieła starych mędrców, gawędziarzy i magów – a trwałoby to całe lata, dziesięciolecia, połowę życia. Jednak już od dawna potrafili to tylko nieliczni uczeni, a ich czas zdaje się kończyć, tak jak czas klasztorów i zamków rycerskich. W jego miejsce nastaje era wielu żyjących w pośpiechu, epoka rzemieślników i kupców. Z myślą o nich wszystkich poświęciłem swoje życie wydobyciu i utrwaleniu esencji najcenniejszych pism mistycznych i magicznych, mitów i epopei w mojej *Księżce duchów*. Bo żeby móc zrozumieć moją księgę, nie trzeba znać greki ani hebrajskiego, nie trzeba też studiować alchemii ani egipskich czy żydowskich tajnych pism. Aby zrozumieć *Księgę duchów*, wystarczy nauczyć się czytać umysłem i sercem. – Położył Amosowi dłonie na ramionach. – Dopiero kiedy *Księga duchów* zostanie wydrukowana i rozprowadzona po całym kraju – powiedział – łowcy książek poniosą ostateczną klęskę w swym boju. Wtedy żaden cenzor i żaden inkwizytor, ani cesarz, ani żaden książę Kościoła już nigdy nie będą mogli odebrać ludziom wiedzy i mądrości, których nabędą, czytając *Księgę duchów*. Gdy już raz wybije się dno z wiadra, nikt już nie będzie mógł zebrać wyciekającej wody – nawet ci dysponujący całą władzą na ziemi.

Stary mężczyzna przyciągnął Amosa do siebie i objął go na pożegnanie. Przelotnie i lekko.

– A teraz idź już i zostaw mnie samego. Bo nie skończyłem jeszcze mojej pracy, a czuję, że niewiele zostało mi na to czasu.

## ROZDZIAŁ II

# 1

O WSCHODZIE SŁOŃCA wszyscy na zamku Höhenstein byli na nogach. Amos już nie spał, bo był to poniedziałek i chłopiec chciał dotrzeć z pierwszym brzaskiem do starego młyna. Ale także rycerz Heribert chodził już po sali zamkowej ciężkim krokiem w pełnym rynsztunku, zachęcając swoich ludzi, by szybko opróżniali zastawione misy i dzbany.

– Ruszamy! Wy wałkonie i obzartuchy. Pokażemy Czechom, jak smakuje frankońskie żelazo!

Między Księstwem Brandenburg-Bayreuth, do którego należał także kraj Kirchenlamitz, a pobliskim Królestwem Czech od wielu lat panował wprawdzie oficjalnie pokój, ale odkąd Czesi przed niespełna trzema dziesięcioleciami wzięli udział w wyprawie bawarskiego księcia przeciwko Frankom, a w 1462 roku oblegali nawet Wunsiedel, stosunki między obydwojoma sąsiadującymi ze sobą ludami były napięte. Na granicy raz po raz dochodziło do napadów i potyczek, za którymi nierzadko stali Heribert i jego ludzie, którzy jak watażkowie na własną rękę napadali na wsie i zagrody po czeskiej stronie granicy.

Gdy Amos był zmuszony przeprowadzić się po śmierci rodziców do stryja Heriberta, wierzył początkowo, że nie będzie potrafił żyć na zamku Höhenstein. Wraz z kapitanem Höttschem i trzema tuzinami wojowników stryj wiódł żywot awanturnika i rycerza-rozbójnika, życie, w którym wszystko kręciło się wokół wypraw wojennych i libacji. Jak bardzo podobni byli do siebie z wyglądu Heribert i ojciec Amosa, Ferdinand, tak bardzo różnili się temperamentem i zamiłowaniem. Ferdinand von Höhenstein brzydził się wojną, nie odnajdywał także przyjemności w polowaniach. Całą jego chlubą była gospodarka, a na rynku w Wunsiedel Amos nie raz słyszał, że ręce pana von Höhenstein były wręcz stworzone do uprawy roli i hodowli bydła. Zboże rosło na jego polach bujniej niż w sąsiednich zagrodach, a na łąkach pasło się więcej bydła niż gdziekolwiek indziej w Smreczanach. Ferdinand von Höhenstein był także lubiany przez parobków i dziewczki służebne – uchodził za sprawiedliwego pana, troszczącego się o swoich ludzi, który w pracy nie oszczędzał nawet samego siebie. W wolnych chwilach

muzykował razem ze swoją żoną Matyldą lub czytał w kręgu rodzinnym stare legendy, w których dzielni chłopci z okolic musieli zmagać się z utrudniającymi im życie olbrzymami, karłami, rycerzami i rabusiami.

Nieraz zdarzało się, że ojciec Amosa pomstował na złe prowadzenie się brata – nawet jeśli za każdym razem podkreślał, że na manowce życia awanturnika i rycerza-rabusia sprowadziła go czysta nędza. Bo poddani rodu Höhenstein, którzy jeszcze pokolenie wcześniej harowali na roli lub w kopalniach rudy, wszyscy bez wyjątku przenieśli się do miast. Jako konwisarz w Wunsiedel lub rzemieślnik pracujący w jednym z ważniejszych warsztatów w Norymberdze, można było zarobić miesięcznie więcej pieniędzy, niż morduując się na roli przez cały rok. Również rodzice Amosa i Ody mówili często z zatroskaniem, że coraz ciężiej jest znaleźć niezawodnych ludzi do uprawy roli, do hodowli bydła, do pracy w młynie czy do pracy na folwarku.

Jednak nawet jeśli opuściliby go ostatni parobkowie i ostatnie służki, ich ojciec nigdy nie zostałby awanturnikiem i rycerzem-rabusiem – tego Amos był pewien. W razie konieczności już raczej własnymi rękami uprawiałby rolę, by zadbać o rodzinę – jednak na pewno nie przyłączyłby się do tych, którzy napadają na drogach spokojnych podróżnych czy nawet uprowadzają zamożnych zakładników, tak jak to się już kilka razy przytrafiło stryjowi Heribertowi.

Tak przynajmniej wynika z opowieści kapitana Höttschego, który nawet pokazał Amosowi loch pod starą wieżą obronną, gdzie ów rycerz zwykł rzekomo osadzać w więzieniu pojmanych przez siebie nieszczęśników. Pewien młody baron musiał wytrzymać całą mroźną zimę w piwnicy bez światła, aż jego krewni zapłacili żądany okup. Gdy przed baronem otworzyły się wreszcie drzwi, ten strasznie kaszlący nieszczęśnik jedynie z wielkim trudem mógł wyjść z lochu i zejść z zamkowego wzgórza, gdzie czekali już na niego wysłannicy jego rodu z dorożką.

Możliwe, że Höttsche zmyślił tę historię, by tym sposobem zwieść Amosa. Jednak Amos był skłonny uwierzyć, że kapitan, i oczywiście stryj Heribert, są zdolni do przetrzymywania w piwnicznym lochu niewinnych zakładników. Oczywiście, mógł przecież zapytać wprost stryja, ale nie chciał tego uczynić. O ile było to tylko możliwe, schodził stryjowi z drogi, a rozmawiał z nim tylko wtedy, gdy nie można już było tego uniknąć.

Ale być może uda mu się dziś zdobyć na odwagę i zapyta Kronusa, czy mógłby wprowadzić się do niego, do starego młyna. W ostatnim czasie miał już kilkanaście razy tę prośbę na końcu języka – za każdym jednak razem nie śmiał jej wypowiedzieć. Cóż on sobie w

ogóle wyobraża, że będzie naprzykrzał się uczonemu mężowi swoimi troskami? A jednak, pomyślał sobie Amos w ten poniedziałek na początku sierpnia – dziś przełamie się i poprosi Kronusa o wyświadczenie tej wielkiej przysługi. Zaproponuje, że urządzi się w stajni, by nie przeszkadzać zbytnio mędrcom. Bo też wszystkie izby i komnaty w domu przy starym młynie pełne były ksiąg i papierów Kronusa – i właściwie nie było już w nich miejsca dla dodatkowego mieszkańca.

Podczas gdy rycerz Heribert wydawał rozkaz swoim ludziom, by ci otwarli wielką bramę po zachodniej stronie zamku, Amos szedł w stronę wąskiego przejścia we wschodnim umocnieniu. Przez to przejście można było się precyzyjnie tylko pieszo – już dla samego tylko konia wyłom w murze był za ciasny. Zresztą ciągnąca się za nim ścieżka, która wiodła po zamkowym wzgórzu, była tak karkołomna, że pokonać mógł ją jedynie ktoś wprawiony w takich manewrach.

I właśnie przechodził obok wieży wartowniczej, kiedy to drzwi gwałtownie się otwarły, a na zewnątrz wyszedł kapitan Höttsche. On także miał już na sobie zbroję, miecz przepasany przez biodra, i tylko hełm trzymał jeszcze w ręce. Na jego czole krwawo świeciła się blizna w kształcie litery „X”.

– Pewnie zapytacie, paniczku, gdzie nabawiłem się tej rany.

– Szczerząc się od ucha do ucha, Höttsche dotykał swego czoła.

– Abyście nie musieli główkować zbyt długo, zdradzę wam, co naprawdę się wtedy stało.

Amos zaśmiał się mimowolnie.

– A więc, mów, jak to było naprawdę, kapitanie. – Höttsche przez chwilę zastanawiał się, po czym rzekł:

– To ten straszny Czerwony Rycerz – powiedział. – Olbrzym mierzący siedem stóp norymberskich, który miał tego pecha, że walczył po stronie Osmanów – wtedy, w bitwie pod Warną.

Amos był pewien, że Höttsche nie ujrzał jeszcze wtedy światła dziennego, gdy krzyżowcy ponieśli klęskę w walce z Turkami pod Warną. Jednak nie ważył się mu przerywać.

– Czerwony Rycerz – ciągnął dalej Höttsche – słyszał z walki szablą, ale nie zdołał stawić czoła mojemu mieczowi. Walczyliśmy już jakąś dobrą chwilę, gdy nagle opuścił swoją szablę. „Pozwól, że zawalczymy jak mężczyźni, niewierny, zaproponował, bez miecza i szabli, samymi tylko rękami i sercami”. Propozycja spodobała mi się, kazaliśmy się rozebrać ze zbroi naszym giermkom. I w czasie gdy dookoła nas miecze wciąż uderzały o szable, a dzidy o tarcze, my

rzuciliśmy się na siebie z gołymi pięściami.

Po drugiej stronie zamku opuszczano już z brzękiem bramę.

– Höttsche, gdzieś ty jest? – zawrzęszczał stryj, sam zaś kapitan zaczął galopować w swym opowiadaniu.

– A więc krótko węzłowato – rzekł tak szybko, że słowa omal się nie zlały. – W walce na pięści i zapasach Czerwony był górą. Mogłem się tego domyślić, bo w przeciwnym razie, dlaczego proponowałby zmianę broni? W każdym razie niedługo po tym leżałem jak chrabąszcz na ziemi. Czerwony stał obok mnie, a ja krzyknąłem w jego stronę, łapiąc powietrze: „Przestań, poddaję się!”. Wtedy on ze spokojem podniósł swój but, do którego podeszwy przykuty miał żelazny krzyż – i wcisnął mi to żelazo w czoło. – Höttsche szczyrzył się teraz jeszcze szerzej. – Tu, popatrzcie no, paniczu, tę bliznę w kształcie litery „X” zafundował mi Czerwony Rycerz.

Höttsche uderzył się otwartą dłonią w czoło, następnie nałożył sobie hełm na swoją olbrzymią czaszkę.

– I od tamtej pory za każdym razem, gdy wyprawiam się na bój z waszym panem stryjem, mam nadzieję, że Czerwony Rycerz napatoczy mi się jeszcze raz. Chwycił Amosa swoją żelazną rękawicą za ramię, a następnie ruszył przez dziedziniec zamku, szczękając zbroją.

Amos patrzył za nim, pocierając sobie z roztargnieniem ramię. Najgorsze było to, że mimo wszystko czuł względem niego, tak samo jak wobec stryja, odrobinę sympatii. Obaj byli wprawdzie bezwzględny potworami, jednak stryj wyglądał jak poszarpana kopia ojca Amosa, a Höttsche... Jakże można nienawidzić kogoś, kto odpowiada historii tak namiętnie i z taką fantazją.

GDY PRZYBYŁ TEGO RANKA do zagrody Kronusa, zastał drzwi szeroko otwarte, a skrytorium puste. W przyływie przerażenia chciał już zawołać uczonego, jednak po chwili wydawało mu się, iż postąpi mądrzej, nie zwracając od razu na siebie uwagi. Coś tu się nie zgadzało.

Na pulpicie stały i leżały dobrze znane mu rzeczy – pióro i kałamarzyk, pentagram z kutego srebra, trupia czaszka, a obok poślaczona gałąź jemioli. Jednak – jak okiem sięgnąć – po manuskrypcie nie było żadnego śladu.

Zapadnia w podłodze była zamknięta. Tylko wprawne oko mogło wypatrzeć kolisty zarys mazerunku desek podłogowych – nawet Amos, który przecież wiedział, czego i gdzie musi szukać, miał kłopot z odnalezieniem kolistej płyty, przy pomocy której kilka tygodni wcześniej zjechał do podziemi. Jednak najwidoczniej Kronusa nie było tam na dole.

Ale gdzie indziej? Jeszcze nigdy Amos nie zastał domu w takim stanie – z otwartymi drzwiami i opustoszałą izbą. Podeszedł do tylnych drzwi, zapukał nieśmiało, przyłożył ucho. Jednak poza pulsowaniem swojej własnej krwi nie usłyszał niczego. A gdy już otworzył tylne drzwi, wsuwając jednocześnie głowę w szparę, stwierdził, że zaplecze jest puste. Pod oknem szemrał przepływający obok strumień Gründleinsbach. Cienie snuły się leniwie w mroku. Z ksiąg zalegających w szafach i na regałach dobywał się ciężki zapach przypominający woń skór prastarych zwierząt.

Szybko domknął drzwi i zwrócił się w stronę wąskich drzwi bocznych, za którymi znajdowały się strome schody prowadzące na poddasze. Schody skrzypiały pod jego nogami, mimo że szedł na palcach. Poczł się jak intruz, gdyż tu na górze znajdowały się osobiste komnaty Kronusa – jego sypialnia i kącik kuchenny, gdzie Amos przyrządzał mu czasem posiłki. Poza tym na poddaszu były jeszcze dwie izby o tak ukośnych ścianach, że prawie w ogóle nie można było się w nich wyprostować, obie zavalone zresztą całkowicie książkami, skrzyniami pełnymi papierów i bezkształtnymi tobołami.



Z przykrym uczuciem w sercu Amos zapukał do drzwi sypialni Kronusa. Może stary mężczyzna po prostu zaspał? Jednak do tej pory nigdy mu się jeszcze to nie przytrafiło. Gdy Amos przybywał do niego wczesnym rankiem, Kronus zawsze był już od dawna na nogach. Ale może się rozchorował, czuł się zbyt zmęczony, by wstać z łóżka? Bądź co bądź miał już sześćdziesiąt lat. Jednak na swoje pukanie Amos nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Gdy cicho otworzył drzwi, nikogo nie zastał w sypialni, pled na posłaniu ze słomy był starannie złożony – najwidoczniej Kronus w ogóle nie spał ostatniej nocy. W każdym razie nie tutaj.

Łowcy książek... Na samą myśl zmroziło go przerażenie. Czyżby odnaleźli Kronusa i zabrali go wraz z rękopisem – a teraz przetrzymują w piwnicznej katowni cenzora książek lub w siedzibie Świętej Inkwizycji?

O dobry Boże, nie dopuść do tego, pomyślał. Ale jak inaczej wytłumaczyć fakt, że zniknął nie tylko stary mężczyzna, lecz także jego manuskrypt, *Księga duchów*? Na pulpicie zawsze przecież leżało kilka stron rękopisu.

Na chwiejnych nogach Amos zbiegł na powrót schodami, później pobiegł przez izbę i na podwórko, na grządki z warzywami. Rzucił spojrzenie przez płot, ale i tam nikogo nie było. Ale cóż miałby robić Kronus między grządkami z kapustą i fasolą – i to jeszcze wczesnym rankiem, gdy ledwo wzeszło słońce? Tak czy owak, nigdy nie zajmował się ogródkiem.

– Moje grządki są z czerpanego papieru – powiedział kiedyś w żartach do Amosa – moje buraki z atramentu, a moje fasolki z kleju drukarskiego.

Za ogród odpowiadał Amos, tak samo zresztą jak i za czyszczenie stajni. Kronus wyprowadzał tylko karosza i kasztana ze stajni na łąkę i napełniał im wieczorami żłób owsem. Aby dojść na pastwisko, konie musiały przejść przez strumień Gründleinsbach drewnianym, chwiejnym mostem. I mimo że pastwisko nie było ogrodzone płotem, a Kronus nigdy ich nie uwiązywał na kołku, zawsze same wracały do swojej stajni.

Dziś też tam były, gdy Amos wpadł do ich walącego się domostwa. Zarżały na powitanie.

– No, wy pewnie też nic nie wiecie... – zaczął Amos i urwał w środku zdania.

Tylne drzwi do stajni były jedynie przymknięte, a z zewnątrz dochodziło bulgotanie strumienia zmieszane ze strzępkami zdań.

– ... tak szybko, jak to w ogóle... – usłyszał Amos – ... upewnić się, że we właściwe ręce...

– Był to głos Kronusa, od razu go rozpoznał, nawet jeśli wydawał się nieco zniekształcony – stary mężczyzna krzyczał z całej siły, starając się przekrzyczeć huk wody. Ale z kim on w ogóle rozmawiał?

Amos bardzo wstydził się z powodu własnej ciekawości, jednak ta okazała się silniejsza od niego. Po prostu musiał się dowiedzieć, co działo się tam na zewnątrz. Na palcach zakradł się do drzwi, wyjrzał przez szparę. Przy tym mógłby tupać nogami tak głośno, jakby tylko chciał. Hałas przelatującej w tym miejscu z szybkością strzały wody z pewnością i tak wszystko by zagłuszył.

Na mostku stał Kronus i rozmawiał z jakimś młodym mężczyzną. Ten przyjmował właśnie od niego cienki rękopis, oprawiony w jasną, prawie białą skórę jagnięcą, obwiązany czerwonym sznurkiem i zapieczętowany miodowo żółtą pieczęcią. Za chłopcem, który z pewnością był kurierem, stał uwiązany do filaru mostka śnieżnobiały koń o szlachetnym wyglądzie.

Ten widok ugodził Amosa prosto w serce. Kronus uśmiechnął się do posłańca i poklepał go na pożegnanie lekko po ramieniu. Uważnie przyglądał się następnie młodemu mężczyźnie, jak wsuwa księgę do kieszeni u siodła i wskakuje na konia. Zawrócił swojego siwka i uniósł dłoń w geście pożegnania, podczas gdy ten mknął już jak wiatr. Między łąkami a zaroślami wiła się droga naprzeciwko jodłowego lasu, i już po kilku chwilach posłaniec zniknął w lesie. Jednak Kronus stał jeszcze na moście wstrząsanym przez przepływającą z hukiem wodę. Długo patrzył za jeźdźcem, który już dawno zniknął z pola widzenia.

Tymczasem Amos przekradał się ze zwieszoną głową przez stajnię na podwórze. Czuł się, jakby go zbito, odrzucono, jakby mu oświadczono, że jest nikim. Oprawionym w skórę rękopisem była *Księga duchów*, czuł to całkiem wyraźnie. Kronus ukończył swoje dzieło i wysłał ten najcenniejszy ze wszystkich swoich klejnotów niezwłocznie do Norymbergi. Kurier ma pewnie zawieźć księgę bezpośrednio do Hebedanka, do drukarni Kobergera – jednak do tego zadania mędrzec nie wyznaczył Amosa. Bo gdy Kronus wysłał go z prawie pustą kopertą do Norymbergi, by sprawdzić jego niezawodność i zręczność – on haniebnie go zawiódł. Z litości stary mężczyzna przemilczał, jak bardzo on, Amos, zawiódł pokładane w nim nadzieje – i gdy trzeba było zawieźć do Norymbergi więcej niż pustą kopertę, Kronus zavezwał innego kuriera, któremu naprawdę ufał.

– Nic z tych rzeczy – powiedział stojący za nim Kronus. Amos odwrócił się i zobaczył starego mężczyznę, który szybkim krokiem szedł w jego kierunku od stajni. – Pozwoliłeś się ponieść rozczulającemu uczuciu, dlatego też wszystko, co widziałeś, zinterpretowałeś w niewłaściwy sposób.

Policzki Amosa zaczęły płonąć. A więc Kronus dowiedział się i tego, że nasłuchiwał za

drzwiami do stajni. Czyż nie chciał wcześniej zapytać uczonego, czy mógłby w przyszłości zamieszkać u niego? Żalotne, pomyślał Amos. Jakże ja się sam przeceniłem – Kronus wcale mnie nie potrzebuje, a nawet jeśli, to wyłącznie do wyrzucania gnoju ze stajni lub do pielienia chwastów. Jednak jeśli chodzi o ważniejsze zadania, to nie ufa mnie, lecz posłańcowi, na którym naprawdę może polegać.

– Jesteś dla mnie jak syn – powiedział Kronus. – Jak syn, którego nigdy mieć nie mogłem, gdyż za młodu żyłem jako mnich w klasztorze i w gruncie rzeczy całe życie pozostałem mnichem. – Stał teraz całkiem blisko przy Amosie i położył mu dłonie na ramionach. – To, że nie powierzyłem ci dzisiejszej misji, ma szczególną przyczynę – ciągnął dalej: – Właśnie teraz potrzebuję cię, chłopcze – nie jednak bezpośrednio u mnie, bo w mojej zagrodzie jesteś coraz mniej bezpieczny. Ale w moim pobliżu potrzebuję cię koniecznie, dlatego też byłoby głupotą z mojej strony, gdybym wysłał cię do Norymbergi właśnie teraz, nie uważasz?

Przyciągnął Amosa do siebie, z nagłą acz delikatnie, a Amos bezwolnie się temu poddał. Wszystko, co usłyszał teraz z ust starego mężczyzny, brzmiało dla jego uszu jak marna pociecha. Gdy bowiem przyszło do wyboru posłańca, Kronus nie zaufał jemu, tylko komuś innemu.

– Zanim *Księga duchów* ukaże się w druku, jeszcze to trochę potrwa – powiedział Kronus. – I aż do tego czasu księga znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. – Odwrócił się, zostawiając Amosa tam, gdzie stał, na środku podwórza. – Przyniosłeś nam, chłopcze, jakieś śniadanie? – zawołał wesołym tonem.

Do tego się jeszcze nadam, panie, pomyślał Amos, i popatrzył za nim wzrokiem pełnym goryczy. I omal nie dosłyszał, jak stary mężczyzna krzyknął jeszcze w jego stronę:

– Ale tylko w razie, gdybyś sam chciał się posilić, zanim przeczytasz pierwszą opowieść.

Amos ruszył się z miejsca, ledwo zdając sobie z tego sprawę. Jego stopy same zaczęły biec, w okamgnieniu był już przy Kronusie i prawie wyprzedził go w drodze do domu.

– Tu i teraz, panie? Czyż nie przekazaliście właśnie rękopisu posłańcowi?

– Masz chyba na myśli kopię. Pracowałem nad nią ostatnio cały czas, nawet po nocach. Oryginału nigdy nie powierzę żadnemu posłańcowi, z jednym tylko wyjątkiem – powierzę go tobie. – Uśmiech na jego twarzy ustąpił miejsca promiennej radości. – Jak już mówiłem, jesteś dla mnie kimś o wiele więcej niż tylko posłańcem, Amosie. Jesteś moim duchowym synem.

Amos stanął jak wryty. Czuł, że powinien coś teraz powiedzieć, podziękować staremu mistrzowi, okazać się go godnym. W swej głowie nie znalazł jednak żadnego tekstu, który w jakimś stopniu nadawałby się do wypowiedzenia w tej chwili. Stał po prostu w milczeniu, z

mocno bijącym sercem, i przyglądał się, jak Kronus podchodzi do regału i wyciąga kilka luźnych stronic spomiędzy ksiąg.

Podszedł do swojego pulpitu, położył na nim cienki stos papierów i dał znać chłopcu skinieniem ręki, by ten podszedł.

– Stań tutaj i przeczytaj w spokoju opowieść *O rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem*. Ale pozwól, że udzielę ci najpierw dwóch rad... – Urwał i zdawał się zastanawiać, jak powinien najlepiej przedstawić swoje pouczenie. – Moja pierwsza rada jest w zasadzie czymś więcej – powiedział. – To żelazne prawo życia przekazywane uczniom przez mędrców i magów. Można powiedzieć, że jest to reguła zakonna – bo w gruncie rzeczy każdy, kto przeczytał *Księgę duchów*, staje się członkiem bractwa magów. A reguła brzmi następująco: „Niech nowicjusz zachowa wstrzeźliwość w sprawach serca”.

Amos popatrzył na niego ze zdziwieniem – jeszcze nigdy dotąd nie słyszał, by stary mężczyzna mówił w taki sposób. Tak podniośle i tak zawile. Początkowo nie pojął niczego z tego, co chciał mu powiedzieć Kronus. Po chwili, nagle, zrozumiał jednak wszystko, aż za dobrze, i fala gorąca uderzyła w jego skronie.

– Ale ja... – wydobył z siebie – ja przecież nie mam żadnej...

– Zamilkł i spuścił w zakłopotaniu wzrok na swoje stopy.

– Chciałeś powiedzieć, że nie masz jeszcze ukochanej? To dobrze się składa, chłopcze, nawet bardzo dobrze. – Przez twarz starego mężczyzny przemknął uśmiech. – Pozwól najpierw, by dzięki *Księdze duchów* obudziły się twoje wewnętrzne moce – przede wszystkim zaś siły magii serca i myśli. Jeśli opanujesz te stopnie i będziesz szczerze gotowy, by przejść dalej do trzeciego stopnia, to sami będziecie wiedzieć, jak powinniście postępować w sprawach serca.

– Wy? – powtórzył zmieszany Amos. – Kogo macie na myśli, panie?

– No, ciebie i twoją ukochaną, którą poznasz i pokochasz w odpowiednim czasie. A kogóż by innego? – Kronus popatrzył teraz z takim zadziwieniem, jakby ledwo mógł pojąć konsternację Amosa. – A teraz udzielę ci drugiej porady – jest o wiele krótsza i łatwiejsza do zastosowania. – Ponownie wskazał zachęcająco na pulpit, na którym leżał cienki stos papierów. – Czytaj uważnie, z jasnym umysłem i żywym sercem, a opowieść nie chybi celu. I jeśli już przeczytasz wszystkie fragmenty, to spróbuj wyrwać się z jej czaru – będziesz się dziwił, obiecuję ci to. – Po tych słowach Kronus odszedł od pulpitu i skierował się w stronę drzwi prowadzących do schodów. – Tymczasem ja położę się na chwilę – powiedział na odchodnym. – Mordega ostatnich dni daje mi się we znaki.

Amos podziękował mu, jękając się, i życzył mu spokojnego snu. Następnie stanął za czarnym pulpitem i zaczął czytać, a cały świat dookoła niego przestał istnieć, bo on sam wcielił się na chwilę w postać młodego rycerza z opowieści.

*O RYCERZU, CO ZNALAZŁ SWOJĄ UKOCHANĄ ZA LUSTREM* Noc dawno już nastąpiła, a mimo to Laurencjusz Answer wciąż jeszcze stał przed swym kolistym lustrem.

– Szlachetna pani, podarujcie mi swoje serce – wyszeptał i z utęsknieniem wyciągnął swe ramiona w stronę ukochanej. Przynajmniej wydawało mu się w niepewnym blasku świateł, że stojące obok niego lustro przedstawia jego ukochaną. – Zawsze chcę was kochać, nigdy nie chcę zasmucać. Lucyndo!

Laurencjusz skłonił się przed nią, zaniknął oczy i wyciągnął usta, by ucałować damę swego serca. Jednak zamiast ciepłych, miękkich ust Lucyndy poczuł chłód twardego metalu. Uniósł powieki. Lustro zaszło parą od jego oddechu, a gdy Laurencjusz chciał je wypolerować dłonią, wpadł w nie całą ręką aż po ramię, jakby ją wsadził do wiadra wypełnionego wodą.

Jednak coś takiego nie było właściwie możliwe. Bo Laurencjusz Answer został pasowany na rycerza dopiero przed upływem miesiąca, po tym jak przez cztery lata wiernie służył jako paź swemu panu, hrabiemu Leonhardowi von Wallenfels.

A lustro, przed którym rycerz Laurencjusz zwykł odtąd wystawać w każdej wolnej chwili, nie było niczym innym jak lśniąca tarczą, którą podarował mu Leonhard wraz z mieczem rodowym swoich przodków – miecz wyklepany przez błyskawice, tarcza – wykuty księżyc: „Okażcie się tego godni, rycerzu Wawrzyńcu!”.

Radę tę Laurencjusz wziął sobie do serca na swój sposób – wsuwając miecz pod łóżko i wieszając tarczę-zwierciadło na gwoździu. A teraz lustro, w którym Laurencjusz tkwił lewą ręką niczym w dziurze w ziemi, w której zbiera się woda, zaparowało, a ściana dookoła tarczy rozpuściła się w migocącej mgłę.

---

\* Laurencjusz – imię męskie, pochodzi od łacińskiego słowa laurus, lauri – laur, wawrzyn, drzewo laurowe, wieniec laurowy, triumf, zwycięstwo, chwała. W tej opowieści Laurencjusz jest nazywany również Wawrzyńcem.

Gdy Amos doczytał do tego miejsca, poczuł swego rodzaju wewnętrzne uderzenie i przestraszył się. Oszołomiony rozejrzał się dookoła i najpierw nie widział niczego poza migocącą mgłą. Jednak w tej mgle zaczęły zarysowywać się kontury skryptorium Kronusa – regały zavalone księgami, ogromny czarny pulpit, przy którym stał on sam, pochylony nad kartami zapisanymi starannym pismem uczonego.

Jakie to niezwykle i zagadkowe – pomyślał – do tej pory przeczytałem zaledwie kilka akapitów, a mimo to przez chwilę rzeczywiście zanurzyłem się w świecie Laurencjusza, w jego najgłębsze przeżycia i doznania. Kronus naprawdę jest mistrzem magii i opowiadania.

Prawie nie mógł się już doczekać, aż znów znajdzie się w izbie Laurencjusza z rozpierschającą się ścianą. Oczami szukał już linijki, od której zaczynała się ponownie opowieść. I ledwie Amos znowu zaczął czytać, jeszcze raz wszystko w nim i dookoła niego uległo przeobrażeniu.

*Większość innych młodzieńców, którzy wraz z Laurencjuszem zostali pasowani na rycerzy przez hrabiego Leonharda, już dawno wyruszyła w szeroki świat lub powróciła do pałaców i zamków swoich ojców. Tymczasem on zwlekał z pożegnaniem z tygodnia na tydzień. Już tylko sporadycznie walczył z Leonhardem i innymi rycerzami na placu turniejowym – prawie cały dzień spędzał w swej izbie przed połyskującą tarczą, śpiewając lub szepecząc przepelnione miłością wiersze dla Lucyndy.*

*Teraz jednak wsunął głowę w obłoki pary i ujrzał most przewieszony wysoko nad rwącym strumieniem. Na początku mostu stał kruczo czarny koń o szlachetnej postaci, grzebiący lewym przednim kopytem w piachu. Wówczas Laurencjusz przeskoczył przez parę z lustra na drugą stronę i zaraz siedział na karoszu w szacie przetykanej srebrem, przepasany mieczem rodowym, dzierżąc połyskującą tarczę.*

*Spojrzał z góry na tarczę i zdziwił się przelotnie, że ujrzał w niej samego siebie, jak stoi w swojej izbie w białej szacie nocnej, oświetlonej blaskiem świecy postawionej przy łóżku. Jednak już po chwili zapomniał o swoim zdziwieniu, zawiesił tarczę na pasie i popędził karosza przez most: tam, na drugim brzegu, stali stłoczeni różni ludzie, machający w jego stronę czapkami i chorągwiemi. Głęboko u dołu huczał przepływający strumień, który porywał ze sobą wirujące odłamki skalne, jakby krzemienie. Most, mimo że zbudowany był z masywnego kamienia, nieustannie trząsł się pod naporem wody. Wawrzyniec szybko go przemierzył i odczuł ulgę, gdy jego karosz miał znowu stały grunt pod kopytami.*

*Pewna starsza już kobieta o siwych, kunsztownie spiętych włosach, wystąpiła przed tłum i spojrzała na niego z głębokim szacunkiem. Miała na sobie kosztowną szatę o barwnym desenie.*

*– Laurencjusz Answer, czy to wy jesteście, panie?*

*Wawrzyniec przytaknął z uśmiechem zdradzającym zdziwienie. Kobieta ponownie otworzyła usta, jednak nie sposób było usłyszeć, co powiedziała. Cały barwny tłum, ciasno stłoczony po obu stronach drogi, zagrzmiął okrzykami radości. Wawrzyniec rozpoznał błaznów ubranych w makowo czerwone spodnie, w czapkach z dzwonekami na głowach. Następnie zobaczył muzykantów z rogami i fujarkami, młode tancerki w zwiewnych sukniach, a nawet kilku malarzy malujących na płótnach kolorową kredą, które to płótna nieśli na swoich plecach zgarbieni paziowie. I w ogóle cały ten barwny tłum, wszyscy ci wyśpiewujący jeden przez drugiego, wyskakujący, wiwatujący i wykrzykujący powitanie na cześć Wawrzyńca wydawali się jeszcze młodzi. Jak okiem sięgnąć, nie dostrzegł żadnych mężczyzn w kwiecie wieku, starsza była tylko kobieta ubrana w szatę zdobioną niczym upierzenie ptaka, która go powitała. Kilku młodzieńców recytowało najprawdopodobniej poetyckie wiersze na cześć przybysza – jednak w dalszym ciągu niczego nie można było zrozumieć, bo muzykanci dęli z całej siły w swoje instrumenty, a błazny dzwoniły swoimi dzwonekami, potrząsając głowami jak szaleni i fikając koziołki.*

*W końcu jednak kobieta uniosła dłoń, a hałasy zamarły tak nagle, że Wawrzyniec aż się wzdrygnął.*

*– Szlachetny rycerzu – powiedziała – nigdy nie wątpiłam w to, że do nas wrócicie. W imieniu mojego małżonka i mojej córki Lucyndy dziękuję wam z całego serca i serdecznie was pozdrawiam.*

*Jak to wrócicie, pomyślał Wawrzyniec, siedząc na drepcącym koniu, Czy ja już kiedyś tu byłem – w królestwie Lucyndy? Usiłował sobie przypomnieć, ale lud znowu zaczął muzykować i hałasować, a w całym tym zgiełku trudno było powziąć jakąś jasną myśl. Wawrzyniec szukał oczami kobiety, która przedstawiła się jako matka Lucyndy, a ta kiwnęła głową w jego stronę, uśmiechając się. Nie odwracając się, pokazała lewą ręką przez ramię za siebie. Dopiero wtedy Laurencjusz ujrzał okazały pałac usytuowany na marmurowej skale, wznoszący się pośród gór porośniętych lasami. Sam pałac wzniesiono z takich samych, księżycowo bladych kamieni i wyglądał, jakby nie uczyniła go ręka człowieka, lecz sam wyrósł prosto ze skały.*

*W tryumfalnym pochodzie odprowadzono Wawrzyńca na zamek. Błazny podskakiwały dookoła, muzykanci sprawiali, że ich fujarki rozbrzmiewały nosowym brzmieniem, tancerki tańczyły, wijąc się cały czas w okręgach i spiralach dookoła Wawrzyńca i jego karosza. Malarze,*



idąc, gorliwie pracowali dalej nad swymi obrazami, podczas gdy przed nimi biegli paziowie z płótnami przytroczonymi do ich zgarbionych pleców. Także poeci bez przerwy deklamowali swoje wiersze, jednak w dalszym ciągu nie sposób było niczego zrozumieć. Matka Lucyndy prowadziła karosza za cugle, a Wawrzyńcowi wydawało się, że pęknie z niecierpliwości. Bo w takim tempie dotrą do zamku dopiero późnym wieczorem.

Jednak gdy przez chwilę przyglądał się tancerkom, obserwując jak ich ramiona niczym płomienie lizały niebo, a jego wzrok ponownie zatrzymał się na zamku, to zdawało mu się, że pałac stoi tuż przed nimi, że – skąpany w subtelnej czerwieni zachodzącego słońca – jest na wyciągnięcie ręki. Ich mały pochód przemknął przez lasy i usypane przed budowlą wzgórze, a nawet wspiął się już na stromą skałę z marmuru – właśnie skręcili w aleję prowadzącą prosto do zamku. Wzdłuż alei zamiast drzew ciągnęły się nadnaturalnej wielkości rzeźby. One również zostały wyrzeźbione w białym marmurze, a gdy Wawrzyniec uważniej im się przyjrzał, stwierdził ze zdziwieniem, że wszystkie, bez wyjątku, przedstawiają jego samego i ukochaną Lucyndę.

Raz po lewej stronie alei stała marmurowa Lucynda, a po prawej wyrzeźbiony Wawrzyniec, innym razem na odwrót. Na znacznej wysokości wyciągali ku sobie ręce, splatali swoje palce, zwracali i wyginaли w swoją stronę głowy i ciała tak bardzo, jak to tylko było możliwe. I dzięki temu – przechodząc aleją – miało się wrażenie, jakby się szło pod dachem. Jednak dla Laurencjusza Answera przejeżdżanie pod tym sklepieniem składającym się z sobowtórów jego i Lucyndy było dziwnym doświadczeniem.

Brama zamkowa została już szeroko otwarta, ale nie było widać nikogo. Przejeżdżali przez wiele dziedzińców wewnętrznych, spośród których jeden był okazalszy od drugiego. Hałas tłumu wydawał się narastać, błazny podskakiwały jak szalone, a muzycanci dęli z całej siły na swoich rogach i jelitach. Tancerki wyrzucały nogi, malarze z impetem kolorową kredą barwili płótna, a poeci śpiewali wszyscy w tym samym czasie. Wreszcie dotarli na dziedziniec jeszcze piękniejszy i najbardziej okazały. Oślepiająco białe schody wily się z eleganckim rozmachem w górę wokół smukłej wieży, która sama była zwinięta niczym skorupa muszli.

Matka Lucyndy ponownie podniosła dłoń, a tłum ucichł.

– Jesteście u celu, Laurencjuszu Answer – zawołała.

– Spieszcie na górę, tam znajdziecie Lucyndę.

Wawrzyniec zeskoczył z konia. Gdy zaczął wchodzić po schodach miał zawroty głowy i uginały się pod nim kolana – czy było to zmęczenie spowodowane długą jazdą, choć przecież przeleciała jak z bicia strzelił, czy przyczyną był panujący dookoła niego chaos, a może powód

był jeszcze inny.

*Jeszcze tylko tych kilka stopni, pomyślał, i będę z moją ukochaną sam na sam.*

*Schody wydawały się więc i kręcić w górę w nieskończoność. Ledwo pokonał pierwsze kilkanaście stopni, gdy usłyszał za swoimi plecami pośpieszne szuranie i kroki. Odwrócił się i zobaczył wbiegającą za nim, podskakującą i drepczącą gromadę – muzykantów, tancerki, poetów, błaznów i malarzy, którzy nie przestali pracować nad swoimi obrazami, wchodząc po schodach, i biegnących przed nimi paziów z płótnami założonymi na zgarbione plecy. Jednak na czele wszystkich biegła matka Lucyndy w swej krzykliwie kolorowej sukni. Mimo długiej wędrówki i zaawansowanego wieku wydawała się tak samo żwawa, jak wtedy, gdy witała Laurencjusza na brzegu huczącego strumienia.*

*Przez chwilę Laurencjusz zamarł na widok swoich prześladowców. Ale teraz to on dopiero zaczął się rzucać i pędził po schodach na górę. Zapytany, sam nie mógłby powiedzieć, co zamierzał osiągnąć w ten sposób i pewnie było czymś nieprzyzwoitym, że uciekał od starszej damy tak po prostu, biegnąc lekkim galopem. Jednak gdy po kolejnych kilkunastu stopniach odwrócił się ponownie do tyłu, okazało się, że matka Lucyndy wciąż mu towarzyszy i nie wydaje się utrudzona. Owiana swoją kolorową suknią z piór sprawiała wrażenie, jakby w rzeczywistości leciała, a pozostała gromada powitalna wciąż podążała za nimi w niewielkiej odległości. Błazny poruszały się po schodach, wirując i robiąc gwiazdy, a tancerki rozpraszały nudę, kręcąc piruety, biegnąc po schodach na górę. Pozwalały również, by poeci podnosili je i z rozmachem wyrzucali w powietrze. A malarze najwidoczniej kończyli już swoje dzieła – jeden z nich, pędząc, pocierał kciukiem płótno, inny dokonywał ostatnich bazgrołów kredą – jednocześnie wszyscy niczym wiatr pędzili w górę po krętych schodach.*

*Gdy Laurencjusz dotarł do wąskich drzwi, na samej górze wieży w kształcie muszli, brakowało mu tchu. Dyszał i sapał, a jego pierś podnosiła się i opadała pod srebrzyście połyskującą szatą. Tymczasem na schodach przynajmniej niektórzy muzykanci postanowili oszczędzić nieco swoje płuca i flety. Jednak właśnie wtedy, gdy Wawrzyniec wchodził chwiejnym krokiem do sali w wieży, wszyscy bez wyjątku ponownie zadęli w swoje instrumenty, błazny jeły znów skrzeczeć i dzwonić, a wszyscy poeci recytować swoje wiersze.*

*Tam jednak, z tyłu, na tronie obwieszonym białymi futrami siedziała ona – Lucynda, ukochana jego marzeń. Jej cera była biała jak rzeźby ustawione wzdłuż alej na zewnątrz, jednak oczy błyszczały zielenią jak leśne jeziora, obok których przejeżdżali w drodze do zamku. Srebrna szata Lucyndy wyglądała jak wodospad nocą na tle jej bujnych i czarnych włosów.*

*Laurencjusz Answer pomknął szybkim krokiem przez ogromną salę, by paść jej do stóp. Po drodze naprawdę obawiał się, że jeden z błaznów mógłby go prześcignąć, robiąc gwiazdę, lub że sama matka w tej niewiarygodnie barwnej sukni przemknie obok niego – ale nic z tych rzeczy nie miało miejsca. Klęczał przed nią, tak jak sobie to wyobrażał tysiące razy, a ona pochyliła się i położyła swoją delikatną, białą dłoń na jego głowie, mówiąc:*

*– Laurencjuszu, mój ukochany panie... – Słowa te musiał odczytywać z jej warg, gdyż hałas dookoła wzmógł się, przechodząc w straszliwe drżenie. – Przysięgnijcie, że już nigdy mnie nie opuścicie.*

*Złożył przysięgę z głębi serca, krzyżąc tak głośno, że aż rozboleło go gardło. Wtedy Lucynda podniosła się ze swego tronu, wzięła go za rękę i przyciągnęła do siebie. Stała na palcach i pocałowała go. Miękkie i ciepłe były jej wargi, a Wawrzyniec nie miał już wątpliwości, że ją znalazł, znalazł swoją ukochaną zza lustra. Lucynda uwolniła się z jego objęć, ale tylko na chwilę i tylko po to, by krzyknąć coś w stronę sali, co jeszcze wzmogło panujący już w środku tumult. Potem znów znalazła się w jego ramionach, pocałowała go i pozwoliła mu odwzajemnić pocałunek, podczas gdy wszyscy dookoła nich się radowali. I zaledwie po kilku chwilach w sali pojawiła się gromada sług i służek z półmiskami, wazami, dzbanami, dzbankami wypełnionymi najwytrawniejszymi potrawami oraz napojami.*

*– Laurencjusz Answer! – zawołała Lucynda. – Mój najdroższy ukochany powrócił i chcemy to uczcić! Wypełni swoją misję i tym razem wszystko dobrze się ułoży.*

*Po chwili, przynajmniej tak się wydawało Wawrzyńcowi, siedzieli oboje przy ogromnym okrągłym stole, połyskującym niczym wypolerowana tarcza jakiegoś olbrzyma. Cała sala ozdobiona była kwiatami i girlandami, także dzieła malarzy szybko zawisły na ścianach, przy czym wszystkie bez wyjątku przedstawiały połyskujące kolorowo, spiralne gwiazdne mgły. Niezliczone ptaki, równie kolorowe, latały po całej sali. W tym samym czasie na ziemi, krzesłach i fotelach, a nawet na stole, podskakiwały białe i rude jak lisy króliki.*

*Wawrzyniec nie mógł pojąć, jak to wszystko było możliwe. Właściwie to niczego już nie rozumiał, jednak w tej chwili nie niepokoilo go to ani trochę. Muzykanci muzykowali, tancerki tańczyły, poeci deklamowali wiersze, tymczasem on i Lucynda uśmiechali się do siebie, trzymali się za ręce i całowali raz za razem.*

*Jeszcze nigdy dotąd Laurencjusz Answer nie czuł się tak szczęśliwy. Lucynda szeptała mu przez ramię wyznania miłosne, a on – nie pozostając dłużnym – deklamował jej na ucho wszystkie te wiersze, które w końcu stworzył z myślą o niej i które tygodniami ćwiczył w pamięci w swojej*

komnacie na zamku Leonharda. Kim byli wszyscy ci zebrani przy stole goście, skąd przybywali, dlaczego ciągle było ich więcej i więcej, no i z jakiego powodu Lucynda otaczała się wyłącznie błaznami i artystami?

O tym wiedział Wawrzyniec jeszcze mniej i w żadnym razie tego nie pojmował. Jednak było mu to obojętne – wreszcie odnalazł swoją ukochaną i wszystko inne stało się nieważne.

W każdym razie do czasu, gdy matka Lucyndy wstała od stołu i nakazała wszystkim milczenie skinieniem dłoni.

Błazny zamarli. Muzycy opuścili swoje fujarki. Tancerki zastygły w tanecznym geście. Poeci zamknęli usta i księgi z wierszami. Malarze kreślili dalej, tylko teraz używali ostrych jak igły ołówków węglowych, których skrobanie brzmiało pośród nagłej ciszy jak szpony ptaków drapiące arkusz czerpanego papieru.

– Waszym zadaniem będzie – powiedziała starsza kobieta w sukni z piór – wybudzenie mojego ukochanego małżonka, ojca Lucyndy, którego stratę wszyscy boleśnie odczuwamy, ze snu przepelnionego troskami – tu i teraz, przed rozpoczęciem tego święta, które wydawane jest zarówno na jego cześć, jak dla uczczenia waszego powrotu. – Musnęła ręką twarz, jakby z wielkim trudem zdołała opanować emocje. – Waszym zadaniem – ciągnęła dalej cierpkim tonem – będzie poproszenie go o rękę naszej córki, aby po tak długim czasie zbudził się z tego przypominającego śmierć snu i powrócił do żywych, do mnie, do Lucyndy i do wszystkich tu obecnych, którzy opuszczeni i samotni nie wiemy, co począć. – Sponad całego tego ogromnego stołu pokrytego kwiatami, wazami i skaczącymi królikami rzuciła Wawrzyńcowi świdrujące spojrzenie prosto w twarz. – Ponieważ jednak zadanie to zdaje się wam obojętne, sama udam się teraz, zamiast was, do komnaty trosk.

Laurencjusz siedział jak wryty. Nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa, ani nawet poruszyć palcami. Czuł utkwione w swoją stronę spojrzenie Lucyndy, która przygląda mu się z boku z głębokim rozczarowaniem, a także oczy wszystkich zebranych w sali, które również zdawały się go przenikać. Tymczasem matka Lucyndy w kolorowej sukni skierowała się w stronę drzwi w ścianie, nie odwracając się przy tym ani razu w jego stronę.

– Czekaście – krzyknął Wawrzyniec, który omal nie zerwał się z miejsca, by pobiec za nią. Ale Lucynda położyła dłoń na jego ramieniu, zatrzymując go przy sobie.

– Jest już za późno – wyszeptała.

Jej matka wychodziła już przez drzwi. Wawrzyniec zobaczył wyraźnie ze swojego miejsca, co się za nimi znajdowało – łożo, na którym leżał wyciągnięty mężczyzna o siwych włosach i siwej

*brodzie, przykryty aż po pierś srebrzystą chustą.*

*– Mój nade wszystko ukochany małżonku – usłyszał – popatrzcie, oto powrócił Wawrzyniec Answer. – Położyła mu dłoń na ramieniu, zgodnie z zadaniem wyznaczonym Wawrzyńcowi, a ciało leżącego przeszły dreszcze. Z trudem mężczyzna podniósł się na łożu, a chusta opadła na ziemię.*

*– Dlaczego sam nie przyszedł – Wawrzyniec usłyszał, jak zbudzony zadaje pytanie matowym głosem – zgodnie z jego świętym obowiązkiem?*

*– On nie potrafi już myśleć o niczym innym, jak tylko o Lucyndzie.*

*To nieprawda, pomyślał Wawrzyniec, tymczasem ojciec Lucyndy znowu opadł do połowy na swoje łoże.*

*– Ale ja chcę wszystko naprawić – wykrzyczał Wawrzyniec.*

*Towarzystwo nieśmiało zabiło brawo. Zdawało się, że cały zamęt i swawola opuściły wszystkich zebranych, nawet błazny nie ważyły się już dzwonić swoimi czapkami z dzwonekami. Ich oczy przemykały z ojca Lucyndy, który leżał na łożu, w stronę Laurencjusza Answera.*

*Ten podniósł się teraz ze swojego fotela, usilne zabiegi Lucyndy, by przyciągnąć go z powrotem, speliły na niczym. Szybkim krokiem ruszył w stronę starego mężczyzny, który – nawet osłabiony snem przepelnionym troskami – wydał mu się potężny i władczy. Na progu jego komnaty Wawrzyniec padł przed starym mężczyzną na kolana i spojrzął w jego stronę błagalnym wzrokiem.*

*– Wybaczcie mi – powiedział. – Nikt nie pouczył mnie, jak owo zadanie wykonać, ale nie będę próbował się wymawiać, sam powinienem to wiedzieć.*

*Stary mężczyzna dał mu znak, by wstał z ziemi.*

*– Wybaczam wam, Laurencjuszu – powiedział – ale przeczuwałem, że wasze dzisiejsze zaniedbanie jest niczym wobec innego, jeszcze gorszego uchybienia. – Wawrzyniec zrobił wielkie oczy, nie rozumiał, co mają znaczyć te słowa. Mimo to był nimi bardzo zaniepokojony.*

*Ojciec Lucyndy opadł teraz zupełnie na łoże. Jego żona podniosła chustę z ziemi i przysunęła swoje ucho blisko do jego ust.*

*– Wszystko będzie tak, jak sobie tego życzyście, mój mężu.*

*– Po tych słowach wróciła do sali, starannie zamykając za sobą drzwi.*

*– Pragniemy mimo wszystko uroczyście przyjąć pana Laurencjusza – powiedziała i klasnęła w dłonie. – Muzykanci, grajcie! A wy, błazny, psocście i figlujcie!*

*Uroczystość rozkręcała się z wielkim trudem. Mimo wszystko wyczuwało się*

przygnębień. Wszyscy siedzieli ze zwieszonymi głowami przy stole. Błaznom żarty stawały kolkiem w gardle, a nawet wyborne wino podane w kryształowych kieliszkach wydawało się zwietrzałe.

Wawrzyniec zajął ponownie swoje miejsce przy Lucyndzie, jednak niewiele do niego docierało z tego, co działo się wokół niego. Lucynda objęła go i patrzyła na niego z troską swoimi niezglębionymi zielonymi oczami.

– Nie przejmujcie się znanym waszym zaniedbaniem, w końcu ojciec wam wybaczył i wszystko się jeszcze dobrze ułoży.

Jednak Wawrzyniec zasmucony pokręcił głową. Słowa starego mężczyzny sprawiły, że ożyły w nim wspomnienia o tym wszystkim, o czym z taką gorliwością starał się zapomnieć, odkąd został pasowany na rycerza przez hrabiego Leonharda. Leonhard wręczył mu wtedy uroczyste miecz rodowy i tarczę swoich przodków, napominając go jednocześnie, by okazał się ich godnym posiadaczem. A co on zamiast tego zrobił? Miecz wsunął pod łóżko, a tarczy używał niezgodnie z jej pierwotnym przeznaczeniem. Nawet przeniknął przez lustro, by odnaleźć swoją ukochaną Lucyndę – musiał przy tym spełnić wielkie zadanie, do którego został przygotowany przez hrabiego Leonharda, który nauczył go władać mieczem i lancą.

Wstał.

– Kochana Lucyndo – rzekł donośnym głosem – czcigodna matko, drodzy przyjaciele. – Spojrzał na Lucyndę, która uśmiechnęła się do niego przez łzy. Wciąż zdawała się nie rozumieć, co zamierza uczynić jej ukochany, co musi uczynić. – Za wcześnie do was przybyłem – ciągnął dalej – wrócę najpóźniej w czasie kolejnej pełni, wtedy już na zawsze. Jednak najpierw muszę wyruszyć w bój. Zamek mego ojca zajęli i zbrukali wrogowie, sam ojciec został osadzony w lochu, we własnym zamku, a udało mu się zbiec tylko podstępem. Wtedy też przekazał mi na drogę miecz mego rodu i tarczę oraz kazał przysiąc, że wrócę jako wypróbowany w boju rycerz, by go oswobodzić, a także oczyścić dobre imię naszego rodu z hańby.

Rozejrzał się, szukając swej broni, którą uprzednio odłożył na bok. Wtedy podbiegło do niego dwóch młodzieńców, jeden w błazeńskiej czapce, drugi odziany w szatę usmarowaną farbą malarską. Przynieśli mu miecz i tarczę-zwierciadło.

– Zaczarowany przez was, kochana Lucyndo, zapomniałem tymczasem o moim świętym obowiązku – ciągnął. – Ale teraz obudziło się we mnie sumienie i muszę odejść. – Objął Lucyndę.

– Jak tylko odzyskam zamek ojca, wrócę, ukochana, i wreszcie będziemy mogli wyprawić nasze wesele.

*Wawrzyniec poczuł się dziwnie lekko, gdy jeszcze raz pocałował Lucyndę na pożegnanie. Ponownie padł na kolana przed jej matką, prosząc o przebaczenie, a następnie zbiegł krętymi schodami z wieży w kształcie muszli na dół. Wszyscy zebrani goście westchnęli ciężko i zaszlochali md jego losem. Ze szczerego serca współczuli mu, że znowu musiał opuścić swoją ukochaną. Na własną rękę szukał krótszej drogi, ale wszystko się skomplikowało. Jednak teraz wypełni zadania we właściwej kolejności, a obrona przez niego droga poprowadzi go niechybnie do Lucyndy.*

*Laurencjusz jechał całą noc i tylko księżyc wskazywał mu jeszcze drogę. O pierwszym brzasku dotarł do trzęsącego się mostu, przez który szybko przejechał. Jednak na drugim brzegu przepływającego z hukiem strumienia już po trzystu stopach droga ginęła w tumanach z kurzu i żwiru.*

*Jak miał teraz trafić stąd do kraju swoich przodków? Po chwili wahania wziął do ręki swoją tarczę i zajrzał do środka. Obawiał się, że znów ujrzy w niej Lucyndę, która zacznie namawiać go do powrotu. Jednak zdawało się, że tarcza straciła swoje magiczne moce – nawet samego siebie widział w mętnym odbiciu, a gdy uderzył w nią pięścią, nie przeszył jej swą ręką aż po ramię, wywołał odbijający się echem dźwięk, który zagubił się gdzieś w opustoszałej dali.*

*Zawiesił z powrotem tarczę ze skórzanym pasem. Naraz ujrzał całkiem wyraźnie, co musi teraz uczynić. Powinien zjechać do rzeki na dół. Tam kolejność dalszych zdarzeń miała ułożyć się już sama.*

*Laurencjusz zawrócił swego karosza i ostrożnie pokierował nim przez zarośla w dół. Tutaj strumień ogłuszająco huczał, płynąc swoim korytem. Prąd porywał ze sobą odłamki skalne wielkości skrzyni dorożki, wyrzucał na brzeg, by następnie znowu je pochłonąć, jeśli tylko ponownie wtoczyły się do wody.*

*Na jednym z takich odłamków skalnych, leżących w płytszej wodzie przy brzegu, Laurencjusz Answer odkrył w końcu niezwykłą istotę. Była niewiele dłuższa niż jego ramię, swoją zieloną barwą przypominała trzcinę. Jej nogi dyndały w wodzie, a jej włosy pozlepiane od namułu ilastego i wodorostów również opadały do rzeki bezładnymi falami.*

*Laurencjusz zeskoczył z konia i kucnął obok wodnej istoty.*

*– Nazywam się Laurencjusz Answer i szukam kraju moich przodków – powiedział. – Czy możesz wiesz, jak się tam dostanę?*

*Oczy zielonego maleństwa przypominały lilie wodne. Namysławiając się, spojrzęło na Laurencjusza, zanim odpowiedziało gardłowym głosem:*

*– Jeśli szukasz kraju swoich przodków, spytaj kobietę mieszkającą w studni.*



AMOS, GDY POCZUŁ LEKKĄ JAK PIÓRKO RĘKĘ na swoim ramieniu, poderwał się, jakby zbudzono go z głębokiego snu. Obok niego stał stary uczony, jednak młodzieniec nadal patrzył na niego jak przez mgłę. Jego dłonie ścisnęły krawędzie pulpitu Kronusa, ale między swoimi palcami czuł jeszcze dość wyraźnie wytarte cugle ze skóry, za pomocą których pokierował koniem w dół na brzeg rzeki.

– Laurencjusz Answer – wymamrotał. Jakby z ociąganiem rozwiewały się kłęby mgły, oddzielające go od Kronusa. Huk strumienia stawał się coraz cichszy. Odłamki skalne w spienionej wodzie rozpadały się. Także zielona istota wodna zaczęła rozmywać się w jego oczach, aż zupełnie znikła. Jakże dziwne było znów znaleźć się w tej izbie, między regałami zawalonymi księgami i zwojami pism. – Byłem nim Laurencjuszem – powiedział cicho – zupełnie zapomniałem, że w rzeczywistości jestem kimś innym.

Stary mężczyzna popatrzył na niego z łagodnym uśmiechem. Zdawało się, że sen go pokrzepił. Jego jasnoniebieskie oczy iskrzyły się.

– Rzeczywistość ma wiele aspektów – oświadczył mimochodem – a w każdym z nich kryje się inny świat. – W czasie gdy Amos zastanawiał się jeszcze nad tą uwagą, Kronus zmienił temat: – Jest już południe – powiedział. – Czy aby nie jesteś głodny, chłopcze?

– Południe? – Amos pobiegł do okna i wyjrzał na zewnątrz z niedowierzaniem. Rzeczywiście, słońce stało wysoko nad starym młynem. Gdy ponownie się odwrócił, Kronus stał właśnie za swoim pulpitem i składał w stos arkusze papieru, które dał wcześniej Amosowi do przeczytania. Stos był całkiem cienki, nie liczył nawet dwóch tuzinów kartek.

– Jak to możliwe, panie? – zapytał Amos. – Chodzi mi o to, jak to możliwe, że pół dnia spędziłem na czytaniu tej opowieści?

– A więc, może to wynikać z faktu, że nie czytałeś po prostu tylko swoim rozumem, lecz także swoim sercem i swoją duszą.

– Kronus podniósł mały plik kartek i wyszedł zza pulpitu. Żwawym krokiem poszedł na

zaplecze, zamknął pisma w jednej z szafek i wrócił do Amosa. – I na tym powinieneś poprzestać – ciągnął dalej. – Gdy przyjdiesz do mnie znowu za tydzień, dam ci jeszcze raz przeczytać tę opowieść. Tymczasem nie rozmyślaj zanadto nad tym. Każda z czterech opowieści *Księgi duchów* przypomina w pewnym sensie rzekę, przez którą, mostem, Laurencjusz Answer przeprawia się. I rzekę, ku której ostatecznie schodził. Pozwól zmieszać się tej pierwszej rzece ze swoim wnętrzem, Amosie, a już wkrótce będziesz mógł ją przepłynąć za każdym razem, gdy tylko będziesz miał na to ochotę. Nigdy jednak nie próbuj rozkładać jej na pojedyncze słowa czy litery, jak to być może będą już za kilka dni czynili urzędnicy cenzury w Norymberdze, by wysłedzić kryjące się w niej tajemnice.

Mimo że Kronus wciąż się uśmiechał, Amos wyczuł napięcie, które ogarnęło starego mężczyznę, gdy wypowiadał te słowa. Serce przestało mu pracować na pół uderzenia, gdy zdał sobie sprawę z tego, co właśnie powiedział Kronus.

– Ten posłaniec dzisiaj rano – zapytał – on zanieś wasz manuskrypt cenzorowi?

– Oczywiście. – Uczony kiwnął z naciskiem głową. – Dlatego też zadałem sobie trud, by ubrać najdrogocenniejsze magiczne mądrości w opowieści, które nawet nieufnemu spojrzeniu będą wydawały się całkiem nieszkodliwe. Urząd Cenzury Rzeszy i – jeśli o mnie chodzi – również Kościelna Inkwizycja mogą sobie możliwie najsurowiej badać *Księgę duchów*. Jestem pewien, że nie znajdą w niej niczego, co usprawiedliwiłoby zakaz druku – a jeśli już przyznają mi oficjalne zezwolenie, cała sprawa będzie dla nich przegrana.

Niewątpliwie stary mężczyzna silił się, by nadać swoim słowom pozytywne przesłanie. Jednak Amos wyraźnie wyczuwał, że Kronus bynajmniej wcale nie był tak pewien swojej sprawy, jak to zdawał się sugerować. A może uczony przeczuwał już, że popełnił błąd, rzucając tak otwarcie wyzwanie cesarskiemu cenzorowi książek? Ale taki błąd, mówił sobie wtedy Amos, nigdy nie przytrafiłby się Valentinowi Kronusowi – w końcu był jednym z najmądrzejszych mężów, jak okiem sięgnąć. Mędrzec i magik, który połowę swego życia poświęcił rozmyślaniom nad tym, jak mógłby przechytrzyć łowców książek. A mimo to: Dlaczego Kronus nie wysłał po prostu kopii do Hebedanka, żeby jego zaufany człowiek w drukarni Kobergera potajemnie zlecił wydrukowanie setki egzemplarzy *Księgi duchów*? Jeśli udałoby się je puścić w obieg, to wtedy – cytując słowa Kronusa – „dno jest wybite z wiadra” i nikt już nie mógłby zebrać wyciekającego eliksiru.

Amos wciąż jeszcze dumał nad tymi zagadkami, gdy przygotowywał w kącie kuchennym u Kronusa południowy posiłek na zimno dla nich obu – uwędzonego pstrąga, ciemny chleb i

dzban wyśmienitej, świeżej wody ze strumienia Gründleinsbach. Pstrągi wyłowił już zeszłej jesieni z potoku, uwędził fachowo w piecu, a następnie powiesił je w kominie Kronusa.

– Oczywiście zadajesz sobie teraz pytanie, czy nie było jednak błędem z mojej strony, że podsunąłem łowcom ksiąg mój rękopis.

– Kronus podszedł do znajdującego się w kuchni Amosa. Usiadł obok niego przy wąskim stole pod oknem i sięgnął od razu po swoją wędzoną rybę. – Czytelnicy, tacy jak ty i ja – powiedział, uśmiechając się – zanurzają się w opowieści i pływają w niej niczym pstrągi tam w strumieniu pod młynem. Tymczasem cenzorzy – powiedział, obracając swoją rybę – przypominają o wiele bardziej mumie pstrągów: wyobraź sobie, że wrzucasz je z powrotem do potoku. Czy naprawdę sądzisz, że będą pływały dookoła w poszukiwaniu pożywienia, że zaczną się nurzać się w rzeczonym mule?

Amos nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Na pewno nie. – Wyobraził sobie, jak śnięta ryba dryfuje po wodzie z czarnym od dymu brzuchem do góry. – Ale co sprawia, panie, że jesteście tak pewni, iż dotyczy to wszystkich urzędników cenzury? A co, jeśli wśród nich znajdzie się choćby jeden czytelnik, który zdoła choć trochę wyczuć tę magię – co wtedy?

Kronus energicznym uderzeniem noża odrąbał rybce głowę.

– Uważam, że to niemożliwe. Dobry urzędnik cenzury niczego na świecie nie boi się i nie nienawidzi bardziej niż niedającego się określić działania, wywoływanego przez książki. Aby określić, czy dana książka może stanowić zagrożenie dla cesarza czy Kościoła, cenzorzy książek zawsze postępują w taki sposób, jaki zaobserwowałem jako młody chłopiec u mojego starszego brata. – Odciął kawałek wędzonej ryby i, nadziawszy go na czubek noża, wsunął do ust.

– Macie brata, panie? – spytał Amos. – Wydawało mi się, że nie macie żadnego... – Urwał. – Wybaczcie, nie mam prawa snuć przypuszczeń co do waszego życia.

– Właśnie ty masz do tego prawo, Amosie – odparł Kronus.

– Przecież powiedziałem ci, że jesteś dla mnie jak duchowy syn, a mam też nadzieję, że i ty choć trochę będziesz we mnie widział swego duchowego ojca.

Amos spuścił głowę, by ukryć płonące policzki.

– Jestem wam tak bardzo wdzięczny, że nigdy nie będę potrafił wyrazić tego słowami – wyszeptał. – Ale ja nie jestem was godzien.

Stary mężczyzna nieuważnie upuścił na stół nóż, którym zamierzał właśnie uciąć kawałek bochenka chleba.

– Pozwól, chłopcze, że to ja będę o tym decydował. – Położył swoją pomarszczoną prawicę na ręce Amosa. – A tak się składa, że nieco inaczej się na to zapatruję. Jednak, wracając do mojego brata Konrada – dodał i ponownie zwrócił się w stronę bochenka chleba. – Mieliśmy wtedy może pięć i siedem lat – od tamtego czasu minęło zatem ponad pół wieku. A mimo to wciąż widzę go wyraźnie przed swoimi oczami, jak odrywa w naszym ogrodzie wróbla od lepu na ptaki. Sam ustawił wcześniej pułapkę, by łapać do niej ptaki do swoich eksperymentów. Konrada bardzo interesowało mianowicie, „jak takie życie wygląda od środka”, jak to się sam wyraził nieco przemądrzale. Tak więc wyciągnął swój miecz zza pasa i rozciął małemu wróblowi klatkę piersiową. – Kronus wzruszył ramionami, odcinając sobie od spodu kromkę chleba. – Zupełnie straciłem nad sobą panowanie – ciągnął dalej – gdy stało się dla mnie jasne, że zabił w ten sposób ptaka. Jeszcze dziś widzę to stworzenie w jego mocnej, spalonej słońcem ręce – ranę w małym ciele, krew, która zabarwiła upierzenie na czerwono. I pamiętam jeszcze, że krzychałem wtedy raz za razem: „Coś ty zrobił? On nie żyje!”.

– Stary mężczyzna pokręcił głową. – Ale mój brat Konrad – powiedział, kończąc swoją opowieść – pozostał zupełnie niewzruszony. To nie dawało mi spokoju jeszcze przez długi czas. Chciał przecież zobaczyć „życie od środka”, a zamiast tego zabił ptaka. Jednak sam Konrad nie widział w tym żadnej sprzeczności – za pomocą noża kroił martwe ciało dalej na coraz mniejsze kawałki. Pamiętam jeszcze, jak wydłubał maleńką, czerwoną grudkę. „Popatrz no, rzekł do mnie, to serce”.

Amos zamknął oczy, nic nie odpowiadając. Usiłował nie myśleć o pokrojonym na kawałki ptaku, w czasie gdy spożywał swojego wędzonego pstrąga. Dopiero gdy obaj najedli się do syta, wrócił do opowieści o Konradzie i ptaku.

– Kim stał się później wasz brat? – zapytał, wtrącając niby mimochodem.

– Na szczęście nie został cenzorem książek – odpowiedział stary mężczyzna, uśmiechając się. – Jeszcze kilka lat temu nauczał i prowadził badania jako anatom na uniwersytecie w Bazylei.

– Amos spojrział na niego pytająco.

– Anatomowie – powiedział Kronus – to uczeni mężowie, którzy rozcinają ludzkie zwłoki, ponieważ spodziewają się, że w ten sposób wyrwą z martwych ciał tajemnicę życia. I tak mój brat od naszych dziecięcych lat pozostawał wierny swym ideałom – całe swoje życie przeprowadzał sekcje zwłok. Czy wiesz już może, dlaczego opowiedziałem ci tę historię? Konradowi nigdy nie udało się wykryć tajemniczej substancji przekształcającej martwą materię

w żywe stworzenia. I tak samo żadnemu cenzorowi ksiązek nigdy nie uda się wykryć mojej tajemnicy. Bo jedynym narzędziem, którym dysponują, jest nóż sekcyjny zimnego rozumu – ich serca i dusze są, jeśli nie martwe, to na pewno głuche i ślepe.

Kronus wciąż jeszcze się uśmiechał, jednak tym razem był to tęskny uśmiech. Najwidoczniej jego brat Konrad już nie żył. Amos wyraźnie to przeczuwał, jednak nie chciał już dalej pytać o okoliczności. Z własnego doświadczenia wiedział, jak bolesne może być mówienie o utracie bliskich członków rodziny. Kronus negatywnie wyrażał się o Konradzie i prawdopodobnie z czasem coraz bardziej oddalali się od siebie, a jako dorośli mężczyźni widywali się tylko sporadycznie. Ale mimo to byli braćmi, razem dorastali, a ich waśń najwidoczniej do dziś jeszcze zaprzętała Valentina Kronusa.

– Masz absolutną rację – powiedział Kronus pogrążony w myślach. – Konrad nie żyje, a rozpamiętywanie faktu, że już go nie ma, boli jak nieogojąca się rana. Od czasów naszej młodości widzieliśmy się co najwyżej trzy lub cztery razy, a i wtedy za każdym razem szybko zaczynaliśmy się kłócić.

Amos w milczeniu zaczął sprzątać resztki ich południowego posiłku. Po raz kolejny okazało się, że stary mężczyzna najwidoczniej czyta w jego myślach. Jednak poruszanie tego tematu w rozmowie z Kronusem – jak pokazało doświadczenie – nie miało najmniejszego sensu. I tak utrzymywałby, że wszystko wyczytał z twarzy chłopca.

– Zamiast zadawania sobie pytania, jak to możliwe, że czytam w twoich myślach – powiedział Kronus z lekką przyganą – zastanowiłbyś się lepiej, jakim sposobem udało ci się właśnie wyczuć moje uczucia we wszystkich szczegółach. A przynajmniej we wszystkich szczegółach, którymi chciałem się z tobą podzielić.

Przez chwilę Amos nie mógł zamknąć ust z wrażenia.

– *Księga duchów* – wydusił z siebie. – Czyżby dawała mi już magiczną moc, panie?

Kronus spojrzał na niego badawczo, a następnie kiwnął kilka razy głową.

– Najwidoczniej zaczyna działać. Ale ona nie daje ci żadnej mocy, Amosie. *Księga duchów* wyzwala tylko zdolności, które w nas drzemią. A biorąc pod uwagę twoje uzdolnienia, powinieneś być przygotowany na dużo więcej.

## 5

DWA DNI PÓŹNIEJ *Księga duchów* dotarła do kancelarii cenzora Rzeszy w Norymberdze. W mrocznym budynku położonym nieopodal kościoła Najświętszej Marii Panny cienkiej książeczce badawczo przyglądali się podejrzliwi urzędnicy. Pismo w środku było staranne i równe, co pozwalało przyjąć, że autor był uczonym. Zgoła inaczej było w przypadku prowizorycznie przyciętego skrawka skóry jagnięcej, który – jako okładka książki – był za cienki i elastyczny. Najwidoczniej własnoręcznie autor dzieła wyrył tytuł i swoje nazwisko z przodu na okładce, nacięć nie poprawił jednak atramentem ani barwnikiem roślinnym, dlatego litery można było odczytać tylko z wielkim trudem. Także sposób zszycia kartek za pomocą sparciatych nici wydał się urzędnikom nieporadny. Poszczególne strony zaczęły już odpadać. Po oględzinach rękopis został zarejestrowany w rubryce „zmyślone”.

Tymczasem w całej Frankonii nastał wielki upał. Już przed południem powietrze drgało w norymberskich uliczkach a jakże duszno musiało być w mansardzie tego mało poważanego domu przy Świńskim Targu, gdzie mieszkał młody pomocnik pisarza Hannes Mergelin. Jego pokój był niewiele większy od szafy na ubrania lub obszernej trumny. Mimo że Hannes był raczej małego wzrostu, do tego jeszcze chudy, co sugerowało już jego nazwisko, przez drzwi w swoim pokoju mógł przejść jedynie z pochyloną głową i z rękami ściśle przylegającymi do reszty ciała. Jednak fakt, iż o wiele bardziej wolał wychodzić ze swojego pokoju, niż w nim przesiadywać, nie był spowodowany jedynie stęchłym powietrzem, którym mógł tam oddychać za trzy halerze na miesiąc.

Nawet wtedy, gdy Hannes przebywał tam w dzień, prawie nigdy nie zwracał uwagi na swoje wytarte, słomiane legowisko, stoczoną przez robaki drewnianą skrzynię i pochyłe ściany, w których szparach i szczelinach nieustannie łąziły pająki i chrząszcze. Bo w swych myślach spędzał każdą godzinę swego życia w siedmiopiętrowym domu z gwarnymi korytarzami, wystającymi klatkami schodowymi i różnego rodzaju biurami, w którym pracował już od trzech lat jako pomocnik pisarza. Hannes ukończył właśnie siedemnaście lat i inni pomocnicy pisarzy w

jego wieku cieszyliby się, gdyby powierzono im stos starych rachunków do odpisania. Hannes posiadał jednak protektora w postaci jednego z wyższych urzędników: upodobał go sobie właśnie Jan Skythis, mający sławę surowego podcenzora, który chciał widzieć młodego Mergelina na stanowisku pisarza.

Wiele lat temu Hannes nabrał zwyczaju ciągnięcia za sobą lewej nogi. On sam uważał, że to lekkie kulenie nadaje mu nieco wytwornej zadumy. Przynajmniej sprawiło to, że pozostawiano go zazwyczaj samemu sobie. Już jako mały chłopiec Hannes był dziwakiem, który wolał oddawać się rozmyślaniu, niż bawić się z innymi dziećmi w berka czy wspinać się na drzewa. Odkąd nabrał nawyku ciągnięcia za sobą nogą, nie musiał się już nigdy więcej tłumaczyć, gdy trzymał się z daleka od tańca i fechtunku, czy też całego tego rwetesu, za pomocą którego ludzie zwykli uprzyjemniać sobie czas.

We wszystkich tych aktywnościach Hannes Mergelin nigdy nie znajdował upodobania. Czuł wstręt do wszelkiej egzaltacji i jego zdaniem większość tragedii na świecie spowodowana była wyłącznie przez to, że ludzie dawali się wywieść w pole swoim uczuciom, marzeniom i namiętnościami. Jednak jemu samemu nic z tych rzeczy nie mogło się przytrafić, ponieważ on nigdy nie chadzał do gospody na hulanki, nikogo nie kochał ani nie chciał być kochany, lecz zawsze żył sam dla siebie. W nocy sypiał tylko po cztery godziny, by już o trzeciej nad ranem zabierać się do kodeksów, które powierzył mu pan podcenzor Skythis do studiowania we własnym zakresie. Jak mu oświadczył Skythis – poza Biblią – miały to być jedyne pisma, które można było czytać bez obawy o poniesienie szkód na ciele lub duszy. A nawet sama Biblia – przynajmniej dla niewprawnych czytelników – mogła się okazać szkodliwa, gdyż swymi różnego rodzaju opowieściami o wojowniczych aniołach, skruszonych ładacznicach i schodzących na manowce świętych mogła pobudzić wyobraźnię do złego.

I tak ambicja, by przyczynić się do zakazania możliwie jak największej liczby zgubnych książek, była jedyną pasją, na którą pozwalał sobie Hannes Mergelin.

Jak każdego poranka Mergelin wchodził jako jeden z pierwszych do mrocznej sali z olbrzymimi kolumnami, które zawsze kojarzyły mu się z obumarłymi drzewami. A te wczesne godziny poranne przyganiały do pracy tylko najgorliwszych urzędników, podczas gdy pomocnicy pisarzy w wieku Hannesa bez wątpienia jeszcze się przewracali w swoich łóżkach. Z powodu swojego lekkiego chromania Hannes potrzebował dłuższego czasu, by przejść przez salę – obok strażnika i przez cały las pociemniałych ze starości, kamiennych kolumn w stronę majestatycznie ciągnących się w górę schodów na drugim końcu. I ledwie Hannes zdążył postawić stopę na

najniższym ich stopniu, gdy usłyszał, jak wywołano jego nazwisko: „Pomocnik pisarza Mergelin!”.

Wycofał stopę i odwrócił się. Między kolumnami szedł spiesznie w jego kierunku mężczyzna w średnim wieku, ubrany w szarą szatę niższego urzędnika cenzury. Ramionami przyciskał do siebie gruby pakiet papierów. Serce Hannesa Mergelina zaczęło bić szybciej. Teraz rozpoznał mężczyznę, który z zaczerwienioną twarzą i walącym sercem zatrzymał się przed nim – był to Waldo Mulhardt z działu rejestracji i dystrybucji.

– Pomocniku pisarza Mergelin – powtórzył Mulhardt – wzywał cię podcenzor Skythis.

Trzymając bezkształtny stos papierów niczym jakieś śpiące małe dziecko w ramionach, Hannes pospieszył schodami na górę. Upał prawie w ogóle nie dawał mu się we znaki, bo jego chude ciało miało niewiele wody do wypocenia. Podobnie ciągnące się w nieskończoność schody prowadzące na górę do biura Skythisa nie męczyły go prawie w ogóle, bo lewa noga, którą ciągnął za sobą, była tak samo mocna jak prawa. Wypracował skuteczną technikę, dzięki której udawało mu się niepostrzeżenie, ale mocno odbijać na pozór utykającą nogą, i tak dość zwinnie poruszał się naprzód. Jednocześnie przedstawiał sobą żałosny widok gwałtownie podskakującego konika polnego, wspinającego się po schodach, ale to bynajmniej nie przeszkadzało samemu Hannesowi Mergelinowi.

Idąc, podglądał kartę rejestracyjną założoną przez Mulhardta dla pierwszego rękopisu. Manuskrypt był oprawiony w jasną skórę i opleciony czerwonym sznurkiem, a karta rejestracyjna tkwiła pod kunsztownie zawiązanym na supeł i opieczętowanym sznurkiem. *„Księga duchów”, przeczytał Hannes Mergelin. „Autor: Valentin Kronus, zamieszkały w Kirchenlamnitz. Nadeszła: VII sierpnia 1499 r. Kategoria: zmyślone. Pierwsze wrażenie: nieszkodliwa. Podpisano przez Waldo Mulhardta, podrejestratora w Urzędzie Cenzora Rzeszy w Norymberdze, X sierpnia 1499r.”.*

Nieszkodliwa?, pomyślał Hannes Mergelin, gdy skręcał na trzecim piętrze w ciemny korytarz, w którego tylnej trzeciej części znajdowało się biuro podcenzora. On sam pamiętał tylko dwa lub trzy takie przypadki, gdy Skythis zakwalifikował rejestrowane pisma jako nieszkodliwe, jednak jeszcze nigdy żadne z nich nie zostało przyporządkowane do kategorii „zmyślone”. „Nie należy drukować dykteryjek i krotochwil, lecz należy ich całkowicie zakazać, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydają się nieszkodliwe”. Nieraz słyszał Jana Skythisa prawiącego w ten sposób i Hannes zgadzał się z nim w głębi serca. W miastach oraz głowach ludzi i tak panował już zbyt wielki chaos. Dziś każdemu krzykaczowi wydawało się, że musi



oddać do druku swoje lekkomyślnie popełnione wypociny, ale w ten sposób ogólne zamieszanie dodatkowo jeszcze się potęgowało. Zmyślane pisma, powiedział sobie Hannes Mergelin, wkraczając do biura podcenzora Skythisa, należy zasadniczo postrzegać jako niezwykle niebezpieczne.

Jana Skythisa nie było jeszcze na miejscu. Hannes ułożył w stos nowe rękopisy w taki sposób na jego pulpicie, by wzrok podcenzora od razu padł na nie przy wejściu. Następnie Hannes pokuśtykał za pulpit, z niezrozumiałych względów stojący w ciemnym kącie biura, i przygotował wszystko do sporządzenia ekspertyzy wraz z wnioskiem o wydanie zakazu druku, który Skythis bez wątpienia podyktowałby mu później. *Księga duchów* – już sam tytuł na siedemset stóp trącił obłądną demonicznością i szatańskimi bajdami, wymyślonymi tylko w jednym celu, by zwieść dusze niespodziewających się niczego złego czytelników na piekielne manowce.

## 6

NICZYM DZWON Z ŻARU upał wisił ponad dachami i blankami zamku Höhenstein. Amos niecierpliwie odliczał godziny i dni do kolejnego poniedziałku, kiedy znów będzie mógł pójść do Kronusa. Tymczasem ledwie co nastał czwartek, przed chłopcem rozwierała się więc otchłań – prawdziwa piekielna czeluść – obejmująca cztery dni i cztery noce.

Przede wszystkim zaś Amos nie mógł się doczekać, aż znów przeczyta opowieść o Laurencjuszu Answerze. Wiedział, że nie chodziło o zwykłą lekturę, jaką znał do tej pory – o przerywane raz po raz odszyfrowywanie słów i zdań, o stopniowe zanurzanie się w inny świat, w przypadku którego nigdy nie zapominało się, że nie jest to świat własny, własna rzeczywistość. Gdy Kronus położył przed nim na pulpicie historię *O rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem*, Amos, już przy pierwszej linijce tekstu, przeistoczył się w Laurencjusza. Nie widział już wypełnionej książkami izby Kronusa, lecz tylko lustrzaną tarczę, w którą wbił się własną ręką jak w wiadro wypełnione wodą i od tamtej pory nic już nie było takie sama. Od tego czasu Amos czuł nieustanne napięcie, jakby do ostatniego włókna swej duszy był naładowany iskrami i światełkami, i przesywała go cała kopa piorunów. Właśnie tak, jakby w jego sercu i w jego duszy dokazywały wszystkie te dzwoniące czapeczkami błazny, ganiałi ci wszyscy recytujący poeci, grający na fletach muzykanci, malujący malarze i podskakujące tancerki wraz z kolorowymi ptakami oraz hasającymi królikami. Chwilami Amos czuł się tak bardzo szczęśliwy, że mógłby nawet objąć tego wiecznie rozgniewanego kapitana Höttschego. Innym znowuż razem ogarniał go ogromny niepokój, był tak roztargniony i zniechęcony, że najchętniej po prostu zaszyłby się gdzieś przed całym światem. I dla obu tych stanów nie sposób było znaleźć żadnej przyczyny, w każdym razie nie tutaj, na zamku Höhenstein, gdzie rycerze i ich ludzie chodzili bez celu, z takim samym otępieniem jak przez całe te dni i tygodnie wcześniej.

A był im podobny, zanim przeczytał opowieść z *Księgi duchów* Kronusa, zanim Kronus wzniecił w głębi jego duszy tę magiczną pochodnię i zanim chłopiec wynurzył się z powrotem ze świata Wawrzyńca. Wtedy to bowiem, powracając do swojej rzeczywistości, wiedział już, że

został na zawsze odmieniony.

Według słów Kronusa każdy, kto „całkowicie wchłonął w siebie” pierwszą opowieść, mógł na drodze uczuciowej nawiązać kontakt z każdą inną osobą, która również ją przeczytała i przyjęła w swej wyobraźni. A o tym, że była to prawda, Amos mógł się przekonać jeszcze tego samego dnia: miał wtedy nieodparte wrażenie, że odczuwa to samo, co stary mężczyzna, gdy ten myślał o swoim bracie Konradzie i ich waśni. Mimo to Amos był zupełnie nieprzygotowany na nawałnice, które *Księga duchów* rozniecała odtąd w jego duszy: silne podmucho szczęścia, huragany strachu i niepokoju. To, co w ogóle nie poruszało go do tej pory, wywoływało w nim teraz grzmoty gniewu i potoki rwącej rozpacz. Jeszcze kilka dni temu wydawało mu się, że jako tako przyzwyczał się do stryja Heriberta, że do pewnego stopnia uporał się ze śmiercią rodziców, z rozłąką z Oda, z zesłaniem do tej strasznej jaskini rycerzy-rozbójników. Teraz wystarczyło, że przelotną myślą musnął wszystkie te rany, by w jego wnętrzu rozpętało się piekło niepohamowanego gniewu, rozpacz i bólu.

Później znowu, gdy pomyślał o Laurencjuszu, jak ten obejmował i całował swoją Lucyndę, czuł się jeszcze dziwniej. Wtedy widział samego siebie, jak pada na kolana przed piękną jak obraz dziewczyną, jak trzyma ją za rękę, wielbiąc w najśmielszych wierszach jej urodę. A najbardziej szalone w tych wizjach było to, że ta przepiękna dziewczyna, którą widział oczami swojej wyobraźni, miała zielone oczy, takie jak Lucynda, ale włosy jasne i uśmiech jak u tej złodziejki, która ukradła mu wtedy w Norymberdze list Kronusa.

Jego list i moje serce, pomyślał Amos. I zaraz prychnął śmiechem, tak bardzo niedorzeczna wydała mu się ta myśl. Jakby w ogóle dziewczyna mogła być tą ukochaną, którą według Kronusa pozna i pokocha „we właściwym czasie”! To zupełnie niemożliwe, powiedział sobie Amos. Cóż miałyby go łączyć z tą brudną złodziejką? Z wyjątkiem skórzanego rzemienia ze srebrnym trójkątem, który zerwał jej wtedy z szyi.

Niczym młody, wygłodniały pies pałętał się niespokojnie po zamku. Kapitan i jego ludzie leżeli tymczasem wzdłuż i wszerz w kurzu, chroniąc się przed słońcem w cieniu. Drzemali sobie, starając się przespać najgorszy upał, podobnie zresztą jak i ptaki w lesie jodłowym na dole, czy psy w fosie przed zamkiem, które unikały wszelkiego niepotrzebnego hałasu lub wszelkiego zbytecznego poruszenia się. Tylko świerszcze cykały jak szalone na łąkach dookoła, i taką właśnie pełną cykających świerszczy górską łąką wydawał się teraz sam Amos, którego wypełniały brzęczące zniecierpliwienie, iskrzące się podniecenie i cykający niepokój. W jednej chwili wydawało mu się, że musi od razu pobiec w dół do Kirchenlamnitz, by następnie wraz z

Bardem i Markiem niezwłocznie udać się w podróż do Norymbergi. Potem znowuż sam śmiał się z siebie: co też, u diabła, miałby począć w Norymberdze, szukać zielonookiej złodziejki, a jeśli nawet, to co później?

Czuł się jak dorożka, do której boków zaprzęgnięto po cztery konie i dodatkowo jeszcze po jednym do każdego z rogów. I wszystkie te dwadzieścia rumaków ciągnęło wóz we wszystkie możliwe strony, a on sam skakał to tu, to tam, nie posuwając się z miejsca nawet o trzy stopy.

A jednak musiał pojechać do Norymbergi – czuł to tak bardzo wyraźnie, że szczekał zębami, kurczowo trzymał się oburącz galki u drzwi, poręczy przy schodach i kepek trawy, by tylko nie zacząć natychmiast biec.

Kronus surowo zabronił mu ponownego składania odwiedzin przed poniedziałkiem. Sam zresztą stary mężczyzna wydawał się spięty i zaniepokojony, gdy Amos rozstawał się z nim trzy dni wcześniej przed starym młynem.

– Jeśli o mnie chodzi, to wydaje mi się, że w tym miejscu nie ‘jesteś już bezpieczny – powiedział wtedy do niego jeszcze raz z naciskiem. – Przyjdź w następny poniedziałek, tak będzie dobrze, i gdy przeczytasz wtedy jeszcze raz pierwszą opowieść, to zupełnie wystarczy, wcześniej nie powinieneś tego uczynić.

Gdy Amos zapytał go, kiedy będzie mógł przeczytać drugą opowieść, Kronus pokręcił głową z nieskrywanym przerażeniem.

– Na miłość boską, chłopcze. Musi upłynąć jeszcze dużo czasu. Biorąc pod uwagę, jak bardzo jesteś podatny na pisma duchowe, poszybowałbyś do nieba na pierwszym promieniu słońca, gdybym na ciebie nie uważał.

– Ale na czym polega działanie drugiej opowieści? – spytał Amos. – Czy naprawdę można poszybować do nieba, panie, gdy w całości wyobrazisz ją sobie w myślach?

Jednak wtedy Kronus stał się małowówny, jak to czasami zdarzało się, gdy miał już dość dręczących pytań Amosa.

– Szybować? W pewnym sensie owszem – wymamrotał jeszcze.

– Potrafią to tylko ci, którzy dotarli do samego końca. A teraz wystarczy już tego.

Amos nie wątpił w to ani przez chwilę. Już swoją pierwszą opowieścią Kronus rozpalil tysiące światełek w jego duszy, a gdy wyobrazisz sobie w pamięci całą *Księgę duchów*, z pewnością będzie mógł szybować w przestworzach na promieniach słońca lub duchem przenosić się do odległych miejscowości. Na razie mógł co najwyżej błędzić bez wytchnienia i liczyć godziny, które jak na przekór posuwały się naprzód w żółwym tempie.

Aby się nieco rozerwać, wcześniej o poranku, zanim jeszcze upał stawał się nie do zniesienia, ćwiczył się w walce z paziami rycerza Heriberta na zamkowym dziedzińcu. Jednak myślami był gdzie indziej, w starym młynie, u Laurencjusza lub przy swej studni w Norymberdze. A ponieważ i tak nie znajdował szczególnego upodobania ani w walce na miecze, ani w zapasach, zazwyczaj przegrywał. Nawet Bastian, najmniejszy i najsłabszy z paziów, pokonał go pewnego ranka lancą i długim sztyletem. Wtedy jednak w Amosie rozpuściła się taka burza wścieklej złości, że wytracił miecze turniejowe najpierw Bastianowi, a następnie dwu innym młodzieńcom, by później gołymi rękami powalić jednego po drugim w zapasach.

Na niewiele się to jednak zdało. Ledwie bowiem zszedł do sadzawki pod zamkiem i wskoczył do wody, by zmyć pot ze skóry, a już znów przyszła mu na myśl Norymberga. Znów czuł szarpiącą mu nerwy, pilną potrzebę, by udać się do wielkiego miasta, i to tak szybko, jak to w ogóle było możliwe. Ale dlaczego się tak działo, tego – do diabła – nie mógł się dowiedzieć. Ostatecznie, zielonooka dziewczyna, która swoją wprawną ręką złodzieja przejechała mu po piersi, nie mogła przecież być prawdziwym celem tej podróży.

Raz po raz usiłował nawiązać kontakt duchowy z Kronusem, jednak w tych dniach prawie w ogóle mu się to nie udawało. Stary mężczyzna wyjaśnił mu, że taki kontakt można nawiązać tylko wtedy, gdy życzą go sobie obie strony.

– Aby strumień zdołał wytrysnąć ze skały – powiedział – musi się najpierw otworzyć źródło. Jednak aby mógł znaleźć ujście w większej rzece, także rzeka musi otworzyć przed nim swoje koryto. – Tymczasem, jak się zdaje, stary mężczyzna przez większość czasu nie otwierał swego wnętrza, i tylko raz dziennie, zazwyczaj wieczorem, Amos czuł jakby ciepły promień światła w swoim sercu, a wtedy od razu wiedział, że Kronus ma się dobrze.

Przez większą część dnia Amos schodził wszystkim z drogi. Godzinami przesiadywał w swojej ulubionej kryjówce, w małej izdebce we wschodniej wieży zamku, patrząc na rozległy krajobraz. Pod nim, w głębi rozciągał się las jodłowy, jednak z położonego w niecce starego młyna nie było stąd widać ni dachówki. Innym znowuż razem wspinał się na klif po drugiej stronie zamku – na spadzisty występ skalny poniżej murów obronnych – gdzie przesiadywał godzinami, marząc, że znajduje się daleko stąd. Goła skała, na której siedział, opadała prawie pionowo, a u podnóża góry zamkowej wiła się droga wyglądająca z góry jak wyschnięta rzeka.

Dni mijały powoli, boleśnie powoli. Wieczorami Amos przyglądał się zazwyczaj sokołowi krążącemu nad polami przed Kirchenlamitz. Czasami przez pół godziny, zanim drapieżnik błyskawicznie zlatywał w dół, by już po chwili wzbić się z powrotem w przestworza

ze zdobyczą w dziobie. Jednak w niedzielę wieczorem sokół nie pojawił się.

Amos uznał to za dobry znak – jutro z samego rana znów pójdzie do Kronusa, a tam wszystko się wyjaśni. Zaraz potem poczuł w sercu ciepły promień światła i odesłał uśmiech pełen szczęścia.

Jednak już po chwili miał znowu wrażenie, że z podekscytowania rozprysnie się na kawałki. Z troski o Kronusa, o *Księgę duchów*, z brzęczącego, iskrzącego się podniecenia. Z przerażającą wyrazistością czuł, że musi czym prędzej udać się do Norymbergi. Nie widział jednak, co miałby tam począć, tak jak i nie wiedział jeszcze niczego o Hannesie Mergelinie, który w tej samej chwili siedział w swej dusznej mansardzie na posłaniu ze słomy, z zawiązaną na sznurek i opieczetowaną *Księgą duchów* u swych stóp.

## ROZDZIAŁ III

# 1

GDY W PONIEDZIAŁEK O PORANKU HANNES MERGELIN wchodził do głównej sali Urzędu Cenzury Rzeszy, miał za sobą najstraszliwszą noc w swoim życiu. Gdyby choć trochę przeczuwał, że ta przeklęta księga o duchach spędzi mu sen z powiek i rzuci na niego urok, z pewnością nie zabrałby jej w sobotę wieczorem ze sobą do domu.

Tak szybko, na ile pozwalała mu jego kuśtykającą lewą nogą, przemierzył salę.

*Księga duchów*, którą niósł w tobołku na plecach, przy każdym kolejnym kroku podskakiwała i uderzała go między łopatkami. Właściwie opadała zbyt ciężko, jak na taką cienką książkę. Poza tym najwidoczniej mogła także wedle upodobania zmieniać temperaturę – raz parzyła niczym ogień z pieca, innym znowuż razem była lodowata jak grudka lodu.

Srebrne, później znowuż jaskrawozielone płomienie buchały w nocy z manuskryptu, tymczasem Hannes siedział w swojej ciemnej izbie na posłaniu ze słomy, z kolanami podciągniętym aż pod brodę i z zaciśniętymi szczękami, bał się bowiem, że zacznie krzyczeć. Diabelskie pismo leżało przed nim w odległości trzech stóp. A to, co szeptało, dobywając się spod giętkiej oprawy ze skóry, nie tylko wyglądało jak buchające płomienie, lecz brzmiało ponadto niesamowicie przerażająco, niczym chór szepeczących głosów:

– ... Duchy, Hannes, *Księga duchów*, czytaj no, duchy, Hannes, czytaj...

Pomruki z dna piekła, pomyślał Hannes Mergelin, który – odbijając się stopień za stopniem – podążał ciągnącymi się w nieskończoność schodami. I wcale nie było tak wcześnie rano, jak mu się to wydawało. Najwidoczniej wszyscy urzędnicy i pisarze byli już w pracy, a on dokuśtykał na miejsce jako ostatni. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się nic podobnego – pozostało mu teraz mieć tylko nadzieję, że jakimś szczęśliwym zrzędzeniem losu Jan Skythis również się spóźni. Bo pan podcenzor nic jeszcze nie wiedział o tym, że jego ulubiony pomocnik przedwczoraj wieczorem upchał do swojego tobołka *Księgę duchów*.

Na trzecim piętrze Hannes skręcił w ciemny korytarz, udając się do biura Jana Skythisa. Tak czy owak, już wcześniej zdarzało się, że brał ze sobą do domu z urzędu cenzury luźne lub



związane rękopisy. Za pomocą tej myśli usiłował dodać sobie odwagi, choć trudno było to dostrzec w jego zachowaniu. Skythis bowiem nigdy jednoznacznie nie wyraził zgody na zabieranie pism, tak aby Hannes mógł następnego dnia o poranku zanieść je bezpośrednio na plac Dominikański, gdzie urzędowała Kościelna Inkwizycja. Jednak w sobotę wieczorem Hannes samowolnie wsadził książkę do swojego tobołka, gdy Skythis obrócił się właśnie do niego plecami. Jednocześnie podcenzor zdążył mu jeszcze nieco wcześniej zakomunikować, iż zamierza zabrać się do tej tandety w poniedziałek z samego rana, w tygodniu musiał bowiem załatwić pilniejsze recenzje.

– Znowu ten diabelski bełkot wyobraźni – westchnął ciężko, rzucając pełne zdegustowania spojrzenie na zawiązaną na sznurek i opieczętowaną *Księgę duchów*. – Guz duszy toczony przez dżumę, ale my już go przekłujemy.

A tak właściwie, to dlaczego zabrałem tę książkę ze sobą? To pytanie nieustannie sobie zadawał Hannes w ciągu weekendu. *Księga duchów* dopadła go nie na żarty, tak mu się przynajmniej później wydawało. Jakimś sposobem nakazała mu, by wziął ją niepostrzeżenie ze sobą.

W domu wrzucił tobołek do skrzyni, by stracić ją z oczu i więcej o niej nie myśleć. Ale już w nocy z soboty na niedzielę Hannes spał bardzo niespokojnie, jakby jakiś obcy krążył po jego pokoju. A gdy obudził się wcześniej rano, nie mógł już myśleć o niczym innym. Jakby w jego skrzyni czaiła się gotowa do skoku jadowita ropucha. Zamiast studiować swoje kodeksy, wybiegł w biały dzień na ulicę i błąkał się bez celu. Po pewnym czasie wrócił do swojej izby, powodowany odwagą wynikającą z rozpaczony otworzył skrzynię, z której wyciągnął tobołek. Rozwiązał go, wywrócił na wierzch i wysypał całą jego zawartość na ziemię, tak jak opróżnia się worki z chrząszczami i czerwiem.

Następnie z szybko bijącym sercem zrobił kółko wokół książki, nie spuszczać jej ani na chwilę z oczu. Ta leżała spłaszczona na ziemi, na szczęście obwiązana sznurem o grubości palca i przypiętowa miodowo żółtym woskiem. W odcisku pieczęci można było wyraźnie rozpoznać pozbawione wszelkich zawijasów inicjały VK.

Hannes nie rozwiązał sznurka, na to starczyło mu jeszcze samoopanowania, mimo że z diabelskiej książki nieustannie buchało i syczało. Gdzieś koło północy przykucnął obok książki, trzymając w prawej ręce świeczkę. Lewą ręką wyskubał spod giętkiej oprawy jedną ze stron, zgiął ośle uszy, by zobaczyć, co było napisane na spodzie.

W ten sposób nie udało mu się zbyt wiele przeczytać, a już w ogóle nie potrafił nadać

temu żadnego sensu, ale w przypadku „guza duszy toczonej przez dżumę” i tak nie mogło być chyba mowy o wyższych konotacjach. Wiadro pełne wody”, odszyfrował Hannes w jednym z fragmentów, w innym miejscu „miecz z błyskawic”, a jeszcze później, gdy zgiął kolejne kartki i poskubał między oprawą a sznurkami: „... dziko ruszali głowami... ramiona podobne do płomieni... jaskrawokolorowa suknia z piór” i inne tego typu nonsensy.

Dziecinny bełkot. Gorączkowe majaki. Z pewnością niewarte tego, by zajmował się nimi szanowany pomocnik pisarza Mergelin. Jednak jak tylko Hannes opadł ponownie na swoje legowisko, zgasił świecę i zamknął oczy, z książki o duchach zaczął wydobywać się szept: „Czytaj, Hannes... księga duchów... czytaj”. I tak raz po raz, przez całą, nieznośnie dłużącą się noc.

Teraz zatrzymał się przed drzwiami do biura Skythisa. Nasłuchiwał, wstrzymując oddech, ale nie słyszał niczego poza szybkim tętnem. Zapukał i wszedł do środka, nie czekając na odpowiedź. Podcenzor stał już za swoim pulpitem.

– Gdzieś ty się podziewał, Johannesie? – zawołał w jego stronę. – I gdzieś odłożył ten skrypt, te brednie wsiowego Krezusa?

– Kronusa – sprostował Hannes. Zdjął tak spokojnie jak to tylko było możliwe tobolek z pleców, rozwiązał go i położył *Księgę duchów* przed Skythisem na pulpicie.

– Masz go przy sobie? – Podcenzor wydawał się zdziwiony. Wilczymi, skośnymi oczami nieufnie zmierzył swojego pisarza.

– Tylko dla bezpieczeństwa, panie – wymamrotał Hannes.

– Z obawy, że mógłby dostać się w niepowołane ręce. Ale sami widzicie przecież, że sznurek i pieczęć są nietknięte.

Skythis pomacał sznurek, którym książka była obwiązana wzdłuż i wszerz. Wreszcie kiwnął głową i wziął nóż do ręki.

– Miałeś dobre intencje, Johannesie – powiedział – ale następnym razem najpierw zapytaj o pozwolenie.

Hannes poprosił, mamrocąc, o wybaczenie. Pokuśtykał za pulpit do pisania i zaczął ostrzyć swoje pióro. Był tak zmieszany i wykończony, że najchętniej kucnąłby na ziemi za pulpitem i schował głowę między ramiona. Ale nie było to – rzecz jasna – możliwe.

Podcenzor zerwał i ściągnął swoimi niezgrabnymi palcami sznurek z pieczęcią z książki. Hannes poczuł zakłopotanie, jak za każdym razem, gdy widział jego szerokie dłonie z przykrótkimi palcami przy pracy. Zdawał sobie sprawę, że on sam także nie grzeszył urodą, ale

podcenzor wyglądał wręcz odpychająco. Jan Skythis przypominał już raczej krzyżówkę lisa z wilkiem niż chrześcijanina. Był grubokościsty, a mimo to chudy. Głowa, osadzona na cienkiej szyi, sprawiała wrażenie, jakby na górze zwęzła się w szpic. Jego ręce wydawały się stworzone raczej do kopania, do grzebania w błotnistej ziemi niż do pisania czy wertowania manuskryptów, czym podcenzor zajmował się w istocie przez większość czasu. Cerę miał szarą jak szata, którą nosił, miał przy tym dopiero trzydzieści lat, nie był więc jeszcze starym człowiekiem. O ile informacje na jego temat, którymi dysponował Hannes Mergelin, były prawdziwe, Jan Skythis żył jak zdziwaczały stary kawaler w pozbawionym wszelkich dekoracji i światła mieszkaniu na parterze, zaledwie trzy uliczki od urzędu cenzury. Hannesowi jeszcze nigdy nie dał się poznać od innej strony niż jako ponury, nieufny i oschły człowiek, a mimo to Mergelin podziwiał go i niczego tak nie pragnął z całej duszy jak tego, by stać się takim jak on. Takim nieprzystępnym, niezłomnym, nieomylnym. Bardzo mu się podobało, że Skythis nazywał go zawsze Johannesem, używając najdostojniejszej formy jego imienia, tymczasem w domu rodzice i bracia wołali na niego zawsze Hanno.

Możliwe nawet, że najstraszniejszą rzeczą, która przydarzyła mu się ostatniej nocy, było wspomnienie rodziców i obu starszych braci, pierwszy raz od wielu lat – taka myśl nasunęła się teraz Hannesowi. Z bolesną dokładnością przypominał sobie, jak odwrócił się raz na zawsze od swojej rodziny – nie szczędząc przy tym gorzkich słów – i odszedł, nie oglądając się już więcej w ich stronę. Od tamtego czasu minęły już trzy lata, a on sam nie chciał więcej myśleć o tych odległych, właściwie dawno przewyżczonych, bolesnych wydarzeniach.

Tymczasem Jan Skythis otworzył *Księgę duchów*. Kręcąc głową, wertował ze zde gustowaną miną jej stronicę, od czasu do czasu robiąc krótkie notatki i pogardliwie się uśmiechając.

Hannes musiał zająć się jeszcze przepisywaniem wielu recenzji, które podcenzor podyktował mu w zeszłym tygodniu. Jednak w czasie, gdy energicznie skrobał piórem po kartce, raz za razem spoglądał ukradkiem w stronę Skythisa. Wydawało się, że na tym doświadczonym urzędniku cenzury *Księga duchów* nie robi szczególnego wrażenia. Bardzo to dziwiło Hannesa, gdyż sam wciąż jeszcze czuł nader wyraźnie moc emanującą z tego manuskryptu. Nawet jeśli spomiędzy jego kart na szczęście nie wybuchały już żadne srebrzyste i jaskrawozielone płomienie, tak jak to miało miejsce jeszcze w nocy. A może tylko uroił sobie wszystkie te wizje, uwięziony między snem a jawą? Nie, Hannes nie wierzył w to ani trochę. Tym bardziej że nadal słyszał dochodzące z wnętrza księgi diaboliczne syczenie, które tak bardzo wystraszyło go tej

nocy. Jednak Skythis zdawał się w ogóle nie dostrzegać nic z tych rzeczy – galopem wertował wypociny wsiowego autora, a swą pracę ukończył jeszcze przed południem.

– Johannesie, weź formularz urzędowy – rozkazał podcenzor. – Postanawiamy, co następuje...

## 2

JESTEM... – POWIEDZIAŁ AMOS i rozejrzał się oszołomiony wokół siebie. – Jestem... – Po głazie, rzece i małym, zielonym stworzeniu nie było ani śladu. Co najwyżej mógł jeszcze dostrzec tylko kilka mgławic z rozmytym zarysem krainy, z której właśnie powrócił, – ... u Kronusa – dokończył zdanie. – I nie nazywam się Laurencjusz Answer, lecz Amos von Höhenstein.

Przez krótką chwilę wsłuchał się w siebie i roześmiał się. Najwidoczniej wciąż jeszcze mógł być tylko jednym z nich, Amosem lub Laurencjuszem. A teraz był akurat Amosem składającym wizytę w starym młynie – a Kronusa nie było widać, jak okiem sięgnąć.

Jednak uzgodnili to już wcześniej, przyszło mu teraz na myśl: Amos miał się dzięki temu nauczyć, „powracać samemu”. Z jednego świata do drugiego lub do rzeczywistości.

– Abyś nigdy nie utknął w *Księdze duchów* – powiedział wtedy Kronus gwoli wyjaśnienia. Nie było przy tym jasne, czy jego ostrzeżenie należało traktować poważnie.

No dobrze, pomyślał Amos, jestem tu z powrotem – i nie ugrzęzłem po stronie Laurencjusza. Nagle znów poczuł ten drażniący niepokój, te sto tysięcy światełek, którymi był naładowany, odkąd po raz pierwszy przeczytał opowieść o Wawrzyńcu i Lucyndzie. A po chwili także to parcie wewnętrzne, nakazujące mu niezwłoczny wyjazd do Norymbergi, którego nie dało się w żaden sposób racjonalnie wytłumaczyć – bo co niby miałby tam robić. Przez krótką chwilę i jak przez mgłę widział przed sobą gąszcz ulic, setki przechodniów, rycerzy, dorożek, chłopskich wozów, tworzących fale kołyszące się w nieładzie.

Wizja zatarła się. Byś może nie była to nawet Norymberga, lecz jakieś inne miasto – miasto z innego świata i innej rzeczywistości. Amos pokręcił głową.

– Gdzie jesteście, panie? – zawołał, starając się jednak nie podnosić głosu. W końcu mogło przecież być tak, że stary mężczyzna znów położył się na chwilę.

Możliwie najciszej poszedł schodami do prywatnych pokoi Kronusa na górze. Gdy stał już przed drzwiami do sypialni starego mężczyzny, usłyszał dochodzące ze środka przytłumione

odgłosy rozmowy. Amos wstrzymał oddech i przyłożył ucho do drewnianych drzwi. Usłyszał dobrze znany głos Kronusa, ale jakby zniekształcony, jakby uczony mamrotał coś przez sen.

– Nigdy do tego nie dojdzie – usłyszał. – O wszystko zadbano, rozważono wszystkie możliwości.

Na kilka chwil zaległo milczenie. Kronus jęknął cicho, wtedy przemówił zupełnie inny głos:

– A co jeśli nie? – powiedział ktoś rozdrażnionym tonem. – Co wtedy?

Ten drugi głos brzmiał nieco cienie niż głos Kronusa. Bez wątplenia był to również mężczyzna, ale jego mowa zdawała się sugerować, że chodzi o starca.

– Rozważyliśmy wszystko – odparł spokojnie Kronus. – Bóg sprzyja naszym planom.

Drewniane drzwi poorane były siecią włoskowatych pęknięć. Amos usiłował wejrzeć przez nie do środka, ale te okazały się zbyt małe, by można było coś dojrzeć. Mimo to Amos dostrzegł Kronusa, który siedział u stołu w środku swojej izby, ze wzrokiem skierowanym na ścianę powyżej łóżka. Przekonał się także, że w pokoju nie przebywał nikt oprócz starego mężczyzny.

– Bóg i duchy są z nami – powiedział teraz drugi głos, a Kronus gniewnie gestykulował w stronę ściany.

Amos zmrużył oczy, by wyraźniej zobaczyć, co Kronus tak wytrwale mierzył wzrokiem.

– Duchy także – zawołał Kronus – są jego stworzeniami! – Podniósł się i uczynił szybki znak w stronę ściany. Przez krótką chwilę Amosowi wydawało się, że widzi cienki jak nie dym, unoszący się nad łóżkiem przed drewnianą ścianą. I już po chwili nie był już pewien tego, co widzi, a jeszcze później Kronus zawołał:

– Wejść no do środka, drzwi nie są zaryglowane.

Amos, zawstydzony, pchnął drzwi. Jednak stary mężczyzna, zamiast robić mu wyrzuty, że podsłuchiwał, zwrócił się do niego z uśmiechem.

– Czyżbyś właśnie wrócił ze świata Laurencjusza? Ja tymczasem deklamowałem wiersze. Jeszcze w czasach młodości marzyłem o tym, by podróżować od placu do placu, by zaskakiwać ludzi sztuczkami brzuchomówcy. – Przez moment trzymał swoje dłonie na ramionach Amosa. – Powiedz, chłopcze, jakie to uczucie wracać znad huczącego potoku Laurencjusza Answera do tego zacisznego świata książek?

Amos spuścił głowę. Czyżby rzeczywiście tak bardzo pomylił się w ocenie sytuacji? Jeszcze przed chwilą był pewien, że Kronus w jakiś magiczny sposób rozmawiał z duchem lub

jakąś odległą osobą. A teraz znów nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć.

– Ta księga mąci mi w głowie – odpowiedział w końcu. – Wzbudza we mnie moce, które stają się z każdym dniem, z każdą godziną coraz większe. Przeraza mnie, że nie wiem, jak mam z nich korzystać ani dokąd mnie one poprowadzą.

Kronus pokręcił uspokajająco głową.

– Wszystko się dobrze ułoży, wierz mi, Amosie – ja cię poprowadzę.

*TAK ZWANA Księga duchów jest nikczemnym kiczem bezbożnej sztuki uludy. – Tak było napisane w recenzji Jana Skythisa. – Zawiera cztery facecje, wymyślone przez samego autora, jedna bardziej bezsensowna od drugiej. Ta lunatyczna gadanina, jeśli zostałaby wydrukowana i puszczona w obieg, zwiększyłaby jeszcze zamęt panujący w głowach i sercach ludzi.*

*Zdolność ufego czytelnika do rozpoznawania i stosowania żelaznych praw boskich i cesarskich niechybnie ucierpiałaby wskutek tego obłąkańczego utworu poetyckiego autorstwa Valentina Kronusa z Kirchenlamitz.*

*Dla udowodnienia przytacza się, iż:*

*A. Autor wymyśla rycerza, który przez własną tarczę przedostaje się do innego świata złożonego z barwnych cieni, jakim może być tylko demoniczny świat uludy.*

*B. Ów rycerz ma wejść do studni, by odwiedzić żyjącą w podziemiach diabolicę.*

*C....*

W ten sposób tekst ciągnął się jeszcze przez kilka akapitów. Podcenzor Jan Skythis w każdej linijce *Księgi duchów* dostrzegał bezbożne bajdurzenie, nadające się jedynie do tego, by zachęcić ewentualnych czytelników do łamania praw boskich i cesarskich. Pod koniec Skythis oświadczył:

*Zgodnie z niezachwianym przekonaniem niżej podpisanego, zmyślane pisma należy poddać najsurowszemu zakazowi druku, gdyż sieją one zamęt i podkopują trwałe fundamenty porządku boskiego i świeckiego. Jednak nawet jeśli Wysoki Urząd odrzuciłby taki sposób postrzegania, w żadnym razie nie należy rozważać wydania zezwolenia druku dla przedłożonego lichego dzieła.*

*Decyzja Wysokiego Urzędu powinna raczej brzmieć następująco:*



*Primo – zabronić druku, pismo wraz z oryginałem i istniejącymi ewentualnie kopiami należy wycofać z obiegu i zniszczyć w ogniu.*

*Secundo – autora, Valentina Kronusa, należy doprowadzić przed Wysoki Urząd w celu jego przesłuchania i pouczenia.*

*Norymberga, XII sierpnia 1499 r.*

*Podpisał Jan Skythis, podcenzor.*

Tę recenzję Skythis podyktował swojemu ulubionemu pisarzowi i poinstruował Hannesa Mergelina, by jeszcze tego samego dnia zaniósł książkę wraz z jego stanowiskiem do nadrzędnego działu w Urzędzie Cenzury Rzeszy. Hannes sporządził kopię, pisząc ją najpiękniej, jak tylko potrafił, a następnie dołączył ją do *Księgi duchów*, którą znowu starannie obwiązał sznurem.

Jednak już niosąc pakiet do głównego oddziału urzędu cenzury na piątym piętrze, miał złe przecucie. Szacowni panowie cenzorzy odrzucają wniosek Skythisa, a nawet będą się naśmiewali z podcenzora. Bojan Skythis miał w urzędzie opinię fanatycznego wroga poetów i żaden z dwunastu głównych cenzorów nie podzielał jego przekonania, że lektura zmyślonych pism ma zgubne skutki. Tak nieszczęśliwie się składało, że główni cenzorzy „w podrzędnych sprawach” mogli decydować samodzielnie, nie mając obowiązku przedkładania ich Najwyższemu Cenzorowi Rzeszy. I to właśnie rękopisy będące utworami poetyckimi, takie jak na przykład wyglądająca z wierzchu na nieszkodliwą *Księga duchów*, uchodziły z reguły za tego typu mniej ważne przypadki, i po bardziej lub mniej powierzchownym zbadaniu stanu akt zazwyczaj zezwalano na ich rozpowszechnianie. Bo też cóż mogło szkodzić, że ludzie czytają bajki, w których lis rozmawia z zającem ludzkim głosem lub w których dzielni młodzieńcy wyruszają, by pokonać zionącego ogniem smoka? Niewiele można było zarzucić także autorom opowieści miłosnych, oczywiście jeśli tylko stosowali się do prawa i reguł przyzwoitości. I w równie niewielkim stopniu cenzorzy byliby skłonni zakazać druku i kazać spalić manuskrypt, w którym jakiś zwariowany rycerz przedostaje się przez swoją własną tarczę do zmyślonego świata marzeń. Jeśli tylko w takich krotkach nie szydzono sobie z Kościoła lub cesarza i nie zachęcano biednych ludzi, by mordowali swoich panów cepami, główni cenzorzy prawie zawsze udzielali zezwolenia na druk, nie narzucając się Najwyższemu Cenzorowi Rzeszy takimi „nieszkodliwymi burleskami”. A na pewno nie troszczyli się w takich sprawach o opinię podcenzora, który znany był jako wojujący przeciwnik poetów.

Drwina, z jaką przyjął go sekretarz na piątym piętrze, wzmocniła tylko obawy Hannesa.

– A, Skythis? Będzie niezły ubaw. – Sekretarz był niskiego wzrostu, za to wielkiej próżności. Z tą swoją poskręcaną w loki peruką i białą od pudru twarzą sam wyglądał, jakby uciekł z jakiejś podłej burleski. Do tego wszystkiego doskonale pasowało jego niesamowite nazwisko: Dorian Doring.

Odebrał księgę wraz z położoną na jej wierzchu recenzją, od razu zaczął ją czytać i zaśmiał się szydercza – „Sieje zamęt... podkopuje fundamenty...”. Powiedz no sam, Mergelin, czy twój pan podcenzor nie mógłby wymyślić kilku nowych argumentów? Za każdym razem raczy nas tą samą śpiewką.

Hannes przygryzł wargę. Słowa sekretarza nie całkiem pozbawione były słuszności – właśnie w przypadku tej recenzji Skythis zadał sobie niewiele trudu, wymieniając prawie wyłącznie swoje standardowe argumenty, jakie zwykł wytaczać w walce z utworami poetyckimi. Szczególne zagrożenie, jakie wiązało się z tym pozornie nieszkodliwym rękopisem, najwidoczniej uszło jego uwagi, w każdym razie nie wspomniał o nim w swoim wniosku o zakaz druku. I tak, gdy Hannes Mergelin kuśtykał tego wieczoru z powrotem do domu, był prawie pewien, że główny dział urzędu cenzury nie będzie zważał na recenzję Skythisa i dopuści *Księgę duchów* do druku.

W swej dusznej izbie rozważał na wszystkie strony, co mógłby uczynić, by przechwycić jeszcze tę niebezpieczną szmirę. Gdyby zwierzył się podcenzorowi z tego, co przytrafiło mu się ostatniej nocy, Skythis znów zacząłby go podejrzewać, że potajemnie czytał tę lichą książkę. Nawet nie uszkodzając sznura ani pieczęci, można było wyciągnąć spod nich kilka luźnych kartek, a następnie wsunąć je z powrotem w odpowiednim miejscu. Skythis wiedział o tym równie dobrze jak on. A mimo to musiał porozmawiać z podcenzorem, postanowił Hannes, licząc się z tym, że w oczach Skythisa okaże się kłamcą. Najpierw jednak poczeka na decyzję głównych cenzorów, może jednak zakażą druku *Księgi duchów*, choć z drugiej strony wydawało się to raczej nieprawdopodobne. Później rzucił się na kolana przed Skythisem i przysięgnie mu, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by to diabelskie pismo zostało zakazane i zniszczone, tak jak to w swej mądrości zalecił szanowny podcenzor.

Trzy dni później, gdy Hannes wszedł o poranku do sali w urzędzie cenzury, usłyszał znowu, jak wywoływano jego nazwisko:

– Pomocnik pisarza Mergelin!

Trochę to trwało, zanim – błakając się pośród czarnych kolumn – zdołał odnaleźć

wołającego. Był to znowu urzędnik działu rejestracji Waldo Mulhardt, który dopiero co w zeszłym tygodniu zwałił na niego cały stos manuskryptów, z *Ksiąg duchów* na samym wierzchu. Jednak tym razem Mulhardt trzymał w ręce tylko jedno, cienkie pismo i nie zamierzał podejść do Hannesa. Zamiast tego stał spokojnie przy lewej ścianie bocznej, nieopodal drzwi prowadzących do działu rejestracji.

– Pomocniku pisarza, Mergelin – powtórzył – dobrze, że czatowałem na ciebie w tym miejscu. – Obok niego stał o wiele niższy mężczyzna z ramionami skrzyżowanymi przed sobą, którego Hannes nie rozpoznał.

Powoli zbliżał się do obu mężczyzn, a jego obawy zwiększały się przy każdym następnym kroku: niskim mężczyzną, który – stojąc obok korpulentnego Mulhardta – wyglądał jak karzeł, był nie kto inny, jak sam Dorian Doring, sekretarz w głównym dziale urzędu cenzury.

– No, Mergelin, twój własny cień by cię prześcignął. – Doring pogładził się w zmanierowany sposób po swojej peruce. – Bez urazy, każdy ma swoje słabości. – Wskazał na pismo, a Mulhardt podał je zaraz Hannesowi.

– Sekretarz Doring właśnie przekazał mi tę książkę – powiedział urzędnik działu rejestracji. – Zanieś je na drugie piętro, pomocniku pisarza Mergelin – do działu uwolnień, będziesz wiedział dokąd.

*Księga duchów*, Hannes od razu rozpoznał ją po okładce jasnej i zbyt giętkiej oprawie. Jego ręka zaczęła się trząść, gdy ją odbierał.

– Wyrażono zgodę na druk? – wykrztusił.

Doring i urzędnik działu rejestracji wymienili szydercze spojrzenia.

– Główny cenzor Thomasius Bornfeld – odpowiedział sekretarz – wertował ją nawet ze szczególną przyjemnością i oświadczył, że została całkiem nieźle wymyślona.

– A więc, Mergelin, idź już – rozkazał Mulhardt. – Podcenzor Skythis rozchorował się. Tymczasowo zostałeś przydzielony do działu uwolnień.

– Rozchorował się... A od kiedy choruje, jeśli mogę zapytać?

– W ciągu ostatnich dni Hannes nie widział wprawdzie podcenzora, ale nie zastanawiał się nad tym. Wraz z kilkoma innymi pomocnikami pisarzy pomagał w archiwum, jak zresztą za każdym razem, gdy trafiało tam naraz mnóstwo zakazanych książek i trzeba było wypełnić karty ewidencyjne.

– No, czy ja wiem. – Mulhardt usiłował go przegonić, machając obiema rękami. Jednak Hannes stał jak wryty. Wzdychając ciężko, urzędnik zmarszczył czoło. – Od przedwczoraj, jeśli

mnie pamięć nie myli.

Hannes wciąż nie ruszał się z miejsca. Gorączkowo zastanawiał się nad tym, co to wszystko ma znaczyć i jak mógłby zapobiec przynajmniej temu najgorszemu scenariuszowi, że *Księga duchów* zostanie natychmiast „uwolniona”, a więc, że otrzyma zezwolenie na druk. Czyżby Skythis popadł w niełaskę u swoich przełożonych? A może rzeczywiście zachorował i musiał zostać w domu? Hannes nie mógł sobie wyobrazić sytuacji, w której Skythis leżałby w łóżku tylko z powodu kaszlu czy bólów brzucha. Podcenzor był wszakże fanatycznym łowcą ksiązek, który włókł się za swój pulpit, nawet mając gorączkę i dreszcze.

– Czy coś jeszcze, Mergelin? – spytał Doring.

Hannes łamał sobie głowę i wtedy przysła mu do głowy pewna myśl. Zmusił się do gorliwego uśmiechu.

– Z pewnością macie więcej pism do zanieśienia na drugie piętro? – powiedział do Mulhardta. – Skoro już i tak idę na górę, mogę je zanieść za was.

Urzędnik działu rejestracji kiwnął głową z zadowoleniem.

– Twoja gorliwość jest godna pochwały. Poczekaj minutkę, rzeczywiście mam jeszcze kilka rzeczy dla działu uwolnień.

Mulhardt po chwili wrócił i niósł przed sobą całą górę grubych ksiązek.

– No zobaczymy, czy naszemu bocianowi nie złamie się szcudło – skomentował Doring w czasie, gdy urzędnik działu rejestracji ładował Hannesowi stos ksiązek.

Pod tym ciężarem pomocnik pisarza rzeczywiście omal padł na kolana. Ale zanim Mulhardt zdążył zmienić zdanie, Hannes kuśtykał już żwawo w stronę schodów na końcu sali. Dopiero na platformie na pierwszym piętrze, gdzie obaj mężczyźni nie mogli go już widzieć, zrobił sobie przerwę. Ostrożnie odłożył stos ksiązek na występie muru i odczekał chwilę, aż sobie odsapnął. Jednocześnie popatrywał we wszystkie strony, aby upewnić się, że nikt go nie obserwuje. Jednak o tak wczesnej porze nawet najpilniejsi urzędnicy i pisarze byli jeszcze w swych domach lub dopiero wybierali się do urzędu.

O ile nie powstrzymała ich przed tym jakaś tajemnicza choroba.

Hannes spuścił swój tobolek z pleców. Mulhardt przekazał mu siedem manuskryptów. Ostrożnie wyłowił ten leżący na samym spodzie, by zwinąć go do swojego tobołka. Gdy wkrótce potem oddawał na drugim piętrze pół tuzina rękopisów, obsługujący go urzędnik jęknął:

– Dlaczego nie przynosisz od razu całego worka? Jakbym nie miał nic do roboty! Jak się w ogóle nazywasz?

– Pomocnik pisarza Hannes Mergelin, panie. Zostałem do pana przydzielony zupełnie przypadkowo. Te dzieła macie uwolnić.

– No, niech i tak będzie. Nazywam się Tibur Albsam, jestem dyżurującym urzędnikiem działu uwolnień. Odłóż te rzeczy po tamtej stronie. A następnie bierz się do roboty. Nowe manuskrypty trzeba najpierw odnotować jako uwolnione do druku.

Hannes uśmiechnął się ukradkiem. Starannie wpisał wszystkie sześć pism do przeznaczonego w tym celu notesu.

GDY URZĘDNIKOWI DZIAŁU UWOLNIENÍ wreszcie skończyły się pomysły dotyczące tego, co pomocnik pisarza Mergelin musiałby załatwić koniecznie jeszcze dzisiaj, za oknami Urzędu Cenzury Rzeszy zapadał już zmierzch. Przez cały dzień Hannes musiał pisać listy, za pomocą których cesarski cenzor dopuszczał pisma wszelkiego rodzaju do druku i sprzedaży. Od ulotek, w których wędrowni chirurdzy zachwalali swoje usługi, aż po grube księgi, w których mowa była o podróżowaniu na Księżyc na latających smokach lub o bohaterskich wyczynach rycerzy.

Hannes zarzucił sobie swój tobołek na plecy, skłonił się na pożegnanie i skierował w stronę drzwi. W ciągu dnia kilka razy omal nie stanęło mu serce – ze strachu, że Albsam lub jakiś inny urzędnik krzątający się w dziale uwolnień, mógłby zapytać go o niedoreczony rękopis. Ale jeszcze potworniejsza wydawała się Hannesowi myśl o tym, że po raz kolejny musiał wziąć ze sobą tę przeklętą księgę o duchach.

Mam ją znów zabrać do swojej izby? Nie, to wykluczone, myślał sobie w czasie, gdy zbiegał po schodach z taką prędkością, że omal nie stracił równowagi.

Zamierzał jak najszybciej pozbyć się tej okropnej książki ze swojego tobołka – wszystko inne było teraz nieważne. W żadnym razie nie chciał jej jeszcze raz przechowywać u siebie w nocy. W przeciwnym razie znów nie będzie mógł zmrużyć oka, z księgi znów zacznie syczeć i buchać, możliwe też, że na koniec straci jeszcze panowanie nad sobą i ulegnie wabiącym głosom:

– ... duchy, Hannes, czytaj, duchy, Hannes, czytaj...

Ale sprawy nie zajdą aż tak daleko, już on o to zadba. Wbrew przyzwyczajeniu Hannes minął po prawej kościół Najświętszej Maryi Panny i udał się prosto w stronę ulicy Sukienników, gdzie – zgodnie z jego informacjami – mieszkał podcenzor Skythis.

Jeśli rzeczywiście jest chory, musi być w domu, powiedział sobie Hannes. A jeśli go nie zastanę, niech Bóg ma mnie w swej opiece. Bo nie chcę i nie będę w stanie po raz kolejny dzielić mojej izby z tym demonicznym pismem.

Szedł ulicą Sukienników od drzwi do drzwi, nie dając się zastraszyć ani portierom, ani żadnym innym osobom wzbudzającym respekt. Wszędzie studiował szyldy z nazwiskami. Jednak daremnie szukał jakiejś wskazówki mówiącej, że gdzieś tutaj mieszka podcenzor Skythis. Dopiero, gdy miał już się poddać, na słupku u bramy domu nr 17 dostrzegł zardzewiały, prawie nieczytelny mały szyld z napisem: *Skythis, wejście od podwórza*.

Wszedłszy przez bramę, znalazł się w ciemnym pasażu. Nogi zaczęły się pod nim lekko uginać. Co powie podcenzorowi Skythisowi, jeśli pojawi się u niego bez wcześniejszego zapowiedzenia się? Hannes wyobrażał sobie, jak Skythis otwiera mu drzwi w szlafroku, z ciekącym nosem i błyszczącymi od gorączki oczami, i jak jego twarz zasepi się jeszcze bardziej niż zwykle, gdy już rozpozna, kto przed nim stoi. Ale te obawy na nic się nie zdały – Hannes czuł, że musi się wypowiedzieć z tego, co się stało, i oddać księgę o duchach w ręce Skythisa.

Czarne drzwi na drugim końcu pasażu były pokryte rdzewiejącym żelazem. Hannes pomyślał już, że jednak się pomylił – drzwi wyglądały, jakby prowadziły do piwnicy na węgiel lub nawet do jeszcze gorszego miejsca. Ale wtedy na drewnianej części drzwi odkrył napis *Jan Skythis*, zapisany dobrze mu znanym, kanciastym pismem. W ten sam sposób podcenzor zwykł podpisywać swoje recenzje, po tym jak Hannes skopiował je swoim wymuskany pismem. Najwidoczniej Skythis wrył w drzwiach nożem swoje nazwisko, jakby chodziło nie o drzwi, tylko o drewnianą oprawę książki.

Hannes Mergelin chwycił kołatkę i uderzył nią o drzwi.

Przez długi czas nie było żadnej reakcji. Za żelaznymi drzwiami tylko echo pukania głośno toczyło się w tę i we w tę. A może to serce Hannesa było sprawcą tego łomotu?

Już miał się wykraść z tobołkiem ciężącym mu na plecach niczym jakaś skała, gdy usłyszał dobiegające zza drzwi odległe kroki. Zdawało się, jakby ktoś wchodził po schodach. Wtedy w środku rozbrzmiał szczeł żelaza. Hannes usłyszał wołanie:

– Kto tam?

Pochylił się i usiłował podejrzeć coś przez dziurkę od klucza, jednak po drugiej stronie panowała ciemność.

– To ja, panie podcenzorze – zawołał – pomocnik pisarza Johannes Mergelin.

Jeszcze w czasie, gdy Hannes udzielał odpowiedzi, rozległ się zgrzyt wypchanego do zamku klucza. Drzwi otworzyły się na szerokość wąskiej szpary, a postać, która ukazała się za nimi, przerażonemu Hannesowi wydała się na pierwszy rzut oka zupełnie obca. Ukazał mu się podcenzor ze zmierzwionymi włosami, oczami czerwonymi od choroby, zarośniętą brodą i

policzkami, przez ramię przewieszoną miał poplamioną, szarą derkę.

– Czego chcesz? – zapytał, a swój wzrok skierował ponad Hannesem, w stronę przejścia przez bramę, jakby liczył się z kolejnymi niepożądanymi gośćmi.

– Proszę, wybaczcie mi, panie podcenzorze. Stało się coś strasznego. – Zdawało się, że głos odmówi mu posłuszeństwa. Skythis spojrział na niego opryskliwie i z roztargnieniem, a Hannes obawiał się już, że podcenzor zatrzaśnie mu drzwi przed nosem. Drżącą ręką zdjął swój tobolek z pleców, rozwiązał go i pozwolił Skythisowi rzucić okiem do środka. – *Księga duchów* – powiedział zduszonym głosem, tak bardzo był napięty – ma zostać uwolniona i właśnie... – Znów przerwał, bo jak miał nazwać tę niesłychaną rzecz, którą uczynił: że przywłaszczył sobie, ukradł tę książkę?

– Wziąłeś ją na przechowanie, dobrze się składa, Johannesie, nawet bardzo dobrze. – Skythis wyciągnął książkę z toboleka Hannesa. Także ręka podcenzora zdawała się lekko drżeć. Przy czym w słabym, wieczornym świetle, wpadającym do przejścia przez bramę z ulicy, *Księga duchów* wyglądała jak zwykle pismo. Spod wielokrotnie obwiązanej sznurkami oprawy nie buchały żadne płomienie ani nie wydostawał się żaden demoniczny syk.

Skythis wykonał niezdarne ruch, który sprawił, iż pęk kluczy w jego lewej ręce zazgrzytał.

– Wejść do środka. Nie chcemy chyba wzbudzić sensacji.

Hannes posłusznie przekroczył próg. Podcenzor od razu zaryglował drzwi od środka. Przez chwilę stali w zupełnej ciemności. Potem zapalił zapalniczkę i już po chwili zapłonęła świeczka.

Po prawej stronie znajdowały się na wpół otwarte drzwi, prowadzące do pokoju na parterze. Jednak Skythis zwrócił się w stronę wydeptanych, kamiennych schodów, które prowadziły bezpośrednio do piwnicy. Cała ta sytuacja wydała się Hannesowi trochę niesamowita. Po chwili wahania udał się za podcenzorem na dół. Skythis wydawał się dzisiaj nie być sobą.

U dołu znajdowały się zardzewiałe, okratowane drzwi, które otworzyły się z niechętnym jękiem i które Skythis starannie zamknął, gdy obaj byli już w środku. Hannes znalazł się najwidoczniej w rozległej piwnicy. W słabym świetle można było zobaczyć tylko skrawek pomieszczenia. Jednak było wystarczająco jasno, by o wiele bardziej spotęgować jego niepokój.

Przed murami piwnicy wznosiły się, gdziekolwiek spojrzeł, żelazne kraty, które sięgały aż do sklepienia. Skythis chodził zwawo po pokoju, zapalając kolejne świece i smołowe pochodnie, pęczkami zatknięte w dziurach w podłodze, przed okratowanymi ścianami. W świetle



zapalających się pochodni Hannes dostrzegł także, co znajduje się za żelaznymi prętami.

Z wrażenia opadła mu szczeka, i prawie nie mógł jej zamknąć. To było więzienie książek!

Każda pojedyncza, okratowana wnęka w murze w piwnicy Skythisa była szczelnie wypełniona zwojami pism, stosami papierów, rękopisami oprawionymi w drewno lub skórę.

## 5

*KSIĘGA DUCHÓW* LEŻAŁA NA LŚNIAĄCEJ, kamiennej podłodze, nieopodal okratowanej ściany, obok palącej się pochodni. Jan Skythis rzucił ją tam ze złością, jakby chciał ją od razu wydać na pastwę ognia. Tymczasem książka wyglądała już na nieźle sfatygowaną. Pojedyncze kartki wyzierały z niej pozaginane lub na wpół oderwane. Także sznurek, którym Hannes na powrót obwiązał ją po sporządzeniu recenzji, znów zaczął się rozwiązywać. Na samym wierzchu przyczepiona była kartka rejestracyjna, na której Mulhardt napisał w rubryce „status” swoim ledwie czytelnym pismem – „*uwolniona*”.

Jan Skythis opadł na krzesło, które wraz z chwiejącym się pulpitem stanowiło prawie całe wyposażenie. W odległości kilku kroków stał jeszcze drewniany stołek, na którym usiadł ukradkiem Hannes, mimo że nie został o to poproszony przez Skythisa.

– *Uwolniona* – wymamrotał podcenzor. – Nic dziwnego, że chcą ją uwolnić. Nawet ja nie rozpoznałem od razu, jak strasznie diaboliczne jest to pismo. – Skythis wyglądał jeszcze bardziej odpychająco i strasznie niż zazwyczaj. Jego ukośne jak u wilka oczy nabiegły krwią, a twarz miał szarą, jakby natarł sobie ją kurzem, o ile Hannes zrozumiał jego mamrotanie, podcenzor miał wciąż ostatnich dni „przechodzić przez prawdziwe piekło”.

– Ale ty to poczułeś, Johannesie? – Rzucił mu roziskrzone spojrzenie. – A więc czytałeś ją?

Hannes zaprzeczył, jękając się. Nie rozwiązując sznurka i nie łamiąc pieczęci, miał tylko nieznacznie odgiąć oprawę, podejrzeć tu i ówdzie, a przeczytać udało mu się zaledwie kilka strzępów zdań. Zerwał się ze swojego stolka, prawie tego nie zauważając, i zbliżył się do podcenzora, gestykulując przy tym i zaklinając się.

– W nocy leżała obok mnie w mroku w moim pokoju, panie. Słyszałem syczenie i mamrotanie, które najwidoczniej dochodziły z manuskryptu. Widziałem dobywające się z niej płomienie, które lizały językami między kartkami, a były srebrne jak księżyc i zielone niczym pleśń.

Skythis przez chwilę patrzył na Hannesa ponurym wzrokiem. Następnie, najwyraźniej zaczął marznąć, opatulił się więc derką i pogрузzył w rozmyślaniach. Hannes usłyszał, jak mamrocze:

– Ileż ja już przeczytałem takich szmir, ale tej tutaj żadna się nie równa. Ukrywa całą swoją truciznę pod płaszczkiem niewinnie brzmiących bredni o ukochanej w zamkowej wieży, tajemniczej studni i tym podobnych. – Pokręcił głową. – Myślisz, że nie wiem – wykrzyknął nagle – że wycierają sobie mną gębę w urzędzie? Że nazywają mnie poetożercą, który nie potrafi odróżnić nieszkodliwych burlesek i romansów od rzeczywiście niebezpiecznych pism?

Podniósł się z krzesła, wściekłym ruchem zrzucił z siebie derkę, jednym susem przyskoczył do Hannesa i jął szarpać rękami jego szatę.

– Oczywiście większość zmyślonych pism jest całkowicie nieszkodliwa – krzyczał. – Czytając je, można się co najwyżej zanudzić na śmierć lub zejść śmiertelnie z obrzydzenia od tych słodkich bredni! – Pochodnie migotały i strzelały. Uwięzione książki odpowiadały im wielogłosowym sykiem i jękiem, a może jednak Hannes wszystko to sobie tylko uroił.

Przynajmniej podcenzor wypuścił go z uścisku, a sam Hannes odskoczył czym prędzej o kilka kroków.

– Ale w przypadku niektórych spośród tych lichych utworów – burzył się wciąż Skythis – ta pusta lub słodka powłoka służy tylko do tego, by ukryć właściwe, diabelskie przesłanie. – Znow zbliżył się o krok do Hannesa, zauważył jednak swoje krzesło i znow zwalił się na nie. – To tak jak pieczarka i muchomor sromotnikowy, wyglądają prawie tak samo – ciągnął dalej – mimo że pierwsza jest nieszkodliwa, a nawet zdrowa, podczas gdy drugi zawiera śmiertelną truciznę.

Raz krzyząc, innym razem mamrocząc, Skythis rozwodził się ze wszystkimi szczegółami o „trujących i zdrowych poematach”. Najwidoczniej wciąż jeszcze miał gorączkę, powiedział sobie Hannes, w ten sposób można było przynajmniej wyjaśnić jakoś jego dziwne zachowanie, zaognione oczy i przerażający słowotok. Jednak z pewnością nie można było wyjaśnić tej ogromnej piwnicy, której istnienie Skythis najwidoczniej ukrywał w tajemnicy od wielu lat, krótkotrwałym atakiem gorączki.

Prawdziwa sztuka polega na tym, wyjaśniał, krzyząc, by zaczerpnąć z takiego zmyślonego pisma jak najwięcej, tak aby wyczuć ewentualnie zawartą w nim truciznę, nie ponosząc przy tym samemu żadnej szkody na duchu lub duszy. A tą trucizną były magiczno-demoniczne wtręty, które autor dorzucił do swojego lichego utworu, niczym jakiś skrytobójca

mieszający śmiertelny wywar z lulka i anielskich trąb z przesłodzoną papką. Była to trucizna, która mąci ludzkiego ducha, paraliżuje rozsądek, a zamiast tego budzi utykającą i garbatą przyrodnią siostrą rozumu, którą zachęca do najbardziej odrażających niecznych czynów. A tym potworem była po prostu wyobraźnia, ta zezowata kochanica diabła, która chętnie pomagała wszelkim istotom żywym we wpędzaniu rozumu w obłąd poprzez bezwstydną i bluźnierczą złudzenia, wskutek czego rozum nigdy już nie zdoła dojrzeć czy pojąć harmonijnego piękna boskiego stworzenia.

Skythis opatrywał przy tym swoje wykrzykiwane bez wytchnienia oskarżenia uderzeniami pięści w chwiejający się pulpity. Hannes już dawno rzuciłby się do ucieczki, gdyby tylko wiedział, w jak I sposób mógłby wymknąć się z tego więzienia. Ale jednocześnie słuchał Skythisa z zapartym tchem, by nie uronić ani słowa z tych niesamowitych rzeczy, które wyjawiał mu podcenzor.

Wszystko stałoby się o wiele prostsze, ciągnął dalej Skythis, gdyby tylko najwyższy cenzor wreszcie zdobył się na to, by kategorycznie zakazać wszystkich wymyślonych utworów i innych bajek. Ale zanim do tego dojdzie, Skythis w dalszym ciągu będzie musiał nieustannie narażać swoją integralność duchową i swoje zbawienie, by jako degustator sprawdzać, czy dane pismo jest skażone szatańską magią. Na szczęście w ciągu tych wszystkich lat udoskonalił swoje wyczucie czytelnicze do tego stopnia, że już po przewertowaniu kilku stron potrafił wyczuć, czy dany poemat jest przesycony tą trucizną, która – pobudzając ludzką wyobraźnię – sprowadzała czytelnika na piekielne bezdroża.

– Sam się o tym mogłeś przekonać, Johannesie – rzekł, zwracając się do pomocnika pisarza – że główni cenzorzy pomijają moje wnioski o nałożenie zakazu na druk, niezależnie od tego, jak ważkie przedkładam argumenty. W takich przypadkach nie pozostaje mi nic innego, by jeszcze raz wszcząć polowanie na tę samą zdobycz. – Wyciągnął ramiona, wskazując na książki za kratami.

– Najwyższy cenzor uwalnia demony, a ja znów muszę je wylapywać. Tak to już jest.

Hannesa wszystko to zaczęło przerastać. Podziwiał podcenzora za odwagę, skoro ten najwidoczniej na własną rękę polował na manuskrypty. Jednocześnie czuł się coraz bardziej nieswojo, nad wszystkimi tymi emocjami brała jednak górę jego ciekawość. Dlaczego Skythis więził setki rękopisów w swojej piwnicy? Z jakiego powodu pilnował jeszcze manuskryptów niczym strażnik więzienny, zamiast je po prostu zniszczyć, co regularnie zalecał w swoich recenzjach?

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Hannes podszedł do okratowanej ściany i zajrzał ukradkiem do znajdującej się za nią wnęki w murze. Żelazne pręty stały tak blisko siebie, że nawet małe dziecko nie mogłoby sięgnąć przez kratę, by wyłowić z wnęki jeden z foliów lub choćby jakąś pojedynczą książkę.

Hannes szybko odszyfrował kilka tytułów na skórzanych i drewnianych grzbietach książek: *Król Lasu... Podróż w głąb ziemi... Urodzeni na Księżycu...* Jednak żaden z nich nie wydał mu się znajomy.

I co miało znaczyć to, co Skythis właśnie mu powiedział, że „znów wyłapuje” manuskrypty, które zostały dopuszczone przez urząd cenzury? Być może Skythis był w zмовie z urzędnikami w dziale uwolnień, którzy potajemnie wydawali mu pisma do jego piwnicy, zamiast przekazywać je warsztatom drukarskim? Ale nie, na pewno się mylił – w końcu taki spisek zostałby szybko wykryty, a zaangażowane w niego osoby wkrótce same wylądowałyby w więzieniu.

Ale co innego mogło się za tym kryć? A może większość z rękopisów, które Skythis tu gromadził, nigdy nie dotarła do urzędu cenzury? Możliwe, że Skythis znał sposób, by odpowiednio wcześniej przechwytywać podejrzane pisma – zanim jeszcze zdążyły trafić do urzędu cenzury lub nawet zanim w ogóle ich autorzy powzięli decyzję o oddaniu ich do druku. O tak, to by miało już jakiś sens, powiedział sobie Hannes. Postanowił jednak, że lepiej zrobi, jeśli nie będzie wypytywał o to podcenzora – przynajmniej nie teraz. Dziś Skythis cierpiał wprawdzie na słowotok, jednak już jutro mógłby pożałować, że zwierzył się swojemu pomocnikowi z tak niebezpiecznych tajemnic. I czy Skythis nie zaczął się nagle zachowywać niepokojąco cicho?

Hannes usłyszał za swoimi plecami bulgotanie. Szybko obrócił się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak Skythis rzuca się na ziemię w stronę *Księgi chichów*, by ją podnieść. Lewą ręką trzymał ją w górze, a prawą grzebał przy pasku. Po chwili podcenzor dobył sztylet i jął wymachiwać bronią nad tą z pozoru jakże niegroźną książką, jakby jej wygrażając.

– Przez dwa dni i dwie noce, Valentinie Kronusie – krzyczał – ciągałeś mnie poprzez piekło! Za pomocą tej przekłetej tarczy chciałeś mnie przymusić, bym wskoczył do tej diabelskiej studni, ale ja bronilem się ze wszystkich sił. Tysiącami głosów twoje duchy namawiały mnie, raz mi grożąc, innym razem schlebując, pieszcząc mnie i dręcząc – a mimo to ja pozostałem nieugięty. Niczym męczennik w rozżarzonym, żelaznym piecu, taki byłem niezłomny, Kronusie, a teraz nadszedł czas, by zaatakować cię tą samą bronią.

Za jednym zamachem spuścił nóż na *Księgę duchów*, jakby chodziło o jakieś stworzenie,

któremu trzeba wyrwać serce. Jednak zanim jeszcze końcówka ostrza zdążyła zarysować oprawę, cofnął nóż i schował go z powrotem do pochwy u pasa. Hannes usłyszał jeszcze, jak Skythis wymamrotał:

– Gdyby to tylko było takie proste.

Przez kilka chwil Skythis stał jeszcze w tej samej pozycji, kręcąc głową, pochylony nad książką, którą trzymał w ręce. Gdy w końcu odwrócił się ponownie w stronę Hannesa, znów wydawał się prawie sobą.

– Pewnie już sobie wszystko dopowiedziałeś, Johannesie – powiedział, wskazując okratowane ściany po prawej i lewej stronie. – Wszystko to są rękopisy zatrute demoninością i dlatego też nie mogę ich tak po prostu zniszczyć. Ich stwórcy zaopatrzyli je w magię ochronną – każdy, kto uszkodzi jedną z nich naumyślnie lub będzie usiłował zniszczyć ją za pomocą ognia lub kwasu, wystawi się na ogromne niebezpieczeństwo. Najpewniejszym środkiem zaradczym jest – przynajmniej na razie – przechowywanie ich tutaj w lochu.

W niezachwiany sposób Skythis kontynuował swój wywód. Najwidoczniej zdobył się na jakąś decyzję.

– *Księga duchów* jest przesączona najniebezpieczniejszą demoninością, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia – wyjaśnił.

– Zawarta w niej trucizna ma bez porównania silniejsze działanie niż w przypadku każdego innego, demonicznego utworu. Ponadto nie sposób jej prawie w ogóle wykryć, gdyż jest ukryta w poetyckich opowieściach. – Uniósł księgę i patrzył na nią przez chwilę spod ściągniętych brwi. – Ten manuskrypt jest bez wątpienia majstersztykiem najbardziej zgubnej sztuki diabelskiej – ciągnął dalej, ale już zupełnie spokojny. – Sam mogłem przekonać się o jej piekielnych mocach, przechodząc przez dwudniowe męczeństwo. Nie wystarczy po prostu zamknąć ją w lochu. Bo w tym przypadku mamy do czynienia z niebezpiecznym wrogiem, którego pokonanie będzie wymagało wielkiej rozwagi i podjęcia zdecydowanych środków.

Szybko podszedł do pomocnika pisarza i wyciągnął *Księgę duchów* w jego stronę.

– O samym świcie – powiedział – zanieś to pismo na plac Dominikański. Zrozumiałeś, Johannesie?

Ale Hannes pokręcił tylko kurczowo głową. Poruszał się tyłem w kierunku drzwi piwnicy i przycisnął się do kraty.

– Proszę nie, panie – wybełkotał – nie mogę.

Nie chciał jeszcze raz spędzać całej nocy z tym tandetnym utworem w swoim pokoju ani

widzieć srebrzystych płomieni, czy słyszeć tego okropnego syku dobywającego się z papieru. Możliwe, że znów dałby się ponieść emocjom i zaczął *czytać* to diabelskie dzieło, a wtedy demony... Zaczął szcząkać zębami.

– Uspokój się – powiedział Skythis. – Sam nie będę mógł osobiście zanieść książki do inkwizycji, to wzbudziłoby zbyt wielką sensację. A innemu posłańcowi nie mogę w żadnym razie powierzyć tej misji. Tak więc zostałeś mi tylko ty. Ale zaufaj mi, Johannesie. Jeśli tylko wszystko zrobisz, jak należy, na pewno nie przytrafi ci się nic złego.

Hannes wciąż tylko gapił się na niego wielkimi oczami. Nie zamierzał brać ze sobą tego diabelstwa, to wszystko, o czym mógł jeszcze teraz myśleć. Ale nawet to przychodziło mu z coraz większym trudem, bo w głowie zaczęło mu huczeć.

– Zachowaj absolutne milczenie o wszystkim, co u mnie widziałeś i słyszałeś – nakazał Skythis. Tymczasem Hannes kiwnął teraz głową tak samo kurczowo, jak jeszcze przed chwilą nią pokręcił.

– A więc jutro udasz się zaraz z rana do inkwizycji – ciągnął dalej podcenzor – i przekazesz tę książkę urzędnikowi kościelnemu Leo Cellariemu. Jeśli Stolica Apostolska rozpocznie dochodzenie w sprawie Kronusa, to cesarskie uwolnienie stanie się nieważne, a i cenzor Rzeszy będzie musiał jeszcze raz wznowić swoje postępowanie.

Przycisnął Hannesowi książkę do piersi, a ten trzymał ją tak kurczowo i z takim lękiem, jakby chodziło o złego zwierza, którego w żadnym razie nie należało budzić ze snu.

– Poczekaj jeszcze chwilę – powiedział Skythis. Podszedł do swojego pulpitu, umacał pióro i skreślił nim kilka linijek na kartce papieru. Wracając, złożył niechlujnie list na pół i wręczył do Hannesowi. – Powtórz, co ci zleciłem.

Hannes posłusznie powtórzył wszystko za nim. O brzasku uda się na plac Dominikański, by tam oddać książkę wraz z listem urzędnikowi Cellariemu.

– Ale książkę musisz mu przekazać osobiście, zrozumiałeś? – napominał Skythis. – Jeśli Cellari nie będzie mógł cię przyjąć od razu, musisz poczekać. Książka w żadnym razie nie może dostać się w niepowołane ręce.

Hannes przełknął ślinę i kiwnął głową.

– Doskonale. – Podcenzor uniósł dłonie, jakby chciał pobłogosławić lub objąć swojego pomocnika. Jednak już po chwili dał mu znać sztywnym ruchem głowy, by usunął mu się z drogi. Z namaszczeniem otworzył okratowane drzwi i zamknął za nimi, gdy znaleźli się na zewnątrz. Nie mówiąc już niczego, poprowadził pomocnika pisarza na górę, odryglował i otworzył drzwi

wystarczająco szeroko, by przez szparę mógł przecisnąć się Hannes wraz ze swoim tobołkiem.



## 6

OBOOK STAREGO DOMU OPATA na ulicy Zamkowej, tuż za kościołem Dominikanów, nawet najwierniejsi papieżowi mieszkańcy Norymbergi nigdy nie przechodzili bez lekkich dreszczy. Kiedyś był to dworek należący do położonego nieopodal klasztoru Dominikanów. Ale od czasu gdy Ojciec Święty wezwał na wyprawę przeciwko heretykom i czarownicom, w tej mrocznej, trzypiętrowej budowli mieściła się norymberska inkwizycja. Rządzili tu niezmiennie mnisi dominikańscy, bo to właśnie z szeregów tego prawowiernego zakonu rekrutowali się wszyscy wyżsi urzędnicy inkwizycji. Z prawie czarnej fasady na plac kościelny spoglądały podejrzliwie wąskie szpary okienne. Przed laty inkwizytor Heinrich Kramer kazał tu spalić pół tuzina czarownic oraz heretyków, i to właśnie od prochów skazańców miała rzekomo poczernić fasada dawnego domu opata. Także tłusty połysk, pokrywający mury, powszechnie przypisywano ówczesnemu sądowi: ciężkie chmury dymu uniosły się nad stosem i osiadły na kamieniach muru jako lepki połysk.

Tak przynajmniej opowiadają ludzie, nawet jeśli tylko szeptem. Ale Hannes Mergelin wierzył tym pogłoskom na słowo. Jeszcze inni utrzymywali, że ten wilgotny połysk na ciemnej fasadzie wziął się od zimnego potu i łez, które zostały uronione w środku budynku. Bo do ciągnących się nad ziemią piętér dochodziła jeszcze nikomu nieznaną liczbą suterén, w których przesłuchujący więźniów urzędnicy oddawali się swojemu bezlitosnemu rzemiosłu. I rzeczywiście, niekiedy z głębi starego domu opata na zewnątrz przedostawały się krzyki, przelatujące niczym spłoszone ptaki nad placem kościelnym, który wraz ze swoimi okazałymi domami z muru pruskiego i studnią pośrodku sprawiałby raczej wrażenie dość opustoszałego.

Jednak tamtego wczesnego piątkowego poranka na placu było cicho i spokojnie. Poza Hannesem Mergelinem na placu krzątało się zaledwie kilka osób – przekupki ciągnęły, jęcząc, swoje taczki, od czasu do czasu przemykał obok czeladnik piekarski, a stróż nocny, przechodząc człapiącym krokiem, dopiero co zgasił swoją latarnię, a teraz przeciągle ziewał. Już za chwilę będzie mógł wślizgnąć się do swojego łóżka i Hannes zazdrościł mu tego z całego serca.

Jeśli o niego chodzi, to znowu nie zmrużył w nocy oka. Sam nawet nie bardzo wiedział, co dokładnie wydarzyło się tej nocy w jego izbie. Pamięć uległa zamięnieniu i ze względu na jego dobro z pewnością mogłaby stać się jeszcze bardziej mętna. Po raz kolejny z księgi dochodził demoniczny syk, ale Hannes nie chciał i nie mógł sobie przypomnieć, co się jeszcze wydarzyło poza tym. Dlaczego sznur, który jeszcze raz starannie zawiązał wokół tej przeklętej księgi, wisiał dziś nad ranem na gałce u drzwi jak skóra ściągnięta z węża, sama zaś książka leżała otwarta na podłodze obok łóżka, jakby dopiero co ktoś ją czytał.

Idąc ze swym tobołkiem na plecach, Hannes z wysiłkiem wchodził po schodach prowadzących do portalu wejściowego budynku inkwizycji. Była to ogromna, dwuskrzydłowa brama, wysoka na jakieś piętnaście stóp, a lśniące czarne drewno pokryte było rdzawozłotą warstwą. Kunsztownie rzeźbione i malowane dekoracje przedstawiały wiele różnych scen z rycerzem Jerzym, jak walczy z diabelskim smokiem: święty bohater przeszył bestię dzidą i odrąbał jej mieczem liczne głowy. Jej ścierwo rozdeptał kopytami swojego wspaniałego karosza, by rozwiązać wreszcie jednym posunięciem miecza więzy, którymi godna pożałowania dziewica była przywiązana do pozostałości zwęglonego drzewa.

Nawet jeśli Hannes podziwiał te sceny już z kilkanaście razy, także tego poranka sprawiły, że jego serce zabiło szybciej. Jan Skythis, pomyślał, jest takim samym nieustraszonym bojownikiem zwalczającym potwory z piekła rodem, mimo że te bestie, na które polował podcenzor, dla niewtajemniczonych wyglądały niegroźnie. Jednak w ostatecznym rozrachunku zatrute demonicznością książki były o wiele niebezpieczniejsze niż zionące ogniem smoki. Te ostatnie mogły wprawdzie spopielić całe miasta i pożreć żywcem całe tuziny nieszczęśliwych dziewic – jednak diabelskie książki niszczyły w ludziach to, co w ogóle mieli najkosztowniejszego. Stracając z tronu rozum ludzki, by jedyną władczynią ciał i dusz ustanowić zezującą fantazję. I tym sposobem nakłaniają zaślepionych czytelników do prowadzenia bezbożnego życia, za co przyjdzie im jeszcze zapłacić w piekle. Bo wyobraźnia jest pomocnicą diabła, a rozum – najszlachetniejszą rzeczą w człowieku, która sprawia, że jesteśmy podobni do aniołów.

Hannes załomotał kołatką. Po chwili jakiś dominikanin odryglował wąskie drzwi znajdujące się w prawym skrzydle bramy. Jednak młody mnich w czarnym habicie nie wpuścił Hannesa do środka od razu, lecz stanął za progiem z założonymi rękami.

– Chwała Bogu i cesarzowi – wyrecytował Hannes. – Przysyła mnie podcenzor Skythis z ważną przesyłką dla Leona Cellariego.

Wartownik wyciągnął rękę.

– Oddaj ją mnie, mój synu. Przekażę ją Cellariemu, jak tylko przybędzie do urzędu.

– Nie mogę tego uczynić – odparł Hannes. – Podcenzor nakazał mi, bym osobiście przekazał książkę Cellariemu.

Czuł, że trochę kręci mu się w głowie. *Księga duchów* ciążyła mu na plecach jak garb z kamienia. Najchętniej rzuciłby swój tobolek do stóp temu zarozumiałemu mnichowi, ale nie mógł tak oczywiście zrobić.

– A więc znowu książka. – Dominikanin pokręcił lekko głową, odsunął się na bok, ustępując mu z drogi. Był człowiekiem o niezgrabnej postaci, o twarzy białej jak kreda, jakby nigdy nie wychodził w dzień na dwór. Mimo że nazwał Hannesa „synem”, był starszy od niego w najlepszym razie o jakieś trzy lata. – No, wchodź już – powiedział strażnik. – Ale nie skarż się później, jeśli każe ci czekać aż do południa, mój synu.

Hannes wszedł do holu, który przytłaczał już samą swoją wielkością. Na sklepieniu znajdowały się malowidła przedstawiające anioły zemsty, które trzymały płomienne miecze, a z palców niektórych spośród nich spadały błyskawice. Także wyrzeźbione w kolumnach i ścianach płaskorzeźby przedstawiały bez wyjątku archanioły oraz świętych rycerzy, którzy ogniem i mieczem występowali przeciwko diabłom czy kacerzom. Hannes wyobraził sobie mimowolnie, jak muszą czuć się wszyscy ci, których zatrzymano pod zarzutem sprzyjania herezji lub uprawiania czarów i których prowadzono przez ten hol. Zanim jeszcze docierali do podziemnych lochów na przesłuchania, musieli czuć się złamani wewnętrznie i gotowi przyznać się do wszystkiego.

Ale co też przychodziło mu dziś na myśl! Czy miało to jakiś związek z tą przeklętą książką, którą – chcąc nie chcąc – znów przechowywał u siebie w pokoju? Nie, powiedział sobie szybko Hannes, zeszłej nocy w jego izbie na pewno nie wydarzyło się nic złego.

Za jego plecami rozległ się cichy śmiech. Hannes zauważył, że zatrzymał się kilka kroków za progiem i spoglądał w górę w stronę aniołów zemsty z głową mocno odchyloną do tyłu. Tymczasem młody wartownik wrócił do swojej bramy, do drewnianego przepierzenia obok portalu. Wystawił ogoloną na łyso aż do tonsury głowę przez okienko i przyglądał się Hannesowi z szyderczym uśmiechem. Od zewnątrz o przepierzenie opierał się drugi młody mnich i mimo że gapił się obojętnie w próżnię, Hannes dokładnie wiedział, że to właśnie on zaśmiał się przed chwilą.

Właściwie Hannes mógł czuć się lepszy od tych zarozumiałych młodych mnichów. Gdy

oni mogli służyć co najwyżej jako wartownicy, jego angażowano już do wykonywania znacznie bardziej odpowiedzialnych zadań – przy tym był o te kilka lat młodszy od nich. Mimo to raz po raz zastraszała go swoim pyszałkowatym zachowaniem. Każdym ruchem głowy, każdym drwiącym uniesieniem brwi zdawali się dawać mu do zrozumienia, że już wkrótce zrobią zawrotną karierę w urzędzie inkwizycji – co zresztą było całkiem możliwe. Ci dwaj pomocnicy Leona Cellariego, którzy nigdy nie odstępowali na krok potężnego łowcy heretyków, to byli jeszcze bardzo młodzi dominikanie Alexius i Meinolf. Studiowali stare języki i teologię, a jemu samemu w szkole łacińskiej wbijano do głowy tylko najpotrzebniejsze rzeczy: czytanie, pisanie, liczenie – i tylko tyle łaciny, by mógł wyjąkać psalmy w kościele wraz z innymi wiernymi.

Obserwowany ukradkiem przez wartowników, Hannes błąkał się w holu, utykając. Nigdzie nie było żadnego krzesła ani stołka, ale on i tak nie mógłby ani chwili wysiedzieć w spokoju, czując na sobie spojrzenia młodych mnichów. Przeciwnie, nieustannie musiał zwalczać nieodpartą potrzebę, by zrobić coś naprawdę niesłychanego – głośno krzyknąć, grzotnąć tobołkiem o jeden z obrazów przedstawiających świętych bohaterów, podbiec z powrotem do bramy i nawymyślać młodym mnichom za to, że się z niego wyśmiewają.

Przy tym powinni przecież prowadzić pobożne życie w pokorze, pomyślał. Jednocześnie on sam i jego pan, podcenzor, stali po tej samej stronie co inkwizycja. Czy nie słyszał na własne uszy, jak Skythis wielokrotnie podkreślał, że Leo Cellari jest jego najlepszym sprzymierzeńcem? Bez wątplenia inkwizytorzy nienawidzili bezbożnych poematów z nie mniejszą żarliwością niż Jan Skythis. A mimo to Hannes czuł dość wyraźnie, że szyderstwa obu młodych mnichów, tam z tyłu, są w gruncie rzeczy skierowane raczej przeciwko Janowi Skythisowi niż przeciwko niemu samemu. Tak jakby wciąż musiał trwać w tej pozycji. Godziny mijały, a Hannes wciąż musiał trwać w tej pozycji. Dopiero po ósmej zaczęli stopniowo przybywać urzędnicy kościelni, ich pisarze i inni pracujący w urzędzie. Ubrani w wytworne togi lub skromne czarne habity, przemierzali hol, by dojść do szerokich schodów przy tylnym wejściu – lub do okutych żelazem drzwi po prawej stronie, które musiały prowadzić do lochów. Hannes uważnie przyjrzał się temu wysoko postawionemu słudze Bożemu, który wszedł z przodu przez portal, ale w jego towarzystwie nie było Cellariego.

Okolo wpół do dziesiątej dwóch posługujących wprowadziło do środka pewną młodą jeszcze kobietę o rozczochranych, kruczoczarnych włosach. Ręce miała związane na plecach, jej nędzne ubranie było podarte na rękawie, twarz miała zbitą i zalaną krwią. Jedno oko miała całkowicie zapuchnięte, drugim trwożliwie spoglądała na obrazy na ścianach i suficie, dokładnie

tak, jak to wyobrażał sobie wcześniej Hannes.

Słudzy ciągnęli ją w milczeniu w stronę żelaznych drzwi, a sama kobieta też nie uroniła ani słowa. Jednak idąc, odwróciła się w stronę Hannesa i rzuciła mu długie, przenikliwe spojrzenie, w którym nie było cienia błagania. W jej szczupłej twarzy o delikatnych rysach Hannes nie dostrzegł też żadnych oznak skruchy lub, przeciwnie, zatwardziałości. Patrzyła na niego po prostu nieruchomym wzrokiem i jednocześnie dawała się powlec do żelaznych drzwi. Wiedziała, że nie wyjdzie stąd żywa, przebiegło mu przez myśl, i prawie w tej samej chwili młoda heretyczka skinęła w jego stronę. Chwilę później przeciągnięto ją przez drzwi i w czasie gdy Hannes zastanawiał się jeszcze, co osobliwego właśnie się wydarzyło, ktoś chwycił go bezceremonialnie od tyłu za ramię.

– Hej, chłopcze. Nasz pan o coś cię zapytał.

Szybko się obrócił i omal się nie potknął.

– Kto ośmiela się... – Zdażył wybełkotać, zanim ugryzł się w język. Stał przed nim Leo Cellari.

– Czyżby ryzykownym przedsięwzięciem było zagadnięcie ciebie, mój synu? – Uważnie przyglądał mu się rosły dominikanin. Cellari był już po sześćdziesiątce, na głowie miał przerzedzone i siwe włosy. Jednak dzięki sprężystemu krokowi, szczupłej figurze i przenikliwemu spojrzeniu swych piwnych oczu sprawiał wrażenie o wiele młodszego. Nosił czarną szatę swojego zakonu, co prawda z połyskującego jedwabiu oraz ze śnieżnobiałym gieźlem, które wystawało spod rękawów i kołnierza, i cicho szeleścił przy każdym ruchu. Na palcu serdecznym u prawej dłoni rzucał się w oczy złoty pierścień z rubinem w kształcie łyzy. Na szyi nosił srebrny łańcuch z olbrzymim krucyfiksem, również wykutym ze srebra, inkrustowanym połyskującymi kamieniami szlachetnymi.

– Wybaczcie, panie – wymamrotał Hannes – zamyśliłem się. Przysyła mnie do was podcenzor Skythis. – Chciał zdjąć z pleców swój tobolek, ale nie dał rady. Wciąż jeszcze mocno trzymał go za ramię pomocnik Cellariego.

– Puść go, Alex – powiedział urzędnik kościelny, nie odwracając oczu od Hannesa. Swoim orlim nosem i nieruchomymi, żółtobrazowymi oczami przypominał sokoła mierzącego wzrokiem swoją zdobycz, zanim ją śmiertelnie zaatakuje.

Alexius prawie niedostrzegalnie pochylił głowę i puścił łokieć Hannesa. Zwinnym ruchem wycofał się i tak zastygł w bezruchu o pół kroku od Cellariego, jakby był wyrzeźbiony z kamienia.

Tymczasem Hannes zdjął z pleców swój tobolek i wyciągnął z niego *Księgę duchów* wraz z wiadomością od Skythisa.

– Podcenzor nakazał mi, bym osobiście wręczył te dwa pisma.

Dominikanin spojrział na związaną sznurem książkę, którą Hannes trzymał w wyciągniętej ręce, a z jego wyrazu twarzy można było odczytać, że nie przysłuchiwał się wysłannikowi Skythisa. Mierzył wzrokiem litery, niedbale lub nieporadnie wycięte w jagnięcej skórze. Było tam napisane *Księga duchów*, a poniżej, o wiele mniejszymi literami, *Valentin Kronus*.

– Valentin... – wyrwało mu się. Jego głos był o tak dźwięcznym brzmieniu, że słychać było go daleko, nawet jeśli mówił teraz cicho pod nosem. Najwidoczniej przywabiony zdziwionym tonem swego pana, z bramy przybył pośpiesznie także brat Meinolf, drugi z asystentów Cellariego.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że obaj młodzi dominikanie nie mogliby się bardziej od siebie różnić, a jednak uzupełniali się wzajemnie jak promień światła i smuga cienia. Obaj mieli nieco ponad dwadzieścia lat, byli silni i rośli. Czarnowłosy i ciemnoskóry Alexis zawsze poruszał się z rozważą i nigdy nie tracił spokoju, tymczasem jasnowłosy Meinolf przepełniony był nienasyconym niepokojem. Jego skóra była tak blada i cienka, że wyraźnie widać było pod nią żyły, które wyglądały jak pulsujące, niebieskie robaki. Podskakując, przybiegł do nich przez hol i stanął u boku Alexiusa za Cellarim. Pomocnicy patrzyli uważnie zza pleców swego mistrza, jak ten odbierał oba pisma od pomocnika pisarza Mergelina. Jednocześnie łowca kaczerzy wymamrotał tym samym, co wcześniej, zamyślonym tonem:

– Patrzcie no... niesforny brat Valentin.

Liścik Skythisa wsunął do kieszeni. Ale książkę przyjrzał się uważnie ze wszystkich stron, zanim ją otworzył, wyraźnie się przy tym wahając. Rzucił krótkie spojrzenie do środka i zamknął ją z trzaskiem.

Hannes wzdrygnął się – a po chwili wzdrygnął się ponownie – z lochów dobiegał krzyk.

– Dlaczego się tak trwożysz, mój synu? – Cellari spojrział na niego przeszywająco swoimi nieruchomymi oczami.

Hannes spuścił głowę. Wielkie nieba, jak to możliwe, że przedtem tak wyraźnie odczuwał, co przeżywa w głębi swego serca tamta kobieta, jakby to były jego własne uczucia? Teraz też wydawało mu się prawie, jakby to on sam siedział tam na dole w lochu i krzyczał ze strachu czy z udreki. Ale to nie była najodpowiedniejsza chwila, by roztrząsać teraz takie zawilości – Cellari czekał na jego odpowiedź.

– Książka, panie – wydusił z siebie i wskazał na pisemko znajdujące się w drobnej ręce urzędnika inkwizycji. – Musiałem jej strzec i w nocy nie zmrużyłem oka.

Cellari znów obrzucił go swym badawczym spojrzeniem. Hannes czuł się jak sieć pajęcza, przez którą przechodzi promień słońca.

– Strzegłeś jej – spytał dominikanin – czy ją czytałeś?

Trzy pary oczu utkwiły teraz badawcze spojrzenia w twarzy Hannesa. Alexius i Meinolf pozostawali dokładnie w tej samej odległości za Cellarim, jakby byli skrzydłami swego mistrza – ciemne skrzydło było nieruchome, jasne drżało z niepokoju.

– Strzegłem jej – wyszeptał Hannes.

Po chwili wszyscy trzej mnisi odwrócili się od niego i odeszli, przemierzając szeroki hol, Cellari z przodu, a jego obaj pomocnicy dokładnie w tej samej odległości z tyłu.

– Valentin Kronus. – Hannes wciąż jeszcze słyszał głos zastanawiającego się łowcy kacerzy i ksiązek. – Tak nazywał się wybitnie uzdolniony, ale nieugruntowany moralnie człowiek, którego poznałem przed ponad połową mojego życia. Razem składaliśmy śluby zakonne, jednak Valentin nie utrzymał się zbyt długo w klasztorze.

Na kilka kroków przed schodami prowadzącymi na górne piętra Cellari zatrzymał się, a następnie odwrócił w stronę Alexiusa i Meinolfa. Kamienie szlachetne w jego krucyfiksie błyszczały w świetle słonecznym, które wpadało do środka przez okno łukowe przy schodach.

– Tak to już jest, że nie godzi się, zgodnie z regułą zakonu – ciągnął dalej dominikanin o srebrnych włosach – by jeden z braci ćwiczył się w telepatii, zamiast się modlić i studiować boskie objawienia. Albo by... – Cellari urwał. Szukał wzrokiem Hannesa, który zarzucał sobie właśnie pusty tobolek na plecy – Albo by usiłował wskrzesić zmarłych z ich grobów – dokończył urzędnik inkwizycji.

NA NAJSTARSZEJ CHABECIE STRYJA HERIBERTA Amos jechał do Kirchenlamitz. Chętnie oszczędziłby szkapę, ale rycerz i jego ludzie znów wyruszyli do Czech na łupieską wyprawę, a poza starą jak świat klaczą w stajni zostawili jedynie niewyrośnięte źrebię.

Uzgodnił z Odą, że zapyta w tę pierwszą sobotę miesiąca w komendanturze w Kirchenlamitz, czy przyszedł do niego jakiś list.

Dla żołnierzy margrabiego, gnających tam i z powrotem między dworem a Norymbergą w charakterze eskorty, wszelkie dodatkowe halerze, które mogli zgarnąć za swoje usługi kurierskie, były bardzo mile widziane. Kapitan Höttsche płacił wprawdzie za to, żeby niewierni żołnierze przymykali oczy, gdy on napada ze swoimi ludźmi na dorożkę lub kupiecką furę. Ale za tego typu zdradę groziły im ciężkie kary – dożywotnie więzienie lub nawet szubienica, jeśli podróżujący ginęli podczas napadu. Natomiast w przypadku okazjonalnych usług kurierskich komendanci przymykali oczy.

Amos ostrożnie pokierował starą klacz przez las w dół, a następnie wzdłuż drogi do Kirchenlamitz. Nawet na placu przed zamkiem, gdzie w jednym z bocznych skrzydeł margrabiowskiej rezydencji mieściła się komendantura, panowała bardziej ospała atmosfera niż na najcichszej uliczce w Norymberdze. Tymczasem dla Amosa nie było dnia, w którym nie dręczyłaby go żądza możliwie najszybszego powrotu do miasta. W dalszym ciągu nie rozumiał jednak, dlaczego tak tego pragnął.

Uwiązał swego konia u cienistego drzewa i pogłaskał go zachęcająco po szyi. Potem obrócił się w stronę żołnierza, który stał na warcie przed komendanturą.

– Chciałbym tylko zapytać... – Urwał. – Ej, Marek! Dobrze cię znowu widzieć. – Rudzielec wyszczerzył się spod hełmu.

– Szczęść Boże, paniczu Amosie. Czyżbyście się znowu wybierali do Norymbergi?

– Jeśli o mnie chodzi, lepiej dziś niż jutro – Amos wzruszył ramionami – ale takiej misji jak ostatnio nie powierzą mi już raczej w najbliższym czasie.



Marek przybrał współczujący wyraz twarzy.

– Kilka spraw poszło jak po grudzie, tam w Norymberdze?

Skąd mu to przyszło do głowy, Amos odpowiedział nieufnie pytaniem na pytanie. W drodze powrotnej prawie nie zamienił słowa z chłopakami – rozczarowanie spowodowane jego porażką zacisnęło mu gardło. Poza tym nic im do jego misji.

– No, w drodze do Norymbergi wyglądaliście jak ktoś, kto cieszy się na pyszną ucztę – wyjaśniał Marek. – A w drodze powrotnej jak ktoś, komu zaserwowano krowi placek – wyszczerzył się, jakby chciał w ten sposób przeprosić. – Nie bierzcie mi tego za złe, panie Amosie. Ale to nie była wina ani Barda, ani moja, no nie? Pędziliśmy jak wiatr.

– O tak, to prawda. – Amos musiał się zaśmiać. – Wy obaj jesteście bez winy.

Rozstali się po przyjacielsku. Gdy nieco później Amos wyszedł na południowe słońce z komendantury, pomachał w stronę Marka dużym listem.

– Od mojej siostry – krzyknął. – Przyjeżdża do mnie w odwiedziny, i kto wie, może odwiozę ją za kilka tygodni do Norymbergi.

– Serce waliło mu jak oszalałe, od czasu gdy przeleciał wzrokiem list jeszcze w komendanturze.

Marek zasalutował.

– Jak rozkażecie, paniczu Amosie. Bardo i ja pojedziemy z wami, dokądkolwiek będziecie chcieli.

W czasie gdy klacz wlokła go w wolnym tempie z powrotem na zamek Höhenstein, Amos jeszcze raz czytał list od Ody.

*Drogi Bracie, sama jeszcze ledwie mogę w to uwierzyć, ale wychodzi na to, że swoimi nieustającymi prośbami i błaganiami najprawdopodobniej po prostu znużyłam dobrą ciotkę Ulrykę. A więc, krótko mówiąc – pozwoliła mi do Ciebie przyjechać! I nawet nie nalega, by mi towarzyszyć – co w zasadzie nawet mnie nie dziwi, a Ciebie pewnie jeszcze mniej, bo do dziś jeszcze pomstuje na piekielne bagno na zamku Höhenstein, I bynajmniej nie chcę sobie z niej drwić, najukochańszy Bracie, a już na pewno nie w tej sprawie: na samą myśl o tym, jak stryj Heribert rządzi się u swoimi kompanami na zamku, włos mi się na głowie jeży. Obiecuj mi, że będziesz mnie chronili, że nie dopuścisz, by te brudasy do picia i do bicia zbliżyły się do mnie na więcej niż siedem kroków. Jak tylko pomyślę sobie o tym gburowatym kapitanie z krwistoczerwoną blizną na czole! Ach, mój biedny Bracie, gdyby nasi rodzice wiedzieli, w jakim*

*bagnie przyjdzie Ci dorastać!*

*Ale nie chcę już narzekać, wręcz przeciwnie. Chce mi się krzyczeć z radości i śpiewać, bo już w następną niedzielę, 4 września, wysiądę w Kirchenlamitz z dorożki, z wytrzęsionymi kośćmi oraz zakurzona od stóp do głów. Ale zapomnę o wszystkich siniakach i skręconych członkach, gdy tylko otworzysz mi drzwi od dorożki, najukochańszy Bracie, i porwiesz mnie w Swoje ramiona.*

Amos pokierował swoją chabetę na pobocze drogi i rozkazał jej, by się zatrzymała. Bo właśnie teraz doszedł do tej części listu, przy której wcześniej w komendanturze omal nie stanęło mu serce – jednak tylko po to, by po chwili zacząć bić jeszcze szybciej.

*Jestem pewna, że cieszysz się tak samo jak ja, Braciszku – ciągnęła dalej Oda. – Ale nie sądz, że przekazałam Ci już wszystkie nowiny. Bo w podróż w Smreczany nie wybieram się bynajmniej sama. Od niedawna mam tu w Norymberdze dobrą przyjaciółkę, i mimo że do sierocińca wprowadziła się dopiero dwa tygodnie temu, mam wrażenie, jakbyśmy się znały od zawsze, a nawet, jakby była moją siostrą. Najpierw jednak chcę Ci ją przedstawić, najukochańszy Bracie: na imię ma Klara, za kilka tygodni będzie obchodziła swoje szesnaste urodziny i nie ma już nikogo na tym świecie. Ojca i matkę odebrali biedacze skrytobójcy, nie inaczej, jak to było w przypadku naszym i naszych biednych rodziców. Jednak Klara nie mogła dłużej zostać także u przeoryszy, która wzięła ją pod swoje skrzydła: tę pobożną kobietę zaaresztowała przed kilkoma tygodniami inkwizycja – pod jakim pretekstem, tego Klara nie wie do dziś. Gdy ujrzała nadciągających kościelnych pacholków, rzuciła się do ucieczki i żyła odtąd na ulicy z dobroczynności miłosiernych bliźnich, ale także z drobnych rabunków i kradzieży.*

*I wyobraź sobie, Amosie: od momentu, gdy Klara wyznała swoje postęпки, ciotka Ulryka wyszła z siebie z wściekłości. „Dziewczyna nie może zostać pod moim dachem ani dnia dłużej, niż to będzie konieczne” – tak postanowiła. Żeby ta złodziejka o zielonych diabelskich oczach – tak właśnie określiła biedną Klarę – nie skalała jeszcze dusz jej małych sierotek, tak jak to już uczyniła, według ciotki Ulryki, ze swoją własną duszą. Dlatego też czym prędzej wybrała inny przytułek, do którego będzie mogła odesłać Klarę. A teraz trzymaj się mocno, najukochańszy Amosie: wybór padł na przytulisko sierot Najświętszej Maryi Panny w Wunsiedel. I tak w przyszłym tygodniu Klara i ja będziemy podróżować razem, przynajmniej do Wunsiedel, a z zamku Höhenstein będziemy mogli ją odwiedzać w jej przytulku.*

*Klara jest najukochańszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam, oczywiście oprócz naszych biednych rodziców i Ciebie. Nie ma niczego na tym świecie, poza wielokrotnie cerowanymi fartuchami, które nosi na sobie, i czarodziejskim wilczookiem. I wyobraź sobie, najukochańszy Bracie, że podarowała mi go! Długo się wzbraniałam, nie chciałam przyjąć jej prezentu, a wtedy ona zaczęła mnie błagać ze łzami oczach: „W takim razie wyślij go wcześniej na zamek Höhenstein, do twojego brata.*

*A gdy przyjedziesz do mnie stamtąd w odwiedziny do Wunsiedel i wciąż nie będziesz chciała go zatrzymać, przyjmę go z powrotem – ale w żadnym wypadku nie wcześniej!”.*

*Uszanowałam jej wolę i przesyłam Ci także wilczook Klary, ściskam Cię gorąco, kochany Bracie. Tymczasem uważaj na niego i na samego siebie, w przyszłą niedzielę wreszcie znowu się zobaczymy.*

*Twoja kochająca Cię i całująca siostra Oda*

Amos ciągle czytał od nowa te ostatnie akapity, obracając przy tym wilczook między palcami w tę i w tę. Wreszcie wyciągnął ten skórzany rzemień z zakrzywionym w trójkąt drutem, który zawsze nosił przy sobie od tamtego zajścia w Norymberdze. Wsunął niebieski kamienny owal w oprawę ze srebrnego drutu – i okazało się, że kamień ze swoimi powycinanymi po węższych stronach karbami dobrze wpasował się do trójkąta.

To niewiarygodny zbieg okoliczności, pomyślał Amos, że zielonooką złodziejkę los rzucił akurat do sierocińca ciotki Ulryki. I nie chciało być inaczej – wilczook udowodnił, że przyjaciółka Ody, Klara, nie jest nikim innym, jak tylko tą samą dziewczyną znad studni.

Dopiero gdy szkapa miała już dość czekania i parskając, ruszyła znowu z miejsca człapiącym krokiem, Amos wyrwał się z zamyślenia. Wsunął list pod kaftan, amulet zawiesił na szyi, a w ciągu jazdy raz po raz chwycił za kamień. Wysłała mu swojego wilczooka, a on nie mógł po prostu pojąć, jak w ogóle ten cud mógł dojść do skutku.

Ale jednocześnie wydawało mu się, jakby wszystko musiało się nieuchronnie rozegrać dokładnie w ten sposób. Jakby Klara i Oda, on sam i Kronus, oraz Bóg wie, kto jeszcze, byli jednymi z wielu figur przy kurancie, poruszanymi i kręconymi dookoła według planu, którego chyba nikt z nich do końca nie rozumiał.

## 8

NIE PUKAJĄC DO DRZWI, HANNES MERGELIN wszedł do biura podcenzora. Ku jego zdziwieniu Skythis stał już za swoim pulpitem, a nie wybiła jeszcze nawet szósta godzina nad ranem.

– Nie wypakowuj swojego tobołka, Johannesie – nakazał. – Pójdiesz zaraz ze mną. – Dokąd mieli pójść i z jakiej okazji, nie wiedział. Podcenzor nie zamierzał trwonić czasu na udzielanie wyjaśnień.

– Druga strona mobilizuje pół tuzina głów – dodał jeszcze zagadkowo – a wśród nich kilka naprawdę tęgich. Dlatego też chcę się pojawić przynajmniej w symbolicznym towarzystwie, jeśli już nie z tymi, którzy zazwyczaj mnie wspomagają.

Hannes nie bardzo rozumiał, co te słowa miały znaczyć. Ale od razu domyślił się, że musi chodzić o bardzo ważne spotkanie, które musiało mieć coś wspólnego z *Księgą duchów*.

Minęło siedem dni od czasu, gdy przekazał Leonowi Cellariemu tę demoniczną książkę. I od tamtej pory Hannes był wielokrotnie wysyłany tam i z powrotem, kursując między starym domem opata a biurem podcenzora – dostarczał Cellariemu listy i przyjmował kreślone naprędce odpowiedzi pisemne urzędników inkwizycji.

Tymczasem podcenzor znów wydawał się zupełnie tym samym grubiańskim i ponurym Janem Skythisem, jakiego Hannes znał od wielu lat. Z tą jednak różnicą, że wygłaszał teraz dość często w jego obecności rozwlekłe, zagadkowe mowy, co nie zdarzało się przed wizytą Hannesa w mieszkaniu Skythisa i tajemniczym lochu z książkami.

– Idź już, Johannesie – rozkazał – i czekaj na mnie za kościołem Mariackim.

Hannes czuł, jak bardzo napięty był Skythis. Ale podcenzor nie wydawał się ani zląkniony, ani nawet zatroskany, sam więc Hannes uspokoił się zupełnie, gdy schodził w podskokach po schodach i możliwie najszybciej przechodził przez ogromną salę. Na szczęście nie napotkał na swej drodze żadnego urzędnika działu rejestracji, który wezwałby go do siebie i zlecił mu kolejne zadanie. Ale czy mimo to nie powinien obawiać się kłopotów, skoro wykradzał

się w taki sposób? Na Skythisa nie mógłby się powołać, dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Tymczasem czekał za kościołem zgodnie z rozkazem podcenzora. Najwidoczniej Skythisowi zależało na tym, by nikt ich razem nie widział.

Jakiś czarny powóz, ciągnięty przez dwa konie, zaturkotał, wjeżdżając w uliczkę. Hannes wycofał się głębiej, w cień ogromnej katedry – w powozie siedział na pewno jakiś wyższy urzędnik cenzury, który kazał się zawieźć do urzędu. Jednak wtedy zobaczył krótkopalczystą dłoń, przywołującą go gestem przez boczne okno, i zorientował się, że to Skythis.

Hannes żwawo pokuśtykał w stronę kozła powozu, by usadowić się z przodu obok woźnicy. Ale niezgrabna ręka, stworzona raczej do kopania i grzebania w ziemi niż do wertowania i pisania, znów przyzywała go gestem do siebie.

– Pośpiesz się, Johannes! Tu do środka.

Z niemiłym uczuciem pociągnął za klamkę u bocznych drzwiczek po lewej stronie, wspiął się i z trudem wsunął do powozu. Jeszcze nigdy wcześniej nie siedział w takiej kołyszącej się trumnie, i to w dodatku ramię w ramię ze Skythisem, który tylko uderzył pięścią w drewnianą ścianę z przodu i popędził woźnicę.

W jednej chwili konie zaczęły biec klusem. Skythis i Hannes siedzieli przyciśnięci do siebie na wąskiej ławie. Za każdym razem, gdy powóz z impetem przejeżdżał przez wyrwy w drodze lub gdy woźnica popędzał konie na ostrych zakrętach, rzucało nimi w tę i we w tę. Okna były przesłonięte czarnymi płótnami workowymi. Tylko od czasu do czasu pęd wiatru podrywał skrawek materiału do góry, a Hannes mógł wtedy uchwycić wzrokiem cokolwiek z zewnątrz. Najwidoczniej jechali w kierunku dolnej części miasta, wzdłuż brzegu rzeki Pegnitz.

Przez cały ten czas Skythis nie uronił ani słowa. Wydawało się, że jest głęboko pogrążony w swych myślach i mimo że Hannes gotował się wręcz z niecierpliwości, nie śmiał zapytać, co jest celem ich podróży.

Czuł wyraźnie, że na spotkaniu obecny będzie Leo Cellari i że urzędnik inkwizycji z pewnością przywiezie ze sobą *Księgę duchów*. Bo też przedmiotem całego tego dzisiejszego zamieszania mogło być tylko to demoniczne, acz liche dzieło.

Wreszcie zatrzymali się przed bramą okutą żelazem. Jednym susem Skythis wyskoczył z pudła wozu i podszedł do woźnicy siedzącego na koźle. Już od wielu minut jechali wzdłuż wznoszących się ku niebu murów miejskich. A teraz – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – znajdowali się przed jedną z wież należących do wałów miejskich.

W czasie gdy Hannes mozolnie kuśtykał za swym panem, podcenzor upominał cicho

woźnicę.

– Nigdy nie zapomnij o przysiędze, Gregor – usłyszał Hannes.

– Twoje serce rzucą na pożarcie wilkom, jeśli kiedykolwiek coś piśniesz!

– Prędzej zdechnę, niż zdradzę przymierze, panie – odpowiedział woźnica. Był prawie łośnym mężczyzną w średnim wieku o ordynarnym, niepozornym wyglądzie, na którego Hannes wcześniej w ogóle nie zwracał uwagi. Jednak teraz stało się dla niego jasne, że między Skythisem i tym woźnicą, Gregorem, istnieje jakieś tajne porozumienie. Słowa, które właśnie wymieniali, rozmawiając między sobą, brzmiały podniośle i przypominały zaklęcia, zupełnie jakby chodziło o jakiś dialog rytualny, za pomocą którego porozumiewają się między sobą wtajemniczeni.

Hannes dumiał jeszcze nad tym, gdy w drzwiach w wieży otworzyło się okno, tylko nieznacznie szersze i wyższe od otwartej księgi. Po drugiej stronie ukazała się blada twarz brata Meinolfa, jasnowłosego pomocnika Cellariego.

– Szczęść Boże, panie podcenzorze. Proszę za mną, dostojni panowie zebrali się już wszyscy. – Zamknął okno, otworzył drzwi i wpuścił Skythisa do środka. – Ty poczekaj lepiej na zewnątrz, mój synu.

Meinolf chciał już zamknąć Hannesowi drzwi przed nosem, gdy na jego ramieniu spoczęła bezkształtna dłoń. Bez widocznego wysiłku Skythis pchnął o wiele młodszego i silniejszego dominikanina na bok.

– Wejdz, Johannesie – powiedział. A następnie zwrócił się do Meinolfa, który z twarzą wykrzywioną w grymasie macał się po ramieniu: – Zapamiętaj sobie, braciszku! Mojemu pisarzowi tylko ja wydaję rozkazy.

Meinolf, podskakując, poprowadził ich wąskimi, krętymi schodami na górę. Im wyżej wchodzili, tym bardziej imponujący widok roztaczał się przed nimi przez okienka w murach, raz ukazując miasto, innym razem rozległy kraj. Rzeka Pegnitz połyskiwała w bladym świetle poranka, przysiółki i lasy przeplatały się wzajemnie aż do horyzontu. Jednak dokładnie poniżej wieży do wału miejskiego przylegał od zewnątrz jeszcze jeden, już nie tak masywny i wysoki mur. Hannes daremnie usiłował rozgryźć jego przeznaczenie. Mur ten ogradał błotnisty półokrąg skromnej wielkości, który wyglądał, jakby przegrzebały i ubiły go świnię. Jednak tam w dole nie było widać ani bydła, ani stróżów.

I gdy Hannesowi wydawało się już, że nie pokona żadnego kolejnego stopnia, schody nagle się urwały, a oni znaleźli się w kolistej sali. Pół tuzina najwidoczniej wysoko postawionych panów, wszyscy w wytwornych szatach, siedziało z tyłu przy prostokątnym, kamiennym stole.

Jednym z nich był Leo Cellari.

Gdy Skythis go zauważył, zerwał się i podszedł do niego spiesznym krokiem, tymczasem ten od razu wyciągnął obie dłonie w stronę podcenzora.

– Ach, wielce szanowny przyjacielu, wreszcie jesteście – zawołał aksamitnym głosem. – Czekaliśmy na was z utęsknieniem.

Skythis spojrział na wyciągnięte w jego stronę dłonie, chwycił tylko prawą rękę sługi Kościoła i sztywno nią potrząsnął.

– A więc, zaczynajmy. Darujmy sobie wszystkie te piękne słówka – wydusił z siebie – i przejdźmy od razu do rzeczy, Cellari.

Ten, tak surowo skarcony, chwycił za swój krucyfiks, jakby chciał wyblagać pomoc z nieba. Zwinnie obrócił się do tyłu, rzucił krótkie spojrzenie w stronę siedzących nieruchomo przy stole panów, prosząc ich o wyrozumiałość, po czym znów obrócił się w stronę podcenzora, uśmiechając się do niego.

– Ma pan rację, Skythis, prawie jak zawsze – powiedział. – Nie możemy tracić ani chwili. Wróg nasz daleko przed nami uszedł.

– Eleganckim ruchem ręki wskazał Skythowi, by poszedł za nim i zajął miejsce za stołem.

Dlaczego Cellari wybrał akurat to dziwne miejsce spotkania? Hannes rozglądał się we wszystkie strony ze zdziwieniem. Pomocne dłonie ustawiły wokół stołu równo dwanaście foteli obitych wypłowiałym złotogłowiem. Pomijając te meble, sama izba w wieży sprawiała wrażenie, jakby nie używano jej już od wieków. Stół wydawał się bardzo stary i był pokryty mchem oraz odchodami ptaków. Na ścianie i podłodze widoczne były plamy od wody i pleśni. Wszystko to nie było nawet takie dziwne, skoro belkowy strop nad salą częściowo się zawalił, a pomiędzy strzaskanych krokwi zaglądało do środka światło porannego słońca.

Hannes opadł na fotel niedaleko schodów, ledwie to zauważając. Alexius i Meinolf, tak jak on, zajęli miejsca z tyłu stołu, tylko o kilka foteli bliżej możnych panów. A mimo to asystenci Cellariego znów wyniośle spoglądali w stronę pomocnika pisarza Mergelina, jakby szybowali wysoko nad nim po niebie. Hannes zadawał sobie dużo trudu, by ich zignorować.

Tymczasem pięciu potężnych panów w czarnych togach patrzyło w milczeniu na Skythisa. Każdy z nich zdawał się o wiele ważniejszy od Cellariego. Taki przynajmniej wniosek wysnuł Hannes na podstawie ich kosztownych szat, podszytych na żółto i czerwono, z ich krucyfiksów, na których połyskiwały kamienie szlachetne wielkości oczu wołu, a także na podstawie ich częściowo spiczastych, częściowo talerzowatych, złotych i purpurowych

kapeluszy.

Skythis pokłonił się w ich stronę, a pięciu panów kiwnęło głowami w ledwie zauważalny sposób. Najwidoczniej nie przyszło im na myśl, by wymienić swoje nazwiska, a nawet i sam Cellari nie spieszył się z ich przedstawieniem.

Po tym jak podcenzor zajął miejsce naprzeciwko niego, urzędnik inkwizycji podniósł się i upewnił, że oczy wszystkich zgromadzonych są skierowane w jego stronę. Wtedy sięgnął do swojej szaty i z rozmachem wyciągnął z niej cieką książeczkę. Była oprawiona w jasną skórę, a Cellari najpierw uniósł ją w górę niczym pochodnię, po czym upuścił z hukiem na stół.

– Oto i ona, monsignori – wykrzyknął. – Demoniczna szmira, którą udało się nam zabezpieczyć dzięki naszemu wielce szanownemu przyjacielowi, podcenzorowi Janowi Skythisowi. – Obiema rękami wskazał na Skythisa, jakby chciał ściągnąć nań oklaski. Ale podcenzor zdawał się w ogóle nie zwracać na niego uwagi. Patrzył nieruchomym wzrokiem na książkę, jakby obawiał się, że lada chwila wypełznie z niej jakiś demon.

– Monsignori – ciągnął tymczasem Cellari w kierunku dostojnych panów – zebraliśmy się tu, by podjąć pilną decyzję. Od prawie dwóch dziesięcioleci jestem na tropie tajnej organizacji Opus Spiritus i doskonale zdaję sobie sprawę, że w ciągu tych wszystkich lat niekiedy wasza wiara w moją osobę wystawiana była na poważną próbę. Ale ta diabelska loża nie była i nie jest fantomem, mimo wielu porażek byłem co do tego niezłomnie przekonany. Oto na tym stole, szanowni monsignori, leży przed nami wszystkimi dowód. – Wskazał na *Księgę duchów*.

– Bractwo Opus Spiritus stanowi straszne zagrożenie dla całego chrześcijaństwa – wykrzyczał Cellari, w tym czasie dostojni panowie spoglądali przymrużonymi oczami na tę niepozorną książeczkę. – Członkowie należą do domów książęcych i uniwersytetów, a niektórzy spośród nich może nawet noszą togi wysoko postawionych przedstawicieli Kościoła. Ten niegodziwy zakon ma tylko jeden cel, monsignori – chcą samego Szatana uczynić władcą tego świata. W tym też celu bracia należący do loży sprzysięgli się, by stworzyć diabelską księgę, która zasiałaby nieuleczalny zamęt w ludzkich duszach. Każdy, kto przeczytał tę szmirę, widzi już tylko wykrzywione gęby i inne urojenia, zamiast prawdziwego piękna boskiego stworzenia. I to oto niepozorne pisemko, monsignori, zawiera bluźnierczy manuskrypt, który został sporządzony przez wspomnianą tajną organizację na rozkaz Szatana. – Wychylił się mocno do przodu, wziął *Księgę duchów* do ręki i jął nią wymachiwać ponad głowami monsignori. – Już w dawnych czasach – ciągnął dalej – gdy poza klasztorami prawie nikt nie opanował jeszcze sztuki czytania, a książki przepisywano jedynie ręcznie, i to z wielkim trudem, taka diabelska księga



poczyniłyby straszliwe spustoszenia. Dziś jednak rokrocznie tysiące synów zwykłych mieszczan uczy się czytać i pisać, a prasy drukarskie umożliwiają wyprodukowanie i rozprowadzenie wśród posiadających tę umiejętność tysięcy egzemplarzy danej książki. Wyobraźcie sobie, że na skrajnie zatłoczonym placu św. Marka w Wenecji wybucha dzuma albo że ufortyfikowane murami obronnymi miasto, takie jak Norymberga, jest podpalane przez oblegających ze wszystkich stron. Monsignori!, tak straszliwe spustoszenie zasieje ta diabelska książka wśród chrześcijan, jeśli Opus Spiritus zdoła rozprowadzić to oszukańcze pismo w tysiącach i dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Zachód w krótkim czasie zatonałby w wirze przemocy, zepsucia i szatańskiego rozgardiaszu. I tylko działając możliwie najszybciej, z dużą rozważą i w zdecydowany sposób, będziemy jeszcze mogli udaremnić ten plan i odrąbać tę łapę, która sięga już po koronę władcy ustanowionego ponad ziemskim stworzeniem.

Leo Cellari nagle zamilkł i upuścił *Księgę duchów* z grymasem wstrętu malującym się na twarzy na zapaskudzony mchem i ptasim kałem stół. Pięciu monsignori patrzyło na niego jeszcze przez kilka chwil, po czym zaczęli szeptać coś między sobą, naradzając się.

Tymczasem Hannes dostrzegł kątem oka, że również Alexius i Meinolf mówili coś do siebie przyciszonymi głosami. Jasnowłosy asystent Cellariego pocierał sobie ramię i rzucał pełne wyrzutu spojrzenia w stronę Skythisa. Zaraz potem obaj odwrócili głowy w stronę Hannesa i patrzyli na niego ze złowieszczą miną. Cienkie jak kreska usta Meinolfa drżały, jego palce bębniły na kolanach, a jego stopy dreptały bez przerwy pod stołem, tymczasem Alexius patrzył przed siebie jak kamienny symbol gniewu. Z pewnością nie odważyliby się stawić otwarcie czoła Skythisowi, powiedział sobie Hannes, za to na pewno chętnie wyładowałoby całą swoją złość na nim, jego bezbronnym pomocniku, jeśli tylko nadarzyłaby się ku temu sposobność.

Jednak o wiele bardziej niż żądza zemsty obu młodych dominikanów zaniepokoiło go to, co właśnie powiedział ich mistrz. Jan Skythis przeczytał *Księgę duchów* i jeśli Cellari miał rację, to podcenzor znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie, a groziło mu, że popadnie w diabelski obłąd. Co zaś się tyczyło jego samego, to najprawdopodobniej podejrzwał tylko nieliczne strzępki zdań tego brzemiennego w nieszczęścia dzieła, ale być może wystarczyło już tylko kilka kropli tej szatańskiej trucizny, by go nieuleczalnie zaślepić. Czy nie przydarza mu się już od wielu dni, że do żywego odczuwał to, co przeżywały właśnie jakieś osoby z jego otoczenia? Na przykład ta młoda heretyczka, którą prowadzono w jego obecności pod sąd w starym domu opata. Czuł całkiem wyraźnie, że żegnała się z życiem, i w tym samym momencie skinęła w jego kierunku. A co innego miało to wszystko znaczyć, jeśli nie to, że był już zatruty przez to diabelskie dzieło i że

szatański obłąd niechybnie torował sobie drogę do jego umysłu?

Serce Hannesa waliło teraz tak mocno, jakby jeszcze raz wbiegł na górę po schodach w wieży. Tymczasem monsignori zakończyli naradę, a najbardziej korpulentny z nich, który dla równowagi nosił kapelusz z największym szpicem, zabrał głos:

– Szanowny bracie Leo – zaczął mówić, a jego głos brzmiał, jakby ociekał gęsim smalcem. – Doskonale zdajemy sobie sprawę, jak wiele zawdzięcza ukochana matka nas wszystkich, Kościół Chrystusa, waszej niestrudzonej pogoni za heretykami, czarownicami i apostołami diabła. Niemniej jednak nigdy nie ukrywaliśmy, że szczerze wątpimy w istnienie tego sprzysiężenia. – Tu zrobił pauzę, gdyż zdawało mu się, że nie może nabrać tchu. – Nigdy w ciągu tych dwudziestu lat, kochany bracie Leo – ciągnął dalej, lekko dysząc – nie dowiedliście winy choćby jednego sprzysiężonego, nigdy nie podaliście nam żadnego nazwiska ani nie ujawniliście żadnego podstępu tej zgubnej sieci, która – zgodnie z waszym przekonaniem – ma rozpościerać się wzdłuż i wszerz na cały świat chrześcijański. Cóż zatem sprawia, iż jesteście w niepodważalny sposób pewni, że po tak wielu latach i tylu daremnych polowaniach udało się wam jeszcze znaleźć szatańską księgę tej diabelskiej łoży?

– Dwa dowody, monsignori – odparł Cellari. – Primo... – Jednak nie doszedł już do słowa, bo Skythis uniósł prawą dłoń i zaczął mówić tak jednostajnym głosem, jakby dyktował swojemu ulubionemu pisarzowi Johannesowi kolejną recenzję.

GŁOS SKYTHISA BRZMIAŁ PRZEZ CAŁY CZAS jak ochryple szczekanie psa, który znalazł trop. Jego wilcze oczy, koścista twarz, nieforemne dłonie, które urywanymi gestami podkreślały jego wypowiedź, wzmocniły jeszcze dodatkowo wrażenie zwierzęcej żądy polowania.

– Na wasze pytanie, moi panowie – tak zaczął swoją mowę – można udzielić bardzo prostej odpowiedzi. – Sam czytałem tę książkę, a potem przeżywałem istne piekło pełne wykrzywionych gęb i urojeń. Wraz z Cellarim jesteśmy co do tego zgodni, że z tej przejażdżki diabelskim rydwanem wróciłem zdrowy na duszy po dwóch dniach i dwóch nocach tylko dlatego, że już od dawna wprawiony jestem w wyczuwaniu demonicznych trucizn podczas lektury, a także w odpieraniu takich ataków siłami ciała i ducha. Ale nawet ja rozpoznałem dopiero po fakcie, że poszedłem na lep Szatana. – Kapelusze panów zafalowały bezładnie, ale Skythis nikogo nie dopuścił do słowa. Szorstkim głosem, który zdradzał jego wewnętrzne poruszenie, relacjonował, co musiał przeżywać i co wycierpiał podczas swojej dwudniowej drogi przez piekła Przeszedł na drugą stronę lustra, wpadł do studni, był przygnieciony przez wielką skałę, ciągnięty pod prąd wielkiego nurtu nad dnem rzeki. Za każdym razem był przy tym bliski utraty ludzkiej świadomości, groziło mu, że zamieni się w tysiące kropli wody, które lustro z siebie wydzielalo, albo w setki strumyków przepływających przez masyw górski. Raz po raz omal nie zamieniał się w wodę, kurz lub kamień, spowity mrokiem, nie odczuwał już nic innego, jak tylko ból i żal, bez świadomości, bez nadziei, bez wspomnień. Ale w czasie, gdy wyrządzano mu te wszystkie rzeczy, on bez przerwy powtarzał pacierz, a te święte słowa otoczyły go niczym lśniąca zbroja ze światła płynącego z nieba oraz ostatecznie zniweczyły zasiane przez diabła spustoszenie i zamęt.

Chyba przez godzinę Skythis opowiadał rzeczowo, co przytrafiło mu się po lekturze *Księgi duchów*. Miał zostać zmielony na błoto, grudki ziemi i okruchy pyłu, modlić się do robactwa, chrząszczy i prosiaków jak do swoich bogów, a wszystko to za sprawą tego

demonicznego pisma.

Gdy opowiedział do końca swoją historię, wśród zebranych zapadło pełne niepokoju milczenie. Dostojni panowie ścierali sobie pot z czoła, wachlowali się jedwabnymi chustami i raz po raz chwyтали za swoje ogromne krucyfiksy.

– Nie bez powodu, monsignori – rzekł w końcu Cellari – poprosiłem was o przybycie właśnie do tej sali. – Dał Alexiusowi znak, a ten powoli podniósł się ze swojego miejsca. – Członkowie sprzysiężenia Opus Spiritus już od wielu lat wypróbowywali różne magiczne domieszki, dzięki którym chcieli jak najefektywniej osiągnąć swoje diabelskie cele – ciągnął dalej – a kilka tuzinów ich dotychczasowych ofiar – samych czytelników demonicznie zatrutych pism – znajdziecie tutaj.

Mówiąc „tutaj”, skinął w stronę Alexiusa, który podszedł do jednego z okien wskazujących drogę prowadzącą z miasta. Asystent dobył z habitu białą chustę, wyciągnął rękę przez okno w murze i pomachał chustą w tę i we w tę. Po chwili, głęboko pod nimi, otworzyła się ze zgrzytem brama i tysiące potępieńców wysypało się ze swoich lochów, krzycząc, wyjąc, tremolując, bucząc i mucząc.

– Sami się przekonajcie, monsignori – powiedział Cellari.

– Każda z tych biednych dusz błąkających się tam u dołu, na podwórzu więzienia dla obłąkanych, przeczytała w ciągu ostatnich dwudziestu lat jakąś pozornie niegroźną opowieść, która nasączona była demoniczną trucizną. Na skutek tego każdy z tych ludzi postradał rozum. I jestem o tym przekonany, że wszyscy oni padli ofiarą diabelskiego zakonu Opus Spiritus, który eksperymentował z dawkami i składem magicznej trucizny, aż udało mu się uzyskać najskuteczniejszą miksturę.

Gdy to powiedział, wszystkich pięciu monsignori wystawiło głowy przez luki w murze i spojrzęło w dół na podwórze więzienia dla obłąkanych. Hannes również podszedł do jednej z wąskich szczerb, a gdy obserwował potępieńców tam na dole, zaczęło go dusić w gardle ze strachu i przerażenia. Przyszło mu na myśl, że jeszcze nie tak dawno temu usłyszał coś o przytułku dla obłąkanych, który miał zostać urządony decyzją rajców pod murami miasta.

Dwadzieścia lub jeszcze więcej osób, które popadły w obłąd, podskakiwało i pełzało dookoła. Przy ledwo co otwartej bramie, w dolnej części murów miejskich, stało pół tuzina strażników – ubrani byli w długie skórzane fartuchy, a w rękach trzymali drewniane pałki. Z tyłu znajdowały się śliskie od wilgoci schody prowadzące do podziemnego świata cel i lochów, z których to wciąż jeszcze wytaczali się kolejni wariaci. Jedni z nich piali jak koguty lub krakali

jak kruki, wymachując przy tym ramionami, jakby mieli skrzydła. Inni pełzali na brzuchu w kurzu i błocie – pewnie dlatego, że uważali się za węże lub robaki. Jeszcze inni zataczali się na czworakach, mucząc przy tym niczym krowy lub chrząkając jak świnie. A pewien całkiem jeszcze młody mężczyzna, nie mógł być starszy od Hannesa o więcej niż rok lub dwa lata, siedział w kucki przed murem i walił o niego głową z całej siły, mimo że krew leciała mu już po policzkach jasnymi strużkami.

– Jestem skałą, twardszą od błota – skrzeczał przy tym bez przerwy. – Jestem skałą, twardszą od błota. – Aż w końcu zlitował się nad nim jeden ze strażników. Ukłął obok chłopca, delikatnie chwycił go za ramiona i przyciągnął do siebie. Spazmatyczny płacz młodego wariata, który sądził, że jest skałą, odbijał się echem aż do izby w wieży, a Hannes zacisnął zęby z rozpaczy, by nie przyłączyć się do wycia potępieńca.

Alexius pomachał teraz ponownie chustą, i już po chwili ten straszliwy spektakl dobiegł końca. Strażnicy popędzili swoich podopiecznych do lochów i cel, brama zamknęła się ze zgrzytem, a monsignori w izbie w wieży udali się z powrotem na swoje miejsca.

– Właśnie mieliście okazję, by osobiście przekonać się o działaniu tej diabelskiej księgi i niecznych praktykach Opus Spiritus zmierzających do zapanowania nad ludzkimi duszami – powiedział Cellari, który zdawał się tylko odrobinę poruszony losem zaczarowanych. – Ale zapowiedziałem przecież jeszcze jeden dowód na potwierdzenie mojego przekonania, że w przypadku tak zwanej *Księgi duchów* mamy do czynienia z dziełem przeklętego Opus Spiritus. – Zrobił krótką pauzę, by spotęgować napięcie, uśmiechając się przy tym ukradkiem do swojego asystenta.

– A oto i on! – ciągnął po chwili dalej energicznym głosem. – Secundo, znam tego Valentina Kronusa, który miał czelność podawać się za autora tego diabelskiego dzieła. Niegdyś należał on do naszego zakonu świętego Dominika, monsignori. Razem ze mną wstąpił do klasztoru w Mediolanie w Roku Pańskim 1464, jednak nie minął nawet rok, a już przepędzono go w niełasce, gdyż po nocach wywoływał na cmentarzu duchy zmarłych, a w celi próbował swych sił w tworzeniu sztucznego złota. Od tamtej pory straciłem go z oczu na trzydzieści lat i przez długi czas sądziłem, że nie żyje. Ale najwidoczniej się myliłem – wykrzyczał Cellari w i jeszcze raz wskazał na niepozorne pisemko w jasnej oprawie ze skóry. – Prawie tak samo długo jestem na tropie Opus Spiritus. Jeśli na całym Zachodzie jest ktoś wystarczająco odczytany i niegodziwy, by urzeczywistnić szaleńcze zamiary tego szatańskiego zakonu, to tą osobą jest nasz niegdysiejszy brat Valentinus, który kiedyś na moich oczach za pomocą demonicznej sugestii

zmusił jednego ze współbraci, by przez całą noc skakał niczym zając po naszym szacownym refektarzu.

Monsignori mrugali od światła przedpołudniowego słońca. Sprawiali wrażenie zatrwożonych i zmęczonych zarazem, a Leo Cellari wyglądał teraz tak, jakby był pewien swego zwycięstwa, jakby chciał wywołać u swoich słuchaczy taką właśnie mieszaninę uczuć. Nie dając swoim słuchaczom chwili wytchnienia, przeszedł do *condusio*, wniosku nasuwającego się na podstawie tego wszystkiego, co przedłożył dostojnym panom tego poranka.

– Valentin Kronus jest diabłem w ludzkiej postaci – powiedział aksamitnym głosem – a jego *Księga duchów* jest najniebezpieczniejszym mieczem, jaki wpadł w jego ręce. I trzyma ją groźnie uniesioną, monsignori, gotową do zadania ciosu w samo serce chrześcijaństwa. Jednak my wiemy już teraz, jak się zamaskował, i dlatego proszę was unieść, mądrzy bojownicy Chrystusa! Wyposażcie mnie w odrobinę blasku waszej władzy, której będę potrzebował, bym wspólnie z moim dzielnym towarzyszem, Skythisem, mógł wykurzyć z tej nory kryjące się w niej diabelstwo.

Jeszcze raz urwał, ale tym razem tylko po to, by zaczerpnąć powietrza przed końcową fanfarami. Rozpostarł ramiona, tak że śnieżnobiałe gieźło zajaśniało i zaszeleściło spod jego togi. W świetle przedpołudniowego słońca, przedostającego się do środka przez dziurawy strop belkowy, kamienie szlachetne na jego krucyfiksie i pierścień z rubinem w kształcie łyżki na jego palcu serdecznym lśniły, przeganiając się wzajemnie.

– Mianujcie mnie inkwizytorem Bawarii Północnej i Frankonii aż po granicę z Czechami, przemożni panowie – wykrzyknął Leo Cellari – a ja niniejszym przyrzeknę wam, że w ciągu roku pojmem dla was tego diabła Kronusa, zniszczę jego szatańską książkę w oryginale i wszystkich kopiach, oraz że porąbię Opus Spiritus na kawałki, sięgając aż do jego korzeni, tak mi dopomóż Bóg.

## ROZDZIAŁ IV

# 1

GDY AMOS SIĘ ZBUDZIŁ, zaraz przyszła mu na myśl Oda. Wreszcie tu jest. Wypełniała go wewnętrzna radość. Odczuwał ją prawie jak szczęście, które przeżywał czasem, będąc jeszcze małym chłopcem – ciepłe pulsowanie, złoty promień światła, gdy siedział wraz z rodzicami i siostrą, gdy śpiewali razem, albo gdy ojciec opowiadał im historie o złośliwych karłach lub wrózkach ogarniętych szalem tańca.

Oda rzeczywiście przyjechała, wczoraj po południu. Tak zakurzona i wycieńczona, jak to zapowiedziała. Była wzruszona do łez, gdy wysiadała z powozu i rzuciła się w jego ramiona.

Musiał się zmuszać, by poleżeć jeszcze trochę na swoim posłaniu ze słomy – najchętniej zerwałby się natychmiast i pobiegł, co sił w nogach do jej izby w wieży. Jednak dopiero świtało, a on musiał siostrze obiecać, że dziś pozwoli jej się najpierw wyspać. Trzydniowa podróż dość ją zmęczyła – twarda drewniana ławka, nieustanne szarpanie potrząsanie oraz, co było dla niej największą z wszystkich udręk, dwie surowe zakonnice, które w czasie jazdy nie spuszczały ani jej, ani Klary z oka.

Amos usłyszał przed swoimi drzwiami stryja i jego ludzi, którzy szperali, szukając czegoś w holu. Najwidoczniej byli już gotowi do wyruszenia – z pewnością znów udawali się na jakąś wspaniałą łupieską wyprawę wojenną, z powodu której Heribert i Höttische naradzali się szeptem już od wielu dni. Amosowi towarzyszyły niemiłe uczucia, które dopadały go za każdym razem, gdy chodziło o rycerza i jego zbójckie wybryki. Nic go nie obchodziło, jakie mieli dokładnie zamiary – jednak musiała to być naprawdę poważna sprawa. Wczoraj wieczorem stryj przerwał na długo przed północą zwyczajową pijatykę i przepędził swoich ludzi do łóżek.

– Jutro musicie być czujni. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, nie będziemy się już musieli o nic troszczyć.

No cóż, Amos nie po raz pierwszy słyszał takie szumne slogany z ust stryja Heriberta. Jednak tym razem wydawało się, że kryje się za tym coś więcej – jeszcze nigdy rycerz nie wydawał się tak podniecony i jednocześnie w tak wyśmienitym nastroju.



Ale nie miał najmniejszej ochoty myśleć o stryju i jego zbójeckich wybrykach. Mogli sobie knuć do woli – najważniejsze, że Heribert z Hottischem wyruszają czym prędzej ze swoimi trzema tuzinami rozbójników w odległe strony i że nieprędko wrócą. Bo przynajmniej przez parę dni on i Oda będą mieli spokój, będą mogli sobie wzajemnie opowiedzieć o wszystkim, co przeżyli w ciągu ostatniego roku.

Leżąc, Amos macał na oślepie, szukając amuletu. Wczoraj w południe podjął szybką decyzję i wsunął go do szpary między łóżkiem a ścianą, zanim wyruszył, by odebrać Odę z Kirchenlamitz. Za chwilę, gdy będą jedli śniadanie, będzie musiał powiedzieć siostrze, że zna jej przyjaciółkę Klarę już z Norymbergi. Ale jak miał jej wyjaśnić, co wtedy zaszło między nim a zielonooką dziewczyną? Zastanawiał się nad tym już od wielu dni. Jednak, jak dotąd, nic mądrego nie przyszło mu na myśl. Bo wtedy musiałby opowiedzieć Odzie również o Kronusie i liście dla Hebedanka, a także – koniec końców – o *Księdze duchów*, a stary mężczyzna surowo mu tego zabronił.

Odpowiednie słowa przyjdą na myśl same, stwierdził Amos. Najważniejsze, że stryj Heribert i jego zgraja znikną najpierw z pola widzenia. Zaraz potem usiądzie z Odą gdzieś w cieniu na murach zamku, a gdy ona się do niego uśmiechnie, będzie już wiedział, co musi powiedzieć. Dumając nad tymi dodającymi mu otuchy wyobrażeniami, przysnął znowu.

Gdy znów się obudził, dookoła było cicho. W sali na zewnątrz nie było słychać żadnych kroków, ani łomotów czy przekleństw. Wydawało się, że w całym zamku panuje głucha cisza. A może znów dopadł go wewnętrzny niepokój? Odkąd przeczytał pierwszą opowieść z *Księgi duchów*, często mu się to zdarzało.

Od momentu gdy znów zasnął, mogła minąć co najwyżej godzina – a mimo to naraz wydało mu się, jakby w ciągu tego krótkiego czasu wszystko zmieniło się nie do poznania. Spokój panujący dookoła niego nie sprawiał już wrażenia sielankowego, lecz raczej złowieszcze, niby cisza zwiastująca śmiertelne przerażenie. Zaczął nasłuchiwać w stronę okna, ale z zewnątrz nie dochodził najmniejszy podmuch wiatru ani nawet najcichszy świergot ptaków. Jakby cały świat wstrzymał oddech.

Ale z jakiego powodu? Cóż takiego mogło nadciągać w tę stronę, że zaparło dech wszystkim istotom żywym? A może wszystko to znów sobie uroił? Nie, na pewno nie. Odkąd ponownie przeczytał opowieść *O rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem*, jego wewnętrzne siły niepomiaralnie wzrosły. Kronus nazywał ten dar „magią uczuć” i wytłumaczył mu, jak można na nią wpływać swoją wolą. Wystarczyło zamknąć oczy i ujrzeć płonąca gwiazdę

rozpościerając się niezliczonymi promieniami we wszystkie strony.

– Środkiem tej gwiazdy jest twoje serce – dodał z lekkim uśmiechem Kronus. – Jeśli zapytasz je o źródło i cel tych promieni, to udzieli ci odpowiedzi.

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. Jak dotąd, gdy Amos zapytywał swoje serce w ten sposób, udało mu się zobaczyć co najwyżej żarzący się punkcik z kilkoma włókienkami światła, cienkimi jak nóżki pająka, które zniknęły już po chwili w dali. Czasem udawało mu się zobaczyć tylko jeden mocniejszy promień światła – a była to magiczna nić łącząca go z Kronusem, gdy stary mężczyzna był akurat skłonny do nawiązania z nim kontaktu w ten sposób. A zdarzało się to raz dziennie, zazwyczaj wieczorem.

Amos zamknął oczy. Od razu ujrzał żarzący się punkcik, który pulsował w nim niczym drugie, rdzawozłote serce. Z tego światełka odchodziło – wijąc się – kilka słabo tłących się włókienek. A Amos pytał w głębi duszy każdy z tych promyków: Dokąd prowadzi? Z kim mnie łączy? I tak badał bezustannie, lecz jego serce pozostało nieme. Do czasu, aż Amos doszedł w końcu do ostatniej z tych strużek. Ta sprawiała wrażenie, jakby była nieco silniejsza od pozostałych, kurczowo migotała i drgała – jak świeczka, która lada moment zgaśnie przy podmuchu wiatru.

– Kto to jest? – zapytał Amos. – Z kim łączy mnie ta nić?

Jednak jego serce i tym razem zachowało milczenie.

Wtedy zwrócił się bezpośrednio do źródła strużki światła, która poruszała się – migocąc przy tym i drgając – w jego stronę z południowego zachodu. Z Norymbergi, przemknęło mu przez myśl, a jego serce mocniej zabiło.

– Kim jesteś? – spytał. – Co cię do mnie sprowadza?

Pelen nadziei wsłuchiwał się w szumiącą i szemrzącą ciszę. Amos otworzył swoje serce tak bardzo, jak tylko potrafił, by usłyszeć odpowiedź, choćby nawet migocącą i cichą. A wtedy poczuł ostry ból, zakrzyknął i skulił się na swoim posłaniu – jakby jakaś żądna krwi bestia zatopiła swoje ostre jak szpilki zęby w jego sercu i łapczywie spijała światło z jego wnętrza.

Nie trwało to dłużej niż mrugnięcie okiem, następnie ten okropny pożeracz światła – czy cokolwiek innego to było – odstał od niego. Amos przewrócił się na plecy. Miał dyszący oddech, a serce waliło mu jak oszalałe. Leżał tak przez chwilę, gapiąc się w sufit i usiłując się uspokoić, znów odetchnąć. Chciał zrozumieć, co się z nim przed chwilą działo.

Kronus ostrzegł go:

– Każdy strumień światła łączy twoje serce ze strumieniem uczuć jakiegoś innego

stworzenia. Musisz się nauczyć pływać po tych magicznych wodach, Amosie, rozpoznawać, kogo i jak blisko chcesz dopuścić do swojego źródła światła. Nigdy nie otwieraj serca dla kogoś, jeśli nie znasz jego zamiarów.

Nie wziął sobie do serca tego ostrzeżenia. Teraz przyszło mu za to zapłacić – potwornym bólem, który wciąż jeszcze odczuwał w środku, i przerażeniem, które zaczęło dopiero wolno ustępować.

Kim, u diabła, była ta bestia, która tak łapczywie wbiła swoje zęby w jego serce? Lewą ręką zaczął macać w szczelinie w ścianie, szukając amuletu. Chłodny, gładki wilczook, którego dotykał opuszkami swoich palców, działał na niego uspokajająco. Wyciągnął go ze szpary i zawiesił sobie na szyi.

Z Kirchenlamitz dochodził właśnie odgłos dzwonów wybijających pełną godzinę, ale cichy i jakby rozproszony. Wybiła właśnie piąta. Nawet jeśli czuł, iż targający nim wewnętrzny niepokój rozerwie go na strzępy, swoją siostrę mógł obudzić najwcześniej o siódmej. A do tego czasu musiał dowiedzieć się, co miała znaczyć ta straszna istota nadciągająca w stronę zamku Höhenstein z południowego zachodu – z tymi kurczowymi wewnętrznymi wstrząsami, jakby usiłowała zwalczyć swoje przemożne uczucia, by po chwili znów dać się im ponieść.

Chciwość. Nienawiść. Żądza zniszczenia.

Ale było w niej coś, co nie wcale nie pasowało do tych uczuć, co Amos mimo wszystko wyraźnie poczuł, gdy ta bestia dobierała się wcześniej do jego wewnętrznego źródła światła.

Samotność. Tęsknota otoczonego murem serca za ciepłem i światłem.

LEO CELLARI JECHAŁ NA CZELE W SWOJEJ CZARNEJ DOROŻCE z wytwornymi złotymi okuciami. Była zaprzęgnięta w dwa konie, w środku wyposażona w purpurowe, przyjemne dla oka wyściełane ławki. Nie była oznaczona papieskim godłem ani sztandarami, które pozwoliłyby się domyślić, że jedzie w niej inkwizytor. Zadziwiało to Hannesa Mergelina, który wolał podróżować turkocącym wozem na samym końcu kolumny powozów. Mimo że wóz był kuty z żelaza i przy każdym obrocie osi huczał i stękał, tak że oko białało.

Ale wyniosłe spojrzenia Cellariego były jeszcze gorsze niż wszelki huk żelaza, a najgorsze były szydercze gęby Meinolfa i Alexiusa, którzy jechali na olbrzymich koniach po obu stronach swojego mistrza. Meinolf na siwku, który z nerwowej energii nieustannie parskał i wyrzucał szyć do góry, tymczasem kary Alexiusa – niczym automat – równomiernie stawiał kopyto za kopytem.

O czasu gdy wyruszyli przedwczoraj z Norymbergi, podcenzor wielokrotnie go prosił, by przesiadł się do dorożki jadącej na przedzie, w której podróżował z Cellarim. Jednak Hannes wolał pozostać w swoim okutym żelazem wozie, nawet jeśli świat zewnętrzny przemykał mu tylko w ogólnym zarysie przez obite czarnym materiałem i okratowane ściany.

Tak czy owak, dopiero świtało. I po cóż miałyby oglądać wszystkie te nędzne przysiółki i bezkresne lasy, obok których przejeżdżali godzina za godziną w kołyszących się dorożkach? W końcu on sam uciekł z jednej z takich głuchych wiosek, ponieważ nie mógł już znieść tej przygnębiającej ciasnoty w domu. Tak w ogóle to już w czasach dzieciństwa nigdy nie interesował się specjalnie tym całym monotonnym teatrem świata. I jeszcze do niedawna odnosiło się to także do jego przeżyć wewnętrznych – do tego niezmiernie przykrego mętliku, na który składały się marzenia, uczucia, pamięć, a więc rzeczy, którym ludzie poświęcają dziś tak dużo uwagi. Jednak od czasu, gdy z nieostrożności podejrzwał kilka strzępków zdań (na pewno nie więcej!), jego wewnętrzny świat coraz bardziej dawał mu się we znaki.

Zaniepokojony Hannes i teraz wsłuchiwał się w swoje wnętrze, tymczasem przed

czarnymi zasłonami tańczyły wciąż jeszcze te same cienie. Na początku podróży Meinolf podjechał swym śnieżnobiałym koniem do żelaznego wozu Hannesa, by z niego zaszydzić.

– No, Mergelin, tam w środku człowiek czuje się pewnie jak męczennik w żelaznym piecu. – Hannes sam nie do końca rozumiał, co się wtedy z nim stało. Rozgorzał w nim gorący gniew, a oczy zaszyły mu czerwoną mgłą. Mimo że z pozoru zachował spokój i tylko przez szczelinę w czarnym suknie wlepił oczy w Meinolfa, młody dominikanin wzdrygnął się, jakby przeszły go dreszcze. Jego oczy rozszerzyły się, spojrzął na Hannesa zdziwionym wzrokiem i pośpiesznie pogonił swego konia z powrotem w stronę powozu Cellariego.

Również dla samego Hannesa nie było jasne, co się wtedy z nim stało. Jednak niezależnie od tego, co Meinolf dostrzegł w nim w tamtym momencie, od tej pory on i Alexius nie dokuczali mu już więcej.

Ich eskorta składała się z pół tuzina konnych kuszników papieskich, po których jednak już od dłuższego czasu nie było śladu. Ledwo zostawili za sobą Wunsiedel, a Cellari poinstruował tych sześciu wojowników na usługach Kościoła, by pojechali dalej bocznymi drogami, trzymając się jednak w pobliżu, w żadnym razie nikt nie mógł ich zobaczyć na głównej drodze. Zresztą kusznicy również nie mieli przy sobie żadnych herbów czy chorągwi, dzięki którym można by było ich rozpoznać jako bojowników Ojca Świętego. Hannes nie rozumiał, co to wszystko ma znaczyć, ale nie bardzo się tym zmartwił.

Stukot żelaznych prętów usypiał go. Skythis oświadczył mu, że w tym ruchomym lochu umieszczą wszystkie pisma skażone diabelską trucizną, jakie tylko uda im się przywłaszczyć z szatańskiej biblioteki Valentina Kronusa. Na spodzie wozu, dokładnie pod stopami Hannesa, znajdowała się ponadto wnęka w kształcie trumny. Było to miejsce przewidziane dla Valentina Kronusa, na wypadek gdyby udało im się zatrzymać tego „diabła w ludzkiej postaci”. Także dno tego zagłębienia składało się, jak prawie cały wóz, z przebiegających blisko siebie żelaznych prętów. Kronus miał pojechać razem z nimi z powrotem do Norymbergi przywiązany brzuchem do tej kraty, a nad jego głową planowano umieścić masywną płytę z żelaza, która zamykałaby jego loch od góry niczym kamień nagrobny.

Gregor, który siedział z przodu na koźle i nieustannie popędzał oba konie, powiedział Hannesowi, jeszcze zanim wyruszyli w podróż, że wcześniej już wiele razy transportował w ten sposób więźniów.

– Jeszcze ani razu nie zdarzyło się, żeby któryś z nich wyszedł stamtąd żywy. A kiedy się już rozkładają, ich kości wypadają dołem przez kraty.

Był to ten sam niepozorny mężczyzna w średnim wieku, który zawoził tydzień wcześniej Hannesa oraz podcenzora na spotkanie z Cellarim i dostojnymi panami. W innych okolicznościach Hannes pewnie powiedziałby sobie, że woźnica chce go zrobić w konia tą swoją historyjką. Ale wszystko wskazywało na to, że Gregor należy do tajnej organizacji, która na własną rękę poluje na demoniczne pisma i w której Skythis najwidoczniej odgrywa ważną rolę. Poza tym Gregor nie wydawał się w najmniejszym stopniu w nastroju do żartów. Ciągłe patrzył przed siebie tak ponuro, jakby święta wojna przeciwko Szatanowi i jego demonicznym księżkom była już przegrana. Pod peleryną nosił swego rodzaju pancerz z naszywanymi na siebie skórzanych łat. Również na czasce miał taki hełm-pancerz z wypłowiałych skrawków, od czasu gdy dziś z samego rana zrobili sobie krótką przerwę na odpoczynek, według Leona Cellariego – ostatnią chwilę wychnienia przed bitwą. Już tylko kilka mil dzieliło ich od Kirchenlamitz, a ich kusznicy jakby zapadli się pod ziemię. Mimo to ani Cellari, ani Skythis nie sprawiali wrażenia, jakby byli szczególnie zmartwieni tym faktem.

Pancerz Gregora zdawał się robić wrażenie nawet na Meinolfie i Alexiusie. Obrzucali się wzajemnie spojrzeniami, ale ani drgnęli, gdy ten zrzucił z siebie pelerynę i zeskoczył z kozła w pełnej zbroi. Z pewnością woźnica popatrzył wtedy przed siebie z takim samym gniewem, jak zazwyczaj, jednak nie można było tego dostrzec – do jego hełmu-pancerza należała skórzana maska, w której znajdowały się tylko wąskie wycięcia na oczy, nos i usta.

Gregor burknął coś przez maskę w stronę swego pana, jednak nie sposób było niczego zrozumieć. Skythis odwarknął coś, lecz te dźwięki również przypominały raczej mowę wilków niż ludzi.

– Wystarczy tego odpoczynku – zdecydował Cellari, mimo że dopiero co wyszli ze swoich powozów i siodła. – Spodziewają się nas o szóstej i chyba nie chcemy rozczarować naszych gospodarzy Jakich gospodarzy? Także znaczenie tych słów pozostawało niejasne dla Hannesa. Jednak najwidoczniej wszystko przebiegało dotąd zgodnie z planem Cellariego i Skythisa.

Gregor wskoczył znowu na kozła powozu, narzucił na siebie pelerynę, a hełm i maskę schował pod zbyt dużym kapturem. Hannes również wszedł z powrotem do swojej żelaznej klatki, która już po kilku chwilach ruszyła ponownie. Znow zaczęło bez przerwy podrzucać i hałasować. Pod ciemnym sukniem w środku panował mrok, mimo że słońce wschodziło właśnie na bezchmurnym niebie nad Kirchenlamitz.

Choć w swoim huczącym wozie Hannes był osłonięty przed wszystkimi, wyraźnie

wyczuwał narastające napięcie u swoich towarzyszy boju. U Cellariego i Skythisa na samym przedzie, u obu młodych dominikanów jadących konno, a także u łowcy ksiąg w łańcuchowym pancerzu na koźle powozu tuż przed nim.

Musieli być już blisko celu. I z każdym piskiem obrotu osi Hannes Mergelin czuł coraz wyraźniej, że ich misja zakończy się powodzeniem. Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak powalają na ziemię „diabła w ludzkiej postaci”, jak go pętają, zamykają w trumnie z krat, znajdującej się pod jego stopami, jak ładują na wóz, ponad tą trumną, skrzynie wypełnione po brzegi demonicznymi księżkami. I w tym momencie Hannes nagle poczuł na dnie swej duszy gorące ssanie.

Poczuł jakby rzekę złocistego światła, która porywała Hannesa ze sobą. Rzeka zdawała się płynąć pod prąd, w stronę własnego źródła, dziury w ścianie skalnej. Z rozpaczy Hannes usiłował ponownie otworzyć oczu, jednak z jakiegoś nieznanego powodu powieki odmawiały mu posłuszeństwa. Pieniąc się, rzeka pędziła w kierunku swego źródła, porywając go ze sobą. Hannes ze wszystkich sił próbował stawić opór wciągającemu go wirowi, ale jeszcze tylko przez krótką chwilę – właściwie było to bardzo przyjemne uczucie. Zanurzył się w miękkim, ciepłym świetle, a rzeka porwała go ze sobą, tymczasem on ochoczo poddał się wirowi. Ale znowu tylko na krótką chwilę – bo wszystko to, co się z nim działo, mogło być przecież tylko szatańskim widmem, stworzonym przez działającą w jego duszy diabelską truciznę. I tak się mიაոwał w kółko, a za każdym razem, gdy znów dawał się porywać wirowi, rzeka światła wydawała mu się coraz cieplejsza, coraz bardziej kołysząca i miękka. Aż ogarnęła go wreszcie dzika żądza i nie chciał już niczego innego, jak tylko przedostać się do samego źródła, w głąb skały Światło całkowicie go pochłonęło. Jeszcze nigdy nie czuł się tak silny, tak żywotny, tak wypełniony pulsującą mocą. Łapczywie wchłaniał w siebie złociste światło. I wtedy nagle wszystko się skończyło – poczuł pchnięcie i otworzył oczy.

Siedział w żelaznym powozie, za czarnym sukniem. Co, u diabła, się z nim przed chwilą działo? Otwartą dłońią przejechał sobie po czole. Było gorące, ale gorączka trawiła także jego duszę. Czuł się tak, jakby właśnie stoczył bój na śmierć i życie ze swoim przeciwnikiem lub jakby objął ukochaną osobę – lub jakby przytrafiły mu się te dwie rzeczy jednocześnie.

Dokąd go też porwało, w jakim świecie zjaw był jeszcze przed chwilą? W czasie gdy Hannes snuł swoje rozważania, Gregor rozkazał obu koniom, by zwoływały kroku. Huk i pisk stały się cichsze, a Hannes usłyszał dochodzące z wszystkich stron dudnienie i kroczenie, które szybko stawały się coraz głośniejsze. Za czarnymi zasłonami rysowały się sylwetki olbrzymich koni i

dosiadających je rycerzy, którzy wymachiwali swoimi wielkimi mieczami lub trzymali broń gotową do użycia.



### 3

AMOS BŁĄKAŁ SIĘ BEZ CELU PO OPUSTOSZAŁYM ZAMKU. Musiał koniecznie nawiązać kontakt z Kronusem, opowiedzieć mu o rozbójniku rabującym światło, który go napadł w czasie, gdy on przebywał w innym wymiarze. Jednak nie udawało mu się po prostu dotrzeć do starego mężczyzny – zamknął oczy i znów natychmiast ujrzał pulsujący, rdzawożłoty punkt, swoje magiczne serce. Ale od tej wewnętrznej gwiazdy znowu odchodziło jedynie kilka cienkich jak nóżki pająka, tłących się włókienek, a między nimi ta sama strużka kurczowo drgającego światła. I ilekroć Amos ponawiał tę próbę, nie mógł po prostu odnaleźć tego silnego promienia światła, który od czasu do czasu łączył go z Kronusem.

Jednocześnie przeczuwał, jak wielkim zagrożeniem może się okazać ten pożeracz światła – zagrożeniem dla Kronusa, dla Ody, dla niego samego? Nie wiedział tego dokładnie, ale czuł, że musi coś zrobić. Ale co? Obudzić siostrę i pobiec z nią do Kronusa? Jeśli pożeracz światła chce dopaść tego mędrca, wystawiłby wtedy Odę tylko na jeszcze większe niebezpieczeństwa. A może powinien zostawić tu Odę i pobiec do starego młyna, by ostrzec Kronusa? Tego to już na pewno nie może zrobić. Jeśli zostanie sama w pustym zamku, nie będzie nawet przypuszczała, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajduje.

Ale na czymże miałyby polegać to niebezpieczeństwo? Kronus z pewnością mógłby mu wszystko wyjaśnić – jednak akurat on był teraz niedostępny. Myśli Amosa kręciły się w kółka. Mógłby zacząć krzyczeć, bębnić pięściami w drzwi pałacu, w mury zamku, zrobić cokolwiek, by tylko rozwalić tę pułapkę, w której był uwięziony, lub by przynajmniej rozładować ten szumiący, iskrzący w nim niepokój.

W końcu pobiegł w stronę muru zachodniego, odryglował małe drzwi w bramie i wyszedł na zewnątrz, na klif pod wałem obronnym. Tutaj marzył całymi godzinami wieczornymi, stąd obserwował sokoła na niebie, zachodzące nad dachami domów w Kirchenlamitz słońce, aż wreszcie złość i żal, nagromadzone w jego sercu, nieco się uspokajały i uśmierzały. Smutek z powodu wszystkiego, co stracił. Złość na wszystkich, którzy zniszczyli to, czym kiedyś było jego

życie.

Dzisiaj jednak wszystko było inne. Ledwo skulił się na wysuniętej ścianie skalnej, przywierając plecami do murów zamku, gdy usłyszał głęboko, w dole, dochodzący z drogi metaliczny huk. Nigdy jeszcze nie słyszał czegoś podobnego – nawet ogromne powozy ciągnięte przez sześć koni nie powodowały takiego huku. Zamknął oczy i spróbował sobie wyobrazić dziwny pojazd, który mógłby wywoływać taki huk. I nagle zobaczył przed sobą tę drgającą strużkę światła, która rwała i szarpała jego magiczne serce, a później jak ognista dzida wbiła się do środka. Szybko otworzył oczy – niezależnie od tego, jakiego rodzaju był ten huczący wehikuł, jedno było pewne – sprowadza w tę okolicę rozbójnika rabującego światło.

Po chwili huk zupełnie ucichł i zamarł. Zamiast niego Amos usłyszał stukot kopyt, dudnienie i trzask, jakby konie wychodziły z lasu – kto to, u diabła, mógł być? Intensywnie przysłuchiwał się i spoglądał w dół w stronę drogi. Dochodziły stamtąd odgłosy, jakby chodziło o co najmniej dwa tuziny rycerzy, a teraz słyszał ich, jak wołają coś jeden przez drugiego i wykrzykują zachrypniętymi głosami okrzyki bojowe.

Dobry Boże, pomyślał Amos, spraw, żeby to nie był stryj ze swoją bandą!

Przykucnął teraz na rękach i kolanach i wystawił głowę za klif tak daleko, że omal nie stracił równowagi. Głęboko w dole ujrzał niewyraźnie gromadę jeźdźców, pośrodku których jechały dwie karety lub dwa wozy, które najwidoczniej zostały otoczone. Niczym strzępki koszmaru przyszedł mu na myśl zakładnik, o którym opowiadał mu kiedyś Höttsche – ten baron, którego stryj wywłókł siłą z wozu, tam w dole na drodze, i którego następnie przetrzymywał w lochu pod pałacem, by wyłudzić od jego rodziny okup.

Amos zamknął oczy, jednak tym razem z rozpaczą. Taką dużą gromadą jeźdźców, jak ta stryja Heriberta, dowodził tylko urzędnik w Kirchenlamitz. Jednak po cóż potężny Conntz Rabensteiner miałby wysłać swego komendanta o szóstej nad ranem, by napaść przed wzgórzem zamkowym Höhenstein na dwa wozy? Nie, ta sprawa była nazbyt oczywista i bynajmniej nie potrzebował żadnego rodzaju magicznych mocy, by dośpiewać sobie całą resztę na temat tego, co właśnie dzieje się na drodze. Wielka wyprawa łupieska, z powodu której stryj i Höttsche już od wielu dni zachowywali się tak zagadkowo, właśnie rozgrywała się trzysta stóp pod nim. Pewnie stryj tak to wszystko przygotował, żeby nie padło na niego żadne podejrzenie, mimo że napadł na podróżujących przed drzwiami własnego domu. Jednak jednej rzeczy rycerz Heribert najwidoczniej nie wiedział i dlatego nie przewidział w swoim planie – tym pozornie bezbronnym zakładnikiem, którego wziął tam na dole w obroty, była ta bestia o demonicznym

mocach. I nawet jeśli stryjowi udało się ją zawlec na zamek, to do tego właśnie zmierzał ten potworny pożeracz światła.

Muszę iść do Ody, pomyślał Amos, musimy uciekać, póki jeszcze trwa walka tam na dole. A jak tylko uda mu się znaleźć dla Ody bezpieczną kryjówkę, pobiegnie do starego młyna, by ostrzec Kronusa.

## 4

HANNES ODSUNĄŁ NIECO CZARNE SUKNO i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Co najmniej trzydziestu jeźdźców o dzikim wyglądzie otoczyło ich małą kolumnę. Jakiś wysoki i barczysty mężczyzna o czarnej, rozczochranej brodzie i krwistoczerwonej bliźnie w kształcie litery „X” na czole z wyciągniętym mieczem w ręku trzymał w szachu Meinolfa i Alexiusa. Obok niego na koniu siedział mężczyzna o szlachetniejszym wyglądzie, choć miał nabrzmiałą twarz. Najwidoczniej to on był hersztem całej tej bandy. Teraz przechylił się w bok w stronę powozu Cellariego i powiedział coś, z czego Hannes zrozumiał tylko urywki.

– ... pojedziecie z nami... pokojowa eskorta... nic złego...

Cóż to miało znaczyć? W czasie gdy Hannes się jeszcze nad tym zastanawiał, z gąszczu obok drogi wypadli nagle papiescy kusznicy, radośnie trąbiąc. Herszt bandy rozbójników wyrzucił rękę w górę i krzyknął w stronę olbrzyma z blizną w kształcie litery „X”:

– Powal ich, kapitanie.

Miecze wysunęły się ze szczękiem z pochew i poniósł się dziki zgiełk. Tymczasem Hannes leżał na brzuchu na podłodze swego żelaznego wozu, wyglądając spod zasłony na zewnątrz. Papiescy wojownicy mogli wprawdzie być wybornymi kusznikami, jednak tu na wąskiej drodze i otoczeni przez trzy tuziny zdecydowanych na wszystko rozbójników, sprawiali wrażenie prawie bezbronnych. Ledwo udawało im się znaleźć wystarczająco miejsca, by ułożyć ich ogromną broń w odpowiedniej pozycji, napiąć łuki i przyłożyć śmiertelne strzały. Rozbójnicy napierali na nich konno, uzbrojeni w miecze i lance, spychając ich krok za krokiem w stronę gąszczu na poboczu drogi. Jeden z żołnierzy wyrzucił swój łuk w górę, strzała wystrzeliła w powietrze ze stalowym świstem i wbiła się w czoło jednego z rabusiów. Był to młody jeszcze mężczyzna o lnianych włosach, które opadały mu na szerokie ramiona. Hannes widział, jak jego twarz nad rozczochraną brodą zrobiła się biała jak kreda, a po chwili poczerwieniała od ciekącej krwi. Czuł całkiem wyraźnie, że młody rozbójnik już nie żył, gdy staczał się z siodła na bok. Wzrok miał nieruchomy, usta otwarte, ale nawet jeśli coś by jeszcze wykrzyczał, z pewnością

nikt by go nie usłyszał.

Powietrze rozbrzmiewało, a ziemia drżała od szczęku mieczy i tętentu kopyt, od miotanych przekleństw i jęków, od rzenia i parskania, w tym samym czasie młody rozbójnik runął do przodu twarzą skierowaną ku ziemi, a strzała jeszcze głębiej wbiła mu się w czoło. Ale jego kompani z jeszcze większą siłą napierali na kuszników i asystentów Cellariego – na Meinolfa i Alexiusa, którzy – otoczeni przez pięciu rozbójników – nie odważyli się wyciągnąć swoich krótkich mieczy.

Tymczasem Gregor zrzucił z siebie pelerynę i zsunął się z kozła wozu, w lewej ręce dzierżył zakrzywiony sztylet, a prawą kręcił nad swoją głową ostrym jak brzytwa żelaznym krzyżem na łańcuchu. Wyjął niczym wilk, rzucił się na pierwszego z brzegu przeciwnika, grzmotnął go swym żelaznym krzyżem w głowę, w tej samej chwili naskoczył na niego i wyrwał go z siodła. Zakrzywiony sztylet wbił się w gardło rozbójnika, jeszcze zanim runęli w potwornym uścisku razem na ziemię. Mężczyzna żył jeszcze, ale Gregor już się odwracał. Hannes obserwował, jak z przypominającej kształtem sierp księżyca rany tryskała spieniona krew. Jednak już po chwili znów coś innego odwróciło jego uwagę – wysoki i barczysty kapitan rozbójników, z połyskującą, rdzawą blizną, uniósł lewą rękę i krzyknął coś w stronę karety, której złote okucia iskrzyły się w porannym słońcu. Przez boczne okno powozu wrzawie przyglądał się pozornie nieporuszony Leo Cellari. W całym tym rozgardiaszu Hannes nie usłyszał, co dokładnie wykrzyknął ten człowiek z blizną na twarzy, zauważył jednak, że Cellari pokręcił głową, prawie niepostrzeżenie się przy tym uśmiechając.

Wtedy ten olbrzymi rozbójnik wyrzucił w górę swój miecz i zatopił go jednemu z kuszników w klatce piersiowej aż po trzonek. Zarżawszy, koń pod papieskim bojownikiem zerwał się do ucieczki, a samego kusznika ostrze przygwoździło do ogromnego świerku na wysokości siedmiu stóp. Kusza wyslizgnęła mu się z rąk i upadła z hukiem na ziemię. Ale przeszyty mieczem dalej wisiał u góry, a jego twarz zastygła w grymasie wielkiego zdziwienia.

Rozbójnicy wrzeszczeli jeden przez drugiego. Za każdym razem czterech z nich z wyciągniętymi mieczami trzymało w szachu jednego kusznika. Losy bitwy wydawały się już przesądzone – przez samą już liczebną przewagę rozbójników, którzy w dalszym ciągu zdawali się nie domyślać, kto wpadł w ich zasadzkę.

– Złóście broń! – rozkazał czarnowłosy mężczyzna o szlachetniejszym wyglądzie, najwidoczniej był to ich najwyższy przywódca. I tym razem Cellari wyraził swoją zgodę – obojętnie kiwnął głową.

Pięciu pozostałych przy życiu kuszników występowało jeden za drugim naprzód i składało broń. Tymczasem olbrzym z blizną w kształcie litery „X” popędził swego konia w stronę nadzianego na miecz żołnierza i za jednym zamachem odzyskał swoją broń.

Przez niewiarygodnie długą chwilę zwłoki wciąż jeszcze wisiały na drzewie, by następnie zwalić się w końcu na ziemię niczym worek.

Wśród rozbójników znów podniosły się wrzaski. Ten „X” na czole ich kapitana, z blizną na twarzy, zdawał się pochodzić od takiego samego żelaznego krzyża, jakiego jeszcze przed chwilą użył Gregor. Jednak cóż mógł działać sam w obliczu tak dużej przewagi rozbójników? Ich kapitan – szczerząc się z miną wyrażającą pewność zwycięstwa, z umazanym krwią mieczem na udach – siedział w siodle jak na tronie.

– Ty też, człekokształtna jaszczura! – warknął.

Gregor stał kilka kroków przed nim, w dalszym ciągu trzymając w rękach zakrzywiony sztylet i łańcuch z żelaznym krzyżem. Dookoła niego znajdowała się wolna przestrzeń, odpowiadająca w przybliżeniu długości jego łańcucha.

– Jeśli chcesz moją broń – burknął spod maski – sam sobie ją przynieś.

Kapitan rozbójników nie dał sobie tego powtarzać dwa razy, wyszczerzył się jeszcze bardziej, gdy zeskakiwał z siodła i jeszcze w trakcie skoku zrobił zamach mieczem. Ale jego cios trafił w próżnię – Gregor jednym susem odskoczył na bok. Znów zaczął kręcić żelaznym krzyżem nad swoją głową, ale zanim jeszcze zdążył wytłoczyć swojemu przeciwnikowi w czaszce jeszcze jeden krwawy „X”, ten znów wyrzucił swój miecz w górę. Ze straszliwą siłą spuścił miecz na człowieka w pancerzu i mimo że Gregor ponownie odskoczył, ostrze trafiło go w bok głowy. Hannes usłyszał okropny trzask i na chwilę musiał zamknąć oczy. Czuł, że Gregor doznaje potwornego bólu i najchętniej w ogóle by już nie unosił powiek – w każdym razie dopóty, dopóki tam na zewnątrz trwa walka.

Wtedy z powozu rozległ się dźwięczny głos.

– Na Chrystusa, przestańcie! – Cellari pchnął drzwiczki od karety i wyskoczył z niej zwiewnym krokiem. Miał na sobie togę, w której Hannes jeszcze nigdy dotąd go nie widział – była purpurowa, narzucona na czarne giezło, które wystawało spod jej rękawów jakby szarpane wiatrem.

Rozbójnicy z rozdziawionymi ustami popatrzyli w stronę inkwizytora. Cellari dzierżył w ręce purpurową jak jego toga chorągiew, uczeponą do mosiężnego drążka. Złote i czarne hafty na sztandarze przedstawiały w symboliczny sposób działanie inkwizycji: wysoki i chudy mnich

na płótnie chorągwi niósł w prawej dłoni miecz, a w lewej gałązkę oliwną – znak pokoju, który chrześcijańscy bojownicy najwidoczniej zamierzali wymusić siłą. U jego stóp siedział pies, trzymający w pysku za uchwyt miotełki do kurzu. Obok zwierzęcia leżała atrapa globu ziemskiego, a pies przejeżdżał miotełką po różnych krajach i częściach ziemi, a nad kulą ziemską wzbijały się ogromne tumany kurzu – „błoto” herezji, „brud” niedowiarstwa i kacerstwa.

Cellari zatrzymał się przed głównym dowódcą rozbójników, który właśnie ześlizgnął się ze swego konia, i kapitanem. Wysoki i barczysty mężczyzna z blizną na twarzy wciąż jeszcze trzymał w ręce umazany krwią miecz, jednak jego twarz wystająca spod rozczochranej brody była teraz jak skamieniała.

– Rycerzu Heribercie von Höhenstein – powiedział sługa Kościoła – przed wami stoi Leo Cellari, inkwizytor Bawarii Północnej i Frankonii. Zaatakowaliście mnie, zamordowaliście bojownika Chrystusa i raniliście tamtego mężczyznę, który również walczył po stronie Kościoła. – Wskazał przy tym na Gregora, który osunął się na kolana i obydwoma rękami trzymał się za prawą stronę głowy. Krew wyciekała mu między palcami i przez rozszarpany hełm. – Zapłacicie za to życiem – ciągnął dalej inkwizytor – ale jeśli niezwłocznie złożycie broń i zaczniecie błagać dobrego Boga o łaskę, może uda wam się jeszcze uratować przed stosem. Niech pierwszą oznaką waszej skruchy będzie oddanie w moje ręce kluczy do waszego zamku.

Rycerz Heribert i kapitan obrzucili się szybkim spojrzeniem. W jednej chwili kapitan powalił inkwizytora na ziemię i skierował ostrze swego miecza w stronę klatki piersiowej Cellariego.

– Wymarsz! – krzyknął. – Wszyscy z powrotem do zamku!

Rycerz Heribert drżał na całym ciele. Dopiero za drugim podejściem udało mu się pochwycić cugle swego konia i wciągnąć się na siodło. Jego ludzie również wydawali się porażeni strachem.

– No, pośpieszcie się! – krzyknął kapitan. – I dopiero wtedy wszyscy wskoczyli na swe konie i pognali przed siebie. Jako ostatni odjechał kapitan, najpierw jednak raz jeszcze machnął swoim mieczem w stronę Cellariego, z miną człowieka, który nie ma już nic do stracenia.

Dlaczego jednak Cellari ujawnił się jako inkwizytor dopiero teraz? Hannes po prostu nie mógł tego pojąć. Zginęło trzech ludzi, a kusznicy właśnie obrócili młodego rozbójnika, by wyciągnąć mu z czoła strzałę. I nawet jeśli przynajmniej życie Gregora nie było zagrożone, to mimo to odniósł poważną ranę. Hannes ledwo mógł spojrzeć w jego stronę, gdy woźnica zdierał sobie strzępy skóry ze skroni. W miejscu, gdzie przedtem miał prawe ucho, znajdowała się teraz

bezkształtna dziura, z której w dalszym ciągu wyciekała krew.

Po co ta cała walka, ci polegli, ta przelana krew? Tymczasem również Skythis wyszedł ze swojej karety i Hannes odczytał z jego miny, że i on nie pochwałał postępowania Cellariego.

Ale inkwizytor, który właśnie z trudem podnosił się z zakurzonej drogi, sprawiał wrażenie, jakby był wręcz podekscytowany i zadowolony. Z uśmiechem na ustach odprawił obu swoich asystentów, którzy chcieli mu pomóc znów stanąć nogi. Tylko przelotnie strzepał sobie kurz z togi, idąc już śpiesznym krokiem w stronę swojej karety.

O wiele staranniej za to zatknął chorągiew z przodu swojej karocy – jakby dopiero teraz nadeszła odpowiednia pora, aby to uczynić.

– Na konie, bojownicy Chrystusa – zawołał przyjemnym głosem. – Przejmujemy zamek!



AMOS POBIEGŁ NA GÓRĘ WĄSKIMI, KRĘTYMI SCHODAMI w wieży wschodniej zamku. Na samej górze pod kalenicą znajdowała się jego ulubiona kryjówka, wąskie przepierzenie ze szczerbą okienną, skąd roztaczał się widok na cały las jodłowy pod zamkiem. Ale dziś nie mógł się tam ukryć, przeszło mu przez głowę, i być może nigdy już się tam nie ukryje.

Odnosił wrażenie, jakby wszystko dobiegało końca – jakby prorocy-krzykacze, przepowiadający na placach miejskich rychłe nadejście końca świata, mieli jednak rację.

Zatrzymał się przed komnatą Ody i przyłożył ucho do drewnianych drzwi. Jednak nie usłyszał niczego poza szumem własnej krwi.

– Oda?

Nie usłyszał odpowiedzi. Nacisnął na gałkę u drzwi, a gdy drzwi nie otworzyły się od razu, napał ramieniem w ich stronę.

– Amos? Co się stało? – Oda spojrzała w jego stronę ze swojego posłania zaspanym wzrokiem, mrugając oczami.

Potał sobie ramię. Jej izbę wypełniało miodowo żółte światło poranka. Przez krótką chwilę jego własne zachowanie wydało mu się głupie. Z czarnymi lokami opadającymi na ramiona siostra uśmiechnęła się w jego stronę, nie podejrzewając nic złego. Jakże jest podobna do matki, pomyślał Amos. Ale na wzruszające wspomnienia naprawdę nie było już czasu. Musiał zabrać Odę w jakieś bezpieczne miejsce, tylko to się liczyło.

– Co się dzieje? – powtórzyła pytanie i spojrzała na niego zaniepokojonym wzrokiem.

Kucnął obok jej łóżka. Jak miał jej wytłumaczyć, co się stało? Sam przecież tego nie rozumiał. Wiedział tylko, iż chodzi o śmierć i życie, że muszą stąd natychmiast uciekać, by ukryć się w ciemnym lesie. I że nigdy, przenigdy, nawet w najgłębszym śnie, nie popełni tego błędu i nie otworzy swego wnętrza. Swojego magicznego serca, wewnętrznego źródła światła, bo właśnie na nie czyhała ta bestia – ale nie, nie będzie się z niczego zwierzał Odzie. Popatrzył na

siostrę wnikliwym wzrokiem i powiedział:

– Odo, proszę, posłuchaj mnie. Nic nie mów. Po prostu mi zaufaj, musimy uciekać, i to zaraz!

I to „zaraz!” dobyło się tak głośno z jego krtani, że Oda drgnęła ze strachu. Usiadła, sięgnęła po jego dłoń, a lewą ręką przepędziła sen z powiek.

– Ale przed czym?

– Wszystko wyjaśnię ci później, po drodze – powiedział, gdy Oda zrzucała z siebie koc. Była w koszuli nocnej, nigdy by nie pomyślał. Jej surowa jak u zakonnicy szata leżała starannie złożona na stołku przed lukiem w murze. Zmieszany odwrócił wzrok – Oda już od dawna nie była dzieckiem, podobnie jak on.

– Poczekam na zewnątrz – powiedział. – Ale, na Boga, pośpiesz się!

Czekając przed drzwiami, przestępował z nogi na nogę. Słyszał, jak szpera w czymś, jak biega tam i z powrotem, tymczasem migały mu przed oczami przerażające sceny – stryj i Höttsche, wyszczerzając się triumfalnie, wlekli za sobą zakładnika na zamek. Ale ledwo brama zdążyła się za nimi zamknąć, a ten potwór, jakby wyjęty żywcem z koszmarów, zaczął łapczywie spijać wszelkie życie z wszystkich istot żywych znajdujących się na zamku – ich wewnętrzne światło, ich magiczne serce.

– Oda!

– No, już jestem gotowa. Ale może powiesz mi w końcu... – Przeszła przez próg i urwała w środku zdania. – Ten amulet, ten srebrny trójkąt, skąd go masz? – Chciała dotknąć amuletu, który nosił na szyi na rzemieniu Klary, ale Amos chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą po schodach na dół.

– Później, Odo, obiecuję, wszystko ci wyjaśnię, a teraz chodźmy już.

Zbiegli śpiesznie po schodach na dół. Wieża wschodnia znajdowała się tuż obok przejścia prowadzącego ostro opadającą w dół ścieżką, do lasu pod zamkiem. No cóż, Oda nie będzie specjalnie zadowolona, że będzie musiała schodzić tą kozią ścieżką, ale była to ich jedyna szansa na przetrwanie. Amos zobaczył oczyma swej wyobraźni, jak stryj i kapitan prowadzą oba złupione powozy szerszą drogą po zachodniej stronie zamkowego wzgórza. W najlepszym razie już za kwadrans będą po drugiej stronie przy bramie, opuszczą most zwodzony, a w toczącym się naprzód wozie, który huczał, jakby pod ziemią szła za nim cała horda ciężko stąpających diabłów, siedział tamten demon.

– Tędy – krzyknął Amos, gdy mieli już wieżę za sobą, i pociągnął Odę w stronę przejścia

– na dół do lasu!

Oda wzbraniała się jeszcze złąkniona. Na szczęście zdawała się przeczuwać, że Amos bierze to wszystko śmiertelnie poważnie. Ale gdy mieli iść dalej wąską ścieżką w stronę stoku, za którym droga prowadziła prawie pionowo w dół po gołych skałach, Oda gwałtownie wyrwała się Amosowi.

– No chodź – powiedział zdyszany. – Gorzej to wygląda, niż... – Urwał w środku zdania.

Przed nimi – pod nimi – w stronę zamku zmierzała kompania wojowników w purpurowych szatach. Jeden za drugim szli pośpiesznie zwiewnym krokiem ścieżką prowadzącą pod górę, przy czym połowa z nich niosła na plecach olbrzymie kusze, a druga połowa ogromne miecze. Ich srebrne hełmy połyskiwały w słońcu, co sprawiało, że wyglądali niemal jak anioły. Anioły zemsty, pomyślał Amos. Anioły spustoszenia, o których jest napisane w Biblii, że w ciągu jednej tylko nocy zabiły dziesięć tysięcy złoczyńców.

Ale ci bojownicy bynajmniej nie należeli do oddziałów niebieskich. Na przewieszonym przez ramię rzemieniu każdy z nich nosił jeszcze zapasową broń. Tych przerażająco dobrze uzbrojonych żołnierzy było dokładnie czterdziestu czterech. Gdy Amos biegł za Odą z powrotem do przejścia, przyszło mu na myśl, co Kronus stwierdził kiedyś mimochodem:

– Dla *Księgi duchów* większym zagrożeniem są koniec końców łowcy ksiązek na usługach cesarza. Ale silniejszymi oddziałami dysponuje inkwizytor – jego wojownicy w purpurowych mundurach są zaprawieni i doskonale wyszkoleni w boju.

Oda chwyciła go kurczowo za rękę.

– Kim są ci żołnierze? – spytała cicho drżącym głosem, podobnie jak tamtej nocy przed trzema laty, o której Amos nie chciał jednak teraz myśleć. – Czy wyprawiają się przeciwko stryjowi? Powiedz coś wreszcie, Amosie!

– Później – wyszeptał. – Słyszysz, tam z przodu, przy bramie? Jesteśmy w pułapce!

Właśnie w tej samej chwili zaczęła się opuszczać ze szczękiem brama z kratą spustową po zachodniej stronie zamku. Zza niej wyłoniła się najpierw cienka kreska niebieskiego, porannego nieba, a następnie hełmy i głowy niezliczonych jeźdźców. Jednak w tym czasie rodzeństwo biegło już z powrotem do wieży wschodniej.

– Nie na górę – wyszeptał Amos, który znowu chwycił siostrę za rękę i pociągnął w głąb izby w wieży, w stronę kamiennej płyty, która znajdowała się bardziej z tyłu. Do płyty były przymocowane dwie ciężkie obręcze z żelaza. Amos jął je szarpać i ciągnąć, padłszy na kolana. – Tam na dole – powiedział, dysząc – znajduje się labirynt podziemnych korytarzy.

Zaczął jeszcze gwałtowniej ciągnąć za żelazne obręcze, jednak płyta nie drgnęła z miejsca.

– Podziemnych korytarzy? – powtórzyła Oda. Mimo że mówiła szeptem, nie sposób było nie usłyszeć zgrozy w jej głosie. – Ja tam nie wchodzę – wyszeptała. Stała tuż za nim, a gdy odwrócił się w jej stronę, ujrzał szeroki cień padający z zewnątrz do izby.

Poskoczył i stanął przed otworem w ziemi, by żaden niewtajemniczony obserwator nie zauważył nic podejrzanego. Po chwili przez próg przestąpił rosły mężczyzna w purpurowej szacie. Na jego hełmie zakołysał się równie purpurowy pióropusz.

– Nie bójcie się, moje dzieci – powiedział – bo przybywamy, by wybawić was od złego. – Podszedł do nich, radośnie się uśmiechając. Ale spojrzenie miał czujne, a rękę trzymał w taki sposób, że w okamgnieniu mógłby dobyć swój miecz z pochwy. – Na razie będziecie musieli zostać tu w środku – dodał, jeszcze bardziej się rozpromieniając – ale bądźcie dobrej myśli, moje dzieci. Uratujemy wszystkich tych, w których sercach nie ma fałszu.

Pod hełmem jego czarne włosy kręciły się w kędziorki. Nie miał zarostu na brodzie ani policzkach. Jak ksiądz, pomyślał Amos, może nawet jest mnichem.

Żołnierz zaprowadził ich na górę do komnaty Ody. Nie zamknął drzwi, podobnie zresztą jak pozostawił odryglowane okute ciężkim żelazem drzwi na dole, które prowadziły na dziedziniec. Ale Amos i Oda usłyszeli, jak poinstruował dwóch innych żołnierzy, by zajęli stanowiska u dołu w wieży. Mężczyzna ów był najwidoczniej oficerem oddziału papieskich wojowników.

– A teraz wyjaśnij mi proszę, co tu się właściwie dzieje. – Oda była coraz bardziej wściekła, a Amos nie mógł jej brać tego za złe.

– Cóż znowu nabroił stryj Heribert?

– Masz na myśli tych żołnierzy? – Amos usiłował uśmiechnąć się do niej, żeby ją uspokoić, jednak zamiast uśmiechu zrobił skwaszoną minę. – Nie wydaje mi się, by przybyli tu z powodu stryja i jego łupieskich wypraw.

– Tak? A więc w jakim innym celu? – wykrzyknęła Oda. – Mów mi tu wszystko! Widzę przecież, a nie chcesz mi powiedzieć.

I ani chybi zaczęłyby się z nim kłócić, skoro nie chciał powiedzieć jej w końcu całej prawdy. Ale nie była to odpowiednia pora na takie wyjaśnienia. Zresztą sam pojmował jedynie niewielki ułamek z tego, co się wokół nich działo. Dlatego też powiedział po prostu:

– To wojownicy na usługach Kościoła. Żołnierze inkwizycji.

Oda popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Amos uniósł tylko ramiona, by dać jej do zrozumienia, że dla niego to wszystko też nie jest do końca jasne. Zakradł się na palcach do schodów i wyrzwał na zewnątrz przez jedną z ukośnych luk okiennych w ścianie. Na dziedzińcu zamku nie było śladu po purpurowych wojownikach Kościoła, jednak domyślił się, że leżeli zaczajeni u góry na murach zamku, w drewnianym korytarzu obronnym.

Przez bramę pognali właśnie ostatni ludzie ze zbójckiej zgrai stryja Heriberta.

– Podnieście most! – krzyknął Höttsche, a dwóch jego ludzi kręciło korbą i ciągnęło obciążnik linowy, jakby byli opętani. Tymczasem rycerz siedział nieobecny, zapadnięty na swoim koniu, który w panice rzucał się w tę i we w tę. Dziedziniec był wypełniony krzyczącymi dziko mężczyznami oraz parskającymi, biegającymi w kółko końmi. W czasie gdy brama z kratą spustową zamykała się bardzo wolno, Amos zrozumiał, dlaczego stryj i jego ludzie byli jednocześnie tacy niespokojni i przygnębieni.

Powóz, którzy otoczyli wcześniej tam w dole na drodze, pędził teraz z łoskotem, ciągnięty przez dwa ogromne karosze, w stronę bramy zamku. Przed kareta jechało konno pięciu spośród tych purpurowych wojowników, którzy w swych srebrnych hełmach wyglądali przedtem jak anioły. Najwidoczniej role się odwróciły, zaszczuci stali się myśliwymi. Ale gdzie też podział się ten drugi wóz, który wywoływał taki huk, że zamek dawno już musiałby się zatrząść, gdyby i on jechał teraz tą samą drogą w kierunku zamku? Amos intensywnie przyglądał się szparze u góry zamkowej bramy, która stawała się coraz węższa i węższa. Gdzie może być teraz ta demoniczna bestia, która jechała do tej pory tymi wozami?

Kareta, ciągnięta naprzód przez ogromne karosze, dotarła już prawie do bramy zamku. Pięciu jeźdźców okiełznało już swoje konie, zdjęło kusze z pleców i włożyło śmiertelne strzały.

– Podnieście most, psiakrew! – krzyknął Höttsche i jeszcze tylko przez chwilę Amos widział ostre jak oset ramię, a nad nim szarą, wycieńczoną twarz wychylającą się po prawej stronie z powozu. Z jej wąskich oczu dosięgło go chłodne, ale chciwe, wręcz żarłoczne spojrzenie, po czym wraz z ostatnim piskiem lin szczelina w zamkowej bramie ostatecznie zamknęła się i nie widać już było ani purpurowych wojowników, ani karety.

## 6

– W IMIĘ ZBAWICIELA, nakazuję wam, otwórzcie bramę! Jeszcze możecie spodziewać się łaski, Heribercie von Höhenstein, ale nie potęgujcie już naszej złości. – Cellari wymienił spojrzenia ze Skythisem. Obaj wysiedli z powozu i podeszli do zamkowej fosy, która musiała być szeroka na dziesięć stóp oraz tak samo głęboka. Bramę z kratą spustową po drugiej stronie fosy, służącą jednocześnie za zwodzony most, zbudowano z żelaznych prętów i krokwi, których nawet kusznicy swoimi strzałami ze stali nie zdołaliby przebić.

W każdym razie tak przypuszczał Hannes Mergelin, który również wysiadł z karety z purpurowymi obiciami.

Za bramą z kratą spustową naradzali się rycerz i jego kapitan, już to mrucząc, już to krzycząc ochrypłym głosem.

– Moja cierpliwość – powiedział Cellari łagodnym głosem – wystarczy jeszcze na jedną zdrowaśkę. Otwórzcie bramę.

Po jego lewej stronie nieruchomo na swych koniach siedzieli kusznicy, niezmiennie trzymający w pogotowiu broń skierowaną w stronę bramy zamkowej. Również asystenci Cellariego, Meinolf i Alexius, wciąż siedzieli w siodłach. Alexius dzierżył w swej nieruchomej prawicy trąbkę, tymczasem Meinolf kazał swojemu siwkowi dreptać w miejscu drobnymi krokami. Jednocześnie spoglądał raz po raz w dół na Hannesa, jednak jak tylko ten ostatni rzucił spojrzenie w stronę jasnowłosego dominikanina, Meinolf szybko odwracał wzrok. Na jego zazwyczaj białej jak kreda skórze wystąpiły teraz czerwone plamy, na szyi i policzkach, co mogło być spowodowane słońcem lub też wewnętrznym podnieceniem.

– A co, jeśli odmówimy, wasza świątobliwość? – Był to ochrypły głos kapitana z blizną w kształcie litery „X”, który przybił kusznika do drzewa. – Wtedy nie pozostanie wam nic innego, jak tylko się wycofać. A może zaatakujecie zamek pięcioma wojownikami i waszym jednouchym?

Jednouchy – Gregor – został w żelaznym wozie u stóp zamkowego wzgórza, z plastrem z

pasty roślinnej, który wyczarował ze skrzyni pod kozłem wozu. Skythis surowo mu zabronił zbliżyć się do zamku.

– Wiem, że w przeciwnym razie zabiłbyś kapitana – powiedział do woźnicy. – I wiesz dobrze, że musiałbym cię wtedy wyrzucić z naszej organizacji. Jesteśmy łowcami, Gregorze, a nie mordercami.

Mroczne i zagadkowe słowa, ale podcenzor wypowiedział je otwarcie w obecności Hannesa, a przy tym w wymowny sposób przesunął wzrokiem z woźnicy na pomocnika pisarza. Tak, jakby Hannes już należał do ich tajnego związku.

Odkąd dotarli pod bramę zamku, Skythis milczał z gniewną miną wymalowaną na twarzy, tak jak to miał w zwyczaju. Ale teraz najwidoczniej słowna utarczka między Cellarim a panem na zamku wydała mu się nazbyt przeciągać.

– W imieniu cesarza, otwierajcie w tej chwili – wyrzucił z siebie – albo zażądamy wsparcia od miejscowego urzędnika i spalimy wasze mury!

Za bramą zamkową znów odbywała się narada. Inkwizytor spojrzał w dół na niższego o głowę Skythisa z drwiącym uśmiechem.

– Posiłki już nadeszły – powiedział. – Czy chcecie się o tym przekonać, rycerzu Heribercie? – Dał swoim asystantom znak, a Alexius podniósł trąbkę do ust i zadał dramatycznie wznoszący się trójdźwięk.

W tej samej chwili odpowiedziano mu z wewnątrz tymi samymi trzema dźwiękami, tyle tylko, że tym razem rozbrzmiały w odwrotnej kolejności. W czasie gdy wybrzmiewał jeszcze dźwięk drugiej trąbki, w zamku rozległy się przekleństwa i jęki dobywające się z dziesiątków ochrypłych gardeł.

– Cholera, oni są już w środku – krzyknął kapitan. – Tam, po tamtej stronie. Wał obronny roi się od tej hołoty! – Wszyscy wyli teraz i wrzeszczeli jeden przez drugiego. Za bramą ludzie chaotycznie biegali i jeździli konno.

– Precz z kleszymi wojownikami! – Wtedy też rozległa się seria krótkich świstów, które Hannes słyszał już wcześniej w zgiełku na dole.

Prawie w tej samej chwili wielu rozbójników zaczęło krzyczeć, jakby ich odzierano ze skóry, a wtedy rycerz Heribert wrzasnął w to piekielne wycie:

– Na litość boską, przestańcie. Poddajemy się!

Cellari znów dał swojemu asystantowi znak. Trójdźwięk, który Alexius wydobyl tym razem ze swej trąbki, brzmiał niczym radosny śpiew aniołów w niebie, i znowu odpowiedział mu

ze środka jakiś trębacz, wygrywając tę samą melodię od końca.

Nad bramą pojawił się teraz skrawek białej płachty, wyrzucony w górę na lancy. Most zwodzony nad fosą opuścił się z piskiem, a Cellari eleganckim ruchem pochwycił podcenzora za łokieć i przeszedł z nim ramię w ramię przez bramę zamku.

Jednak kamienna mina Skythisa uświadomiła Hannesowi, że podcenzor poczuł się okpiony przez Cellariego. Najwidoczniej nie miał bladego pojęcia o planach inkwizytora ani o zabawie w kotka i myszkę, dzięki której Cellari zatrzymał rozbójników na drodze pod zamkiem, ani o drugim oddziale żołnierzy, który w tym samym czasie najspokojniej w świecie wtargnął do zamku.



OBAJ MŁODZI DOMINIKANIE wynieśli z pałacu na zewnątrz fotel. Zatluszczoną narzutę ze skóry przykryli purpurowym adamaszkiem. Na tym prowizorycznym tronie sędziego zasiadł inkwizytor, zakładając nogę na nogę. Dwa kroki dalej klęczał w kurzu dziedzińca swojego własnego zamku rycerz Heribert.

– To była pomyłka, Wasza Świątobliwość – jęczał rycerz. – Nigdy, przenigdy bym się wam nie naprzykrzał, gdybym wiedział, że daję schronienie tak świętemu mężowi.

Jak stado owiec, które wilki okrążają kołem, pośrodku dziedzińca siedzieli w kukki, stłoczeni, pozostali rozbójnicy. Dookoła na kalenicach murów stali bojownicy Chrystusa, z kuszami i bronią palną wymierzonymi w stronę kapitana oraz jego zgrai. Tymczasem słońce stanęło wysoko na niebie. Był upał i rycerzowi pot ciurkał z kudłatych włosów na równie skołtunioną brodę. Musiał oczywiście klęczeć w pełnym słońcu, tymczasem Cellari zasiadał na tronie w cieniu wieży obronnej.

– Nazywajcie mnie eminencją, to wystarczy, rycerzu Heribert – odparł Cellari z udawaną wyrozumiałością. Jan Skythis zassał powietrze przez zęby, a inkwizytor rzucił w jego stronę krótkie spojrzenie i sztucznie się uśmiechnął.

Skythis siedział na stopniach przed palatium, a u jego boku zasiadał pomocnik pisarza Mergelin. Hannes czuł rozgoryczenie podcenzora, który wiedział, że Cellari coraz bardziej spychał go na margines. Czuł również, że Meinolfa nie opuściło tamto wewnętrzne podniecenie. Jasnowłosy asystent Cellariego stał obok Alexiusa, opierając się o mur wieży, a plamy na jego policzkach były teraz tak jaskrawoczerwone jak kwiaty maku polnego. Jednak wszystko to Hannes postrzegał jakby mimochodem – o wiele bardziej zajmowało go pytanie, gdzie też może się ukrywać tamten obcy.

Przed chwilą, gdy otwierała się przed nimi brama zamku, dostrzegł go przez moment w jednej z tylnych wież obronnych, a raczej wyczuł go, jednak od tamtej pory obcy zniknął mu z pola widzenia, jakby pochłonęła go ziemia. A gdy Hannes zamknął oczy i wsłuchał się w siebie,

to po tamtym wirze, który porwał go ze sobą dziś nad ranem w żelaznym wozie, nie dostrzegł już ani śladu.

Ukrywa się, pomyślał Hannes, ale już ja go znajdę. Meinolf też usiłował ukryć swoją żądzę zemsty, jednak Hannes czuł go tak wyraźnie, jakby młody mnich krzyknął w jego stronę: już ja cię dorwę, Mergelin.

– Wasza Eminencjo, bardzo dobrze. – Rycerz Heribert uniósł dłonie, które były związane sznurem, i otarł sobie nimi nieporadnie czoło. – Moi informatorzy zapewniali mnie – ciągnął dalej w tonie głębokiej skruchy – że dziś wczesnym rankiem, na dole drogą, przejeżdżać będzie niejaki baron von Waldesruh, w czarnym powozie bez herbu i z liczną obstawą. Miał być w drodze do Czech, po tym jak poróżnił się z wielmożnym panem, naszym wielce łaskawym panem margrabią. Gdyby hrabia, że tak powiem, przyjął u nas kwaterę na zamku Höhenstein, na kilka dni lub tygodni, jakby przyjechał na lotnisko, Eminencja zrozumie... nie całkiem dobrowolnie, ale z wszystkimi honorami... to wtedy... no więc... to wtedy... tak w każdym razie zapewniali informatorzy... to wtedy, Wasza Świąt... wielmożni panowie byłiby mnie, swojemu uniżonemu słudze, wręcz wdzięczni. – Rycerz zaczął się coraz bardziej jękać, by wreszcie całkowicie zamilknąć. Zerkał teraz błagalnym wzrokiem w stronę Leona Cellariego.

– I naprawdę wierzyliście w te brednie? – Inkwizytor pokręcił głową z przyganą. – Że tak wielki książe zniży się do waszego poziomu, by w ten sposób odpłacić się małemu baronowi?

– Słowo honoru, Wasza... przysięgam na wszystko...

– Lepiej nie przysięgajcie, Heriberce. Mimo że w tym punkcie być może nawet mówicie prawdę. Chcieliście wierzyć w bajdy i przez to zostaliście oszukani, a siedzicie teraz na dobre – z wszelkimi honorami, ma się rozumieć – w waszym własnym lotnisku.

Meinolf zaśmiał się cicho, a inkwizytor spojrzał w stronę swojego asystenta z samozadowoleniem. Jego mina zdawała się mówić: niezły jestem, nie? Ale to dopiero początek.

– Błagam was, Wasza Eminencjo – jęczał rycerz – to była pomyłka, sami to przyznajecie. Miejcie więc wyrozumienie, a ja przysięgnę też, że już nigdy więcej...

Cellari nakazał mu ruchem ręki milczenie.

– Powtarzam, rycerzu, lepiej nie przysięgajcie! To, co nazywacie pomyłką, było w rzeczywistości pułapką, którą osobiście zastawiłem, by was w nią złapać.

Rycerzowi opadła szczęka.

– Wy, święty mężu? Wy rozsiewaliście fałszywe pogłoski, by zwabić mnie do swej pułapki. Ale po co? Gdy przybyliście, by mnie aresztować, Eminencjo, mimo że zawsze byłem

pobożnym człowiekiem, tyle że nie całkiem wolnym od wad... – Rycerz Heribert wyrzucił w stronę Cellariego skrepowane dłonie w błagalnym geście. – Jeśli więc sprawy się tak mają, święty mężu, dlaczego bawiliście się ze mną w tę grę pomyłek?

Inkwizytor postawił nogi obok siebie, oparł łokieć o kolano i pochylił się głęboko do przodu.

– Nie udawajcie Greka, Heribercie. Już od dawna to wiecie.

– Choćbyście mnie ćwiartowali, Eminencjo, nie pojmuję. – Rycerz pokręcił głową. – Skoroście skoncentrowali wasze wojsko pod bramą mego zamku... Nawet jeśli waszemu wojsku udało się podejść pod bramę mego zamku i nawet jeśli – dla pewności – kazaliście swoim wojownikom otoczyć mnie na drodze pod zamkiem, to możecie już ruszać w drogę powrotną do Norymbergi, tyle tylko, że uwieczycie ze sobą niesprawiedliwie pojmanego człowieka.

– Aby zatrzymać właściwego człowieka, musieliśmy się zdobyć na jeszcze trochę więcej wysiłku. – Cellari znów oparł się plecami o oparcie fotela. I już otworzył usta, bez wątpienia po to, by znów perorować, ale Jan Skythis na schodach przed wieżą obronną nie mógł już tego dłużej wytrzymać.

Podcenzor wydał z siebie zachrypnięty dźwięk, na który Hannes aż się wzdrygnął. Zerwał się z miejsca i w dwa kroki był już przy klęczącym rycerzu.

– Nie chodzi o ciebie, ty tłusty krwiopijco! Chodzi o Kronusa.

Rycerz Heribert potrzebował trochę czasu, by strawić ten zwrot.

Mina mu zrzędła, patrzył na przemian na Cellariego i mężczyznę w szarej szacie, który burknął właśnie w jego stronę tę nowinę.

– A więc to stary – wydusił wreszcie z siebie. – Już od dłuższego czasu podejrzewałem... – Ugryzł się w język.

– A więc, Heribercie – powiedział inkwizytor wesołym tonem – z pewnością nie potrzeba żadnych nadnaturalnych mocy, by pociągnąć tę myśl do końca zamiast ciebie: kto udziela schronienia najgorszemu heretykowi na ziemi, ten musi się liczyć z tym, że źle skończy.

– Najgorszym heretykiem? – zawył rycerz. – Ale ja przysięgam wam, Wasza Świąt...

Tnącym ruchem ręki podcenzor przerwał mu w środku zdania.

– Valentin Kronus – powiedział – to Szatan w ludzkim ciele.

Zupełnie skonsternowany rycerz przesuwiał wzrokiem z jednego na drugiego. Z głową mocno odchyloną do tyłu, z rękami wyciągniętymi w górę w geście żebrzącym o litość. Ale Cellari w ogóle nie zwracał już na niego uwagi. Z uśmiechem zdradzającym zaciekawienie

obserwował Skythisa, tak jakby podcenzor przynależał do jakiegoś niezrozumiałego, choć w gruncie rzeczy łagodnie usposobionego gatunku.

– Już od wielu dziesięcioleci – burczał Skythis na rycerza, spoglądając na niego z góry – trzymacie tego demona w ukryciu w swoich posiadłościach!

Heribert ponownie pokręcił głową. Usta otwierały mu się i zamykały na zmianę, jednak poza przeciągłym, ciężkim westchnieniem nic nie zdołało się z nich wydobyć.

– I właśnie dlatego – oświadczył Cellari na zakończenie – uknuliśmy tę małą intrygę. Tak, aby nikt, ani wy sami, ani któryś z waszych ludzi, nie miał okazji ostrzec tego starego diabła.

– Mówiąc „my” wykonał ruch ręką w kierunku Skythisa, ale podcenzor popatrzył tylko z niewzruszonym wyrazem twarzy. – Jutro wczesnym rankiem – ciągnął dalej inkwizytor, łagodnie się przy tym uśmiechając – wykurzymy tego diabła z nory, a do tego czasu, rycerzu Heribercie, zamek Höhenstein z całym żywym i martwym inwentarzem pozostaje pod kontrolą Kościoła Chrystusowego. Jeśli zaniechacie wszystkiego, co mogłoby zaszkodzić naszemu przedsięwzięciu, to wstawię się za wami przed najwyższym sądem.

Jeśli jednak wy albo któryś z waszych ludzi dopuści się zdrady, to zapłacicie za to życiem.

– Wszystko, co rozkażecie... wszystko, Wasza Świąt...

I jeszcze gdy rycerz wybąkiwał u jego stóp wiernopoddańcze formułki, Cellari odwrócił się, wstał z fotela i szukał wzrokiem swoich asystentów, którzy opierali się o mury wieży w cieniu. Alexius stał nieruchomo niczym symbol niebiańskich zastępów, a Meinolf raz po raz chwycił za swój krótki miecz. Plamy na jego policzkach paliły niczym znamiona wypalane ogniem w skórze.

## 8

– ZROZUM WRESZCIE, ODO! Ja muszę ostrzec Kronusa.

Ze swojej kryjówki na schodach wieży pod lukiem w murze słyszeli wszystko, o czym mówiono na dziedzińcu zamku. Amos wychodził z siebie – martwił się o starca i *Księgę duchów*, o Ode, oraz – rzecz jasna – o samego siebie. Ale nie mógł zostawić Kronusa samego w potrzebie, nawet jeśli miałby to przypłacić życiem.

– Ale Kronus jest kacerzem – wykrzyknęła Oda. – Sam przecież słyszałeś!

– Cicho, na litość boską. – Zaciągnął ją do jej komnaty i domknął drzwi. Mimo to musieli zachowywać ostrożność, nawet jeśli z izby w ogóle nie było słyhać strażników. – Kronus nie jest kacerzem – ciągnął dalej. – Jest mądrym człowiekiem. Odwiedzam go regularnie, mieszka w starym młynie za lasem jodłowym, i gdyby nie on... – Amos urwał w środku zdania i przełknął ślinę. – Miłuję go i szanuję – powiedział po chwili. – Jestem pewien, że Valentin Kronus nigdy w ciągu całego swego życia nie uczynił niczego złego. – Znów zamilkł i popatrzył na siostrę błagalnym wzrokiem.

Oda opadła na drewniany stołek obok jej łóżka.

– Ale jeśli nic nie zrobił – powiedziała – to dlaczego wyzywają go od diabłów i tym podobnych?

Amos wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Musisz mi uwierzyć. – Kucnął przed nią na ziemi. – Kronus napisał książkę, ale o tym właściwie nie wolno mi mówić.

– Książkę? – powtórzyła Oda. – A więc to dlatego go ścigają! Pamiętasz jeszcze, co tata opowiadał nam o kaznodziei, który nazywał się Jan Hus? Ten twierdził, że do bycia pobożnym chrześcijaninem człowiek nie potrzebuje ani Kościoła, ani kapłanów. Z tego właśnie powodu spalono go na stosie, Amosie. I w książce tego twojego Kronusa na pewno również znajdują się tego typu herezje.

– Bynajmniej – powiedział Amos. Zniżył głos do szeptu.

– Książka Kronusa zawiera tylko opowieści. Jedną z nich nawet przeczytałem.

Oda popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– I o co chodziło w tej opowieści?

– Cóż, chodziło o... – Zrobiło mu się trochę gorąco. – To miłośna historia o młodym rycerzu i księżniczce jego marzeń.

Jego siostra zrobiła wielkie oczy.

– Kpisz sobie ze mnie? Ten starzec pisze romanse? I tylko z tego powodu przybywa tu inkwizytor z całym tym wojskiem? Chyba sam w to nie wierzysz.

Amos spuścił głowę.

– Ale jest dokładnie tak, jak powiedziałem. Książka zawiera cztery opowieści, i nic ponadto. Ale jeśli ją przeczytasz i wchłoniesz w siebie, to wtedy budzą się w tobie magiczne moce.

Oda przewróciła oczami.

– O, rety! – Klasnęła w dłonie. – Magiczne moce, tak? – Siostra spojrzała na niego nieco poirytowana. – No więc dobrze, zostawmy to, braciszku. Albo sam nie masz zielonego pojęcia, co jest napisane w tej książce, albo ten cały Kronus surowo ci nakazał, żebyś opowiadał takie bzdury, jeśli ktoś cię o to zapyta. Ale pozwól, że powiem ci jedną rzecz, Amosie. Nie zamierzam narażać się na niebezpieczeństwo z powodu tego starca i jego wycieczek.

– I nie powinnaś. – Amos coraz bardziej trząśnięty z niepokoju. Zamiast handryczyć się z Odą, powinien był już dawno wyruszyć w drogę do Kronusa. Wprawdzie minęło dopiero południe, ale z pewnością nie należało ufać słowom inkwizytora, który zapowiedział, że Kronus zostanie pojmany dopiero jutro z samego rana. Dlaczego Cellari i jego żołnierze mieliby niby czekać tak długo, skoro od celu dzieli ich ledwie pięć mil? Poza tym inkwizytor był zbyt sprytny, by ogłaszać swoje plany wszem wobec. Nie, za tym wszystkim musiał się kryć jakiś kolejny podstęp, powiedział sobie Amos – być może nawet Cellari wysłał już oddział swoich purpurowych wojowników z misją, by obezwładnili Kronusa i przywlekli go do niego na zamek. Ale niezależnie od tego, co też inkwizytor zamierzał w tej sprawie, Amos musiał go uprzedzić.

– Chodź – powiedział do siostry. – Chcę ci coś pokazać. – Zerwał się z miejsca i chwycił ją za obie dłonie, ale zrobiła się ciężka niczym wór z mąką.

– Ja tam nie zejdem – powiedziała – do tych podziemnych korytarzy, czy jak je tam nazywają.

Usiłował uspokoić ją, uśmiechając się.

– I wcale nie będziesz musiała. To, co chcę ci pokazać, jest tam.

– Głową wskazał w stronę sufitu jej komnaty.

Na szczęście Oda dała się teraz przynajmniej podnieść z miejsca. Wyszła za nim z komnaty, a później schodami do jego ulubionej kryjówki, przepierzenia pod płaskim dachem wieży, gdzie spędził już niezliczone godziny – raz skrzętnie czyniąc przygotowania, innym razem, pogrążając się w marzeniach i we wspomnieniach. Z niechęcią wypisaną na twarzy Oda zmusiła się i weszła za nim do małego pomieszczenia. Poza malutkim oknem wychodzącym na las jodłowy, nie było tu już nic do podziwiania – w każdym razie dla niewprawnego oka.

– Popatrz tutaj – powiedział Amos – i tutaj. – Spod belek i leżących luzem płyt podłogowych wyciągnął kilka za swoich potajemnie zgromadzonych skarbów – zardzewiały topór wojenny i zakrzywiony sztylet, pół tuzina świeczek i w końcu najdrogocenniejszą z jego kosztowności: zwiniętą linę.

– Przez te luki – powiedział, wskazując na wąską szczerbę w murze – nie precysem się już od dwóch lat. Ale ta lina jest wystarczająco długa.

Była skrecona z kolorowych, zszytych ze sobą strzępków, a swym wyglądem nie wzbudzała zbyt zaufania. Od samego początku, odkąd mieszkał u stryja Heriberta, zbierał skrawki lin i strzępki sukna, gdy tylko nadarzała się okazja. Zanosił je do swojej kryjówki i w samotnie spędzanych godzinach wytrwale skręcał je ze sobą i wiązał w supeł. A było to jak jego przyrzeczenie dane samemu sobie i odnawiane za doprawieniem każdego nowego skrawka, że nigdy nie stanie się taki jak stryj i jego ludzie. Że odejdzie stąd, gdy tylko nadarzy się ku temu najmniejsza sposobność. I że w razie konieczności będzie ryzykował życiem w czasie ucieczki, którą planował, na wypadek gdyby stryj i Höttische chcieli go zamknąć, by nie mógł już chodzić do Kronusa.

– Wystarczająco długa, do czego? – spytała Oda. – Chyba nie chcesz...? – Jej wzrok powędrował w górę.

– Owszem – powiedział po prostu Amos. – Opuszczę się z dachu po linie. Wieża mierzy mniej więcej trzydzieści stóp. Z tej strony – wskazał na luk – zaraz u dołu zaczyna się ściana skalna. Prowadzi ona pionowo w dół aż na samo dno wąwozu, ale wcale nie muszę schodzić aż tak nisko – powiedział. – Pokażę ci.

Znów patrzyła na niego z niedowierzaniem, zdusiła jednak w sobie cisnące się jej na usta zastrzeżenia. Amos zarzucił sobie linę na ramię i wsunął pozostałe skarby z powrotem do kryjówki. W błagalnym geście przyłożył palec wskazujący do warg, a następnie wybiegł przed

Odą na zdobioną blankami kalenicę wieży.

Było mu trochę niedobrze z całego tego podszytego strachem podniecenia, ale nie mógł dopuścić, by Oda coś zauważyła. Nigdy nie pozwoliłaby mu spuścić się na dół na linie, gdyby dowiedziała się, jak szalenie niebezpieczny był jego plan. Ale on po prostu musiał spróbować – z powodu Kronusa, a także z powodu bestii z żelaznego wozu, która siedziała dziś nad ranem w karecie inkwizytora. Ta istota również musiała już przebywać gdzieś na zamku, a Amos przeczuwał, że pożeracz światła to właśnie jego upatrzył sobie jako ofiarę. Nawet jeśli ni w ząb nie rozumiał, dlaczego tak było i o co chodzi tej bestii.

Zatrzymał się na najwyższym stopniu schodów w wieży, rozejrzał się na lewo i na prawo. Po purpurowych wojownikach nie było ani śladu. Usiadł w kucki i dał znak siostrze, by uczyniła to samo. Dzięki temu nie sposób było ich ujrzyć z dziedzińca ani nawet z niżej położonych murów zamku. I tak się szczęśliwie złożyło, że po drugiej stronie na dachu wieży mieszkalnej zdawało się nie być nikogo. W czasie gdy na dole, na dziedzińcu rozpoczynała się głośna wymiana zdań między inkwizytorem a ubranym na szaro mężczyzną o szczekliwym głosie, rodzeństwo przekradało się na północną stronę dachu wieży.

Z liną na ramieniu Amos pochylił się nad balustradą. Wieża przechodziła w ścianę skalną w taki sposób, jakby ta była jej częścią. Kozica górską nie znalazłaby oparcia na tej wąskiej krawędzi skalnej między podnóżem wieży i pionową przepaścią, a nawet myszołowowi ta grań nie dostarczyłaby wystarczająco miejsca do lądowania. Była nieznacznie tylko szersza od długości kciuka Amosa.

Poza tym wyglądała na cholernie śliską, przynajmniej z góry i gdy widziało się oczyma wyobraźni, że trzeba będzie czepiać się jej palcami.

– Chyba nie zamierzasz tamtędy schodzić? – Mimo że Oda mówiła szeptem, jej głos zabrzmiał doniośle.

Wzruszył ramionami i jednocześnie kiwnął uspokajająco w jej stronę.

– To nic wielkiego, siostrzyczko, gdy ma się pojęcie, jak należy się do tego zabrać.

– A ty masz? – Oda oparła się o balustradę. Jedną ręką kurczowo trzymała się jednego z masywnych, kamiennych blanek. – Powiedz no, schodziłeś już kiedyś tędy na dół?

Jego kiwnięcie nie wyszło mu tym razem zbyt przekonująco. Mógł mieć tylko nadzieję, że siostra się tym zadowoli. Już od wielu tygodni nosił się z zamiarem, by wypróbować kiedyś linę. Jednak – jak dotąd – wciąż odkładał to na później. Przynajmniej już nie raz zdarzało się, że spędzał tu na dachu wieży połowę dnia, przeczesując wzrokiem tę małą krawędź skalną u



dołu w poszukiwaniu wgłębień lub nieco szerszych zębów skalnych, które mogłyby posłużyć schodzącemu za oparcie. Nawiasem mówiąc, nie udało mu się odkryć zbyt wielu takich miejsc.

Zanim pozwolił, by szczęka opadła mu jeszcze bardziej, po prostu wyruszył. Zdjął linę z ramienia i owinał luźną końcówkę wokół jednej z blanek, obok północno-wschodniego narożnika wieży. Następnie przerzucił ten kolorowy twór z supłów i strzępków przez balustradę. Spojrzał na dół, lina sięgała akurat do podnóża wieży. Lub raczej do początku przepaści.

Oda rzuciła trwożliwe spojrzenie w otchłań.

– Amos, co ty zamierzasz zrobić? – Chwyciła go za ramię. – Ja nie pozwolę ci zejść. Przyjrzyj się dokładnie: tam, gdzie kończy się lina, zaczyna się przepaść! Jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz?

– No więc, to całkiem proste – powiedział i wykonał płynny ruch ramieniem, w dół wieży, a później cały czas prosto.

W gruncie rzeczy to rzeczywiście było całkiem proste, nawet jeśli niesłychanie niebezpieczne przedsięwzięcie. Spuściłby się na linie aż do podnóża wieży i stamtąd przesuwalby się po grani, zwisając na rękach. W ten sposób pokonałby odległość około szesnastu stóp, zwisając ze ściany skalnej, z palcami uczezionymi o grań i nie mając pod sobą nic twardego poza trzystoma stopami gorącego, zakurzonego powietrza. Tuż po prawej stronie grani biegła wąska ścieżka górską, łącząca przejście w murach zamku z kozią ścieżką, którą można było zejść do lasu jodłowego. Ale w przejściu na warcie stał będzie na pewno jeden z żołnierzy w srebrnych hełmach, dlatego też Amos nie mógł po prostu przeskoczyć łukiem grani i pobiec ścieżką – zanim żelazna perć zapewniłaby mu osłonę, dawno by go już przeszła strzała wystrzelona z kuszy lub kula.

Ale właśnie dlatego wymyślił cały ten plan. Nagle całkowicie się uspokoił. Zamiast Höttschego i jego ludzi dziś w przejściu obok wieży stali na warcie purpurowi wojownicy. A to czyniło kolosalną różnicę. Wszystkich ich przechytrzy. W myślach i snach już dziesiątki razy wyobrażał sobie swoją ucieczkę z zamku Höhenstein. Jego plan był wprawdzie śmiały, ale mógłby się powieść.

Delikatnie uwolnił się z uścisku siostry.

– Nie martw się, Odo. Gdy już będę na dole, zwinę linę i ukryję ją tam z tyłu, za starymi dachówkami. Za trzy godziny będę z powrotem, wtedy znów będziesz musiała ją umocować i rzucić w moją stronę. Do tej pory nikt na pewno nie będzie mnie szukał, a jeśli nawet, to powiedz, że włóczę się gdzieś po zamku – wyciągnął ramiona – ale sama przecież widzisz, że

wcale nie zwracają na nas uwagi. Jesteśmy dla nich po prostu pierwszymi lepszymi dziećmi.

I właśnie w tej chwili wydawało mu się, że słyszy kroki na schodach dobiegające z dołu wieży. Ale z pewnością wszystko sobie tylko uroił. Przez kilka chwil intensywnie nasłuchiwał, ale nie usłyszał już niczego podejrzanego.

– A zatem, siostrzyczko. – Amos wychylił się przez balustradę i objął oburącz linę. Jeszcze raz upewnił się, że supeł jest zawiązany wystarczająco mocno, i wyskoczył. Lina zatrzeszczała wszystkimi włóknami, ale się nie zerwała.

NA ROZKAZ CELLARIEGO jego żołnierze spędzili całą zgraję rozbójników do wielkiej sali na dole w palatium. Ich broń pozostała złożona w stos na dziedzińcu zamku. Zanim rozbójnicy skapitulowali wczesnym rankiem, jeszcze trójka z nich została raniona przez kuszników. Jednak jeden z purpurowych wojowników, który posiadał wiedzę leczniczą, opatrzył tymczasem ich rany plastrami, a Hannes Mergelin wciąż jeszcze zadawał sobie pytanie, co to wszystko ma znaczyć. Co też zamierzał uczynić inkwizytor i dlaczego tak skrzętnie ukrywał swoje zamiary przed Janem Skythisem.

Minęło południe. Żołnierze Cellariego ustawili obok wieży obronnej baldachim i podali do stołu wszystko to, co znaleźli w spiżarni rycerza Heriberta: suszone mięso i twardy jak kamień ser żółty, czerstwy chleb i złociste piwo. Na czele stołu zasiadali w pozornej zgodzie Cellari i Skythis, w otoczeniu pięciu papieskich oficerów, którzy nosili na swoich hełmach pióropusze. Przy drugim końcu stołu siedzieli obaj młodzi dominikanie oraz pomocnik pisarza Mergelin.

Nawet przez całą długość stołu Hannes wyczuwał złość i zniecierpliwienie, które wypełniały podcenzora.

– Nie ma sensu, Cellari, byśmy czekali do jutra – wykrzyknął Skythis, uderzając przy tym swoim kuflem z piwem o stół. – Czy nie dostrzegacie niebezpieczeństwa, że ten Szatan mógłby zwęszyć pułapkę i rzucić się do ucieczki wraz ze swoją książką?

Leo Cellari uśmiechnął się w zamyśleniu.

– Jesteście mistykiem, Skythis. Dokładniej rzecz biorąc, mistykiem książek. Sądzicie, że samo tylko zawładnięcie diabolicznymi pismami załatwi całą sprawę?

– Książkami i autorami – wyburczał Skythis. – Od tych pierwszych jestem ja, od drugich wy. – Jako jedyny przy stole opróżnił już swój talerz, wypolerował na połysk nóż o skórkę chleba i wsunął go z powrotem za pas. Najwidoczniej był gotów wyruszyć natychmiast.

– Sądzicie, że wy będziecie palić szatańskie książki, a ja ich diabelskich autorów? – Cellari odchylił głowę do tyłu i tego się zaśmiał. – I wydaje się wam, że w ten sposób sumiennie

spełnimy naszą powinność? – Jego brązowe oczy zaświeciły się, jakby z przodu czaszki tkwiły w istocie dwie bursztynowe kulki. – To pozwólcie, że o czymś wam przypomnę – ciągnął dalej. – Kronus nigdy nie potrafiłby stworzyć tej diabelskiej książki w pojedynkę. I właśnie dlatego nie wystarczy bynajmniej, że zniszczymy jego samego i tę książkę. Loża znajdzie na jego miejsce kogoś innego, kto odnowi dla niej to szatańskie dzieło.

– Macie na myśli Opus Spiritus. – Skythis spojrział gniewnym wzrokiem w dół na swe dłonie, a po chwili szybko zacisnął je w pięści, jakby również jemu widok tych krecich łap wydał się przykry.

– Ten tajemniczy zakon, w którego istnienie powątpiewają nawet wasi przełożeni.

– W rzeczy samej, podobnie jak i wy. – Cellari rozpromieniał.

– A jednak, co byście powiedzieli, gdybyśmy tu i teraz aresztowali jednego z popieczników Opus Spiritus. Czy wciąż byście jeszcze niedowierzali?

Skythis zacisnął zęby, aż zazgrzytało.

– Tu i teraz – wyrzucił z siebie. – Jakżeby to mogło być możliwe?

Było to dramatyczna pełna napięcia sytuacja, a Cellari najwidoczniej się nią upajał. Oficerowie przysłuchiwali się mu z zapartym tchem, a ich pióropusze falowały tam i z powrotem w takt wymiany zdań. Niekiedy inkwizytor rzucał krótkie spojrzenie w stronę swoich asystentów, zupełnie jakby już dawno zostali wtajemniczeni w jego plany.

Gdyby był tu Gregor, pomyślał Hannes, to jednouchy rzuciłby się pewnie do gardła nie tylko kapitanowi z blizną w kształcie litery „X”, lecz być może nawet w pierwszej kolejności temu pyszałkowatemu słudze Kościoła, który wskazywał teraz wyciągniętą ręką w stronę palatium.

– Z pewnością już nieraz zadawaliście sobie pytanie, przyjacielu, dlaczego Valentin Kronus ukrył się właśnie tutaj, w folwarku dzierżawionym od rycerza Heriberta?

– Owszem, ale to nie ma nic do rzeczy – wymruczał Skythis.

– Niełatwo byłoby mu znaleźć bardziej odosobnione miejsce. A rycerz należy do ludzi, którzy nie zadają pytań, dopóki otrzymują czynsz dzierżawny.

Cellari popatrzył na niego z udawanym zdziwieniem.

– Rycerz, powiadacie, ach, już rozumiem, przyjacielu: wy mówicie o synu, a ja o ojcu. Bo gdy Valentin Kronus przybywał tu przed trzydziestu laty, to na zamku siedział jeszcze stary Kasimir von Höhenstein. Uczony mąż, utrzymujący żywe stosunki z Opatami i książętami, artystami oraz uczonymi. Gdy rycerz Kasimir zmarł prawie dwadzieścia lat temu, dziedzictwo

ojca, a tym samym stary młyn wraz z dzierżawcami, przypadło jego dzikiemu synowi Heribertowi. Przy tym młodszy syn, Ferdinand, wydawał się o wiele bardziej przypominać posiadającego zmysł artystyczny ojca. Ale łagodnie usposobionego Ferdinanda zbyt wtedy dworkiem, a także poza tym nie miał szczęścia w życiu. Jeśli mnie pamięć nie myli – w teatralny sposób chwycił się za głowę – Ferdinand został zabity wraz z biedną małżonką w swoim własnym domu. Zbrodnia do dziś nie została odpokutowana, a poczciwy urzędnik Rabensteiner wciąż jeszcze każe szukać w lasach wyjętych spod prawa, których mógłby pociągnąć do odpowiedzialności za to morderstwo. Ale być może powinien szukać raczej w innym miejscu?

Inkwizytor rozejrzał się ostentacyjnie dookoła. Skręcił głowę w lewo i w prawo, a nawet zajrzał pod stół, czy przypadkiem nie ukrywają się tam zbrodniczy podpalacze.

– Co wy na to, Skythis?

Pióropusze falowały tam i z powrotem. Uśmiechając się w zamyśleniu, Cellari czekał na odpowiedź Skythisa. Jednak podcenzorowi tylko chodziła szczęka.

– A więc, od tamtej pory – Cellari kończył już swoje przedstawienie – od śmierci swych godnych ubolewania rodziców na zamku u swego stryja Heriberta mieszka również Amos von Höhenstein. Pod wieloma względami przypomina ponoć swego dziadka Kasimira, tak przynajmniej zapewniają moi informatorzy. Przede wszystkim zaś – i teraz dobrze uważajcie, Skythis – jest najbliższym powiernikiem Valentina Kronusa, którego regularnie odwiedza w dzierżawionym przez niego folwarku. Można by powiedzieć, że wnuk – obecnie co najmniej piętnastoletni młodzieniec – zajął wręcz miejsce swego dziadka Kasimira, co się tyczy jego związków z Kronusem. A teraz sami dopowiedzcie sobie resztę, przyjacielu, jeśli potraficie.

Skythis siedział z wyciągniętymi przed sobą na stole dłońmi, zaciśniętymi w pięści, i gapił się w próżnię.

– Jak nazywa się wasz typ?

– Jeszcze go nie znalazłem. Ale moje wyczucie mówi mi, że ten chłopiec nieprzypadkowo stał się sierotą. To ręka pozbawionego skrupułów gracza zawłaszczyła go sobie, i jestem przekonany, że była to ręka Opus Spiritus. Musimy się jeszcze tylko dowiedzieć, jaką misję przeznaczyła mu łoża, a następnie udaremnić jej spełnienie.

Podcenzor znów pogrążył się w rozmyślaniach.

– Gdzie jest chłopiec? – wyjazdotał wreszcie.

Cellari uśmiechnął się w stronę jednego z pióropuszy po drugiej stronie stołu.

– Elias zaaresztował go tam, z tyłu w wieży. Jego i jego siostrę – dorzucił – która na

własne nieszczęście właśnie wybrała się do niego w odwiedzin. – Spochmurniał, ale już po chwili na jego twarz powrócił uśmiech. – Z pewnością przesłuchamy i jego – powiedział – ale lepiej nie obiecujcie sobie zbyt wiele, mój przyjacielu. Chłopiec wie o loży i jej diabelskich wykrętach tak niewiele, jak giermek zna zamiary grającego w szachy lub w najlepszym razie przeczuwa, że jest tylko drewnianym pionkiem przesuwanym po planszy.

Dopiero gdy zauważył szyderczy uśmiech malujący się na twarzy Meinolfa, Hannesowi rzuciło się w oczy, że mnich z otwartymi ustami przysłuchuje się z podziwem inkwizytorowi. W całym swoim życiu jeszcze nigdy nie napotkał na człowieka takiego, jak Cellari. Sam inkwizytor wydał mu się przewrotnym graczem, zdolnym do najbardziej zdumiewających wyczynów. I tak na przykład Cellari potrafił w miarę potrzeby całkowicie zmienić wyraz swojej twarzy, przybierając już to maskę życzliwości, już to szyderstwa lub współczucia. Wszystko w nim jest udawane, powiedział sobie Hannes, z wyjątkiem jego próżności – a może nawet ona jest odgrywana.

Hannes rozmyślając nad sztuką przeobrażania się inkwizytora, oczyma swej duszy wodził coraz bardziej w stronę wieży, tam z tyłu, którą właśnie wymienił Cellari. Tym obcym, którego widział dziś rano w luku wieży lub raczej którego właściwie tam wyczuł, musiał być zatem on, Amos von Höhenstein, chłopiec jeszcze, prawie dwa lata młodszy od niego samego – a mimo to stał się już powiernikiem Valentina Kronusa.

Zanim Cellari skończył przemawiać, Skythis znów zerwał się z miejsca.

– Najpierw tego krwiozercę, a później smyka! – wyburczał.

– A potem idę do starego młyna, Cellari – z wami lub sam.

Plamy w kolorze polnego maku na twarzy Meinolfa płonęły jasno. Pióropusze falowały tam i z powrotem, jakby spod wydętego giezła Cellariego wrywała się wichura. Tylko Alexius, drugi dominikanin, siedział nieruchomo przy stole niczym symbol samoopanowania. Obok niego siedział Mergelin, który szukał wzorku podcenzora, a następnie prawie niezauważalnie wskazał głową w stronę wieży za swoimi plecami, Skythis kiwnął głową.

W czasie gdy Hannes Mergelin kuśtykał śpiesznym krokiem przez dziedziniec, inkwizytor i podcenzor wzięli od wartowników po jednej płonącej pochodni. Tak przygotowani, zeszli do lochu pod palatium, który rycerz przewidział dla barona von Waldesruh jako letnisko i w którym sam teraz siedział na kawałku muru pomiędzy kałuzami szlamu i kośćmi szczurów.

## 10

TO AMOS ZWINNIE SCHODZIŁ ścianą wieży po trzeszczącej linie. Ta pierwsza część jego planu ucieczki była jeszcze dość prosta. O wiele trudniejsze zadanie czekało go, gdy tylko znalazł się u podnóża wieży. Jedną ręką kurczowo trzymał się liny, drugą szukał w tym samym czasie trwałego oparcia w grani skalnej. A o dalszych problemach będzie myślał dopiero wtedy, gdy przyjdzie mu przewycięzać kolejne trudności.

Ale Amos zwisał na ścianie wieży dopiero w połowie jej wysokości, gdy usłyszał nad sobą na wpół zdławiony okrzyk. Wsunął stopę do luku komnaty Ody, ścisnął linę jeszcze mocniej i przywarł głową do muru.

U góry przy balustradzie wciąż jeszcze stała jego siostra, ale jej twarz wyzierająca spod rozczochranych czarnych loków była teraz biała jak kreda. Obok niej stał nędznie wychudzony mężczyzna, w którym wszystko wydawało się szare i słabe, z wyjątkiem spojrzenia jego wodnistych oczu, nieruchomo skierowanych w stronę Amosa. W świetle słońca połyskiwał nóż w jego prawej dłoni, który przycisnął Odzie do gardła.

– Wracaj natychmiast! – Ale głos kościstego chłopaka był tak chorobliwie zduszony, jakby już od wielu dni z nikim nie rozmawiał. – Albo podetnę jej gardło.

Mężczyzna pochylił się jeszcze bardziej do przodu i przymusił Odę, by i ona się mocniej wychyliła. Głową zwisała już nad balustradą, a oczy miała tak szeroko otwarte, że Amosowi wydawały się wielkie nawet w odległości piętnastu stóp.

– Zostaw ją w spokoju! Wracam na górę! – krzyknął Amos stłumionym głosem, żeby strażnicy stojący na warcie przed przejściem na dole nie mogli go usłyszeć. Jego plan się nie powiódł, i to jeszcze zanim go zdążył wypróbować. A winnym wszystkiego był ten zasuszony chłopak u góry.

Amos wspinał się teraz na linie tak szybko, jak tylko potrafił. Oddychał, ciężko dysząc, a upał uderzył mu do głowy.

Chłopakiem, który groził Odzie nożem, był nie kto inny, jak ta demoniczna bestia. Czuł to

bardzo wyraźnie i widział to w jego oczach oraz w spojrzeniu pełnym zimnej żądz, które w dalszym ciągu było zwrócone w jego stronę. Był to ten sam pożeracz światła, który przykleił się wcześniej do jego wewnętrznego źródła. Amon wyobrażał go sobie jako demona z koszmarów lub z legend o diabłach, jako istotę o odpychającej zwierzęcej postaci, z rogami, sierścią i szponami. Jednak ten chłopak u góry wyglądał zupełnie normalnie, tyle że był chorobliwie wychudzony, zdawał się niewiele starszy od niego i Ody.

Skąd też mogła się wziąć u tego okropnego chłopaka zdolność nawiązywania kontaktu z innymi ludźmi na drodze duchowej? Czyżby przeczytał *Księgę duchów* – czy właśnie dzięki temu zrodziły się w nim magiczne moce, których nadużywał teraz w tak szkodliwy sposób? Ale Kronus powiedział, że nigdy do tego nie dojdzie – że łowcy ksiązek mogą zanurzyć się w magicznym strumieniu w takim samym stopniu, jak wędzony pstrąg mógłby pływać w potoku Gründleinsbach. Jednak co się tyczy stojącego tam na górze chłopaka o spiczastych ramionach, ubranego w szarą, szmacianą koszulę, to najwidoczniej stary mędrzec się omylił.

Zdyszany wspiał się na balustradę na górze. Ramiona paliły go od wysiłku, a klatka piersiowa unosiła się i opadała niczym miech.

– Puść ją! – wysapał i już miał się rzucić na szarego, kościstego chłopaka, gdy usłyszał dochodzące ze strony wieży dudnienie kroków.

W jednej chwili chudy chłopak odsunął nóż od szyi Ody. Obrócił się, błyskawicznie przeciął uwiązaną do blanek linę i wsunął swoją brzytwę z powrotem do pochwy przy pasie. W tym samym czasie z szybu schodów wyszedł na zewnątrz oficer z hełmem ozdobionym pióropuszem.

Amos rzucił szybkie spojrzenie za siebie i poczuł gniewny żal: ileż to godzin i dni spędził na skręcaniu tych kawałków liny i skrawków płótna – a teraz cała jego praca bezpowrotnie spadała w przepaść. Jednak jeszcze silniejsze od jego złości z powodu utraty liny było zdumienie, które ogarnęło go, gdy zaczął się zastanawiać, dlaczego ten szary chłopak pozbył się liny – dowodu na to, że Amos właśnie próbował uciec.

Oficer pośpieszył wielkimi krokami w ich stronę. Ogarnął spojrzeniem Ode, uśmiechając się. Szarego chłopaka zmierzył ponurym wzrokiem.

– Mój synu – powiedział do Amosa, przybierając stalowy uśmiech – pójdz teraz za mną, pan inkwizytor Cellari i podcenzor Skythis chcą ci zadać kilka pytań.

Amosowi ścisnęło się gardło, gdy usłyszał te słowa. Słyszał już, jak nieprawdopodobnie potworne rzeczy ludzie opowiadają o przesłuchaniach przez inkwizycję. W imię Jezusa



Chrystusa łowcy kacerzy przywiązywali podejrzanych do koła, łamali im członki i szczypali ich rozżarzonymi kleszczami. Ale jeszcze bardziej niż strach przed torturami dręczyło go sumienie. Nie powinien był czekać tak długo, już wiele godzin wcześniej powinien był spuścić się po linie z wieży. Wtedy na pewno udałoby mu się jeszcze ostrzec Kronusa. Najwidoczniej stryj i Höttsche opowiedzieli inkwizytorowi, że Kronus wysłał go z misją kurierską do Norymbergi – a teraz łowcy czarownic oraz ksiązek zamkną go, będą przesłuchiwać i nigdy już nie spuszczą z oczu, nawet gdyby jakoś udało mu się uciec po przesłuchaniu.

Wymienił szybkie spojrzenie z Oda, usiłował ją uspokoić, uśmiechając się do niej. Czuł jednak, że twarz mu nawet nie drgnęła.

– Inkwizytor? – wydobył z siebie.

– Chodźmy. – Rosły mężczyzna pchał go przed siebie. Zeszli po krętych schodach na dół, później skierowali się na dziedziniec, mijając obu strażników. Tymczasem dzień chylił się ku końcowi.

Amosowi udało się jeszcze zobaczyć kątem oka, że szary chłopak idzie za nimi w pewnej odległości. Przynajmniej Oda była na razie bezpieczna. Muszę uczynić jeszcze jedną próbę, powiedział sobie Amos, by dotrzeć na czas do Kronusa.

Oficer pchał go przed sobą, a Amos opuścił powieki, idąc. Z nieznacznym trudem udało mu się ponownie dostrzec w swoim wnętrzu ten pulsujący, rdzawozłoty punkt, jego magiczne serce. I znowu odchodziło z niego tylko kilka włókienek światła, cienkich jak sieć pajęcza, które po chwili znów niknęły w ciemności. Po silnym, świecącym na odległość promieniu, łączącym go czasem z Kronusem, nie było ani śladu. Za to wciąż jeszcze było widać tę drgającą strużkę światła, a Amos dostrzegł zupełnie mimochodem, że znacznie przybrała ona na intensywności. Ale oficer pchał go przed sobą, dlatego też miał jeszcze tylko kilka chwil, by dotrzeć do Kronusa.

Amos skierował wszystkie swoje uczucia na jego osobę i w głębi duszy przyzywał Kronusa: Panie, proszę, usłysz moje wołanie! Szeroko otworzył swe serce, by zawołać starca – a wtedy znów poczuł ten straszliwy ból, jakby gryzienie i szarpanie, jakby jakaś żądna krwi bestia zatapiała swoje zęby w jego sercu.

– Co tobie, mój synu? – zapytał oficer. – Westchnąłeś ciężko, jakby coś cię przygnębiało. Otwórz swe serce przed inkwizytorem. Po wszystkim poczujesz się lekki i czysty.

Amos zwolnił kroku, stawiając opór naciskowi obu rąk, które wciąż go pchały do przodu. Odwrócił głowę i spojrzał do tyłu.

Właśnie w tej chwili szary chłopak wychodził z wieży. Ramiona i inne członki ostro

rysowały mu się przez koszulę, jakby zamiast ciała nosił ze sobą stos suchych gałęzi. Jednak nawet jeśli ogólnie sprawiał wrażenie słabego i chorowitego człowieka, z jego wodnistych oczu biła silna żądza, jakby należały one do potężnego drapieżnika. Amos zauważył ze zdziwieniem, że szary chłopak ciągnął za sobą jedną nogę.

I wtedy jakaś dłoń złapała go za kark i gwałtownie przekreśliła jego głowę do przodu.

– Uklęknij, mój synu, i módl się o łaskę! – Oficer pchnął go w plecy, a Amos upadł boleśnie na kolana.

– Amos von Höhenstein?

Uniósł głowę. Dwa kroki przed nim stał inkwizytor. Tym wyglądającym jak wilk człowiekiem, stojącym obok niego, musiał być zatem podcenzor Skythis.

– To ja, panie.

– Mam do ciebie tylko kilka pytań, mój synu. – Padające zza jego pleców światło zachodzącego słońca sprawiło, że purpurowa toga Cellariego zaczęła płonąć, jakby była utkana z języków ognia, i wymalowało mu dookoła głowy świetlisty wieniec, taki jak na świętych obrazach w kościele św. Józefa w Kirchenlamitz. Amos nie mógł dostrzec miny inkwizytora. W świetle wieczornego słońca jego twarz wyglądała jak pusta szyba, jakby malarz zużył wszystkie swoje siły na namalowanie płomienistej sukni i aureoli. – Nie spiesz się z odpowiedzią, lecz najpierw wybadaj swoją pamięć.

Amos po prostu dalej patrzył w górę na pozbawione wyrazu oblicze. Na swoich plecach czuł wzrok kuśtykającego, który stanął kilka kroków za nim.

Stał się pożeraczem światła, bo sam jest strasznie słaby, przemknęło Amosowi przez głowę.

– Czy w czasie, gdy byłeś jeszcze małym chłopcem, mówiło się w domu twego ojca, że powinieneś odejść?

– Odejść, panie?

– Wybadaj swoje wnętrze, dopiero później odpowiadaj.

Wysłuchał się w swoje wnętrze i z samej głębi jego duszy wyłonił się pewien dawno zapomniany, koszmarny obraz. Jak przez mgłę widział przed sobą kilka twarzy – nie twarze, a raczej ich zarysy, jak w przypadku Cellariego – dostojni panowie o białych włosach i w kosztownych szatach, których obecność sprawiała, że izba w dworku wydawała się ciasna i nędzna. Z powagą wymalowaną na twarzach namawiali do czegoś ojca, a ten pochylał się raz w ich stronę, innym razem w stronę matki, która wzbraniała się – zawodząc – przeciwko żądaniu

panów. A między obojgiem rodziców siedział on, Amos, będący wówczas jeszcze małym chłopcem, ubranym w fartuszek sięgający do kolan, jak to zwykle bywało w przypadku dzieci. „Nie pozwolę mu odejść”, szlochała raz po raz matka, przyciskając Amosa do siebie. Aż w końcu ojciec wstał i z odmowną miną pokręcił głową w stronę panów, którzy nawet nie zadawali sobie trudu, by ukryć swoje rozczarowanie. Wstali, nic już nie mówiąc, i jeden za drugim opuścili izbę.

Amos spojrział w górę na postać w płomienistej sukni, nad której obliczem bez wyrazu błyszczał wieniec z płomieni.

– Zapomniałem o tym – powiedział – ale kiedyś byli u nas jacyś mężczyźni, którzy chcieli mnie zabrać ze sobą. Miałem wtedy siedem lub osiem lat, a ci mężczyźni musieli później odejść z pustymi rękami, bo moi rodzice mnie nie oddali.

Nie skończył jeszcze nawet mówić, a ktoś chwycił go od tyłu i pociągnął nagle do góry. Pod wpływem budzących się w nim wspomnień zaczął rozmawiać sam ze sobą, mamrocąc coś pod nosem.

– Zanieście go do pozostałych w sali – rozkazał Cellari. – Skończyłem z nim. I z wszystkim tutaj.

– Jak to skończyliście? – wyrzucił z siebie stojący obok Cellariego krępy mężczyzna, który nie odezwał się dotąd ani słowem.

– To, że rycerz nic nie wiedział i nie chciał niczego wiedzieć o diabelskich sprawkach Kronusa, sam nam właśnie wyskamlął w wiarygodny sposób. Ale puszczać wolno jego bratanka? Ja na to nie pozwolę, Cellari. Zabierzemy go ze sobą do Norymbergi, tak samo, jak Kronusa.

Właśnie w tym momencie za wieżę obronną zaszło słońce. W półmroku Amos zobaczył, jak inkwizytor łagodnie się uśmiecha.

– A kto mówi o puszczeniu wolno, przyjacielu?

# ROZDZIAŁ V

# 1

AMOS BIEGAŁ niespokojnie po sali palatium tam i z powrotem – jak psy stróżujące biegające bez ustanku w tę i we w tę przy fosie. Tymczasem Höttische i jego ludzie siedzieli lub leżeli na ławkach i stołkach, a nawet na gołej, kamiennej podłodze, jakby każdy z nich wyżłopał po jednej beczce. Sterczeli tak ze zwieszonymi głowami, w milczeniu i nieruchomo – tylko trzech rannych niekiedy wydawało z siebie ciche jęki. Jednak tym razem to nie siwucha paraliżowała do tego stopnia kapitana i jego zgraję.

Zapadła noc. Amos jeszcze nigdy nie widział tej sali w takim mroku. Tylko kilka świec dawało nieco światła. Ale nawet tysiące płonących pochodni nie przepędziłoby mroku tej nocy, która była jak rdzawe żelazo, tak sparszywiale czarna i tak przytłaczająco ciężka. Paniczny strach malował się na twarzach rozbójników, i to nie tylko młodych paziów, którzy siedzieli razem ściśnięci w jednym kącie, lecz nawet na twarzach najbardziej bezwzględnych zawiadaków, którzy zazwyczaj najgłośniejsz awanturowali się, że nie boją się ani śmierci, ani diabła.

Ale inkwizycji bali się wszyscy, jak małe dzieci klabaternika. Inkwizytor nie cofnął się nawet przed uwięzieniem rycerza Heriberta w jego własnym lochu i pewnie będzie go tam przesłuchiwał przy użyciu żelaznych kleszczy. W każdym razie wczesnym wieczorem z piwnicy pod wieżą obronną dobiegały na górę przeraźliwe krzyki. Później inkwizytor zajmie się bez ceregieli świtą rycerza, by zaraz potem poprowadzić ich na stos – tak przynajmniej wyobrażali sobie swój los rozbójnicy, którzy wielce przygnębieni wymieniali się swoimi obawami, już to krzycząc, już to szepcząc ochrypłymi głosami. W rozmowach tych nie brał udziału tylko kapitan. Już od wielu godzin siedział nieruchomo na kamiennej ławce obok zimnego komina i patrzył przed siebie na ziemię tak pustym wzrokiem, jakby już ze wszystkim skończył. Z początku jeszcze jego ludzie próbowali go wypytać: „Co teraz będzie, kapitanie? Zaciągną nas przed sąd i skazą?”. Ale Höttische nawet nie podniósł głowy i w końcu wszyscy poszli za jego przykładem.

Tymczasem Amos biegał niespokojnie po sali tam i z powrotem. Zawiódł, i to dwa razy, wciąż sobie to powtarzał. Nie udało mu się ostrzec Kronusa, nie zdołał też ochronić Ody.

Wskutek jego nieudolności starzec padnie ofiarą łowców ksiązek. Gdy zaś myślał o tym, przez co musi teraz przechodzić Oda, będąc po drugiej stronie, we wschodniej wieży, zalewała go fala gorąca z bezradnej wściekłości. A w jeszcze większym stopniu z zawstydzenia.

Amos zatrzymywał się co chwila przy zatarasowanych drzwiach wychodzących na dziedziniec i nasłuchiwał. Potem podchodził do wąskiego luku w murze po prawej stronie, skąd mógł zobaczyć przednią połowę dziedzińca. Stawał na palcach i wypatrywał na zewnątrz. Brama zamku była wciąż jeszcze zamknięta, jednak zdawało się, że prawie zakończono przygotowania.

Niewątpliwie przygotowania do wymarszu. W świetle pochodni było widać, jak oficerowie z pióropuszcami na hełmach rozkazują swoim szeregowym – cztery w pełni uzbrojone, małe chorągwie ustawiały się dziesiątkami na dziedzińcu. Już wcześniej żołnierze rozmieścili w uchwytych na murach i rozpalili całe mnóstwo pochodni, jakby chcieli się upewnić, że więźniowie zorientują się, co zamierzają ich zwycięscy przeciwnicy. Ale zdawało się, że poza Amosem nikogo w sali nie interesowało, co dzieje się na dziedzińcu zamku. Żołnierze zdjęli swoje hełmy i zastygli jak posągi, tymczasem jeden spośród nich wygrywał na trąbce ponurą, melancholijną melodię. Wszyscy stali tak ze wzrokiem utkwionym w puste miejsce obok niego, jakby nieobecny purpurowy wojownik miał jeszcze stanąć w szeregu. Ale ten już nie przyjdzie – Höttsche przeszył go swym mieczem.

W końcu fanfara umilkła, a Amos odwrócił się od okna. Przecinając salę, poszedł do komnaty, w której nocował przez trzy lata. Zatrzymał się przed progiem drzwi i popatrzył na zdemolowany pokoik. Zawsze uważał to za karę, a nawet upokorzenie, że stryj przydzielił mu właśnie to pomieszczenie. Droga do środka i na zewnątrz prowadziła przez wielką salę, dzięki czemu rycerz i Höttsche mogli go cały czas kontrolować. Bo w sali prawie zawsze o każdej porze dnia czy nocy przebywało kilku ludzi i nawet jeśli odsypiali kaca, przejście obok nich niezauważonym graniczyło z cudem – żelazny rygiel u drzwi do sali zgrzytał przy najmniejszym poruszeniu jak spłoszony duch.

Mimo wszystko był to miejsce schronienia Amosa, dlatego też widok zdewastowanej komnaty przerażał go za każdym razem od nowa – zupełnie jakby to jego żołnierze zaatakowali nożami i toporami. Rozciąli jego materac ze słomy i na oślep rozsypali całą zawartość. A skrzyni z jego dobytkiem nie przewrócili po prostu, by ją opróżnić na podłogę, lecz porąbali na drobne kawałki.

Ale, na Boga, po co? Czego chciał od niego inkwizytor? I dlaczego zadał mu właśnie to jedno pytanie: Czy jego rodzice kiedykolwiek chcieli oddać go, gdy był jeszcze dzieckiem?

Za każdym razem, gdy Amos dochodził w myślach do tego punktu, energicznie się odwracał i od nowa zaczynał chodzić po sali. I za każdym razem czuł, jakby z głębi jego duszy wyłaniały się zawroty głowy, mgła i szumy. Jednak gdy szedł dalej i skupiał swoją uwagę na czym innym, wewnętrzne szumy ustępowały.

– To z powodu tego nieudolnego pismaka siedzimy tu w tej pułapce. – Usłyszał syk dochodzący z kąta, w którym siedzieli paziowie. Ale gdy Amos się przy nich zatrzymał i chciał ich zmusić do rozmowy, ci odwrócili od niego swoje oczy. Bynajmniej nie byli zakłopotani. Ich twarze były posępne, jakby nawet Bastian i inni uznali go w ostatnim czasie za „małego diabła”, jak go nazywał podcenzor Skythis. A Valentina Kronusa za Szatana w ludzkiej postaci.

Ale on nie był żadnym kacerzem, żadnym demonem, pomyślał Amos. Valentin Kronus jest mędrce, a *Księgę duchów* napisał po to, by pomóc ludziom. Aby jak najwięcej z nich potrafiło wzbudzić w swoich sercach najlepsze moce – dar nawiązywania kontaktu z innymi ludźmi na drodze uczuciowej, wysyłanie i przyjmowanie myśli, a także inne zdolności, o których Kronus wyrażał się dotąd tylko mgliście. Ci czytelnicy, którzy przeczytali trzecią i czwartą opowieść *Księgi duchów*, oraz wchłonęli je w siebie, mieli stać się „trochę jak anioły”. Ale jak coś, co sprawiało, że ludzie stawali się podobni do aniołów, mogło w swej istocie być czartowskimi sztuczkami?

Znow przeszedł przez salę, w której panował półmrok. Przed lukiem w murze znajdującym się obok drzwi stanął na palcach i zobaczył, jak jeden z młodych dominikanów oraz sześciu purpurowych wojowników wskakują na konie. Tymczasem z lewej strony nadjeżdżała – tocząc się – karetka inkwizytora. Cellari i Skythis siedzieli już w powozie. Nie było natomiast żadnego śladu po szarym chłopaku, który groził Odzie nożem – nie było go ani w karecie, ani nigdzie indziej na dziedzińcu.

W czasie gdy trzy oddziały liczące po dziesięciu żołnierzy skręcały właśnie w lewo i maszerowały za swoimi oficerami w kierunku przejścia, most zwodzony opadał powoli z rdzawym zgrzytem. Najwidoczniej zamierzali pozostawić tutaj tylko jednego oficera i dziewięciu żołnierzy, a było to więcej, niż wymagałoby tego pilnowanie więźniów. Tym bardziej że broń tych ostatnich wciąż leżała ułożona w stos na zamkowym dziedzińcu, niczym kupa zardzewiałego żelaza.

Zawiodłem, pomyślał znowu Amos. I jeśli napadną teraz starca, wywiozą go, a może nawet zabiją, zniszczą jego bibliotekę, czego zawsze tak bardzo się obawiał, to wszystko to będzie wyłącznie moja wina.

Odwrócił się i ukrył twarz w dłoniach.

Panie, pomyślał, nie jestem godzien twej sympatii, twego zaufania.



## 2

DZWONY WIEŻ W KIRCHENLAMITZ wybiły kolejną godzinę. I jak w ciągu tych wielu nocy do tej pory, gdy nie mógł spać ze złości i zgryzoty, Amos liczył po cichu kolejne uderzenia – jednaście – dwanaście pełnych uderzeń, a później jeszcze dwa przytłumione dźwięki: wpół do pierwszej.

Ledwo wybrzmiały dzwony, a już rozległ się krzyk jakiejś kobiety. Przez pół nocy Amos biegał po sali zamkowej tam i z powrotem. W końcu osunął się z wyczerpania obok Hötttschego na kamienną ławę. Jednak teraz znów zerwał się z miejsca i popędził w półmroku do drzwi.

– Oda?

Znów rozległ się krzyk – pełen strachu i przytłumiony, jakby ją dusili lub zatykali jej usta. Była to Oda lub jakaś inna młoda kobieta, ale te krzyki brzmiały tak przeraźliwie blisko, że poza Odą nie mogła to być żadna inna kobieta.

Szarpał za rygiel, ale drzwi były zabarykadowane od zewnątrz. Jakkolwiek by za niego szarpał i ciągnął, drzwi nie ruszyły się ani ocal.

– Otwierać! – krzyczał, waląc pięściami o zardzewiałe żelazne okucia. – Otwierać, do cholery! Przekłęte dranie, puśćcie ją!

Przed oczami jego duszy przewijały się obrazy przejmujące grozą: wychudzony chłopak znów był przy Odzie i dźgał ją swym nożem. A purpurowi wojownicy przyglądali się temu z rozpromienionymi twarzami i nawet nie myśleli, żeby udzielić jej pomocy.

– Otwierać! I wy się nazywacie żołnierzami Chrystusa? Jesteście zwykłymi mordercami! Otwórzcie! – Obił sobie pięści do krwi i zauważył to dopiero, gdy ktoś schwycił go od tyłu.

– Milczcie, paniczu – zbeształ go jakiś ochryply głos. Jakieś twarde jak żelazo dłonie odciągnęły go od drzwi i pociągnęły z powrotem na jego miejsce obok Hötttschego. – Wciągnęliśmy nas już wystarczająco głęboko w bagno, panie Amosie – zagrzmiał inny rozbójnik. – Dajcie wreszcie spokój. A może chcecie, żeby wojownicy na usługach Kościoła pozabijali nas wszystkich?

Jeszcze raz z zewnątrz dobiegł krzyk młodej kobiety – przeraźliwie głośny krzyk, który nagle się urwał. A jeszcze straszniejsza była cisza, która po nim zapadła.

Nieustępliwe ręce wciąż trzymały Amosa przyciśniętego do kamiennej ławy. I siedział tak obok Hötttschego, patrząc nieruchomym wzrokiem w dół na swoje krwawiące pięści, starając się ze wszystkich sił wyczuć swym sercem, co działo się z Odą. Jednak niezależnie od tego, jak szeroko otwierał swe serce, nie mógł wyczuć nawet najslabszego jej uczucia.

Żadnego strachu, żadnego bólu, nic.

Ręce na jego ramionach wypuściły go z uścisku, ale Amos nie wstawał, siedział dalej w tym samym miejscu.

– Wszystko to moja wina – powiedział i prawie w ogóle nie zauważył, że wypowiedział te słowa na głos.

– Sam to przyznał! – wykrzyknął nieokrzesany rozbójnik, który dopiero co odciągnął go od drzwi. – Panicz Amos ponosi winę za to, że wszyscy pozdychamy jak jego siostra.

Zdawało się, jakby jego wściekły krzyk tchnął nowe życie w tę skamieniałą zgraję. Mężczyźni unieśli głowy, zwlekli się ze swoich miejsc i ze wszystkich stron zbliżyli do ławki przed kominem. Tuż obok stał zazwyczaj fotel rycerza Heriberta z narzuconym niedźwiedzim futrem. Ale wojownicy Ojca Świętego wywlekli na zewnątrz nawet ten fotel, który posłużył inkwizytorowi za purpurowy tron.

– Słyszeliście, ludzie? – krzyknął jeden z rabusiów. – Skoro już wszyscy musimy zdechnąć, dokonajmy jeszcze przynajmniej zemsty.

Rzucił się na Amosa. Jednak wściekłe wrzaski ucichły, zamieniając się w walczące o oddech sapanie. Nagle ze swego miejsca zerwał się Hötttsche i odepchnął podżegacza do tyłu.

– Wy idioci, nie zrozumieliście niczego! – wykrzyknął. – Ukatrupią nas wszystkich jeszcze przed świtem. – Blizna w kształcie litery „X” wyglądała w półmroku, jakby była prawie czarna. – Ale jeśli jest pośród nas ktokolwiek, kto nie ponosi za to najmniejszej winy, to tą osobą jest panicz Amos, wy idioci! – powtórzył Hötttsche i splunął przed swoimi ludźmi.

Rozbójnicy wymienili bezradne spojrzenia.

– Wyjaśnij nam, kapitanie – domagał się jeden z nich. – Ci żołnierze przybyli tu z powodu starego z młyna. Powiedzieli, że ten Kronus to diabeł, a panicz jest jego powiernikiem. Jakże więc może być niewinny?

– Kapitan plecie trzy po trzy! – wykrzyknął drugi. – Skoro zamierzają nas ukatrupić jeszcze tej nocy, to dlaczego odjechali wszyscy, nie licząc kilku strażników? Możesz mi to

wyjaśnić, Höttische?

– Ja też tak to widzę! – zagrzemiał kolejny rozbójnik. – Przybyli tu, by schwytać tego Szatana, Kronusa. A powód, dla którego zamknęli tu z nami młode paniczko jest całkiem prosty: chcą, żebyśmy się go pozbyli, a jeśli to zrobimy, wypuszczą nas jutro o świcie. Naszego pana Heriberta też!

Teraz wszyscy krzyczeli i wrzeszczeli jeden przez drugiego. Wymachiwali rękami, ciągnęli się nawzajem za brody, okładali się pięściami i tłoczyli się coraz bardziej wokół Höttischego. Tymczasem ten stał, niczym ściana z żelaza, przed Amosem.

– Milczeć! – krzyknął wreszcie kapitan. Gdy to nie pomogło, chwycił głowy dwóch rozbójników, którzy właśnie przed nim stali, i uderzył jedną o drugą.

Poza tymi dwoma mężczyznami, którzy – wyjąć – obmacywali sobie czoła, nikt już nie hałasował.

– Oni wcale nie odjechali, wy idioci – ciągnął dalej Höttische tak przyciszonym głosem, że nawet ci, którzy stali dookoła, musieli nadstawiać – uszu. – Wszystko udawali tylko po to, byśmy – nieświadomi niebezpieczeństwa – próbowali uciec, a wtedy oni mogliby nas wszystkich zabić z czystym sumieniem.

– Ale to przecież żołnierze inkwizytora. – Bastian, najmłodszy z paziów, zerwał się ze swojego miejsca. – Polują na heretyków i apostołów diabła, a nie na takich... na takich, jak my. Po co mieliby nas zabijać?

– Bo jesteśmy dla nich apostołami diabła, chłopcze. Poplecznikami Kronusa, którego uważają za wcielonego Belzebuba.

Mężczyźni patrzyli na Höttischego nieruchomym wzrokiem. Niektórzy z nich pobledli na twarzach, wielu przeżegnało się drżącymi rękami.

– Sądysz zatem, kapitanie – wydobył z siebie w końcu jeden z nich – że powinniśmy zachować spokój, by nie dostarczyć im pretekstu?

– Oczywiście, że tak myśli, ty durniu! – zawołał jeszcze inny, i od razu znów wszyscy zaczęli się wzajemnie przekrzykiwać.

Jednak tym razem wystarczyło, że Höttische podniósł rękę, by ponownie ich uciszyć.

– Wręcz przeciwnie, wy idioci – mówił teraz nawet jeszcze ciszej niż przed chwilą, a brzmiało to mniej więcej jak szept ochryplego głosu. – Jeśli będziemy się wzbraniaли przed uczestnictwem w ich grze, podpalą palatium, a my najprędzej wtedy będziemy musieli wyważyć drzwi i zginiemy wszyscy od gradu strzał i kul. – Pokazał na zabarykadowane drzwi

wychodzące na dziedziniec, jedyne dojście do wieży mieszkalnej.

– A więc przyjdzie nam zdechnąć jeszcze tej nocy. – Rozbójnik o rękach twardych jak żelazo, który odciągnął wcześniej Amosa od drzwi, wyszczerzył teraz zęby. – Nie mamy już nawet broni, będą mogli wejść tutaj najspokojniej w świecie i zaszlachtują nas jak tuczne bydło.

– No właśnie – przyznał mu rację jego kompan. – Koniec i kropka. – Rwali sobie włosy z głów i bród. Jednak zanim jeszcze zaczęli dziko wyć jeden przez drugiego, kapitan ponownie podniósł rękę.

– Przeciwnie, idioci. – Höttsche uśmiechnął się szeroko spod swej poprzetykanej siwizną brody. Przyłożył palec wskazujący do ust, a jego ludzie ścisnęli się jeszcze bardziej wokół niego i Amosa.

– Na rozkaz rycerza – wyszeptał – przed wieloma latami zrobiłem zapasy na czarną godzinę – miecze, noże, broń palna – wszystko, czego potrzeba, by przepędzić troski hen, w letnią noc.

Machając ręką, przepędził swoich ludzi na ich miejsca. Potem ukląkł przed kamienną ławą z taką zwinnością, na jaką pozwalał mu jego ogromny brzuch. Stękając, zaczął majstrować przy kamiennej płycie, która znajdowała się właśnie w tym miejscu w podłodze, gdzie zazwyczaj stał fotel rycerza. Płyta, do której były przytwierdzone dwie zardzewiałe żelazne obręcze, wyglądała dokładnie jak ta we wschodniej wieży, którą Amos pokazywał Odzie wczoraj nad ranem. Bez widocznego wysiłku kapitan zdjął kamienną pokrywę, wziął świeczkę z ławy i poświecił nią w ciemnej dziurze.

Zaraz potem, tam w dole, podniosły się świsty i piski dobywające się z tysięcy gardeł – szczury, przeleciało mu przez głowę, Oda umarłaby ze strachu i obrzydzenia, gdybyśmy się tam razem wczółgali.

Oda. Odkąd tamten krzyk tak nagle się urwał, na zewnątrz panowała cisza.

Skinieniem kapitan wezwał do siebie paziów.

– Pośpieszcie się! – poinstruował ich cichym głosem. – Wynieście na górę broń, a później zamknijcie mięgiem dziurę, zanim te bestie pożrą nas żywcem.

### 3

TWARZ BASTTANA BYŁA BLADA I WYKRZYWIONA, gdy zaczął podawać do góry broń wydobytą ze szczurzej nory. W oczach młodego pazia płonęły łzy. Z sali widać, jak Bastian stoi tam w dole, zanurzony po kolana w mrowiu szczurów, i jak gryzonie skaczą po nim bez przerwy, usiłując wspiąć się do góry.

Dwójka mężczyzn odbierała broń, pozostali bili i deptali wszystkim, co mieli pod ręką, wytryskający z podziemi strumień szczurów. Z początku tylko krzesłami i butami, później także mieczami, które Bastian wyrzucał do góry z piszczącej i świszczącej dziury. Trzy tuziny szczurów pełzało po nim i skakało, pnąc się coraz wyżej. Bez przerwy gryziony przez szczury Bastian chwiał się i płakał. A dwaj pozostali paziowie przechodzili jeszcze gorsze męki – czołgali się tam w dole na łokciach i kolanach między składem broni a wyjściem, z głowami niedostatecznie chronionymi skrawkami skóry przed ostrymi jak szpilki zębami tych wszystkożerców.

Arkebuzy okazały się zardzewiałe, proch strzelniczy częściowo namókł. Mimo to Höttsche rozkazał oczyścić i załadować broń, bo na trzydziestu mężczyzn przypadał tylko tuzin mieczy. Ranni i paziowie otrzymali jedynie sztylety, panicz – przynajmniej krótki miecz. Kilku rozbójników szemrało z tego powodu, ale kapitan przerwał im w pół słowa.

– Kto nie będzie wykonywał moich rozkazów, ten odczuje ten miecz.

Wszyscy podziwiali z rozdziawionymi ustami potężną broń, którą kapitan dobył na ich oczach z pochwy. Na rękojeści widniał kunsztowny herb – zwój pisma zapisany krwistoczerwonymi znakami, poniżej dwa skrzyżowane miecze, które przeszywały oczy okropnego smoka. W utworzonym przez skrzyżowane ze sobą miecze trójkącie pod rękojeściami, unosiło się oko, które zdawało się patrzeć na obserwujących przenikliwym wzrokiem.

– Miecz rodowy rycerzy von Höhenstein – powiedział Höttsche zduszonym głosem, dzięki czemu jego słowa zabrzmiały jeszcze podniosłej. – Miecz należy do panicza, ale zakładam, że Amos wyraża zgodę, abym to ja nosił go zamiast niego.

Amos kiwnął głową, pogrążony w myślach. Wlepiął wzrok w rękojeść miecza i usiłował pojąć, co to wszystko ma znaczyć: ukryty miecz rodowy z herbem, którego jeszcze nigdy dotąd nie widział; zagadkowe słowa Höttschego, że na niego, Amosa, jako na jedyne nie spada wina za to, co się stało; i w ogóle to dziwne przeobrażenie kapitana, który wydawał się kimś zupełnie innym tej nocy; i wreszcie chyba największa z tych wszystkich zagadek – ujęte w trójkąt oko, uderzająco podobne do amuletu na jego własnej szyi. Do amuletu Klary, która ukradła mu w Norymberdze list Kronusa. I która wkrótce potem stała się przyjaciółką Ody i została wysłana przez ciotkę Ulrykę do sierocińca w Wunsiedel, tylko pół dnia drogi stąd.

Amosowi przed oczyma duszy przewijały się strzępki myśli i obrazów. Jak to wszystko ze sobą powiązać? A może to tylko zwykły zbieg okoliczności? Nie, to w ogóle nie wchodziło w rachubę. Jak przez mgłę wyczuwał znowu działanie figur ozywających na dźwięk kuranta, poruszających się wedle nadzwyczajnego planu i obracających wokół siebie – jeden wokół drugiego.

Höttsche już dawno schował ostrze do pochwy, a jednak Amos myślami wciąż jeszcze był przy wizerunku na rękojeści miecza. Przypominał oficjalny herb rycerzy von Höhenstein, ale tylko na pierwszy rzut oka. Na chorągwi, którą stryj Heribert kazał przy różnych okazjach zatykać na dachu palatium, również widać było skrzyżowane miecze, które swoimi szpicami przeszywały oczy pokonanego smoka. Jednak zamiast zwoju pisma nad rękojeściami mieczy unosił się orzeł, a trójkąt u dołu był pusty.

Ci trzej paziowie, oświadczył tymczasem Höttsche, zostaną przy rannych. Cała szóstka wycofa się do zniszczonej komnaty Amosa i zabarykaduje drzwi. Pozostali jednak otrzymali rozkaz, by ustawić się w dwóch grupach po obu stronach drzwi prowadzących na dziedziniec. Na znak kapitana strzelec mieli otworzyć ogień i przestrzelić zamek u drzwi. Zanim żołnierze otrząsnęliby się z szoku, rozbójnicy mieli rzucić się dwoma falami na zewnątrz i wyciąć w pień wszystkich, którzy stanęliby im na drodze. Pierwsza fala przebiłaby się do lochu i uwolniła rycerza, druga miała przedrzeć się do wschodniej wieży i odbić młodą panią Odę z rąk purpurowych wojowników. Cały plan wydawał się dość prosty, a Amos czuł, jak rozbójnicy odzyskują ducha walki i wiarę w powodzenie.

Jednak równie wyraźnie przeczuwał, że Höttsche sam nie wierzył swoim słowom. Kapitan podchodził do każdego ze swych ludzi z osobna, poklepywał go po ramieniu, zagrzewał do walki, dodawał otuchy, przypominał o wcześniejszych bitwach, z których również udało im się wyjść zwycięsko – jednak on sam zdawał się stracić wiarę w zwycięstwo.

Młody Bastian poprowadził jednego z rannych do komnaty Amosa, usiłując przy tym powstrzymać szloch. Mężczyzna dostał strzałę z kuszy w udo i ciężko wspierał się na ramionach pazia. Dwaj pozostali odnieśli rany sięgające aż do mięśni na rękach, którymi władali mieczem, nie nadawali się zatem do walki. Jednak także trzech paziowie zostali mocno poranieni przez szczury. Ich dłonie i ramiona, a nawet szyje i policzki były usiane ranami po ukąszeniach gryzoni.

Zaryglowali i zabarykadowali drzwi do komnaty. Mimo że dziura w podłodze już dawno zastała zamknięta, w sali wciąż jeszcze roiło się od dziesiątków szczurów. Niezliczone ścierwa o szarej sierści leżały rozsypane po całej ziemi.

Höttsche podniósł lewą rękę i dał znak.

Dziesięć arkebuzów wystrzeliło jednocześnie w stronę zamka i rygla – a drzwi prowadzące na dziedziniec otworzyły się gwałtownie z rdzawym zgrzytem.

PIERWSI ROZBÓJNICY RZUCILI SIĘ przez próg, jednak purpurowi wojownicy bynajmniej nie sprawiali wrażenia zaskoczonych. Z ciemności nocy w stronę więźniów posypał się ze świstem grad strzał z kusz. Jeszcze w drzwiach lub na stopniach przed nimi pół tuzina rozbójników zważyło się na ziemię, zagradzając drogę nacierającym z tyłu kompanom. I zanim zdążyli właściwie ocenić niebezpieczeństwo, w ich stronę zafurczał ze stalowym świstem kolejny rój śmiercionośnych strzał, który powalił kolejnych pięciu mężczyzn.

Próba ucieczki nie powiodła się, zanim jeszcze tak naprawdę do niej doszło. Jednak Höttsche rozkazał swoim ludziom naładować broń i strzelać do każdego purpurowego wojownika, który będzie usiłował przedostać się za próg. Zaledwie kilka chwil później cała sala była wypełniona dymem prochu. Rozbójnicy strzelali na oślep do wszystkiego, co ukazywało się w ościeżnicy drzwi, a huk nieustannie strzelającej broni był tak ogłuszający, że Amos słyszał w swoich przewodach słuchowych już tylko głośny świst.

Ten piekielny łoskot miał przynajmniej jedną dobrą stronę – najpóźniej w tym momencie Kronus również musiał usłyszeć, że nadciągnęło całe wojsko. Wydawało się jednak, że purpurowym wojownikom bardzo zależało na szybkim zdławieniu całego tego hałasu – mimo że Höttsche oraz jego ludzie bronili wejścia bronią palną i mieczami, żołnierze w srebrnych hełmach przedzieraali się jeden za drugim przez próg. Zręcznie trzymali przed sobą ciała poległych, wskutek czego rozbójnicy – mimo całego tego huku – dziurawili kulami jedynie zwłoki swoich byłych kompanów. Sami zaś purpurowi wojownicy, osłonięci żywymi tarczami ochronnymi – z mięsa i kości – nie odnosili żadnych ran.

Z początku, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły, Amos czyhał tylko na moment, gdy wreszcie będzie mógł wybiec na zewnątrz i przedrzeć się do Ody. Jednak już wkrótce stało się dla niego jasne, że żołnierze nie dopuszczą do tego, by którykolwiek z więźniów uciekł z palatium. Między kłębam dymu dostrzegał coraz więcej purpurowych wojowników, którzy wymachiwali swoimi mieczami lub napinali strzały w swych kuszach – i coraz mniej ludzi



Höttschego, którzy staliby jeszcze na własnych nogach, stawiając opór mieczami lub arkebuzami.

„Wszystkich nas pozabijają, powiedział Höttsche, jeszcze zanim nastanie świt”. I miał wtedy rację, wszystko przewidział we właściwy sposób – także to, że żołnierze wcale nie odjechali, pozostawiając na zamku tylko kilku strażników. W samej tylko sali musiało ich być ze dwa tuziny.

W końcu świst w uszach Amosa ustał, a on w tej samej chwili zapragnął, by trwał dalej. W sali odbijały się echem szczęk mieczy, odgłosy ciężkich kroków, świst stalowych strzał, przekleństwa i wrzaski bojowe. Jednak jeszcze okropniejsze dla jego uszu były okrzyki bólu wydawane przez rannych. Była to mieszanina jęków, stęknień i wycia, niepokojące odgłosy jak u zwierząt lub załęcznionych, małych dzieci. Wydawało się, że cała sala jest wypełniona ciężko rannymi i umierającymi, a Amos przeczuwał, że większość z nich należy do zgrai Höttschego. Właśnie tej nocy, która była jak rdzawe żelazo.

Nagle mgła dymu rozeszła się, a przed Amosem pojawiło się trzech purpurowych wojowników naraz. Prawą rękę trzymał położoną na główicy swego krótkiego miecza, jednak do tej pory nawet nie dobył jeszcze swojej broni. Wyciągnął ją dopiero teraz, choć wiedział, że nie jest dobrym wojownikiem i że na pewno nie będzie stawiał zbyt długo oporu. Ale przynajmniej będzie się bronił, jak przystało na szlachetnie urodzonego z rodu Höhensteinów – aż poskromi smoka lub ten go pożre.

Już miał się rzucić z bronią na pierwszego lepszego purpurowego wojownika, gdy poczuł, że ktoś chwycił go za rękę i odepchnął do tyłu.

– Stój za mną – krzyknął Höttsche – cokolwiek by się działo! – Jego bezkształtna, czarna peleryna wydeła się jak piracki żagiel, gdy oburącz uniósł rodowy miecz rycerza von Höhenstein. Pierwszym uderzeniem powalił od razu dwóch napastników, kolejnym ciosem uczynił to samo z trzecim wrogiem. Jednak gdy ten ostatni nie zdążył jeszcze runąć na ziemię, ze wszystkich stron w ich kierunku rzucili się do ataku wojownicy w purpurowych szatach.

Höttsche pokierował Amosa dalej w głąb sali. Swymi szerokimi plecami krył go tak szczelnie, że Amos widział już tylko unoszące się w górę ręce i miecze przeciwników, których Höttsche powalał jednego za drugim. Po chwili słyszał znowu jęki, krzyki ranionych i umierających, które nie zdążyły jeszcze wybrzmieć, a już kolejna purpurowa fala rozbijała się o kapitana.

Höttsche stał nieugięty przed Amosem niczym ściana utworzona z mięśni i stali. Już od dłuższego czasu również kapitan krwawił z licznych ran. A mimo to niestrudzenie wymachiwał

mieczem, jakby żadne cięcie ani pchnięcie nie mogło go poważnie zranić.

Jednak po chwili, w najmniej prawdopodobnym momencie, gdy poza nimi, jak okiem sięgnąć, nie było nikogo, kto stałby na własnych nogach – właśnie wtedy kapitan runął na ziemię niczym lawina kamieni. Z hukiem upadł na plecy, a spadając, pociągnął za sobą na ziemię Amosa. Szepnął ochrypłym głosem:

– Udawaj martwego!

W drzwiach sali, w nikłym świetle padającym do środka z dziedzińca, stała szczupła postać w habicie dominikanina. Musiał to być jeden z młodych mnichów, którzy zazwyczaj postępowali za inkwizytorem krok w krok. Drugi jechał dziś wieczorem w świetle karety, a więc musiał to być ten młody mnich o jasnej skórze, który rzucił się Amosowi w oczy już wieczorem. Jego szydercza mina, za pomocą której usiłował naśladować inkwizytora, i ognistoczerwony żar na jego policzkach, tak mało pasujący do jego udawanego opanowania. Amos słyszał, że wołają na niego Meinolf, i to właśnie ten mnich wszedł teraz do sali, w której oprócz niego nikt inny już nie stał na nogach.

Świtało. W swej zwisającej prawej dłoni Meinolf trzymał nóż, którego końcówka ostrza zarysowywała się tak wyraźnie jak sylwetka samego właściciela. Uczynił kilka kroków, podskakując, a następnie pochylił się nad jednym z leżących na ziemi mężczyzn.

Amos słyszał, jak coś mamroce, widział, jak przejeżdża swoją drobną dłonią po głowie jęczącego z bólu. I jak po chwili prawa dłoń Meinolfa błyskawicznie podrzyna rannemu gardło nożem.

– Ani słowa paniczu – szepnął Höttsche Amosowi na ucho. Mimo że ledwo był w stanie szeptać, Amos całkiem wyraźnie usłyszał każdą zgłoskę. – Zakatrupi każdego, kto jeszcze jęczy lub się rusza. Ten mały diabeł przez cały dzień cieszył się na tę chwilę.

Amos prawie niepostrzeżenie kiwnął głową na znak, że zrozumiał i że przyznaje Höttschemu rację. On też widział czerwone plamy na policzkach Meinolfa, jego palące spojrzenie. Jednak dopiero teraz rozpoznał przyczynę tej gorączki trawiącej młodego mnicha – była to żądza krwi i zabijania.

Z lekkością, z którą poruszają się elfy, chodził – podskakując – od jednego rannego do drugiego, pocieszał mężczyzn swoim mamrotaniem i głaskaniem, by następnie wbijać się im ostrzem w ciało. Wszystkich nas pozabijają, jeszcze zanim nastanie świt”, powiedział wcześniej Höttsche. Widocznie pomylił się nieco w swoich rachubach. Na dworze wstawał już dzień, a oni wciąż jeszcze żyli. Jednak anioł śmierci, ten mały diabeł w mniszej sukni, zbliżał się do nich

nieubłaganie.

– Chcecie może dowiedzieć się, jak nabawiłem się tej blizny na moim czole, paniczu? – Mimo że Höttsche ledwo mówił szeptem, Amos wyczuwał, że mówienie przychodzi mu już z wielkim trudem. Znów prawie niepostrzeżenie skinął głową, czując brodę Höttschego przy swoim uchu: mów no całą prawdę, kapitanie.

Przy tym wcale nie chciał słuchać, co Höttsche wyszeptał mu swym ochrypłym głosem, resztką swych sił. O wiele chętniej zerwałby się z miejsca i popędził, tak jak to robił dzisiaj, za każdym razem zrywając się, a potem biegnąc na nowo, gdy słyszał ten przyprawiający go o zawroty głowy świst. Ale musiał leżeć na twardej ziemi, w czasie gdy Höttsche przygniatał go coraz bardziej, grzebiąc go pod sobą niczym lawina złożona z brzucha, krwi i brody.

– Było to bodaj trzy lata temu – wyszeptał kapitan – w płonącym dworku. Tam u dołu stała kamienna skrzynia z krzyżem wyrzeźbionym na pokrywie. Wszędzie było tak dużo dymu i sadzy, że zaczęły mi łzawić oczy, a ja potknąłem się i... – Urwał i odetchnął rżącym głosem.

Amos słyszał skoczne kroki, ich nagłe urywanie się, mamrotanie młodego dominikanina, zanim chór jęczących z bólu pomniejszył się o kolejny głos.

– Z całej siły – wyszeptał Höttsche – walnąłem o kamienny krzyż. Był gorący od żaru, cały dom stał przecież w płomieniach.

I od tamtej pory ciągle zadaję sobie pytanie, co to miało oznaczać. Czy był to grobowiec jakiegoś skrytobójcy... a może... – Zdawało się, że kapitana opuszczają resztki sił. Amosowi zrobiło się duszno od przygniatającego ucisku. Przerwy między ciężkimi oddechami kapitana wydłużały się coraz bardziej, – ... a może znak, że Bóg w niebie powołał mnie... do tego czynu – wyszeptał Höttsche w czasie, gdy Amos myślał już, że nie dokończy tego zdania. – Paniczu, wybaczcie...

Wypowiadając te słowa, całkowicie wtoczył się na Amosa i zasłonił go swym masywnym ciałem i ogromną czarną peleryną, która otuliła ich obu niczym całun.

A więc to Höttsche, pomyślał Amos. Tak wyraźnie, jakby wszystko wydarzyło się dopiero wczoraj, przypomniał sobie teraz o kamiennej skrzyni w piwnicy ich domu, w której ukrył się wraz z Odą.

I jak w desperacji usiłował zatkać jej usta, by nie zdradziła ich swym szlochem. O krokach na schodach i silnym uderzeniu w ich kryjówkę, w której pokrywie rzeczywiście był wyżłobiony krzyż.

W myślach porównał ten krzyż z iksem na czole Höttschego. Tymczasem czuł, jak ich

szaty przesiąkają krwią kapitana i jak przerwy między oddechami tego ostatniego zdają się przechodzić w wieczność. Morderca jego rodziców leżał teraz na nim i przykrywał każdy cal jego ciała, by ukryć go przed aniołem śmierci wysłanym przez inkwizytora. Wszystko to wydawało się zupełnie niepojęte, a mimo to Amos dziwił się temu w dużo mniejszym stopniu, niż sam mógłby się tego po sobie spodziewać.

Amos również zaczął tracić czucie, bo kapitan leżał na nim niczym płyta nagrobna. Wróciły mu te świszczące zawroty głowy, ale tym razem Amos bynajmniej nie szukał sposobu na to, by się ich pozbyć. A gdy Meinolf mamrotał nad nimi, a następnie zadał od tyłu cios nożem w plecy kapitana, również Amos osunął się w mrok.

## 5

GDY DOJECHALI ŻELAZNYM WOZEM do mostu przewieszzonego nad potokiem młyńskim, zagroda była już jasno rozświetlona. Cellari i Skythis musieli przybyć na miejsce na długo przed nimi. Przy tym podcenzor specjalnie wysłał wcześniej swojego pomocnika, by Hannes i Gregor mogli pojechać przodem tym ociężałym, żelaznym pojazdem.

Ale Hannes już na samo tylko piesze pokonanie trasy z zamku do drogi potrzebował ponad godzinę – czasu, który wydawał mu się o wiele dłuższy, gdyż po drodze ze strachu przeżywał śmiertelne katusze. Ale tylko w nocy, gdy szedł przez spowity ciemnością las; po prostu nie nawykł do takich przygód. Te trzaski w poszyciu, warknięcia i piski stworzeń krzątających się w zaroślach sprawiały, że raz po raz wzdrygał się, szybko obracał ze strachu i potykał. Jednak najgorsze ze wszystkiego były te dwie pary oczu, które – unosząc się gdzieś między drzewami – śledziły go przez całą drogę, a przynajmniej nieustannie mu w tej drodze towarzyszyły. Jedna para oczu była bursztynowożółta, a druga żarzyła się na zielono.

Gdy Hannes dotarł wreszcie do podnóża zamkowego wzgórza, odnalazł woźnicę Gregora w jego kryjówce i wszedł od tyłu do żelaznego wozu, czuł się już tak wyczerpany, jakby przez całą noc taskał ze sobą skrzynie wypełnione zwojami pism. Tymczasem prawdziwa harówka była jeszcze przed nimi. Ledwie Gregor zdążył zaprząć dwa juczne konie i skierować wóz na drogę, a już obok nich przemknęła rozpędzona karetka inkwizytora z konnym orszakiem – połową tuzina purpurowych wojowników z młodym Alexiusem na czele.

Hannes wysiadł z wozu i rozejrzał się dookoła markotnym wzrokiem. Jego kulawa noga była w dotyku tak bezkształtnie odparzona, jakby pod lewą nogą rzeczywiście wyrosła mu koślawa stopa. Ostrożnie pokuśtykał w stronę drewnianego mostu, przez który Gregor nawet jeszcze nie zdążył się przeprowadzić swoim wozem. Już nawet bez dodatkowych ładunków, które mieli teraz załadować, żelazny wóz był o wiele za ciężki, by przejechać przez ten chwiejny mostek. Hannes domyślał się już, co to oznaczało – obaj, on i Gregor – będą musieli przywlec paczki z diabelskimi książkami aż tutaj, i do tego jeszcze tego książkowego diabła, Kronusa,

gdyby ten wzbraniał się przed przyjściem na własnych nogach albo nie był w stanie poruszać się po przesłuchaniu przez Cellariego.

W każdym razie Alexius na pewno nie kiwnie palcem, by im pomóc w tego typu niskich pracach. A Meinolf i tak pozostał tam w górze, na zamku, co akurat było Hannesowi na rękę. Gdy szedł przedtem przez ciemny las, potykając się raz za razem, za każdym głośniejszym trzaskiem w podszyciu liczył się z tym, że dominikanin wyskoczy z gąszczy, by zaspokoić swoją żądzę wzięcia odwetu na nim.

Gregor przeszedł szybkim krokiem przez most, a Hannes pośpieszył za nim. Po co w ogóle Skythis kazał mu przebyć pieszo tę trasę, prowadzącą w dół do głównej drogi, ciągnącą się w nieskończoność, którą zazwyczaj przemierza się konno? Wciąż jeszcze miał do podcenzora lekką urazę. Skythis doskonale zdawał sobie przecież sprawę, że jego pomocnik z kulawą nogą nie jest stworzony do tak forsownych marszów. A może jednak odgadł, że Hannes nie utyka na nogę z naturalnych przyczyn i że celowo wypracował sobie nawyk ciągnięcia jej za sobą? Ale to nie robiło większej różnicy – w końcu nie można było zarzucić nawyku, który wszedł komuś w krew, jakby chodziło o zdjęcie pończochy.

I tak klął w duchu, gdy przemierzali właśnie oborę, która sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała się zawalić, i która nie zapewniała dachu nad głową ani bydłu, ani drobiowi. Unoszący się ze słomy zapach pozwalał jednak stwierdzić, że ta drewniana szopa jeszcze nie tak dawno dawała schronienie koniom.

Po drugiej stronie znajdowały się skrzypiące odrzwia, przez które wyszli ponownie na zewnątrz. Hannes znalazł się na małym podwórzcu, które mimo jasnego oświetlenia sprawiało przygnębiające wrażenie. Mogło to być spowodowane obecnością czarnej karety, stojącej obok studni z żurawiem, i pół tuzina żołnierzy w purpurowych szatach ustawionych na warcie przy wszystkich wejściach i wyjściach. Przed drzwiami do domu ustawiono jednego kościelnego wojownika, podobnie przy przejściu do obory i na skraju lasu, w którego stronę zagroda w kształcie litery „u” była zwrócona swoimi ramionami – co było niedorzeczne, bo z lasu prowadziła w dół do młyna tylko jedna wąska ścieżka, w dodatku o ostrym nachyleniu i tuż obok górskiego potoku, który przechodził w tym miejscu w pieniający się wodospad.

Hannes Mergelin popatrzył na to wszystko tylko pobieżnie, bo cała ta okolica wyjątkowo mu się nie podobała. Kuśtykał za Gregorem w stronę głównego domu i złościł się na ziemię pod jego stopami, która nie była nawet udeptana. Rozmiękczone podłoże zapadało się przy każdym kroku nawet pod jego niewielkim ciężarem – a co to dopiero będzie, gdy będą przenosić przez to

bagno skrzynie z diabelskimi książkami?

Tak czy owak, pozostawało zagadką, jakim sposobem woźnicy inkwizytora udało się poprowadzić karocę tym spróchniałym mostem do zagrody. Hannes rozważał, czy nie zapytać o to Gregora, ale dał spokój, bo przysadzisty mężczyzna w łatanym pancerzu był w tak ponurym nastroju, że lepiej było się do niego nie odzywać. Owinął sobie wokół głowy bandaż z szarego płótna, który sprawiał, że wyglądał jeszcze dziwniej. Swoje ucho, które odrąbał mu tamten rozbójnik z blizną na czole, Gregor przechowywał w świńskim pęcherzu wypełnionym spirytusem. Na co mu to było potrzebne, tego Hannes nie chciał wiedzieć. Jeśli o niego chodziło, to miał już dość wrażeń. Chciał tylko możliwie najkrótszą drogą wrócić do Norymbergi, do swojego starego, jednostajnego życia pomocnika pisarza.

Jednak zapomniał o wszystkim, gdy wszedł do izby mieszkalnej w dawnym folwarku młyńskim. Liczył, że zobaczy różne rzeczy – laboratorium alchemika lub miejsce magicznych zaklęć, ze znakiem narysowanym kredą na podłodze, smrodem siarki i zgnilizny, który dusi w gardle. Tymczasem jego oczom ukazała się całkiem duża biblioteka.

Gdziekolwiek popatrzył, wszędzie widział stosy manuskryptów i zwojów pism: na regałach, w szafach i na krzesłach, a także na strasznie dużym czarnym pulpicie, najdziwniejszym meblu, jaki Hannes kiedykolwiek widział. Wyglądał jak półotwarta, postawiona na sztorc księga. Nie potrafił jednak rozszyfrować żadnej ze złotych liter pokrywających jego powierzchnię. Na pulpicie leżały w nieładzie niesamowicie wyglądające rekwizyty: mała trupa czaszka, poślaczana gałązka jemioly i srebrny pentagram. Hannes przykuśtykał bliżej i właśnie przejeżdżał palcem po znajdujących się na powierzchni pulpitu kunsztownych intarsjach, gdy z tylnej izby wszedł do pokoju podcenzor.

– Gregor, Johannes – wyrzucił z siebie. – A, tutaj jesteście. – Skythis uczynił krok w ich stronę i zaraz zatrzymał się w miejscu, jakby zaklęty przez jakieś niewidzialne moce. – Spójrz na to, Gregorze, czy widziałeś już kiedyś coś takiego? – Wydawał się głęboko wstrząśnięty. – Zbiór książek o takich rozmiarach i o takiej niegodziwości. Najbardziej demoniczne pisma stoją tu jedno obok drugiego, jak gdzie indziej Biblia i śpiewnik. Przy tym Kronus przechowywał prawdziwie diabelskie książki w tylnej izbie. To niepojęte.

Skythis pokręcił głową i przyłożył swoje nieforemne dłonie jedna do drugiej, jakby składał je do modlitwy, ale na szczęście tylko na krótką chwilę.

– Niektóre już wybrałem – ciągnął. – Te na pulpicie i tamte na stołkach. U góry – wskazał na schody przy bocznej ścianie izby – znajdziecie skrzynie pełne rozmaitych rupieci. Opróżnijcie

je i wypełnicie wybranymi przeze mnie książkami, a następnie zanieście wszystko do wozu.

Teraz w drzwiach na tyłach izby pojawił się również inkwizytor. Hannes w ogóle nie usłyszał, że Cellari się tam krzątał. Co prawda, i tak musiał zadać sobie sporo trudu, by podążyć za słowami podcenzora. Winne temu było przede wszystkim podłużne szmaciane zawiniątko, które leżało na podłodze przed biblioteczką po lewej stronie i którym niekiedy szarpało, o ile Hannesa wzrok nie zawodził. Jednak jeszcze bardziej niż ta obwiązana kilka razy sznurem podejrzana paczka rozpraszało go dziwne rwanie, tajemnicze wabienie i przyciąganie.

Hannes nie potrafiłby powiedzieć, czym – lub być może nawet kim – jest to tajemnicze coś. Czuł tylko, że gdzieś na zewnątrz znajdowało się coś, co próbowało go przyciągnąć przy użyciu nadprzyrodzonych mocy. Było to wręcz rwanie i szarpanie, któremu ze wszystkich sił starał się stawić wewnętrzny opór, by nie wyciągnęło go przez drzwi na dwór. I dalej przez grząskie podwórze, walącą się oborę, most, przez drogę i pastwisko, a stamtąd prawdopodobnie jeszcze dalej, w gąszcz tam pod zamkiem lub – Bóg jeden wie – gdzie jeszcze.

Oczywiście nie wchodziło w rachubę, żeby poddał się teraz temu przyciąganiu i rwaniu. Wręcz przeciwnie, podcenzor klasnął w bezkształtne dłonie i popatrzył na swojego pomocnika napominająco. Temu ostatniemu udało się – choć z lekkim wysiłkiem – przypomnieć sobie, o czym właśnie rozmawiali obecni w izbie.

– Każ to natychmiast zanieść do wozu, przyjacielu – powiedział mianowicie inkwizytor, wskazując przy tym brodą na wydłużone zawiniątko leżące na ziemi. – Widocznie Kronus ukrył oryginał swojego diabelskiego pisma w innym miejscu, tak też przypuszczałem. Wszystkie inne rzeczy możecie spokojnie wydać na pastwę ognia.

Jednak wtedy Skythis zajazgotał ze strasznym przerażeniem.

– Na litość Boską, Cellari. Sami nie wiecie, co mówicie! Kto celowo niszczy pisma skażone demoniczną trucizną, ten skazuje się na nędzny los. Nieuleczalne niedołęstwo, zaślepienie przez najstraszliwsze diabelskie zjawy. Nie, nie ma innej rady! Muszę wziąć ze sobą przynajmniej wszystkie te pisma, które zidentyfikowałem po pierwszym przejrzaniu jako diabelskie książki. Znacie moje więzienie książek, Cellari. Jeśli zamkniemy w nim na klucz wszystkie te szatańskie dzieła, zapewnimy bezpieczeństwo całemu chrześcijaństwu. – I jeszcze zanim inkwizytor zdążył ułożyć jakąś szyderczą mowę sprzeciwu, Skythis uderzył swymi krótkopalczystymi dłońmi jedna o drugą i wykrzyknął: – Ruszamy, Gregorze, Johannesie! Wszystko, co ułożyłem dla was na stosach tam po drugiej stronie, zapakujcie do skrzyń i zanieście do wozu.



– A więc, jak sobie życzy, przyjacielu. Gdzie płonie mistyka książek, tam niewiele pozostaje rozumowi do rozświetlenia. – Inkwizytor uśmiechnął się sztucznie. – Jednak każcie, proszę was, zapakować najpierw tamto tam. – Ponownie wskazał swoją wydatną brodą w stronę zawiniątka na podłodze, a Hannesowi zdawało się, że ta wielokrotnie związana, szmaciana paczka znów się zatrzęsała.

## 6

GDY AMOS DOSZEDŁ DO SIEBIE, wydawało mu się najpierw, że jest głęboka noc. Wszystko wokół niego było czarne. Leżało na nim coś przytłaczająco ciężkiego. Z trudem udało mu się wyciągnąć spod lepkiej, mokrej góry. I dopiero w czasie gdy wymacywał nad sobą zimną dłoń, skostniałe ramiona, zastrupiały, wilgotny kołtun, wszystko mu się przypomniało.

Wyczołgał się, wijąc, spod zwłok. Już dawno nastał jasny dzień. Musiał użyć wszystkich swoich sił, by obrócić Höttschego na plecy. Pchał jednak i naciskał, nie zastanawiając się nad tym specjalnie. Gdy w końcu przetoczył sztywne ciało, pochylił się nad nim i zamknął kapitanowi oczy.

Zabiłeś moich rodziców i uratowałeś mi życie, Höttsche, a ja wciąż nie wiem dlaczego.

Podniósł się znowu i nagle przyszło mu na myśl, że jest jedynym ocalałym – nie tylko w tej sali usłanej trupami, lecz także na całym świecie. Że wszystko wokół niego jest tak martwe, sztywne i kamienne, jak on odczuwał wszystko w swoim sercu.

Kronusie, mądry panie, pomyślał, czy *Księga duchów* nie miała wzbudzić we mnie daru magii uczuć? I tak też się stało na krótki czas, ale za jaką cenę. Nie czuł już niczego z pulsowania tamtego wewnętrznego źródła światła. I nawet jego serce tkwiło bez czucia w klatce piersiowej jak bryła żelaza.

Oda nie żyje. Poczul to ze straszliwą wyrazistością już w nocy, gdy jej krzyk nagle się urwał. Ale teraz było to dla niego zwykle brzmienie zgłosek, wobec którego niczego nie odczuwał. Tylko bezduszne odrętwienie.

Odwrócił się, powiódł oczami w stronę komnaty, która była dla niego bardziej więzieniem niż domem. Drzwi też były rozbite na kawałki, a na progu leżał młody Bastian. Dokoła niego dwaj pozostali paziowie i trzech mężczyzn, którzy już wczoraj nad ranem zostali ranieni strzałami z kusz – wszyscy oni też byli tak sztywni, jak mogą tylko być umarli.

Amos miał niejasne przeczucie, że im również zawdzięcza życie. Musieli wypaść z komnaty, zanim Meinolf zdążył odkryć, że pod zwłokami kapitana ukrywa się ktoś jeszcze. Tak

jak wczoraj spod masywnej podłogi z kamienia wyłonił się jakby drugi zamek Höhenstein, z innym herbem, który zdawał się należeć do zupełnie innego świata i zupełnie innej rzeczywistości.

Nie wolno mu było o tym myśleć, przynajmniej nie teraz. Pochylił się nad Bastianem, by i jemu zamknąć nieruchome oczy. Ale nie mógł się przemóc, by dotknąć zimnych od śmierci powiek. Przypominały mu mole, ćmy, które uderzały skrzydłami i rozsypywały szary pył, gdy przejeżdżał po nich palcem.

Dostał dreszczy i jednocześnie szata kleiła mu się do ciała, jakby była mokra od potu. Jednak gdy spojrział na siebie w dół, okazało się, że to cieknąca krew zlepiła mu skórę i koszulę.

Krew Hötttschego. Ktoś krzyknął. Amos wzdrygnął się ze strachu i dopiero po chwili zorientował się, że to on krzyczał. Przez długą chwilę stał po prostu bez ruchu. Wsłuchiwał się w echo swego krzyku i najchętniej znów by się położył obok innych zmarłych.

Ale żył jeszcze. Jeszcze nie wolno mu było spocząć na wieki. Wszyscy ci polegli, zmarli dla niego, posłani przez Hötttschego na śmierć, po to, by on – Amos – mógł żyć dalej. Już w nocy domyślał się, że kapitan tylko dlatego wszczął walkę, której nie mogli wygrać. I najpóźniej wtedy, gdy Hötttsche wtoczył się na niego, gdy go ukrył pod swoim ciałem, nabrał całkowitej pewności, że wszystko to stało się wyłącznie z jego powodu, żeby mógł żyć dalej on, nie kto inny jak Amos von Höhenstein.

Ale dlaczego właśnie on? Co niby było w nim takiego szczególnego, że możni panowie chcieli go zabrać od rodziców już jako małego chłopca? Że po wielu latach jeszcze raz próbowali zrealizować ten sam plan – nie cofając się tym razem przed morderstwem? Amos popatrzył na oczy Sebastiana, które nieruchomo niczym szklane kulki spoglądały ku niemu. I znów naszły go zawroty głowy i szum w uszach. I po raz kolejny napomniął sam siebie: nie teraz! Podobnie jak rycerz Laurencjusz Answer musiał wykonać stojące przed nim zadania w odpowiedniej kolejności, w przeciwnym razie będzie już tylko coraz gorzej.

Zerwał się z miejsca i wybiegł z sali, nie oglądając się już w lewo czy w prawo. Dziedziniec był skąpany w jasnym świetle przedpołudniowego słońca. Inkwizytor, jego żołnierze i reszta świty wszyscy zniknęli niczym zjawy. I tylko po prawej stronie szeroko otwartej bramy zamkowej stał jeszcze fotel, na którym zasiadał jak na tronie Cellari, choć zabrali ze sobą nawet purpurową narzutę.

Amos skierował się w lewo. Im bardziej zbliżał się do wieży wschodniej, tym usilniej nogi zdawały się odmawiać mu posłuszeństwa. Mimo to zmuszał się, by stawiać dalej krok za

krokiem.

Dopóki jego serce było tylko tępą grudką żelaza, dopóty był w stanie znieść i to pożegnanie. W ten sposób próbował dodawać sobie odwagi w czasie, gdy szedł po schodach do komnaty Ody.

Leżała na łóżku, jakby zrobiła sobie tylko krótką przerwę na odpoczynek. Była obrócona na bok, plecami do drzwi. Przykucnął obok jej posłania, delikatnie położył swoją rękę na jej ramieniu. A wtedy ona obróciła się w jego stronę, ale jak kamień, jak bezwolny kloc, który rusza się tylko pod wpływem siły z zewnątrz. Jej spojrzenie było takie puste, jej kochana twarz – taka biała i skostniała. Już nigdy się do niego nie uśmiechnie, nie obejmie go, ani nie szturchnie go zalotnie w bok tymi rękami, które leżały ściśnięte w pięści na jej łonie.

Wtulił jej głowę między jej szyję a ramię, tak jak to zwykł robić jako mały chłopiec jej i matce.

– Dowiem się – wyszeptał – przysięgam ci, siostrzyczko, że się dowiem, co to wszystko ma znaczyć. Dlaczego zabito naszych rodziców. I dlaczego mi ciebie...

Amos nie mógł już więcej mówić. Jego serce nie było z żelaza. Nie było nawet z kamienia.

Sam, pomyślał, teraz jestem już zupełnie sam.

I jeszcze w chwili, gdy o tym myślał, poczuł w klatce piersiowej ciepły strumień. Amos zamknął oczy i podniósł się z klęczek. W swoim wnętrzu dostrzegł rdzawozłoty, pulsujący punkt, od którego odchodził mocno świecący złoty promień. Ten łączył jego magiczne serce z drugim źródłem światła, które było bez porównania większe i świeciło jak gwiazda wieczorna późną nocą. Gwiazda ta promieniowała ogrzewające ciepło, a mimo to ogarnęło go nieustanne drżenie.

Dobry Boże, pomyślał Amos, Kronus żyje, ale grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

Otworzył oczy. Czuł, że nie jest wystarczająco silny, by podołać wszystkim zadaniom, jakie miał do wykonania. Będzie musiał pochować siostrę, a następnie pośpieszyć Kronusowi na pomoc. I czuł, że była to odpowiednia kolejność.

PODŁUŻNE ZAWINIĄTKO zapakowali na sam spód wozu, następnie położyli żelazną płytę na klatkę w kształcie trumny i poukładali na niej całe mnóstwo skrzyń i worków.

– Czy tam w środku jest Kronus? – zapytał Hannes, a Gregor splunął i odburknął:

– A cóżby innego!

Mimo to Hannes wciąż jeszcze nie był pewien, czy w tym zawiniątku rzeczywiście znajduje się „Szatan w ludzkiej postaci”. Było ono tak grubo owinięte dywanami i pasami sukna, że równie dobrze mogłoby zawierać pień małego drzewa. Albo w ogóle nic innego poza dużą liczbą mocno zawiniętych jedna w drugą chust. Jednak to nie miałoby sensu, a zarysami i wagą zawiniątko odpowiadało całkiem dokładnie rozmiarom, których można było spodziewać się po chudym starym mężczyźnie średniego wzrostu. A gdy wrzucili w końcu to zawiniątko do okratowanego lochu u dołu wozu i właśnie zasuwali nad nim żelazną płytę, Hannes wyraźnie widział, że zawiniątko zadrżało. Jednak ledwo płyta wpasowała się w ramie, Hannesa znów naszły wątpliwości. A może to powiew wiatru poruszył szmatami i rozwiązanymi sznurami. Tak – to dlaczego w takim razie Cellari wykazywał nim tak wielkie zainteresowanie? Co prawda, inkwizytor określał tę paczkę tylko jako „to tam” i „tamto tam”. Czy nie powiedziała by raczej „ten tam” i „tamten tam”, gdyby w tych szmatach rzeczywiście był obwiązany ten książkowy diabeł Kronus. Nieważne, czy żywy, czy martwy, czy na wpół żywy, czy na wpół martwy?

Hannes nawet nie myślał, by zapytać o to podcenzora. Skythis był w jeszcze bardziej ponurym nastroju niż człowiek w pancerzu, a już Gregor patrzył tak gniewnym wzrokiem, że zdawali się drzeć przed nim nawet purpurowi wojownicy. Co jednak bynajmniej nie skłoniło ich do udzielenia im pomocy w taszczeniu – wręcz przeciwnie. Wycofali się w możliwie najodleglejsze zakątki i obserwowali tylko uważnie, jak Hannes i Gregor wnoszą skrzynia za skrzynią, worek za workiem.

Niezmordowanie podcenzor wyciągał z regałów książki oprawione w skórę lub drewno, krótko je wertował i rzucał co drugą lub co trzecią na ziemię. Już od dawna nie zadawał sobie

trudu, by starannie układać wybrane przez siebie manuskrypty w stosy – opuszczał je po prostu na podłogę w czasie, gdy drugą ręką wyciągał już następną diabelską książkę. Gdy wraz z Gregorem zapełniał książkami kolejną skrzynię, Hannes usłyszał, jak Skythis wymamrotał:

– *Pismo cieni*. Niepojęte. – Nerwowo wyciągnął z regału następne pismo, przeleciał wzrokiem kilka stron, by i to cisnąć po chwili na podłogę.

– Ten Szatan ma nawet kopię *Księgi zakłęt*. Samo piekło nie posiada tak dobrze zaopatrzonej biblioteki.

Lewa stopa Hannesa była w dotyku niczym bryła surowego mięsa, a ręce miał usiane bąblami. Ubranie lepiło mu się do ciała, tymczasem Gregor wydawał się w ogóle nie pocić ani nie wyglądał na specjalnie osłabionego. Niezmordowanie człapał tam i z powrotem, między diabelską biblioteką a wozem, kłął jednak cicho pod nosem, gdy Hannes znów błagał go o to, by na krótką chwilę odłożyli swoje ładunki.

– Słyszałeś, co powiedział inkwizytor. – Gregor zdjął opatrunek ze swojej rany, splunął nań i znów przykleił go sobie na nowo. – Gdy dzwony wybiją ósmą, ta diabelska zagroda ma stanąć w płomieniach.

Hannes skinął głową. Od wyczerpania kręciło mu się w głowie. Ale bezczynne stanie również mu nie służyło. Natychmiast wyczuwał znowu to dziwne rwanie, które ciągnęło go na zewnątrz z folwarku młyńskiego, przez most, drogę i pastwisko w gąszcz. Nie pragnął przy tym niczego tak bardzo, jak jeszcze raz błąkać się w lesie, bać się przy każdym trzasku w podszyciu, czuć na swoich plecach żarzące się pary oczu.

Gregor kopnął w skrzynię, a Hannes chętnie dał się wyrwać ze swoich myśli. Już raczej wolał taszczyć książki aż do zupełnej utraty sił, niż poddać się temu niesamowitemu przyciąganiu. I nieważne, jak bardzo kusila go ta druga perspektywa.

Tak więc człapali dalej jak te juczne konie, tam i z powrotem. Jednak w końcu żelazny wóz był już zapchany demonicznymi książkami aż po ostatni kąt. Skythis wyszedł z młyńskiej chaty jeszcze bledszy na twarzy niż zazwyczaj. Na pytające spojrzenie Gregora pokręcił tylko głową, i nawet Hannes od razu zrozumiał, co to miało oznaczać. Podcenzor nie znalazł *Księgi duchów*, ani oryginału, ani choćby jego dalszych kopii. Przetrzęsnał przy tym cały dom. Przeszukał wszystkie izby, komnaty, małe pomieszczenia, każdą szafę, każdy regał, każdą skrzynię, książka za książką, wszystkie stosy papierów jeden po drugim.

– Nasza misja nie została zakończona – wyrzucił z siebie Skythis – bo nasze polowanie miało na celu zdobycie *Księgi duchów*, a tej nie znaleźliśmy.

Tymczasem Cellari instruował już swoich purpurowych wojowników, by zapalili wszystkie smolne pochodnie, które mieli przy sobie.

Skythis przesunął wymownie wzrokiem z Gregora na Hannesa.

– Ty zawieszysz wóz do Norymbergi – powiedział do woźnicy – i umieścisz to wszystko w odpowiednim miejscu. Książki zniesiesz do mojego więzienia. Przypomnij mi zaraz, żebym ci dał klucz do lochu. A tego... to inne, wiesz, o co chodzi – poprawił się – zanieś na plac Mariacki. Cellari nie będzie się mógł doczekać. Poza tym...

– Urwał w środku zdania i popatrzył – milcząc – w stronę purpurowych wojowników. Ci biegali szybko od okna do okna, wrzucając do środka płonące pochodnie. I już po kilku chwilach główny dom folwarku płonął jasnym płomieniem. Pochodnie wpadły przez okna na parter, gdzie Kronus zgromadził największą tajną bibliotekę w całym świecie chrześcijańskim. Ogień pochłaniał wszystko, co Skythis pozostawił na jego pastwę. I już wkrótce płomienie buchały ze świetlików, pękały pierwsze gonty, wydając z siebie brzęczący, fałszywy ton, jakby zepsute dzwony uderzały jeden o drugi.

– Sporządziłem już także list do cenzora Rzeszy – ciągnął dalej Skythis, tym razem burcząc ochryplym głosem w stronę skwierczącej pożogi. – Oddasz go furtianowi, Gregorze. To podanie o zwolnienie mnie samego i pomocnika pisarza Mergelina z pełnienia obowiązków w urzędzie cenzury na czas nieograniczony.

Hannes przesunął tylko w milczeniu wzrokiem ze Skythisa na Gregora. Oczy tak mu się rozszerzyły z niewiarygodnego przerażenia, tak że obawiał się, iż już nigdy nie będzie ich mógł zamknąć.

– Ale, panie... – wydusił z siebie w końcu, ale tak cicho, że nikt go nie usłyszał.

Ogień trzaskał i skwierczał. Żarzące się strzępki papieru wyfruwały przez okna, powiewając na wietrze nad zagrodą. Powietrze pełne było teraz iskier, sadzy i dymu. Hannesowi zaczęły łzawić oczy, ale jego przerażenie wciąż jeszcze było tak wielkie, że nie mógł ich ściągnąć nawet do wąskich szparek.

– Jak już wszystko załatwisz – krzyknął podcenzor w stronę huku zawałającej się więźby dachowej – prześlij mi wiadomą drogą wiadomość. – Poklepał Gregora po ramieniu, drugą ręką chwycił Hannesa za ramię i pociągnął go ze sobą.

W otwartych drzwiach obory stał już Alexius, który usilnie przywoływał ich, machając. Obok stało dwóch purpurowych wojowników trzymających w obu rękach płonące pochodnie. Gdyby obora również stanęła w płomieniach, zostaliby odcięci od traktu konnego prowadzącego

w stronę głównej drogi i od wozów.

– Ale, panie... – Spróbował jeszcze raz Hannes, ale i tym razem Skythis nawet nie zareagował.

– Zawsze o tym wiedziałem, Johannesie – wyrzucił z siebie, ciągnąc go w pośpiechu w stronę drzwi obory.

– Co wiedziałeś, panie?

– Zlekceważyłeś mój zakaz i potajemnie przeczytałeś tę diabelską książkę. Od wielu dni obserwuję, jak się zmieniasz. Jakby coś chciało wziąć cię w swoje posiadanie. Jak tkwiące w tobie demony coraz bardziej przybierają na sile. Jak rozpaczliwie się przed nimi bronisz. I właśnie dlatego bardzo mi się teraz przydasz.

– Błagam, panie! Ja chciałem tylko...

– Ani słowa więcej, Johannesie. Chyba, że chcesz, by Cellari nabrał podejrzeń.

Hannesowi prawie stanęło serce. Nic już nie mówiąc i z głową spuszczoną między ramionami, pokuśtykał za Skythisem przez oborę i przez most. Karetą inkwizytora stała już gotowa do jazdy na trakcie konnym, a Cellari patrzył w ich stronę z bocznego okna.

Nie wydawał się zbyt zaskoczony, gdy Skythis w kilku, zaledwie wyburczanych, słowach poinformował go o swoich planach.

– A więc, przyjacielu, i wy będziecie musieli podążyć za swoją pochodnią. – Sztucznie się uśmiechnął. – Dobrze więc, szukajcie dalej tej diabelskiej książki, a ja wezmę się do szatańskiego bractwa. Bądź co bądź udało nam się odkryć jedno oczko w tej diabelskiej sieci. Zobaczymy, co się stanie, gdy zaczną ją mocno rwać.

Cellari skinął głową Skythisowi na pożegnanie. Tymczasem jego woźnica smagał już konie biczem. Zaraz potem inkwizytor zniknął wraz ze swoją świtą za zaroślami i drzewami.

Podcenzor jeszcze mocniej chwycił Hannesa za ramię – jakby się obawiał, że jego pomocnik mógłby rzucić się do ucieczki.

– A teraz, Johannesie, wsłuchaj się w swoje wnętrze i powiedz mi, co czujesz.

– Wir, który mnie przyciąga, już od wielu godzin – przyznał niechętnie Hannes. – I który chce mnie pociągnąć w tamtą stronę. – Wskazał na las jodłowy za małym pastwiskiem dla koni.

Podcenzor spojrział we wskazanym mu kierunku, a następnie znów zwrócił się z nieufnością do Hannesa:

– I jesteś tego całkiem pewien?

Hannes kiwnął głową. Wciąż jeszcze czuł w kościach strach wywołany zupełnie



nieoczekiwanymi, nowymi planami Skythisa, a krtań miał jakby wysuszoną. Ale być może było to spowodowane gorączką myśliwską, która obudziła się w nim tak szybko, jak buchający ogień za ich plecami. Z wiru emanowała silna, wręcz nieodparta pokusa, a teraz z pomocą Skythisa będzie mógł się odważyć na to, by się jej poddać. Pozwoli się wciągnąć do lasu, w głęboki gąszcz tam na zewnątrz, który był jednocześnie dziką puszczą w jego wnętrzu, na ciemnym dnie jego duszy Hannes sam nie za bardzo rozumiał, o czym właśnie pomyślał. Być może nie była to nawet jego własna myśl, lecz podszepty tkwiących w jego sercu demonicznych mocy.

Jednak zanim zyskał jasność w tej kwestii, Skythis wręczył woźnicy Gregorowi klucz do lochu, życząc mu miłej podróży i jeszcze raz go napominając, by możliwie szybko przekazał mu wiadomość „wiadomą drogą”. A gdy żelazny wóz odjeżdżał z hukiem, podcenzor objął nadgarstek Hannesa tak mocno, że temu ostatniemu aż się ścisnęły kości i kosteczki.

– Ruszamy, Johannesie! – wyrzucił z siebie Skythis.

## 8

LOCH POD PALATIUM stanowił wcześniej część grobowca rodu von Höhenstein. Żelazne drzwi u podnóża schodów były otwarte, a gdy Amos wszedł do środka, natrafił na nieruchomy wzrok stryja. Rycerz siedział na jednym z odłamków muru, oparty plecami o ścianę, i z pewnością zwaliłby się, gdyby nie przeszkadzała mu w tym zardzewiała żelazna obroża na jego szyi. Już przed wieloma laty Amos z przerażeniem obejrzał sobie kiedyś te urządzenia, które rycerz kazał przymocować tutaj na dole z myślą o przymusowych letnikach. W murze umocowana była nie tylko żelazna obroża na szyję, lecz także łańcuchy na nogi z ołowianymi kulami, których samemu stryjowi oszczędzono. Jednak kleszcze inkwizytora nieźle urządziły Heriberta, zanim zginął prawdopodobnie od noża Meinofla.

Amos zatrzymał się przed nim na kilka chwil. Biedny stryj Heribert, pomyślał, mimo że byłeś zwyrodnialcem, żal mi cię i mimo, że jesteś moim stryjem, nigdy nie zapomnę, że byłeś zwyrodnialcem.

Odwrócił się, oczy znów zaczęły go palić. Przede wszystkim zwłoki były dla niego za ciężkie. Oda leżała w jego ramionach, jakby spała, jej głowa z czarnymi lokami opierała się o jego pierś.

Drzwi prowadzące do właściwego grobowca nie były zamknięte. Pchnął je ramieniem, a następnie przeszedł przez wąskie pomieszczenie aż pod tylną ścianę. Na sięgającym do kolan cokole stał tam sarkofag o wielkich rozmiarach, w środku był suchy i pusty – nie licząc drobnej ilości kurzu oraz pajęczych sieci. Kamienna pokrywa, zdobiona płaskorzeźbami przedstawiającymi anioły i gwiazdy, spoczywała przesunięta na pojemniku. Otwór był wystarczająco szeroki, by mógł wsunąć do środka Odę nogami do przodu. Zapalił świeczkę, którą zatknął specjalnie z tej okazji, i oświetlił nią jej twarz. Łagodnie uśmiechała się do niego, jakby chciała powiedzieć: „Odwagi, bracie, sam też dasz radę”.

To, że łzy pociekły mu po policzkach, zauważył dopiero wtedy, gdy jedna z nich spadła na świeczkę, niemal gasząc płomień. Masz rację, Odo, muszę iść, pomyślał.

I właśnie miał już zasunąć nad nią pokrywę, gdy przyszło mu jeszcze coś na myśl. Jakże w ogóle mógł o tym zapomnieć! Odwrócił się, przebiegł obok stryja, ruszył po wąskich schodach na górę, dookoła połowy palatium i jeszcze raz do sali. Z trudem ignorował brzęczące muchy, krocзки i piski szczurów. Całkiem z tyłu sali, tam gdzie wypadł Höttchemu z ręki, leżał miecz rodowy Höhensteinów. Amos podniósł go z lekkim wysiłkiem i ruszył w powrotną drogę. Ogromne ostrze połyskiwało w porannym słońcu, a on – idąc – jeszcze raz zlustrował wzrokiem tajemniczy herb z unoszącym się na niebie zwojem pisma i szeroko otwartym okiem w trójkącie między skrzyżowanymi mieczami.

Położył miecz obok Ody w sarkofagu.

– Spoczywaj w pokoju, moja kochana siostró – wyszeptał i jeszcze zanim serce zdążyło mu pęknąć na pół z bólu i żalości, szybko zasunął nad nią pokrywę, zamknął drzwi między nią a rycerzem i uciekł co sił w nogach.

Amos popędził przez przejście i dalej ścieżką w dół, następnie przemierzył szybkim krokiem las jodłowy, zajęło mu to bodaj godzinę. W połowie drogi potok Gründleinsbach wytryskiwał ze swego źródła – poziomej szczeliny w pokrytej mchem ścianie skalnej, która wyglądała jak wielkie, wypukłe usta. Jak za każdym razem, Amos musiał zrobić sobie tutaj przerwę na odpoczynek, orzeźwiając się kilkoma łykami wody. Umył sobie dłonie, a następnie trzymał je złożone w miseczkę pod przejrzystym, lodowatym strumieniem. Zaraz potem ruszył dalej, schodząc spadzistą ścieżką z szemrzącym potokiem po lewej stronie.

Już od wielu minut czuł w nosie zapach spalenizny, który przy każdym kroku stawał się coraz intensywniejszy. Idąc, Amos wsłuchiwał się w siebie, a drżenie i migotanie źródła światła Kronusa nieustannie przybierało na sile. Łączący ich ze sobą złoty płomień już dawno zaczął połyskiwać, a kontakt między nimi słabł coraz bardziej.

Starzec znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie! Amos czuł to aż nazbyt wyraźnie, prawie tak, jakby Kronus był przy nim i perswadował mu błagalnym głosem: „Jeszcze tylko ty jeden możesz mnie wesprzeć, mój chłopcze. Zawsze ci ufałem i wiem, że mnie nie zawiedziesz”.

Ale cóż ja mogę, panie, pomyślał w biegu, mając za przeciwników inkwizytora i jego żołnierzy? Jestem sam jak palec, ja, słaby chłopiec, uwięziony w sidłach tajemnicy jak w olbrzymiej pajęczynie. Skąd mam wziąć siły, by uwolnić siebie i was z tej sieci?

Drżenie i migotanie stawały się coraz węższe, a wraz z nimi zniknęły także ciepło i światło złotego promienia. Źródło światła, z którego ów promień odchodził, już dawno nie przypominało gwiazdy późną nocą, lecz wyglądało co najwyżej jak meteor, który – migocąc –

walczy, aby nie zgasnąć.

Za ostatnim zakrętem drogi, na horyzoncie wreszcie ukazała się zagroda, a jej widok był tak koszmarny, że Amos aż ciężko westchnął. Mimowolnie zatrzymał się i patrzył nieruchomym wzorkiem w dół na zagłębienie doliny, na miejsce, które w ciągu ostatnich lat stało się jego właściwym domem.

Folwark młyński przedstawiał już tylko dymiącą się ruinę. Główny dom zdawał się całkowicie zawalić, leżał pogrzebany pod belkami dachu i popękkanymi gontami. Tam, gdzie wcześniej stała drewniana obora, w ziemi znajdowała się teraz szeroka dziura. Z tyłu było widać potok Gründleinsbach, pastwisko, skraj lasu.

Wszystko to sprawiało wrażenie jakby opuszczonego i opustoszałego miejsca. A mimo to Amosowi zaczęło mocno bić serce, gdy szedł powoli dalej opadającą teraz stromo ścieżką, obok huczącego strumienia Gründleinsbach. Idąc, wsłuchiwał się w siebie, i wtedy jeszcze raz poczuł, jak Kronus napomina go błagalnym głosem: „Śpiesz się Amosie i miej się na baczności!”.

Wtedy też wyblakło jego źródło światła, a chwilę później zgasł także złoty strumień.

Uczynię wszystko, co zechcecie, panie, pomyślał Amos, tylko proszę, panie – nie zostawiajcie mnie samego!

A jednak niezależnie od tego, jak szeroko otwierał swoje serce, jak bardzo zdesperowany wsłuchiwał się i wpatrywał w siebie, jego własne magiczne źródło światła było jedynym świecącym się punktem jak okiem sięgnąć.

Jestem sam, pomyślał znowu, zdany wyłącznie na samego siebie. I już szedł przez podwórze, wręcz przeorane śladami kroków i wozów. Dym gryzł go w oczy. Z belek dachu i murów, które zapadły się jedne na drugie, dobywało się nieregularne trzeszczenie, jak ze zniszczonego mechanizmu zegara. A jego serce po prostu nie mogło się uspokoić, wręcz przeciwnie: waliło tak mocno w jego piersi, że krew mu zaszumiała w uszach.

Tu w folwarku młyńskim ktoś musiał stać na czatach. Amos czuł to całkiem wyraźnie. Czyżby inkwizytor i jego purpurowi wojownicy? Nie, przecucie podpowiadało mu coś innego. Już prędzej był to tamten chudy chłopak, pożeracz światła, demoniczna bestia z żelaznego wozu, która najwidoczniej należała do mężczyzny z burkliwym głosem, do podcenzora Skythisa.

A więc łowcy książek?, pomyślał Amos, wchodząc po belkach i odłamkach muru niegdysiejszego wejścia do głównego domu. Z drzwi płomienie pozostawiły po sobie tylko kilka zwęglonych desek, wiszących wzdłuż i wszerz w czarnej od sadzy framudze. Ostrożnie, tak aby nie doprowadzić chwiejącej się struktury do ostatecznego zawalenia, Amos przecisnął się przez

wyłam w drewnianych drzwiach i wszedł do pomieszczenia, które służyło Kronusowi przez połowę życia za lektorium i skrytorium.

PRZEDNIA IZBA POGRAŻONA BYŁA w chaosie, dymiących się szczątkach książek i zwęglonych zwojach pism, wywróconych regałach i resztkach zawalonych schodów, które prowadziły wcześniej na poddasze. Przez dłuższą chwilę Amos po prostu stał i pochłaniał wzrokiem ten okropny widok. Z drzwi do tylnej izby została się tylko jedna deska, zwisająca z górnego zawiasu niczym wisielec. Szafki na książki z tyłu były wywrócone, porąbane na kawałki, a co oparło się pasji niszczenia łowców książek, to ostatecznie strawił ogień.

Ale Kronus przewidział, że pewnego dnia właśnie do tego dojdzie, że przyjdą łowcy książek i zniszczą jego bibliotekę. Ta myśl, że starzec nie dał się zaskoczyć przez swoich przeciwników, była dla Amosa dziwnym pocieszeniem. Już od dawna na nich czekał, co więcej, sam skierował ich na swój ślad, wysyłając kopię *Księgi duchów* do cenzora Rzeszy w Norymberdze. Tylko dlaczego Kronus to uczynił – tego w ogóle nie mógł pojąć.

A jeszcze mniej pojmował, czego starzec oczekuje teraz od niego. Purpurowi wojownicy i łowcy książek mieli wiele godzin na to, by przetrząsnąć całą zagrodę. Jeśli Kronus ukrył tu gdzieś oryginał *Księgi duchów*, to i ten musieli znaleźć. A jeśli oryginał rzeczywiście uszedł ich uwagi, to – jak wszystkie inne pisma – spłonął niechybnie w ogniu.

Starzec rzucił wyzwanie potężnym wrogom, powiedział sobie Amos, i być może w końcu przekonał się, że był to największy błąd jego życia. A może ostatni – jeśli mianowicie inkwizycji udało się znaleźć tutaj również jego samego.

Amosa przeszły dreszcze. To drżenie i migotanie, które przedtem obserwował w swoim wnętrzu, wygasanie złotego promienia światła i jego wcześniej jakże potężnego źródła. Czy mogło to oznaczać coś innego niż to, że Kronus został ujęty przez Cellariego i purpurowych wojowników? Ostatnimi resztkami sił starzec wzywał jego, Amosa, a następnie stracił przytomność, jeśli nie życie.

Tak właśnie, nie inaczej, potoczyły się wydarzenia, pomyślał Amos. Poczul rodzącą się w jego sercu rozpacz, lecz zaraz ją zwalczył. Kronus wezwał go tutaj, ponieważ miał ważne zadanie

do wykonania. Zamiast zdawać się na swój strach i ból, musiał wyteńczyć swoje zmysły, by dowiedzieć się, czego oczekiwał od niego Kronus.

Rozejrzał się teraz uważniej w tym bałaganie, złożonym z czarnych od sadzy belek i ze zwęglonych pism. Niektóre z książek wyglądały, jakby cudem uniknęły uszkodzenia. Gdy je podniósł z podłogi, rozsypywały się jednak w sadzę i popiół. Pasja zniszczenia intruzów nie ominęła niczego – nawet olbrzymiego pulpitu Kronusa. Leżał teraz powalony przodem do podłogi w samym środku izby i nie wyglądał już jak księga, lecz raczej jak drewniana chatka, taka jak proste chaty węglarzy składające się w zasadzie jedynie z stromo unoszącego się ku górze dachu namiotowego. Rzeczy, które znajdowały się zazwyczaj na powierzchni pulpitu, leżały teraz rozrzucone dookoła – kałamarzyk, połamane pióra, srebrny pentagram. Tylko trupia czaszka wielkości pięści pozostała na swoim miejscu, przytwierdzona do płyty pulpitu, i tworzyła teraz coś na kształt tylnej ściany tej księgi-chatki.

Amos kucnął przed nią, a trupia czaszka zdawała się go witać posepnym uśmiechem. Z tej odległości można było też wyraźnie zobaczyć, że nie oba oczodoły tej małej czaszki z kości słoniowej były puste, jakby można się spodziewać po tym rekwizycie. W lewym oczodole ukryty był mały zamek i dopiero gdy Amos zaczął się rozglądać za złotą gałązką jemioly, wreszcie sobie uświadomił, że znalazł część odpowiedzi. Cokolwiek Kronus ukrył w bezpiecznym miejscu przed swoimi przeciwnikami, musiało być ukryte tam w dole. W podziemnym tunelu, który strzec pokazał mu przed kilkoma tygodniami.

Dlaczegoż od razu o tym nie pomyślał? I gdzie, do diabła, podziała się ta złota gałązka jemioly – klucz otwierający tajemną zapadnię? Być może tam na dole przebywa nawet sam Kronus, śmiertelnie ranny. Tymczasem Amos, zamiast od razu pomyśleć o ratowaniu go, przeszukiwał izbę na chybił trafił tu, u góry.

Dobry Boże, pomyślał, spraw, abym znalazł tę gałązkę jemioly! i żeby ten mechanizm jeszcze działał.

W czasie gdy wznosił do niebios ten akt strzelisty, czołgał się już i szukał po omacku na czarnej od sadzy podłodze. Odsuwał dymiące się kawałki belek na bok, rozdmuchiwał kupki popiołu, potrząsał kruszącymi się stosami papierów, ale tej przeklętej gałązki jemioly nigdzie nie było widać. Szukał we wszystkich kątach i zakamarkach z takim wyteżeniem, że byłby nie usłyszał zbliżających się w jego kierunku od dawnej obory cichych kroków.

I jeszcze w tej samej chwili serce Amosa załomotało tak gwałtownie, jakby lada chwila miało mu pęknąć. Teraz przestało mu stukać zaledwie na pół uderzenia. Kto to mógł być?

Kronus? Nie, ten obcy na zewnątrz poruszał się zbyt tanecznym krokiem – musiał być o wiele młodszym mężczyzną.

Jeden z łowców książek.

Amos rozejrzał się dookoła z panicznym strachem. Co miał teraz począć? Gdzie się ukryć? W pierwszej chwili chciał się zerwać z miejsca i ukryć się w tylnej izbie, ale tam znalazłby się w potrzasku, dopóki łowcy książek włóczyliby się tu z przodu, w izbie. Poza tym wszystko w nim wzbraniało się na myśl, że miałby oddalić się od zapadni, od tajemnego tunelu, gdzie być może przebywał Kronus, czekając na pomoc. Nieprzytomny, można nawet umierający – ale nie, to niemożliwe.

W czasie gdy w głowie kotłowały mu się te myśli, a dochodzące z zewnątrz kroki coraz bardziej się do niego zbliżały, Amos dostrzegł kątem oka złocistą poświatę. Z regału przy lewej ścianie izby ostał się tylko cokół, a z wycierającej spod niego szpary, szczeliny wielkości palca, znajdującej się nad podłogą, połyskiwała ona – gałązka jemioli.

Amos zerwał się z miejsca i jednym susem znalazł się za przewróconym pulpitem. Rzucił się na brzuch przed cokołem regału. Rozłożoną dłoń wsunął pod cokół dokładnie do knykci i poczuł już poślaczoną jemiolę pod koniuszkami palców, ale nie mógł do niej sięgnąć.

Tymczasem mężczyzna nadchodzący ze dworu był już tak blisko, że Amos słyszał już jego kroki na błotnistej ziemi i dyszący oddech. A brzmiało to mniej więcej, jakby nadbiegał pies z wywieszonym jęzorem. I Amos wiedział już, kim jest ten mężczyzna – to musiał być Skythis, ten wyglądający jak wilk mężczyzna z szarą twarzą i burkliwym głosem, z ohydnyimi, podobnymi do łopat, dłońmi.

Amos desperacko wciskał palce głębiej pod cokół – piekielnie go bolało, bo jego kłykcie już i tak były poobdzierane aż do krwi. Ale tysiącrotnie silniejsze od bólu było jego poczucie tryumfu – dosięgnął gałązki jemioli, wyrwał rękę ze szpary i rzucił się przed siebie. Wczołgał się pod pulpit od jego otwartej strony i usiłował uspokoić swój oddech. Do izby wchodził właśnie przez szczątki drzwi Skythis i już po chwili był w środku.

Tak cicho, jak tylko potrafił, Amos wczołgał się głębiej do księgi-chatki. Osłaniała go płyta pulpitu – w każdym razie dopóty, dopóki łowca książek nie brał pod lupę przewróconego mebla od jego otwartej, tylnej strony. Poza tym tam z przodu, na płycie pulpitu, znajdowała się trupia czaszka z kości słoniowej, a Amos mocno trzymał gałązkę jemioli między zębami, czółgając się jednocześnie na czworakach do przodu.

Gdy był już całkiem z przodu przy płycie pulpitu, wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać.



Skythis chodził bez celu po izbie, a oddech miał tak rżący, jakby podczas nabierania powietrza – mamrocząc – rzucał przekleństwami. Między płytą pulpitu a bocznymi ścianami, po lewej i po prawej, znajdowały się szczeliny, które zaczynały się na połowie wysokości i rozszerzały się ku dołowi. Amos opuścił głowę tak nisko, jak to tylko było możliwe, i wypatrywał przez szparę. Łowca książek stał w pełnym świetle południowego słońca, które wpadało do środka z podwórza przez dziurę w drzwiach. Miał na sobie obryzgane błotem buty i szare spodnie, a nad nimi równie szary ubiór. Amos nie mógł dostrzec, co znajdowało się powyżej jego łokci. W prawej ręce mężczyzna trzymał krótki sztylet z ostrzem o ostrych zębach. Za pasem miał przy sobie ponadto krótki miecz, a nawet topór wojenny, którego zębata powierzchnia połyskiwała w świetle słońca.

Łowca książek oddychał, rżąc. Mamrotał przy tym przekleństwa, ale i tak niczego nie można było zrozumieć.

W gardle Amosa czał się krzyk, a on sam czuł, że niedługo będzie potrafił go stłumić. Jeśli Skythis będzie tam dalej stał, niecałe trzy stopy przed nim, między zwęglonymi książkami a czarnymi od sadzy gruzami regalów, to krzyk dobiedzie się z jego krtani i będzie po wszystkim.

Mijały sekundy. Mężczyzna wciąż stał nieruchomo w tym samym miejscu, a Amos słyszał go, obwąchującego niczym pies, który coś wietrzy. I wtedy wreszcie, gdy już myślał, że nie będzie potrafił powstrzymać krzyku ani chwili dłużej, łowca ksiąg splunął, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Amos słyszał jego kroki na miękkim podłożu podwórza i błagał sam siebie, by wytrzymał do momentu, aż podcenzor całkowicie znajdzie się poza zasięgiem jego słuchu.

Ale nie wytrzymał dłużej niż kilka chwil. Wtedy wyczołgał się tyłem spod ogromnej książki, dwoma szybkimi skokami znalazł się przy trupiej czaszce, wbił jej gałązkę jemioly do oczodołu i to w tak niekontrolowany sposób, że mechanizm aż zazgrzytał.

Dobry Boże, a co jeśli złamał mu się teraz jeszcze klucz w zamku!

Obrócił gałąź jemioly tak ostrożnie, na ile umożliwiało mu to tylko jego trzęsąca się ręka. Pod dachem księgi zaczęło skrzypieć i pischceć, a Amosowi znów omal stanęło serce. Jednak już w następnej chwili zrozumiał. Pulpit runął przodem na ziemię, a więc płyta w podłodze znajdowała się teraz pod dachem utworzonym z tej półotwartej księgi. W czasie gdy znowu biegał dookoła tego mebla i wpełznął przez tylny otwór, nagle przyszło mu na myśl, że Kronus chyba rozmyślnie wszystko tak urządził. Nieprzypadkowo pulpityt przewrócił się właśnie w taki sposób, że luka w podłodze pozostawała w ukryciu przed spojrzzeniami, nawet wtedy, gdy była już otwarta.

Amos ześlizgnął się na dół stopami do przodu. Ruchoma płyta w podłodze przesuwiała się

jeszcze powoli w głąb, i gdyby nie ten szarpiący nerwy pisk mechanizmu, Amos być może nawet podelektowałby się tą chwilą. Przechytrzył łowcę książek, a przede wszystkim odgadł, czego od niego oczekiwał Kronus i wykonał tę pierwszą część swojego zadania.

Wtedy dotarł na samo dno, a pisk ucichł za jednym zamachem. I pośród tej nagłej ciszy Amos usłyszał, że Skythis wrócił do izby na górze. W pośpiechu chodził między zgliszciami i wyrzucał z siebie burkliwym głosem dźwięki, które brzmiały mniej więcej jak: „Już ja cię dorwę!”.

## 10

TU NA DOLE, W TUNELU, było prawie tak ciemno jak w grobie. Tylko dwie cienkie smugi światła sączyły się do szybu przez szczelinę. Amos zszedł z płyty podłogowej tak ostrożnie, jak to tylko było możliwe, gdyż nie chciał wydobyć dalszego pisku z mechanizmu. Na palcach wszedł dalej do skalnego tunelu i już po kilku chwilach ogarnęła go zupełna ciemność. Po omacku badał teren rękami i nogami. Bał się, że Kronus leży gdzieś w tym mroku i że mógłby na niego niechcący nadepnąć. Jednak w tunelu nie było najwidoczniej nikogo i niczego, poza chłodnym, zatechłym i wilgotnym powietrzem.

Amos przyspieszył kroku, na ile było to możliwe w tej ciemności. Z każdym krokiem było coraz chłodniej i ciszej. Już wkrótce słyszał tylko echo swoich podeszew i swojego własnego oddechu. O ile łowca książek wciąż krzątał się tam w górze, wydawało się, że nie dostrzegł dziury w podłodze pod pulpitem – przynajmniej na razie.

Tajny korytarz był o wiele dłuższy, niż wynikałoby to ze wspomnień Amosa. Już dawno musiał zostawić za sobą podwórze, oborę – czy to coś, co pozostało w miejscu dawnej, drewnianej budowli. Dalej tunel prowadził pod potokiem Gründleinsbach – w każdym razie tak utrzymywał Kronus, pokazując mu na dowód krople, które ściekały tam po ścianach.

Pomacał ściany i poczuł pod swoimi palcami wilgoć pleśni. Również ziemia zdawała się śliska od wilgoci, jakby była pokryta mchem i błotem. A więc wszystko było takie, jak być powinno. A tam z przodu dostrzegł teraz plamkę bladego światła, która z każdym krokiem stawała się coraz większa i jaśniejsza. Musiało to być wyjście, które pokazał mu wtedy Kronus – pionowy szyb skalny z prostą drabiną sznurową, prowadzący z powrotem na powierzchnię ziemi w lesie, za pastwiskiem dla koni.

Daleko za nim, w korytarzu skalnym, rozległo się głucho uderzenie. Po chwili mechanizm podnoszący i opuszczający zapadnię zaczął piszczeć. Amos wzdrygnął się z przerażenia. Mogło to oznaczać tylko jedną rzecz – łowca książek znalazł lukę i wskoczył do tunelu.

Zaczął biec. Jasna plamka przed nim zaczęła rosnąć i przemieniła się w kolumnę mdłego

światła dziennego. Lina z węzłami, które służyły tu za schody, zwisała w samym środku kolumny światła. Nie rzucając spojrzenia za siebie, Amos skoczył z całej siły w górę, chwycił linę i wspinał się tak szybko, jak tylko potrafił, po drabinie sznurowej. Węzeł za węzłem piał się w górę i odchyłał przy tym raz za razem głowę do tyłu, by oszacować, ile mu jeszcze zostało liny do pokonania. Ujście szybu u góry było najwidoczniej zamknięte żelazną płytą, w której roilo się wręcz od dziur przeżartych rdzą.

Od wyjścia dzieliło go jeszcze dziesięć stóp lub tyle samo węzłów, gdy usłyszał w tunelu kroki zbliżającego się w jego stronę łowcy książek. Ale teraz Amos nie czuł się już tak bezbronny jak przed chwilą, gdy Skythis pojawił się w izbie Kronusa. W walce na miecz i lancę, lub też w zapasach, nie był z pewnością dobrym zawodnikiem, ale jeśli chodzi o wspinanie się lub bieganie, trudno mu było dorównać. Poza tym odkrył jakiś tobołek, który leżał w zagłębieniu skalnym kilka stóp pod wyjściem, i natychmiast poczuł, że paczka była przeznaczona dla niego.

Gdy dotarł do wnęki w skale, oddychał nieznacznie szybciej niż zazwyczaj. Jedną ręką chwycił najwidoczniej solidnie wypełniony tobołek, przerzucił go sobie przez ramię i chciał już wspiąć się dalej. Ale wtedy odkrył książkę.

Leżała pod tobołkiem na gzymsie skały. W pierwszej chwili Amos wcale nie zorientował się, że chodzi o książkę. Małe zwierzę, pomyślał, z połyskującą, czarną sierścią, z którego widać było tylko płaski pysk i szereg połyskujących białą zębów.

Gdy jednak sięgnął po odkrytą rzecz, od razu wiedział, że nie było to jakieś tam pismo, lecz ta księga, jak Kronus czasem nazywał po prostu dzido swego życia. Był to cienki tom, oprawiony w miękką, połyskującą czernią skórę, który wyglądał jak wyczesany królik. I takie też wrażenie sprawiał w dotyku, gdy Amos przejechał po nim palcami, jeszcze zanim otworzył książkę i przeczytał na stronie tytułowej:

## *KSIĘGA DUCHÓW*

Autor: Valentin Kronus

Było to wyraźne i równe pismo starego mężczyzny i gdy Amos przeleciał wzrokiem obie linijki, poczuł, jakby w końcu znalazł się w domu. Dopiero później zauważył maleńki skrawek papieru, który Kronus wsunął między okładkę a stronę tytułową książki, i który najwidoczniej w pośpiechu zapisał ściśniętymi literami:

A. v. H.

*Będziesz wiedział, dla kogo jest to przeznaczone.*

*Zanieś mu to, a zyskasz nieśmiertelność.*

V. K.

– Będziesz wiedział. – Amos doznał błyskawicznego olśnienia, po którym stało się dla niego jasne, jak należy interpretować te słowa. Aby dowiedzieć się, komu ma dostarczyć *Księgę duchów*, będzie musiał przeczytać drugą opowieść i wzbudzić w sobie dar czytania w myślach. Dopiero wtedy Kronus będzie mógł przekazać mu w magiczny sposób, jaki powinien uczynić następny krok.

A może Kronus poinstruował go po prostu, by zawiózł książkę tamtemu drukarzowi Hebedankowi do Norymbergi? Nie, nie wydawało mu się – poza tym nie był to naprawdę najlepszy moment na snucie takich rozważań. Wciąż jeszcze wisiał na powrozie z supłami, a w odległości dziesięciu stóp pod nim z tunelu wychodził właśnie łowca książek. Amos wsunął sobie w pośpiechu cienką książeczkę pod ubranie, wspiał się po ostatnim odcinku liny do góry i energicznym ruchem odsunął na bok żelazną płytę. Na szczęście płyta u góry leżała luzem na szybie, odepchnięta potoczyła się porośniętym mchem zboczem, aby zatrzymać się na leśnym podszyciu.

Amos wyskoczył na zewnątrz i w ostatnim momencie szybko się odwrócił. Łowca książek właśnie uniósł dłonie, by chwycić nimi za linę i wspiąć się po niej za nim. Wtedy Amos pochylił się nad szybem i porwał powróż z supłami do siebie w górę. Podcenzor w dole aż zawył ze złości. Odchylił głowę do tyłu i krzychał niezrozumiałe słowa do Amosa w górę. Jednocześnie powiodł prawą ręką w stronę pasa, a po chwili w szybie ku górze powirowało coś groźnie się błyszczącego.

Topór wojenny!

Amos rzucił się do tyłu i upadł plecami na leśny grunt. Usłyszał, jak topór gwałtownie uderzył w ścianę szybu, a po chwili upadł z dźwiękiem na dół. Topory wojenne były straszliwą bronią. Amos już nie raz widział na zamku stryja, jak jeden lub kilku spośród ludzi Höttschego wracali z wyprawy wojennej z ciężkimi ranami. Najokropniejsze rany prawie zawsze powstawały od ciosów zadawanych toporami wojennymi. Swoimi zębatymi ostrzami głęboko się wbijały w niechronione części ciała. I nieważne, jak bardzo ostrożnie je wyciągano – zawsze wrywano nimi duże kawałki mięsa.

Później, gdy się nad tym zastanowił, zrobiło mu się trochę niedobrze. Łowca książek rzeczywiście rzucił w jego stronę toporem wojennym. I dopiero w chwili, gdy Amos leżał na spadzistym poszyciu leśnym, znajdując się kilka kroków w głębi jodłowego lasu za pastwiskiem Kronusa – dopiero wtedy stało się dla niego jasne, że sam jest teraz ofiarą, którą upatrzili sobie łowcy książek i na którą będą od tej pory polować. Chcieli zdobyć jego samego i *Księgę duchów*, którą powierzył mu Kronus.

Słońce znów stało wysoko nad drzewami, oplatając wszystko dookoła swoimi sieciami z drżącego światła. Drzewa, krzaki i jego samego, jego dłonie, które trzymał teraz nad sobą w powietrzu, dzierżąc w nich *Księgę duchów*.

Właściwie dawno już powinien ruszyć i pobiec dalej przed siebie, by ukryć się w jakimś bezpiecznym miejscu – gdzieś głęboko w trudnym do pokonania lesie. Ale na myśl, że teraz to on ma być ofiarą, na którą polują łowcy książek, z wszechogarniającego strachu zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze. Nerwowo wertował manuskrypt o oprawie z czesanej króliczej skóry, nie mógł jednak znaleźć włożonej do środka przez Kronusa kartki. Co mu napisał stary mężczyzna? Amos zmrużył oczy i usiłował sobie przypomnieć. Na pewno Kronus przekazał mu wraz z tymi słowami jeszcze jedną tajną wiadomość. Ale dokładne brzmienie wiadomości nie chciało mu już przyjść do głowy, a kartkę najwidoczniej zgubił.

Potrzebował jeszcze kilku dodatkowych, kosztownych chwil, by zdusić narastający w nim paniczny strach. Ale w końcu jego oddech się uspokoił, a szумы w głowie ustąpiły. Teraz znów zobaczył przed oczyma swej duszy to, co Kronus napisał na tamtej kartce: *Będziesz wiedział*. Słowa te dotyczyły wyłącznie jego, Amosa von Höhensteina. Natomiast łowca książek nigdy się nie dowie, *dla kogo jest to przeznaczone*. Ta myśl tak bardzo pokrzepiła wewnętrznie Amosa, że znów mógł spojrzeć w górę. Nawet jeśli Skythis odnajdzie karteczkę, to nic mu to nie da. A zanim łowca książek uwolni się z tunelu, on sam zdaży się już zaszyć głęboko w trudnej do pokonania gęstwinie.

Przez krótką chwilę badał jeszcze tobolek, który zapakował dla niego Kronus. Zawierał świeże ubrania, świeczki i zapalki, kilka kartek papieru wraz z ołówkiem węglowym, a nawet paczkę z prowiantem, który przepysznie zapachniał, gdy Amos rozwinął nieco natłuszczony papier – ser, chleb i kilka pokrojonych na kawałki wędzonych pstrągów. Szybko znów wszystko zapakował. Najpierw musiał znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, gdzieś daleko w gąszczu.

Jednak wędzony pstrąg już nieco go pokrzepił, nawet jeśli nie zjadł jeszcze ani kawałka. Przypomniwał mu o rozmowie z Kronusem, gdy razem spożywali wędzoną rybę.

– Czytelnicy, tacy jak ty i ja – powiedział starzec, lekko się uśmiechając – zanurzają się w opowieści i pływają w niej niczym pstrągi tam w strumieniu pod młynem. Tymczasem łowcy książek są jak martwe pstrągi: nawet jeśli wrzucisz je z powrotem do potoku, nigdy już nie będą potrafiły w nim pływać.

Nie, panie, pomyślał Amos i wyszczerzył się, z pewnością nie będą potrafiłi. Zasznurował wypchany tobolek, zarzucił go sobie na plecy i wsunął *Księgę duchów* za pas. Już chciał pobiec przed siebie, gdy jego spojrzenie jeszcze raz skupiło się na otworze w leśnym gruncie. Drabina sznurowa, którą w ostatniej chwili wyrwał z łap tamtemu człowiekowi o wilczym wyglądzie, leżała zwinięta w pętelkę wokół wejścia we mchu. Nie zastanawiając się zbyt długo, Amos kucnął obok otworu w ziemi, wyciągnął nóż i odciął powróż od żelaznej obejmy, do której był przywiązany u ujścia skalnego szybu.

Idąc, zwinął linę i ją też chciał sobie zarzucić na plecy, ale wtedy ujrzał kątem oka istotę o niewyraźnych kształtach. Kucnęła pod drzewem dwa kroki po prawej stronie. Wałęsający się pies, pomyślał w przyływie pierwszego przerażenia. Wtedy stworzenie wykonało susa i pobiegło w jego stronę. Był to człowiek, który biegł jednak pochylony głęboko do przodu, utykając na jedną nogę. Dysząc, wyrzucał z siebie burkliwe dźwięki, i zanim jeszcze Amos zdążył zareagować, ten drugi chwycił go za szyję i powalił na ziemię.

To ten chudy chłopak, który groził Odzie nożem, sprawiał jednak wrażenie strasznie odmienionego. Piana toczyła mu się z ust, twarz miał wykrzywioną, a jego oczy były zwięzione do wąskich szparek, z których dobywał się żółtawy błysk. Amos jął szarpać za jego nadgarstki, ale chłopak – nawet jeśli wątłego wyglądu – zamykał swoje dłonie na jego szyi w żelaznym uścisku.

– Ty diable – wysapał chłopak, a potem zaskrzeczał piskliwym głosem: – Pomocy, panie, złapałem tego Szatana!

Amos stracił przytomność. Jednak trwało to tylko przez kilka krótkich chwil, bo gdy znów doszedł do siebie, wciąż jeszcze wzajemnie się mocowali, dysząc. Ale ten drugi zdawał się już o nim zupełnie zapomnieć. W rękach trzymał otwartą książkę, a w czasie gdy poruszał wargami w rytm czytanych słów, na jego twarzy malował się wręcz błogi uśmiech. Amos usłyszał, jak szepce:

– *Lustro zaszło parą od jego oddechu, a gdy Laurencjusz chciał wypolerować je dłonią, wpadł w nie ręką aż po ramię, jakby ją wsadził do wiadra wypełnionego wodą.*

Amos rzucił się na niego. Gardło paliło go od uścisku tego chłopaka, który najwyraźniej postradał zmysły. Raz krzyczał „pomocy, diabeł”, po czym znów czytał z błogim uśmiechem na twarzy tę rzekomo diabelską książkę. Najpierw groził Odzie nożem, by Amos nie mógł się dalej spuszczać na linie z wieży – i zaraz potem spowodował, że lina zniknęła, tak aby oficer Cellariego nie zorientował się w próbie ucieczki. Jak to wszystko ze sobą powiązać?

Wskutek zderzenia chłopak upadł tyłem na ziemię. Amos usiadł na nim i wyrwał mu z ręki *Księgę duchów*. Książka wyglądała już na mocno sfatygowaną – okładka była poplamiona, kilka kartek wypadło z niej do połowy, miała pozaginane rogi. Ale liczyło się tylko to, że udało mu się odzyskać książkę. A teraz w nogi! Zanim jeszcze nadbiegnie Skythis, zwabiony wołaniem o pomoc chudego chłopaka.

Zerwał się z miejsca, zgarnął tobolek i linę, zarzucając sobie wszystko na plecy. Tymczasem chłopak znów zdołał stanąć na nogi i jął już skakać za nim niczym konik polny. Amos wziął nogi za pas. Jednak już po kilku krokach przestał biec i odwrócił się zdziwiony.

Chłopak wydał z siebie okrzyk i przewrócił się na ziemię, jakby nadział się – pędząc – na czyjąś pięść. Leżał teraz na brzuchu, z jedną nogą wyciągniętą wzdłuż, a drugą podwiniętą jak do skoku. Amos zauważył z całkowitym zdumieniem, że chłopak był uwiązany wokół kostki u lewej nogi do drzewa, przed którym wcześniej kuczał.

Jak pies, pomyślał Amos, w tej samej chwili, gdy po drugiej stronie przez most przebiegł właśnie z tupotem Skythis. Z *Księgą duchów* w ręce rzucił się do ucieczki. Biegł, ile sił w nogach, przez zarośla i poszycie, zanurzając się coraz głębiej i głębiej w gąszczu.



# ROZDZIAŁ VI

# 1

AMOS BIEGŁ, POTYKAŁ SIĘ, dochodził do siebie i pędził dalej. Dyszał, a pot lał mu się po prostu z włosów. Oprawa książki, którą trzymał w ręku, była taka ciepła w dotyku, jakby zrobiono ją z sierści żywego, czarnego królika. Od czasu do czasu musiał zwolnić nieco kroku, bo albo brakowało mu tchu, albo gęszcz stawał się niemożliwy do przebrnięcia. Ale ledwo jego oddech zdążył się nieco uspokoić, a poszycie pod jego stopami nieco przerzedzić, a już znowu przyspieszał. Wtedy tobolek znów podskakiwał na jego plecach, jakby to Kronus we własnej osobie poklepywał go po nich za każdym sprężystym susem.

Był śmiertelnie przerażony, z drugiej strony uwielbiał biegać, i oba te uczucia gnały go przed siebie. Pędził jak szalony na przełaj przez wąwóz i zarośla, po pniach powalonych drzew oraz odłamkach skalnych wielkich jak czaszka Höttsego.

Usiłował nie myśleć o martwych w palatium. A już pod żadnym pozorem nie wolno mu było myśleć o łowcach książek. Za każdym razem, gdy tylko na maleńką chwilę zamykał oczy, widział przed sobą Skythisa i jego topór wojenny wirujący w szybie ku górze. Starał się nie myśleć również o tym chudym chłopaku, jak się rzucił na niego, burcząc, i jak wyrwał mu *Księgę duchów* z ręki.

Musiał biec, tylko to się teraz liczyło, i tak biegł krok za krokiem, pokonując milę za milą, szybciej i z większą wytrzymałością niż Skythis i chudy chłopak, którzy deptali mu po piętach, by upolować go niczym zająca – jego oraz oprawioną w króliczą skórę książkę, którą trzymał w ręku.

W lesie panował mrok, nawet o najjaśniejszej porze dnia. Amos biegł przed siebie między prastarymi drzewami, wyższymi jeszcze od wież kościelnych w Norymberdze, i wąwozami tak stromymi, że na samą myśl o nich włos jeżył się na głowie. Przez puszcę ciągnęły się ciernie kolczaste wysokości człowieka, wszędzie leżały rozsypane pnie powalonych drzew. Bagienne pola wabiły wędrowca żółtymi wyspami kwiatów, pod którymi czała się, bulgocąc leniwie, zguba. Później znowuż przemierzał gaje z kwitnącymi ostami, które swoimi ostrymi jak brzytwa

liśćmi rozszarpywały wszystko, co ośmieliło się do nich zbliżyć. Na jego drodze znajdowały się też krzaki, uginające się pod ciężarem jaskrawoczerwonych jagód, które wyglądały soczyście jak wiśnie i pachniały tak wyśmienicie jak maliny. Jeśli jednak ktoś dał się im zwieść i rozgniół choćby jedną taką jagodę między językiem a podniebieniem, to było już po nim. Jak chory na płasawicę, drżąc na całym ciele, z pianą na ustach i wywróconymi oczami, tak że widać już było tylko białka – tak spędzał swoje ostatnie, straszliwe chwile nieszczęśnik, skręcany w środku przez truciznę, aż padał miotany spazmatycznymi konwulsjami na ziemię, wydając ostatnie tchnienie. Tak przynajmniej opowiadał mu raz ojciec, okraszając swoją opowieść wieloma potwornymi szczegółami. I wszystkie te opisy przyszły Amosowi na myśl w chwili, gdy przechodził obok wysoko piętrzących się krzaków gęsto obrośniętych śmiercionośnymi jagodami.

W puszczy czaiło się wiele śmiertelnych niebezpieczeństw, jednak gąszcz był nie do przebycia jedynie dla niewprawnego oka. Zazwyczaj Amos podążał za jedną z tych wąziutkich wydeptanych ścieżek, które – niczym ledwo dostrzegalna sieć – pokrywały lasy między Kirchenlamitz i Wunsiedel. Tymi ścieżkami ciągnęły lisy i rysie, dzikie psy, a niekiedy również wilki. Już jako mały chłopiec, miał wtedy sześć, może siedem lat, Amos często chodził z ojcem po lasach. Ferdinand von Höhenstein nauczył go, jak rozróżniać tropy niedźwiedzia i wilka, kota i rysia, a także, jak rozpoznawać ślady, które pozostawia po sobie w gąszczu człowiek, ale to ostatnie zadanie było łatwe: „Tylko dziki zostawiają po sobie jeszcze gorsze przesieki”, tak brzmiała jedna z nauk pobranych u ojca. Według innej, „zwierzęta – podobnie jak ludzie – mają dusze, i nieważne, że księża mówią co innego”. Gdy ojciec wygłaszał w domu takie mądrości, matka zaczynała się niepokoić i błagała go, by darował dzieciom te swoje „pogańskie zaklęcia”.

Dziwne, jak wiele takich wspomnień ożywało w Amosie, w czasie gdy niestrudzenie biegł przed siebie. Jak pęcherzyki powietrza w świeżej wodzie, tak wynurzały się w nim, perląc, sceny i obrazy z odległej przeszłości. Miał teraz całkiem równy oddech. Jego nogi – jakby same – odnajdowały pewny krok. Mimo że ostatniej nocy nie spał wcale, czuł się rześki i silny.

Był zaprawiony w chodzeniu i wspinaniu się. I dopóki pozostawał w lesie, miał oczywistą przewagę nad łowcami – nad podcenzorem Skythisem, który bynajmniej nie był jeszcze stary ani słaby, ale zdecydowanie pewniej czuł się w mieście. I nad jego pomocnikiem, który był chorobliwie wychudzony i ciągnął za sobą nogę, i w którego sercu gnieździła się ta straszna bestia – pożeracz światła, demon o podstępnych, żółtych oczach.

Ale wołał o tym nie myśleć. Nie wsłuchiwać się w siebie, a już na pewno nie otwierać

swego serca, bo dopóki tego nie czynił, dopóty pożeracz światła nie mógł go odnaleźć. Musiał biec, po prostu ciągle biec przed siebie, bo wtedy łowcy ksiązek nigdy go nie dogonią.

Mimo to Amos bardzo się martwił. Od kilku godzin pędził przez las, cały czas mniej więcej w kierunku południowym, w stronę Wunsiedel. Gnało go w tamtą stronę z taką siłą, jakby coś pociągało nim za sznurki do przodu – do Klary, dziewczyny o zielonych oczach, której amulet nosił na szyi. Wszystko w nim ponaglało go, by pobiegł prosto do niej. Chciał ją odwiedzić w przytułku dla sierot, opowiedzieć jej o śmierci Ody, zapytać ją, jak znalazła się w posiadaniu amuletu – srebrnego trójkąta z wilczookiem w środku, który wyglądał tak, jakby wycięto go z herbu rodu Höhensteinów. Mogliby stać się sprzymierzeńcami, a wtedy on nie czułby się już tak zupełnie osamotniony w walce z całym zastępami łowców ksiązek i wojowników na usługach Kościoła.

Ale nie wolno mu było do niej iść. Skythis na pewno zaalarmował już urzędnika, margrabiego Conntza Rabensteiner. Jeśli Amos pokaże się na drodze, w obrębie murów Wunsiedel lub nawet w Kirchenlamitz, to schwytają go w mgnieniu oka i wtrącają do więzienia. Tam przejęliby go łowcy ksiązek i zawieźli swym żelaznym wozem do Norymbergi, a jeśli raz znalazłby się w tamtejszym więzieniu, nigdy już by nie ujrzał światła dziennego. I co gorsza, w ich ręce dostałaby się także *Księga duchów* – w te potwornie bezkształtne, przypominające łopaty ręce podcenzora o wilczym wyglądzie, który podarłby ją na strzępy, tak jak wilk rozszarpuje zębami na kawałki upolowanego królika.

Nie mógł o tym myśleć. Nic takiego się nie wydarzy. Nie pójdzie do Wunsiedel – przynajmniej na razie. Najpierw musiał uczynić to, co zlecił mu do wykonania Kronus: *Będiesz wiedział, dla kogo jest to przeznaczone*. Oznaczało to, że jak najszybciej musi znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, bo tylko w takim pewnym schronieniu będzie mógł przeczytać drugą opowieść z *Księgi duchów* – *O kobiecie, co mieszkała w studni*. I dopiero gdy już ją przeczyta i całkowicie w siebie wchłonie, obudzi się w nim dar magii myśli. A wtedy będzie mógł się dowiedzieć, komu ma przekazać *Księgę duchów*. Ale gdzie ten bezcenny manuskrypt i on sam byliby bezpieczni?

Amos biegł, bez przerwy się przy tym zastanawiając, jak mógłby wypełnić swoje zadanie. Im dłużej nad tym myślał, tym trudniejsze i niebezpieczniejsze wydawało mu się to przedsięwzięcie. Potrzebował naprawdę bezpiecznego schronienia, miejsca, gdzie nikt by go nie znalazł i gdzie łowcy ksiązek nie mogliby go pokonać, nawet jeśli – wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu – udałoby im się go wytropić. Potrzebował co najmniej jednego dnia

całkowitego spokoju. Gdy po raz pierwszy czytał opowieść *O rycerzu, co znalazł swoją ukochaną za lustrem*, na wiele godzin dosłownie wypadł z tego świata i tej rzeczywistości. Całkowicie przeistoczył się w młodego rycerza Laurencjusza Answera, żył już wyłącznie w jego świecie, widział i odczuwał tylko to, co widział i odczuwał właśnie Wawrzyniec. I możliwe, że wyrwałoby go znowu z tego świata na znacznie dłużej, gdy zacząłby czytać opowieść *O kobiecie, co mieszkała w studni*. Tak czy owak, chodziło tylko o to, by zdobyć następny w kolejności, wyższy stopień wtajemniczenia, a widać było jak na dłoni, że potrzeba na to więcej czasu – być może dwa razy więcej, niż miało to miejsce w przypadku pierwszego stopnia, którego opanowanie zajęło mu cały dzień.

Cały, ciągnący się w nieskończoność dzień, od świtu aż do zmierzchu. Gdy wyobrażał to sobie tylko z grubsza, dopadła go panika, zawroty głowy i spazmy niedającego się opanować strachu. Dziesięć godzin, a może więcej, będzie musiał spędzić w magicznym stanie gorączkowego czytania i nie będzie mógł postrzegać niczego z tego, co właśnie będzie się działo w tym świecie i tej rzeczywistości. Jeśli łowcom ksiązek uda się tymczasem odkryć jego kryjówkę, to będzie bezbronny jak sarna drzemiąca w szczerym polu. Nawet nie zauważyłby, że się do niego zbliżają. Dopiero w chwili gdy wyjęliby mu książkę z rąk, zostałby brutalnie sprowadzony z powrotem do tego świata i przekonałby się, że go okpiono. Jednak do tego nie mogło dojść w żadnym razie.

Amos pędził i jednocześnie zastanawiał się z rosnącą rozpaczą, gdzie też mógłby się zaszyć, by przez jeden dzień być zupełnie bezpiecznym. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że powinien jednak pójść do Klary, a ona z pewnością będzie знаła taki zakątek w przytułku dla sierot w Wunsiedel, w piwnicy lub na strychu, gdzie raczej nie rzucałby się w oczy. Ale ten głos nie miał racji, nawet jeśli Amos chętnie by mu uwierzył. Zanim zdołałby znaleźć przytułek Klary w Wunsiedel, jeden ze strażników miejskich złapałby go w swoje ręce.

Nader pociągający był także pomysł, żeby po prostu wrócić do domu – do doliny nieopodal Wunsiedel, gdzie niegdyś stał dom jego ojca, zanim został doszczętnie spalony przez Höttschego i jego ludzi. Ale także ruiny i zgliszcza domu jego dzieciństwa będą musiały na niego poczekać. Co prawda, już teraz przeczuwał, że ukryto tam coś, co pomogłoby mu rozwiązać całe to zamieszanie narosłe wokół tych wszystkich zagadek i tajemnic. Jednak pilniejszą sprawą było teraz znalezienie naprawdę bezpiecznego schronienia. Na dzień lub na dłużej. By wzbudzić w sobie dar magii myśli, dzięki któremu będzie mógł dowiedzieć się, dokąd ma zanieść zakazaną księgę.

Stopniowo nogi Amosa robiły się coraz cięższe. Częściej myślał o prowiancie, który Kronus zapakował mu na drogę. Poza tym już od wielu godzin nie miał ani kropli w ustach i czuł się teraz tak wysuszony, jak ten uwędzony pstrąg w jego tobołku.

Ryba znów przypomniła mu o tamtym śniadaniu z Kronusem.

– Łowcy książek są jak martwe ryby – powiedział stary mężczyzna. – Nawet jeśli wrzucisz je z powrotem do potoku, nigdy już nie będą potrafiły w nim pływać. – Amos wyszczerzył się, na krótki czas rozwiały się cały jego strach i wszystkie zmartwienia. Nie miał przecież żadnego powodu, by tak bardzo obawiać się tego człowieka o wilczym wyglądzie i jego kuśtykającego pomocnika. Potrafił biegać szybciej i wytrwałej od swoich prześladowców – więc jak chcą go wytropić tutaj, na zewnątrz?

Przez krótką chwilę przyszedł mu na myśl mężczyzna o budzącym strach wyglądzie, który powoził żelaznym wozem. Najwidoczniej i on należał do łowców książek, ale wszystko wskazywało na to, że nie brał udziału w tej pogoni. A może Skythis wysłał go do Wunsiedel, by stamtąd odciął Amosowi drogę, jak na polowaniu z nagonką? Z tą swoją szmacianą maską i kraterowatą raną pod skronią, woźnica wyglądał prawie jak jakiś potwór z legend lub koszmarów. Jak jedna z tych opancerzonych, olbrzymich jaszczurek, którą Kronus pokazał mu kiedyś w *Weldchronik* (Kronice świata) Schedla, w tym ogromnym drukowanym dziele, które przedstawiało kompletną historię świata i zawierało mnóstwo ilustracji.

To, że pędzi teraz prosto w stronę mężczyzny ze szmacianym pancerzem, wydało mu się jednak niemożliwe. Bo skąd niby łowcy książek mieli wiedzieć, w jakim kierunku się zwróci? Nie, o to nie musiał się martwić – puszcza tutaj w Smreczanach była tak rozległa, że nawet cztery tuziny purpurowych wojowników Cellariego nie wystarczyłyby, by wytropić jednego tylko uciekiniera. A co dopiero zbiega, który od swych dziecięcych lat był tak dobrze obeznany z lasami, jak Amos von Höhenstein.

Było w tym coś dla niego pocieszającego, gdy sam nazywał siebie pełnym imieniem i nazwiskiem. A jako dowód na to, że szlachetnie urodzonemu z rodu Höhensteinów wszystko przychodzi z łatwością i że los mu sprzyja, ścieżka doprowadziła go zaledwie kilka chwil później do polany z małym, prawie kolistym jeziorem. Było to urokliwe miejsce, które od razu przypadło Amosowi do gustu – zarośla trzciny i sitowia oplatały wodę, łagodny wiatr wachlował gałęziami, a słońce tworzyło mozaikę światła i cieni na zielonej tafli wody jeziora. Amos postanowił tu zostać – przynajmniej na odpoczynek, być może także na noc, a nawet jeszcze dłużej, w razie gdyby udało mu się znaleźć w pobliżu bezpieczne schronienie. Bo dzień znów chylił się ku

końcowi, a on pokonał dwadzieścia mil, od czasu gdy wyszedł ze skalnego szybu i zaczął uciekać na łeb, na szyję.

A zatem na pewno zostawił łowców książek daleko w tyle.

NICZYM PIES ŚWIĘTEGO HUBERTA, który wpadł na trop, z taką zawziętością Hannes ciągnął za sobą podcenzora. Skythis obwiązał mu powrozem tułów pod pachami.

– To tylko dla twego własnego dobra, żebyś wytropił naszą zdobycz, nie skażając się przy tym jeszcze bardziej tą trucizną. – Tak Skythis objaśnił mu swoje postępowanie, a część Hannesa kochała Skythisa za tę jego opiekuńczość. Natomiast inna jego część nienawidziła powrozu tak samo jak mężczyzny, który go obwiązał, a drugą końcówkę liny trzymał oplecioną w bezkształtnej dłoni. I ta jego druga część stawała się z każdą chwilą coraz silniejsza, tak jak utykanie Hannesa zdawało się nieco zanikać z każdym krokiem.

Biegł naprzód, podskakiwał, zataczał się i znów dochodził do siebie.

– Tylko nie tak gwałtownie – zaburczało za nim, ale Hannes coraz mniej zważał na słowa Skythisa. Koniecznie musiał znów znaleźć się w posiadaniu tej diabelskiej książki, i to możliwie jak najszybciej. Wydawało mu się, że pęknie, że rozprysnie się na tysiące kawałków, jeśli zaraz nie dostanie tego piekielnie cudownego pisma w swoje ręce. I tym razem – bez chwili wahania – pochłonie ją w całości.

Pędząc i podskakując, Hannes bez przerwy wyszeptywał pod nosem poszczególne strzępki zdań, a nawet całe zdania z *Księgi duchów*.

*– Noc dawno już nastala... szlachetna pani, podaruj mi... że stojące obok niego lustro przedstawiało jego ukochaną... Lustro zaszło parą od jego oddechu... wpadł w nie całą ręką aż po ramę, jakby ją wsadził do wiadra wypełnionego wodą.*

Aż do tego miejsca czytał przed chwilą w pośpiechu, gdy ten przeklęty mały diabeł książkowy znów wyrwał mu z rąk pismo i uciekł. Gdyby Skythis nie uwiązał go wcześniej do drzewa, jak podwórzowego psa, to w okamgnieniu pobiegłby za tym małym diabłem i już dawno



zagarnąłby dla siebie książkę o duchach.

– Wolniej, Hannes, jeszcze sobie złamiesz kark. – Podcenzor oddychał, sapiąc. W rzeczywistości nie obawiał się jednak o kark swojego pomocnika, lecz wyłącznie o swoją rangę dowódcy polowania.

– Rozwiążcie supeł, panie – odparł Hannes przez ramię – a ja w mig przyniosę wam tę diabelską książkę.

Zamiast odpowiedzieć, Skythis tak mocno pociągnął za powróż, że Hannes przewrócił się do tyłu. Podcenzor kucnął obok niego w poszyciu lasu i najpierw tylko oddychał, wciąż sapiąc. Hannes zobaczył krople śliny, które przyskały na niego w dół z na wpół otwartych ust podcenzora, nie odwrócił jednak wzroku.

– A co byś poczył z tą książką, gdyby twemu życzeniu stało się zadość?

– Przyniosłbym ją wam, panie, możliwie najkrótszą drogą – odpowiedział Hannes bez mrugnięcia okiem, i w tym momencie szczerze wierzył w to, że tak właśnie by zrobił. – Nie zajrzałbym do środka, by nie skalać mojej duszy demonicznymi truciznami, przysięgam na moje zbawienie. – To ta inna część Hannesa przemawiała teraz przez niego, a spojrzenie Skythisa zdradzało, że nie wierzył swojemu pomocnikowi.

– Twoja własna wola jest już za bardzo osłabiona – wyrzucił z siebie. – Z każdą godziną demony opanowują cię coraz bardziej. Wykorzystamy to. Ale ty dla swojego własnego dobra musisz pozostać spętany. – Podniósł się i pociągnął ze sobą w górę Hannesa uwiązanego na powrozie.

Ledwo Hannes stanął na nogach, a już znowu zaczął pędzić. Opuścił powieki i poczuł, jak jego oczy wywracają się do środka. Zamiast swojego rzeczywistego otoczenia z jego nużącą monotonią, na którą składały się drzewa, zarośla i leśne poszycie, ujrzał pachnący kielich kwiatowy, w który najchętniej by się wtulił, zaraz po chwili lśniący kielich z kryształu, który chciał wypić, a tylko mgnienie oka później śliczną, młodą kobietę, którą chciał objąć oraz ucałować. Jedna jego część krzyczała, że to tylko demoniczne omamy rodem z szatańskiej książki, ale tej drugiej części było to zupełnie obojętne. Prawie umierał z tęsknoty i pożądania, nie mogąc się doczekać, by wreszcie zagarnąć dla siebie wszystkie te kosztowności. Jednak te ciągle się unosiły siedem kroków przed nim, tak że nie mógł do nich podejść wystarczająco blisko, niezależnie od tego, jak szybko pędził w ich stronę, ciągnąc ze sobą podcenzora.

Ledwie do niego docierało, że Skythis szarpał nim na powrozie w tę i we w tę, że potykał się o odłamki skalne, uderzał o pnie drzew, przedzierał się przez zarośla, że runął do wąwozu i że

na krótką chwilę udało mu się nawet uwolnić. Jednak zanim Hannes doszedł jako tako do siebie, podcenzor znów go dogonił i uwiązał na powrozie, miotając w jego stronę zdyszonym głosem przekleństwa.

Ale im dłużej trwała ta dzika pogoń, tym rzadziej Skythis go łąał i tym chętniej łowca książek biegł za nim zziąany Najwidoczniej – podobnie jak sam Hannes – podcenzor zaczął wyczuwać, że z każdym krokiem coraz bardziej zbliżają się do tego małego diabła książkowego. Ich ofiara uciekała przed nimi dzikim zygzakiem, ale oni podążali za nim jak na prostej drodze, pokonując wszystkie przeszkody – nawet jeśli ciernie rozdrapywały im skórę, gałęzie smagały ich twarze, osty rozszarpywały im stopy. Raz nawet Hannes niemal utonął w bagnach. Jednak podcenzor pociągnął go w ostatniej chwili z powrotem tak mocno, że Hannes uderzył o niego i tym razem obaj upadli na ziemię do tyłu. Mocno oddychając, leżeli jeden na drugim, a podcenzor kurczowo objął Hannesa ramionami i wysapał mu do ucha:

– A teraz powoli, Johannesie, już czuję naszą zdobycz.

Wstali z trudem, a gdy Hannes już chciał znów pobiec, Skythis oplótł mu od tyłu szyję jedną ręką.

– Powoli, powiedziałem – wyrzucił z siebie. – Chyba, że znowu chcesz spłoszyć zająca.

Hannes pokręcił głową. Skoro tylko nie wolno mu było biec dalej, tamta druga część znów brała nad nim górę. Nie, nie chciał spłoszyć zająca, nie chciał nawet kontynuować polowania. A już na pewno nie chciał czytać tej diabelskiej księgi, ba, nawet już nie chciał jej znaleźć – ze strachu, że wtedy od razu ożyłby w nim tamten drugi Hannes. Ten, który nawarzył mu całego tego piwa, który potajemnie wziął wtedy ze sobą to demoniczne pismo do swojego pokoiku na poddaszu, przewertował je, a może nawet przeczytał tę diabelską książkę, zaczarowany przez głosy i płomienie, które dobywały się z niej, sycząc i buchając językami ognia.

– Panie podcenzorze, proszę was, odwiążcie mnie – powiedział żalonym głosem. – Popatrzcie tylko na mnie, demony ode mnie odstąpiły. Przysięgam na moje zbawienie, że wam nie ucieknę. – Podniósł nieco nos, bo z gardła unosiło mu się coś gorącego ku górze. Dlaczego musiał nagle pomyśleć o tym, jak odchodził z domu? Jak matka zakrywała mu twarz rękoma, gdy rzucił w stronę ojca:

– Wydziedziczcie moich braci. Nie są warcami waszego majątku ani waszej miłości! Wydziedziczcie ich albo odejdę od was na zawsze.

Ochryple dyszenie wyrwało go z zamyślenia.

– Co z tobą, Johannesie? Czyżbyś wylewał łzy?

Obrazy wspomnień rozpadły się. Hannes pokręcił głową w milczeniu. Poprzysiągł sobie wtedy, że nigdy nie będzie wracał pamięcią do tamtych scen ze skruchą lub choćby tylko z ckliwością. Tak się niestety złożyło, że przyszedł na świat jako trzeci syn swoich rodziców i mimo że ci musieli sobie zdawać sprawę, iż był najbardziej uzdolnionym spośród ich dzieci, nie spełnili jego woli. August, jego najstarszy brat, odziedziczył zagrodę, Franza wysłano do Heidelbergu, by studiował tam prawo – i tylko on, trzeci w kolejności, został z pustymi rękami. Przy tym już jako mały chłopiec marzył o tym, by studiować filozofię i poezję, stare i egzotyczne języki, stać się jednym z najsłynniejszych, najbardziej uczonych mężów na Zachodzie. Jednak zamiast tego zerwał ze swoją rodziną tak samo, jak ze swymi głupimi marzeniami, i udał się do Norymbergi. Tam, dzięki skrajnej wytrwałości, wysłużył sobie ciężką pracą stanowisko pomocnika pisarza w Urzędzie Cenzury Rzeszy. Urządzenie, którego najważniejszym zadaniem było wstrzymywanie druku i rozpowszechniania nieodpowiedzialnych wytworów ludzkich pragnień oraz rojeń – w każdym razie takie było przeświadczenie Jana Skythisa, a Hannes Mergelin z głębi serca je podzielał.

Przynajmniej częściowo. Przynajmniej ta część Hannesa, która – nawiasem mówiąc – coraz bardziej traciła wpływ na chłopaka. Teraz też był to już ten inny, z upływem czasu coraz silniejszy Hannes, który na pytanie podcenzora o wylewane łzy odpowiedział:

– To tylko komar wpadł mi do oka, panie.

Najwidoczniej ostrzeżony zmienionym tonem głosu swego pomocnika, Skythis mocniej chwycił za powróż.

– Chodźmy dalej – powiedział Hannes. – Ja też czuję, że jesteśmy bliscy celu.

AMOS ZDJĄŁ KAFTAN I KOSZULĘ po czym cisnął obie rzeczy obok siebie na trawę porastającą brzeg jeziora. Jego ubrania były sztywne od potu, brudu i krwi Hötttschego. Pochylił się do przodu, umył sobie dłonie w wyśmienicie chłodnej wodzie, ułożył je następnie w miskę i pił. Raz za razem czerpał nową porcję wody i gasił swoje pragnienie, najpierw łapczywie, później z zadowoleniem. Ostatnią porcję wylał sobie na głowę i otrząsał się jak mokry pies. Jakże to było cudownie orzeźwiająca!

Rozsznurował buty, zrzucił je ze stóp, zjechał jeszcze bliżej skarpy i zanurzył stopy w wodzie. Po zielonej tafli wody jeziora dryfowały lilie wodne. Żaby siedziały w kucki w przybrzeżnym mule. Łagodny wiatr wachlował paprocie i trzcinę. Panująca w tym miejscu atmosfera spokoju udzieliła się Amosowi, działając na niego usypiająco. Ale nie zaśnie tutaj w trawie, w żadnym razie nie mógł na to pozwolić. Nawet jeśli było prawie niemożliwe, by łowcy książek go tutaj wytropili – w końcu zapuścił się dwadzieścia mil w głąb lasu.

Jego tobołek leżał obok niego w trawie, podobnie zresztą drabina linowa. Rozwiązał tobołek, wyciągnął z niego prowiant na drogę zapakowany przez Kronusa i rozłożył wszystko przed sobą. Chleb, ser żółty i wędzoną rybę, podzieloną na łatwe do pogryzienia kęsy.

Wsunął sobie kęs ryby do ust i błędził gdzieś myślami. Woda roztaczała wokół siebie specyficzny urok, i tak też to odczuwał już jako mały chłopiec. W stawie pod zamkiem Höhenstein często pływał w upalne dni letnie lub leżał w płytkiej wodzie przy brzegu i oddawał się marzeniom. Głęboko u podnóża zamku cała ziemia była poprzecinana rzekami, źródłami i jeziorami – to też opisał mu kiedyś ojciec w obrazowy sposób.

– My wszyscy jesteśmy stworzeniami wody – oświadczył Ferdinand von Höhenstein. – Jedynie wciąż o tym zapominamy, skoro tylko postawimy nasze stopy na suchym lądzie.

Dziwne, że wszystkie te sceny z odległej przeszłości ożywały w jego pamięci. Amos ukroił sobie piętękę bochenka i wsuwał sobie do ust na zmianę kawałek wędzonego pstrąga oraz kawałek czerstwego chleba. Od czasu do czasu pochylał się do przodu, nabierał wodę w dłonie i

pił.

W tym spokojnym miejscu wszystko, co przeżył wczoraj, wydawało mu się całkowicie nieprawdopodobne. Purpurowi wojownicy i inkwizytor na swoim tronie. Szczęk mieczy, świst stalowych strzał w palatium, okrzyki bólu rannych rozbójników. Brat Meinolf, który chodził od jednego do drugiego, by ich pocieszać i zabijać. A później jeszcze zagroda Kronusa, płomienie, spieczone na sadzę i popiół książki. Wreszcie polowanie – polowanie na niego samego, jakby był zającem lub kozłem, oraz polowanie na książkę.

Czarna i cienka leżała obok niego na trawie. Kronus wystarczająco często mówił o tym, że pewnego dnia wytropią go łowcy książek, że zniszczą jego bibliotekę, jego samego uprowadzą lub zabiją na miejscu. A mimo to, kiedy tak siedział na brzegu jeziora, właśnie to bezgraniczne spustoszenie dawnego folwarku młyńskiego wydawało mu się szczególnie nieprawdopodobne. Conntz Rabensteiner uchodził za prawego i miłującego porządek urzędnika, który z pewnością nie zaaprobowałby tego typu okropności. Jednak jego najwyższy książę, margrabia Fryderyk Starszy, był znany ze swego umiłowania przepychu i z rozrzutności. Amos nie raz słyszał, jak stryj Heribert pomstował na księcia, że gruntownie opróżnia kieszenie poddanych i że nawet dla rozbójników zostaje już bardzo niewiele. A mimo to, zastanawiał się dalej, także margrabia Fryderyk na pewno nie zezwoliłby na tę wyprawę zbrojną przeciwko prostodusznemu i bezbronnemu uczonemu.

Amos gorąco wręcz pragnął, by mógł udać się teraz tak po prostu w drogę powrotną i odwiedzić Kronusa, żeby wszystko było jak wcześniej. Ale nic już nie będzie takie, jak dawniej. Tak czy owak, tylko niektóre rzeczy były dokładnie takie, jak to się Amosowi wydawało. Jego rodzice okazali się nieprzypadkowymi ofiarami jakichś morderczych podpalaczy, lecz zostali zabici przez Höttschego. To, że Kronusa los rzucił akurat do dawnego folwarku młyńskiego, najwidoczniej również nie było dziełem bardziej lub mniej szczęśliwego przypadku. Panowie von Höhenstein, przynajmniej w dawnych czasach, byli mecenasami uczonych – inaczej nie można było przecież wytłumaczyć zwoju pisma w herbie. Także przeprowadzka Amosa na zamek Höhenstein w żadnym razie nie była ślepą grą przypadku, lecz najwidoczniej została zaplanowana z góry – przez dostojnych panów, którzy chcieli go zabrać z rodzinnego domu już w czasie, gdy był jeszcze małym chłopcem. Na zamek Höhenstein? Ale po co? Czyżby ich plan przewidywał, że już w wieku siedmiu, może ośmiu lat stanie się uczniem czy „duchowym” synem Valentina Kronusa – żeby ten stary mężczyzna mógł już wtedy wzbudzić w nim dary magii?

Amos przeczuwał, że tymi myślami dotarł jedynie do czubka góry zagadek. Ale teraz wszystko zaczęło mu się kotłować w głowie. Dopiero gdy zaspokoił już głód i pragnienie, poczuł w pełni, jak bardzo jest zmęczony.

Biegł bez przerwy prawie cały dzień, a poprzedniej nocy nie zmrużył nawet oka. Teraz ziewnął tak szeroko, że usta omal nie zostały mu w takiej pozycji. Ale nie wolno mu było się kłaść dopóty, dopóki nie znajdzie bezpiecznego schronienia – i nawet na sekundę nie mógł o tym zapomnieć. Łowcy księżek z pewnością zarzucili już poszukiwania i jeśli nawet błąkają się jeszcze gdzieś po puszczy, to musiało ich dzielić od niego wiele mil. Mimo to nie mógł sobie pozwolić na ten błąd i zasnąć tutaj na brzegu w trawie.

Postanowił, że popływa teraz trochę, żeby się orzeźwić. Później mógłby wyprać w jeziorze swoje stare ubrania, zanim ubierze się w świeże rzeczy. Ale powoli, najpierw musiał sobie obejrzeć, co też Kronus w ogóle zapakował mu do ubrania. Właściwie to i tak było zdumiewające, z jaką znajomością rzeczy ten stary mężczyzna przyszykował dla niego tobołek, pakując do niego wszystko to, czego potrzebował podczas ucieczki przez lasy, łąki i pola.

Każde włókno w jego ciele drgało ze zmęczenia. Postanowił, że rozejrzy się dokładnie po okolicy, jak tylko popływa – na pewno znajdzie gdzieś opuszczoną jaskinię lub wydrążony pień drzewa, gdzie mógłby spędzić noc.

Wyciągnął nowe ubrania ze swojego tobołka, a były to spodnie, koszula i kaftan z niebarwionego lnu. Nie brakowało niczego, a wszystko wyglądało dokładnie tak jak rzeczy, które nosił zazwyczaj, tyle tylko, że ubrania były czyste i nowe.

Ale czy naprawdę odważy się popływać w jeziorze w czasie, gdy łowcy księżek wciąż może jeszcze błąkają się gdzieś tam w lesie? Na samą myśl o tym Amosa znów ogarnęło niemiłe uczucie. Aby nie ryzykować, że Skythis i jego kuśtykający pomocnik mogliby mu zgotować nieprzyjemną niespodziankę, postanowił, że najpierw ukryje swój tobołek w jakimś bezpiecznym miejscu.

Z powrotem upchnął swoje manatki do tobołka, z trudem wsunął jeszcze do środka książkę, a następnie wziął do ręki powróż z węzłami. W czasie gdy wiązał linę do tobołka, rozglądał się już za odpowiednią kryjówką.

Krótko po tym Amos wślizgnął się do zielonej tafli jeziora. Woda była przyjemnie chłodna. Pod stopami poczuł kłębowisko wici, które chwytały go jakby palcami w czasie, gdy on płynął na środek jeziora. Jednocześnie między rękami trzymał swoje stare ubrania i mył je każdym swoim ruchem, wykonywanym podczas pływania.

Pośrodku jeziora wznosiła się mała wyspa. Nie była niczym więcej, jak tylko kopcem z jedną mizerną płaczącą wierzbą, która opuszczała swoje gałęzie do wody. Amos popłynął w stronę wyspy, położył wyprane ubrania na jej korzeniach, a sam mocno się trzymał obiema rękami za jej gałęzie. I tak dryfował beczynn timer przez chwilę w wodzie, czuł lekki nurt, który odciągał go od wyspy, i spoglądał przez gałęzie zmrużonymi sennie oczami.

Jeszcze tylko przez krótką chwilę chciał się pokołysać na wodzie, potem popłynąłby z powrotem na brzeg jeziora, gdzie ukrył swój tobołek w gęsto porośniętej listowiem koronie dębu. Drzewo mierzyło dziesięć stóp, a jego pień do wysokości co najmniej siedmiu stóp był zupełnie gładki. Mimo że Amos miał wprawę we wspinaniu się, bez liny nie udałooby mu się wejść na górę. Poza tym gęste listowie chroniło tobołek tam w górze przed niepożądanymi spojrzzeniami. Była to idealna kryjówka. A lina, którą rozpiął między gałęziami dębu a jednym z krzaków na brzegu jeziora, do złudzenia przypominała nadziemne korzenie ciągnące się wzdłuż i wszerz między drzewami – przynajmniej takie wrażenie musieliby odnieść tacy niewprawni obserwatorowie jak łowcy książek.

Amos kołysał się błogo na wodzie i jeszcze raz zapewniał sam siebie, że zostawił w tyle człowieka o wilczym wyglądzie i jego kuśtykającego pomocnika. Prawie by zasnął pod płaczącą wierzbą, gdyby nie wystraszył go cichy trzask w podszyciu.

Spojrzał spoza gałęzi i nie mógł uwierzyć własnym oczom – tam, po drugiej stronie, na przeciwległym brzegu jeziora, z gąszczu wypadali właśnie podcenzor Skythis i chudy chłopak. Obaj wyglądali na całkowicie pokancerowanych – twarze oraz ramiona mieli porysowane i pokłute, a ubrania zwisały z nich w strzępach. Przysadzisty mężczyzna trzymał swego pomocnika na swego rodzaju smyczy, którą uwiązał mu wokół piersi, a chłopak wyglądał na tak osłabionego, jakby lada chwila miał upaść.

Ale to wrażenie było złudne, a Amos zdał sobie z tego sprawę już w następnym momencie. Chłopak uniósł głowę i węszył nosem na wietrze, jakby chciał coś zwietrzyć. Potem zaczął nagle biec z takim impetem, że porwał ze sobą starszego mężczyznę. Amos obserwował teraz z niedowierzaniem i przerażaniem, jak chudy chłopiec kieruje się prosto na dąb, na którym ukrył swój tobołek – z *Księgą duchów* na samym wierzchu.

PRZERAŻONY AMOS NIE WIEDZIAŁ Z POCZĄTKU, co ma teraz zrobić. Ukryty za płaczącą wierzbą, przyglądał się tylko bez ruchu, jak chudy chłopak pędzi w stronę dębu. Jeszcze biegnąc, Skythis wyciągnął z za pasa swój topór wojenny i rozglądał się dookoła po polanie.

Jak to w ogóle możliwe, że ci dwaj szli za nim aż do tego miejsca? W żadnym razie nie potrafili biegać tak szybko i wytrwale jak on. Musieli zatem przybyć tu prostszą drogą, podczas gdy on szedł przypadkowymi, krętymi ścieżkami zwierząt. Ale to nie miało sensu, bo przecież wcale nie wiedział, że – uciekając – dotrze właśnie tutaj. Przez długi czas po prostu pędził przez las, nie troszcząc się zbytnio o drogę, a później zwracał już tylko uwagę na to, by utrzymać z grubsza kierunek na południe.

Chudy chłopak stał teraz dokładnie pod dębem. Znow uniósł głowę, jakby chciał węszyć w stronę wierzchołka drzewa. Mimo że od środka jeziora do brzegu musiało być jakichś dobre dwadzieścia stóp, Amosowi wydawało się, że widzi, jak chłopakowi oczy znow zwężają się w wąskie szparki, i że spod przymkniętych powiek błyszczą tylko żółtawobiałe gałki, jakby oczy wyróciły mu się w głąb czaszki.

Samego Amosa, który pływał w wodzie, pomocnik podcenzora zdawał się nie zauważać, a przynajmniej nie zwracał na niego uwagi. Cała jego uwaga koncentrowała się wokół wierzchołka drzewa, a teraz naskakiwał na gładki pień i usiłował wyciągniętymi ku górze rękami sięgnąć do najbliższego rozgałęzienia drzewa. Ale, dzięki Bogu, bez powodzenia.

Nagle Amos uświadomił sobie, jakim sposobem ci dwaj znaleźli go tutaj tak szybko. Chudy chłopak musiał czuć w swoim sercu, gdzie znajduje się *Księga duchów*. I nie było innego wyjaśnienia. Odkąd ją przeczytał, musiała istnieć między nim a książką jakaś magiczna więź. I od tamtej pory pożywał jej tak chciwie, jak umierający z pragnienia wody.

– I tak jak chciał dostać się do mojego wewnętrznego źródła światła – powiedział Amos – tak samo chce teraz ugasić swoje pragnienie u źródła wszelkich źródeł, zagarniając książkę Kronusa.



W czasie gdy te myśli przemykały mu przez głowę, ostrożnie oderwał lewą rękę od gałęzi wierzby i zbliżył się do swoich ubrań, które leżały przed nim na korzeniach drzewa. Musiał poruszać się powoli, niczym lunatyk, by nie wywołać żadnej fali na jeziorze. Tak czy owak, o wiele mądrzej zrobiłby, szukając ratunku w ataku z zaskoczenia. Im dłużej bowiem czekał, tym większe było prawdopodobieństwo, że łowcy książek odkryją powróż z węzłami, a może nawet i jego samego, tu w jeziorze. Ale Amos nie mógł się przemóc, by pozostawić po prostu swoje stare ubrania i rzucić się do walki bez strzępka ubioru na swoim ciele. I tak wciągał swoje powierzchownie oczyszczone, przemoczone spodnie cał za całem z wyspy do wody, i wszedł do niej niemal na palcach, nie wywołując najmniejszej zmarszczki na powierzchni wody.

Tymczasem chudy chłopak skakał przy drzewie w górę jak rozwścieczony zły pies.

– Co to ma znaczyć? – wyrzucił z siebie podcenzor.

– Książka, panie. Tam w górze! – odparł jego pomocnik gardłowym tonem.

Starszy łowca książek rzucał powątpiewające spojrzenie to na chłopaka, to na wierzchołek drzewa, i z powrotem. Bez przekonania zaczął ciągnąć za kilka korzeni, które zwisały w dół z gałęzi dębu. Ale na szczęście zaraz rozerwały się na części, a on przestał się tym zajmować. Mimo to mogło to już trwać na tyle długo, że odkryją powróż z węzłami.

Amos wziął głęboki oddech i zanurzył się w wodzie. Udało mu się jeszcze wcisnąć w spodnie, ale koszulę i kaftan musiał zostawić. Równomiernymi ruchami płynął blisko mulistego dna w stronę tego miejsca na brzegu, gdzie ukrył koniec liny w krzakach. Woda była tu u dołu tak mętna, że można było w niej widzieć na niecałe dwa kroki. Ale on dokładnie zapamiętał sobie to miejsce, zanim się zanurzył.

Łowcy książek zauważą go najpóźniej w chwili, gdy znów wyciągnie głowę z wody. Wówczas będzie miał już tylko kilka chwil, a jeśli sknoci wtedy choć jedno posunięcie lub cokolwiek pójdzie niezgodnie z jego planem, to go złapią. Dostaną w swoje ręce pożądaną zdobycz – jego i książkę.

Ale nie dojdzie do tego, powiedział sobie Amos. Już raz nie zauważył niebezpieczeństwa i więcej się to nie powtórzy.

Wyskoczył z wody i otrzepał się, by uwolnić od niej oczy. Podwodne wici owinęły mu się wokół szyi i ramion, ale to nie miało teraz żadnego znaczenia – ważne było tylko to, że się wynurzył we właściwym miejscu. Końcówka powrozu z węzłami wisiała w odległości kilku cali od krzaków. Chwytał ją i pociągnął, w czasie gdy Skythis zdążył dopiero gwałtownie się odwrócić w jego stronę i popatrzeć na niego niewiarygodnie rozszerzonymi oczami. Amos

pociągnął z całej siły za linę, a nad ich głowami poszybował w górę tobołek, jakby wystrzelono go z katapulty. Tymczasem Amos wyszedł w wielkich podskokach z wody i natychmiast zaczął szybko biec wzdłuż brzegu, a tobołek leciał za nim, uwiązany na naginającej się linie.

Biegał wokół krzaków i wiedział, że przez kilka chwil nie będzie chroniony, bo pasmo trawy między brzegiem a lasem ciągnęło się wszcz na sześć, może siedem kroków.

– Łap go! – wyburczał za jego plecami Skythis, a Amos przeczuwał, że podcenzor spuścił teraz chłopaka ze smyczy. Nie odwrócił się jednak, lecz biegł, ile sił w nogach w stronę gąszczu.

Ledwo znów zanurzył się w lesie, a już usłyszał za sobą gwizdzący świst i zaraz potem uderzenie z trzaskiem, zaledwie o krok od jego prawego ramienia. Drewno rozleciało się w drzazgi, a zębaty topór wojenny zabłyszczał w świetle południowego słońca. Biec przed siebie, pomyślał Amos. Obrócił się na chwilę do tyłu: topór tkwił jeszcze w pniu drzewa, a podcenzor – z wściekłą miną wymalowaną na twarzy – usiłował go wyciągnąć, tymczasem chudy chłopak biegł za nim ze zwierzęcą zapalczywością.

## 5

W DZIKICH PODSKOKACH Hannes puścił się w pogoń za małym diabłem książkowym. Nigdy by nie przypuszczał, że potrafi tak szybko biegać – szybciej nawet od chłopaka przed nim, którego przewaga topniała z każdym krokiem. Gdy był małym chłopcem, wyśmiewano się z Hanno Mergelina dlatego, że był taki wąły i tak sztywno się poruszał.

– Kostucha, kostucha! – Tak wołali za nim inni chłopcy ze wsi.

Między innymi z tego powodu wyrobił w sobie później nawyk utykania. Teraz jednak nie mogło być mowy ani o niezdarności, ani tym bardziej o kuśtykaniu.

Hannes podskakiwał, rwał się naprzód, zataczał się i dochodził znowu do siebie. Nie widział ani małego diabła książkowego, ani monotonnego krajobrazu drzew i zarośli, bo jego oczy były całkowicie wywrócone w głąb czaszki. Pędził, a przed nim unosił się pyszny owoc, który miał na wyciągnięcie ręki. Przed jego oczami oraz niecierpliwie wyciągniętymi rękami owoc pękał i otwierał się coraz bardziej, a jego wnętrze migotało niczym jakąś jaskinia wyłożona rubinami. Hannes rzucił się naprzód, by wpełznąć do tej jaskini głową do przodu – i wtedy strasznie uderzył się w czoło, upadając na ziemię już trzeci raz z rzędu w tym dniu.

Demoniczne omamy zatary się. Słyszał, jak gdzieś w odległej dali podcenzor woła go po imieniu, ale czuł się o wiele za słaby, by odpowiedzieć mu choćby jęknięciem. Dookoła niego rozciągał się las, a nad nim widać było palącą się na niebie czerwoną zorzę – była czerwona jak jaskinia z urojenia, za pomocą której wabiła go ta szatańska książka. Na tym tle, obejmującym czerwoną zorzę i czarne poszarpane sylwetki, nagle pojawił się nad nim ten mały diabeł książkowy.

Kucnął przy Hannesie w poszyciu lasu. Wieczne słońce zabarwiło mu skórę na ognistoczerwoną, dzięki czemu rzeczywiście wyglądał jak mały diabeł.

– Masz na imię Johannes? – zapytał, a jego ogniście czerwona pierś unosiła się i opadała.

Hannesowi udało się wydobyć z siebie tylko ciężkie stęknięcie. Strasznie huczało mu w głowie. Mały diabeł musiał uderzyć w nią jakimś kijem.

– Powiniennem cię zabić – wyszeptał jego pogromca i zacisnął już ręce wokół szyi Hannesa. Ale po chwili cofnął ręce i popatrzył na ofiarę przenikliwym wzrokiem. – A może powiniennem pozwolić ci przeczytać książkę, żeby cię nawróciła na właściwą drogę.

Tym razem Hannesowi udało się przynajmniej nerwowo pokręcić głową, przez co ból w czaszce stał się jeszcze gorszy, a on sam wydusił z siebie kilka słów w ledwo słyszalny sposób – Nie nawracać, już lepiej zabić.

Chłopak patrzył jeszcze przez chwilę tak uważnie na Hannesa, jakby chciał się dowiedzieć możliwie najwięcej na jego temat. Następnie pokręcił lekko głową i zerwał się z miejsca. Po chwili zniknął w gąszczu. Hannes poczuł w swoim wnętrzu rozdzierający ból. Kipiało w nim ze złości, zazdrości, nienawiści i żalu nad samym sobą. Zawsze chciałem być taki jak ten chłopiec, pomyślał i podniósł się. Wszystko dookoła niego zdawało się kręcić, a on sam nie bardzo rozumiał, co właściwie miała oznaczać ta jego myśl. Ale wyraźnie czuł, że była to jego własna myśl, że nie pochodziła z demonicznych podszeptów, lecz że był to jego własny, swojski i zatajony ból. Ten chłopak spojrzał na niego tak ufnym i dumnym wzrokiem, że właściwie nie mógł być żadnym diabłem książkowym. Co najwyżej, został skuszony przez tamtego wcielonego szatana fałszywymi obietnicami.

Hannes Mergelin tak bardzo pograżył się w zadumie, że nie słyszał ani wołania, ani zbliżających się w jego stronę ciężkich kroków Skythisa. Dopiero gdy podcenzor chwycił go za powróż, zerwał się przerażony, brutalnie wyrwany ze swych myśli.

– Johannes, dlaczego nie odpowiadasz? – wyrzucił z siebie Skythis. – Widziałeś tego chłopca?

– Miałem go na wyciągnięcie ręki. – Hannes pomacał się ostrożnie po czole. Nad nosem wyczuł ogromnego guza, który zwężał się do przodu jak u jednoroźca. – Ale wtedy uderzył mnie kijem w głowę.

– Pewnie znowu wpadłeś na jakieś drzewo – burknął podcenzor. Jednak na szczęście wydawał się teraz zbyt zmęczony, by nawymyślać Hannesowi lub nawet kontynuować pogoń w czasie zapadającej nocy.

– Ułóż w stos drewno na opał – poinstruował pomocnika pisarza. – Upolowałem nad jeziorem królika, którego usmażymy sobie na kolację. – W lewej ręce rzeczywiście trzymał za okłapnięte uszy nieruchome ciało jakiegoś zającowatego zwierzęcia w czarno-białe łaty.

Hannes zrobił to, co mu nakazano. Z wnętrzości ich zdobyczy podcenzor przyrządził wywar, którym posmarował Hannesowi guza na głowie, by złagodzić opuchliznę i bóle głowy.

Mazidło na jego czole śmierdziało paskudnie i wabiło muchy, ale nadzwyczaj skutecznie podziałało. Hannesowi przeszły bóle głowy, jeszcze zanim obgryźli swoje królicze udka.

Później leżeli ramię w ramię za kolczastymi zaroślami, z niebem usianym gwiazdami nad głowami.

– Ten chłopiec, panie – powiedział Hannes – którego ścigaliśmy przez puszcę, może on wcale nie jest żadnym diabłem, tylko został zaślepiony przez tamtego Kronusa.

– Polujemy na książkę, a nie na niego – burknął Skythis, ale jak na jego możliwości słowa te zabrzmiały prawie pokojowo. – Skąd ci to przyszło do głowy?

Hannes prawie odpowiedziałby na to: „Tak jak i ja nie jestem żadnym łowcą książek, panie”. Ale jak tylko pomyślał, by tak odpowiedzieć, przeszły go ciarki i zamiast tego rzekł:

– Sam nie wiem, panie. Ale tego prawdziwego Szatana, tamtego Kronusa, Gregor zawiezie w swym wozie do Norymbergi?

Sam nawet nie sądził, że zada podcenzorowi to pytanie. Gdy już je wypowiedział, leżał w ciemnościach, wstrzymując oddech, i wyczekiwał, tymczasem Skythis zdawał się od dłuższego czasu kłać pod nosem.

– I tak, i nie – wyrzucił wreszcie z siebie. – To się jeszcze okaże. Cellari pokłada wielkie nadzieje w tym próchnie – lub w tym szmaciarzu i kościotrupie, jak to się dziś mówi. Czy widziałeś już kiedyś taką konstrukcję z kości, drewna i skrawków szmat?

Hannes zaprzeczył z walącym sercem.

– Wydrążony pień drzewa, z wszczepionymi ludzkimi kośćmi, a na samym wierzchu trupia czaszka owinięta szmacianą chustą to ci dopiero łachmaniarz. Czarnoksiężnicy używają takiej maskarady do wywoływania demonów, ale sami też potrafią się przeobrazić w takiego kościotrupa, jeśli nie widzą innej rady. Tak przynajmniej twierdzi Cellari, który rzekomo chce traktować to próchno w swej katowni w piwnicy, aż wylezie z niego duch Kronusa.

Hannes długo rozmyślał nad tymi nieoczekiwanymi zwierzeniami Skythisa. I im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej przechodziły go ciarki.

– A wy, panie – wymamrotał wreszcie – co wy o tym sądzicie?

Podcenzor zaszcząkał zębami, aż mu strzeliła szczęka.

– Poczekajmy. Tak czy owak, trupia czaszka jest zakryta pomalowaną, szmacianą maską, a na niej nabazgrane były rysy twarzy Valentina Kronusa. – Obrócił się w bok, a powróż na piersi Hannesa nieco bardziej się napiął. – A teraz śpij już! – burknął jeszcze podcenzor. – Jutro musimy być na nogach, jeszcze zanim zapieje pierwszy kogut.

Ta ostatnia uwaga wyszła z jego ust zmieszana z chrapliwymi dźwiękami. Podcenzor spał już wkrótce twardo. Tymczasem jego pomagier leżał pod gwieździstym niebem, a serce wciąż waliło mu tak dziko, że wręcz bał się zamknąć oczy.

Mimo to od czasu do czasu zasypiał, ale za każdym razem zrywał się ponownie ze snu. We śnie mały diabeł książkowy znów przykucnął nad nim i szeptał do niego: „Powinienem dać ci przeczytać tę książkę, żebyś się nawrócił na właściwą drogę”.

I za każdy razem, gdy się budził, Hannes myślał: Ach, gdyby tylko mi pozwolił. I tylko króciutką chwilę później: Nawrócić mnie na wiarę w Szatana? Niech Bóg uchowa.

Nocne niebo zaczynało się właśnie odbarwiać na ołowiane, gdy Hannes pogrążył się w końcu we śnie. Ale już wkrótce podcenzor zbudził go szarpnięciem ze snu. A gdy Hannes spojrzał na niego w górę nieruchomym wzrokiem, nie mógł się poruszyć. Cały był kostuchem.

Ale Skythis pociągnął go w końcu za powróż do góry, a Hannes o mało nie rzucił mu się na szyję z wdzięczności. To był tylko sen, tylko sen. Tak przekonywał sam siebie w głębi duszy. Tymczasem podcenzor rozdeptał ich palenisko, patrząc przy tym na swojego pomocnika.

– Którędy, Johannesie?

## 6

MIMO ŻE ZE ZMĘCZENIA łzawiły mu oczy, Amos nie mógł tej nocy zasnąć. Przez jakiś czas biegł jeszcze przez gąszcz, jednak zapadający zmrok zmusił go w końcu do tego, by poszukał sobie schronienia. Na wzgórzu nieopodal ścieżki znalazł skałę, która wielkością i zarysami przypominała mniej więcej pulpit Kronusa – dwie pionowe płyty z kamienia, połączone z sobą w rogu jednym z podłużnych boków. Brakowało tylko dachu pulpitu u góry, ale noc była przecież ciepła i bezchmurna. I wprawdzie Amos chciał też pisać, ale mógł to robić zaszyty głęboko we wnętrzu kamiennej księgi.

Jego lęk przemienił się we wściekłość, a przynajmniej jedno mieszało się z drugim. Skythis najwidoczniej nie przebierał w środkach, aby dostać *Księgę duchów* w swoje ręce. Łowca ksiązek już po raz wtóry usiłował go zabić swoim toporem wojennym, a w każdym razie próbował go nim tak zranić, by nie mógł już dalej uciekać. Nawet swojego własnego pomocnika traktował nie lepiej niż psa, i to głównie wokół tego chudego chłopaka krążyły myśli Amosa tego wieczoru.

Włożył nową koszulę i wyciągnął jeden z tych kosztownych arkuszy papieru wraz z ołówkiem węglowym, które Kronus zapakował mu na samym dnie tobołka. Poza tym dobył też świeczkę, zapalki i *Księgę*. Starzec na pewno przewidział, do czego Amos będzie potrzebował papieru i ołówka w drodze – i gdyby nie chciał, by Amos użył ich w tym celu, nie zapakowałby mu przyborów do pisania. Tak przynajmniej tłumaczył to sobie sam Amos. W końcu była to jego ostatnia szansa na to, by przeżyć tę morderczą pogoń – musiał przeczytać drugą opowieść w bezpiecznym miejscu, by w ten sposób wzbudzić w sobie dar magii myśli i dzięki temu zanieść w końcu *Księgę duchów* tam, gdzie będzie bezpieczna.

Amos zapalił świeczkę, położył przed sobą papier i ołówek w zasięgu ręki, ale jeszcze nie przystąpił do pisania. Przywarłszy plecami do kamiennego zagięcia, jeszcze raz postanowił przemyśleć swój plan. Mimo że ze zmęczenia trudno mu było trzeźwo myśleć, nie mógł już sobie pozwolić na żaden, choćby najmniejszy błąd.

A zatem: Johannes zetknął się bezpośrednio z *Księgą duchów* i od tamtej pory potrafił za każdym razem wyczuć, gdzie aktualnie znajduje się książka. I ta zdolność Hannesa było najmocniejszą bronią podcenzora – ale była to broń, która mogła się również zwrócić przeciwko niemu samemu. Wtedy mianowicie, gdyby Amos jej w tym dopomógł.

Bo najwidoczniej książka rzuciła urok na Johannesesa. Utrzymywał wprawdzie, że wolałby raczej umrzeć, niż dać się nawrócić *Księżdzę duchów* na właściwą drogę. Ale gdy wczoraj dorwał się do niej przy starym młynie, czytał ją z zachłannością konającego z pragnienia. I tylko dlatego, że człowiek o wyglądzie wilka wmówił mu, iż chodzi o diabelskie pismo, Johannes wciąż bał się książki i swojej żądzy jej posiadania.

Dopóki Amos miał przy sobie *Księgę duchów*, dopóty człowiek-wilk mógł go wytropić wszędzie, wystarczyło tylko, że dawał się poprowadzić Johannesowi jak psu myśliwskiemu. A ponieważ Amosowi w żadnym razie nie wolno było wypuścić z ręki powierzonej mu książki, nie miał żadnych szans na pozbycie się swych prześladowców – niezależnie od tego, jak szybko i jak daleko by przed nimi uciekał.

Chyba, że uda mu się zasiać zwątpienie w tropicielu Johannesie, odwrócić jego uwagę – a być może nawet przeciągnąć Johannesesa na swoją stronę. Ale czy to mu się w ogóle uda: łowcę książek Johannesesa przemienić w swego przyjaciela i drugiego strażnika ochraniającego *Księgę duchów* – dając mu do przeczytania, kawałek po kawałku, pierwszą opowieść?

Muszę spróbować, pomyślał Amos, to moja jedyna szansa. Wsłuchał się w las nocą. Sowy i puszczyki unosiły się dokoła między drzewami. Od czasu do czasu można było usłyszeć jakiś trzask w poszyciu lasu, ale było to tylko dreptanie rysich i kocich łapek. Podcenzor i jego pomocnik Johannes z pewnością już dawno zapadli w głęboki sen, zmęczeni dzikim polowaniem. A gdy jutro nad ranem obudzą się i znów będą chcieli pójść jego tropem, to wtedy ten trop będzie musiał wieść ich na manowce i jednocześnie być naszpikowany przynętami.

Dla Johannesesa takimi przynętami będą magiczne kęski z książki Kronusa. Starszy łowca książek prędzej czy później oczywiście się zorientuje, że został sprowadzony na fałszywy trop Tymczasem Amos umknąłby im już bardzo daleko w przeciwnym kierunku – do miejsca, które przyszło mu do głowy wczoraj wieczorem, w czasie gdy goniony pędził przed siebie.

Przed wieloma laty był tam niegdyś ze swoim ojcem. W labiryncie utworzonym przez pierwotnie zaklinowane skały, które leżały w puszczy pod Wunsiedel, wznosząc się jedna nad drugą. Wyglądały jak pozostałości po mieście tytanów. Woda rozlewała się tam kaskadami po skałach, a potoki i strumyki tryskały wszędzie ze szczelin. Ale istniały tam też ślady osadnictwa



pochodzące z nowszych czasów – szczątki ruin i dziwna, mała wieża obronna, która wznosiła się na tak stromej kolumnie skalnej, że aż włos się na głowie jeżył. Było to idealne miejsce, by okopać się na pewien czas nawet przed całym wojskiem – zwłaszcza gdy jest się, tak jak on, wytrawnym wspinaczem i ma się do dyspozycji tak wyśmienitą linę.

Amos odchylił głowę do tyłu i spojrzał w górę na migocące gwiazdy na niebie. Co też powiedziałby o tym planie Kronus? Jak zwykle zamknąłby teraz po prostu oczy, szeroko otworzył swe serce i wsłuchał się w siebie. Ale w dwójnasób obawiał się, co też mógłby w nim znaleźć. Mogłoby się okazać, że grzejący i krzepiący promień światła Kronusa zgasł na wieki. A zamiast niego mógłby znowu natrafić na tamtą kurczowo tłącą się strużkę, za pomocą której zbliżał się do niego Johannes, by dobrać się do jego wewnętrznego źródła światła.

Zaaprobowałibycie mój plan, panie, pomyślał Amos. Czuję to mimo wszystko.

Otworzył *Księgę duchów*, wygładził papier przed sobą na podwiniętej nodze i zaczął pisać przy migocącym świetle świeczki.

HANNES PĘDZIŁ W PODSKOKACH, tak szybko, jak go nogi niosły. Z oczami wywróconymi w głąb czaszki i z liną tak mocno napiętą wokół tułowia, że zawzięcie dyszał, prześcigając się w tym z podcenzorem. Omamy, którymi kusila go ta szatańska książka, wydawały mu się dzisiaj dziwnie mgliste. Ale mogło to być spowodowane jego zmęczeniem. I jakby dla równowagi zjawy unosiły się przed nim tak blisko, jak nigdy dotąd: oblicze młodej kobiety, która kusząco otwierała przed nim oczy, później znowu tamten pyszny owoc, który przeistaczał się w lśniąca jaskinię wyłożoną rubinami, by w następnej chwili zmienić się w buchanie językami ognia i syczenie, które unosiło się po lewej stronie w odległości połowy kroku na skraju drogi – niczym mieniające się kolumny pary, niczym ogniste szepty. Hannes rzucił się na kolana i jął grzebać w liściach, sięgnął po coś i wsunął to sobie pod ubranie, tymczasem Skythis zbeształ go:

– Uważaj, Johannesie, jeszcze sobie połamiesz kości!

Dziwnym trafem omamy znów zaczęły się przed nim jawić, a Hannes znów zaczął biec z oczami wywróconymi do tyłu. Biegając, przejechał palcem pod swoją koszulą i wymacał mały skrawek papieru. Prawie stanęło mu serce – z przerażenia, z zachwytu. Nie wiedział o tym i było mu to zupełnie obojętne. Chłopiec zgubił jedną kartkę z książki, pomyślał, i jeśli mogła wypaść jedna strona, może wypadną jeszcze kolejne.

*Jednak podcenzor nie może o niczym wiedzieć. Hannes nie zapominał o tym ani na chwilę, pędząc dalej naprzód. Gdy biegł, udało mu się nawet wywrócić oczy do przodu i przestraszył się na krótką chwilę, widząc przewijające mu się przed oczami z prędkością wiatru drzewa i zarośla. Tym razem wsunął pod ubranie dwa palce i wyciągnął pomięty skrawek papieru na pewną odległość, tak by mógł zerkać na niego, w czasie gdy będzie pędził przed siebie. ...jednak coś takiego nie było właściwie możliwe. Bo Laurencjusz Answer został pasowany na rycerza dopiero*

*przed upływem miesiąca, po tym jak przez cztery lata wiernie służył jako paź swemu panu, hrabiemu Leonhardowi von Wallenfels. A lustro, przed którym rycerz Laurencjusz zwykł odtąd wystawać w każdej wolnej chwili, nie było niczym innym jak lśniąca tarczą, którą podarował mu Leonhard wraz z mieczem rodowym swoich przodków – miecz wyklepany przez błyskawice, tarcza – wykuty księżyc: „Okazcie się tego godni, rycerzu Wawrzyńcu!”.*

*Radę tę Laurencjusz wziął sobie do serca na swój sposób – wsuwając miecz pod łóżko i wieszając tarczę-zwierciadło na gwoździu. A teraz lustro, w którym Laurencjusz tkwił lewą ręką niczym w dziurze w ziemi, w której zbiera się woda, zaparowało, a ściana dookoła tarczy rozpuściła się w migoczącej mgłę.*

– Johannesie, co ci jest?

Hannes z trudem uniósł głowę. Miał wrażenie, jakby tkwił zanurzony głową do przodu aż po ramiona w garnku z wodą. Jednak gdy się rozejrzył dookoła, leżał wyciągnięty wzdłuż na wąskiej, poprzepłatanej korzeniami, udeptanej ścieżce, głęboko w lesie. Dopiero stopniowo zaczął sobie wszystko przypominać – nie był Laurencjuszem Answerem, lecz Hannesem Mergelinem, pomocnikiem i psem myśliwskim łowcy książek Skythisa.

– Ja... ja... – Podniósł się z łokci i kolan. – To wyczerpanie, panie.

– Bełkotałeś jakieś diabelskie brednie – wyrzucił z siebie podcenzor. – *Miecz wyklepany przez błyskawice, tarcza – wykuty księżyc.* – Popatrzył na swojego pomocnika podejrzliwym wzorkiem. – Czy to hokus-pokus nie pochodzi przypadkiem z tej szatańskiej książki, której rzekomo nigdy nie czytałeś?

– Ja... ja ledwo sobie cokolwiek przypominam, panie. Gdy leżała obok mnie w mojej izbie, dobywał się z niej syk, jakby głosy duchów. Możliwe, że wyszeptaly mi tego typu magiczne zaklęcia.

Wydawało się, że podcenzora na razie zadowolili taka odpowiedź. Znów pociągnął go za powróż do góry, a Hannes wsunął skrawek papieru głębiej pod koszulę i poczuł, jak oczy znowu wywracają mu się w głąb czaszki.

I znów ruszyła dzika pogoń. Znowu pędził w podskokach, potykał się i dochodził do siebie, a potem od nowa. Zjawy unosiły się przed jego lunatycznie wyciągniętymi do przodu rękami. I znów natrafił na barwnie buchające języki ognia i ognisty syk na skraju drogi, rzucił się na ziemię, pogrzebał i ukrył to tym razem w pięści.

– Ostrożnie, Johannesie, po lewej znajduje się głęboki wąwóz.

– Tak, panie. – Znów zerwał się z miejsca i wywrócił oczy na zewnątrz i w biegu czytał ze swojej pustej dłoni.

*...wsunął głowę w obłoki pary i ujrzał most przewieszony wysoko nad rwącym strumieniem. Na początku mostu stał kruczoczarny koń o szlachetnej postaci, grzebiący lewym przednim kopytem w piachu. I wtedy Laurencjusz przeskoczył przez parę z lustra na drugą stronę, i już siedział teraz na karoszu, w szacie przetykanej srebrem, przepasany mieczem rodowym, dzierżąc połyskującą tarczę.*

*Spojrzał z góry na tarczę i zdziwił się przelotnie, że ujrzał w niej samego siebie, jak stoi w swojej izbie w białej szacie nocnej, oświetlonej blaskiem świecy postawionej przy łóżku. Jednak już po chwili zapomniał o swoim zdziwieniu, zawiesił tarczę na pasie na ramionach i popędził karosza przez most: tam, na drugim brzegu, stali stłoczeni różni ludzie, machający w jego stronę czapkami i chorągwiemi. Głęboko u dołu huczał przepływający strumień, który porywał ze sobą wirujące odłamki skalne jakby krzemienie. Most, mimo że zbudowany był z masywnego kamienia, nieustannie trząsał się pod naporem wody. Wawrzyniec szybko go przemierzył i odczuł ulgę, gdy jego karosz miał znowu stały grunt pod kopytami...*

I tak całymi godzinami, skrawek papieru za skrawkiem papieru, cały czas z powrotem w kierunku Kirchenlamitz. Skythis nie ukrywał zdziwienia, ale Hannes nie zważał na to. Podcenzor coraz gniewniej złorzeczył, bo Hannes raz za razem upadał na kolana, grzebał w ziemi, znów podskakiwał, by po krótkiej chwili znów opadać na ziemię, tym razem jednak jakby zamroczony diabelskimi omamami. Skythis potrząsał wtedy wściekle za ramiona lub ciągnął go tak mocno na powrozie, że chude ciało jego pomocnika podskakiwało całe do góry i uderzało o ziemię. Jednak Johannes Mergelin wydawał się tego w ogóle nie zauważać. Za każdym razem coraz trudniej było go wybudzić z tego oczarowania, a gdy Hannes zapadł w ten demoniczny stan po raz siódmy lub ósmy, podcenzor miał już tego powoli dosyć.

Pomocnik leżał brzuchem do ziemi, a jego nogi drżały, jakby właśnie wbiegł szybko po schodach. Skythis daremnie nim potrząsał i kucnął obok niego w podszyciu. Hannes położył policzek na omszałych odłamkach kamieni i głupio się uśmiechał. Poruszał swymi bezkrwistymi wargami, bezgłośnie mamrocąc.

– Johannes, co się z tobą dzieje? – wyrzucił z siebie Skythis i potrząsał nim tak mocno, że

Hannes uderzył skronią o omszały odłamek kamienia. Ale on wciąż głupio się szczyrzył. Uśmiechał się jeszcze, gdy podcenzor obrócił go na plecy i znalazł w jego lewej pięści karteczkę. Skythis wygładził kartkę swoimi pięściami i zaczął czytać. Z niedowierzania i przerażenia oczy robiły mu się coraz większe.

*... przez chwilę Laurencjusz zamarł na widok swoich prześladowców. Ale teraz to on dopiero zaczął się rzucać i pędził po schodach na górę. Zapytany, sam nie mógłby powiedzieć, co zamierzał osiągnąć w ten sposób i pewnie było czymś nieprzyzwoitym, że uciekał od starszej damy tak po prostu, biegnąc lekkim galopem. Jednak gdy po kolejnych kilkunastu stopniach odwrócił się ponownie do tyłu, okazało się, że matka Lucyndy wciąż mu towarzyszy i nie wydaje się utrudzona. Owiana swoją kolorową suknią z piór sprawiała wrażenie, jakby w rzeczywistości leciała, a pozostała gromada powitalna wciąż podążała za nimi w niewielkiej odległości. Błazny poruszały się po schodach, wirując i robiąc gwiazdy, a tancerki rozpraszały nudę, kręcąc piruety, biegnąc po schodach na górę. Pozwalały również, by poeci podnosili je z rozmachem i wyrzucali w powietrze. Ale malarze najwidoczniej wykańczali już swoje dzieła – jeden z nich, pędząc, pocierał kciukiem płótno, inny dokonywał ostatnich bazgrołów kredą – jednocześnie wszyscy niczym wiatr pędzili w górę po krętych schodach.*

– Johannesie, Johannesie – wymamrotał podcenzor.

Hannes doszedł tymczasem do siebie i nieruchomy z przerażenia patrzył, jak Skythis wrywa mu koszulę z paska do spodni. Wyleciał prawdziwy brzuch ze zmiętych i pogniecionych skrawków papieru, a podcenzor grzebał w nich swoją bezkształtną ręką. Na chybił trafił wyciągał pojedyncze kartki, gładził je, rzucał jednak na nie tylko pełne zgorszenia spojrzenie, po czym miał je jeszcze bardziej.

– A ty wątpiłeś w to, że ten chłopiec jest takim samym diabłem jak jego mistrz Kronus? – wyrzycał Skythis prawie wilczym tonem.

– To najbystrzejszy uczeń, jakiego można sobie życzyć, w przeciwieństwie do ciebie! – Podciągnął mu koszulę aż po brodę, ale poza wycieńczonym tułowiem z żebrami tak ostrymi i poszarpanymi jak zęby topora wojennego, nic już podejrzanego nie znalazł. – Okpił cię – wyrzucił z siebie Skythis. – Miał nas za głupców i wywiódł w pole, ale ten mały Szatan jeszcze nam za to zapłaci! Chcę go widzieć skomlącego! Na kolanach! I to jeszcze dzisiaj! – Podniósł się

i dał Hannesowi kopniaka.

– Wstawaj, Johannesie! I pozwól, że ci coś jeszcze powiem: jeszcze jeden nierozważny krok, a będę cię musiał oddać w ręce Cellariego.

## 8

JAKBY ROZGNIEWANE OLBRZYMY rozwaliły swoimi pięściami całe góry – tak porozrzucany w nieładzie, z chwiejnie piętrzącymi się jedna nad drugą skałami, wznosił się labirynt przed Amosem o świcie.

Był śmiertelnie zmęczony i jednocześnie odczuwał ulgę, bo bez problemów udało mu się trafić na miejsce. Obyło się też bez żadnych incydentów. Ale jeszcze nie mógł oddać się ogarniającemu go uczuciu szczęścia. Nawet jeśli robiło mu się coraz lżej na sercu, im dłużej patrzył w górę na przyprawiający o zawrót głowy stos skał.

Wszędzie ze szczelin w skałach ciekła i wypływała woda. Pluskała, ześlizgiwała się po stromych płytach skalnych, załamywała się na pochyło wbijających się klinem olbrzymich stopniach i płynęła dalej rowkami w skałach, które przebiegały tak gładko i równo, jakby zostały wyrzeźbione ręką człowieka.

Po tym jak zapisał swoje kartki z magicznymi przynętami dla Johannaesa, godzinami biegł z powrotem w stronę Norymbergi, by stworzyć fałszywy trop. Później ponownie ruszył w stronę Wunsiedel, pędząc tak szybko, jak to było w ogóle możliwe w całkowitej ciemności. I niedługo po północy znów przekroczył tamtą skalną strukturę, która z daleka wyglądała jak otwarta, postawiona na sztorc księga.

Gdziekolwiek obaj łowcy książek ułożyli się do snu, jeśli obudzą się teraz i znów wyruszą na polowanie, musiał być już bardzo daleko od nich, by Johannes dał się w ogóle zwabić na fałszywy trop. Bo z tych fragmentów pierwszej opowieści, które naskrobał w pośpiechu na pojedynczych skrawkach papieru, z pewnością dobywała się o wiele słabsza pokusa niż miało to miejsce w przypadku całej książki, a tę Amos niósł ze sobą w tobołku.

Ileokroć przechodził tej nocy obok jakiegoś potoku lub źródła, Amos robił sobie krótką przerwę. W czasie gdy pił oraz schładzał sobie czoło i policzki, pokrębiał się myślą, że nie ma dla niego żadnego lepszego miejsca niż skalny labirynt. Swoimi wypływającymi i wyciekającymi z tysięcy szczelin wodami należał już prawie do owego podwodnego świata, do którego miał

najwidoczniej zstąpić Laurencjusz w drugiej opowieści z *Księgi duchów*. A schodził do *Kobiety, co mieszkała w studni*.

O pierwszym brzasku przed jego oczami wreszcie ukazał się skalny labirynt. Amos zdjął z pleców powróż z węzłami. Nad porozrzucanymi skałami wisiała lekka mgła, ale może było to tylko wrażenie spowodowane zmęczeniem, które spowijało go oparami mgły.

Znad doliny Wunsiedel unosił się w powietrzu przytłumiony dźwięk bijących dzwonów i – podobnie jak zwykł to robić na zamku Höhenstein – liczył po cichu uderzenia dzwonów: wpół do czwartej. Klara z pewnością spała jeszcze głębokim, twardym snem. Przez chwilę wyobraził sobie, jak leży w swoim łóżku, z delikatnie zakrzywionymi ustami, z jasnymi, potarganymi od snu włosami. Z jej oczy dobywał się zielony błysk, nawet jeśli miała zamknięte powieki. W każdym razie tak to sobie wyobrażał.

Do końca swego powrozu przywiązał pętelkę, po czym odchylił głowę do tyłu, by poszukać odpowiedniego zęba skalnego. Zdjął buty i schował je do swojego tobołka, a nogawki podwinął aż do kolan. Tak właśnie uczynił jego ojciec, gdy wspinał się z nim na plecach po skale. Amos był wówczas sześciolatkiem, może siedmioletnim chłopcem, a ojciec przywiązał go sobie do pleców. Z obawy, że ojciec mógłby runąć w dół, uczepił się go zlanymi potem rękami i ledwie odważył się oddychać. Tymczasem Ferdinand von Hohenstein wspinał się po prawie pionowej ścianie skalnej tak chyżo, jakby w ogóle nie miała się go siła ciężenia, a na koniec wskoczył do znajdującej się na samej górze szczeliny, między dwoma ogromnymi odłamkami skalnymi. I właśnie o tej szczelinie myślał teraz Amos, po tym jak umocował swój powróż na rogu skalnym znajdującym się tuż poniżej.

Jakie to dziwne, pomyślał, że wszystko to przychodzi mu teraz na myśl. Ale być może nie było w tym nic nadzwyczajnego. „Nasz duch jest jak sieć utkana wodami”, tak brzmiała jedna z ojcowskich mądrości. Nurty pamięci są w niej powiązane ze strumieniem myśli, który w przypadku niektórych ludzi niewiele różni się od mizernej strużki.

Amos objął oburącz powróż i zaczął wchodzić po skale tak, jak mu to pokazał ojciec niespełna dziesięć lat temu. U góry wskoczył do szczeliny, odwiązał linę od występu skalnego i zarzucił ją sobie ponownie na plecy. Szczelina była wystarczająco szeroka, by mógł nią pójść dalej. Prowadziła stromo pod górę, a po obu jej stronach piętrzyły się jedna nad drugą bryły skalne o przyprowadzającej o zawrót głowy wysokości. W jego stronę płynęła lodowata woda, która wyciekała i bulgotała z niezliczonych otworów oraz rowków po obu stronach, spływając po kamieniach. Ziemia pod jego bosymi stopami sprawiała wrażenie śliskiej. Także ściany były



gładkie od spływającej po nich wody i nie stanowiły żadnej podpory dla rąk.

Po kilkudziesięciu krokach droga stała się równa i prowadziła przez jakiś czas dzikimi zakolami między głazami. Woda spadała teraz zewsząd w jego stronę, rozlewała się po ścianach skalnych, tryskała ze szczelin i rowków, wypływała na jego ścieżkę, pieniać się i bulgocąc. Amos miał wrażenie, jakby brodził przez huczącą rzekę z pierwszej opowieści w *Księdze duchów*, tyle tylko, że – na szczęście – prąd nie był tutaj tak silny, jak miało to miejsce w przypadku grzmocącej rzeki, do której musiał w końcu zstąpić Laurencjusz Answer.

Padająca w dół doliny woda wyłobila w skałach tunel, a Amos musiał w niektórych miejscach schylać głowę lub nawet przeczołgiwać się na czworaka przez dziury w skałach. Już dawno był przemoczony od stóp do głów, a woda huczała teraz tak głośno, że nie można było usłyszeć niczego poza jej szumem i bulgotem. Od czasu do czasu Amos odwracał się, ale – jak okiem sięgnąć – nie ujrzał nikogo.

Wielu uczonych, opowiadał mu niegdyś ojciec, jest zdania, że labirynt skalny powstał w zamierzonych czasach wskutek trzęsienia ziemi. On jednak wiedział lepiej, nawet jeśli nie potrafił oczywiście niczego udowodnić: cały ten stos porzucanych skał stanowił ongiś jedną górę, która tworzyła zwartą całość i była na wskroś masywna. Jednak z czasem jej wewnętrzne wody wydrążyły ją i podziurawiły do tego stopnia, że zawałiła się, tworząc ten stos skał.

Amos, stojąc zanurzony w lodowatej wodzie aż po pas, zrobił sobie przerwę. Słońce wznosiło się już nad lasami, a Amos ujrzał teraz rozpostarte głęboko pod swoimi stopami, okazałe Wunsiedel z jego różnorodnymi wieżami i dachami, a także potężny wał obronny, który otaczał miasto, chroniąc je przed agresorami.

Miasto, w którym żyła Klara – i znów ujrzał ją wyraźnie przed sobą, powoli budzącą się ze snu w swojej izbie. Widział, jak otwiera oczy, jak rozkosznie przeciąga się i rozciąga na swym słomianym pościeliu. Jak zrzuca z siebie derkę, i jak – wstając – odgarnia sobie zwichrzone podczas snu włosy z czoła rozłożonymi palcami lewej dłoni. Amos pokręcił głową. Wszystko to widział tak wyraźnie, jakby siedział na krześle przy jej łóżku i się jej przyglądał. Ale być może było to spowodowane tym, że właśnie przejechał lewym palcem wskazującym po wilczooku w jej amulecie.

Ale on musiał iść dalej. Nie mógł odpuścić, zwłaszcza teraz, gdy był już tak blisko celu. Wokół niego bulgotała i szumiała woda, a on był zadowolony, że po drodze nazrywał paproci i liści trzciny, którymi owinał, kilkoma warstwami, *Księgę duchów*. Jeszcze nie był bezpieczny, nawet jeśli rozpierał go optymizm, pierwszy raz od dłuższego czasu.

Odchylił głowę do tyłu, by oszacować przeszkody, które musiał jeszcze pokonać. Znajdował się na dnie wąwozu o głębokości piętnastu stóp i dwa razy większej szerokości. W środku wąwozu wznosiła się cienka kolumna skalna, która – jak róg – ostro zwężała się ku górze. Na samej górze tego rogu znajdowała się porzucona wieża obronna, która wyglądała jak kamienny kapelusz, i przynajmniej z tej perspektywy wydawała się śmiesznie mała. A mimo to wieża stanowiła prawie niemożliwą do zdobycia twierdzę. O wspinaniu się po tej gładko wypolerowanej przez wodę kolumnie skalnej w ogóle nie było mowy. Nie było innego sposobu – trzeba było się wspiąć po jednej ze ścian wąwozu, które zresztą ledwie dawały jakiegokolwiek lepsze oparcie, rozpiąć u góry powróż między granią skalną a podnóżem wieży i – zwisając na rękach – przesunąć się po niej na przyprawiającej o zawrót głowy wysokości na drugą stronę.

Amos zdjął z pleców powróż z węzłami i poszukał wzrokiem wysoko u góry, na końcu ściany skalnej po lewej stronie, jakiegoś zęba skalnego, który posłużyłby mu za wystarczającą podporę podczas wspinaczki.

JESZCZE W CZASIE GDY AMOS WSPINAŁ SIĘ po śliskiej ścianie skalnej, niebo nad nim zachmurzyło się. Stał teraz u góry na grani skalnej, na przyprawiającej o zawroty głowy wysokości, skąd rozpościerał się widok na całą puszcę i miasto, które – z tej perspektywy – wydawało się maleńkie.

Wiatr, zerwawszy się, potrząsnął drzewami, które jedynie z wielkim trudem zapuściły korzenie w szparach skalnych i kamiennych szczelinach. Deszczowe chmury nadciągnęły tak szybko, jakby zostały siłą przegnane w tę stronę przez ogromne pięści. Od wielu tygodni niebo było cały czas modre, jednak teraz w bardzo krótkim czasie stało się burzowo czarne.

Poryw wiatru dmuchnął Amosowi w ubranie i omal nie ściął go z nóg. Nawet wieża osadzona na przerażająco cienkiej kolumnie skalnej zdawała się chwiać na wietrze. Musiał się spieszyć, by przedostać się na drugą stronę, zanim burza rozpęta się na dobre.

Amos pociągnął linę do siebie w górę i ułożył ją w szerokie pętle tak, jak nauczył się tego od swojego ojca. Od wieży obronnej dzieliło go już tylko około piętnastu stóp, a zakrzywiony żelazny hak u podnóża budowli wyglądał tak solidnie, że jego widok podziałał na Amosa uspokajająco. Wydawało się, że przerzucenie liny na drugą stronę w taki sposób, by swoją pętlą zacisnęła się wokół żelaznego haka, nie było aż tak wielkim wyzwaniem. Ale wiatr sprawił, że zadanie stało się o wiele trudniejsze do wykonania.

Gdy Amos rzucił po raz pierwszy pętlę, lina wpadła w opadający poryw wiatru, który porwał ją ze sobą z ogromną siłą w głąb wąwozu. Lina niemal pociągnęła Amosa za sobą w dół, ale on w decydującym momencie zachował przytomność umysłu – dał susa do tyłu i przytrzymał koniec powrozu w kurczowym uścisku. Drugi rzut liną bardziej mu się udał, ale w ostatnim momencie, gdy pętla unosiła się już nad hakiem, znów została porwana przez podmuch wiatru i uderzyła o skałę pod podnóżem wieży. Tam lina zaplątała się o ząb skalny, który swym wyglądem nie budził specjalnego zaufania.

Amos potrzebował wielu drogocennych minut, by uwolnić linę. Ząb skalny może nawet

utrzymałby ciężar jego ciała, ale żelazny hak daleko bardziej budził jego zaufanie. Jednak gdy w końcu udało mu się zacisnąć na nim pętlę, wiatr przerodził się w wyjąca burzę, a z chmur nad jego głową padały już krople wielkości gołębic jaj.

A mimo to musiał przedostać się do wieży po drugiej stronie, nie miał żadnego wyboru. Tu w górze na półce skalnej i tak nie przetrzymałby burzy. Kawałek dalej z tyłu w szparach skalnych rosło kilka mizernych drzew, a poza nimi nie było tu już niczego, jedynie wygładzone przez wiatr i wodę skały. Wkrótce wody zaleją wypłaszczenie, będą rozlewały się ze wszystkich stron, wpadając do wąwozu, i porwą go ze sobą w dół – jeśli natychmiast nie ukryje się w jakimś bezpiecznym miejscu. Ale właśnie to zamierzał teraz uczynić.

Kucnął na skalnej grani i jeszcze raz sprawdził, czy jego lina jest pewnie uwiązana na obu końcach. Burza utrzymywała się, ryczała, rwała i wyła, ale Amos schylił się głęboko w dół, objął silnym uściskiem ręki powróż i rzucił się w przyprawiającą o zawrót głowy nicość. Wisiał na linie i pięść za pięścią przesuwał się po niej do przodu. W taki sam sposób zamierzał przeciągnąć się wzdłuż grani skalnej pod zamkiem Höhenstein, nie mając pod sobą nic poza dwustoma stopami parnego, gorącego powietrza. Tymczasem tutaj czekała na niego prawie dziecięca igraszka, bo lina dawała o wiele lepsze oparcie, a wąwóz pod jego nogami tym razem był głęboki jedynie na piętnaście stóp.

Zresztą wysokość ta wystarczała, by złamać sobie kark i wszystkie inne kości. Zwłaszcza, że na głowę i ramiona padał mu deszcz, a burza raz przetaczała się z wyciem przez wąwóz w górę, by po chwili runąć znowu z hukiem w dół doliny. Porywy wiatru biły go w pierś i plecy niczym wielkie łapska, wskutek czego strasznie rozhuśtał się wraz ze swoją liną. Raz musiał nawet zamknąć na chwilę oczy, bo jego duszą zatrzęsło jeszcze silniej niż na zewnątrz, i sam już ledwo wiedział, czy wisi głową, czy stopami w dół na linie. Chyba jeszcze gorsze od tego uderzania i rwania było diabelskie wycie burzowego wiatru, jednak Amos wytrwale przesuwał się po linie do przodu, trzymając się jej rękami. Kątem oka widział, jak wieża po jego lewej stronie coraz bardziej się do niego zbliża – smukła rura z jasnego kamienia, z wąskimi drzwiami, które znajdowały się dokładnie powyżej żelaznego haka, i kilkoma szczerbami okiennymi umiejscowionymi wysoko w górze, pod dachem ozdobionym blankami. Wieża, spowita welonem mgły i deszczu, wydawała się raczej wznosić na dnie jakichś wód niż na najwyższym ze szczytów.

W końcu Amos dosięgnął lewą ręką do żelaznego haka i skoczył na stopień pod drzwiami wieży. Przez kilka chwil kucał tam skulony i czekał, aż jego oddech się nieco uspokoi. Deszcz

padał na niego z szumem. Burza otaczała z jękiem wieżę, jakby chciała porwać budowlę wraz z kolumną skalną w głąb wąwozu. Jednak Amos jeszcze raz przechylił się głęboko, a zdjawszy z żelaznego haka powróż, wymachiwał nim w górę i w dół nad wąwozem, aż obluźowała się także pętla po drugiej stronie, dzięki czemu mógł teraz przyciągnąć do siebie linę.

Tymczasem już kopał nogą drzwi, najpierw jeszcze ostrożnie, potem mocniej, a na końcu z całej siły. Dopiero wtedy drzwi nagle się otworzyły i w czasie, gdy błyskawice rozrywały czarne niebo, wichura wyła, a chmury pękały z hukiem grzmotów, Amos wczuł się stopami do przodu do wieży i ostatkiem sił zatrzasnął za sobą drzwi.

Ogarnął go mrok. Do środka przedostawał się przytłumiony huk burzy. Wciąż na czworaka, Amos odwrócił się w bok i obserwował wąskie kręte schody, które zdawały się biec do góry w nieskończoność. Postanowił, że wejdzie na górę i wszystko sobie poogląda, ale w tym samym momencie zasnął.

Gdy się obudził, w pierwszej chwili pomyślał, że przespał cały dzień. Ale to ciemne światło dawała burza, która w dalszym ciągu szalała na zewnątrz. Powłókł się schodami na górę. Czuł się nieco bardziej rześko, mimo że nie mógł spać dłużej niż godzinę lub dwie. Ale sen też musiał poczekać. Możliwe, że będzie musiał poświęcić resztę dnia, by przeczytać i przyswoić sobie opowieść *O kobiecie, co mieszkała w studni*. Najpóźniej wieczorem zdołają przedrzeć się tu także Skythis i Johannes.

O ile Johannes nie sprzeniewierzył się łowcy ksiązek, skuszony magicznymi kęskami. Bez swego psa myśliwskiego podcenzor nigdy go tu nie znajdzie.

Kolisty pokoik pod kalenicą wieży przypomniał Amosowi o jego ulubionej kryjówce na zamku Höhenstein. Ale również na wspomnienia nie było teraz czasu, ani na smutki, ani na złość. Podobnie jak Laurencjusz Answer musiał podejść do wszystkiego w odpowiedniej kolejności.

Pośrodku pokoiku stał kamienny stół, do którego połowy ciągnęła się ława umocowana w murze. W ścianie obok drzwi był wyryty napis, przed którym Amos zatrzymał się na kilka chwil, by odszyfrować zwietrzałe łacińskie słowa: *Wzniesiono w Roku Pańskim 1087 na rozkaz Ottona Iz Bambergu, który kazał ochrzcić ostatnich pogan w Smreczanach*. Wąskie szczyby okienne, wychodzące na wszystkie strony świata, wpuszczały do środka nieco światła. Co prawda, wdzierały się przy tym do wewnątrz, przez jeden z otworów okiennych, mokre porywy wiatru, które kręciły się w kółko, ale mimo to pokoik był dla Amosa najwygodniejszym miejscem od wielu dni.

Zdjął przemoczone rzeczy i narzucił tylko na siebie nowe spodnie, które przechowywał w

swoim tobołku. Mimo burzy i deszczu w wieży było przyjemnie ciepło. Gdy odwinął *Księgę duchów* z liści paproci i trzciny, stwierdził, że książka całkiem nieźle zniosła wspinaczkę. Oprawa wyglądała na gęsto poplamioną, kilka kartek pofalowało się pod wpływem wilgoci, a gdzieś tam rozmazał się atrament. Ale nie były to zbyt poważne szkody. Amos opadł na kamienną ławę i położył książkę przed sobą na stole. Z tobołka wyciągnął resztki swojego prowiantu, a wsuwając sobie szybko kilka kawałków chleba i żółtego sera do ust, zaczął wertować *Księgę duchów* w poszukiwaniu właściwego fragmentu.

*O KOBIECIE, CO MIESZKAŁA W STUDNI* Laurencjusz Answer owinął sobie cugle wokół dłoni i pociągnął ze sobą swojego karosza wzdłuż huczącej rzeki. Masy wody nieustannie niosły ze sobą odłamki skalne tak wielkie, jak budy powozu, wyrzucały je następnie na skarpe, by po chwili znów je porwać ze sobą, jeśli te wtoczyły się na powrót do rzeki. Nawet głaz pod jego stopami drżał od tych strasznych uderzeń i Laurencjusz pomyślał, że byłoby po nim, gdyby został trafiony przez jeden z takich odłamków.

Przez jakiś czas szedł po prostu przed siebie, ogłuszony hukiem nurtu. Jednak w pewnym momencie rzuciło mu się w oczy, że bryły skalne, które upadły kilkadziesiąt kroków z przodu na skarpe, nie staczały się z powrotem do rzeki. Musiał tam istnieć jakiś otwór w skale brzegu i Laurencjusz powiedział sobie uradowany, że w tym miejscu na pewno znajduje się studnia, której szuka.

Gdy jednak dotarł do tego miejsca, gdzie kawałki skal znikają wewnątrz skarpy, nie zastał tam żadnej studni, lecz okazała się aleją, wzdłuż której ciągnęły się wysokie jak drzewa kamienne rzeźby. Była lekko nachylona i prowadziła prosto pod ziemię. Rycerz dotknął ręką czoła, a następnie pokręcił głową, śmiejąc się sam z siebie. Ulica swym widokiem wprawiała go w zdumienie, a mimo to wydawała mu się dziwnie znajoma. Ciągnął swego karosza między szczątkami ruin, wskoczył na siodło i ruszył powoli aleją w dół.

Figury po obu stronach drogi przedstawiały bez wyjątku mężczyzn w średnim i dojrzałym wieku. Ich widok wzbudził w Laurencjuszu nostalgiczne uczucie swojskości, przy czym żadna z oglądanych przez niego postaci nie wydała mu się znajoma. Tak czy owak, wszystkie rzeźby były zwrócone do niego profilem i spoglądały w dół na ulicę z podniosłą powagą. Niektóre z nich wskazywały wyciągniętymi rękami w stronę podziemia, inne samymi już tylko pełnymi nadziei minami dawały do zrozumienia, że wszystko, co zasługuje na uwagę, znajduje się tam w dole. Żadna z nich nie uraczyła nawet jednym spojrzeniem huczącej rzeki, czy w ogóle całego nadziemnego świata.

*Laurencjusz przeszedł swym koniem do klusa, a uderzanie kopytami zaczęło odbijać się echem od ścian skalnych. Ruch na ulicy przybrał na sile. Laurencjusz mijał objuczone wozy i pieszych, a jego samego wymijali z kolei konni kurierzy. Ulice rozgałęziały się na wszystkie strony, a były to głównie wąskie, nędzne uliczki, nie tak okazałe, jak aleja, z której nie zbaczał. Mimo że nie dostrzegł nigdzie latarni, dookoła panowało równomierne światło, które nie było ani jaskrawe, ani mętne, jakby cały ten podziemny świat emanował światłem od środka.*

*Po dłuższej chwili dojechał do placu, przy którym wznosiły się okazałe domy. Pośrodku znajdowała się studnia, przy której rozmawiało ze sobą sześciu mężczyzn. Wszyscy byli w średnim wieku i nosili długie brody, które opadały im na szaty, a wyglądały, jakby były sztywne i bezkształtne zarazem.*

*Wawrzyniec pokierował koniem w ich stronę i przejeżdżając obok, życzył im dobrego dnia. Mężczyźni popatrzyli po sobie. Jeden z nich spojrział w górę i gdy Wawrzyniec powiódł oczami w tę samą stronę, ujrzał czarne niebo iskrzące się ponad ich głowami.*

*– To nie ma znaczenia – rzekł, uśmiechając się. – Tutejsze niebo jest chyba z łupków skalnych. – Dobył nawet swój miecz i chciał podrapać nim po niebie, by udowodnić mężczyznom, że ich niebo jest z czarnego kamienia. Ale ledwie wyjął rodowy miecz Answerów z pochwy, a mężczyźni już przybrali wrogie miny.*

*Wawrzyniec prędko wsunął broń z powrotem.*

*– Przybywam w pokojowych zamiarach – zapewnił ich.*

*– Szukam tylko kobiety, która mieszka w studni. – I pokierował koniem bliżej w stronę skarpy, by spojrzeć w dół i stwierdzić, czy nie ma tam w dole kobiety mieszkającej w wodzie.*

*Jednak mężczyźni stanęli między nim a studnią. Jeden z nich chwycił mu nawet cugle i odepchnął Wawrzyńca do tyłu.*

*– Tej kobiety nie znajdziecie nigdy – powiedział – ale wszelką mądrość', której się po niej spodziewacie, możecie otrzymać od nas. – Mrugnął w stronę Wawrzyńca. Także pozostali mężczyźni popatrzyli teraz na niego wyczekująco. Uśmiechnęli się do niego, albo raczej wyszczerzyli, bo ich uśmiechy nie były szczere.*

*– Cóż mógłbym zatem od was dostać? – spytał Wawrzyniec.*

*– Zsiądźcie z waszego konia i pójdźcie za nami do sklepu – mówili teraz jeden przez drugiego. – Takich garnków, jak nasze, nie znajdziecie nigdzie indziej – powiedzieli chępliwym tonem. – Jakkolwiek daleko byście pojechali – rzekł mężczyzna trzymający konia Wawrzyńca za wodze. Inny wskazał na ulicę w dole i splunął w tamtą stronę z pogardą.*



– Garnki? – powtórzył Wawrzyniec.

*I znów wszyscy zaczęli go namawiać.*

– Ze wszystkim w środku, co tylko mogłoby wam kiedykolwiek przyjść na myś. Piękne sceny o niezwykle kunsztownym wykończeniu. – W czasie gdy przechwalali się i gestykulowali, jeden z nich pobiegł do domu, który znajdował się najbliżej studni, i wrócił zaledwie po kilku chwilach. Oburącz trzymał przed sobą gliniany garnek i pozwolił Wawrzyńcowi na rzucenie krótkiego spojrzenia do środka, a następnie znów przyciągnął naczynie do siebie.

– Tylko dwa guldeny za sztukę – powiedział kusząco z monotonnym zaśpiewem – Tak tanio nie kupicie nigdzie indziej tak kosztownej rzeczy.

*Na dnie garnka Wawrzyniec zobaczył na krótką chwilę obrazek, który wydał mu się boleśnie znany. Mroczna komórka piwniczna, a w niej mężczyzna przywiązany do podłogi i ścian żelaznymi pętami.*

– Mój ojciec – wymamrotał głęboko wstrząśnięty – przywiązany łańcuchami we własnym lochu. Skąd wam to przyszło do głowy?

– Zsiądźcie z konia, a pokażę wam tyle garnków, ile będziecie chcieli.

*Wawrzyniec był teraz kompletnie zmieszany. Już miał zsiąść z konia i dać się poprowadzić mężczyznom, dokądkolwiek by zechcieli, gdy nagle usłyszał ciche westchnięcie dobiegające ze studni. Długo się nie zastanawiając, wyrwał mężczyźnie, który chciał mu już pomóc zejść z siodła, swoją rękę i pokierował koniem w stronę studni.*

*W mule na dnie studni ujrzał całe mnóstwo lepiących się od brudu postaci.*

– Co to jest? – zapytał i przeszły go dreszcze. – Na litość boską, co to za nieszczęsne stworzenia?

– To nasi synowie, a coście myśleli? – Mężczyźni zdawali się teraz pękać ze złości. Ręce poruszyły im się w stronę noży, które nosili bez pochwy za pasem. – Nigdzie nie znajdziecie nic lepszego od naszych chłopców tam w dole. – Ich głosy grzmiały.

– Kobieta, która mieszka w studni – szydzili – to nic więcej jak tylko kłamliwy wymysł! A teraz jeźdźcie naprzeciw swemu przeznaczeniu! Nigdy nie znajdziecie tej kobiety.

*Ogarnięty zgrozą Laurencjusz Answer szarpnął swego konia do tyłu i pognął jak najdalej. Przez dłuższą chwilę jechał galopem dalej wzdłuż alei. Co to wszystko miało znaczyć? Wreszcie udało mu się nieco uspokoić i znów zatrzymał swego poczciwego konia. Nie miał ochoty jechać dalej na chybił trafił. Figury stojące na skraju ulicy niezmiennie wskazywały i spoglądały nieruchomym wzrokiem w dół. Także niebo nad nim nie rozjaśniło się ani nie pociemniało, lecz*

pozostawało jakby na wsze czasy iskrząco czarne.

*A może ci rozgniewani mężczyźni mieli rację? Jeśli tak, to nigdy nie znajdzie kobiety w studni, nieważne, jak długo będzie podążał tą drogą. Ale Wawrzyniec instynktownie wyczuwał, że to oni usiłowali zbić go z tropu swoimi kłamliwymi wymysłami.*

*Niezdecydowany, rozejrzał się dookoła. Rzuciło mu się w oczy, że na skraju drogi w ziemi jest dużo dziur, w których połyskiwała przejrzysta woda. Skaliste podłoże wydawało się wręcz podziurawione jak sito. Pomiędzy dziurami z wodą wznosiły się cokoły kamiennych figur niczym sztuczne wyspy. I właśnie w jednej z dziur Wawrzyniec zauważył stworzenie wodne, które napotkał przedtem u góry nad rzeką. Zielonkawe maleństwo opierało się swoimi cieniutkimi łokciami o brzeg. Jego włosy z ilu i alg zwisały mu niczym wytarty welon aż do piersi.*

*Wawrzyniec pochylił się ku niemu.*

*– Szukam... – zaczął, ale maleństwo przerwało mu w pół słowa.*

*– W dół, o wiele głębiej w dół! – wybulgotało, uniosło swoje cienkie rączki i zniknęło w dziurze z wodą.*

*Młody rycerz wychylił się jeszcze bardziej z siodła. W zwierciadle wody ujrzał samego siebie, a jeszcze niżej, zmieszany z odbiciem własnej twarzy jakiś nadzwyczajny, dalszy świat. Czółna sunęły tam w dole po rzece, łódki i statki płynęły niekończącym się ciągiem. Na jednym z czółen stał koń o lśniaco białej sierści, poprzetykanej siecią cienkich, czarnych linii. W czólnie z tyłu siedział cały tuzin stłoczonych kobiet o długich włosach, które nosiły rozpuszczone niczym welony lub splecione w warkocze.*

*– Tam muszę pójść – wykrzyknął Wawrzyniec. – Hej, wracaj! – Zeskoczył z konia i rzucił się na kolana obok dziury z wodą. Ale była dla niego o wiele za ciasna. Może i precyzyjnie się przez nią ręką lub nawet głową, ale od ramion w dół był za szeroki jak na taki wąski szyb. A ta trzcinista istota nie pokazała się już więcej, niezależnie od tego, jak wściekle mieszał swoimi rękami w wodzie.*

*Wawrzyniec miał rękawy przemoczone aż po łokcie, gdy znów wskoczył na swojego karosza. Jedno było pewne: by dotrzeć do kobiety w studni, musiał udać się tam na dół. Ale wciąż nie wiedział, jak mógłby dostać się do tego podziemnego świata. W markotnym nastroju jechał dalej wzdłuż alei. W jego sercu zaczęła rodzić się wręcz nienawiść do tych kamiennych figur, do ich chłodnego skupienia i ich wskazujących na dół w stronę ulicy palców. Czy na ich twarzach nie maluje się rys obludy, jakby wszystkie wiedziały w głębi serca, że na końcu tej okazałej alei nie ma absolutnie niczego nadzwyczajnego?*

*Kunsztownie wyrzeźbione kłamstwa, pomyślał Laurencjusz Answer, i właśnie w tej chwili zapadła się pod nim droga. Wąska bryła skalna, wystarczająco duża, by karosz zmieścić się na niej wszystkimi czterema kopytami, oderwała się od ziemi i spadła pionowo w głąbie. Wawrzyniec i jego koń tak zeszywnieli z przerażenia, jakby sami zamienili się w kamienne rzeźby. Pozostali na walącym się w dół odłamku skalnym, który swoją zębatą krawędzią i swym podłużnym, ogoniastym kształtem przypominał spadającą gwiazdę. Pod nimi przepływała rzeka, którą Wawrzyniec widział wcześniej przez dziurę z wodą. Łódki i czółna przesuwały się po rzece w niekończącym się ciągu, całe mnóstwo małych statków, a za nimi olbrzymia tratwa, na której wylądował Wawrzyniec wraz ze skalą i koniem. Była zbudowana z wielu ogromnych pni drzew, powiązanych ze sobą grubymi jak ramiona linami. Mimo to zanurzyła się głęboko w wodzie wskutek zderzenia, a pasażerowie musieli przez kilka chwil własnymi rękami wiosłować i wylapywać kilka mniejszych elementów bagażu, które omal nie wypadły za burtę. Wydawało się jednak, że nikogo nie zezłościło ani nawet nie zdziwiło nagłe pojawienie się Wawrzyńca. Ze wszystkich stron do nowych pasażerów uśmiechali się zachęcająco mężczyźni oraz kobiety.*

*Tylko Jlisak, rosty mężczyzna o falującej brodzie, który ciągle w tym samym rytmie uderzał drągiem o wodę, spojrział w jego stronę gniewnym wzrokiem. Wtedy Wawrzyniec zszedł ostrożnie z siodła i poszedł w jego stronę po chybotającym się podłożu.*

*– Wybaczcie mi tę napaść, nie zdarza mi się to na co dzień – powiedział, i uśmiechając się wskazał na niebo.*

*– Być może wam się nie zdarza, ale u nas jest to na porządku dziennym. – Flisak spojrział w górę. Oczy Wawrzyńca podążyły za jego spojrzeniem. Okazało się, że przejrzyście szare niebo ponad ich głowami było całe podziurawione.*

*– Wysłane zmartwieniami – wymruczał Jlisak. – Coś takiego łatwo się łamie. – I jeszcze w czasie gdy Wawrzyniec patrzył ku niebu ze zdziwieniem, zapytał: – Dokąd płyniemy, paniczu?*

*Wawrzyniec wyjaśnił mu teraz, że szuka kobiety, o której wie jedynie, że mieszka w studni. Ze trzciniaста, mała istota wodna zapewniła go, iż ta kobieta wskaże mu drogę powrotną do świata jego ojca. Bo on, z tęsknoty za swoją ukochaną damą Lucyndą, przeszedł na drugą stronę przez tarczę-zwierciadło i nie znajdzie teraz drogi powrotnej bez pomocy z zewnątrz.*

*Flisak przysłuchiwał się temu wszystkiego z tą samą gniewną miną.*

*– Już dobrze, synku – rzekł teraz nieoczekiwanie przyjaznym tonem. – Będzie cię to kosztowało siedemnaście lśniących guldenów. Całe osiem podaruję ci, jeśli oddasz mi swego konia. Nie co dzień zdarza się, by tak okazałe zwierzę spadało z nieba – nawet tutaj.*

*Laurencjusz przestraszył się. Miałby oddać swojego poczciwego karosza? Nie mógł przecież wrócić do zamku swoich przodków jako rycerz bez konia.*

*– Do studni jeszcze daleka droga – rzekł Jlisak. – Siedemnaście tutejszych mil w dół rzeki. I jaki pożytek będziesz miał z konia, gdy dotrzesz już do celu? Najpóźniej tam będziesz musiał go zostawić, gdy będziesz zstępował do studni.*

*Z ciężkim sercem Wawrzyniec przystał na tę propozycję. Choć chętniej oddałby swoją tarczę, która już i tak straciła swoją magiczną moc. Jednak później okazało się, że nie miał przy sobie nawet wystarczającej liczby monet, by zapłacić te brakujące dziewięć guldenów. Ostatecznie swego właściciela zmieniły i koń, i tarcza, a Wawrzyniec dostał kilka miedziaków reszty.*

*Z przygnębieniem patrzył, jak Jlisak prowadził karosza do drewnianej szopy, która znajdowała się z tyłu tratwy, i zawiesza tam na haku drogocenną tarczę z mosiądzu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że dał się oszukać. Ale teraz było już za późno – Jlisak nie odda mu już ani konia, ani tarczy.*

*Poszukał sobie miejsca między małowównymi podróżującymi. Dopiero teraz zaczął postrzegać swoje dalsze otoczenie. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się pola uprawne. Rowy z wodą przecinały pola. Wszędzie widać było mężczyzn oraz kobiety, którzy chodzili po polach między roślinami podlewając uprawiane owoce dziwną wodą, czerpaną najwidoczniej z tych rowów. Była to najbardziej osobliwa woda, jaką kiedykolwiek widział. Świeciła się i połyskiwała, jakby rolnicy dodali do niej szafran, indygo, a do tego jeszcze kilka promieni światła słońca i księżyca. Gdy wylewali ze swych konew i wiader tę świecąca się wodę, to prawie wydawało się, jakby wypływały z nich kolorowe obrazy.*

*Oczarowany tą dziwną scenerią, Wawrzyniec już wkrótce zapomniał o swoich zmartwieniach, których przysporzył mu chciwy Jlisak. Przepływali teraz obok ciągnących się w nieskończoność pól, pełnych kwitnących krzewów. Był to prawdziwy ocean białych jak lilie i połyskujących na niebiesko kwiatów o najrozmaitszych formach – kielichów, kul, półksiężyców. Ze swego rodzaju przyjemnym zdziwieniem Wawrzyniec spostrzegł, że na każdym pojedynczym płatkach kwiatowym odwzorowane są błyszczącymi barwami tajemnicze znaki. Raz wzory te przypominały znaki pisma, innym razem znowuż kunsztownie wykonane rysunki. Mogło się przy tym okazać, że w rzeczywistości nie chodzi ani o znaki pisma, ani o rysunki. Ale przesuwając się obok nich, Wawrzyńcowi wydawało się, że całkiem wyraźnie dostrzega lukowate L, błyszczące się żółto słonecznie na listkach kwiatowych jednego z krzewów. Na liściach kwiatowych sąsiedniego*

krzewu odszyfrował z kolei świecące się na niebiesko U, a chwilę później także kunsztownie zdobione, pełne zawijasów, połyskujące na czarno X.

Lux, światło, pomyślał i pokręcił głową, wciąż jeszcze się przy tym uśmiechając. Ale gdy ponownie się odwrócił, by jeszcze raz wziąć pod lupę te kwitnące znaki pisma, jego oczom ukazał się zupełnie inny widok. To, co przed chwilą uznał za L, przypominało teraz ustylizowaną dłoń z rozstawionymi w prawym rogu palcem wskazującym i kciukiem. W przypadku domniemanego U rozpoznał tym razem uniesioną do walki tarczę, a rzekomy X przypominał teraz odcisk szponów jakiegoś drapieżnego ptaka.

Wawrzyniec wychylił się w prawą stronę i zanurzył dłoń w wodzie. Mimo że na tym niebie nie płonęło żadne słońce, nagle zrobiło mu się gorąco. Woda była rozkosznie chłodna w dotyku i tak przejrzysta, że można było dojrzeć dno. Ryby sunęły w dole po piasku i kamieniach rzecznych. Wawrzyniec nabrał trochę wody do zgłębienia w swej dłoni, ale gdy chciał już przystawić ją do ust, dopiero wtedy zlał się potem. To, co nabrał do ręki, okazało się połyskującym śluzem, który nieustannie zdawał się zmieniać barwy i kształt. Wpatrując się w swoją dłoń, ujrzał powabny, dziewczęcy uśmiech, błyszczący się miecz, poza tym znowu tamte U i X. Po chwili ostatnie kolorowe krople przeciekły mu między palcami, a on widział już tylko swoją uwypukloną dłoń, która była gorąca i obolała, jakby wyłowił nią z rzeki żarzące się kawałki Węgla.

Wawrzyniec rozejrzał się dookoła ze zdziwieniem. Większość pozostałych podróżnych patrzyła niezmiennie z wymalowanymi na twarzach zaczarowanymi uśmiechami w stronę pól, które przewijały się po obu brzegach rzeki. Po jego lewej stronie siedziała liczna rodzina, dzieci w każdym wieku, ojciec, matka oraz para pomarszczonych staruszków. Wszyscy oni z cichą powagą wyglądali w stronę przesuwanego się przed ich oczami krajobrazu. Obrócił się i cofnął z przerażenia na widok pooranej zmarszczkami twarzy jakiejś starej kobiety. Siedziała tak blisko za nim, że jej koścista broda omal nie wbiła się w jego ramię.

Wawrzyniec wyciągnął w jej stronę swoją rękę.

– Woda... – zaczął, jednak kobieta zaraz wpadła mu z wraskiem w słowo.

– Tutaj każdy sam sobie wróży z dłoni! – Jej jazgot boleśnie świdrował mu w uszach.

Jeszcze raz nabrał ręką wodę i ponownie wyciągnął dłoń w stronę staruszki.

– Powróż mi. – Jednak ta odepchnęła jego rękę i obserwowała, śmiejąc się przy tym i psiocząc, jak woda znów przeciekała mu między palcami. Tym razem Wawrzyniec ujrzał ziemistobrązową wieżę, ozdobioną blankami, lśniąco czarnego konia i znowu tamte X i U, które równie dobrze mogły być odciskiem szponów lub uniesioną tarczą, albo nawet czymś innym,

czarodziejskim zaklęciem.

Wawrzyniec zerwał się z miejsca i zaczął niespokojnie chodzić po tratwie. Nie chciał już dłużej siedzieć przy tej staruszce, ale odczuwał nieodpartą potrzebę, by porozmawiać z kimś o tajemniczym świecie, w którym się znalazł. Jednak nikt nie chciał się dać wciągnąć w rozmowę – wszyscy podróżni patrzyli jak urzeczeni na pola. Tylko Jlisak skinął w jego stronę zachęcająco, ale z nim Wawrzyniec nie chciał zamienić już żadnego słowa, o ile nie było to konieczne.

Tymczasem prąd stał się silniejszy, a ich tratwa – kołysząc się na falach – leciała teraz jak strzała. Wawrzyniec poszukał sobie nowego miejsca siedzącego, znajdującego się równie daleko od staruszki i flisaka. Mniejsze statki przepływały obok nich wypełnione pianą burzącej się wody. Nieforemne łodzie zostały zepchnięte w stronę brzegów i musiały przepuszczać szybsze pojazdy. Tuż przed nimi znajdowało się teraz czółno z białym koniem, który sprawiał wrażenie, jakby był uwięziony w sieci czarnych linii. I nagle Jlisak jął uderzać swoim kijem o koryto rzeki jak oszalały, wykrzykując przy tym zdyszonym głosem:

– To przynosi szczęście, to przynosi szczęście!

W końcu ich tratwa rzeczywiście przepłynęła obok czółna. Zwierzę stało nieruchomo na kołyszącym się czólnie, które zdawało się dryfować bez steru. Jednak gdy Wawrzyniec przyjrzał się z profilu temu koniowi szlachetnej rasy o lśniaco białej sierści i z wytwornym wzorem w linie, stało się dla niego jasne, że koń kieruje czółnem wyłącznie siłą swojej woli.

Wawrzyniec spędził dalszą podróż, pograżając się w myślach. Prawie nie zauważył, że wpłynęli do małego portu, a większa część podróżnych zeszła z pokładu, ani tego, że Jlisak znów wypłynął tratwą na rzekę, by po wielu godzinach ponownie pokierować nią w stronę przystani. Tutaj tratwę opuściła większość pozostałych pasażerów – poza Wawrzyńcem na pokładzie, na swoim miejscu, pozostała tylko ta staruszka, która śmiała się z niego, psiocząc.

I znów sunęli między polami z kwitnącymi krzewami, nawadnianymi przez kobiety i mężczyzn świecąca się wodą. Wtedy Wawrzyńcowi przyszła do głowy myśl, która wprawiała go w głębokie przerażenie. Poszedł przez kołyszącą się tratwę w stronę staruszki i kucnął przy niej.

– Powiedz no, starowinko, czy to ty jesteś tą kobietą, która mieszka w studni?

Jej dyszenie i skrzeczenie trudno było uznać za śmiech. Wyrzuciła ramiona wysoko w górę i w każdej ręce trzymała żelazne wiadro. W czasie gdy uderzyła o siebie pojemnikami nad głową, krzyczała raz po raz:

– Chcę do Kobiety z Mułu, ale sama nie jestem Kobieta z Mułu.

Wawrzyńcowi udało się z trudem ją uspokoić. W końcu odstawiła wiadra, a on dowiedział

się, że kobieta przemierza całą rzekę w dół raz w miesiącu. Bo też muł w studni był – jak okiem sięgnąć – najprzedniejszego gatunku.

– Nie ma w ogóle porównania z tutejszymi pomyjami!

– zanurzyła rękę w rzece i opryskała go połyskującym śluzem. A on zobaczył wtedy węże i nowo narodzone niemowlęta, podrygujące w nieładzie w zagłębieniu w ziemi, aż ostatnie krople przeciekły jej między guzowatymi palcami.

– A już na pewno bez porównania – rzekł bardziej do siebie niż do starej – z mułem w studni w nadziemnym świecie pod niebem z lupków skalnych.

Kobieta kiwnęła głową z zapalem, ale Wawrzyniec nie był pewien, czy zrozumiała, o czym mówił. Wskazał na dziurawe, szare niebo ponad ich głowami.

– Czy byłaś już kiedyś tam u góry, starowinko?

Jeszcze zanim zdążyła mu odpowiedzieć, szarpnęło tratwę, a karosz w drewnianej szopie zarżał przerażony. Flisak podpłynął na mieliznę przy brzegu, bo najwidoczniej nie było tu żadnej przystani.

– Wysiadać, moi państwo – krzyknął, wskazując wyciągniętą rękę w górę ku skarpie. Jego gest przywiódł Wawrzyńcowi na myśl kamienne figury z nadziemnego świata. Ale czuł taki wstręt do flisaka, że na pożegnanie skinął tylko głową w jego stronę, nie odzywając się ni słowem. Następnie przecisnął się na brzeg między drewnianą szopą, przed którą kotysała się jego tarcza z mosiądzu, a staruszką z dwoma żelaznymi wiadrami.

Wawrzyniec zwinnym skokiem znalazł się na skarpie. Z jakiegoś powodu spodziewał się, że zastanie tu u góry jakąś osadę z domami otaczającymi wyłożony kocimi łbami lub przynajmniej udeptany plac ze studnią pośrodku, w której napotkałby w końcu poszukiwaną przez siebie kobietę. Jednak zamiast tego znalazł się na obrzeżach bezkresnego, bagnistego i błotnistego pustkowiecia. Niewiele różniło się ono od tamtej pierwszej głuszy ze żwiru i piasku, która zamknęła mu drogę powrotną, gdy zmierzał od zamku Lucyndy do świata jego ojca. Tyle tylko, że tutejsze pustkowiecie zdawało się mokre, miękkie i grząskie, a tamta głusza była sucha, twarda i nieprzystępna.

Za plecami usłyszał dyszenie staruszki z wiadrami, która nadchodziła właśnie w jego stronę.

– A teraz idź cały czas za mną, synku – wyskrzeczwała.

Przez kilka chwil przyglądał się, jak wchodzi chwiejnym krokiem do bagna, kierując się ledwo widoczną ścieżką. Następnie podążył za nią.

– *Wszystko będzie dobrze, synku.*

*Po tym jak przez dłuższy czas szli pod niebem wysłanym zmartwieniami, staruszka zaczęła grzęznąć w bagnie na oczach Wawrzyńca. Jak do tej pory szła przed nim, wymachując wiadrami w lewo i w prawo, ale z każdym krokiem wydawała się teraz o kilka cali mniejsza. Już wkrótce błoto sięgało jej aż po łydki, ale ona wciąż podnosiła i opuszczała swoje nogi, tyle tylko, że przychodziło jej z to z większym trudem niż przedtem. A Laurencjusz Answer szedł za jej przykładem.*

*Ich droga stawała się coraz bardziej śliska i spadzista. Wawrzyniec nie czuł się przy tym zbyt dobrze, bo najwidoczniej ześlizgiwali się zjeżdżalnią z błota do podziemnego świata. W pewnym momencie staruszka po prostu się zatrzymała, jedną nogę wyciągnęła przed siebie, ramiona z wiadrami rozpostarła na boki, by nabrać lepszej równowagi, i ześlizgnęła się, wydając radosne okrzyki. Wawrzyniec podążył tuż za nią, wymachując rękami, aż w końcu położył dłonie na jej kościstych biodrach i pchał ją przed siebie.*

– *Wyborny muł! – wykrzyczała radośnie staruszka. – Zobaczysz, synku! Nic, co by ci przeciekało między palcami.*

*Zanim zdążył jej cokolwiek odpowiedzieć, rzuciło ją na niego do tyłu i oboje wpadli do błota.*

– *Jesteśmy na miejscu, synku. Poproś ją pokornie o pomoc, a wtedy wszystko się dobrze ułoży. – Wstała z wielkim trudem, przebierając nogami i dźwicząc wiadrami.*

*Wawrzyniec poczuł się nagle nieprzyjemnie. Cały czas rozważał na wszystkie strony, jak mógłby znaleźć kobietę w studni. Ale ani przez chwilę nie zastanawiał się, o co miałby ją zapytać lub w jaki sposób mógłby ją przekonać, żeby mu pomogła.*

*Pogrążony w myślach, przyglądał się, jak staruszka przed nim schodziła do studni. Była nią po prostu dziura w błotnistej ziemi, z maleńkimi stopniami w ścianie z mułu, które prowadziły nie wiadomo jak głęboko w dół. Ale staruszka niczym salamandra pobiegła zwinnie tymi przyprawiającymi o zawrót głowy schodami, wymachując przy tym wiadrami w rękę.*

– *Sam tylko popatrz, synku, co za muł.*

*Niezdarnie podążył za nią, z piersią przyciśniętą do ściany z mułu, wbijając się obiema rękami w błoto. Gdy dotarł w końcu na dół, znalazł się w sercu płynnej gwiazdy. Przezryste, mocne źródło wytryskało tu z ziemi, zasilając cały tuzin bulgocących potoków, które płynęły następnie ciemnym tunelem we wszystkich kierunkach.*

*Staruszka usiadła w kucki w zagłębieniu nad brzegiem i zaczęła rękami szuflować muł do*



swych wiader.

– Patrz tylko, tynku – powiedziała znowu zdyszczanym głosem.

Muł między jej palcami mienił się i błyszczał wszystkimi barwami. Ale Wawrzyniec nie zważał już na starą, bo dostrzegł kobietę mieszkającą w studni. Ta siedziała na ziemi, z plecami opartymi o ścianę studni. Jej długie włosy, jej twarz, a także ręce, były pokryte mieniącymi się obrazami. Jej czoło przedstawiało świecący półksiężyc, jeden z policzków – wilczą norę, a drugi – odświeżnie iluminowany pałac. W jej lewej dłoni tańczyła para młodych, a w prawej – młody rycerz zacięcie walczył z mającym nad nim przewagę, brodatym przeciwnikiem. Gdy uśmiechnęła się, Wawrzyniec zauważył, że jej język – podobnie jak tamte liście kwitnących krzewów – był usiany znakami. Kolory jej oczu zmieniały się tak szybko, że zaczęło mu się kręcić w głowie, gdy na nie patrzył – lewe było zielone, później bursztynowożółte, tymczasem prawe – najpierw niebieskie, a potem lśniaco czarne.

– Pani, pomóżcie mi, proszę – wyjąkał i rzucił się przed nią na mieniący się muł. – Muszę wrócić do świata mego ojca i nie mogę znaleźć drogi.

Nie odpowiedziała ani słowem, tylko wciąż się uśmiechała i mieniła w jego stronę.

– Mądra matko – błagał Laurencjusz Answer. – Proszę, pokażcie mi tę drogę. – Podniósł głowę i zorientował się, że nie odpowie mu, a przynajmniej nie na ludzki sposób. Niezmiennie uśmiechając się i mieniąc w jego stronę, wyciągnęła ku niemu w dół ręce, w których po lewej tańczyła para młodych, a po prawej młody mężczyzna walczył ze starym. I Wawrzyniec zauważył teraz, że ucieleśnia dwie postacie – tańczącego pana młodego i walczącego rycerza.

Podniósł się i wyciągnął w jej stronę swoje ręce. Wtedy ona skrzyżowała swoje ramiona i dotknęła pośpiesznie jego prawej ręki swoją lewą i jego lewej ręki swoją prawą. A gdy on popatrzył na swoje dłonie, tu i ówdzie leżały grudki mułu.

Popatrzył na nie nieruchomym wzrokiem i nie wiedział, co dalej począć.

– Nasmaruj się, synku – wy stękała stara ze swojej wnęki. Gdy popatrzył w jej stronę ku górze, nakładała sobie obiema rękami muł na twarz. Nie zastanawiając się długo, zrobił to samo.

Gdy znów spojrział w dół na swoje dłonie, ujrzał w nich zamek przodków, jego ukochany dom rodzinny, w którym dorastał. Mury, za nimi główny dom, ozdobione blankami wieże mieszkalne – nie brakowało niczego, a wszystko było widać bardzo wyraźnie, zupełnie jakby spoglądał w dół przez otwarte okno na zamku Answer, tyle tylko, że z ogromnej odległości.

– Jak tam się dostanę, mądra matko? – zapytał, ale odpowiedzi już nie dosłyszał. Wokół niego podniósł się szum, który dopadł go niczym burzowy wiatr i porwał ze sobą. Głową do

*przodu został wciągnięty do jednego z wypełnionych mułem tuneli, czuł już, jak nurt porywa go i niesie ze sobą. Strużka przeszła nagle w rzekę, która – przelatując pod ziemią jak strzala – porwała go z taką siłą, że stracił zmysły.*

*Doszedł znowu do siebie dopiero wtedy, gdy leciał stromo w górę, jakby został wystrzelony z katapulty. Wciąż jeszcze otaczała go gulgocąca ciemność. Jednak u góry, ponad swoją głową ujrzał jasny punkt, który szybko narastał, przechodząc w jasny jak słońce otwór, nad którym wszystko chwiało się i rozmywało, jak za szybą z nierównomiernie wydmuchanego szkła.*

*Potem przebił się przez to głową i okazało się, że nie było to szkło, lecz lustro wody. Wystrzelił z niej, prychając, opryskiwany kroplami wody, i upadł miękko na ciepłą, skapaną w słońcu łąkę. Leżąc, obracał głowę tam i z powrotem. Pszczoły i trzmiiele latały żwawo między kwiatkami i brzęczały. Dwa kroki od niego z dziury w ziemi wytryskiwało źródło potoku. Laurencjusz Answer podniósł się. Na jego twarzy malował się niedowierzający uśmiech. Na tej łące bawił się jako mały chłopiec. Później, gdy miał dwanaście, może trzynaście lat, ćwiczył się tu, wraz ze swoimi braćmi i paziami, którzy dorastali na zamku Answer, w szermierce i kluciu lancą.*

*Znów był w domu. Ale nad zamkiem Answerów powiewała chorągiew wrogów, którzy wzięli jego ojca w lochu pod jego własnym zamkiem.*

*Wawrzyniec uniósł ręce przed twarz. Jeszcze przez krótką chwilę widział w nich kobietę ze studni, jak się do niego uśmiecha, jak kolory jej oczu zmieniają się z szybkością przyprawiającą o zawrót głowy, i jak na jej języku rozbłykiwały tajemnicze znaki – rozstawione pod kątem prostym palce, uniesiona tarcza i szpony drapieżnego ptaka.*

# ROZDZIAŁ VII

# 1

PIORUNY TRZASKAŁY MU TUŻ NAD GŁOWĄ. W panice rozejrzał się dookoła. Na łące pod zamkiem nie było – jak okiem sięgnąć – żadnego schronienia. A grzmiało tak głośno, jakby ktoś odpalał z góry w jego stronę armaty...

Amos przetarł sobie oczy. Świat wokół niego zdawał się blaknąć – zamek Answer w oddali, łąka, źródło potoku wytryskujące z ziemi, nawet krople ciekące mu z włosów – wszystko wydawało się szare i niewyraźne. Spoza tych obrazów wychynęła mała izba w wieży: kamienny stół, leżąca na nim otwarta książka. Jednak wciąż jeszcze wyraźnie słyszał bulgotanie wody i trzask eksplozji.

– Nie jestem Laurencjuszem – wymamrotał pod nosem. – Jestem Amos von Höhenstein. – Oszołomiony, podniósł się z kamiennej ławy. Na dworze nadal szalała burza. Grzmocące uderzenia pochodziły od piorunów, a bulgotanie było spowodowane nawałnicą, która niezmiennie przechodziła nad wieżą i skałami. Błyskawice rozdzierały niebo i wypełniały małą izbę drgającym, oślepiającym białym światłem.

Jak długo mógł przebywać w świecie Wawrzyńca? Amos podszedł do luku okiennego wychodzącego na zachód – ciemne chmury wciąż pędziły po niebie, jednak od strony horyzontu stawały się płomiennie czerwone. Dzień znów chylił się już ku końcowi.

Trzęsąc się, pocierał sobie pierś i ramiona. Powietrze było dotkliwie schłodzone, a koszula, którą zdjął nad ranem, leżała w deszczowej kałuży na podłodze. Z lekkim żalem Amos pomyślał o swoich starych ubraniach, koszuli i kaftanie, które zostawił nad jeziorem w lesie.

Ale za to udało mu się pozbyć w lesie łowców książek. A może nie? Chodził od okna do okna i uważnie wypatrywał w drgającym świetle błyskawic. Nie dostrzegał jednak najmniejszego śladu po Skythisie ani po jego psie myśliwskim. Być może Johannes rzeczywiście odmówił posłuszeństwa starszemu łowcy książek i uciekł? Jeśli podążyli wcześniej fałszywym tropem aż do miejsca, gdzie się kończył, to Johannes musiał przeczytać większą część pierwszej opowieści z *Księgi duchów*. A tym samym jego żądza uratowania i chronienia książki, dzięki czemu mógłby

ją dalej czytać, już dawno musiała stać się silniejsza niż strach przed tym rzekomo diabelskim dziełem.

W czasie gdy Amos o tym myślał, podszedł do szczyrby okiennej wychodzącej na wschód i omal nie stanęło mu serce. Zajęczał, schylił się w tym samym momencie pod luk i wypatrywał już tylko jedną połowę oka na zewnątrz. Czy tamten mężczyzna po drugiej stronie go zauważył? Pod maską z łatanej skóry przez krótką chwilę rozbliły oczy, o ile można to było w ogóle dostrzec w niepewnym świetle burzy. Stał na skraju wąwozu, dokładnie tam, skąd Amos przerzucił nad ranem linę na żelazny hak pod drzwiami wieży. Jednak teraz wichura wyła tak mocno nad gołym płaskowyżem, że mężczyzny omal nie rzuciło w przepaść. Tym opadającym ku wąwozowi wzniesieniem spływała zewsząd woda i gdy mężczyzna odwrócił się i usiłował odsunąć się od przepaści, potknął się i upadł jak długi na brzuch.

Pancerz z łat skóry, który pokrywał jego ciało od stóp do głów, sprawiał, że wyglądał teraz zupełnie jak jedna z tamtych strasznych, olbrzymich jaszczurek, które Amos widział w *Weltchronik* (Kronice świata) Schedla. Przez kilka chwil mężczyzna wierzgał rękami i nogami po śliskim podłożu. Gdy już udało mu się wstać z trudem, ruszył ciężkim krokiem, rozpryskując dookoła krople deszczu, w stronę mizernych świerków na tylnym końcu skalnego płaskowyżu.

Do tej pory Amos uznał za całkiem oczywiste, że ów opancerzonym mężczyzną jest woźnica, który kierował żelaznym wozem. Jednak gdy Amos podążał teraz za nim wzrokiem, przyglądając się, jak tamten idzie w dudniącym deszczu w stronę tylnej krawędzi płaskowyżu, z przerażenia omal nie zapomniał oddychać: z tyłu dwóch kolejnych mężczyzn włąziło po gałęziach skarłowaciałych drzew na wzniesienie i obaj nosili takie same szaty, hełmy i maski ze skórzanych łat. Ich kompan perswadował im coś, gwałtownie gestykułując. Wielokrotnie się przy tym obracał, wskazując w stronę wieży.

Drżąc cały na ciele, Amos wypuścił nagromadzone w płucach powietrze. Jednak zanim ponownie nabrał powietrza, w mieniącym się świetle błyskawic po drugiej stronie znów ktoś pociągnął w dół jedną ze świerkowych gałęzi: z włosami i ubraniem szerniałymi od wilgoci, podcenzor Skythis wciągnął się na płaskowyż. Ten przypominający wilka łowca ksiązek wyłonił się, potykając, spod gąszczu gałęzi, wyprostował się i popatrzył nieruchomym wzrokiem w stronę wieży po drugiej stronie. I właśnie w tym momencie nad ich głowami rozdarło się niebo i potok wieczornego światła rozlał się nad wypłaszczeniem. Światło zabarwiło na czerwono zazwyczaj zszarzałe pancerze z łat i szary ubiór Skythisa, a także oświetliło nędzne stworzenie, które ten ciągnął za sobą. Linię, na której prowadził Johannaesa, ten ostatni miał teraz uwiązaną na

szy, a jego ręce były przywiązane po lewej i prawej stronie do powrozu.

Zabiją mnie, przeszło Amosowi przez głowę.

Opadł na podłogę pod lukiem okiennym i zamknął oczy. Kronusie, mój mądry panie, uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy, by uratować książkę, ale to nie wystarczyło. Wywiodłem łowców książek w pole i sam schroniłem się w najbezpieczniejszej kryjówce, jaką udało mi się znaleźć, ale to nie wystarczyło. Przeczytałem drugą opowieść z *Księgi duchów* i przyswoiłem ją sobie tak dobrze, jak tylko potrafiłem, ale najwidoczniej i to nie wystarczyło.

Zaczęły go palić oczy i gardło. Na dworze trzaskały pioruny, a błyskawice znów rozdzierały przeorane czarnymi i czerwonymi pasmami niebo. Deszcz spadał z gwałtownym hukiem, a burza krążyła wokół wieży niczym całe wojsko wyjących duchów.

Kronusie, mój dobrotliwy ojciec, pomyślał Amos, zaklinając, jeśli słyszycie moje myśli, dajcie mi jakiś znak!

Nie otwierając oczu, wsłuchiwał się z wytężeniem w samego siebie. W swoim wnętrzu ujrzał pulsujący, rdzawozłoty punkt światła, jego własne magiczne serce. Odchodził od niego silny promień, który łączył go z innym źródłem światła, srebrzyście lśniącym, jak niegdyś pentagram na pulpicie Kronusa.

Kronusie, panie, zaczął znowu Amos, ale czuł przecież, że to nie był Kronus.

Po drugiej stronie, na skalnym płaskowyżu, metaliczne uderzenia mieszały się z trzaskiem rozlatującego się drewna i hukiem burzy. Te uderzenia były o wiele słabsze od trzasku grzmotów, a mimo to wzdrygiwał się za każdym razem ze strachu, jakby to właśnie jego trafiło.

Ścinają drzewo, pomyślał Amos. Wysunął się nieco do góry i wyjrzał przez szczerbę okienną. Dwóch spośród opancerzonych mężczyzn uderzało na zmianę swymi toporami wojennymi w jedno ze skarłowaciałych drzew. Wybrali najdłuższe i najzdrowsze, i nie trzeba było mieć wcale profetycznych mocy, by przeczuć, co knuli: przeciągną pień drzewa aż do grani skalnej i tak go przerzucą nad wąwozem, że przejdą – balansując – do jego wieży lub będą przesuwać się nad przepaścią, zwisając na rękach.

Znów przykucnął na podłodze. Być może będą potrzebowali jeszcze pół godziny, a może jeszcze trochę więcej czasu, jeśli poczekają, aż przejdzie burza. Ale wtedy przyjdą tutaj, a on w żaden sposób nie będzie mógł ich powstrzymać.

Znalazł się w potrzasku.

Znów kleiły mu się oczy, jednak tym razem bardziej z rezygnacji i zmęczenia. Znowu ujrzał w swoim wnętrzu promień światła, łączący jego magiczne serce z tamtym drugim,

srebrzystym źródłem światła.

Co miała oznaczać ta plamka światła? Nie był to Kronus, a już na pewno nie Johannes – ten ostatni leżał po drugiej stronie na kolanach pod drzewami, uwiązany na linie jak pies, i najwidoczniej nazbyt wyczerpany, by być rabusiem obcych źródeł światła.

Topory uderzały w drzewo z metalicznym trzaskiem i za każdym razem pień odpowiadał głośniejszym skrzypieniem i trzeszczeniem. Jeszcze tylko dwa, trzy uderzenia, i drzewo runie z trzaskiem na ziemię.

Zabiją mnie, panie. Jeśli mnie słyszycie, to dajcie mi jakiś znak. Zaklinająco wsłuchiwał się w siebie i jednocześnie w milczącą dal świata duchów.

Wtedy poczuł nagle ssanie, przechodzące od pępka do gardła, i jednocześnie szum w głowie, jak przy gwałtownych zawrotach głowy. I gdzieś w jego wnętrzu podniósł się jakiś głos, który brzmiał jasno, prawie delikatnie, a mimo to stanowczo:

– *Kto tam?*

Dostał gęsiej skórki, na ramionach, piersi i na plecach. Przy tym już od dłuższego czasu nie odczuwał dreszczy.

– *Halo?*

Głos rozbrzmiewał w jego głowie i jednocześnie gdzieś spoza niej, jakby z nieba, z głębi lasu i wąwozu. I nie było to charakterystyczne brzmienie – przypominało raczej natarczywy szept, niczym we śnie. Jak szept kwiatów i grudek ziemi w chwilach zawieszenia między snem a jawą, kiedy mamy nieodparte uczucie, że na całym świecie nie istnieje nic, co nie byłoby nieożywione.

– *Czy ktoś jest?*

I że drzewa i trawy, skały i potoki, ba, nawet piasek i żwir, kurz i popiół są wypełnione życiem, że mają udział w otaczającej nas rzeczywistości i w naszych działaniach.

– *Kronusie?* – Amos jeszcze raz pomyślał jego imię, przyzywając go. Jednocześnie już od dłuższej chwili czuł, że tamto srebrzyste źródło światła, ten jasny, a mimo to stanowczy głos, który słyszał w swoich myślach, nie należy do starego mężczyzny. A mimo to obudził się w nim dar magii serca – i komuż innemu mógłby przekazać tę radosną nowinę, jeśli nie swojemu duchowemu ojcu, najmędrszemu czarodziejowi jak okiem sięgnąć.

Jeśli nawet nie potrafiłem uratować waszej książki, panie, to jednak zacząłem odbierać i rozumieć przekazywane magiczną drogą myśli.

I znów poczuł dochodzące z jego brzucha ssanie i szumy w głowie.

*– Nie nazywam się Kronus i nie znam nikogo o takim imieniu.*

Serce zaczęło mu walić tak mocno, że prawie zagłuszało dochodzący z zewnątrz trzask uderzeń. Powiedziała wtedy do niego tylko kilka słów, a właściwie rzuciła w jego stronę tam przy studni w Norymberdze jedynie opryskliwie: „Zrobiła, co takiego?”. A mimo to rozpoznał ten ton nawet w jej telepatycznym głosie.

*– A jak się nazywasz? –* Użył całej swojej zaklinającej mocy, by przesłać jej to pytanie w myślach na odległość.

*– Klara –* odparła, a jej głos rozległ się w jego głowie i nigdzie indziej na zewnątrz. *– Nazywam się Klara Thalgruber, a ty?*



## 2

JUŻ OD DŁUŻSZEJ CHWILI PRZECZUWAŁ, CO MU ODPOWIE, a mimo to serce przestało mu teraz bić na dwie sekundy. Miał takie przecucie i taką nadzieję, wierzył w to głęboko wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że to ona, że to mogła być tylko ona. Ona – Klara. Nie miał przy tym najbledszego pojęcia, jak to było możliwe.

– *Nazywam się... mam na imię... o mój dobry Boże...* – Jeszcze w mniejszym stopniu pomyślałby kiedykolwiek, że można się jąkać w myślach. – *Ja... jestem Amos von Höhenstein.*

Łzy po prostu trysnęły mu z oczu – z powodu ulgi, ze zdziwienia i wdzięczności. Musiał podeprzeć się o ścianę, tak zakręciło mu się w głowie, mimo że kuczał już na podłodze.

– *Klaro! Znamy się z Norymbergi. Miałem wtedy przy sobie list, który mi...*

– *Ukradłaś, no powiedz to wreszcie, Amosie.*

Otarł sobie łzy. I jeszcze mniej zdawał sobie sprawę, że można się też śmiać telepatycznym głosem. Jednak ona potrafiła – Klara, zielonooka złodziejka.

– *Ale to miała być tylko próba. Gdybym naprawdę chciała ci zwinąć ten list, nigdy byś go nie odzyskał.*

– *Próba? Poczekaj, o mój Boże, oni są już...*

– *Co się z tobą dzieje, Amosie? Sprawiasz wrażenie przerażonego. Gdzie ty w ogóle jesteś?*

– *Poczekaj, Klaro – ja...*

Nie miał innego wyboru, bo dochodzące z zewnątrz trzaski i jęki stawały się coraz głośniejsze. Otworzył oczy, a połączenie z Klarą urwało się. Było to uczucie, jakby błona śluzowa żołądka skurczyła mu się za jednym razem. Skurcz posuwający się od brzucha w górę. A wraz z szumem w jego głowie zamarł też jej głos tak szybko, jakby zatrzasnęły się jakieś wewnętrzne drzwi.

Oszołomiony, podniósł się i wyjrzał przez luk okienny.

Deszcz zelżał, a po burzy pozostał jeszcze tylko łagodny szum. Grzmoty i błyskawice

całkowicie ustąpiły, a w wieczornym świetle dwóch mężczyzn w przemoczonych, skórzanych pancerzach, wlokło właśnie ścięty świerk po skalnym płaskowyżu w stronę wąwozu.

– *Klaro?* – Znów zamknął oczy. – *Klaro, słyszysz mnie – Tak, tutaj jestem.*

– *Na zewnątrz są łowcy księżek, a ja jestem w potrzasku. Mnie... wydaje mi się, że mnie zabiją. A ja mam jeszcze tyle pytań, Klaro. Miałem właściwie nadzieję, że my razem... Ale z tego pewnie i tak już nic nie będzie. Powiedz mi, proszę, jeszcze tylko jedną rzecz. Jak nauczyłaś się magii myśli? Kronus zawsze powtarzał, że w tym celu trzeba przeczytać drugą opowieść z „Księgi duchów”.*

– *W takim razie znasz już odpowiedź* – odparła. – *Ale czy nie powinniśmy porozmawiać o tym później? Co znaczy, Amosie, że jesteś w potrzasku? Gdzie ty w ogóle siedzisz?*

Dochodzące z zewnątrz trzaskanie i skrzypienie brzmiało teraz niebezpiecznie blisko. Łowcy księżek musieli być już przy wąwozie ze swoim pnem drzewa. Ale Amos nie mógł się przemóc, by znów otworzyć oczy – ponownie straciłby wtedy kontakt z Klarą. Nie teraz, a być może nigdy więcej.

– *Nie tak daleko od ciebie, na zamku nad Wunsiedel. W takim labiryncie ze skał...*

– *Wiem.* – Wpadła mu w słowo. – *Dziewczyny z przytułku opowiadały o tym. Powinna tam być jakaś stara wieża obronna...*

– *Dokładnie tam teraz jestem, Klaro. Ale to jest pułapka. Łowcy księżek ścieli drzewo i kładą je właśnie jako kładkę nad wąwozem. Jeszcze tylko kilka minut, i będą tu u mnie.*

– *W takim razie podziuraw im pociskami tę kładkę!* – Klara potrafiła nawet krzyknąć w myślach, a jej głos odbijał się Amosowi echem w głowie.

– *Podziurawić kulami?* – powtórzył Amos. – *Ale ja mam tylko krótki miecz i...*

– *... a co z katapultą? Na dachu, tak opowiadała jedna z dziewczyn, z całym zapasem kamiennych kuli* Gdy Amos usłyszał słowo *katapulta*, od razu zerwał się na równe nogi.

– *Chwila, zaraz się do ciebie odezwę.* – Wyjrzał przez luk okienny Obaj opancerzeni mężczyźni taszczyli ze sobą, dysząc, pień drzewa w stronę krawędzi wąwozu. Wciąż jeszcze śliski od wilgoci grunt skalny pod ich nogami zmuszał ich do ostrożnego posuwania się do przodu, w przeciwnym razie runęliby w przepaść wraz z tym, co nieśli. Tak czy owak, od wąwozu dzieliło ich co najwyżej pięć kroków.

Przekłęci, pomyślał Amos, i już wybiegał przez drzwi izby, popędził wąskimi, krętymi schodami jeszcze wyżej, aż na dach. Na najwyższym stopniu przykucnął i czołgał się teraz na czworaka, zmierzając przez sięgające do kostek kałuże deszczu w stronę balustrady w murze po

prawej stronie. Ostrożnie uniósł głowę i spoglądał w dół między dwoma blankami.

W tym czasie obaj mężczyźni dowlekli pień drzewa do krawędzi wąwozu. I właśnie podnosili go, sapiąc głośno i klnąc, by już za chwilę upuścić z trzaskiem drzewo wierzchołkiem, przy którym zwisało jeszcze kilka mizernych konarów i gałęzi, na stopień pod drzwiami wieży.

Tymczasem trzeci opancerzony mężczyzna stał pośrodku gołego wzniesienia z wyciągniętymi rękami. W ustach trzymał biały jak kreda gwizdek, z którego wydobywał przeraźliwe dźwięki. Jeszcze zanim wybrzmiały, ze skał i drzew wzleciały trzy ogromne ptaki – sokoły, które – szumiąc skrzydłami – wylądowały na nim. Dwa usiadły na jego ramionach, trzeci – na głowie.

Amos odwrócił się w stronę katapulty, jak Klara określiła tę archaiczną aparaturę. Była to ogromna proca przytwierdzona do żelaznej kolumny, pośrodku kalenicy wieży Z potężną żelazną sprężyną, napinaną za pomocą korby, i kamienną półrurą, do której wkładało się kule. Całe to urządzenie można było obracać na żelaznej kolumnie w dowolnym kierunku. Co zaś się tyczyło kamiennych kul, to zapasy były raczej skromne – obok katapulty na ziemi leżały dokładnie trzy sztuki. Poza tym wydawało się, że całego tego urządzenia nie używano od wieków. Żelazne części były pokryte rdzą, a kamienne kule – szlamem i mchem.

A mimo to musiał spróbować – ta chwiejąca się broń była jego ostatnią deską ratunku.

Amos podniósł z ziemi jedną z kul tak cicho, jak to tylko było możliwe, a następnie włożył ją przed sprężynę. Kula była większa od ludzkiej czaszki i tak ciężka, że tylko z trudem udało mu się ją unieść obiema rękami. I niezależnie od tego, jak bardzo archaiczna była ta katapulta, bez wątpienia stanowiła straszną broń.

Z obiema rękami przyłożonymi do korby i dziko walącym sercem czekał, aż mężczyźni opuszczą swoją kładkę nad przepaścią. Jeden z nich wyrzucił z siebie okrzyk – zaklął lub wydał rozkaz, i w tej samej chwili pień drzewa opadł z trzaskiem swoim wierzchołkiem do przodu na podnóże wieży. W czasie gdy rozlegał się huk, Amos kręcił korbą tak szybko, jak to tylko było możliwe, i nie posiadał się ze szczęścia – zardzewiała sprężyna napięła się, a za każdym obrotem korbą zaciskała się jeszcze trochę bardziej.

Ale gdy był już gotowy – sprężyna zdawała się wystarczająco napięta, katapulta skierowana dokładnie na pień drzewa, a jego ręka ułożona na dźwigni, która zwalniała sprężynę – wtedy pierwszy z opancerzonych łowców ksiązek przeszedł już nad wąwozem na drugą stronę. Spomiędzy blanków Amos obserwował, jak zwinnie przechodzi po kładce i przez krótką chwilę przemknęła mu myśl przez głowę: nie mogę do niego strzelać. Jednak jeszcze w tym samym

momencie pociągnął dźwignię w górę, a sprężyna gwałtownie przesunęła się z żelaznym zgrzytem do przodu, mocno uderzając w kamienną kulę.

Pocisk potoczył się najpierw ociężale wzdłuż lufy, jednak z każdym obrotem kula zdawała się nabierać prędkości. Przeleciała sążnie nad balustradą i uderzyła z trzaskiem w pień drzewa na dole, a kładka łowców książek pękła w połowie z żalonym trzaskiem. Przez krótką chwilę przewieszony nad wąwozem, złamany pień przypominał swym kształtem literę „v”, później kąt otwarł się u dołu, wyrzucając opancerzonych mężczyzn w przepaść. Burza przekształciła wąwóz w rwący potok. Amos widział, jak krzyczący łowca książek zanurzył się nogami do przodu w wodzie i jak ta od razu porwała go ze sobą, tocząc się dziko w dół doliny. I na nic się zdały nieszczęśnikowi bezwładne uderzenia rękami.

Amosowi zaczęły tworzyć się w głowie zarysy niedorzecznego planu ucieczki – może potrzask, w którym tkwił uwięziony, nie był tak naprawdę pułapką bez wyjścia. Ale Amos nie zdążył się nad tym zastanowić ani przez chwilę. Po drugiej stronie płaskowyżu ponownie rozbrzmiał przeraźliwy gwizd. W tym samym momencie wszystkie trzy sokoły uniosły się w powietrze i rzuciły się do ataku na niego. Ich olbrzymie skrzydła szumiały jak żagle, a ich bursztynowożółte oczy gapiły się na niego bez cienia litości, w czasie gdy zlatywały w jego stronę z potwornie ostrymi, olbrzymimi dziobami wysuniętymi do przodu.

Amos wyrwał krótki miecz z pochwy za pasem. Jeden sokół uderzył go w ramię ostrymi jak brzytwa szponami. Amos krzyknął z bólu i jął wymachiwać na oślep swoim krótkim mieczem. Ptaki skrzeczały, dyszały, uderzały skrzydłami i atakowały go swoimi dziobami. Poczuł, że ostrze jego miecza uderzyło o coś twardego, szpon lub dziób, a następnie ześlizgnęło się głęboko, wbijając w jakieś ciało. Trysnęła ciepła krew, która rozlewała mu się po ręce i ramieniu, zaczął dobywać się ohydny zapach czegoś nadgnitego i na wpół przetrawionego. Już po chwili Amos był przy schodach i pędził po stopniach w dół, z rękami uniesionymi nad głową, by bronić się w ten sposób przed atakami sokołów.

Dopiero gdy się odwrócił, będąc już pod drzwiami izby, spostrzegł, że sokoły zostały u góry. Najwidoczniej szyb ze schodami był dla nich za ciasny – między murami nie mogłyby nawet rozwinąć skrzydeł. Dwa spośród potężnych drapieżników siedziały na balustradzie i patrzyły za nim, szarpiąc głowami. Trzeci usiadł na ziemi, nieopodal katapulty, w kałuży krwi i piór. Gdy od strony płaskowyżu znów zagwizdał przeraźliwie gwizdek, oba sokoły natychmiast zerwały się z balustrady i wzniosły się ku górze. Trzeci uniósł głowę i zaczął z trudem uderzać skrzydłami. I dopiero gdy Amos wykonał ruch w jego stronę, ten również wznosił się w

powietrze i odleciał, zataczając się.

### 3

*KLARO, DZIĘKUJĘ ZA PORADĘ.*

Znów siedział w izbie pod szczerbą okienną z zamkniętymi oczami. Po zwycięskiej walce czuł się po prostu wspaniale. Serce wciąż jeszcze dziko waliło mu w piersiach, ale teraz nie było to już trwożliwe bicie, lecz tryumfalne bębnienie. Czyż nie wydawało mu się jeszcze przed chwilą, że łowcy książek go zabiją? I czy nie myślał, że lada moment przewróci się z wyczerpania? Teraz wszystko to wydawało mu się niedorzeczne. Był o wiele sprytniejszy i odważniejszy od mężczyzn na zewnątrz. Był niezmordowany i niezwycięzony. Bo w końcu posiadał magiczne moce i pozyskał najlepszego z możliwych sprzymierzeńców, jakiego kiedykolwiek mógłby sobie wymarzyć. Jeśli nawet wciąż wydawało mu się zupełnie niepojęte, jak to wszystko pasowało do siebie – jak to było możliwe, że Klara, tak jak on, przeczytała obie pierwsze opowieści z *Księgi duchów*, i że właśnie teraz nawiązała z nim kontakt, by pomóc mu wydobyć się ze śmiertelnej pułapki.

– *Co się stało?* – Ten jasny, stanowczy telepatyczny głos, który był tak podobny do jej normalnego głosu. Od razu ujrzał ponownie przed sobą Klarę taką, jaką ją zapamiętał. Siedziała wtedy w Norymberdze na gzymsie studni, bezczelnie wyszczerzając zęby w jego stronę.

On też musiał się teraz wyszczerzyć – częściowo za sprawą tego wspomnienia, częściowo z dumy i upojenia zwycięstwem.

– *Co się stało? Podziurawiłem most łowców książek na małe kawałki! Na szczątki, na drzazgi. Jeden z nich runął w przepaść. A jednego z ich sokołów raniłem swoim mieczem.*

– *Doskonale!* – Zamilkła na chwilę. – *Biedaku!*

Wyprowadziło go to na chwilę z równowagi.

– *Dlaczego biedaku?*

– *No tak, bo musisz ranić lub nawet zabijać inne istoty żywe, żeby nie wyrzuciły ci żadnej krzywdy.*

Nad tymi słowami musiał się najpierw zastanowić przez chwilę.

– Teraz wszyscy ukryli się tam z tyłu, przy drzewach – doniósł jej później. – *Skythis, to najwyższy rangą łowca ksiązek, i dwóch opancerzonych mężczyzn. Tylko Johannes wciąż leży na ziemi – uwiązany i bez ruchu. Być może nie żyje.*

Dopiero gdy przesłał jej te myśli, stało się dla niego jasne, że teraz potrafił wykonywać te dwie czynności jednocześnie – przysyłać jej myśli i widzieć, co dzieje się dookoła niego. Nie zastanawiając się nad tym zbyt długo, przymknął oczy do połowy, dzięki czemu miał jednocześnie obie rzeczy na oku: łowców ksiązek pod krzywo wyrosniętymi świerkami i silny, otoczony migoczącymi gwiazdami promień światła, który łączył go z Klarą.

– *Widzę go. To jest genialne, Amosie. Matka Zofia mawiała zawsze...*

– *Widzisz, kogo?* – wpadł jej w słowo. – *I kim w ogóle jest ta matka Zofia?*

– *Chłopca, którego nazywasz Johannesem.* – W jej słowach brzmiała litość. – *Nie rozumiesz, Amosie, coś się zmieniło w ostatnich chwilach: potrafię nie tylko odbierać słowa, które mi przesyłasz, a mogę również widzieć to, na co właśnie patrzysz. Kamienne obramowanie luku. Na zewnątrz gołą skałę, mężczyzn pod drzewami i chłopca, który leży uwiązany na ziemi.*

Dlaczego ona to potrafiła, a on nie? Amos poczuł paskudne ukłucie w swoim sercu: zazdrość, zawiść. Usiłował zwalczyć to uczucie, które było dla niego przykre i wydawało mu się całkowicie niestosowne. Ale nie dało się, wręcz przeciwnie, uczucie to narastało.

– *Dlaczego ja tego nie potrafię, dlaczego nie widzę tego, co ty właśnie widzisz?*

– *Bo, no tak... bo jesteś po prostu lepszy. Ty możesz przysyłać mi takie obrazy w myślach – ja tego niestety nie potrafię.*

Nie wierzył w żadne jej słowo. Znowu wydawało mu się, jakby się z niego naśmiewała – tak jak wtedy w Norymberdze, gdy krzyknął na nią: „Dlaczegoś to zrobiła?”, a ona odpowiedziała tylko krótkim pytaniem: „Zrobiła, co takiego?” – I do tego się jeszcze bezczelnie wyszczerzyła w jego stronę.

– *A skąd w ogóle znasz pierwsze dwie opowieści z „Księgi chichów”?*

– Nie chciał jej wcale o to pytać, w każdym razie jeszcze nie teraz, ale nie potrafił inaczej. A już na pewno nie chciał się z Klarą pokłócić. Przecież jej potrzebował i już od dwóch tygodni marzył o tym, że znowu ją zobaczy, że w ogóle ją dopiero pozna. Ale musiał to wiedzieć już teraz, nie dawało mu to po prostu spokoju.

– *Chodzi mi o to* – dodał – *że Kronus przecież dopiero co skończył pisać tę książkę, a ja myślałem, że jestem jedyną osobą, której ją powierzono.*

– *I tak właśnie jest, Amosie. Chyba nie myślisz, że ja...?* – Wyczuł, że jest naprawdę

przeżazona. – *Przecież to ty masz książkę przy sobie?*

– *Tak.* – Patrzył wciąż na dwór, gdzie łowcy książek żywo naradzali się teraz pod drzewami, ale myślami był przy Klarze. I przy Kronusie, który pozwalał mu wierzyć, że istnieje tylko ten jeden egzemplarz, oryginał. Nie licząc kopii, którą wysłał do cenzora Rzeszy w Norymberdze i która z pewnością została już zniszczona przez łowców książek. Ale to nie mogła być cała prawda – musiała istnieć przynajmniej jeszcze jedna kopia.

Ale po co miałby ryzykować życiem dla ratowania książki, skoro istniało być może wiele jej kopii?

– *Pokaż mi ją, Amosie, proszę.*

Odwrócił się i spojrzał w stronę stołu.

– *Tam leży.*

– *Jakże ty musisz być z siebie dumny. Moc, która z nie bije. Czuję, że sięga aż dotąd.*

I on sam czuł tak samo wyraźnie, że Klara nie udaje, że jest względem niego szczera. Mimo to nie mógł przestać jątrzyć tej rany, którą zadawały mu wżerające się do jego serca nieufność i zazdrość. Nieufność do kogo? Nie, przeszło mu szybko przez głowę, to wykluczone, żeby Kronus wywiódł mnie w pole. A mimo to nie mógł się powstrzymać przed dalszym zaognianiem tej rany.

– *Czy twój egzemplarz wygląda tak jak ten tutaj - czarna, królicza skóra? Czy tak, jak kopia, którą Kronus wysłał do cesarskiego cenzora – ta była oprawiona w białą skórę jagnięcą?*

– *Amosie, co się dzieje? – Sprawiała teraz wrażenie dość zmieszanej. – O jakim egzemplarzu ty w ogóle mówisz? Nigdy wcześniej nie widziałam tej książki, ani nawet nie trzymałam jej w ręku. I nie wydaje mi się, by istniała choćby jedna jej kopia.*

– *To nieprawda, Klaro. Przecież musiałaś ją czytać!* – Sam siebie nienawidził za każde wypowiedziane przez siebie słowo. A jednak nie potrafił inaczej.

– *Nieprawda – odparła. – Matka Zofia czytała mi te opowieści na głos, z luźnych kartek – z listów, jak sądzę, które otrzymała od tego twojego... jak mu tam było... od tego Kronusa. Prawdopodobnie miała wypróbować na mnie ich działanie.*

Na te słowa nie od razu przyszła mu do głowy odpowiedź. Naraz sam wydał się sobie głupi, bo tak dał się ponieść zazdrości.

I jak on w ogóle mógł pomyśleć, choćby przez chwilę, że Kronus go oszukał? Nie, przecież wcale w to nie uwierzył – przez sekundę rozważał tylko, czy to w ogóle byłoby możliwe.



Jego wzrok wciąż skupiony był na *Księdze duchów*. Leżała na małym, kamiennym stole, tak jak ją wcześniej tu zostawił – otwarta na ostatniej stronie drugiej opowieści. Kronus wprawdzie tylko niejasno i mimochodem wypowiadał się na temat magicznych mocy tkwiących w trzeciej oraz czwartej opowieści, ale Amos był przekonany, że były to potężne moce. W przeciwnym razie mędrzec z pewnością nie ostrzegałby go z takim naciskiem przed tym, by nie czytał trzeciej opowieści – *O skale, co była oknem* – zanim rzeczywiście nie opanuje magii serca i magii myśli.

– *Kim jest matka Zofia?* – zapytał jeszcze raz.

– *Ach, Amosie.* – Klara potrafiła nawet ciężko wdychać tym swoim telepatycznym głosem. – *Gdy o niej myślę, za każdym razem robi mi się ciężko na sercu. Przyjęta mnie do siebie, gdy oboje moi rodzice już nie żyli. Matka Zofia jest przeoryszą klasztoru Wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny w Norymberdze. Wychowywałam się u niej, ale ponad miesiąc temu została zaaresztowana przez inkwizycję.* – Urwała w środku zdania, a Amos poczuł, jak bardzo przytłacza ją to wspomnienie. – *Na krótko przed tym* – ciągnęła wreszcie dalej – *matka Zofia powiedziała mi, że już wkrótce nawiążesz ze mną duchową łączność. „Nazywa się Amos, powiedziała, i jeśli będzie miał przy sobie książkę, to on jest wybranym”.*

Wybrany.

To słowo odbijało się w Amosie echem niczym uderzenie gongu. Brzmiało wspaniale i niepokojąco, podniośle i groźnie zarazem. W czasie gdy jeszcze wsłuchiwał się w to słowo, pod nim i za nim rozpętało się piekło, jakby huk powodowany przez tysiące uderzeń piorunów, aż kamienna podłoga w izbie się zatrzęsła. Metaliczny zgrzyt, a do tego jeszcze rozlatywanie się i skrzypienie drewna. Gdy Amos szybko się odwrócił, a później, gdy zdrętwiały leżał na kolanach, stało się dla niego jasne, co tam się dzieje u dołu: łowcy książek podziurawili drzwi do wieży swoją bronią. Były to wąskie drzwi, ale z twardego drewna i okute żelazem. Rozległ się straszliwy huk, po którym nagle zaległa cisza. Najwidoczniej podziurawili pociskami zamek i zawiasy, wskutek czego drzwi przewróciły się, wpadając do środka wieży.

Kontakt z Klarą zerwał się, ale teraz i tak musiał skierować całą swoją uwagę na łowców książek. Z pewnością drzwi nie otworzyli tylko po to, by on stracił nerwy, lub dlatego, że nic lepszego nie przyszło im na myśl. Bez wątplenia mieli jakiś plan.

Ale cóż to mógł być za plan? Bez liny lub kładki przerzuconej ponad wąwozem otwarte drzwi nie zdawały im się na zbyt wiele. Jednak widocznie nie mieli przy sobie liny o potrzebnej długości, a gdyby ścieli kolejne drzewo, to na pewno by to usłyszał. Po co zatem wystrzelili w

drzwi tuzin kul?

Amos przykucnął znowu pod lukiem okiennym. Skythis pochylał się właśnie nad Johannesem, by zdjąć mu powróż z szyi i rąk. Ale Johannes nie zdążył jeszcze podnieść się z trudem na pięści i kolana, gdy podcenzor znów uwiązał mu linę wokół tułowia. Tymczasem dwaj opancerzeni mężczyźni stali, niczym wartownicy, na skraju wąwozu, dokładnie naprzeciwko drzwi wieży. Każdy z nich miał na prawym ramieniu jednego sokoła i obaj wyglądali tak samo, jakby w ogóle nie byli naturalnymi istotami żyjącymi, lecz jakby zostali stworzeni w laboratorium alchemika. Broń trzymali skierowaną w stronę wieży – jeden celował w stronę katapuły, drugi – w dziurę w drzwiach.

Tymczasem Skythis ciągnął za sobą swojego pomocnika w stronę krawędzi wąwozu. Johannes wydawał się ledwo przytomny, podskakiwał i zataczał się na czworaka niczym wściekły pies. Gdy raz spojrzął w górę, Amos zobaczył, że jego oczy znowu są skierowane w głąb czaszki. Szparki oczu błyszczały na żółto, a pomiędzy wyszczerzonych zębów toczyła się piana.

Podcenzor wyjął swój topór wojenny z za pasa i wsunął go Johannesowi pod ubranie.

– Czy wszystko zrozumiałeś? – wyrzucił z siebie, a Johannes odpowiedział sekwencją wyskamlanych dźwięków.

Potem podcenzor skinął w stronę jednego z obu opancerzonych mężczyzn i podał mu koniec powrozu, którym związany był Johannes. Opancerzony mężczyzna zarzucił sobie broń na plecy i zamiast niej chwycił oburącz linę. Pociągnął za nią Johannes w górę i zaczął się kręcić w kółko dwie stopy od wąwozu, jakby go dopadł obłęd. Sokół uleciał z jego ramienia, podczas gdy wyjący i bulgoczący Johannes gwałtownie kręcił się w powietrzu coraz szybciej. W końcu człowiek w pancerzu puścił linę, a Johannes poszybował nad wąwozem, jakby go wystrzelono z kuszy, i uderzył z trzaskiem w wieżę na dole.

Johannes, który niósł pod swym ubraniem topór wojenny swojego mistrza i który bez wątpienia otrzymał rozkaz, by zdobył *Księgę duchów* i zabił jego, Amosa.

ROZDYGOTANYMI PALCAMI AMOS zgarnął swój rozrzucony po całej izbie dobytek. Ponownie owinał książkę w grube warstwy paproci i trzciny, upchnął wszystko do swojego tobołka i zarzucił go sobie na plecy. Tymczasem wsłuchiwał się w deptanie, dyszenie i skamłanie dobiegające od strony schodów. W lewej ręce trzymał broń, przy użyciu której zamierzał bronić się przed Johannesem. A był to ostatni z pozaginanych skrawków papieru, na których pośpiesznie kreślił wczoraj wieczorem.

W razie gdyby ta kartka z kolejnym fragmentem pierwszej opowieści Kronusa nie przyniosła mu ratunku, to w tym mniejszym stopniu będzie mógł pokonać Johanna swoim krótkim mieczem, gdy ten rzuci się na niego jak żądny krwi pies.

Amos schował się za drzwiami izby, które pozostawały lekko uchylone, i wstrzymał oddech. Zaraz potem Johannes stanął przed progiem i rzucił się z gulgotem na drzwi. Z głową pochyloną głęboko naprzód, wymachując rękami, wpadł do izby. Uniósłszy nos, zaczął węszyć, a jego ręka, w której trzymał topór wojenny, podskoczyła do góry. Wtedy Amos wypadł zza drzwi, pchnął Johanna na bok i cisnął w jego stronę zgnieciony w kulkę skrawek papieru. I już pędził w dół po schodach, słysząc po drodze, jak u góry topór wojenny opada na ziemię ze szcękaniem i jak pomocnik łowcy książek, pograżony w błogim szaleństwie, zaczął bełkotać: *Gdy Wawrzyniec... do wąskich drzwi na samej górze w wieży w kształcie muszli, zupełnie brakowało mu tchu. Dyszał i... podnosiła się i opadała pod srebrzyście połyskującą...*

Po ostatnich stopniach krętych schodów Amos schodził na palcach. Na dole u wejścia leżały drzwi do wieży. Zgodnie z jego przewidywaniami zamek oraz zawiasy były podziurawione pociskami, natomiast drewno i okucia nosiły ślady wgnieceń i uszkodzeń. Zatrzymał się na najniższym stopniu, przywarł do ściany wieży i nasłuchiwał.

Z izby na górze wciąż dochodziły do niego błogie skamlenia Johanna: *Na schodach przynajmniej niektórzy muzycanci postanowili oszczędzić nieco swoje płuca... właśnie wtedy, gdy Wawrzyniec wchodził chwiejnym krokiem do sali w wieży...*

Po drugiej stronie wąwozu łowcy książek naradzali się, mamrocząc. Słyszał ich zachrypnięte głosy, ale nie mógł zrozumieć ani słowa. Woda w dole, w wąwozie, huczała i bulgotała prawie tak samo głośno jak rzeka, wzdłuż której Laurencjusz Answer prowadził swego konia.

Plan ucieczki zaświtał mu w głowie już wcześniej, gdy człowiek w pancerzu runął do wąwozu i został porwany przez wody. Amos potrzebował łodzi lub przynajmniej tratwy, by w miarę bezpiecznie spłynąć nią na sam dół stromym i wijącym się niczym wąż biegiem rzeki. I właśnie już wtedy pomyślał o wąskich, ale sprawiających wrażenie bardzo stabilnych drzwiach do wieży, które wydawały się mieć odpowiednie wymiary. Oddając strzały do zamków i zawiasów, łowcy książek wyświadczyli mu nawet przysługę. Musi mu jednak się udać to, co właśnie zamierzał zrobić – i co powinien możliwie jak najprędzej wprowadzić w czyn. Bo zmierzch prawie przechodził już w noc, a w ciemności nie sposób było cało i zdrowo przetrwać takiej diabelskiej przeprawy. Poza tym poziom wody w wąwozie znów zaczął się obniżać – minie jeszcze trochę czasu, a w dół spływała będzie już tylko strużka. Rzucenie się byłoby samobójstwem.

*... a błazny jęły znów skrzeczeć... a wszyscy poeci recytować swoje wiersze.*

Powodzenia, Johannesie, pomyślał Amos. Błyskawicznie pochylił się w stronę wywalonych drzwi, podniósł je, uskoczył i się za nimi schował. Nogą wyłowił jeszcze swoją linę, która wciąż leżała tu przed schodami, tam gdzie ją rzucił wczesnym rankiem. Łowcy książek na zewnątrz oniemieli na chwilę ze zdumienia, by po chwili zacząć krzyczeć jeden przez drugiego. Opierając się ręką o płytę drzwi, Amos pochylił się w stronę swojej uniesionej stopy, podniósł linę, zwinął ją prowizorycznie i zarzucił ją sobie na plecy.

– Ognia! – wyrzucił z siebie człowiek o wilczym wyglądzie i zaraz potem, prawie równocześnie, rozległ się huk dwóch strzałów. Uderzenie kul sprawiło, że Amos poczuł ból w rękach, jakby włożył je do płomieni. Jednak z metalicznego świstu wywnioskował, że obie kule trafiły w żelazne okucia. Czy jego plan nie był nazbyt ryzykowny? Wawrzyniec Answer pożegłował w podobny sposób w dół podziemnej rzeki, jednak wydarzyło się to w magicznym opowiadaniu – a nie tutaj, w niegościnniej rzeczywistości skalnego labiryntu. Ale ja nie mam innego wyboru, pomyślał Amos. Muszę zaryzykować, w przeciwnym razie spotka mnie nędzny koniec w tej wieży. W czasie gdy opancerzeni mężczyźni po drugiej stronie ładowali swoją broń, a znajdujący się w izbie u góry Johannes wyśpiewywał opowieść o rycerzu Wawrzyńcu, Amos schwycił płytę drzwi po prawej i lewej stronie, zeskoczył na podnóże wieży i jeszcze w tym

samym skoku rzucił się wraz ze swoją tratwą na prawo, w głąb wąwozu.

Wokół niego szumiało powietrze, a wiatr rwał i szarpał za znajdujący się pod nim pojazd, ale Amos kurczowo trzymał się drzwi. Dopiero na krótko przed tym, zanim uderzyły o wodę, odsunął palce i skulił się na swojej tratwie. Uderzenie nie było takie twarde, jak się tego obawiał, jednak ból przeszył, niczym ostrze, jego kolana i ręce. Drzwi zatrzęszczały we wszystkich szczelinach i włóknach, ale widocznie wciąż jeszcze stanowiły całość. Amos kucnął na nich, wczepiając palce u rąk i nóg w żelazne okucia, na ile w ogóle było to możliwe. Szalejący prąd dopadł tratwy i porwał ją ze sobą w dół wąwozu. Kucając, Amos odwrócił na krótko głowę przez ramię – ludzie w pancerzach skierowali swoją broń w jego stronę i prawie równocześnie w obu lufach rozbłysnął ogień. Ale jego tratwa tak dziko kołysała się na wodzie, że nawet najlepsi strzelcy mogli liczyć co najwyżej na przypadkowe trafienie.

Amos popatrzył do przodu. Bogu dzięki, drzwi gnały po wodzie zaokrąglonym górnym końcem do przodu. Mimo że wciąż kucał na czworaka, z niewielkim trudem mógł nawet sterować swoją tratwą, przenosząc ciężar swego ciała na lewą lub prawą stronę. Ale to nie wystarczało, jeśli wziąć pod uwagę zakola w dolnym biegu rzeki.

Za plecami słyszał huk kolejnych strzałów, a kątem oka zobaczył, jak po jego lewej stronie jedna z kul uderzyła o ścianę skalną i rozprysnęła się z metalicznym świstem. Pryskała na niego piana wodna, zupełnie jakby siedział skulony wewnątrz wodospadu, a jego tratwa tak dziko kołysała się na falach, że tylko z największym wysiłkiem mógł się na niej utrzymać. A mimo to nie miał żadnego wyboru – musiał stać wyprostowany, jeśli w ogóle chciał przeprowadzić się tratwą przez wszystkie zakola i ostre zakręty, w stronę których właśnie pędził, i wyjść z tego obronną ręką.

Właśnie w chwili, gdy oderwał ręce i kolana od drewnianych drzwi i stał już pochylony do przodu na nogach, za jego plecami rozległ się okropnie bulgocący krzyk. Amos obrócił się szybko i rzeczywiście straciłby teraz równowagę – nawet nie tyle z powodu szalejącego nurtu, który uderzał od dołu jakby olbrzymimi pięściami w jego tratwę, co raczej z niedowierzania i przerażenia. W górze na końcu wąwozu, w odległości jakichś dobrych stu stóp od niego, z podnóża wieży rzuciło się właśnie w dół do pieniającej się toni jakieś żałośnie wychudzone stworzenie, a uwiązany u jego tułowia powróż powiewał za nim w blaknących barwach zorzy wieczornej.

Amos znów odwrócił się do przodu. Pędził teraz w stronę ostrego zakola w lewo i jeśli pamięć go nie zawodziła, to bezpośrednio za nim znajdował się kawałek cienkiego tunelu – rura

w skale, wyłobiona przez wodę w kamieniu, wystarczająco szeroka, by przepłynął przez nią wraz z tratwą.

Wsparł się prawą stopą na środku płyty drzwi, gdzie krzyżowały się żelazne okucia. Lewą stopę wysunął na pół kroku do przodu i ugiął się nieco w kolanach. Teraz wystarczyło już tylko, że przechylił się lekko w lewą lub prawą stronę i nieznacznie przesunął lewą stopę, a tratwa ochoczo podążała za każdym jego ruchem, jakby była z nim zrośnięta. W ten sposób Amos wpadł w zakole w lewo. Ostrożnie przeniósł ciężar swego ciała na prawą nogę, by ograniczyć nieco szaleńcze tempo, ale im wyżej przednia część jego pojazdu wyłaniała się z wody, tym bardziej zaczynał się kołysać. I tak pędził teraz z prędkością kuli armatniej w stronę rury skalnej, w którą wąwóz zwał się na kilkadziesiąt stóp, tuż za ostrym zakrętem w lewo.

Amos nie wypadł jeszcze dobrze z zakrętu, a już usłyszał nad sobą szum i poczuł, jak spadają na niego trzepocące cienie. Spojrzał w górę. Oba sokoły rzuciły się na niego szponami i dziobami. Jednocześnie jego tratwa kołysała się coraz gwałtowniej, bo też wąwóz zwał się coraz bardziej i z ogłuszającym hukiem wody rzucały się w stronę rury skalnej.

Między jego ramionami już zatapiały się szpony jednego z sokołów, gdy Amos wyrwał swój krótki miecz zza pasa i jął nim uderzać na oślep za swoimi plecami. Słyszał kiedyś, jak Höttsche mówił, że dziób sokoła jest wystarczająco twardy i ostry, by rozłupać ludzką czaszkę jak orzech włoski. Ale, dzięki Bogu, do tego nie doszło. Drapieżny ptak odbił się od niego i dziko uderzając skrzydłami, wzniósł się w powietrze przed ścianą skalną. Dosłownie w ostatniej chwili Amos rzucił się jak długi do tyłu na swoją tratwę, a następnie wstrzelił się, kołysząc nogami, do przodu w rurę skalną. Woda okalała go, pieniać się i bulgocąc, tymczasem jego tratwa uderzała o ścianę skalną, a on – leżąc – nawet nie odważył się schować głowy pomiędzy ramionami, ze strachu, że mógłby pogruchotać sobie kości, bo pędził i kołysał się o niecałą szerokość dłoni pod sklepieniem skalnym.

Po chwili wyrzuciło go na zewnątrz, a nad jego głową znów rozpościerało się niebo, malujące się ostatnim, wyblakłym odcieniem szarości. Amos stanął pośpiesznie na nogach – i już gnał dalej w stronę następnego zakola rzeki, a nurt stawał się teraz z każdym uderzeniem serca coraz bardziej rwący. Najwidoczniej pozbył się – przynajmniej na razie – sokołów, ale gdyby go znowu znalazły i tym razem zmusi je do ucieczki. Amos pędził przez ostre zakręty w lewo i prawo, rzucał się na plecy i przesywał wąskie, zapierające dech w piersi rury skalne, znów zrywał się na nogi, kierując swoją tratwę w dół wąwozu. Sterował nią lekkimi ruchami swego ciała i raz po raz myślał o koniu z wzorem w linie, którego Laurencjusz Answer widział na tamtej

podziemnej rzece. Wydawało się, że kieruje czołnem wyłącznie siłą własnej woli, a Amos zadawał sobie pytanie, czy też zdobyłby taką zdolność, gdyby przeczytał trzecią albo czwartą opowieść z *Księgi duchów*.

Ale być może nieco z tego daru już się u niego objawiło. Z lunatyczną pewnością pędził w dół, raz z nogami zanurzonymi w bulgocącej wodzie aż po kolana, innym razem szybując wraz z tratwą trzy stopy nad wodami. Była to brawurowa przeprawa i mimo że Amos nieomal umarł ze strachu, to jednocześnie chciało mu się krzycheć z radości, śpiewać i śmiać. Było to śmiertelnie niebezpieczne i oszalamiające zadanie, a także idealny sprawdzian, dzięki któremu można było stwierdzić, czy rzeczywiście jest wybranym. Lub przynajmniej, czy Kronus powierzył właściwej osobie misję uratowania jego *Księgi duchów*.

– *Klaro?* – Czuł się już tak bezpiecznie, że sterował swoją tratwą z na wpół zamkniętymi oczami, zaglądając jednocześnie do swego serca. – *Klaro, udało mi się im umknąć!*

Ujrzał swoje magiczne serce i silny promień otoczony migocącymi gwiazdami, który łączył go ze srebrzystym źródłem światła Klary.

– *Spływam w dół wąwozu w skalnym labiryncie – z drzwiami podziurawionymi przez pociski, które służą mi za tratwę. Hej, Klaro, co z tobą?*

Zaklinając, przyzywał ją w duchu raz za razem. I wtedy poczuł wreszcie to znajome ssanie przebiegające od pępka aż do gardła i jednocześnie szum w głowie.

– *Wszystko w porządku* – odpowiedziała. – *Tylko nie mogę robić dwóch rzeczy naraz – jeździć konno i uprawiać magii myśli.*

– *Jeździć konno?* – powtórzył i musiał się wyszczerzyć. Wyobrazenie Klary jadącej na koniu bardzo mu się spodobało.

– *No tak, a co myślałeś, Amosie, że cię tak pozostawię twojemu losowi? Wzięłam sobie konia ze stajni przytułku i wymknęłam się po cichu. Jestem już na trakcie konnym wysoko na skałach – za półgodziny będę u podnóża labiryntu.*

– *No pięknie* – odparł i w tej samej chwili rwący nurt zamienił się w huczący wodospad. Najwidoczniej przepłynął już przez szczelinę, do której wspinał się na samym początku, wchodząc do skalnego labiryntu – tyle tylko, że tym razem nie zważał na to, bo zamiast tego wyobraził sobie Klarę na koniu. Najwidoczniej samowolnie wzięła go ze stajni należącej do przytułku dla sierot, tak samo, jak ukradła mu wtedy list. Moja zielonooka złodziejka, pomyślał Amos, w czasie gdy ryczące masy wody porwały go w dół ściany skalnej, po której wspinał się lekko, przez tak wieloma laty, jego ojciec z nim, Amosem, na plecach. Już dawno stracił swoją

tratwę, nie mówiąc już o orientacji w terenie. Nie mógłby nawet powiedzieć, gdzie jest góra, a gdzie dół, czy runął w dół stopami czy głową do przodu.

I wtedy uderzył ze straszliwą siłą o wodę – ramieniem, tyle jeszcze zdążył pomyśleć, a więc spadł z wodospadu prawie na głowę. Wtedy zrobiło mu się ciemno przed oczami. Poczłł jeszcze tylko, że nurt przesuwa go na płytką wodę nad brzegiem i że on leży w niej nieruchomo. A po chwili przestał już czuć cokolwiek. Przynajmniej na razie.



## 5

GDY AMOS DOSZEDŁ DO SIEBIE, była już ciemna noc. Wysoko nad jego głową spomiędzy chmur połyskiwało kilka gwiazd. Leżał w płytkiej wodzie, był przemoczony i drżał z zimna.

Łupało go w prawym ramieniu, a na lewym poczuł dotyk czyjejś dłoni. A może małego zwierzęcia, które go obwąchiwało.

– Klaro?

Nie doczekał się odpowiedzi. Tylko ta dłoń – lub to coś – wciąż dotykało go i drapało w ramię.

– He, Klaro, co ty tam robisz? – Czuł się zbyt słaby i rozbity, by choćby tylko podnieść głos, nie mówiąc już o podnoszeniu samego siebie lub przynajmniej ramienia.

Tym razem otrzymał przynajmniej odpowiedź, ale były to tylko głuche jęki. I nie brzmiało to jak głos drobnej dziewczyny, właściwie nie przypominało nawet ludzkiej mowy.

Strach przeszył mu wszystkie członki. Zapomniał o wszystkim innym, o swoim zmęczeniu, swoim bólu – i podskoczył na równe nogi.

Dłoń, o ile w ogóle to coś nią było, nadal macała w tym miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowało się jego ramię. Należała do szarej, bezkształtnej masy, która teraz znowu wydała z siebie jęk.

Spomiędzy chmur wyłonił się sierp księżyca, rzucając blade światło na mężczyznę w pancerzu ze skórzanych łat. Był to ten łowca książek, który wpadł do wąwozu i którego woda również porwała w dół. Jednak w przeciwieństwie do Amosa opancerzony człowiek był ledwo żywy.

Amos przykucnął obok niego.

– Nie chciałem do ciebie strzelać – zaczęło go palić w gardle – proszę, wybac mi – wyszeptał, a wtedy ręka człowieka w pancerzu poderwała się do przodu, chwyciła go za kostkę u stopy i przewróciła na ziemię. Amos krzyknął i jął wierzgać pochwyconą nogą, ale opancerzony

mężczyzna trzymał ją w żelaznym uścisku.

– Puść mnie, psiajucho! – krzyczał Amos.

Leżał na plecach i nie mógł się podnieść, tymczasem opancerzonemu udało się chwycić go z tyłu drugą ręką za pasek. Ciągnął nim i wyginał, aż Amos znalazł się na nim, trzęsąc się i szamocąc. Łowca książek stękał i warczał, gdy powłókł ręką od paska Amosa w górę, wczepiając się palcami w jego tobolek. Szarpał go, a Amos z przerażeniem usłyszał, jak grube płótno rwie się na kawałki. Ręka wpełzła do jego tobolek, grzebała w jego rzeczach, dosięgnęła czegoś i wyciągnęła to za jednym zamachem. Zaraz potem człowiek w pancerzu odepchnął go od siebie.

Amos polecał kawałek w górę i widział, spadając, jak łowca książek podnosi się ociężałe z ziemi. Trzymał książkę w prawej ręce, na szczęście jeszcze owiniętą w grube warstwy trzciny i paproci, z których spadały krople. Dopiero gdy zaczął uciekać, kuśtykając, na lesisty stok po prawej stronie skalnego labiryntu, Amos uświadomił sobie, jak ciężko mężczyzna musiał się poranić podczas diabelskiej przeprawy w dół doliny. Prawą nogę włókł za sobą jak martwy kawałek drewna. Kuśtykał mocno wychylony do przodu. Podpierał się lewą ręką o ziemię, a za każdym krokiem krzyczał z bólu.

Amos zerwał się z miejsca i popędził za nim. Wychodził z siebie ze złości i ze strachu. Chciał powalić na ziemię tego przeklętego człowieka, wyrwać mu książkę, o niczym innym nie mógł w tej chwili myśleć. Rzucił się na niego od tyłu, przycisnął potykającego się do ziemi i przywalił jego opancerzonym ciałem książkę. Masywny mężczyzna leżał przed nim bez ruchu, a zdesperowany Amos usiłował, przetoczyć go na plecy, by dosięgnąć do książki. Z tego powodu zbyt późno zauważył przypominający zarysami olbrzymiego pająka cień, który zleciał ze ściany skalnej obok wodospadu.

Johannes spadł nogami do przodu i z rozłożonymi rękami na Amosa i człowieka w pancerzu, a uwiązany wokół jego tułowia powróż zafalował za nim w świetle księżyca. Jego ubrania były przemoczone i całkiem postrzępione, ale w przeciwieństwie do opancerzonego mężczyzny wydawał się przetrwać tę diabelską przeprawę przez wąwóz cało i zdrowo. Bulgocąc, rzucił się na Amosa, który szybko się obrócił, zupełnie zaskoczony przez kolejnego napastnika. Kościste, spiczaste kolana Johannaesa wbijały się w jego żebra, Amos ciężko dyszał i daremnie usiłował nabrać powietrza.

– Ty, idioto! – udało mu się w końcu wysapać. – To on ma książkę!

W okamgnieniu Johannes dał mu spokój. Amos pomacał się po żebrach. Paliło go w płucach, a serce waliło jak oszalałe w piersi. Ale wydawało się, że cudownym sposobem niczego

sobie nie połamał.

Wstał z trudem. Opancerzony mężczyzna leżał jeszcze na brzuchu, ale znów się poruszył.

Stękając, wpełzał na lesisty stok, z książką prawdopodobnie wsuniętą z powrotem pod ubranie z łąt, a Johannes podskakiwał i deptał go po plecach jak wściekły pies. Amos właśnie ich dogonił, gdy człowiek w pancerzu przetoczył się na plecy, wydając z siebie przeraźliwy jęk. Johannes upadł na ziemię obok niego, podniósł się jednak jeszcze w czasie spadania i wyrwał mu książkę spod skórzanych łąt. Jednym susem uskoczył obok Amosa, zszedł – zataczając się – po stoku w dół i popędził w świetle księżyca traktem konnym w kierunku Wunsiedel. Aż nadto wyraźnie widział Amos *Księgę duchów*, jakby wycięto ją nożyczkami, a Johannes wymachiwał nią, trzymając w prawej ręce.

To było jak koszmar. Za każdym razem, gdy udawało mu się wyjść cało z niebezpieczeństwa, na horyzoncie znów pojawiali się nowi przeciwnicy.

Ostatnimi resztkami sił Amos popędził za uciekającym Johannesem. Po jego prawej stronie wody pluskały w korycie rzeki, która przemieniła się nagle w wodospad. Jeszcze dziś wczesnym rankiem, zanim nadciągnęła burza, z pewnością było ono wyschnięte. Bo to lato Roku Pańskiego 1499 było jednym z najsuchszych od niepamiętnych czasów. Kłosa uschły na halach, a bydło na pastwiskach musiało zadowolić się poźółkłą niczym słoma trawą. Wielu kaznodziei, głoszących bliskie nadejście końca świata, interpretowało tę suszę jako znak, że dzień Sądu Ostatecznego jest już bliski.

Ale jak wyjaśniliby to potworne oberwanie się chmury, za sprawą którego skalny labirynt zamienił się na jeden dzień w podwodny świat? Być może był to znak, pomyślał Amos, że naprawdę był wybranym. Ale nie, to brzmiało mało wiarygodnie. Kronus był wprawdzie mędrcem posiadającym magiczne moce, jednak nawet on nie potrafiłby rozpuścić takich sił przyrody. A mimo to łowcy książek upolowaliby go dziś jak zająca podczas nagonki i raz na zawsze przywłaszczyliby sobie *Księgę duchów*, gdyby burza nie przyszła mu z pomocą.

Jednak książkę miał teraz w swych łapach wściekły Johannes. Czy nie kuśtykał jeszcze nie tak dawno temu, że pożał się Boże? Teraz jednak tak pędził w podskokach drogą w świetle księżyca, że Amos miał trudności, by biec za nim krok w krok. Johannes wyprzedzał go już o co najmniej dwadzieścia kroków, a jego przewaga ciągle się powiększała. Z każdym krokiem Amos czuł ukłucie w klatce piersiowej, któremu jakby odpowiadało echem łupanie w prawym ramieniu.

– *Klaro* – pomyślał Amos zaklinając i opuścił powieki, by w trakcie pościgu wejrzeć

jednocześnie w głąb samego siebie. Jednak był tak wyczerpany, że za każdą próbą potykał się, a przewaga Johanna stawała się jeszcze większa.

Musiał się zdecydować. Czuł wyraźnie, że był zbyt zmęczony i rozbity, by dogonić uciekającego przed nim Hannesa.

– *Klaro* – pomyślał Amos jeszcze raz i upadł na trawę na skraju drogi. Zamknął oczy i skupił się na promieniu, który łączył ich magiczne serca. – *Klaro, odpowiedz mi, proszę.*

– *Chwilka.*

– *Klaro, musisz zejść z drogi w dół, natychmiast.*

– *Ale dlaczego. Jestem...*

– *Proszę, zrób, co mówię. Zaraz wszystko ci wyjaśnię* Przez kilka chwil wydawało się, że połączenie między nimi urwało się. Potem znów usłyszał jej telepatyczny głos, jasny i trochę zdyszany:

– *Ukryłam się. A więc, co się stało?*

Wyjaśnił jej wszystko tak szybko, jak to tylko było możliwe.

– *Johannes pędzi w twoją stronę i ma przy sobie książkę. Jeśli go zobaczysz, musisz go jakoś zatrzymać. Tylko, na litość boską, uważaj na siebie. On ma prawdopodobnie przy sobie topór wojenny. Ale nawet bez broni jest niebezpieczny jak wściekły pies.*

– *Ty to potrafisz dodać człowiekowi otuchy, Amosie. Ale nie martw się, mam wprawę w podbieraniu ludziom ich rzeczy.* – Wyczuł, że się roześmiała, wysyłając mu tę wiadomość.

Amos jeszcze raz podniósł się z trudem i pobiegł dalej w dół, drogą prowadzącą do doliny Wunsiedel. Dopiero w biegu zdał sobie tak naprawdę sprawę z tego, co właśnie zrobił. Powierzył los *Księgi duchów* Klarze.

## 6

NICZYM CHOCHLIK JOHANNES PĘDZIŁ W PODSKOKACH w dół drogi. Chyba był już o co najmniej trzydzieści kroków z przodu, a Amosowi wydawało się, że nawet z tej odległości słyszy jego błogie skamlanie. Jednak zaraz potem Johannes zawył z przerażenia: po jego lewej stronie z gąszczu wyłoniła się jeźdźczyni z powiewającymi włosami, która pognąła swego konia prosto w jego stronę. Zwierzę parsknęło, stanęło dęba i chciało uderzyć Johannaesa przednimi kopytami. Ten jednak jednym susem uskoczył do tyłu, a jeźdźczyni natychmiast puściła się za nim w pogoń.

Tymczasem Amos dobiegł do nich na odległość tuzina kroków, a Johannes patrzył teraz niespokojnie w przód i w tył. Znalazł się w pułapce.

– Daj mi tę książkę! – zawołał Amos. Chciał to powiedzieć spokojnym i zdecydowanym głosem, ale od biegu zupełnie brakowało mu tchu, więc wyszło mu urywane dyszenie. – Nie zrobię ci... nic złego, Johannesie... ale daj mi tę książkę!

Amos podbiegł do niego bliżej i wyciągnął rękę w jego stronę. Kątem oka patrzył na Klarę, której widok na rudym jak lis koniu zapierał dech w piersi. Jej iskrzące, zielone oczy wydawały się jeszcze większe i bardziej lśniły zielenią, niż zapadło mu to w pamięć. Jej srebrzyste włosy lśniły w świetle księżyca, opadając na ramiona. Miała na sobie zwykły strój jeździecki, który wyglądał na jej drobnym ciele jak czarujące przebranie.

Uśmiechnął się do niej, nie spuszczać Johannaesa z oczu. Chudy chłopak patrzył na niego nieruchomym wzrokiem z uległością malującą się na twarzy i przez moment Amosowi wydawało się, że Johannes po prostu się podda. Wyglądał na potwornie wychudzonego, koszula na jego wysuszonym, kościstym ciele była przemoczona i postrzępiona. Jednak właśnie wtedy, gdy Amos chciał mu odebrać książkę, Johannes wyrwał sobie topór wojenny z za pasa i z całej siły uderzył nim w jego stronę.

Klara krzyknęła. Jej koń zarżał i znów stanął dęba. Topór wojenny opadł zębatym ostrzem na głowę Amosa, który w ślepych przerażeniu rzucił się na bok. I tak śmiertelne uderzenie

musnęło go tylko w prawe ramię, ale potwornie bolało – właśnie w tym miejscu sokół wbił mu się szponami w ciało.

– Klaro, uważaj! – krzyknął, ale Johannes już się szybko odwrócił, a teraz czołgał się i brnął na czworaka pod koniem na drugą stronę.

Jeszcze zanim Amos zdążył się całkowicie podnieść z ziemi, Johannes pędził już znowu w dół drogi. W lewej ręce machał teraz toporem wojennym, w prawej – książką, a Amos pomyślał, że tej nocy nie zdoła już wyteńczyć sił ani nie zdobędzie się na odwagę, by zmusić do walki tego przekłętą chłopaka – topór wojenny kontra jego krótki miecz. Z wyczerpania ledwo stał na nogach, a topór wojenny był po prostu paskudną bronią, zwłaszcza jeśli uderzał nią na oślep taki wariat lub opętany przez demony człowiek, jak Johannes.

W czasie gdy pogrążał się w tych posepnych myślach i czuł, że ze zmęczenia nogi zaczynają się pod nim uginać, Klara zawróciła gwałtownie swoją rudą jak lis klacz i popędziła za Johannesem. Ten zatrzymał się i unióśł topór, wygrażając, ale Klara zaśmiała się tylko, jeszcze bardziej napierając koniem w jego stronę. Musiał się cofnąć, w przeciwnym razie trafiłyby go kopyta potężnego zwierzęcia, a Klara pędziła swoją klacz dookoła niego, coraz szybciej. Następnie schyliła się w okamgnieniu w jego stronę i złapała powróż, który miał uciepiony na plecach.

– Wiśta wio, kasztanko! – krzyknęła i pociągnęła Johannesesa za sobą. Przez kilka kroków szedł za nią tyłem, potykając się. Później stracił równowagę, upadł na ziemię i włókł się za nią jak worek ze szmatami. Topór wojenny wypadł mu z ręki, tylko książkę trzymał jeszcze kurczowo, przycisnął ją sobie oburącz do chudej piersi jak swój najcenniejszy skarb, bez którego nie mógłby żyć ani godziny dłużej.

Klara zatrzymała swoją kasztankę. Gdy Amos znalazł się przy nich, Johannes leżał z otwartymi oczami na skraju drogi. Zdawał się spać i wyglądał w tym momencie, oświetlony światłem księżyca, tak spokojnie jak niewinne dziecko.

Zsiadła z siodła i już miała kucnąć w trawie obok Johannesesa. Ale Amos położył jej rękę na ramieniu i popatrzył na nią zaklinająco.

– *Ostrożnie; może tylko udaje.* – Wyciągnął swój krótki miecz i wymierzył go w geście groźby w stronę młodego łowcy książek, podczas gdy Klara uklękła obok Johannesesa. Tym razem nie mogło się już powtórzyć to, co wcześniej przeżył z mężczyzną w pancerzu.

Ale Johannes naprawdę zdawał się nieprzytomny. Ramiona miał luźno rozrzucone na wszystkie strony, gdy Amos wyciągnął spod nich książkę. Jednak jego koścista pierś unosiła się i

opadała w nierównym oddechu.

– Żyje.

Klara uśmiechnęła się do Amosa. Ukłękła przy stopach Johannesesa i zerwała mu z nogawki luźno zwisający strzępek płótna.

– Skaleczył się w kostkę. – Zręcznymi ruchami dłoni owinęła mu prowizoryczny opatrunek wokół kostki u prawej nogi, mocno go wiążąc.

Amos ukląkł obok niej i przyglądał się jej. Czuł się tak szczęśliwy, jak w swych najpiękniejszych marzeniach. Ba, był tysiąc razy szczęśliwszy, bo tutaj wszystko działo się w rzeczywistości.

– Jako łowca książek wypada na chwilę z gry. – Podniosła się, podała Amosowi rękę i pociągnęła go ze sobą do góry.

Oboje byli prawie tego samego wzrostu, i jak tak stali przed sobą w świetle księżyca, Amos zapomniał na dłuższą chwilę o wszystkim poza nią. Podziwiał ją po prostu, jak jakąś księżycową wróżkę, i sam czuł, że się do niej nieprzyzwoicie szczerzy. Bardzo chciałby powiedzieć coś, co by ją rozśmieszyło, a może nawet sprawiło, że pocałowałaby go. Ale zamiast tego przyszło mu na myśl, że nie mogła niczego wiedzieć o tym, co się stało z Odą. I że nie potrafiłby rozmawiać z nią o czymkolwiek innym, dopóki ona się o tym nie dowie. Ale sama już tylko myśl o Odzie złożonej w jej kamiennej skrzyni była czymś, co go przerastało, czemu by teraz nie podołał.

Poczuł niemal ulgę, gdy Klara wypuściła jego dłoń i obróciła się w stronę konia. Wyciągnęła pled z torby przy siodle i rzuciła nim w jego stronę.

– Sądzę, że ci się przyda – powiedziała.

Złapał pled z wdzięcznością i się nim opatulił. Noc była chłodna, a on nie miał nawet suchej koszuli. Jego tobolek był postrzępiony, a w trakcie swojej dzikiej ucieczki stracił większą część jego zawartości. W każdym razie tobolek sprawiał wrażenie niepokojąco lekkiego, ale Amosowi brakowało siły nawet na jego przeszukanie. W wąwozie stracił również swoją drogocenną linę z węzłami, tak samo skórzaną sakiewkę z guldenami od Kronusa, którą zawsze nosił na piersi. Tylko amulet Klary z wilczoookiem wciąż miał zawieszony na szyi, jakby cud sprawił, że udało mu się go zachować.

Jednak przede wszystkim odzyskał książkę i był przy Klarze. Wszystkie inne rzeczy wydawały mu się w tej chwili nieważne.

Wskoczyła na siodło i poklepała klacz zachęcająco w zad.

– *Dosiądź są do mnie, wybrańcu!* – Uśmiechnęła się do niego w dół z ironią malującą się na twarzy.

Amos nie dał sobie tego powtarzać.

– Gdzieś się tego nauczyła? – spytał, siadając wygodniej na kasztance tuż za nią.

– Jeździć konno czy zakładać opatrunki? – Spojrzała z góry na Johannesesa, który spał na skraju drogi spokojnie jak mały chłopiec.

– Moi rodzice byli wędrownymi ludźmi. Ojciec był sztukmistrzem, a matka znachorką. Już od wczesnego dzieciństwa jeździłam z nimi po świecie. Do czasu, gdy zginęli przed czterema laty – Popędziła swoją kasztankę. – Połóż na mnie swoje ramiona.

I do tego nie potrzebował zachęty. Oplótł ją ramionami w tali. Było to wspaniałe uczucie, jechać tak na koniu z Klarą przez noc. I na pewno czułby się jeszcze cudowniej, gdyby oczy nie kleiły mu się ze zmęczenia.

– Jak zginęli? – zapytał.

– Zabili ich morderczy podpalacze. Przyszli w nocy i podpalili nasz wóz. Moich rodziców najpierw związali – spalili się nędznie w wozie. Jeszcze dziś prawie co noc słyszę ich krzyki. Mnie wyciągnęli z wozu, gdy spałam, i położyli w bezpiecznej odległości w rowie – może z litości.

Przycisnął się do jej pleców, ale ostrożnie, żeby nie być dla niej dodatkowym ciężarem. Czuł jej szczupłe, gibkie ciało w swych ramionach i wdychał zapach jej łaskoczących włosów. Przyszła mu na myśl reguła życia przyszłych braci zakonnych, którą Kronus przekazał mu na drogę: „Niech nowicjusz zachowa wstrzemięźliwość w sprawach serca”. Amosowi zrobiło się nieco gorąco, ale i nad tym nie chciał się teraz zastanawiać.

Wyobraził sobie Klarę, która budzi się w nocy jako dziewczynka i słyszy krzyki rodziców w płonącym wozie. Ale morderczy podpalacze nie kierowali się litością, gdy wcześniej zanieśli ją do bezpiecznego miejsca – uświadomił to sobie w tej chwili, gdy znajdował się gdzieś na granicy snu i jawy. Podobnie zresztą jak to miało miejsce w przypadku Höttsego i jego kompanów, gdy oszczędzili go wtedy rzekomo z litości.

Jednak rozważał to po cichu, nie chciał, żeby cokolwiek do niej doszło. Nie teraz, nie tej nocy.

W końcu zostawili za sobą las, a przed nimi rozciągało się Wunsiedel, spowite ciszą i mrokiem. Klara chciała pognać swego konia w stronę bramy miejskiej, ale Amos znów ją powstrzymał. Przez wzgląd na własne bezpieczeństwo znowu zaczęli rozmawiać w myślach.



– Poczekaj, Klaro. W mieście nie będę bezpieczny, ty zresztą chyba też.

– Nie ukradłam konia, jeśli to masz na myśli. Zostawiłam w zamian wszystkie swoje pieniądze – prawie pięć guldenów.

– Nie o to mi przecież chodzi – stwierdził – ale strażnicy miejscy wiedzą już na pewno, że gonią mnie łowcy ksiąg.

– A dokąd powinniśmy się udać – zapytała.

– Do domu mojego ojca. To niedaleko stąd – na północy, w drugiej najbliższej dolinie. Tam nie będą mnie szukali.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego.

– A ty, co spodziewasz się tam znaleźć?

– Kilka odpowiedzi. A dla nas obojga jakieś łóżko na resztę nocy.

DOCHODZIŁA JUŻ PÓŁNOC, gdy dotarli do dworku w małej dolinie, która była dla Amosa w dzieciństwie całym światem. Gdy jego rodzice lub Hubertus, zarządca folwarku i zaufany człowiek jego ojca, mówili o „wielkim świecie”, to przez długi czas sądził, że mają po prostu na myśli tę dolinę. Ze swoimi pagórkami i polami, łąkami i lasami, młynem nad potokiem górskim i folwarkiem dzierżawnym za lasem świerkowym, wydawała mu się wtedy niewyobrażalnie duża. Sam folwark znajdował się na małym pagórku w środku doliny. W rozświetlonym dworku, w szopach, stajniach, jak również w domu czeladzi, Amos i Oda znali każdy zakamarek, a także wszystkie istoty, zarówno dwunożnych, jak i czworonożnych oraz skrzydlatych mieszkańców.

Od nocy, w której wybuchł pożar, a więc od trzech lat, Amos nigdy tu już nie wracał. Ale z opowieści Ody wiedział mniej więcej, czego mógł się spodziewać. W zeszłym roku, gdy wraz z ciotką Ulryką przybyła w odwiedziny na zamek Höhenstein, obie zająrzyły tu w drodze powrotnej. Oda wzbraniała się z płaczem przed nocowaniem w dworku. Błagała ciotkę, by jeszcze tego samego dnia kontynuowały podróż. Ciotka Ulryka dała się w końcu uprosić, mimo że tak samo przechodziły ją ciarki na widok „moralnego bagna”, w jakim gnieździł się jej brat Heribert na zamku Höhenstein, jak Odę na widok ruin świata ich dzieciństwa.

W swych listach Oda wielokrotnie opisywała mu, jaka była wtedy smutna i jak cierpiała. Ale dopiero wtedy, gdy kasztanka poniosła jego i Klarę na grzbiecie znajomą drogę w górę, Amos zrozumiał w pełni, co też Oda musiała przeżywać tamtego dnia.

Tutaj wszystko wydawało się zbyt bliskie i jednocześnie okropnie obce.

– *Tam, pod drugiej stronie, bawiliśmy się zawsze w chowanego.* – Wskazał lasek jodłowy, który rozciągał się u podnóża wzgórza na południe. – *A tam z tyłu prowadzi droga do folwarku dzierżawnego. Matka zawsze wysyłała tam nas, na zmianę, po mleko i ser. Widzisz, Klarę*

– *Ach, ty biedaku.* – Znów udało jej się ciężko westchnąć swoim telepatycznym głosem i tym razem nie dziwiło go, że mu współczuje. Oboje stracili swych rodziców w podobny sposób i

już sam ten fakt niejako ich wiązał. Pod migocącym, gwieździstym niebem podążali wąską drogą prowadzącą na wzgórze, a Amos usiłował przygotować się psychicznie. Gdy już dotrą na górę, jego wzrok padnie najpierw na ruiny ojcowskiego domu, który według Ody nie został ani odbudowany, ani całkowicie wyburzony. Z fragmentów dawnego dworku Hubertus wznosił tuż obok ruin o wiele skromniejsze domostwo, w którym zamieszkał wraz z żoną. *\*Widok ściskający serce, braciszku\**, pisała do niego kiedyś Oda. „*Miejsce grozy chyba nawet dla obojętnego obserwatora: czarna od sadzy ruina, z której zostało się tylko kilka kawałków muru, a tuż obok ukośna chatka zarządcy, wybudowana prowizorycznie z tych samych czarnych gruzów*”.

Klara pokierowała kasztankę przez bramę dworku, która była szeroko otwarta, zupełnie jak za szczęśliwych czasów. Jednak Oda utrafiła w sedno, opisując to radosne niegdyś miejsce: jak zaczarowane przez złe moce wznosiły się przed nimi ruiny murów. Obok stała jakby pochylona chatka zarządcy folwarku, również czarna od sadzy.

Jeszcze zanim zdążyli zsiąść z siodła, drzwi otworzyły się, a w progu stanął stary Hubertus. Trzymając wymierzoną w ich stronę broń, krzyknął:

– Kto tam? Ani kroku dalej, bo strzelam!

– To przecież ja, Hubercie – rzekł Amos i ześlizgnął się całkiem z konia. – Już mnie nie pamiętasz?

Stary otworzył szeroko oczy. Włosy mu posiwiały i przerzedziły się, a cała jego postać sprawiała wrażenie przygnębionej.

– Panicz Amos – wymamrotał i opuścił broń. Na jego pooranej zmarszczkami twarzy zdawały się walczyć ze sobą radość i strach.

Za mężczyzną pojawiła się jego żona, która trzymała w ręku lampkę z migocącą świeczką w środku. Poświeciła mu przez ramię na zewnątrz i zaraz zaczęła się drzeć:

– Zmykajcie stąd, mały panie! A może tym razem to my mamy spłonąć?

– Cicho bądź, Józefo – rozkazał jej zarządca. – Masz przed sobą panicza Amosa. Wszystko tutaj należy do niego, każdy kamień, cała dolina.

– Nic nie należy do niego – upierała się stara, rzucając w stronę Amosa i Klary ponure spojrzenia. – Nawet jego własne życie. I tak jak ja, wiesz o tym dobrze, że szuka go władza. Ostatnim razem, gdy tu był, spłonęła połowa folwarku. Jeśli go teraz znajdą, tym razem wrzucą do ognia jego samego.

Hubertus pokręcił głową i odsunął żonę od drzwi.

– Proszę, nie słuchajcie jej, paniczu. Ze strachu nie wie, co mówi. Wszystko to wasza

własność. Wejdźcie i czujcie się jak w domu. To tylko nędzna chatka, nie może się równać z wcześniejszym dworkiem, ale to wszystko należy do was.

Amos spojrział w górę na Klarę, która siedziała jeszcze w siodle.

– *Wprawdzie inaczej wyobrażałem sobie przyjęcie, ale mimo to zostanę tutaj. Muszę mu zadać kilka pytań. Poza tym pilnie potrzebuję kilku godzin snu.*

Skinęła głową w ledwo dostrzegalny sposób i uśmiechnęła się przy tym do niego.

– *Będę czuwała nad twoim snem. Ale najpierw opatrzę twoje rany, mój wybrańcu.* – Zsunęła się z kasztanki i zanuciła jej do ucha kilka uspokajających dźwięków.

Serce Amosa zaczęło bić szybciej, jak zresztą za każdym razem, gdy nazywała go w tak podniecająco wieloznaczny sposób swoim wybrańcem. I do tego jeszcze się uśmiechała tak zmysłowo.

– *Co powiedziałaś klaczy?*

– *Że zaraz poprowadzę ją do stajni i że my oboje też tam będziemy spali.*

Amos popatrzył na nią z boku nieufnym wzrokiem, ale nic w jej twarzy nie wskazywało na to, że naigrawa się z niego. Wszedł za nią – do domu zarządcy i zamknął drzwi. Znaleźli się w ciasnej izbie. Nawet belki w nisko osadzonym suficie i w ukośnych ścianach były czarne od wypalanej sadzy. W całej chatce czuć było jeszcze tamtą katastrofą, która bynajmniej nie była ciosem zadany przez los, lecz okrutną zbrodnią.

Hubert poprosił ich do stołu i rozkazał rozgniewanej Józefie, by podała gościom podwieczorek.

– Pewnie jesteście głodni i spragnieni, paniczu?

Amos przytaknął z głębi serca. Dopiero po chwili przyszło mu na myśl, że nie przedstawił jeszcze swojej towarzyszki.

– To jest Klara, moja serdeczna przyjaciółka. – Jej nazwisko i skąd się w ogóle wzięła, przemilczał przez wzgląd na jej bezpieczeństwo.

– I Ody – dodała Klara i popatrzyła na niego tak poważnym wzrokiem, jakby już wszystko wiedziała. Jej oczy stały się nagle ciemnozielone, prawie czarne ze smutku i bólu.

Spuścił wzrok i bacznie uważał, aby nie dotarła do niej żadna z jego myśli. Najwidoczniej Hubertus i Józefa wiedzieli już, co się wydarzyło na zamku Höhenstein, a sam mógł tylko mieć nadzieję, że oboje nie zaczną o tym mówić.

Usiadł obok Klary na drewnianej ławie, która była wyciosana ze starych desek tak samo kunsztownie jak stół. Jakże wszystko jest tutaj nędzne i zapuszczone, pomyślał Amos, a jaka ona

łśniąca i piękna pośród całej tej nędzy. Ona – Klara. Tak dumna i piękna, jak jakaś postać ze starych legend, które opowiadał jemu i Odzie ojciec, a w których dziewczęta oraz kobiety były tak samo nieustraszone i silne, jak młodzieńcy czy mężczyźni. Były to opowieści, które nawet ojciec mógł przekazywać jedynie zduszonym głosem i tylko rzucając na boki czujne spojrzenia, żeby żaden niepożądany słuchacz nie usłyszał przypadkiem czegoś z nich. Tego typu pogańskie legendy, które wbijał im ojciec do głowy, są dziś niebezpieczne dla życia. Wojownicy na usługach Kościoła zniszczyli ogniem i mieczem wszystko, co pozostało żywe z tamtych dawnych czasów: samych pogan, ich podania, ba, nawet wspomnienia ich czynów i pieśni, wiedzę i zwyczaje.

Zdziwiony Amos rozmyślał nad tym wspomnieniem. Pojawiło się całkiem niespodziewanie. Jednak w ostatnich dniach obudziło się w nim tak wiele wydarzeń z jego przeszłości, jakby zostały pogrzebane w gruzach i popiele wraz z rodzicami i całym ich dobytkiem tamtej pamiętnej nocy, kiedy wybuchł pożar. Ale teraz wichura zmiotła gruzy, odsłaniając na nowo wszystko, co zostało wtedy zasypane.

Tymczasem Józefa biegła między izbą a spiżarnią, pomstując. Stopniowo podawała połowę wędzonej kiełbasy, bochenek świeżego, pachnącego chleba i dzban z wodą. Ale stary Hubertus stał nieruchomo przy oknie i wyglądał na zewnątrz, jakby obawiał się, że w każdej chwili zjawi się tu inkwizytor ze swoimi purpurowymi wojownikami.

– Hubercie – rzekł Amos. – Przysiądź się no do nas. – Stary odwrócił się, wahając. – Odpowiedz mi na kilka pytań – ciągnął dalej Amos – a szybciej się nas pozbędziecie. Będziemy nocowali w stajni i wyruszymy o pierwszym świcie.

Niechętnie poczłapał w ich stronę i usiadł naprzeciwko przy stole. Amos odciął chleb i kiełbasę dla siebie i Klary, po czym zaczął łapczywie jeść i pić. Był tak zmęczony, że wydawało mu się, iż jego głowa i całe ciało są zdrtwiłe. Ale z każdym kęsem i z każdym łykiem odzyskiwał coraz bardziej siły witalne.

– Hubercie – powiedział i spojrzał na najstarszego zaufanego człowieka swego ojca przenikliwym wzrokiem. – Dlaczego moi rodzice musieli Umrzeć?

Stary pokręcił głową tak gwałtownie, że wiotka skóra zwisająca mu z policzków i z podbródka aż zadyndała.

– Tego do dziś nikt nie wie – wymamrotał.

– Miałem siedem, może osiem lat – powiedział Amos, nie spuszczać go z oczu – gdy odwiedziło nas kilku dostojnych panów o siwych włosach. Pamiętasz jeszcze?

Stary zarządca folwarku popatrzył na niego nieruchomym wzrokiem, a szczeka chodziła mu już od dłuższego czasu jak u chrupiącego królika. W końcu kiwnął głową.

– O tak, jak mógłbym zapomnieć. – Położył ręce na stole.

– Chcieli was zabrać, paniczku, i już prawie udało im się pozyskać waszego pana ojca dla ich planu, ale wasza pani matka nie chciała was oddać, krzyczała i płakała.

Z każdym słowem mówił coraz głośniej, by zagłuszyć swoją żonę, która stała za nim przy garach i wyrzucała z siebie ostrzegawcze syki. Ostatnie słowa niemal wykrzyczał, a jego dłonie nie były już złożone, lecz ściśnięte w pięści.

– Kim byli ci mężczyźni, Hubercie? I czego chcieli właśnie ode mnie?

Stary znów milczał przez dłuższą chwilę, patrząc na Amosa ponurym wzrokiem.

– Powinniście dowiedzieć się wszystkiego, co ja wiem, panie – wyrzucił w końcu z siebie.

## 8

SPOD PRZERZEDZONYCH, SIWYCH WŁOSÓW wystawała czaszka starego mężczyzny, pocętkowana czarnymi jak sadza znamionami. Amos zapamiętał Hubertusa jako silnego, rosłego mężczyznę, ale teraz wydał mu się mocno skurczony wiekiem i strachem.

– Wiem niewiele, ale to już i tak za dużo, panie – zaczął zarządca folwarku. – A wy macie do tego prawo, by się wszystkiego dowiedzieć. Być może uda mi się dzięki temu odzyskać choćby odrobinę spokoju ducha, jeśli wyjawię wam tajemnice, które ciążyą mi od wielu lat niczym kamień młyński zawieszony na szyi.

Józefa znów zaczęła syczeć.

– Od czego mam zacząć? – ciągnął dalej jej mąż podniesionym głosem. – Chyba najlepiej od starego pana Kasimira, waszego dziadka. Sam służyłem jeszcze u niego jako zarządca zamku – do roku 1484, gdy w całej Rzeszy płonęły już stosy.

Wychudzona staruszka przy garach syczała teraz głośno jak całe węzowisko, ale Hubertus odwrócił się w jej stronę tylko na krótką chwilę i pokręcił głową.

– Bądź tak miła, przynieś z domu czeladzi koszulę i kaftan dla pana Amosa. Rzeczy Franka powinny mniej więcej pasować. Franek jest naszym najmłodszym sługą – ciągnął dalej, zwrócony w stronę Amosa.

Amos uśmiechnął się do niego.

– Nigdy nie zapomnę, że ty i Józefa pomogliście mi. – Był wdzięczny Hubertusowi i jednocześnie nieco zakłopotany. Wpadł tu nagle z Klarą, na wpół nagi i pokancerowany, z końskim pledem zarzuconym na gołe ramiona, by w środku nocy dręczyć starego mężczyznę swoimi pytaniami.

– Ciągłe milczenie ze strachu na dłuższą metę na niewiele się zdaje – powiedział Hubert. – Człowiek sam staje się swoim strażnikiem więziennym i usycha we własnoręcznie wymurowanych lochach. – Brzmiało to tak, jakby bardziej rozmawiał sam ze sobą, a może ze swoją żoną. Jednak po chwili uniósł głowę i popatrzył na Amosa. – Nie jestem specjalnie

odważnym mężczyzną, panie – powiedział – ale przynajmniej wam, ten jeden raz powiem bez skrepowania, co wiem i jak dopowiadam sobie całą resztę.

Józefa tupnęła nogą, wybiegła z izby i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Ona nie życzy wam źle – rzekł Hubert – ale boi się jeszcze bardziej niż ja. I może się chyba spodziewać jeszcze gorszych-rzeczy, bo inkwizytorzy najgorzej traktują swymi kleszczami i kołami właśnie kobiety. – Zdawał się wystraszony swoimi własnymi słowami i znów na kilka chwil popadł w pełne zadumy milczenie.

Amos poczuł zaklinające spojrzenie Klary na swojej prawej skroni.

– *Nie ponaglaj go. On chce uspokoić swoje sumienie, ale jeśli będziesz go pośpieszał, niczego się od niego nie dowiesz.*

– *Postaram się opanować swoje zniecierpliwienie.* – Uśmiechnął się do Klary, a następnie znów spojrzął w stronę Hubertusa. W milczeniu czekał, aż stary zarządca folwarku znów zacznie mówić. Gdy byłem małym chłopcem, pomyślał, chodziłem na chwiejących się nogach po podwórzu z Hubertusem za rękę. Kiedy chciało mi się pić, biegłem do Józefy, a ona dawała mi kubek mleka.

– Chciałem wam opowiedzieć o rycerzu Kasimirze. – Hubert zaczął znów mówić, jękając się. – Wasz dziadek był uczonym panem, a w duchu artystą, który pasjami zajmował się zwłaszcza tajemnymi sztukami dawnych czasów i ludów: czarami, prorocत्वami, wywoływaniem duchów. Nie był w tym odosobniony – dość sporo uczonych, ale także ludzi Kościoła i potomków domów książęcych myślało i czuło tak jak on. A pan Kasimir utrzymywał z wieloma z nich kontakty. Wkrótce co miesiąc na dziedziniec zamku Höhenstein zajeżdżały powozy z Wenecji lub Florencji, z Heidelbergu lub Pragi. Mojego pana odwiedzali artyści i filozofowie, korespondowali z nim uczeni, którzy przesyłali mu drogocenne książki ze starej Grecji lub Egiptu albo fragmenty prastarych, pogańskich znalezisk, które wykopali – Bóg jeden wie – gdzie. W kręgu tych światłych ludzi wszyscy byli zgodni, że dawne sztuki są nazbyt cenne, by można było tak po prostu pozwolić na ich zagładę. Jednak pan Kasimir i inni panowie zgadzali się ze sobą również co do tego, że czasy wielkich czarodziejów, alchemików i twórców sztucznych stworzeń bezpowrotnie minęły.

Hubertus, pogrążony w myślach, potarł sobie czoło i oczy. Jego dłonie już od dłuższego czasu nie leżały sztywno ściśnięte w pięści przed nim na stole, lecz żywo nimi gestykulował na wszystkie strony, w czasie gdy mówił. Mężczyzna wydawał się dziwnie odmłodzony i ożywiony, jakby owładnęły nim teraz magiczne siły.



– W tym przekonaniu – ciągnął dalej – zostali jeszcze bardziej utwierdzeni, gdy papież Innocenty III wydał w roku 1484 bullę *Summis desiderantes affectibus*, pismo ze wszech miar brzemienne w skutki, panie Amosie. Bo w swej tak zwanej bulli przeciw czarownicom Ojciec Święty nakazał wyłapywanie wszystkich czarodziejów i wiedźm na całej kuli ziemskiej, palenie ich na stosach wraz z diabelskimi pismami i magicznymi rekwizytami.

Znów urwał w środku zdania, a Amos pomyślał: A więc ja i bulla ujrzeliśmy światło dzienne w tym samym roku. Wypił łyk wody i uśmiechnął się do Klary. Czuł się zupełnie rozbudzony i jednocześnie miał wrażenie, jakby był pogrążony w głębokim śnie.

– Pan Kasimir i jego bracia duchowi, bo tak wasz dziadek niekiedy nazywał krąg uczonych, już wcześniej postanowili, że zbiorą esencję zabronionych od tamtego czasu dawnych sztuk w jednej tylko książce. Także bulla przeciwko czarownicom nie zmieniła ich planów, tyle tylko, że ukrywali odtąd swoje aktywności i w ogóle całą organizację pod zasłoną surowego milczenia. Zawsze trzymali w tajemnicy swoje prawdziwe zamiary. Dla świata wszyscy oni byli bez wyjątku pobożnymi panami: angażowali się na rzecz wypraw krzyżowych, wspierali dekorowanie kościołów, a na swoich zebraniach debatowali o nauczaniu Ojca Kościoła Augustyna lub reformie zakonów mniszych. Jednak potajemnie zbierali wszystkie pisma zawierające wiersze i eposy dawnych pogan, ich pieśni, nauki oraz objawienia na temat tajemnych sztuk, poza tym wszystkie magiczne przedmioty, których kiedykolwiek używano do zaklania, w alchemii, w przepowiadaniu przyszłości, w kontaktach z nadprzyrodzonymi siłami. Podobnie jak czarnoksiężnicy, którzy warzą w swoich laboratoriach duże ilości metali i proszków, by uzyskać kilka kropli destylatu, tyle, ile mieści się zaledwie w maleńkiej fiołce, tak i oni chcieli zawrzeć w cienkim tomiku ekstrakt tego wszystkiego, co wydawało im się godne przekazania kolejnym pokoleniom – uśmiechnął się w zamyśleniu. – „Bo prawdziwą czarną magią, często, słyszałem, jak mówił to stary pan, nie jest już alchemia, tylko ołowiany druk z ruchomymi czcionkami, który pozwala nam na rozprowadzanie naszego elementarza po całej Rzeszy”. To dzieło miało się nazywać *Księga duchów*, a tajny zakon braci duchowych, który nad nią pracował, nosił nazwę Opus Spiritus lub Dzieło Duchowe.

Hubertus urwał nagle swoje opowiadanie i chciał już wstać od stołu, jakby mówiąc to, powiedział już wszystko, a może nawet wyjawiał za dużo tajemnic.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział szybko Amos. Ze zmęczenia w głowie powoli wszystko zaczynało mu się kręcić. Ale nie wyjdzie z tej śmierdzącej starym popiołem izby, zanim Hubert nie odpowie mu jeszcze na to pytanie.

Stary niechętnie osunął się znów na swój stołek. Amos spojrzął na niego i jego usta stały się naraz suche.

– Dlaczego ja? – spytał.

Hubertus znów zaczął ruszać ustami jak chrupiący królik.

– Dlaczego, Hubercie? – nalegał Amos. – Powiedz, czuję przecież, że znasz odpowiedź. Dlaczego chcieli mnie wtedy odebrać rodzicom? Dlaczego mój ojciec, jak twierdzisz, dał się pozyskać dla tego planu? Co w ogóle miałem dla nich zrobić – ja, siedmioletnie dziecko?

– Wiele pytań – wymruczał stary.

– Wszystkie są ze sobą powiązane. Zaklinam cię, Hubercie, najstarszy zaufany człowieku mojego ojca, powiedz mi, co wiesz.

– Niewiele więcej niż nic. – Hubertus znów zacisnął dłonie w pięści i położył je przed sobą na stole. – Byliście niezwykłym dzieckiem, paniczku Amosie. Sami pewnie ledwo pamiętacie – takie talenty ujawniają się w najwcześniejszych latach, a później stają się niewidoczne przez długi czas.

– Jakie talenty? – zapytał Amos. Jego usta były tak suche, jakby nałykał się kurzu.

– Nadzwyczajne talenty – wymamrotał stary. – Jako zupełnie mały chłopiec, w wieku niespełna dwóch lat, potrafiliście przewidzieć, że ktoś nosi w sobie nieuleczalną chorobę. Kładziono was w jego objęcia i jeśli wzbranialiście się z płaczem i nie chcieliście niczego innego, jak tylko szybko się od niego uwolnić, to człowiek ów był skazany na śmierć. Wasz ojciec często wystawiał was na próbę i ani razu nie udało mu się was zwieść.

– Każdy, w czyich ramionach nie chciałem pozostać, umierał?

Hubertus zmrużył mokre oczy.

– Brzmi to prawie, jakbyście mieli złe spojrzenie. Ale tak nie było, nawet jeśli wasi rodzice dokładali wszelkich starań, by ukryć wasz dar. Podobnie zresztą jak i waszą drugą niezwykłą zdolność. Jako całkiem mały chłopiec potrafiliście wyczuwać źródła i ciekę wodne głęboko w ziemi. Wystarczyło was posadzić gdzieś na ziemi i trochę poczekać – tam, gdzie znajdowano was później w stanie największego zadowolenia, ani chybi znajdowało się jakieś podziemne źródło lub rzeka. Jednak te zdolności zniknęły lub przynajmniej przeszły w stan uspienia, a obchodziliśmy właśnie wasze trzecie urodziny. I całe szczęście, powinienem chyba dodać, bo właśnie w tym czasie, w Roku Pańskim 1487, ukazał się drukiem podręcznik dla łowców czarownic. *Malleus malef karum* (Młot na czarownice), w którym obok wielu innych talentów napiętnowano jako czary także dar przenikliwego wzroku i dar wyczuwania wody.

Teraz to Amos spoglądał w milczeniu na swego rozmówcę. Opus Spiritus i bracia duchowi skupieni wokół dziadka Kasimira – to by przynajmniej tłumaczyło tajny herb na mieczu rodowym pod palatium zamku Höhenstein. A on sam był ponoć zupełnie niezwykłym dzieckiem, obdarzonym magicznymi zdolnościami już jako mały chłopiec. Usiłował sobie uświadomić, co właściwie oznaczają wszystkie te nowiny, ale z nadmiernego zmęczenia ledwo mógł o tym myśleć. A gdy rzucił Klarze spojrzenie, poczuł jeszcze większy mętlik w głowie, chociaż z innego powodu. Uśmiechnęła się do niego w taki sposób, jak to odmalowywał sobie niekiedy co najwyżej w swoich najwspanialszych marzeniach.

Energicznie odwrócił się znowu w stronę starego mężczyzny.

– A więc chcieli mnie zabrać ze sobą z powodu tamtych zdolności, gdy byłem siedmioletnim chłopcem?

– Dlatego zostaliście wybrani, panie Amosie. – Hubertus kiwnął kilka razy głową. Wiercił się na swoim krześle, unikając wzroku Amosa. Było oczywiste, że szukał tylko pretekstu, by zakończyć ich rozmowę. – W każdym razie tak to sobie tłumaczyłem – ciągnął mimo wszystko dalej – i więcej już naprawdę nie mogę wam powiedzieć. W końcu sam nigdy nie byłem członkiem tamtego Opus Spiritus, jestem tylko prostym człowiekiem, a nie uczonym, ani tym bardziej szlachetnie urodzonym. Wiele rzeczy jedynie sobie dośpiewałem na podstawie różnych aluzji waszego dziadka, a później również waszego ojca Ferdinanda. O ile dobrze rozumiałem, chyba wszyscy bracia duchowi musieli przysiąc, że przywiodą do Opus Spiritus nowicjusza o skłonnościach do magii i wielu zdolnościach. To, że wybór waszego dziadka padł na was, jest jasne jak na dłoni, tak samo jak to, że wasz ojciec przynajmniej początkowo wyrażał na to zgodę. W końcu sam był wielkim wielbicielem dawnych, pogańskich sztuk i zwyczajów. Ale później zmienił zdanie, bo w tamtym czasie wszędzie płonęły już stosy i prawie co tydzień palono gdzieś jakąś wiedźmę, jakiegoś alchemika lub czarownika. Pamiętam jeszcze, jak wasza pani matka ciągle krzyczała i płakała w tamtym czasie: „Spalą moje dziecko, spalą moje dziecko – zostawcie wreszcie małego w spokoju!”.

Amos znów rzucił spojrzenie w stronę Klary, a stary wykorzystał ten moment i zerwał się z miejsca.

– A teraz, jeśli pozwolicie, wskażę wam wasze posłanie.

– Poczekaj, Hubercie, nie odpowiedziałeś jeszcze na najważniejsze pytanie: Czy moi rodzice musieli umrzeć dlatego, że nie chcieli mnie wydać tamtemu zakonowi duchowemu?

Ale stary pokręcił jeszcze tylko rozgniewany głową, mocno zaciskając usta.

*– Daj mu spokój, Amosie. Przecież będziesz mógł go wypytać jeszcze jutro rano.*

Amos skinął głową z aprobatą i również wstał od stołu. Wszystkie te nowiny wprawiły go jakby w odrętwienie, a ze zmęczenia kręciło mu się w głowie. Właśnie dziękowali, on i Klara, staremu za ugoszczenie, gdy drzwi otworzyły się z rdzawym piskiem, a w izbie znów pojawiła się Józefa. Trzymała przyciśniętą do piersi stertę znoszonych ubrań, a gdy Amos podszedł do niej, by i jej podziękować za gościnę, rzuciła mu stos szmat pod nogi.

– A teraz wynocha mi stąd, panie! I nie zapomnijcie wziąć ze sobą waszej wiedzy! – rzuciła jemu i Klarze gniewne spojrzenie, wskazując otwarte drzwi. Nie pozostało im zatem nic innego, jak życzyć mruczącymi głosami dobrej nocy i pójść przez podwórze do stajni.

AMOS ZBUDZIŁ SIĘ O PIERWSZYM BRZASKU. Obok niego leżała Klara, która uśmiechała się przez sen. Rozłożyła dla nich obojga koński pled na słomie i wsunęła pod spód *Księgę duchów* w taki sposób, żeby mógł znaleźć ją po omacku w ciemności. Na wypadek gdyby zerwał się ze snu z przerażeniem, umierając ze strachu na myśl, że łowcy ksiązek odebrali mu książkę.

– *Ale ja będę czuwała nad twoim snem* – powiedziała, uśmiechając się do niego. – *Słodkich i spokojnych snów.*

Wcześniej zatroszczyła się jeszcze o jego rany – liczne obtarcia, których nabawił się podczas dzikiej przeprawy prowizoryczną tratwą, i rany mięśni na jego ramieniu, które zadały mu sokoły swoimi szponami i dziobami, a jako ostatni – Johannes, toporem wojennymi. Będąc już w półśnie, zdjął amulet z szyi, by jej go oddać. Ale Klara nawet nie chciała o tym słyszeć i zaraz zawiązała mu skórzany rzemień wraz ze srebrnym trójkątem i wilczoookiem z powrotem na szyi.

– *Matka Zofia dała mi go jako znak rozpoznawczy, na wypadek gdybyś mi nie uwierzył, że jestem po twojej stronie.* – Uśmiechnęła się do niego i zwróciła w stronę kolejnego otarcia. – *Ale zdaje się, że i tak mi uwierzyłeś. Poza tym niebieski kamień bardziej pasuje do twoich oczu niż do moich.*

Istotnie, nie można było temu zaprzeczyć.

– *A więc zgoda, będę go dla ciebie przechowywał. Połączy nas jeszcze bardziej ze sobą.* – Mimo swego śmiertelnego zmęczenia wyjaśnił jej jeszcze, że istnieje drugi, tajemny herb rycerzy z rodu Höhensteinów, w którym właśnie ten trójkąt z płonąco niebieskim okiem w środku odgrywa zagadkową rolę.

Teraz odwrócił się w jej stronę, leżąc, i oparł głowę na lewej ręce. Mimo że musiał przespać zaledwie kilka godzin, czuł się rześko i był pełen zapału. A to cudowne orzeźwienie zawdzięczał wyłącznie jej, Klarze, która leżała obok niego i uśmiechała się przez sen.

– *Na swój sposób ja też byłam niezwykłym dzieckiem* – oświadczyła mu w czasie gdy oczyszczała jego rany na ramieniu czystym strzępkiem płótna. – *Już jako mała dziewczynka potrafiłam uzdrawiać rękami i także w moim przypadku ten dar zanikł na wiele lat, powrócił dopiero wtedy, gdy ukończyłam dziesięć lat.*

Wszędzie, gdzie dotykała go swoimi palcami, ból i odrętwienie w okamgnieniu zmieniały się w niezwykle przyjemne łaskotanie. Miał wrażenie, jakby przez skórę przenikały maleńkie strzały światła, które były tak ciepłe i pulsujące.

– *A więc zostaliśmy wybrani przez wzgląd na nasze zdolności – jako nowicjusze tamtego zakonu braci duchowych?* – Przypominał sobie jeszcze, że przesłał jej to pytanie, jednak zanim dotarła do niego jej odpowiedź, zasnął.

Przy czym „zasnął” nie było całkiem odpowiednim słowem. Zamknął oczy i w tej samej chwili został wciągnięty do innego świata, a przynajmniej nagle znalazł się w innym miejscu. Zupełnie tak jak wtedy, gdy czytał *Księgę duchów* i w okamgnieniu, już po pierwszych liniijkach opowieści, przeistaczał się w rycerza Wawrzyńca.

Z niecierpliwością czekał, aż Klara się obudzi, bo chciał jej opowiedzieć o swoim śnie. Ale nie było to zwykłe spanie i śnienie. Jeszcze nigdy wcześniej w swoim życiu nie czuł się tak bardzo rozbudzony i tak świadomy, jak w tamtym świecie, w tamtym miejscu. Jednocześnie jeszcze nigdy przedtem nie przechodziły go takie ciarki, mimo iż tak naprawdę nie przytrafiało mu się tam nic przerażającego. *Będiesz wiedział, dla kogo jest to przeznaczone* – słowa te Kronus napisał na skrawku papieru, który Amos znalazł w *Księdze duchów* i który zgubił później podczas ucieczki przed łowcami ksiązek. *Zanieś mu to, a zyskasz nieśmiertelność.* Od czasu gdy wczoraj czytał opowieść *O kobiecie, co mieszkała w studni*, był przygotowany na to, by otrzymać poprzez magię myśli instrukcję, dokąd ma zanieść książkę. A teraz najwidoczniej to nastąpiło, choć w zupełnie inny sposób, niż się tego spodziewał.

Klara otworzyła oczy, a jej uśmiechnięta przez sen twarz teraz rozpromieniała.

– Amosie. – Wyciągnęła ręce w jego stronę, a on sam był tak zmieszany, że nie wiedział, co ma począć. Czy mógł teraz zrobić to, co było mu milsze niż wszystko inne, co dziesiątki razy odmalowywał sobie we śnie i na jawie, odkąd podążył za nią wtedy w Norymberdze.

– *Mój wybrańcu. Na co jeszcze czekasz?*

Zacisnął wargi i pokręcił głową. Poczul głęboki żal, jednak równie jasno i wyraźnie czuł, że nigdy nie wystąpiłby przeciwko nakazowi, przeciw żelaznej regule życia, którą nałożył na niego Kronus.

– Właśnie dlatego, że nas oboje wybrali – powiedział cichym głosem – będziemy musieli poczekać. – Odnosił wrażenie, jakby fala gorąca miała mu lada chwila uderzyć do głowy, rozlewając się po policzkach, ale zdusił wszystkie narastające w nim uczucia: pożądanie, zakłopotanie i strach, że nie podoła swojemu jakże wielkiemu zadaniu.

– *Zanim Kronus powierzył mi książkę* – ciągnął dalej, dla bezpieczeństwa posługując się telepatyczną mową – *poinstruował mnie, żebym żył jak mnich.*

– *Jak mnich* – Jej uśmiech zgasł. – *Czy oznacza to, że nie wolno ci mnie nawet pocałować*  
– Popatrzyła na niego w górę ze zmarszczonymi brwiami.

Amos ponownie pokręcił głową, tym razem ze zdziwienia. Znow przyszło mu na myśl, co dokładnie powiedział mu wtedy stary mężczyzna.

– *Jestem prawie przekonany co do tego, że nawet przewidział, że my siebie. .. to znaczy, że ja się w tobie...* – Teraz zrobiło mu się znowu dość gorąco.

– *Tak jak i ja w tobie, Amosie.* – Jej uśmiech znow rozpromienił całą jej twarz. – *Ale dlaczego w takim razie przykazał d, byt wiódł życie mnicha?*

– *Przede wszystkim mam rozbudzić drzemiące we mnie siły poprzez Księgę duchów, zwłaszcza zaś siły magii serca i magii myśli. W tym celu nałożył na mnie tę regułę. I pamiętam jeszcze, co mi następnie oznajmił. Powiedział dosłownie: „Jeśli opanujesz te stopnie i będziesz szczerze gotowy, by przejść dalej do trzeciego stopnia, to sami będziecie wiedzieć, jak powinniście – I sądzisz, że ten twój tajemniczy mędrzec miał na myśli nas oboje, gdy mówił „będziecie” i „powinniście”?* – W uśmiechu Klary pojawiło się szyderstwo. – *Poczekajmy więc. W każdym razie w ciągu całego mojego życia jeszcze żaden chłopak nie popędził za mną jak szabry, jak ty pobiełeś za mną wtedy w Norymberdze.*

Obaj nie mogli się powstrzymać i zaśmiali się. Jednak już po chwili usłyszeli dobiegające z podwórza kroki i besztający głos starej Józefy, a Amosowi przyszło wtedy na myśl, o czym tak właściwie chciał opowiedzieć Klarze.

– *Wiem już, dokąd musimy pójść z tą książką. To znaczy, właśnie tego nie wiem.*

Popatrzyła na niego pytającym wzrokiem i najwidoczniej znow chciała zachichotać, ale tym razem Amos zachował powagę. Zanim wyruszą w dalszą drogę, musi jeszcze zejść z nią do piwnicy pod ruinami dworku, i już z tego tylko powodu przeszła mu ochota do śmiechu oraz cała beztroska.

– *Posłuchaj, Klaro. Wydaje mi się, że dziś w nocy otrzymałem wiadomość.*

W jednej chwili spoważniała i Klara.

*– Wszystko dzieje się dokładnie tak, jak to przewidziała matka Zofia.*

Przymknął do połowy oczy i zrelacjonował jej tak dokładnie, jak to tylko było możliwe, co wydarzyło się w nocy.

Oboje, on z Klarą, wchodzą na górę, która swym kształtem przypomina stożek i wznosi się obok jakiegoś miasta. To bogate miasto, z wieloma różnymi wieżami i okazałymi domami, ale jest o wiele mniejsze od Norymbergi, choć większe od Wunsiedel. Na samym szczycie góry stoi urządzony z przepychem zamek, z wysoką, smukłą wieżą. Podchodzą do bramy zamkowej i gdy już są na miejscu, Amos prosi strażników, by zapowiedzieć ich nadwornemu kapelanowi. Jeden ze strażników pyta go o imię, a on odpowiada: „Amos von Höhenstein”. Potem niezwłocznie zostają wpuszczeni do środka, a drugi ze strażników prowadzi ich do bocznego budynku, który jednak wygląda całkiem niepozornie.

*– Poczekajcie tutaj – nakazuje im strażnik – aż kapelan nadworny znajdzie dla was czas. –* Siadają i rozglądają się dookoła, kunsztownie pomalowane ściany przedstawiają rozmaite sceny biblijne. W tylnej ścianie znajdują się dwuskrzydłowe drzwi, zza których od czasu do czasu dochodzą zduszone głosy. W końcu drzwi się otwierają, a w ich stronę idzie rostry, szczupły i młody jeszcze mężczyzna. Na głowie ma zielony kapelusz i jest ubrany w szeroką, lśniąca, czarną pelerynę. Mężczyzna roztacza wokół siebie aurę ponurości, a gdy podchodzi do nich, Amos wzrdraga się i czuje, jak coś lodowato zimnego wpełza mu przez żyły aż do serca. Z oczu mężczyzny bije nieziemski wręcz, lśniący błękit, a jego spojrzenia są zimne i przeszywające na wskroś zarazem, niczym strzały z lodu.

*– Ciarki mnie przechodzą, gdy pomyślę o tym mężczyźnie. Tylko z największym trudem udało mi się uwolnić spod jego czaru, gdy poprowadzono nas zaraz potem do salonu, w którym nadworny kapelan przyjmuje swoich gości i nic już więcej nie wiem, Klaro, ani jak się cała sprawa kończy, ani jak w ogóle dalej się potoczyła.*

Klara popatrzyła na niego z wyraźnym podziwem.

*– Twoje zdolności są jeszcze bardziej imponujące, niżbym się tego spodziewała na podstawie aluzji matki Zofii. –* Jednak już po chwili jej oczy znów zaiskrzyły szyderstwem. *– W tutejszym świecie nie masz jednak zbyt dobrego rozeznania. Ta smukła wieża stoi na stożkowej górze pod Bambergiem i należy do zamku księcia biskupa Georga, a wie o tym każde dziecko w tym kraju. –* Zacisnęła swoją dłoń w pięść i zalotnie uderzyła go w pierś. *– Biskup Georg III jest jednym z najpotężniejszych władców we Frankonii i ma ponadto opinię przyjaciela uczonych oraz mecenasa sztuk pięknych i tajemnych.*



– *Wyruszajmy zatem natychmiast. Droga stąd do Bambergu jest daleka – a wiem to nawet ja.* – Czuł się nieco urażony, bo szydziła z jego oderwania od życia. Miała przy tym rację, a on był niezmiernie uradowany, że się spotkali.

TO ZEBRALI WSZYSTKIE SWOJE MANATKI. Dzięki grubej otoczce z trzciny *Księga duchów* w całkiem niezłym stanie przetrwała dziką przeprawę tratwą, a także chwilowe uprowadzenie przez Johannesą. Oprawa była tymczasem usiana plamami po błocie i wodzie, kilka kartek było do połowy wyrwanych z grzbietu, a niektóre słowa rozmazały się wskutek wilgoci, tworząc teraz dziwaczne gryzmoły. Ale książka wciąż była cała, nie brakowało żadnej kartki ani żadnego wiersza. Jednak z tobołka, który Amos znalazł w szybie pod dawnym folwarkiem młyńskim, zostało już tylko kilka strzępów, a jego zawartość leżała pewnie teraz rozsypana w skalnym labiryncie, w lesie, aż po Wunsiedel.

Włożył koszulę i kaftan. Okazało się, że rzeczy należące do młodego parobka były już dość wyświechtane, ale nawet na niego pasowały. Wsunął swój krótki miecz za pas, a *Księgę duchów* pod koszulę, i był już gotów do podróży.

Nieco później wyszli na podwórze ze swoim koniem, którego Klara ciągnęła za sobą za wodze. Chciała już wskoczyć na siodło, ale Amos położył jej swoją rękę na przedramieniu.

– *Zejdźmy jeszcze na krótką chwilę tam, na drugą stronę.* – Wskazał na mury, które były kiedyś domem jego i Ody Przemierzyli dziedziniec i weszli między czarne od sadzy mury. Amos stwierdził z ulgą, że nie rozpoznaje nawet zarysów holu wejściowego – z tyłu brakowało połowy ściany, a boczny mur po lewej stronie Hubertus wyburzył niemal w całości, by z gruzów wznieść chatkę zarządcy folwarku. Ze schodów, po której Amos biegł wtedy na dół z Odą, pozostał jeszcze tylko tuzin spękanych stopni przy ścianie po prawej stronie. A tam z tyłu, jak wcześniej, prowadził na dół do piwnicy o wiele za wąski szyb ze schodami.

Amos szedł przodem, nie odzywając się ni słowem, a i sama Klara nie pytała, dokąd chce ją zabrać. Każdy jeden stopień prowadzący do piwnicy rozprysnął się wtedy w ogień. Sieć drobnych i grubych szczelin pokrywała stopień za stopniem, niczym pajęczna sieć rozciągając się na kamienne płyty także na dole, w pomieszczeniu, przez które wchodziło się do piwnicy.

Chwyił Klarę za rękę, a ona odwzajemniła uścisk jego palców, wciąż jeszcze się nie

odzywając się. Tu na dole nie było już nawet szcurków ani prosioków, tylko popiół i sadza.

Poprowadził ją przez wszystkie piwniczne pomieszczenia, aż do samego końca. Stała tam kamienna skrzynia, dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej – przed ścianą. Na skrzyni leżała pokrywa z wyżłobionym krzyżem.

– *To tutaj ukryliśmy się wtedy z Odą.*

– *Opowiadała mi o tym.*

– *Zakneblowałem jej ręką usta, bo w przeciwnym razie zdradziłaby nas swoim krzykiem.*

– *Wiem.*

– Ale ona już nigdy więcej nie będzie krzyczała, Klaro, nigdy już niczego nie zrobi. Ona nie żyje! – Słowa te wręcz dobyły się z niego same, w czasie gdy on krzyczał, spazmatycznie szlochając.

– Oda nie żyje, Klaro, Oda nie żyje! – Upadł na kolana, uderzając głową o kamienną skrzynię, i wyciągnął złożone ręce do góry, w stronę czarnego jak sadza sklepienia. – Dlaczego, Boże na niebiosach, do tego dopuściłeś, skoro mienisz się dobrym Bogiem? Wszyscy, których kochałem i którzy byli mi drodzy, nie żyją! Moi rodzice, moja siostra – wszyscy oni nie żyją! Dlaczego musiała umrzeć Oda, niewinna dziewczyna, dlaczego pozwoliłeś purpurowym wojownikom, by zaszlachtowali ją jak bydło? A moi rodzice, Boże na niebiosach, dlaczego pozwoliłeś na to, by spłonęli w swym własnym domu, dlaczego zamiast tego nie posłałeś po tysiącokroć przekłętą Höttischego i wszystkich jego zwyrodnialców do piekła? Dlaczego, Boże, dlaczego Oda nie żyje? – Amos krzyczał, szlochając i zalewając się potokami łez tak, że nawet Klara nie potrafiła go od razu uspokoić.

– *Mój ty biedaku, jakże mi cię żal.* – Przykucnęła obok niego, objęła go i kołysała. – *Już od dawna to przeczuwałam. Tej nocy, gdy umarli, zerwałam się ze snu przerażona i poczułam w swojej piersi potworny ból. Znałam Odę tylko kilka tygodni, a mimo to od razu była mi tak droga i bliska, jakbyśmy przyjaźniły się ze sobą przez całe życie. Zawsze będę ją wspominała z czułością.*

– Tak go pocieszała, mocno trzymając w swych ramionach, aż jego łkanie i płacz zaczęły całkiem stopniowo ustępować. Amos nigdy by nie pomyślał, że nagromadziło się w nim tak wiele łez, tak dużo bólu i smutku – zupełnie jak w jednej z tych podziemnych wód, które potrafił rzekomo wyczuwać jako mały chłopiec.

– Wybacz, Klaro – rzekł w końcu ochryplym od płaczu głosem i przetarł sobie oczy. – Gdybym wiedział, że wydarzy się coś takiego... Nie chciałem, żebyś widziała mnie w takim stanie.

Uśmiechnęła się do niego czule.

– A ja jestem ci wdzięczna, że mogłam cię takim zobaczyć. Teraz znam cię lepiej, a ty na pewno czujesz się trochę pokrzepiony.

– Tak, to prawda. Ale za długo już tu siedzimy. A więc ruszajmy w drogę do... – Urwał w środku zdania i dał jej znak: przez piwnicę człapał ktoś w ich stronę.

Był to stary Hubertus, który przeżegnał się, wschodząc do środka, jakby piwnica była jakimś świętym miejscem.

– Pośpieszcie się – powiedział zduszonym głosem, odwracając się za każdym drugim słowem za siebie. – Dziś jest dzień targowy, a Józefa posłała naszych parobków do Wunsiedel i rozkazała im, by na was donieśli komendantowi. – Zwiesił głowę i ramiona. – Wybaczcie, paniczu Amosie, błagam was, wybaczcie mojej głupiej starej. To strach każe jej postępować w tak wiarołomny sposób.

– Nie martw się, Hubercie. – Amos podniósł się z trudem i pociągnął ze sobą Klarę w górę. Strach przeszył go aż do kości, ale nie chciał dać tego staremu po sobie poznać. – I tak mieliśmy właśnie wyruszyć w drogę. A zanim komendant zdąży przesłuchać twoich parobków, już dawno będziemy za granicą z Czechami.

Wątpił, by Hubertus, czy nawet komendant w Wunsiedel, dali się nabrać na to kłamstwo. Ale przynajmniej nie wypaplał, dokąd się naprawdę skierują.

– Dajcie się uściskać na pożegnanie, paniczu Amosie.

Podszedł do starego i pozwolił, by Hubertus go objął, jednak po chwili wyrwał się z jego objęć pełen przerażenia.

Stary popatrzył na niego z powagą i spokojem.

– Już od dawna czuję, że śmierć czai się w mojej piersi – powiedział – a teraz mam już pewność, że wkrótce mnie zabierze. A wy wciąż jeszcze posiadacie tamten dar.

Amos zmusił się do beztroskiego uśmiechu.

– Mylisz się, Hubercie, z pewnością dożyjesz stu lat. A jedyną rzeczą, którą potrafię lepiej od innych, jest bieganie. Chodź, Klaro!

Wziął ją za rękę i pobiegli przez czarną od sadzy piwnicę, a później spękanymi od ognia stopniami na górę, do na wpół wyburzonego holu, który nie miał żadnego innego dachu poza nieboskłonem. Klara przywołała kasztankę, wskoczyła na siodło i poczekała, aż Amos usiądzie za nią i oplecie ją swoimi ramionami. Gdy już to zrobił, pognali galopem przed siebie, a włosy Klary powiewały przed jego twarzą i dlatego widział cały świat już tylko przez złotą, pachnącą

Klarą woalkę. Życzył sobie, żeby już nigdy więcej nie musiał tutaj wracać, do tego ponurego miejsca strachu, i żeby zamiast tego mógł jechać tak ciągle dalej i dalej, w świat, gdzie istniełoby tylko oni dwoje. Ale przeczuwał, że żadne z tych życzeń się nie spełni. Ich zadaniem było uratowanie *Księgi duchów*, nawet jeśli wciąż jeszcze nie pojął, wedle jakiego planu byli poruszani i obracani wokół siebie, jak figury w nadzwyczajnym, wieloczołowym mechanizmie uruchamianym dźwiękami kurantu.

# ROZDZIAŁ VIII

# 1

KAROL SIEDZIAŁ Z PRZODU na koźle wozu i czasem Klara dotrzymywała mu towarzystwa na kwadrans lub pół godziny. Lalkarz kierował końmi, swoim srokaczem i jej kasztanką, zazwyczaj trzymając w milczeniu wodze, zdawał się pograżać we wspomnieniach. Karol był mężczyzną w średnim wieku, o delikatnych dłoniach i pogodnych piwnych oczach, otoczonych wieńcami licznych zmarszczek. Tak bardzo przypominał jej ojca, że zawsze ją do niego ciągnęło. Jednak z bólu i zgryzoty nigdy nie wytrzymała długo u jego boku.

Po jej lewej i prawej stronie przesuwały się obok nich nieprzeniknione ściany ze świerkowego gąszczu. Klara zamknęła oczy i pomyślała:

– *Dlaczego musieli umrzeć, Amosie? Moi i twoi rodzice, dlaczego?*

– *Nie wiem.*

– *Bo wzbraniali się przed wydaniem nas Opus Spiritus jako nowicjuszy?*

– *Ciągle się nad tym zastanawiam, Klaro, ale nie mogę dociec przyczyny. To po prostu nie ma sensu. A jeśli już, to diabelski. Jednak to niemożliwe, żeby tamto tajne bractwo rzeczywiście było tak diabelskie, jak zdaje się to zakładać inkwizytor Cellari. Bo wtedy Księga duchów nie byłaby niczym innym niż szatańskim dziełem, które widzą w niej łowcy ksiązek, a oboje wiemy, że to nieprawda. Wzbudza pozytywne moce w tych, którzy ją czytali i dogłębnie zrozumieli. Pomaga nam w zbliżaniu się do siebie i lepszym wzajemnym zrozumieniu. Ale nie sieje zamętu ani niezgody, jakby to miało miejsce w przypadku księgi z piekła rodem.*

– *Ale dlaczego w takim razie musieli umrzeć – Nie wiem, Klaro, i przysięgam ci, że się tego dowiemy.*

– *Tak też będzie, kochany Amosie.* – Klara uśmiechnęła się w głębi siebie.

Zakochała się w nim już wtedy w Norymberdze, gdy leżała na ulicy, a on pochylił się na nią i popatrzył jej w twarz tak przerażonym i niewinnym wzrokiem. A może nawet jeszcze wcześniej, gdy matka Zofia oświadczyła jej, że „wybraniec” zwróci się do niej na duchowej drodze, aby ona pomogła mu w uratowaniu najdrogocenniejszej książki w dziejach ludzkości.

Jechali prosto bezpośrednio przez najdziksze Smreczany. Amos być może wcale nie musiał ukrywać się na tyłach wozu, bo na zewnątrz były tu tylko las i wąwozy, od czasu do czasu kopalnia lub kamieniołom pełen wywijających młotami, umięśnionych mężczyzn, których Karol omijał szerokim łukiem. Ale Amos mimo to pozostawał pod plandeką, a jeśli już wyciągał spod niej głowę, to najpierw patrzył w górę, ku niebu.

Bał się sokołów. Ze zranioną stopą Johannes nie mógł wprawdzie jako pierwszy popędzić za nimi, ale łowcy książek mogli jeszcze wysłać swoje drapieżne ptaki, by go wytropiły.

Klara nie mogła zbyt łatwo uwierzyć, że łowcy książek w ogóle mogliby wpaść na pomysł, by szukać go tutaj w puszczy. Jeśli nawet wiedzieli, jaki jest cel jego podróży, nigdy nie przypuszczałyby, że będą przedzierać się przez góry na zachód, najkrótszą, ale także najbardziej uciążliwą z dróg. Aby obejść najbardziej strome góry i najtrudniejsze do pokonania lasy, trzeba było podróżować jednym z dwóch traktów handlowych, południowym prowadzącym przez Ebnath lub północnym, przez Weifienstadt. Dopiero daleko poza puszcza, w okolicy Goldkronach, trakty znów zbiegały się z drogą, która biegła do miasta rezydencyjnego Bayreuth, a stamtąd dalej przez Waischenfeld i Heiligenstadt do Bambergu.

Klara wątpiła w to, że Karol wciąż będzie kontynuował podróż z nimi, gdy już będą mieli za sobą góry. Lalkarz jechał drogami, które były tak wąskie, że ich wóz często z wielkim trudem przebijał się między skałami i gąszczem. Droga prawie bez przerwy prowadziła w górę, bo wybrali trasę prowadzącą przez tak zwaną pogańską kopę, położoną na wysokości ponad pięciu tysięcy stóp. Tam też Karol chciał „poprosić duchy o wsparcie”, a Klarze nie udało się wyciągnąć z niego, co to miało znaczyć.

Jednak już od dłuższego czasu przeczuwała, o jaką pomoc chciał błagać tam na górze. I za każdym razem, gdy jej błądzące myśli ocierały się o to przecucie, szybko zaczynała myśleć o czymś innym.

Właściwie był to niesamowity, szczęśliwy przypadek, że dziś rano natrafili na lalkarza z krytym wozem już dwie mile za Wunsiedel. Klara od razu pokierowała koniem w jego stronę i po krótkiej wymianie zdań dogadali się. Karolowi przydałby się drugi, silny koń pociągowy, bo jego karosrokata szkapą była już stara i zmizerowana, a droga prowadząca przez góry – stroma. Jeśli więc Amos i Klara chcieli podróżować na zachód, a woleli omijać ruchliwsze drogi, to wszyscy troje mogli połączyć siły. W każdym razie mogli pojechać razem aż na pogańską kopę – jak dalej będą podróżowali, miało się okazać na miejscu. Zaprzęgli kasztankę z przodu obok srokaczki i wspięli się z tyłu na wóz. Tam też Amos siedział niezmiennie od wielu godzin, tymczasem Klara



niekiedy wspinała się z przodu na kozła wozu.

Karol był małowówny, jak niegdyś jej ojciec, i cechowała go ta sama melancholijna życzliwość. A tak poza tym to obaj mężczyźni nie byli specjalnie do siebie podobni, jeśli akurat nie prezentowali osiadłej ludności swoich sztuczek czy nie zachwalali maści leczniczych lub towarów. Wędrowni ludzie rzadko się wzajemnie lubili – podróżujący kaznodzieje oburzali się na barwny lud wędrownych kuglarzy, którzy w okamgnieniu budowali na łące swoje sceny z desek, na których wystawiali bezbożne arlekinady. Z kolei komedianci kręcili nosem na połykaczy ognia i tancerzy z szablami, a wędrowni chirurdzy patrzyli z góry na uzdrowicieli, którzy obiecywali uwolnienie od wszelkich dolegliwości za pomocą jednej tylko tynktury lub maści. Ale wszyscy byli zgodni co do jednego: za każdym razem, gdy dochodziło do spotkania z osiadłymi chłopami i mieszczanami, należało być czujnym.

Bo chyba każdy z nich doświadczył już choć raz na własnej skórze lub słyszał pełne okropnych szczegółów opowieści, jak szybko podziw i wdzięczność ludzi potrafiły przerodzić się w nienawiść, ba, nawet w żądzę krwi. Właśnie w odległych przysiółkach w Smreczanach osiadła ludność chciwie pożądała nieco urozmaicenia, obcych twarzy i barwnych kostiumów, które na krótki czas wybawiały ją z monotonii pędzonego przez nią życia. I dopiero gdy spektakl dobiegł końca, a widzowie budzili się z zaczarowania, nierzadko dopadał ich straszny gniew na wszystkich wędrownych ludzi, którzy rzekomo wszyscy bez wyjątku paktowali z diabłem. Zazwyczaj to księża podsycali w wiejskich kościołach tę podszytą zabobonem nienawiść do wędrownego ludku.

Także Karol mógłby opowiedzieć wiele takich opowieści, bo sam połowę życia spędził na podróżowaniu swoim wozem po frankońskich krainach. Ale przez większość czasu był małowówny, trzymał w ręku wodze i co najwyżej wołał ochrypłym głosem do koni „wišta” lub „wio”.

Do niedawna, jeszcze kilka miesięcy temu, nie podróżował po świecie sam, lecz ze swoją kobietą, Moną – tyle przynajmniej udało się Klarze od niego dowiedzieć. Sam oczarowywał młodych i starych swoim kukielkowym teatrzykiem, tymczasem Mona była uzdrowicielką, uwalniała przede wszystkim kobiety od ich dolegliwości i zmartwień. Była dobrze znana wśród kobiet i młodych dziewczyn ze wsi oraz z dworów, toteż zazwyczaj wyczekiwano jej z utęsknieniem, gdy nadjeżdżali swym wozem z turkotem. Karol odrzucał wtedy wielokrotnie łataną plandekę z tyłu wozu, a ludzie wznosili ochy i achy, gdy ukazywała się ich oczom scena z kukielkami. A Mona rozbijała kilka kroków dalej swój namiot, przed którym kobiety i

dziewczyny ustawiały się w długiej kolejce.

– MÓJ KUKIELKOWY TEATRZYK ZAWSZE budził podejrzania klechy.

Po długim milczeniu Karol czasem wydawał z siebie nagle uwagi tego typu, by po chwili znów pogрузić się w cichych rozmyślaniach. Klara czekała wtedy zniecierpliwiona, aż znów się odzywał. Usiłowała wciągnąć go w rozmowę, ale szybko rezygnowała z tych prób. Mężczyzna zdawał się wsłuchiwać już tylko w samego siebie, a może w stronę pogańskiej kopy w górze, gdzie spodziewał się napotkać tamte duchy.

– Nie tylko dlatego, że mój mniszek ma taki gruby brzuch, tymczasem wszystkie inne lalki są chude jak śmierć. Gdyby tylko mogli, księża wypaliliby i wycięli – ogniem i mieczem – z każdego pojedynczego człowieka całą jego wyobraźnię. Bo wszelką fantazję uważają za dzieło diabła, no może z wyjątkiem ich własnych rojeń o błogosławionych w niebie i potępionych w piekle.

W kukielkowym teatrzyku Karola niebem był rozpięty worek na mąkę, ubarwiony na niebiesko marzanną farbiarską. Do worka przyklejona była głowa wysuszonego słonecznika, który świecił w dół na małą wieś, położoną gdzieś na pustkowiu. Krzywy kościółek i nędzne chatki chłopów zostały namalowane ołówkiem węglowym na jednej ze ścian z desek. W tym małym świecie mieszkali chłop i chłopka, lis i wilk, arlekin i brzuchaty mnich. Wszystkie te figury Karol wyrzeźbił własnoręcznie, pomalował je i zaopatrzył w cienkie jak włos druciki, przyczepione do ich głów i kończyn. A gdy wprawiał je w ruch, poruszając rękami, to chodziły tak naturalnie po scenie, jakby w rzeczywistości były żywymi istotami. Przynajmniej tak zapewniał Klarę Karol, a ona potrafiła to sobie żywo wyobrazić. Wcześniej, gdy prznosiła się z rodzicami z miejsca na miejsce, często jak zaczarowana wystawała przed sceną lalkarza, który był dobrym przyjacielem jej ojca i często podróżował razem z nimi po różnych krainach w jednej grupie.

– Ale sztuka uzdrawiania Mony była dla klechów mrocznymi, czartowskimi sztuczkami. – Karol znów wynurzył się ze swoich rozmyślań. – Zresztą ludzie Kościoła wszystkie kobiety

posiadające tajemną wiedzę postrzegali jako wiedźmy, a z biegiem lat sytuacja pogarszała się jeszcze bardziej. Polowano na wszystkie kobiety, które nie były takie, jak Matka Boska, tak głupiutkie, pokorne i słabe. Babkom, znachorkom, specjalistkom od miłości i płodności – takim jak moja Mona – wymyślano od czarownic, współniczek diabła, łapano je i palono na stosach. Rzekomo po to, by uratować dusze apostołek Szatana, ale dla nas, wędrownych ludzi, już od dawna jest oczywiste, o co tak naprawdę chodzi łowcom czarownic. Chcą zgładzić nie tylko nas, lecz zniszczyć także każde wspomnienie o sztuce uzdrawiania i sztukach tajemnych, które były nam przekazywane od najdawniejszych czasów, przez tysiące lat, zanim pojawiły się pierwsze klechy, by głosić swoje święte oszustwa. Dlatego też nie byliśmy z Moną nawet specjalnie przestraszeni, gdy tamtego czerwcowego wieczoru czterech purpurowych wojowników zatrzymało nasz wóz. Byliśmy na to przygotowani już od dłuższego czasu, a mimo to wydawało mi się, że porąbią nas na kawałki. Zabrali wtedy Monę ze sobą, a gdy zobaczyłem ją trzy tygodnie później, stała ze stłuczoną twarzą na placu przed kościołem w Bayreuth, przywiązana do słupa, a płomienie pełzły po niej w górę.

– Dobry Boże, Karolu, czy oni spalili Monę?

Popatrzył na Klarę z boku, a jego twarz była jak wyciosana z kamienia.

– O jakim Bogu ty mówisz? Jak w ogóle może on być dobry, skoro jego najgorliwsi zwolennicy są tak okrutni i złośliwi?

Klara nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć. Powiedziała to tylko ot, tak sobie. Chrześcijańskie wyobrażenie nieba z brodatym Bogiem Ojcem i jego synem bez brody, otoczonymi całym mnóstwem aniołów i świętych, było dla niej tylko odległym, mglistym urojeniem aż do czasu, gdy trafiła do matki Zofii. Ale nawet tam, w przytułku dla dziewcząt, w klasztorze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, wiara chrześcijańska z jej różnorodnymi zakazami i przepisami pokutnymi pozostała dla niej obca. Była natomiast bliska mieszkańcom klasztorów i miast, którzy w taki sposób postrzegali świat. Wiara, zdaniem Klary, opierała się przede wszystkim na strachu – strachu przed ekstatyczną radością istnienia, przed nieokiełznaną mową serca, przed siłą i przyjemnością, pulsującymi w ludzkich ciałach i duszach, przed magią, która drzemała we wszystkich zwierzętach oraz ludziach, w drzewach tak samo, jak w kamieniach – zawsze więc postrzegała tę magię jako zagrożenie, a nawet jako diabelstwo.

Jej rodzice, Kai i Vera Thalgruberowie, byli ochrzczeni i nosili przyzwoite, katolickie imiona, jak cały świat. Jednak już oni byli dziećmi wędrownych ludzi, a zostali ochrzczeni tylko po to, by klechy nie prześladowały ich jako pogańskich apostołów diabła. I podobnie postąpili

rodzice Klary. Podczas chrztu, w wiejskiej kaplicy nieopodal Bambergu, nadano jej imię świętej Klary, ale na poglądy i życie codzienne jej rodziców, jak również większości wędrownych ludzi, chrześcijańskie wyobrażenia nie miały żadnego wpływu.

W kościołach księża zachwalali wiernym tak zwane życie w zaświatach jako najwspanialszą z nagród za bezgrzeszne życie – ale to właśnie ten świat cieni, po którym błąkały się na wieki bezcielesne dusze, wielu wędrowców uznawało za miejsce potępienia i życzyli sobie, by – jeśli to tylko możliwe – los nigdy ich tam nie rzucił.

Wędrowni ludzie w większości nigdy nie określiliby się mianem pogan – takiego sformułowania używali tylko księża, by napiętnować wszystkich tych, którzy nie wyznawali nauki Kościoła. Zazwyczaj nie wierzyli ani w dobrotliwe, ani w gniewne bóstwa, nie uczęszczali też do żadnych wznoszonych z kamienia lub drewna kościołów, a jeśli już nawet to czynili, to jedynie dla zachowania pozorów. Ich katedrami były lasy, z żywymi kolumnami zbudowanymi z drzew i ze sklepieniem, które stanowiły ich wierzchołki, a przez które przebijało się drżące światło słońca lub księżyca. Nad śpiew chóru przedkładali śpiew tysięcy ptaków, a nad malowany firmament w kościołach – prawdziwe niebo ze słońcem, błyskawicami, grzmotami i ulewami.

Wielu wędrownych sztukmistrzów, cudotwórców i uzdrowicieli parało się również, przynajmniej w ograniczonym stopniu, czarami. Magia nie była dla nich niczym innym, jak oddawaniem czci wielu różnym duchom, które przenikały i ożywiały wszystko, jak prośba-zakęcie, by dopomogły uprawiającemu czary w tej czy innej sprawie: w sprawach miłości, w łagodzeniu strachu i bólów, albo też w potajemnym czytaniu w cudzych myślach. Jednak tę ostatnią sztukę opanowywali tylko zaawansowani w czarach, a wśród wędrownych ludzi z rzadka ktoś posiadał tę umiejętność. Czarną magię potępiali i prawie nigdy jej nie wykorzystywali, a były to przynoszące szkodę zakęcia, wyczarowywanie chorób, nieszczęścia, bezpłodności. Ledwo coś takiego miało miejsce, a już wszyscy oburzali się z tego powodu, a złoczyńcę spotykała zazwyczaj słuszna kara. Ale wyobrażenie chrześcijańskich kapłanów, jakoby wszelka magia była po prostu dziełem diabła, wydawało się Klarze tak samo bezsensowne, jak utożsamianie ciała z piekłem, a duszy ze zbawieniem.

– O co chcesz poprosić duchy na pogańskiej kopie, Karolu? – I tym razem, ku swemu zaskoczeniu, otrzymała odpowiedź:

– Już dawno się domyśliłaś, dziewczyno – uśmiechnął się melancholijnie. – Żeby zabrały mnie z tego życia. Czy mnie wysłuchają, to się jeszcze okaże. Ale bez mojej Mony nie mogę już

tutaj żyć.

### 3

LEŻAŁA W PÓLMROKU obok Amosa, pod plandeką wozu. Wciąż jeszcze był niespokojny i co dziesięć minut spoglądał w górę ku niebu, na którym nie pokazywał się jednak żaden sokół. I jeśli nawet nad pogańską kopą krążyły gdzieś na niebie drapieżne ptaki, to i tak ledwo mogłyby wypatrzeć, co się dzieje w gąszczu na ziemi. Tymczasem rozciągający się dookoła las porastał teren tak gęsto, że jechali jak w tunelu z pni i konarów.

Im wyżej wjeżdżali pod górę, tym mroczniej się stawało. Wóz skrzypiał i trzeszczał, konie parskały, a stara srokaczka Karola raz po raz potykała się z osłabieniami.

Karol już od wielu godzin nie odezwał się ni słowem. W końcu Klara pozostawiła go samemu sobie i jego wspomnieniom na koźle wozu.

*– On chce umrzeć.*

*– Wiem, Klaro.*

*– Biedaczysko, nie może żyć bez swojej Mony. Dlaczego chrześcijanie muszą być tak okrutni?*

*– Wydaje mi się, że większość z nich nie nienawidzi bardziej od innych ludzi. Żli i okrutni są tylko ludzie Kościoła: inkwizytorzy i ich purpurowi wojownicy. Mówią o miłości i przebaczeniu, a sięją strach oraz śmierć.*

*– On tak bardzo przypomina mi mojego ojca.*

*– Opowiedz mi o nim, jeśli masz ochotę. O twoich rodzicach, o samej sobie i waszym życiu w drodze.*

Z twarzami zwróconymi w swoją stronę leżeli teraz pod plandeką powozu, niczym w mrocznej jaskini.

Kajetan lub po prostu Kai, ojciec Klary, słynął wśród wędrownych ludzi jako szalenie odważny wołyżer. Potrafił jeździć konno, stojąc na siodle, w czasie gdy jego koń pędził galopem. Potrafił pognać koniem pod jabłonią i zebrać przy tym cztery najdorodniejsze owoce, nawet na nie patrząc: jedno dla Very, drugie dla Klary, a dwa pozostałe dla samego siebie i jego

karosza, który nazywał się Tharon. Potrafił rzucić się bokiem z siodła i w czasie gdy Tharon pędził dalej galopem niby bez jeźdźca, on zwisał niewidoczny u boku swego karosza, trzymając się strzemięcia i uzdy, by w końcu nagle wskoczyć z powrotem na siodło, wprawiając w zdumienie wszystkich widzów. Stojąc na Tharonie, Kai Thalgruber potrafił żonglować szablą i płonącymi pochodniami, tymczasem karosze stawał dęba lub podskakiwał to w lewo, to znowu w prawo. Ale jej ojciec opanował także cały szereg mniej spektakularnych sztuczek, którymi zachwycał zwłaszcza młodszą publiczność: potrafił zrywać kwiatki znikąd, które następnie rozdawał dzieciom, potrafił równie dobrze mówić mrukliwym basem, co piszcząco jasnym, dziecięcym głosem, nie poruszając przy tym wargami. W jego wnętrzu czaiło się coraz więcej skrajnie różnych osób, które tylko czekały na sposobność, by zademonstrować swoje sztuczki. Potrafił tańczyć i połykać ogień, a nawet zaklinać węże, i to za pomocą dźwięków fletu, które wydawał z siebie, nie używając w tym celu żadnych instrumentów. A brzmiało to dokładnie jak dźwięki wygrywane na fujarce, tak słodko i płynnie. Kai Thalgruber stał sobie tak po prostu, z rękami w kieszeniach, ustami nawet niezłożonymi specjalnie w dzióbek, wydychając z siebie dźwięki fletu.

– Jakże by to było możliwe, żeby gnieździła się we mnie tylko jedna dusza, śmiertelna czy nie – często słyszała ojca, jak szydzi z wiary chrześcijan – skoro w moim ciele mieści się z pół tuzina osób?

Nieustająca obecność duchów, ich wielorakie przenikanie nie było dla niego kwestią wiary, lecz głęboko doświadczaną rzeczywistością.

– Bez duchów bylibyśmy tak wypruci z życia, jakimi nam się wydają kamienie. – To była kolejna z jego mądrości. – Ponieważ jednak duchy przenikają wszystko, nawet przez skały przechodzi ich technienie.

Sam uważał się jedynie za podrzędnego magika, jak zresztą większość wędrownych ludzi. Ale był przekonany co do tego, że magowie o wyższych stopniach wtajemniczenia mogą przy pomocy duchów osiągnąć nieograniczone moce. Udawanie się duchem w odległe miejsca, było dla nich prostym ćwiczeniem. Równie dobrze potrafili przemieszczać się w czasie – z powrotem do przeszłości lub nawet z wyprzedzeniem w przyszłość, by zobaczyć, jaki obrót przybrały określone sprawy. Nie wolno im było w żadnym razie ingerować w bieg wydarzeń.

– Duchy – powiedział pewnego razu – zsyłają bez pobłażania magików, którzy wykraczają przeciwko temu prawu, do najokropniejszych miejsc, przy których nawet chrześcijańskie piekło wydaje się uroczym sadem jabłkowym.



– *Twój ojciec nie bał się inkwizycji? Skoro wygaszał takie szydercze mowy przeciwko chrześcijanom i ich kapłanom? Pod tym względem mój ojciec był ostrożniejszy, a może lękliwszy. Gdy opowiadał o poganach i duchach, zawsze szeptał i ciągle się rozglądał, czy przypadkiem nie przysłuchuje mu się jakiś obcy.*

Za każdym razem, gdy Amos przesyłał jej swoje myśli, Klara czuła niezwykle przyjemne mrowienie, które rozchodziło się od brzucha w górę aż do gardła i obejmowało też głowę. Miała wówczas wrażenie, jakby jeździł jej jakimś piórkiem lub niewidzialnymi palcami, lekkimi jak puch, od pępka w górę, a przez jej skórę przechodziły falami przyjemnego łaskotania błogie dreszcze. Uwielbiała też jego telepatyczny głos, jakże podobny do jego prawdziwego głosu – niski już i męski, jak na niecałe szesnaście lat, ale z jaśniejszym, łamliwym odcieniem.

– *Mój ojciec nie bał się nikogo i niczego. A czasem, gdy sobie wypił, wyzywał w gospodzie nawet donośnym głosem łowców czarownic na usługach Kościoła, by się z nim zmierzyli.*

– *O, to nie podobało się pewnie twojej matce.*

– *Ona też nie była zbyt bojaźliwa, wręcz przeciwnie: „Jestem jak ostropest, który jest gorzki w smaku, ale wypłukuje z ciebie wszystkie trucizny. A kto podejrze do mnie bliżej, niż sama tego chcę, tego podrapię do krwi”. Tak sama się chętnie przedstawiała, mimo że była w gruncie rzeczy miłą i wrażliwą kobietą. Z pewnością podziwiała także śmiałość swego męża – choć nieraz słyszałam, jak go błagała, a nawet krzyczała na niego, że swoim niewyparzonym językiem naraża nas wszystkich na śmiertelne niebezpieczeństwo.*

– *Ale, czy myślisz, że twoich rodziców zabito z tego właśnie powodu-że morderczy podpalacze być może zostali wysłani przez ludzi Kościoła?*

Na to pytanie Klara nie знаła odpowiedzi. Leżąc, unosiła i opuszczała tylko w milczeniu ramiona. Tak wiele razy rozmyślała właśnie nad tym i raz pomyślała: Tak, na pewno tak było, a później znowuż: Nie, to nie ma sensu. Wprawdzie dość często słyszała opowieści o wędrownych ludziach, którzy zostali zaaresztowani przez inkwizycję, ale w żadnej z tych opowieści łowcy czarownic nie wysyłali zwykłych morderców. Chcieli bowiem siać możliwie jak najwięcej strachu i postrachu poprzez akty aresztowania i palenia.

– *Owszem, to możliwe – odpowiedziała w końcu – ale właściwie nie wierzę w to, że za wszystkim kryją się łowcy czarownic. Przynajmniej moją matkę mogliby aresztować i spalić jako wiedźmę, tak jak uczynili to z biedną Moną, i prędzej czy później na pewno by do tego doszło.*

W rejonie między Bayreuth a Bambergiem Vera Thalgruber była dobrze znana w wielu miejscach. Chrześcijańskim kapłanom była solą w oku, bo ci głosili w swych kościołach, że

miłość cielesna między mężczyzną a kobietą jest niewybaczalnym grzechem. Dozwolona jest na drodze wyjątku tylko wtedy, gdy kochająca się para otrzymała ślub z rąk chrześcijańskiego kapłana i jeśli dzielili ze sobą łożę jedynie w celu poczęcia nowego życia. Jeśli jednak mężczyzna i kobieta lub młodzieniec i dziewczyna oddawali się sobie wzajemnie z lubieżnej pożądlivosti, nie będąc małżeństwem przed Bogiem i jego kapłanami, to wtedy było to grzechem. A jeśli poczynili ponadto kroki mające zapobiec temu, by z grzechu zrodził się owoc, to była to już ohydna diabelska sprawka, zasługująca na karę piekła.

Jednak matka Klary zadawała sobie za ścianą swego namiotu wszelki możliwy trud, by rozproszyć lęki przychodzących do niej kobiet i dziewczyn przed grożącymi im piekielnymi karami.

„Jeśli te moce, które powołały nas do życia, nazywajcie je Bogiem czy jak tam jeszcze chcecie – mówiła na przykład – jeśli te potężne duchy nie chciałyby, żeby mężczyźni i kobiety upajali się cielesnym ku sobie pożądaniem, to nie stworzyłyby nas. A jeśli ponadto życzyłyby sobie, żeby każda noc miłości wydawała owoc, to nie odkryłyby przede mną tajemnicy sporządzania tej maści”.

Otoczona uśmiechami kobiet, wyrażającymi zmieszanie i ulgę, wyciągała swój tygiel i dzbany z „miłosną maścią”, z której w dużej mierze słynęła. Objasniała im, jak mają się nią smarować, zanim wpuszczą do łoża swojego ukochanego.

„Jeśli jest nim twój ślubny i dał sobie wmówić przez klechy, że jego kobieta powinna w miarę możliwości nieustannie być w stanie błogosławionym – to wtedy smaruj się po kryjomu tą maścią i udawaj odpowiednio zaskoczoną, jeśli raz za razem nie będzie dochodziło do poczęcia”.

Sami jej rodzice byli najszczęśliwszą parą, jaką знаła Klara.

– Nic dziwnego – zwykł komentować jej ojciec – co tydzień robię trochę miłosnych czarów, a tymczasem Vera stosuje swoją maść. Swoją „miłosną maść”, podobnie jak jej ojciec zawiesistą „flegmę smoka”, zanim zadziwiał swoją najbardziej zdumiewającą sztuczką: potrafił połykać ogień i wypluwał snopy płomieni niczym smok z mitów o bohaterach.

Podróżowanie z matką i ojcem po różnych krainach było dla Klary, jako małej dziewczynki, cudowną przygodą, która, taką miała nadzieję, nie będzie miała końca. Czasami czuła się trochę samotna. Zresztą fakt, że Klara była ich jedynym dzieckiem, świadczył o skuteczności maści miłości Very Thalgruber. Ale tamten lalkarz, który często podróżował z nimi po różnych krainach, miał małego syna o imieniu Adrian, który był o rok starszy od niej i już wkrótce stał się jej najlepszym przyjacielem z czasów dzieciństwa.

I gdyby to zależało od niej, to wszyscy dalej podróżowaliby tak przez świat po wsze czasy w jednym wozie, całkiem podobnym do tego, którym podróżują z Karolem, tylko bardziej przestronnym i wyposażonym w wygodniejsze słomianki, na których można by było kołysać się całymi dniami, patrząc w górę na chmury. Gdy była ładna pogoda, ojciec zazwyczaj ściągał plandekę z krokwi wozu, później siadywali i leżeli w ich ruchomym salonie i z politowaniem wypatrywali na zewnątrz w stronę siedzib ludzi, którzy przez całe życie tkwili przykuci do jednego miejsca.

Leżąc, przysunęła się bliżej do Amosa.

– *Teraz wiesz, już nieco więcej o mnie.*

– *A ta maść...* – Jasny odcień w jego telepatycznym głosie stał się z zakłopotania jeszcze bardziej łamliwy. – *Czy rzeczywiście działała tak, jak obiecywała to twoja matka tamtym kobietom?*

– *Myślę, że tak. W każdym razie często słyszałam, jak kobiety i dziewczyny dziękowały jej z całego serca.*

Ten temat sprawił, że obojgu zrobiło się nagle gorąco. Klara czuła, że nie tylko z nią się coś dzieje, bo leżeli teraz tak blisko siebie, że ich oddechy mieszały się ze sobą.

– *Również kobieta Karola, Mona – dodała, a serce zaczęło jej bić nieco szybciej – znała się na wytwarzaniu niejednej maści. Powiedział mi, że zostało tego jeszcze kilka tygłi, Jego twarz wykrzywiła się na chwilę z żalu. Potem wyszczerzył do niej zęby.*

– *Może Karol da nam tap trochę na dzień, gdy będziemy gotowi, by zdobyć trzeci stopień.*

Uśmiechnęła się do niego niemal z taką samą zuchwałością.

– *I na wypadek gdyby się okazało, że Kronus naprawdę miał nas na myśli, wypowiadając to swoje romantyczne proroctwo.*

Nagle Amos znów spoważniał. Jego lewa ręka poszukała dłoni Klary i splotła się z jej palcami. Głęboko popatrzył jej w oczy.

– *O tak, Klaro, miał na myśli nas, najdroższa. I uwierz mi, że Kronus jest naprawdę mądrym mężczyzną, który nigdy się nie myli.*

## 4

W POŁUDNIE zrobili sobie krótką przerwę. Tymczasem Karol zdawał się dochodzić do ładu z samym sobą. Popatrzył przyjaznym wzrokiem na Amosa i Klarę, hojnie rozdzielał chleb i ser z zapasów w jego wozie, wyjaśnił także w końcu, jak też wyobraża sobie dalszy przebieg ich podróży.

– Późnym popołudniem dotrzemy do pogańskiej kopy. Zresztą w dawnych czasach górę nazywano po prostu Jeziorne Wzgórze. Znam tam pewne miejsce, gdzie będziemy mogli bez przeszkód zostawić wóz. Od strony drogi nie można zobaczyć tej małej polany, nawet z nieba – powiedział z ledwo dostrzegalnym uśmiechem posłanym w kierunku Amosa.

Skąd on wie o sokołach?, przemknęło Amosowi przez myśl.

Karol zamknął na krótko oczy, a później popatrzył na niego uważnie.

– Nie martw się, niczego nie wiem i nie chcę wiedzieć – powiedział. – Po prostu rzuciło mi się w oczy, że raz po raz patrzyłeś w górę ku niebu. Ale może spodziewasz się tylko gołębia pocztowego? – Pokręcił lekko głową, jakby był zdziwiony swoim własnym, dziwnym pomysłem. – Tak czy inaczej – ciągnął dalej – tam u góry, na Jeziornym Wzgórzu, bardzo chętnie pokażę wam gaj, w którym spędzę noc. Tam będę prosił duchy o wsparcie i byłbym wam wdzięczny, gdybyście przyszli jutro rano sprawdzić, jak skończyła się moja rozmowa z wyższymi mocami.

Amos i Klara wymienili się zatroskanymi spojrzeniami. Ale Karol uniósł rękę i pokręcił energicznie głową.

– Nie ma powodu do obaw, a i tak nie skłonicie mnie do zmiany decyzji. Bądźcie zatem tak mili i przyrzeknijcie, że spełnicie moje życzenia.

Klara spojrzała w stronę Amosa, a ten kiwnął do niej głową po chwili wahania.

– Zrobimy wszystko tak, jak sobie tego życzysz – powiedziała do Karola.

Lalkarz skinął głową z widoczną ulgą, a nawet pocierał ręce.

– To bardzo dobrze, moje dzieci. Chyba mogą was tak nazywać? W końcu w moim wieku mógłbym być waszym ojcem.

Ale dobry ojciec nigdy nie postąpiłby w ten sposób, pomyślał Amos. Nie pojechałby w góry, by tam umrzeć i zostawić swoje dzieci same.

Karol popatrzył na niego poważnym i smutnym wzrokiem. A Amos znowu miał przeczucie, że lalkarz wie o wiele więcej, niż chce wyznać. Od czasu gdy spotkali go dziś rano, Amos wciąż zastanawiał się nad tym, czy to rzeczywiście zwykły przypadek ich połączył?

– To, że oboje uciekacie lub przynajmniej na jakiś czas wolelibyście pozostać niewidoczni – rzucił Karol mimochodem – nietrudno było dziś nad ranem wyczytać z waszych twarzy. Ale tym wozem musicie dotrzeć do waszego celu niepostrzeżenie, niezależnie od tego, gdzie znajduje się ten cel. Może przebierzcie się jeszcze w rzeczy Mony i moje, wtedy na pewno nikt was nie rozpozna. A kto wie, może spodoba wam się życie wędrownych ludzi i będziecie żyć odtąd z kukielkowego teatrzyku i leczniczych nalewek?

– Gdyby to zależało ode mnie, to z wielką chęcią. Ale musi-1 my...

Karol podniósł tym razem obie ręce w geście obrony.

– Nic mnie to nie obchodzi, co musicie zrobić i czego nie możecie uczynić. W dzisiejszych czasach raczej nie powinniście powierzać swych tajemnic obcym. – Podniósł się z omszałego pnia drzewa, na którym siedział podczas postoju. – Jedźmy dalej, skoro chcemy w porę dotrzeć na tę polanę. Na miejscu będziecie mogli oboje spędzić noc w wozie, tymczasem ja pozostanę w gaju u duchów.

Klara i Amos obrzucili się wzajemnie spojrzeniami i szybko odwrócili od siebie wzrok. Obojgu fala gorąca uderzyła do głowy, rozlewając się po policzkach. Czy mimo wszystko nie jest już gotów, zadawał sobie pytanie Amos, by zdobyć trzeci stopień? W końcu dwa pierwsze dary, magię serca i magię myśli, wzbudziła już w nim *Księga duchów*. Być może nie był więc już nowicjuszem, a nakaz, który nałożył na niego Kronus, już go nie dotyczy? Ale jeśli nawet Amos bardzo by tego chciał, sam czuł, że nie przyszła jeszcze na to pora. Dopiero co nauczył się używać telepatycznego języka. A tak samo było i w przypadku Klary.

– Mogłabyś mi do tego czasu dotrzymywać towarzystwa na koźle wozu? – zapytał Karol Klarę. – Gdyby ze zmęczenia skleiły mi się oczy, weź mi lepiej cugle z ręki. Konie właściwie nie mają prawa zbłądzić, bo od tego miejsca nie ma już żadnej innej drogi. Ale moja srokaczka łatwo zwalnia kroku, gdy tylko zauważy, że ogarnia mnie zmęczenie.

Rzuciwszy Amosowi jeszcze jedno krótkie spojrzenie, Klara zgodziła się. A sam Amos znowu zadawał sobie pytanie: Kim tak naprawdę jest ten Karol i co właściwie wie o ich planach? W rzeczywistości było mu to na rękę, że resztę dnia będzie miał dla siebie, siedząc samemu na

tyłach wozu. Koniecznie musiał jeszcze raz przeczytać opowieść *O kobiecie, co mieszka w studni*. Bo na lekturę trzeciej opowieści, *O skale, co była oknem*, można było według słów Kronusa odważyć się dopiero wtedy, gdy całkowicie się opanowało magię serca i magię myśli.

Już po krótkiej chwili Amos znów siedział w wozie. Wyciągnął *Księgę duchów* spod swojego ubrania. Tymczasem Karol, który siedział z przodu na koźle, trzasnął z bicia, a ich pojazd ruszył z miejsca. Amos odsunął nieco plandekę na bok, by wpuścić nieco światła do środka, i otworzył książkę na początku drugiej opowieści. Jednak przez gęsto posplatane sklepienie utworzone z konarów drzew nie można było dojrzeć żadnego ptaka, ba, nie było widać nawet jednej chmurki na niebie.

*Laurencjusz Answer owinął sobie cugle wokół dłoni i pociągnął ze sobą swojego karosza dalej wzdłuż huczącej rzeki – wystarczyło, że przeczytał te słowa i już przeistoczył się znowu w rycerza Wawrzyńca. Świat dookoła niego zaczął się zacierać i rozpadać, a on sam ponownie znalazł się nad huczącą rzeką, czując jak ziemia drży mu pod nogami. Masy wody nieustannie niosły ze sobą odłamki skalne tak wielkie, jak budy powozu, wyrzucały je następnie na skarpę, by po chwili znów je porwać ze sobą, jeśli te wtoczyły się na powrót do rzeki. Nawet gaz pod jego stopami drżał od tych strasznych uderzeń i Laurencjusz pomyślał, że byłoby po nim, gdyby został trafiony przez jeden z takich odłamków.*

## 5

COŚ SPOCZĘŁO NA JEGO RAMIENIU i w pierwszej chwili myślał, że jest to ręka kobiety ze studni, jej mieniąca się powstającymi z mułu obrazkami dłoń, z Warzyńcem i Lucyndą jako tańczącą parą młodych. Ale gdy się rozejrzył wokół siebie, okazało się, że leżał w wozie Karola pod plandeką, a obok niego siedziała w kucki Klara i dłonią gładziła jego skórę.

– Dziewczyna ze studni – wymamrotał – i moja ukochana, którą znalazłem po drugiej stronie lustra.

Uśmiechnęła się do niego.

– Jesteśmy na miejscu.

Dopiero teraz dotarło do niego, że ich wóz nie kołysał się już jak od poranka. Ale myślami był jeszcze w połowie przy Wawrzyńcu, a drugą połowę w Norymberdze, gdzie po raz pierwszy zobaczył Klarę.

– Zrozum – powiedział – w pierwszej opowieści Wawrzyniec odnajduje swoją ukochaną po drugiej stronie lustra. I to samo przytrafiło mi się z tobą, w Norymberdze. Dlaczego zwracam na to uwagę dopiero teraz? Wtedy jechał konno przede mną w górę drogi pewien mężczyzna z lśniąca tarczą, która wychwytywała światło słoneczne i mnie oślepiła. Nagle rumak z jeźdźcem zniknęli, a na ulicy leżałaś ty, skryta za tarczą-zwierciadłem! A wtedy dałaś drapaką, a ja pobiegłem za tobą, i gdzie cię znalazłem: może nie dokładnie w studni, ale na ocembrowaniu.

Spojrzał na nią w górę i rozmyślał o podobieństwach. Ślepy przypadek? W żadnym razie, pomyślał. Nie w obliczu wszystkich tych zbiegów okoliczności, których doświadczał od tamtej pory, a które układały się w misterny plan.

– Jesteśmy niczym figury w grze, Klaro – powiedział, wciąż jeszcze trochę oszołomiony, jak za każdym razem, gdy wracał właśnie ze świata Wawrzyńca. – Tak, jesteśmy, jak te figury, jak postacie z *Księgi duchów*. Na myśl o tym zaczyna mi się kręcić w głowie.

Odgarnęła obiema rękami swe jasne jak len włosy za ramiona i zmarszczyła czoło. Ale jednocześnie wciąż uśmiechała się do niego, jakby uważała, że on nie mówi tego wszystkiego

całkiem poważnie.

– W takim razie Karol musiałby być flisakiem – powiedziała – który zabiera Wawrzyńca tratwą do kobiety w studni. Ale flisak miał mocnego siwka, tymczasem koń Karola to srokata chabeta.

– *Siwka?* – Amos był tak skonsternowany, że przeszedł na telepatyczny język, nie do końca zdając sobie z tego sprawę. – *Koń płynący podziemną rzeką ma biedą sierść, zgadza się ale z wzorem w cienkie, czarne linie. Nie pamiętasz już, Klaro? A dlaczego uważasz, że ten koń należy do flisaka? Przecież płynie w swym własnym czólnie, którym steruje siłą swojej woli, a flisakowi tylko z wielkim trudem udaje się wyprzedzić czólna, bo mu się wydaje, że to przyniesie szczęście.*

Popatrzyli na siebie zmieszani i bezradni. Na zewnątrz Karol coraz głośniejszymi nerwami pochrząkiwał. Wysiedli więc z wozu, nie drażąc już tej dziwnej sprawy. Matka Zofia, pomyślał Amos, musiała wtedy przeczytać Klarze jakąś wcześniejszą wersję albo Kronus celowo przesłał jej kopię, która w kilku miejscach odbiegała od ostatecznej wersji tekstu. Ale dlaczego?

Na razie nie miał sposobności, by dłużej się nad tym zastanawiać. Stali na małej polanie, wokół której ciągnęły się świerki i zarośla. Tylko jedna wąska ścieżka prowadziła przez wyłom w gąszczu na polanę, a Amos zadawał sobie teraz pytanie, w jaki sposób Karolowi lub Klarze udało się pokierować wozem w tę stronę.

Karol zdawał się już poczynić wszelkie przygotowania. Miał na sobie grubą kamizelkę ze skóry, którą włożył na prosty, lniany strój, a na głowę włożył dziwaczny, czarny kapelusz o szerokim rondzie, który zwężał się ku górze w stożek. W lewej ręce trzymał kij wędrówny, ozdobiony kunsztownymi snycerskimi wzorami.

– Tylko z takim nakryciem głowy – powiedział, gdy zauważył zdziwiony wzrok Amosa – można wejść bardziej w głąb gaju.

Oba konie zostały już wyprężone i pasły się właśnie na polanie.

– A teraz chodźcie już – powiedział Karol. – Ta część gaju, do której wolno wejść i wam, jest położona nieopodal stąd. Wkrótce tu wróćcie.

Lalkarz poszedł przodem. Szli ścieżką, która otwierała się przed nimi w gąszczu, by już po chwili się za nimi zamknąć. A może Amosowi tak tylko się wydawało? Nie, tego na pewno sobie nie uroił. Kiedy się odwrócił, widział za ich plecami tylko nieprzeniknione, rozrośnięte drzewa i zarośla. Wszak teraz szli ścieżką. Ale jak to w ogóle było możliwe? W końcu przebywali w rzeczywistym świecie, a nie w jednej z opowieści z *Księgi duchów*. A może nie?



Ponad ich głowami iskry oraz włókna światła migotały w kłębowisku gałęzi i liści. Od czasu do czasu Karol rysował swoim kijem jakieś znaki w powietrzu – cóż to miało znowu znaczyć? Amos nie spuszczał z oczu tego mężczyzny w dziwnym stożkowatym kapeluszu. Nie mógłby wprawdzie przysiąc, ale coraz bardziej odbierał wrażenie, że Karol kreślił w powietrzu jakieś magiczne znaki.

Tymczasem musiała się już zbliżać siódma wieczorem. Jednak w otaczającym ich gąszczu robiło się coraz jaśniej, im wyżej wchodzili na pagórek. Drgające światła, których źródeł nie sposób było określić, raz świeciły się barwami zorzy wieczornej, innym razem obok nich w zaroślach tańczyły zielone i żółte iskry. Karol znów narysował jakiś zawijas w powietrzu, a zaraz potem wszystko wokół niego wydawało się całkowicie inne. Nad ich głowami nie było już gęstwiny świerkowej ani zadrzewionego sklepienia, nie było ani śladu po trudnym do pokonania podszyciu. Stali na skraju rzadkiego bukowego gaju, który ciągnął się łagodnym wzniesieniem w górę, aż do kopy. W wieczornym świetle liście błyszcząły subtelną zielenią, którą tu i ówdzie przełamывała intensywna czerwień. Ledwo odczuwalny wiatr poruszał liśćmi na gałęziach potężnych drzew i było tak, jakby buki machały do nich wieloma różnymi rękami z liści o drobnych żyłkach. W powietrzu unosił się szelest, który brzmiał prawie tak, jakby jednocześnie przewracano strony w wielu różnych pismach. Jakby książki otwierały się i zamykały, jakby gorliwe palce zawzięcie przeszukiwały rękopisy, a z szumu liści unosiło się teraz, gdy już weszli do gaju, śpiewanie i tremolowanie – wihatujący chór tysięcy głosów, którym leśne ptaki kończyły dzień co wieczór.

Karol szedł przed nimi dalej naprzód, w stronę wierzchołka. Tuż za nim podążał Amos, który raz po raz zadawał sobie pytanie: Do jakże dziwnego miejsca przeniósł ich ten lalkarz? Przesuwał przy tym wzrokiem z jednego buku na drugi. Te prastare drzewa przypominały mu żywe rzeźby, które zdawały się w przedziwny sposób spokrewnione z książkami, i to nie tylko przez szelest. Im uważniej się im przyglądał, tym wyraźniej widział, że każde z tych drzew jest opatrzone jakimś znakiem o znacznej wielkości i artyzmie. W nieustannie zmieniającej się grze światła i cieni znaki te rozbłyskiwały pośród zielonych oraz czerwonych liści zawsze tylko na jedno uderzenie serca, by zgasnąć już w następnej chwili. A mimo to Amos rozpoznawał je coraz wyraźniej, im dłużej szedł za Karolem w górę gaju.

I były to właśnie tamte znaki, które tak często podziwiał na przedniej stronie czarnego pulpitu Kronusa, tyle tylko, że zdecydowanie większe i zbudzone do migocącego, drgającego, szumiącego życia. Jakże często siedział w kucki przed pulpitem w dawnym folwarku młyńskim i

podziwiał te pełne zawijasów symbole, nie mogąc odszyfrować żadnego z nich. Na jego pytanie, co oznaczają te szyfry, Kronus odpowiadał zawsze, łagodnie się uśmiechając, jakby chciał przez to powiedzieć: „Pewnego dnia, mój chłopcze, poznasz i tę tajemnicę”.

– To najstarsze pismo świata. – Karol zatrzymał się i wskazywał swoim kijkiem po kolei na każde z pół tuzina buków dookoła nich. – Złożone ze znaków, za pomocą których duchy już od zawsze przemawiały do ludzi. Właściwie przeczytane tworzą tekst: *Llóma – fdrd-móhagdr*, co oznacza: „żyć – przemijać – w koło” lub też: „narodziny – śmierć – są jednym”, albo nawet, jak to wynika z najstarszych przekazów: „woda – błoto – pył”.

Amos i Klara spojrzeli na siebie. Chłopak wciąż jeszcze czuł się oszołomiony i jednocześnie w dziwny sposób nad wyraz pobudzony. Ptaki świegotały w koronach drzew, wprawiając jednocześnie w drganie każde włókno jego wnętrza. Szelest dobywał się z liści, a jednak był częścią jego samego. Zupełnie, jakby w jakimś głębszym wymiarze nie było żadnej różnicy między drzewami i ludźmi, a oni sami, Karol, Klara i on, byli jednocześnie ludźmi, bukami i drgającymi znakami pisma.

– Z tych znaków dopiero dużo później powstały litery – ciągnął tymczasem dalej Karol – bo w pewnym czasie ludzie wpadli na pomysł, by naśladować połyskujące w drzewach symbole, używając do tego drewnianych pałeczek. Ale wszystkiego, co kryje w sobie ten tekst w jego rozmaitych odmianach, nie da się oddać w ludzkiej mowie nawet w przybliżeniu. W równym stopniu nie było to możliwe w przeszłości, jak i obecnie. *Llóma – fdrd-móhagdr* – oznacza to także „duchy są ze mną” lub „szał miłości, żaloba, powrót”. To najgłębsza i najtajniejsza melodia wszystkich istot żywych, magiczny ton serca, za pomocą którego w każdej chwili odnawiamy naszą łączność z duchami. Jeśli ten ton przestanie się wydobywać, to błoto istot ożywionych znów podzieli się na wodę i kurz. Przemijamy i powracamy, ale nigdy już nie jesteśmy tymi, którymi byliśmy wcześniej. Bo podobnie jak krople pochodzące z różnych źródeł razem zapełniają jedno naczynie, tak wiele różnych duchów miesza się w pojedynczej żywej istocie, ba, nawet w każdej grudce ziemi i każdym ziarenku. Każde z takich zmieszania jest jedyne w swoim rodzaju, przelotne i nigdy już nie wraca. *Llóma – fdrd – móhagdr*.

Uniósł ręce, jakby chciał ich pobłogosławić, a Amos widział przez krótką chwilę, jak wzór snycerski na jego kijku rozbłysnął w świetle wieczornego słońca. I były to te same znaki, które dopiero co widzieli na drzewach i którymi był kiedyś pokryty front pulpitu Kronusa. *Llóma – fdrd – móhagdr*. Amos czuł, jak ów tekst zaczynał w nim pobrzmiwać i śpiewać. Wydawało mu się, jakby dookoła niego wiele różnych głosów oraz głosików wyszeptywało i nuciło, huczac

i cykając, cicho i donośnie, ten sam prastary tekst: *Llóma – fdrd – móhagdr*.

Karol opuścił ręce, a nucenie i szepty wokół nich przycichły. Ptaki ukończyły swoją wieczorną pieśń, a w górze nad kopą ostatnia smuga światła słonecznego zabarwiła niebo czerwienią zmierzchu.

– Bardzo wam dziękuję, moi młodzi przyjaciele, że mnie tutaj odprowadziliście. Wróćcie jutro nad ranem o pierwszym brzasku. Wtedy dowiecie się całej reszty od obu strażników.

Dwie postacie ubrane w staromodne stroje wyszły zza drzewa. Byli to młodzieniec i młoda kobieta, ledwie starsi od Amosa i Klary. Oboje mieli na głowach takie same kapelusze z szerokim rondem jak lalkarz, czarne i zwężające się w szpic, a na siebie włożyli jedynie cienkie ubrania z delikatnie wygarbowanej kozłej skóry, które sięgały im aż do kolan. Na szyjach widoczne były długie na łokieć, bladoszare, wydrążone w środku kijki. I dopiero gdy Amos dostrzegł dobrze napełniony kołczan na plecach młodzieńca, stało się dla niego jasne, czemu miały służyć te kijki – musiały to być dmuchawki z wydrążonych kości, z których można było wystrzeliwać strzały z kołczanu.

Poczuł ssanie i biegnące od jego pępka w górę mrowienie, a zaraz potem znajomy już szum w głowie.

– *Bądźcie pozdrowieni, strażnicy Rogdr.*

Amos popatrzył ze zdziwieniem w stronę Klary, ale ta zdawała się niczego nie słyszeć, i z pewnością telepatyczny głos, który pochwycił, nie należał do niej.

– *Kłaniamy się z radością i bólem, szlachetny Garbienie.* – Strażniczka uśmiechnęła się tęsknie do Karola. Miała lśniące czarne włosy, które wysypywały się jej bujnymi lokami spod kapelusza, opadając do ramion.

Te włosy są zupełnie jak moje, przemknęło Amosowi przez głowę. Swoją dryblasowatą posturą i jasnoniebieskimi oczami przypominała go do złudzenia, jakby była jego kobiecym sobowtórem.

Strażnicy skrzyżowali ręce na piersi i pokłonili się głęboko przed Karolem, którego znali najwidoczniej jako Garbuna.

Ale jak to możliwe, że opanowali telepatyczną mowę, której można było się przecież nauczyć tylko poprzez lekturę *Księgi duchów*.

– *I wy bądźcie pozdrowieni.* – Młodzieniec pokłonił się Amosowi i Klarze. – *Towarzysze szlachetnego Garbuna są zawsze mile widziani w Rogdr.*

Amos odwzajemnił pokłon i jeszcze raz przemknęła mu myśl: Jesteśmy niczym figury w

grze, niczym fantasmagorie z *Księgi duchów*. Swymi włosami w kolorze blond, jasną skórą i jaskrawymi, zielonymi oczami strażnik tak bardzo przypominał Klarę, jakby był jej męskim, lustrzanym odbiciem. Znów spojrzał w jej stronę:

Klara mierzyła wzrokiem oboje strażników z nieukrywanym zdumieniem, ale widać było, że wciąż jeszcze nie mogła zrozumieć, co przekazują sobie w myślach z Karolem.

Lalkarz położył swoje ręce na ramionach Klary i Amosa.

– Przyjdźcie tu jutro – powiedział na zakończenie. – A teraz pośpieszcie się, zapada już zmrok. – Zdjął ręce z ich ramion i podał Amosowi swój kij wędrowny. – Weź go ze sobą, a łatwo znajdziecie drogę powrotną. Życzę wam dobrej nocy i długiego, spokojnego życia. *Llóma – fdrd – móhagdr.*

## 6

LEŻELI W CIEMNOŚCI pod plandeką wozu i niemal rozpływali się w swym własnym pocie. *Llóma* – „szał miłości”, nuciło prawie każde włókno w ciele Amosa, a on sam miał wrażenie, że Klara czuje to samo. Ale niezależnie od tego, jak bardzo chciał ją objąć, przycisnąć swoje usta do jej warg i się do niej przytulić, musieli zachować wstrzemięźliwość w sprawach serca, dopóki nie będą gotowi, by zdobyć trzeci stopień.

Już i tak znajdowali się w niesamowitym miejscu. Kij Karola w ręce Amosa drgnął, otworzył chwilę temu przed nimi gęstwinę i pociągnął ich przez ciemny las w stronę polany. Ledwo zostawili za sobą bukowy gaj, a już nocne ptaki zaczęły ich obserwować i krążyć nad nimi. Były to w najlepszym przypadku sowy i puszczyki, które unosiły się w powietrzu między drzewami, uderzając, łopocąc skrzydłami, szare mary pośród czerni, z żarzącymi się, bursztynowożółtymi i zielonymi oczami. Amos musiał nawet kilka razy pomachać grożąco kijem lalkarza, by ptaki nie podlatywały do nich zbyt blisko. Oboje poczuli ulgę, gdy leżeli już pod osłoną plandeki, nawet jeśli w wozie było strasznie gorąco. Nawet przez grube workowe płótno widać było żarzące się pary oczu, które przemykały ponad ich głowami. Noc była wypełniona skrzeczącymi głosami sów i puszczyków.

– *Jak myślisz* – zapytała Klara – *co tam się dzieje na zewnątrz?*

– *A co miałyby się niby dzieć Karol prosi duchy o śmierć dla siebie. Ale mam wrażenie, że nie spełnią jego życzenia. Czuję, że to Kronus go do nas przysłał.*

– *Kronus? Ale naprawdę sądzisz, że on żyje?*

– *Czasem czuję go prawie tak samo wyraźnie i blisko w swoim sercu, jak wcześniej. Jest uwięziony, cierpi, być może nawet jest ciężko ranny, ale żyje. Tak przynajmniej wydaje mi się za każdym razem. Ale później znowu szukam go daremnie i myślę sobie, że nie żyje.*

Pochyliła się nad nim, w ciemności przypominała tylko pachnący cień, i pogłaskała go ręką po mokrej od potu twarzy.

– *Wiem, przez co przechodzisz, bo gdy pomyślę o mata Zofii, przeżywam to samo. Ale jeśli*

*nawet Kronus żyje jeszcze – jeśli jest uwięziony i na wpół martwy – to jak mógł nam przysłać Karola f – Tak samo, jak to uczyniła w twoim przypadku matka Zofia.*

Już wcześniej Klara opowiedziała mu, co jej się wtedy przytrafiło. W tym samym dniu, gdy on został wysłany przez Kronusa do Norymbergi, przebywająca w więzieniu matka Zofia przesłała jej telepatycznie wiadomość. Przeorysza udzieliła jej dokładnych informacji, jak ma go rozpoznać i jakie ma podjąć działania, by na niby odebrać mu kopertę z listem. Amos dziwił się za każdym razem, gdy myślał o tej historii. Matka Zofia musiała to wszystko szczegółowo omówić z Kronusem. To samo tyczyło się drugiej wiadomości, którą Klara otrzymała od niej kilka tygodni później: miała dać się pochwyć strażnikom miejskim i trafić do przytułku prowadzonego przez ciotkę Ulrykę, co też się później stało. Potem jednak urwała się magiczna łączność Klary z matką Zofią, a Klara zaczęła się obawiać, że jej dawna opiekunka zginęła z rąk inkwizycji. Po raz kolejny Amos zadawał sobie pytanie, jaką rolę odegrała w tym wszystkim jego ciotka Ulryka. A może należała do Opus Spiritus lub przynajmniej do kręgu wtajemniczonych. Tak czy owak, posłała najpierw Klarę do Wunsiedel, dzięki czemu oboje mogli się szybko spotkać, zanim jeszcze polowanie na *Księgę duchów* zaczęło się na dobre.

*– Być może masz rage – odpowiedziała. – Może Kronus jest jeszcze wystarczająco silny, by telepatycznie przekazywać wiadomość Karolowi.*

*– A jeśli nie on sam, to musiał to być jeden z jego braci duchowych z Opus Spiritus – w każdym razie Karol nieprzypadkowo zgarnął nas z drogi.*

Wydychała mu w twarz swój chłodny oddech.

*– Widu wędrownych ludzi zna się na czarach, co prawda tylko sporadycznie zdarzają się wśród nich wyżsi stopniem wtajemniczenia. A o świętych gajach pogan często słyszałam już wcześniej. Jednak zawsze mi się wydawało, że te prastare sanktuaria już dawno zostały zniszczone, wszystkie bez wyjątku, przez ludzi Kościoła.*

*– Mnie też się tak wydawało. Kronus też mi o tym opowiadał, ale te historie brzmiały dla mnie tak, jakby przywoływały zamierzchną przeszłość. Jakby wszystko to, co dotyczyło wiedzy magicznej i czarodziejskich przedmiotów, zawierało się dzisiaj już tylko w przekazach książkowych. „Epoka dawnych czarodziejów minęła bezpowrotnie”, mówił mi nieraz. „I jeśli nawet łowcom ksiąg nie uda się zniszczyć starych magicznych pism, wszystkich bez wyjątku, to i tak wkrótce nikt już nie będzie potrafił ich odczytać”.*

Oboje rozmyślali nad tym w głębi duszy Puszczyki i sowy wydawały żalosne dźwięki i skrzeczały. Tylko dlatego, że Kronus stworzył za pomocą swojej *Księgi duchów* arkę Noego

dawnych przekazów, miały one w ogóle szansę ująć zniszczeniu. A gdyby księga o duchach wpadła w ręce łowcom ksiązek, powiedział sobie Amos, to zatonię także i ta arka, wypełniona drogocennymi skarbami ducha.

*– Być może gaj tam u góry jest jednym z ostatnich magicznych miejsc, które nie zostały jeszcze odkryte i zniszczone – zwrócił się znowu do Klary. – W każdym razie łowcy czarownic oraz łowcy ksiązek walczą ramię w ramię, tak jak to oznajmił ci wcześniej Karol. W końcu wszystkie tajemne sztuki i wszelka wiedza magiczna z dawnych czasów ulegną zapomnieniu i zniszczeniu. Nie pozostawiają przy życiu nikogo, kto zachował w pamięci tę tradycję. A są już blisko celu.*

Skrzeczenie nocnych ptaków stawało się coraz głośniejsze. Kasztanka zaparskała, a Klara zanuciła w jej stronę przez plandekę kilka uspokajających dźwięków.

*– Ale mamy ksiązkę i zabezpieczymy ją przed nimi. – Jej telepatyczny głos brzmiał stanowczo i ufnie. – Nie mogli wybrać nikogo lepszego niż ciebie do tego dzida uratowania książki, Amosie. O tym, jak wielkie są twoje moce już teraz, znów mogłeś się przed chwilą przekonać: nie tylko potrafisz rozmawiać ze mną dzięki sile myśli, lecz rozumiesz nawet telepatyczne rozmowy strażników gaju bukowego. A ci dwoje na girze z pewnością nie czytali Księgi duchów.*

Gdy Amos usłyszał te słowa, znów widział przed oczyma duszy oboje strażników, odwrócone odbicia Klary i jego samego. Ale odsunął od siebie tę myśl. Jutro znów zobaczą ich oboje, a on zapyta ich wtedy po prostu, skąd pochodzą i jak w ogóle stali się strażnikami Rogar.

*– Nie, na pewno nie przeczytali. Najpierw byłem nawet dość zaskoczony, że umiałem ich zrozumieć. Ale nie jest to chyba wcale zadziwiające – to dowodzi tylko, że Kronusowi rzeczywiście udało się zebrać i zawrzeć w swej książce dawne sztuki. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego nie dotarło do ciebie nic z ich rozmowy.*

*– Musi to mieć jakiś związek ze wzorem na białym koniu, wiesz, o czym mówię. Możliwe też, że istnieje jeszcze więcej takich rozbieżności między opowieściami, które czytała mi nagłos matka Zofia, i opowieściami zawartymi w Księdze duchów. – Przynęła się do niego bliżej. – Ale jeśli się trochę poprzytulamy i pogłaszczemy, ukochany Amosie, to chyba nie wykroczymy przeciwko regule nowicjuszy?*

Amos poczuł, jak jej szczupłe ciało tuliło się do niego, i ciepło jej warg, które omal nie dotykały już jego ust.

*– Niestety, Klaro – odpowiedział z żalem i odsunął się od niej na szerokość dłoni. –*

*Musimy się jeszcze trochę poćwiczyć w cierpliwości, ale czuję, że już wkrótce będę gotów, by pokonać trzeci stopień – zawołał w jej stronę podniesionym, przekazywanym w myślach głosem, by zagłuszyć krzyki ptaków nocnych na zewnątrz – i szał pożądania w ich ciałach, llóma.*



O PIERWSZYM BRZASKU liście potężnych buków lśniły delikatnym odcieniem zieleni. I znów czarodziejska laska Karola utorowała im drogę na górę – do innego świata, pomyślał Amos, nie bardzo wiedząc, o jaki inny świat chodzi. Dwoje strażników czekało już na nich na skraju gaju. Amos złożył ręce przed piersią i pokłonił się, tak jak to wczoraj uczynili oni.

– *Przybyliśmy, aby zobaczyć się z Karolem.*

– *Masz na myśli szlachetny Garbuna.* – Na twarzy młodej strażniczki znów malował się ten sam tęskny uśmiech. – *Zalóżcie to. W przeciwnym razie nie będzie wam wolno pójść dalej.*

Zdjęła kapelusz z głowy i podała go Klarze. Strażnik poszedł za jej przykładem i podał Amosowi swój kapelusz. Amos zobaczył ze zdumieniem, że oboje nosili pod kapeluszami jeszcze jedno, takie same nakrycia głowy.

Wymieniwszy się spojrzeniami, naciągnęli na głowy stożkowate kapelusze. Nie mam pojęcia, czemu to ma służyć, pomyślał Amos, ale jego ciekawość była silniejsza niż podejrzliwość.

– *A teraz chodźcie za nami w stronę widzącego jeziora* – rozkazał strażnik.

Nie czekając na ich zgodę, oboje odwrócili się i pospieszyli przez bukowy gaj w górę. W tych swoich brązowych ubraniach z kozłej skóry wyglądali jak postacie z innego świata. Świata, który być może wymarł przed niewyobrażalnie długim czasem, a który zmartwychwstał w marzeniach. Ale najwidoczniej to nie wymarzone postacie szły przed nimi wielkimi krokami, lecz prawdziwi ludzie, tacy sami jak oni. O bosych stopach i umięśnionych, spalonych słońcem nogach, które wyglądały spod kunsztownie pikowanych ubrań.

– *Pozwólcie, że zadam wam jedno pytanie.* – Amos chwycił rękę Klary i przyspieszył kroku, by dogonić ich przewodników. – *Jak zostaliście strażnikami tego miejsca?*

Oboje wymienili się krótkimi spojrzeniami. Na ich twarzach nagle pojawiły się miny wyrażające nieprzychylność.

– *Przysięgliśmy milczeć na ten temat.* – Strażniczka wsunęła sobie czarny lok pod

kapelusz z szerokim rondem.

Włosy zupełnie jak moje, pomyślał znowu Amos. W jasnym świetle poranka wydawała się jeszcze bardziej do niego podobna niż wczoraj, była jakby jego kobiecym sobowtórem. Tak samo strażnik był podobny do Klary jak dwie krople wody. Jego zielone oczy, jasna, prawie blada skóra. Amos nie mógł się w ogóle powstrzymać przed gapieniem się na tych obydwójce.

– *Musimy milczeć także na temat wszystkich innych rzeczy w Rogdr.*

– Strażnik spojrzał na Klarę i zdawał się zauważyć dopiero po kilku chwilach, że nie docierają do niej jego słowa. Jednak wzruszył tylko ramionami, uśmiechając się przy tym i ponownie przyspieszył kroku. – *Macie niewiele czasu.*

– Czasu na co? – spytał Amos. Nieprzychylnie zachowanie obojga zaczęło go rozwścieczać. – *Dlaczego jesteś taki podobny do Klary?*

Strażnicy zatrzymali się nagle i odwrócili w ich stronę. Każde z nich przyłożyło sobie rękę do ust i popatrzyło na nich przenikliwym wzrokiem, pomijając głębokie milczenie.

– *Ani stawa, obcy. Chcecie odczuć gniew duchów? Pod żadnym pozorem nie można im przeszkadzać, posługując się ludzką mową.*

Amos uniósł uspokajająco rękę. Szybko przekazał Klarze, co zakomunikował mu właśnie strażnik.

– *Zrozumieliśmy* – odpowiedzieli oboje. – *Nie martwcie się, będziemy przestrzegać waszych praw.*

– To są prawa Rogar.

Wspierając się na kiju wędrownym Karola, Amos podążył za strażnikami na szczyt góry. Klara trzymała go za rękę, a po jej kurczowym uścisku zorientował się, jak bardzo była spięta.

– *Coś tu się nie zgadza, Amosie.* – Nieustannie rozglądała się na lewo i prawo.

– *A co miałyby się niby nie zgadzać Spójrz, także w świetle poranka znaki rozbłyskują na drzewach.*

Teraz, ponieważ zwracał na to uwagę, słyszał znowu cichy szelest liści na wietrze. A brzmiało to naprawdę tak samo, jakby jednocześnie przewracano kartki w wielu różnych pismach i niemal wydawało mu się, jakby *Księga duchów* włączała się w ten szelest i szeptanie.

Tymczasem przemierzyli już cały gaj bukowy, docierając prawie na samą górę. Wierzchołek stanowiło najwidoczniej płaskie wzniesienie pogańskiej kopy, a Amos przyjął, że to tam musi się znajdować „widzące jezioro”, do którego prowadzili ich strażnicy. Jednak ci oboje zatrzymali się kilkadziesiąt kroków pod szczytem, przy wydłużonym fragmencie skalnym.

Gładko wypolerowana ściana wyglądała prawie jak stworzony ludzką ręką mur tarasu, a w niej znajdowała się pozioma szczelina, kamienne usta z wypukłymi wargami, które zdawały się łagodnie uśmiechać.

Oboje strażników przykucnęło na ziemi po lewej i prawej stronie tej szczeliny. Strażnik, który wyglądał jak lustrzane odbicie Klary, skinął na nich, żeby podeszli bliżej, i wskazał na otwór w skale.

Z takiej samej szczeliny w skale, przeszło Amosowi przez głowę, wypływa przecież Gründleinsbach – tyle tylko, że tutejsza szczelina była powiększona do olbrzymich rozmiarów. Podobnie jak znaki pisma na drzewach, które były o wiele potężniejsze niż szyfry na pulpicie Kronusa, a mimo to były to te same symbole.

Strażniczka, która miała jego oczy, jego włosy i jego smukłą postać, kiwnęła głową w stronę Amosa, jakby odczytała jego myśli i przyznała mu rację.

*– Szlachetny Garbun jest jeszcze na widzącym jeziorze.*

Klara i Amos ukłękli przed skałą i wyglądali przez szczelinę. Była tak wąska, że można było przeczołgać się przez nią tylko na leżąco, a mimo to wystarczająco wysoka, by do jej wnętrza mógł się przedostać mocno zbudowany mężczyzna, taki jak Karol. Za szczeliną znajdował się gzyms skalny, ciągnący się w półokrąg nad przestronną jaskinią. Wąskie stopnie prowadziły do mętnie zielonego lustra „widzącego jeziora”. Gdzieś wysoko nad wodą skała musiała być przełamana, bo światło dzienne padało jedną potężną kolumną do środka na sam środek jeziora. I właśnie tam, gdzie promień słońca natrafiał na wodę, dryfowała niespokojnie w kółko owalna, czarna tratwa, najwyraźniej porwana przez nurt. Nie było to dokładne kółko, które tratwa kreśliła swoimi ruchami, lecz raczej gwiazda z wieloma różnymi, małymi ramionami, w których to stronę tratwa próbowała wyruszyć, ale za każdym razem nurt znowu wciągał ją z powrotem do środka. Tym sposobem jezioro wraz z tratwą przypominało olbrzymie, zielone oko, którego źrenica wykonywała nieustannie drgające ruchy. A pośrodku tratwy leżał Karol.

Lalkarz patrzył nieruchomym wzrokiem w górę ku kamiennemu niebu, które przełamywało się dokładnie nad nim, dzięki czemu wraz z tratwą zdawał się zamknięty w słupie światła. Nogi i ramiona miał rozłożone jak gwiazda, a jego dłonie spoczywały otwarte na kołyszącej się tratwie, z grzbietami skierowanymi ku dołowi. Na jego twarzy malował się ledwo dostrzegalny uśmiech, wyrażający jednocześnie ból i ulgę.

*– Przez, całą noc szlachetny Garbun zanosił do nich swe błagania – w oczach strażniczki lśniły łzy – a one spełniły jego prośbę na krótko przedświtem.*

Amos spojrział w dół na tratwę, która wciąż dryfowała niespokojnie w kółko.

– *On nie żyje, Klaro.*

– *Wiem. I serce mi prawie pęka. Jakby znów zabrano mi ojca.*

Strażniczka dała im znak swą otwartą dłonią.

– *Wejdźcie teraz do środka. Jego ostatnim życzeniem było, abyście pochowali go w jego drzewie.*

Amos szybko przekazał Klarze, co powiedziała mu strażniczka. Jednocześnie oczom jego duszy ukazał się magiczny przedmiot, który widział kiedyś w jednej z izb Kronusa na poddaszu. Starzec polecił mu wtedy, aby wyciągnął kilka desek i belek spomiędzy skrzyń i worków pełnych rupieci, znajdujących się tam na górze, i wykonał z nich nowe drzwi do stajni. Pod stosem starych dywanów i szmat Amos dostrzegł wystający kawałek drewna, gdy jednak wyciągnął go spod strzępków płótna, okazało się, że był to swego rodzaju magiczny kołek – wydrążony pień drzewa, w którym tkwiły resztki ludzkiego szkieletu owinięte w chusty, które były częściowo zmurszałe, kruche jak kurz, z trupa czaszką, która wyszczerzała się posepnie z wieńca gołych gałęzi. Nie odważył się wtedy zapytać Kronusa o pochodzenie i znaczenie tego okropnego magicznego przedmiotu. Jednak teraz wydawało się dla niego jasne, że strażnicy chcą pochować zmarłego lalkarza w takim samym wydrążonym drzewie.

Amos przeczuwał, że jeszcze nigdy nie był tak bliski zgłębienia tajemnicy, jak w tym miejscu. Tajemnicy tajnej organizacji Opus Spiritus, która gotowa była zrobić wszystko, by uratować magię pogańskich sanktuariów, takich jak to, za pomocą *Księgi duchów*. Wszystko, pomyślał Amos, wszystko, nawet poświęcić życie niewinnych ludzi, którzy w jakiś sposób weszli jej w paradę. Ale czy to w ogóle było możliwe? Czy rodzice jego i Klary zostali zabici, bo nie chcieli oddać swoich dzieci dla przeprowadzenia wielkiej misji ocalenia? Ale dlaczego właśnie nas? I czy Kronus był sprzymierzeńcem morderców? Nie, to zupełnie niemożliwe, pomyślał – a były to te same pytania, którymi zadręczał się już od wielu dni.

Klara i on wpełznięli przez szczelinę do środka. Strażnicy poszli za ich przykładem, a później znów szli cały czas przodem, po stromych schodach skalnych w dół, aż do widzącego jeziora. Olbrzymie zielone oko tam na dole zdawało się ruszać bez przerwy.

– *Ono ma taki sam kolor jak twoje oczy.*

– *Takie, jak oczy strażnika.* – Usiłowała się uśmiechnąć, ale uśmiech przerodził się w grymas lęku. – *Czuję to coraz wyraźniej. Dziś stanie się jeszcze coś strasznego.*

– *Nie martw się. Pochowamy Karola w jego drzewie. Będzie nam smutno, ale tutaj*

*jesteśmy bezpieczni. Bez pomocy kijka Karola, z magicznymi znakami, w ogóle byśmy tu nie trafili za drugim razem.*

Tym razem udało jej się uśmiechnąć.

*– Jesteś wybranym. I jeśli ty nie wyczuwasz żadnego niebezpieczeństwa, to ja nie muszę się o nic martwić.*

Ale Amos czuł, że Klara nie dowierza swoim słowom.

## 8

JEDEN ZE STRAŻNIKÓW przyciągnął za pomocą długiego drąga tratwę do brzegu. Zewsząd nadchodziły teraz strażniczki i strażnicy – schodzili po stopniach wzdłuż brzegu jeziora, które ciągnęło się nie wiadomo jak daleko w głąb góry.

Nikt nie mówił ani słowa. Również myśli, które wymieniali ze sobą w magiczny sposób, były żalobnym przyzywaniem duchów oraz rytualnymi zawodzeniami, które powtarzano bez końca:

*– Twoja dobroć, szlachetny Garbunie, była niczym światło słońca rozjaśniające ducha i ogrzewające serce.*

*– Pośród potężnych magów byłeś jednym z najmądrszych. Pośród mądrych jednym z najskromniejszych mistrzów, szlachetny Garbunie.*

*– Woda – błoto – pył – jeszcze siedem razy przez siedem dni duchy będą z tobą, szlachetny Garbunie, a potem obrócisz się w pył.*

*Llóma – fdra – móhagdr.*

Podnieśli Karola z tratwy i złożyli go na gołym skalistym brzegu. Amos naliczył chyba z tuzin strażniczek i tyleż samo strażników, wielu z nich jeszcze młodych, inni, starsi, w wieku Karola.

W czasie gdy strażnicy rozbierali i oczyszczali ciało zmarłego, Klara bez przerwy płakała. Blisko brzegu stało koryto wypełnione czerwonym błotem. Zadaniem Klary i Amosa było nasączenie błotem długich pasów chust, w które zawinięte miały być zwłoki.

Następnie strażnicy zaczęli zawijać zmarłego w chusty jednocześnie ze wszystkich stron – od stóp, od rąk i od czoła. Szybko się uwijali, ale bez rozgorączkowania wykonywali przy tym równomierne ruchy i nieustannie zawodzili.

Klara nasączała chusty błotem i swoimi łzami. Amos próbował ją pocieszyć myślami, ale prawie nic z tego do niej nie docierało.

Jemu też było coraz ciężiej na duszy, ale jednocześnie był zdziwiony tym rozgrywającym

się wokół niego podniosłym wydarzeniem. Skoro czas dawnych magów, jak oświadczył mu to Kronus, bezpowrotnie minął, to jak było to możliwe, że ten oto pogański gaj mimo wszystko istniał nadal? Myśli Amosa wirowały prawie tak szybko jak tratwa na jeziorze. Odkąd strażnicy zdjęli ciało zmarłego i odepchnęli tratwę z powrotem na jezioro, nie kreśliła już ona niespokojnych ruchów w stronę wszystkich ramion gwiazdy, lecz obróciła się pośrodku jeziora, a słup światła zawirował wokół własnej osi.

W końcu umilkły lamenty strażników. Lalkarz byli teraz całkowicie owinięty nasączonymi błotem chustami. Również jego głowa była całkowicie owinięta strzepami chust, ociekającymi czerwonymi strużkami, spod których nie wyglądały ani oczy, ani nos.

Dwóch strażników przyniosło drewniane nosze, które trzymali w pogotowiu nieopodal brzegu, dwóch kolejnych ujęło ciało zmarłego za nogi i ramiona, a następnie delikatnie ułożyło je na noszach. W całkowitym, także wewnętrznym, milczeniu uformowano kondukt pogrzebowy, z ciałem zmarłego i niosącymi je na noszach strażnikami na czele, za którymi podążali w parach inni strażnicy.

Amos znów wziął za rękę płaczącą Klarę i wcisnął się z nią do niemego pochodu, dokładnie za młodzieńcem i młodą kobietą, którzy tak bardzo byli do nich podobni. Powoli pochód znów wchodził po stopniach w górę, ku szczelinie w skale. Amosowi wydawało się, że lada chwila pęknie z ciekawości. Zaczął się mu udzielać ten podniosły i nostalgiczny nastrój, choć nie przestawał się przy tym zastanawiać, co to wszystko ma znaczyć. Czego spodziewali się strażnicy po całym tym rytuale, i jak to w ogóle było możliwe, że w Roku Pańskim 1499 istniał jeszcze taki pogański gaj w samym środku chrześcijańskiej Europy. W czasie, gdy niosący ciało zmarłego wysuwali je przez otwór w skale, nie wytrzymał już z ciekawości.

– *Siedem razy przez siedem dni?* – spytał dwóch strażników przed nim. – *Czy to oznacza, że do tego czasu będzie mógł wrócić do żywych?*

Obrócili się w jego stronę z twarzami zachmurzonymi od świętego gniewu.

– *Milcz, obcy! Jesteśmy w żałobie i w trakcie pożegnania.*

– *Kiedy ja mam tak wiek pytań?* – Nie mógł dać za wygraną, musiał przynajmniej spróbować wydobyć z nich kilka odpowiedzi.

– *Łowcy ksiąg prześladowali nas na śmierć i życie. Jeśli nam nie pomożecie, zabiją nas i zniszczą Księgę duchów.*

Strażniczka, która wyglądała, jak jego własne odbicie, aż drgnęła.

– *Księgę...?*

Ale idący obok niej strażnik wpadł jej w słowo:

– *Nie tutaj. Odprowadzimy was później ku wyjściu z Rogdr, wtedy będziemy mogli porozmawiać.*

Jego towarzyszka spojrzała na niego z dezaprobatą.

– *O ile wasze pytania nie naruszą naszego obowiązku milczenia.*

– *Dziękuję wam całym sercem.* – Amos uśmiechnął się do obojga, ale ich twarze wciąż jeszcze wyrażały tylko nieprzychylność.

Cały pochód, para za parą, wyszedł przez szczelinę na powierzchnię ziemi. Amos zauważył ze zdziwieniem, że pora dnia była o wiele późniejsza, niż myślał – słońce znów zachodziło, musiało więc być późne popołudnie. Nie umiał sobie wcale wytłumaczyć, co też się mogło stać z tymi wszystkimi godzinami. Czy rzeczywiście spędzili cały dzień na brzegu jeziora, oplakując zmarłego i nasączając pasy chust czerwonym błotem? A może tam w środku, na brzegu widzącego jeziora, czas biegł po prostu inaczej?

Pograżony w myślach podążał za konduktem pogrzebowym, który dopiero co uformował się na nowo, kierując się teraz na skraj gaju bukowego.

*Llóma – fdra – móhagdr.*

– *Twoja dobroć, szlachetny Garbunie, była niczym światło słońca rozjaśniające ducha i ogrzewające sera.*

– *Zycie – przemijanie – w koło.*

– *Pośród potężnych magów byłeś jednym z najmądrszych. Pośród mądrych jednym z najskromniejszych mistrzów, szlachetny Garbunie.*

– *Magicznie wpleciony w świat, z woli duchów znów z niego wyciągnięty, szlachetny Garbunie.*

*Llóma – fdra – móhagdr.*

Niosący ciało zmarłego zatrzymali się przed jednym z potężnych buków. Z gałęzi, znajdującej się wysoko w górze, w koronie drzewa, zwisały oba końce długiej liny. Odstawili nosze, a jeden ze strażników wyprostował ciało zmarłego, tymczasem drugi przewiązał mu linę pod ramionami. Zaraz potem ciągnęli już zmarłego lalkarza na linie w górę, a wszyscy pozostali żałobnicy znów podnieśli lament.

Nie ustając w przyzywaniach duchów, wszyscy strażnicy i wszystkie strażniczki, z wyjątkiem tych dwóch wciągających ciało na linie, wspinali się z prędkością kota na potężne drzewo. I właśnie w momencie, gdy pierwsi strażnicy na wierzchołku drzewa wyciągnęli ręce w



stronę wciąganego na górę, kołyszącego się ciała zmarłego, inni wspinali się jeszcze po gałęziach, a dwójka strażników przy linie całą siłą podparła się o ziemię, by utrzymać zwłoki na górze w powietrzu – właśnie wtedy nadleciał z metalicznym świstem topór wojenny, który zatopił się w pniu drzewa o włos od Amosa.

Drewno rozprysło się ze zgrzytem. Amos szybko się obrócił i jeszcze w obrocie rzucił się na Klarę, porywając ją za sobą do ukrycia za bryłą skalną. Nie dalej niż dziesięć kroków od nich między bukami stali łowca ksiązek Skythis i pół tuzina opancerzonych mężczyzn. Jeden z nich miał na sobie drewniany kosz na plecach, z całkowicie wycięczonym stworzeniem w środku, które bulgotało, warczało i jak opętane okładało kościstymi pięściami barki oraz czaszkę dźwigającego go mężczyzny.

WSZYSCY OPANCERZENI TRZYMALI W RĘKU broń, z której otworzyli ogień, nie wypowiedziawszy ani słowa. Strzelili do wartowników na dole, którzy – runąwszy natychmiast na ziemię – leżeli na niej bez ruchu. Mężczyźni w pancerzach podbiegli do buku, rozdzielili się przy tym, tworząc półkole i strzelali, pędząc, w drzewo. Z wierzchołka i niższych gałęzi spadali strażnicy i strażniczki, krwawiąc, z ustami rozwartymi w bezgłośnym krzyku. Również strażniczka z czarnymi lokami, do złudzenia przypominająca swym wyglądem Amosa, runęła z korony drzewa, a wraz z nią zielonooki wartownik wyglądający jak męskie, lustrzane odbicie Klary. Spadali głowami do przodu i nawet nie wyciągnęli rąk, by się uchronić przed najgorszym zderzeniem. Spadli jak szmaciane lalki i leżeli teraz w połowie jedno na drugim. Ich twarze były zakrwawione i obite, szyje oraz członki powykręcane w sposób, jaki możliwy jest tylko w przypadku lalek i zmarłych.

Tymczasem ci spośród strażników na buku, którzy przeżyli, przyłożyli do ust swe dmuchawki i wypuścili z nich upierzone strzały w stronę łowców książek. Jeden z opancerzonych padł na ziemię, tymczasem obłożone czerwonym błotem ciało zmarłego runęło z hukiem z korony drzewa, przygniatając kolejnego mężczyznę w pancerzu. Ten zaczął krzyczeć, usiłując wygrzebać się spod błota oraz ciała, i właśnie wtedy drzewo, pełne zranionych i walczących wartowników, stanęło w płomieniach.

Kto z napastników rzucił pochodnię, człowiek-wilk, któryś z opancerzonych, a może nawet Johannes ze swego drewnianego kosza – tego Amos nie wiedział, już dawno chwycił Klarę za rękę i uciekał z nią na złamanie karku. *Księgę duchów* miał przy sobie w bezpiecznym miejscu, za pasem, ale za ich plecami świszczały kule, a między drzewami unosiły się opary prochu. Łowcy książek klęli i krzyczeli, tymczasem strażnicy wciąż zachowywali całkowite milczenie, albo wszyscy już pomarli, albo dlatego, że aż do śmierci nie chcieli złamać nakazu milczenia. W każdym razie w lesie rozbrzmiewały tylko głosy napastników, ich strzały, ich sapanie, ich tupanie, tak jakby walczyli z przeciwnikiem, który istniał jedynie w ich wyobraźni.

Amos dyszał, paliło go w płucach i gardle, ale biegł dalej i dalej, ciągnąc za sobą Klarę. Po skwierczeniu płomieni wywnioskował, że ogień za jego plecami przeskakuje z drzewa na drzewo i że z każdym świętym bukiem, który pożerał, stawał się coraz większy i coraz bardziej zachłanny. Pędząc, ciągle wymachiwał przed sobą w powietrzu kijkiem Karola, dokładnie tak, jak to zaobserwował u lalkarza. Wydawało się jednak, że kijek wędrowny stracił swoją moc, a może Amos uroił sobie tylko, że Karol otworzył kijkiem swego rodzaju magiczne przejście – przejście prowadzące ze świerkowej gęstwiny do bukowego gaju, ze zwykłego świata do pogańskiego sanktuarium Rogdr.

Tymczasem nastąpiła noc, a cały las za ich plecami trawiły płomienie. Słupy ognia, tak wysokie jak wieże kościelne w Norymberdze, buchały ku niebu, a pożar coraz szybciej rozprzestrzeniał się w dół bukowego gaju. Wciąż jeszcze wyprzedzali o jakieś kilkadziesiąt kroków skwierczący walec z ognia, ale miliony płomieni świstały już w powietrzu. I już pierwsze drzewa wokół nich zajmowały się ogniem, a zaledwie kilka chwil później w płomieniach stanął cały rząd wielkich buków, które właśnie mieli przed sobą. Deszcz iskier i żarzącego się popiołu spadł na nich, wirując w powietrzu, gdy przebiegali między palącymi się drzewami z uniesionymi rękami, którymi chronili głowy przed spadającymi gałęziami.

Potem nagle okazało się, że mają bukowy gaj już za sobą i nieważne, czy zawdzięczali to pomocy kijka z wyrytym tekstem, czy nie. Jednak w znajdującej się poza gajem, trudnej do pokonania gęstwinie świerków, było jeszcze gorzej – w czarno-czerwonej nocy potykali się o korzenie i kamienie, biegli wzdłuż wijących się w nieskończoność kolczastych żywopłotów, nie mogąc znaleźć przejścia. Za ich plecami trzaskał i skwierczał ogień, a powietrze było tak pełne dymu, iskier oraz popiołu, że ledwo mogli oddychać, ale Amos i Klara pędzili dalej przed siebie. Od czasu do czasu słyszeli jeszcze dochodzące z kopy odgłosy strzałów nikt spośród tych, których pozostawili za plecami, nie mógł w zasadzie przeżyć – ani strażnicy z Rogar, ani łowcy książek.

– *Polana musi być gdzieś tu niedaleko.* – Przekazywane w myślach słowa Klary był już tylko dyszeniem. – *Uwaga!* – krzyknęła i zatoczyła się – *ptaki.* Z drzew naprzeciwko nich, które jeszcze nie zdążyły zająć się ogniem, rzuciły się w ich stronę trzy olbrzymie ptaki nocne. Potężna sowa, dwa wielkie puszczyki z żarzącymi się oczami, bursztynowożółtymi i płonąco zielonymi. Klara krzyczała i wymachiwała rękami. Upadła i kuciała skulona na ziemi. Sowa siedziała jej na głowie i zaczęła ją dziobać. Puszczyki runęły na nią, skrzecząc. Amos rzucił szybkie spojrzenie do tyłu – ogień pędził w dół zbocza, za parę minut będą okrążeni.

Uniósł kijek lalkarza.

– *Rzuć się na bok, teraz* – Sowa podfrunęła do góry i w tym samym momencie kijek uderzył z hukiem ogromnego ptaka. Sowa spadła z żalnym krzykiem na ziemię, a i puszczyki pofrunęły teraz w górę, zostawiając Klarę w spokoju. Zerwała się z miejsca, a Amos jeszcze raz zawirował kijkiem w powietrzu. Następnie pobiegli dalej, zaledwie o trzy kroki wyprzedzając trzaskający ogień.

Powietrze było teraz tak pełne spalenizny, że każdy oddech sprawiał ból. Śmierdziało spalonymi włosami i skórą. Dym był gęsty jak pajęczyna i nawet łzy, które Amos ciągle ocierał sobie z oczu, były w dotyku palące jak wrząca woda. Nie dąmy rady, pomyślał, zaraz otoczy nas ogień. Wtedy po lewej stronie wreszcie rozwarł się gąszcz, a oni, potykając się, kaszląc i dysząc, wbiegli wąską ścieżką na małą polanę, gdzie zostawili wcześniej konie i wóz.

Jednak wóz drabiniasty Karola palił się już jasnym płomieniem. Z plandeki pozostało już tylko kilka płonących strzępów. Pod nią leżały palące się kukielki na spopielonej scenie, arlekin w płomieniach, dymiący się brzuchaty mnich. Aby być przygotowanym na wszystko, zaprzęgli konie już wczesnym rankiem, a Klara nawet dodatkowo osiodłała kasztankę. Biegali wokół wozu i Amos dopiero teraz zauważył, że stary srokacz Karola również stał w płomieniach. Biedne zwierzę przewracało oczami i raz po raz rozwierało pysk. Jednak nie było niczego słychać, żadnego trwożliwego rżenia ani parskania, ponieważ skwierczenie ognia, huk walących się drzew, trzask łamiących się gałęzi zagłuszały wszystkie inne dźwięki.

Klara jednym susem wskoczyła na siodło kasztanki i wyprzęgła oba konie w locie. Także sierść kasztanki zaczęła się już zajmować ogniem, a Klara próbowała gasić płomienie dobywające się z boku i grzywy jej konia, uderzając w nie gołą dłonią.

– *No chodź już, Amasie\** – krzyczała gwałtownym głosem myśli, kierując na środek małego placu kasztankę, która od gorąca i śmiertelnego strachu zdawała się tracić zmysły.

Amos wskoczył za nią na zad konia właśnie w chwili, gdy stara szkapa Karola runęła i leżała na ziemi przed zgliszczami wozu, paląc się i drgając. Amos jedną ręką objął Klarę, a w drugiej wciąż jeszcze trzymał kijek Karola z wyrytymi słowami: *Llóma – fdrd – móhagdr*. Jednak i na kijku był już ogień i mimo że Amos dziko wymachiwał nim na oślep w powietrzu, płomienie lizaly już go zachłannie, buchając w górę. Kasztanka stanęła dęba, a Klara poklepała ją po szyi i wychyliła się daleko do przodu, by wykrzykiwać jej do ucha uspokajające dźwięki, aż w końcu koń ruszył z miejsca. Gęstwina po obu stronach ścieżki płonęła już jasnym płomieniem, ale oni musieli się przez nią przedostać, by następnie skierować się w lewo na szerszą drogę, która miała

ich wyprowadzić z puszczy i poza nią pokierować do Bambergu. Ale dokładnie tam, gdzie ich ścieżka łączyła się z drogą, stał z szeroko rozstawionymi nogami opancerzony łowca książek.

W rękach trzymał broń, a na jego ramionach, po lewej stronie, siedziała wielka sowa, po prawej ogromny puszczyk nocny. I choć mężczyzna miał na sobie maskę i hełm z płowoszarej, łatanej skóry, widać było wyraźnie, że nie ma prawego ucha. Klara rzuciła się w siodle na bok, zaczerpnęła głęboko powietrza i znów wyprostowała się, a następnie ruszyła swoją kasztanką w stronę mężczyzny w pancerzu. A jeszcze zanim Amos mógł się choćby tylko zastanowić nad tym, co też przed chwilą zrobiła, mężczyzna uniósł swoją broń, a Klara splunęła mu potokiem ognia w twarz i łowca książek krzyknął, bezgłośnie, z powodu skwierczenia płomieni, opuścił broń i wyciągnął ręce przed palącą się maskę.

Z dzikim skrzeczeniem i uderzając skrzydłami, drapieżne ptaki wzbiły się z jego ramion, a Amos podniósł kijek i trafił oba z nich, sowę i puszczyka, mocno w nie uderzając. Ptaki runęły obok opancerzonego łowcy na ziemię, a ich upierzenie również stanęło w płomieniach. Tymczasem także kijek Karola płonął już jasno, a Amos czuł dziką rozpacz, gdy zawirował kijkiem, rzucając go ku wieczornemu niebu, i po raz ostatni zobaczył płonące słowa: *Llóma – fdra – móhagdr*. Objął Klarę ramionami, a ona pognała kasztankę galopem w dół drogi, tak że ogień i puszcza ze wszystkimi jej cudami i strachami zostały w końcu za nimi.

# ROZDZIAŁ IX

# 1

WIECZOREM 11 WRZEŚNIA Roku Pańskiego 1499 Amos i Klara dotarli do brzegu rzeki Regnitz. Po ponad dwudniowej podróży, w czasie której jechali we dwoje na kasztance, czuli się straszliwie wytrząśnięci i zakurzeni od stóp do głów, ale tak poza tym byli dobrej myśli.

Z początku, gdy minęli puszcę pod Goldkronach, wydali się sobie bezbronni jak zające pod gołym niebem. Ale od ich ucieczki z płonącego lasu nie napotkali już na swej drodze żadnego łowcy książek ani wytresowanych drapieżnych ptaków, ani w dzień, ani w nocy. Wszystko wskazywało na to, że ich prześladowcy zginęli w ogniu, który podłożyli sami, by zniszczyć Rogar. Także na drodze prowadzącej do Bayreuth i dalej przez Heiligenstadt widzieli wprawdzie dwa pańskie powozy i załadowane wozy ze zbożem, wędrownych czeladników ciesielskich, kaznodziei pokutnych i posłańców konnych, ale nikt z nich nie interesował się obdartą młodą parą na rudej jak lis klaczy. Nie mówiąc już o oprawionej w czarną króliczą skórę książce, którą Amos miał przy sobie, skrytą pod ubraniami.

Z niewielkiego wzniesienia spoglądali w drugą stronę, na biskupie miasto Bamberg, które rozpościerało się po zachodniej stronie rzeki, nad wieloma pagórkami. Z licznymi kościołami, wieżami i zabudowaniami klasztorными, których dachy lśniły w wieczornym słońcu\* miasto wyglądało prawie jak jeden rozległy pałac. Jednak wyżej od jakiegokolwiek budowli wznosiła się wąska wieża na górze, na południu, przypominająca stożek, którą Amos widział już w sennych majakach – prastara, główna wieża pośrodku zamku, służącego biskupom z Bambergu od dwustu lat za rezydencję.

Jeszcze dzisiaj wieczorem zastukają do bramy zamku i spytają o kapelana nadwornego. Tak to postanowili i teraz właśnie tylko jeszcze raz potwierdzili. Ostatniej nocy Amos ponownie ujrzał we śnie te wizje i przeżył wszystko jeszcze raz, dokładnie tak, jak za pierwszym razem. Znowu mu się ukazał wyrośnięty mężczyzna z płonącymi niebieskimi oczami i długo po tym, jak się obudził, czuł się niespokojnie i tak, jakby przeszywało go płomienne spojrzenie budzącego grozę mężczyzny.

Jednak wszystko pójdzie dobrze, w to nie wątpił, podobnie jak i Klara. Złożyła *Księgę duchów* na ręce kapelana nadwornego, a tam będzie już bezpieczna. Oprócz tego w końcu uzyskają odpowiedzi na wszystkie pytania, które ich męczyły od tak długiego czasu. Dlaczego jego rodzice musieli zginąć z rąk bandy Höttchego, jaką tajemniczą grę prowadziło z nim Opus Spiritus i czy Valentin Kronus jeszcze żył? To wszystko się teraz wyjaśni, podczas spotkania z kapelanem nadwornym jeszcze tego wieczoru, tak w każdym razie Amos sobie to obmyślił. Bo Opus Spiritus stworzyło dobre, a nie diabelskie dzieło i dlatego bractwo nigdy by nie pozwoliło, by niewinni ludzie mieli z tego powodu cierpieć albo nawet stracić życie.

Na dole na rzece muskularny przewoźnik promu odpychał ciągle takimi samymi ruchami ramion swój stateczek, z krótkim i zaokrąglonym dziobem, od jednego brzegu do drugiego. Właśnie akurat podpływał do miejscowej przystani, a jego jedynym pasażerem był młodzieniec na koniu, który się wydał Amosowi dziwnie znajomy. Osłonił oczy przed wysoko stojącym słońcem, aby się lepiej przyjrzeć młodemu mężczyźnie. Być może chodziło nie tyle o samego jeźdźca, co o świecącego białego konia, którego już widział, ale teraz znów nie wiedział gdzie.

– Widzisz jeźdźca na rzece, Klaro? To musi być posłaniec, którego Kronus wyprawił wtedy do Norymbergi.

– Dokąd jedzie o tej porze? – Klara wychyliła się nieco na bok, aby mu się przyjrzeć. Ciągle zamieniali się miejscem w siodle, a w ostatnich godzinach Klara siedziała za nim i objęła go ramionami, trwając w półśnie.

– Nie mam pojęcia. W każdym razie bardzo się spieszy.

Istotnie, jeździec skierował konia od razu ku brzegowi, jeszcze zanim prom doń dobił. Właśnie gdy przewoźnik promu wychylił się w stronę przystani, by przymocować statek, młodzieniec przyłożył siwkowi ostrogi i ogromnym susem wyskoczył ponad nim na stały ląd. Amos i Klara popatrzyli na siebie zdziwieni – jeździec przemierzył bulwar nadbrzeżny i pędził prosto do nich na górę.

– Nie martw się, Klaro. Kronus mu zaufał, więc my też możemy. – Jednak Amos przezornie nie spuszczał go z oczu i położył prawą rękę na uchwycie krótkiego miecza. Tuż przed wymarzonym celem nie mogą sobie już pozwolić na żadną nieuwagę.

Jeździec zatrzymał konia tak blisko nich, że kasztanka, parszając, cofnęła się. Miał co najwyżej osiemnaście, dziewiętnaście lat i przyjazną, otwartą twarz. Brązowe, rozwiane na wietrze włosy opadały mu na czoło i wąskie ramiona.

– Jesteście Amos von Höhenstein? – Jego szaty były usiane kolorowymi plamami,



podobnie jak delikatna ręka, którą wyciągnął na powitanie Amosa. – Wybaczcie, że się nie przedstawiłem od razu. Hans Wolf, uczeń sławnego malarza Michaela Wolgemuta, o którym mogliście już słyszeć. Mistrz ozdabia po tamtej stronie kaplicę aniołami i świętymi, a my, uczniowie, możemy mu pomagać w tym i owym. – Uśmiechnął się i podniósł przy tym brew, aby zasugerować, że w rzeczywistości całą pracą obarczeni są uczniowie. Ale zdawał się nie brać tego za złe sławnej postaci i podobnie trudno byłoby mu brać za złe chwalenie się i oczernianie swojego mistrza, a to wszystko zanim sobie jeszcze pożyczili dobrego dnia.

Amos wychylił się z uśmiechem i potrząsnął złotą i pokrytą cętkami ręką.

– To ja – powiedział. – I gdy was ostatni raz widziałem, najchętniej życzyłbym was połamania karku.

Hans Wolf zbladł nieco.

– Ale dzięki Bogu tego nie zrobiliście. – Potarł swój kark.

– Chyba nie wierzycie, że umiem czarować?

– Na miłość Boską! – Hans Wolf rozejrzał się ukradkiem na lewo i prawo. – Tego zagadnienia lepiej tu nie poruszajmy, jeśli już w ogóle musimy. – Nagle sprawiał wrażenie dosyć zdezorientowanego i zbitego z tropu. – Wybaczcie – powiedział też do Klary.

– Zapewne sądzicie, że wyrosłem w chacie węglarskiej. – Na jego twarz powrócił uśmiech, a wraz z nim nieco wcześniejszej bez troski. – Zapewniam was, szanowna Klaro, że was podziwiam nie mniej niż waszego wybornego towarzysza.

Klara uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

– *Po prostu nie można są do niego nie uśmiechać.*

– *Ale on są z nas nabija, prawda?*

– *Z pewnością nie. Myślę, że on są ciebie nawet obawia. Zdaje się zakładać, że małym przytknięciem paka mógłbyś go przemienić w żabę.*

Podczas gdy rozmawiali w myślach, Hans Wolf prznosił pełen czci uśmiech z Amosa na Klarę i znów z powrotem.

– Naprawdę to umiecie, mam rację?

– Jeśli masz na myśli, że umiemy czytać sobie nawzajem w myślach, to tak. – Amos stopniowo tracił cierpliwość do młodego malarza, który go nieomal połykał pełnymi uwielbienia spojrzeniami.

– Ale nie jesteśmy czarnoksiężnikami, jak zdajesz się to zakładać. I powiedz nam proszę, czego w ogóle od nas chcesz. Przejdźmy zresztą na ty, o ile nie masz nic przeciwko.

Hans Wolf żarliwie skinął głową.

– Czuję się nad wyraz zaszczycony. W końcu jestem tylko synem mieszczanina, a wy jesteście... ty jesteś... – odchrząknął.

– A więc, do rzeczy. Zostałem wysłany, aby zaprowadzić was w bezpieczne miejsce, gdzie będziecie mogli zostać na noc. Jutro rano was odbiorę i potowarzyszę wam w drodze do zamku na górze.

Klara spojrzała na niego podejrzliwie.

– Dlaczego nie zaprowadzisz nas od razu do zamku? Skąd w ogóle wiedziałeś, że zastaniesz nas dokładnie o tej porze przy promie?

– Od wczoraj rano wyglądałem was. Z tamtej strony. – Hans wskazał na przystań na drugim brzegu. – A na dalszych przystaniach i na mostach na Regnitz siedzą inni, tacy jak ja, i łamią sobie szyje, wypatrując was. – Znów potarł sobie kark, nieśmiało zerkając na Amosa. – Założyliśmy się, kto was pierwszy odnajdzie i gdzie się pojawicie.

– Ilu was jest? – spytał Amos. Prawie wbrew swojej woli musiał się znowu wyszczerzyć, bo tak prostodusznie wszystko brzmiało w ustach młodego malarza.

– Tych, którzy was wypatrują? Pół tuzina. – Zdawał się robić ich przegląd w głowie. – A więc, nawet siedmioro. Dwóch uczniów mistrza Wolgemuta – Albrecht Dürer i ja. Oprócz tego dwóch uczniów drukarzy i trzech księży nowicjuszy, cieszących się specjalnym zaufaniem naszego najlaskawszego biskupa we własnej osobie.

Klara pochyliła się jeszcze dalej w jego kierunku.

– A więc księżę biskup jest też w to wtajemniczony?

Malarz znów rozejrzał się najpierw we wszystkie strony.

– Uważa się za... Jak mam wam – tobie – to wyjaśnić... Sprawuje pieczę nad bractwem. – Zastanowił się nad swoimi słowami i z zadowoleniem skinął głową. – Można naprawdę tak powiedzieć.

Nawet jeśli ja sam nie należę do bractwa. Zbyt młody, zbyt mało znaczący, rozumiesz. – Znów podniósł brew. – Ale w każdym razie księżę biskup Georg zarządził, że możecie przekazać spisane dzieło tylko w jego obecności. Dlatego musicie spędzić noc w gospodzie, bo biskup jest jeszcze w powrotnej podróży z Nadrenii. Wziął tam udział w soborze i spodziewamy się go dopiero późnym wieczorem.

Amos i Klara wymienili spojrzenia.

– *Tak naprawdę to nie rozumiem tępych wszystkich* – zastanawiał się.

– *Zdaje się, że nie powiedzieli biskupowi całej prawdy, ale być może Hans ma przesadne wyobrażenie o całej sprawie. Podobnie, jak uważa mnie za wielkiego czarownika. Prawie każdy może wzbudzić w sobie takie same magiczne zdolności, jeśli tylko będzie czytał Księgę duchów we właściwy sposób.*

– *Jesteś wielkim czarownikiem, Amosie, tylko sam jeszcze tego nie zauważyłeś.* – Uśmiechnęła się do niego szalenie zmysłowo. Jej oczy świeciły się promienistą zielenią, jak widzące jezioro z Rogar.

– *W każdym razie najwidoczniej i tak nie mamy wyboru, a dzielny Hans zaprowadzi nas z pewnością do jakiejś gospody, gdzie nie będziemy się musieli niczego obawiać nocą.*

– *Tylko jego gadulstwa.*

Oboje nie mogli powstrzymać śmiechu. A gdy Hans Wolf chciał się dowiedzieć, co ich tak rozweseliło, Amos i Klara potrząsnęli tylko głowami i poprosili go, aby ich szybko zaprowadził do kwatery.

– Jesteśmy zmęczeni – powiedziała Klara przepraszającym tonem – a jeśli księżę biskup ma nas jutro przyjąć we własnej osobie, to najpierw musimy wyskrobać przynajmniej najgorszy brud z paznokci. – Pokazała ręce z zaschniętą sadzą i brudem w rozmaitych barwach, między innymi z czerwonym błotem, którym w Rogar nasączyli chusty dla Karola.

Hans Wolf uśmiechnął się, uradowany.

– W gospodzie wszystko jest już przygotowane – kolacja, ceber do kąpieli, nowe ubrania. Gospoda jest położona tuż u podnóża wzgórza zamkowego. Możemy pojechać na zewnątrz wokół murów miasta, abyście nie wzbudzili niepotrzebnej sensacji.

Jednak dla Amosa nie zabrzmiało to szczególnie uspokajająco. W czasie gdy jechali konno w dół pagórka i ostrożnie skierowali swoje konie na kołyszący się prom, Amos chciał się dowiedzieć od przewodnika, czyją to podejrzliwość mogliby niby wzbudzić.

Jednak tym razem to młody malarz nie chciał mu udzielić żadnej zadowalającej odpowiedzi. A więc powiedział tylko ot, tak sobie, że w rzeczywistości nie musieli się obawiać zgoła niczego, ani w mieście, ani na zamku.

– A kto się znajduje pod osobistą ochroną biskupa, ten może się czuć bezpiecznie jak w łonie Abrahama.

Odpychając łódź kijem, przewoźnik przeprowadził ich przez rzekę Regnitz.

Po drugiej stronie skierowali się na lewo i przez dłuższy czas jechali pod murami miasta wąską drogą, koło której na wieczornym wietrze kołysały się złote kłosy.

– Jak nazywa się ta gospoda? – spytał Amos.

– „Pod Dzikim Myśliwym” – odpowiedział Hans z beztroskim uśmiechem na twarzy. –  
Nie martwcie się, zaraz będziemy na miejscu.

## 2

GOSPODARZ WSKAZAŁ IM DWIE IZBY NA PIĘTRZE, ze śmiesznie małym pokoikiem pomiędzy nimi, w którym stał drewniany ceber do kąpienia. Najwyraźniej podjęto już wszelkie kroki, aby uchronić oboje gości biskupa przed niepożądanymi spojrzeciami.

Być może jeszcze nigdy wcześniej książę biskup nie udzielał schronienia tak dziwnym gościom. W każdym razie można to było odczytać z mimiki gospodarza, którego postać przypominała chodzącą beczkę wina. Sapiąc, podał im do stołu zupę i pieczeń, chleb i ser żółty, cienkuszka i wino, a oprócz tego misę z wodą oraz względnie czyste ścierki, by mogli sobie oczyścić ręce, zanim przystąpią do posiłku. To wszystko miało miejsce w przedniej izbie, gdzie stół i stołki stały stłoczone między łóżkiem a oknem.

Trzy stołki, na nieszczęście – młody Hans Wolf nie mógł sobie odmówić dotrzymania im towarzystwa w czasie jedzenia.

Przynajmniej mogli się dzięki temu dowiedzieć od niego jakichś nowinek. W czasie, gdy jedli i pili, gospodarz – dysząc – chodził po schodach w górę i w dół, wnosząc na górę wiadro za wiadrem z parującą, gorącą wodą.

– *Możesz, się umyć pierwsza* – Amos wyszczerzył zęby do Klary – *choć ceber będzie potem przypominał bajoro.*

– *A nie zmieścimy się razem? Mogłabym cię wówczas przynajmniej zanurzyć pod wodę, gdy znów będziesz się tak bezczelnie zwracał do damy.*

Na myśl o wspólnym siedzeniu w cebrze, wzajemnym myciu się, przekomarzaniu i opryskiwaniu, serca obojga zaczęły szybciej bić.

– *Ale nie możemy pozwolić, by dzielny Hans śleczął tu zupełnie sam* – zaprotestował Amos – *a poza tym...*

– *Wiem, wiem* – wpadła mu w słowo – *mnisze prawo...* – Jej oczy zaiskrzyły się ciemną zielenią od drwiny i rozochocenia. – *Ale może uda ci się go mimo to przekonać, że musimy się wyspać, abyśmy byli jutro świeży i rześcy, gdy się udamy na spotkanie z biskupem.*

– *I z bractwem* – dorzucił Amos – *o którego prawdziwych planach biskup wie chyba tak naprawdę bardzo niewiele.* – Odwrócił się do młodego malarza.

– Wybacz, że jesteśmy tacy milczący, to przez zmęczenie po długiej podróży, po wielu niebezpieczeństwach i walkach z naszymi prześladowcami.

– Z prześladowcami? – powtórzył Hans i ze strachu prawie zrzęła mu mina. – Chyba mówicie to, chyba mówisz to w żartach?

Amos zaczął już potrząsać głową, ale wtedy znów poczuł znane mu ssanie biegnące od pępka w górę.

– *Daj mu spokój, Amosie. Tylko go wystraszysz.*

– Pół żartem, pół serio – powiedziała do Hansa Wolfa, uśmiechając się. – Nawet nie wyobrażasz sobie, jak przesądni są niektórzy ludzie. Gdy ktoś nosi przy sobie książkę, i bynajmniej nie jest to Biblia, to od razu sądzą, że musi być to czarodziejska książka. Napisana przez samego diabła i podrzucona jednemu z jego apostołów.

Na twarzy Hansa Wolfa zagościł tym razem dość udreńczony uśmiech. Znów rozejrzał się ukradkiem, przy tym oprócz ich trójki nie było już nikogo w izbie.

– Ale na szczęście – powiedział zduszonym głosem – w przypadku tego pisma chodzi przecież o dzieło miłe Bogu. Wzbudza u swoich czytelników magiczne moce, ale tylko te dobre i dozwolone. Chyba się ze mną zgodzicie? – Spoglądał badawczym wzrokiem na Amosa i Klarę.

Amos kiwnął głową w jego stronę.

– A teraz opowiedz nam jeszcze, Hansie, pokrótce, co nas jutro czeka? Jakim człowiekiem jest biskup? Kto, oprócz niego, będzie jutro obecny podczas przekazywania książki?

Klara podniosła się.

– To wy się jeszcze naradzajcie przez chwilę, a ja się w tym czasie wykapię. – Uśmiechnęła się do Amosa i znikła za drzwiami małego pokoiku.

Książę biskup Georg, tak młody malarz zaczął swoje obszerne sprawozdanie, pochodzi z szacownego, szlacheckiego rodu Schenken zu Limpurg i jest jednym z najpotężniejszych władców we Frankonii. Ten wszechstronnie wykształcony człowiek o wielkim wigorze, mając zaledwie trzydzieści lat, jest jeszcze prawie młodym mężczyzną. Jest nie tylko najważniejszą osobą w swojej diecezji, rozciągającej się od Bayreuth aż po Bamberg i od Hof aż po Erlangen, lecz także świeckim władcą nad cesarskim lennem – z własnymi żołnierzami i własnym sądownictwem. Swą wielkością i wspaniałością jego diecezja nie mogła wprawdzie nawet w przybliżeniu konkurować z Moguncją lub Kolonią, za to w jego księstwie było położone

najważniejsze spośród wszystkich niemieckich miast – dumna i bogata Norymberga.

Hans Wolf dolał sobie wina, pił odważnie i otarł usta dłonią w kolorowe cętki. Za drzwiami do pokoiku z cebrem do kąpieli słyszeli, jak Klara się pluska i cicho podśpiewuje. Amos marzył o tym, by młody malarz wkrótce sobie poszedł. Ale jednocześnie był żądny wiedzy o stosunkach panujących na zamku biskupim i o działaniu tajemniczego bractwa.

– Na szczęście – ciągnął dalej Hans – Georg jest wielbicielem sztuki, przyjacielem uczonych i w pewnym sensie nawet wolnomyślicielem. O handlu odpustami ma tak samo złe zdanie, jak o przesadnej nagonce na czarownice, a swoich przekonań nie boi się głosić w obecności Ojca Świętego czy w kręgu biskupów. Przy tym Georg jest katolikiem o nienaganej wierności Kościołowi. Surowo pilnuje, by księża w jego diecezji nie dopuszczali się żadnych uchybień. Jeśli zdarzyło się, że któryś z nich nadużył swych przywilejów, tucząc się na koszt gminy i gromadząc bogactwa, biskup karał delikwenta bez cienia pobłażliwości. Nawet dla zwolenników Kościoła duchowego biskup ma dość sporo wyrozumiałości, o ile nawet nie sympatii, chociaż musi się z nią kryć na zewnątrz. Bo Ojciec Święty niedawno znów potępił członków Kościoła duchowego jako sekciarzy, a inkwizytorzy już się skrzętnie trudzą, by udowodnić bezpośrednie powiązania, jakie miały ich łączyć z czarownicami i czcicielami Szatana.

Przy wyrażeniu „Kościół duchowy” Amos nadstawił ucha. Według Hubertusa, ich starego zarządcy folwarku, Opus Spiritus nazywało się po niemiecku *Geistwerk*. Cóż to jest za sekta, ten cały Kościół duchowy – chciał się dowiedzieć od Hansa.

I znów młody malarz rozejrzał się ukradkiem dookoła.

– Członkowie Kościoła duchowego – wyszeptał – wierzą, że Jezus Chrystus w ogóle nie chciał założyć żadnego Kościoła. Według nich nasz Zbawiciel przyszedł tylko po to na świat, by szerzyć wiarę w swojego dobrotliwego Ojca, do którego każdy chrześcijanin może się zwrócić z ufnością – w bezpośredniej modlitwie – nie potrzebując do tego żadnego Kościoła. I na odwrót, zdaniem braci duchowych Kościół katolicki, wraz z wszystkimi jego murami i księżmi, regułami i rytuałami, dopiero później wdarł się między Boga a ludzi i był dla większości z nich wynalazkiem Szatana.

W tym miejscu Hans Wolf zdusił głos do ledwo słyszalnego szeptu. Nawet nucenie Klary w cebrze wydało się Amosowi głośniejsze od lękliwego szeptu młodego malarza.

– Tę błędną naukę – wyszeptał – już wystarczająco wyraźnie czuć stosem, ale wszystko staje się naprawdę niebezpieczne dopiero wtedy, gdy zaczniemy ją zgłębiać – chyba wybaczysz

mi te słowa: Kościół duchowy przyciąga mianowicie takie dusze, które są w zasadzie bardziej pogańskiej niż chrześcijańskiej wiary. Bo od wyobrażenia, że mury Kościoła są dziełem Szatana, prowadzi już niedaleka droga do pogańskiej nauki, że dziki las powinien być naszym prawdziwym Kościołem. A od poglądu, że każdy człowiek według własnego uznania może się zwracać do sił wyższych, jest już tylko mały krok do dawnej wiary pogan, że w niebie nie ma jednego jedyne Boga, lecz że istnieje wiele różnych duchów, których moce i zamiary splatają się ze sobą w świecie, a także w każdym pojedynczym człowieku.

Hans urwał w środku opowieści, by pokrzepić się kolejnym łykiem wina z kielicha.

– Sporo ich zwolenników uważa – ciągnął dalej tak zduszonym głosem, że Amos musiał prawie odczytywać jego słowa z ruchu warg – iż Kościół duchowy jest w zasadzie nawet Kościołem duchów.

I chociaż jego członkami są sławni uczeni oraz ludzie Kościoła katolickiego, to ich nauka nie tylko trąci stosem, lecz nawet mocno cuchnie palonymi ciałami heretyków. – Wsłuchał się w wypowiedane właśnie słowa i pobladł nieco. – O tych zbłądzeniach biskup oczywiście niczego nie wie – dodał szybko – w przeciwnym razie na pewno nie tolerowałby członków Kościoła duchowego w swojej rezydencji.

– Kim są ci sławni ludzie należący do tego Kościoła? – spytał Amos. – Czy będą jutro obecni podczas spotkania?

– Szczegółów nie znam i ja. – Hans pochylił się tak głęboko nad stołem, że omal nie zderzyli się nosami. Jego oddech czuć było kwaśnym winem. – Czy znane ci jest nazwisko Johannes Trithemius? – ciągnął dalej malarz. – To nad wyraz wpływowy mąż Kościoła, opat klasztoru w Sponheim i jeden z najbardziej znaczących uczonych w piśmie, jak okiem sięgnąć. W swoim klasztorze zgromadził największą i najdrogocenniejszą bibliotekę na całym Zachodzie. Mnisi i świeccy uczeni pielgrzymują do niego z daleka, nazywając go swoim „papieżem książek”. Sam Trithemius napisał wiele różnych dzieł o magii i zaklinaniu duchów.

– Opat, który pisze o czarach i duchach?

– Cicho, na litość boską!

– Czemu się tak lękasz, Hansie? Skoro ten opat Trithemius może pisać księgi o magii i duchach, a najwyraźniej może je nawet drukować, to dlaczego nie wolno by nam było choćby o nich wspomnieć?

Lękliwy ton młodego malarza, jego wymijające odpowiedzi i zerkanie ukradkiem przez plecy sprawiły, że i Amosowi coraz bardziej udzielał się niepokój. Przy tym mógł być w zasadzie



wdzięczny Hansowi, bo przynajmniej widział teraz wyraźniej pewne powiązania. Wszystko wskazywało na to, że bractwo Opus Spiritus albo Dzieło Duchowe było związane z Kościołem duchowym, jeśli nawet obie organizacje nie całkiem się ze sobą pokrywały. Należeli do niego sławni mężowie, a samo bractwo sprytnie schroniło się pod skrzydłami wpływowych panów, takich jak choćby książę biskup Georg. Ten zgadzał się nawet częściowo z ich poglądami, jednak zdawał się nie przeczuwać, że realizowali jeszcze bardziej dalekosiężne plany, niezależnie od tego, jak wyglądałyby ich poszczególne zamiary – Bo Trithemius... – Hans dotknął ręką ubrudzoną farbą czoła, które błyszczało mu od potu – jedną nogą stoi już w ogniu, jak to się mówi. Ledwie parę tygodni temu inkwizycja zaarrestowała pewną przeoryszkę, która nazbyt gorliwie powoływała się na jego pisma.

– Masz na myśli matkę Zofię z klasztoru... jak ona się nazywa?

– Z klasztoru Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny – Hans skinął głową, a kiwnięcie przeszło w konwulsyjne drganie.

– Sława nie chroni przed stosem – wyszeptał. – Nie w dzisiejszych czasach. Tak mówi w każdym razie mój mistrz Wolgemut. On chyba też będzie jutro obecny, a oprócz niego także Paul Lautensack, muzyk nadworny, no i oczywiście Eberhard Senft, nadworny kapelan, a zarazem wielki wielbiciel Trithemiusa. Nie sądzę, żeby „papież książek” zjawił się osobiście, ale on sam utrzymuje w swoich pismach, że może wysyłać i odbierać myśli na dużą odległość.

– Nie wątpię, że potrafi to robić. – Amos przypatrywał się uważnie malarzowi. – A teraz zdradź mi jeszcze jedną rzecz, Hansie, zanim nam pozwolisz na parę godzin snu: Kim jest ten rosły mężczyzna o płonących niebieskich oczach, który jutro również będzie obecny?

Teraz uśmiech całkowicie zniknął z twarzy Hansa.

– Potrafisz zaglądać w przyszłość? – Zapomniał nawet o tym, że ma szeptać, tak bardzo wydawał się skonsternowany.

Zaglądać w przyszłość? Do tej pory Amos nigdy tak tego nie postrzegał. W zasadzie to też nie do końca była prawda – kilka obrazów przesłano mu tylko telepatycznie. A to, czy jutro wszystko potoczy się dokładnie tak, jak to zobaczył w przesłanej mu we śnie wiadomości, tak czy owak okaże się dopiero jutro.

– Kim jest ten mężczyzna? – powtórzył teraz, nie zważając na pytanie Hansa.

Malarz dotknął otwartą dłońią twarzy.

– Kolejną sławą – odpowiedział w wyraźnym oporem. – Książę biskup nadał mu tytuł nadwornego astrologa i każe mu czytać dla siebie przyszłość z gwiazd. Ale i jego imienia nie

będę lepiej głośno wymawiał.

Podniósł się z krzesła, a Amos uczynił to samo.

– Dobranoc, Amosie von Höhenstein. – Hans ścisnął mu rękę, przyciągnął go nagle do siebie i wyszeptał mu coś do ucha.

Dopiero gdy był za drzwiami, a Amos powtórzył tę wiadomość, dotarło do niego, co Hans Wolf wyszeptał mu na sam koniec rozmowy.

„Faustus”.

Mężczyzna o płonących niebieskich oczach był słynnym magiem i wizjonerem Georgiem Faustem.

### 3

– *MYŚLISZ, ŻE JUTRO naprawdę będzie już po wszystkim?*

Leżeli na łóżku Amosa w przedniej izbie, czyści, syci, zmęczeni i na wpół śpiący. Materace i kołdry były cudem wygodny po tylu nocach spędzonych w siodle, w wozie Karola i w stajni na folwarku Höhenstein. Uzgodnili, że Klara będzie spać w tylnej izbie, bo w tym wąskim łóżku przestrzeganie reguły nowicjusza wydawało się prawie niemożliwe. Ale nie mogli się od razu rozdzielić.

– *Dlaczego nie miałyby być po wszystkimi* – Czuł, jak szukała po omacku amuletu na jego szyi, który przetrwał nawet skok do wąwozu i dziką przeprawę tratwą. – *Dostaną z powrotem książkę-ciągnął dalej – a mam nadzieję, że i my dostaniemy kilka odpowiedzi. I na tym skończy się nasza rola w tej grze.*

– *Być może masz rację. Ale...* – Przeszła do mowy szeptem, a jej oddech musnął go po policzku i uchu, łaskocząc. – Ty też się już kiedyś nad tym zastanawiałeś, czy nie podsunęli ci przypadkiem tej książki z zamiarem, byś musiał ją ratować w tak dramatycznych okolicznościach? – Wciąż majstrowała ręką przy tym amulecie. Amos czuł, jak obracała wilczoookiem w oprawie, jakby był nakręcany.

– Też o tym już pomyślałem – odpowiedział – ale to nie ma przecież żadnego sensu. *Księga duchów* jest najdrogocenniejszym manuskrytem na świecie. Dlaczego mieliby ją narażać na takie ryzyko?

– Może chcieli ją wypróbować lub dowieść komuś, że książka naprawdę wzbudza magiczne moce. W końcu jesteś ich wybrańcem.

Były to te same pytania, które zadawał sobie już wiele razy. Aby udzielić jej odpowiedzi, znów przeszedł do porozumiewania się w myślach.

– *Aby ją wypróbować, nie muszą napuszczać na mnie łowców czarownic ani książek. Poza tym Kronus nigdy by się nie zgodził na to, by dla dobra tak osobliwego eksperymentu narażano twoje i moje życie. I cóż to znaczy „wybrany” – prawdopodobnie Kronus po prostu przewidział,*

*że powinienem zanieść książkę w jakieś bezpieczne miejsce w razie, gdyby mu się coś przytrafiło.*

– A może wcale go nie prosili o zgodę – wyszeptała. – Może sam nie wiedział, co bractwo zamierzało zrobić z tobą i *Księgą duchowi*. Może go tylko wykorzystali, bo jako jedyny potrafił przekształcić czarodziejską sztukę na sztukę opowiadania? Może tylko w niewielkim stopniu wtajemniczyli go w swoje plany, tak jak to robią teraz w przypadku biskupa Georga?

– Może tak, a może nie – odparł Amos. – A teraz śpijmy już, Klaro, proszę. Miejmy nadzieję, że jutro się wszystkiego dowiemy.

– Delikatnie odciągnął jej dłoń od amuletu na jego szyi.

– *Oni już nas oczekiwali i zaprowadzili nas tutaj, w bezpieczne miejsce, a więc także bracia Opus Spiritus – Dzieła Duchowy, Kościoła duchowy, czy jak tam się jeszcze nazywają, wydają się zadowoleni i odczuwają ulgę na myśl, że odzyskają książkę. Może rzeczywiście mnie do czegoś wybrali, ale z pewnością nie po to, żeby mnie wydać na pastwę łowców książek i purpurowych wojowników, ani żeby ci ostatni gonili za mną przez cały kraj.*

Jej ręka, odciągnięta od amuletu, błędziła niespokojnie po jego piersi. Oboje mieli na sobie tylko koszule nocne z grubego lnu, które Hans Wolf również kazał dla nich przygotować, a Amosowi robiło się coraz ciasniej i coraz goręcej między Klarą a ścianą.

– Jeśli się nie mylisz, odbiorą ci jutro książkę – kontynuowała szeptem – a wtedy być może już nigdy nie będziemy mieli okazji przeczytania trzeciej i czwartej opowieści. Czy ta myśl cię nie zasmuca? Mnie owszem.

Wysłuchał się w siebie.

– Zasmuca – tak, ale przynosi mi też ulgę. Jak powiedział Kronus, obie opowieści budzą w swych czytelnikach ogromne moce. I właśnie to mnie coraz bardziej przeraża. Czy naprawdę chcę się stać jak ten Faust – zostać magiem i *wizjonerem o płonącym spojrzeniu, umiejącym zaglądać w przyszłość, a być może nawet podróżować w czasie?* – Pochylił się nad nią i zaczął jej szeptać do ucha wypowiedziane w pośpiechu, a jednak dobrze przemyślane słowa, które chciał jej powiedzieć już od wielu dni.

– Czar naszej miłości – wyszeptał jej – jest dla mnie o wiele ważniejszy od magii duchów. Gdybym musiał wybierać między tobą a książką, nie wahałbym się ani chwili. – Jego wargi płonęły, a serce waliło. Ulżyło mu, że w izbie było tak ciemno.

– Ja też bym się nie wahała – wymamrotała Klara – ale przecież czar naszej miłości również pochodzi od duchów. Jak wszystko w nas i wokół nas.

Serce Amosa zaczęło dziko łomotać. Jeszcze długo po tym, jak Klara powiedziała mu

„dobranoc” i wymknęła się z jego izby, leżał cicho w ciemności, nasłuchując walenia w swojej piersi.

W ciągu ostatnich dni raz po raz przychodziło mu do głowy, że być może to nie bractwo Opus Spiritus złożyło i wprawilo w ruch ten cudowny mechanizm, lecz same duchy.

## 4

– POZOSTAŁĄ CZĘŚĆ DROGI z łatwością odnajdziecie sami. Dłoń, którą Hans Wolf wyciągnął ku niemu na pożegnanie, była wciąż jeszcze pokryta kolorowymi cętkami, zupełnie jak wczoraj wieczorem. O siódmej rano odebrał ich z gospody „Pod Dzikim Myśliwym” i poprowadził stromą ścieżką prosto na wzgórze zamkowe. Jednak na ostatnim zakręcie drogi, gdy na horyzoncie pojawił się już potężny most zwodzony, odwaga znów zdawała się go opuszczać.

– Powodzenia, Amosie von Höhenstein. Było dla mnie zaszczytem, że mogłem ci nieco pomóc.

Amos uściskał jego wyciągniętą dłoń.

– Bardzo ci dziękuję, Hansie Wolfie. Ale powiedz mi jeszcze jedną rzecz. Co właściwie skłania twego mistrza Wolgemuta do współdziałania z tymi braćmi? No, wiesz, kogo mam na myśli.

Hans rozejrzał się ukradkiem.

– A to całkiem proste – wymamrotał i znów nieco pobladł.

– Gdy mistrz już się dowie, jak można przenieść magię na płótno, nie będzie mógł się opędzić od zleceń od książąt i biskupów. – Na jego twarzy znowu zagościł uśmiech – A Albrecht Diter i ja, jego niewiele znaczący uczniowie, tym bardziej. – Ściągnął brwi, jakby chciał dać do zrozumienia, że w zasadzie to oni są prawdziwymi mistrzami w warsztacie Wolgemuta.

Gdy zwrócił się ku Klarze, jego uśmiech się rozpromienił.

– Szanowna Klaro, i tobie życzę powodzenia w drodze. Jeśli pozwolisz, namaluję cię wkrótce z pamięci.

Oczy Klary rozbłysnęły jak widzące jezioro w Rogir.

– Chętnie ci na to pozwolę, Hansie. Pod jednym wszakże warunkiem: że nie namalujesz mnie podczas kąpieli w „Pod Dzikim Myśliwym”.

Dla odmiany tym razem to Hans Wolf się zaczerwienił.

– Ale ja... czemuż to... – bełkotał. – Czemu sądzisz, że...? Amos nie mógł się

powstrzymać i parsknął ze śmiechu na całe gardło, choć z pewnością nie była to najlepsza chwila, by oddawać się bezpodstawnej wesołości. Ale wystarczyło tylko, że spojrzał na czerwoną twarz Hansa, a już ogarniał go znowu i wstrząsał nim kolejny atak śmiechu. Także Klara jedynie z trudem powstrzymywała się od chichotu, ale przynajmniej zadawała sobie trud, bo najwyraźniej współczuła biednemu malarzowi.

– Wybacz, Hansie, proszę. – Amos w końcu wyrzucił z siebie. Miał wrażenie, że i jego twarz stała się tymczasem całkiem gorąca.

– Nie chciałem się z ciebie śmiać, to tylko... – Oddychał głęboko.

– A więc, krótko mówiąc, w całej tej sytuacji komiczne było tylko to, że Klara właśnie coś pomyliła, a ja w tym samym momencie uświadomiłem sobie, na czym polegała jej pomyłka.

Hans Wolf zmarszczył czoło.

– Ale cóż takiego pomyliła?

Amos spojrzał na niego. W jak kłopotliwą sytuację się wplątał? To, że Hans nie mógł się połapać w jego zawitych tłumaczeniach, nie było jednak zaskoczeniem. Ale jak miał mu to teraz wytłumaczyć? A więc: Klara siedziała wczoraj wieczorem za drzwiami pokoiku w cebrze, a ponieważ nawiązała z nim łączność telepatyczną, przez cały czas mogła obserwować i Hansa, jak siedział przy stole, pił, szeptał i się poccił. I dlatego właśnie w chwili rozkojarzenia wydało jej się, że Hans też ją widzi, jak leży w cebrze i nuci...

– Hansie, co się z tobą dzieje? – Klara popatrzyła przestraszona na malarza, ale sam Hans wyglądał na jeszcze bardziej przerażonego. Gapił się na Amosa, a jego jabłko Adama skakało mu w szyi w górę i w dół. Teraz wyciągnął obie ręce i pokazał mu, w geście obrony lub kapitulacji swoje poplamione farbami ręce.

– A więc ty... A więc ty naprawdę potrafisz... – Malarz odwrócił się i chciał widocznie rzucić się do ucieczki na złamanie karku.

– Ale Hansie, poczekaj no! – krzyknął Amos. – Co ci się nagle stało?

Ale młody malarz rzucił mu jeszcze tylko jedno krótkie spojrzenie i potrząsnął głową, później wziął nogi za pas i popędził w dół wzgórza zamkowego.

– *Daj mi spokój. Widać, jak na dłoni, co mu się właśnie przydarzyło.*

– *Ale cóż takiego, na wszystkie dobre duchy?*

– *Popatrzyłeś na niego zaklinająco, a on zobaczył już w głębi serca wszystko, co zamierzałeś mu dopiero wytłumaczyć – jak siedziałam w cebrze i go widziałam, a on mnie nie. To wszystko.*

– *Ale on przecież...* – Amos popatrzył za pędzącym malarzem. Teraz i on poczuł się trochę skołowany. – *Przecież Hans z pewnością nigdy nie przeczytał nigdy ani linijki z Księgi duchów. Jak więc mógł odczytać moje myśli?*

Klara wzięła go pod rękę, uśmiechając się.

– Spytaj lepiej, jak mogłeś mu je przesłać. A moja odpowiedź brzmi tak samo, jak wczoraj na brzegu rzeki Regnitz: jesteś po prostu wielkim czarownikiem – tylko że jeszcze nie do końca się o tym przekonałeś. *A teraz nie sterczmy już tak tutaj. Kapelan nadworny na pewno już na nas czeka.* – *Pociągnęła go dalej w górę drogi, a Amos wsłuchał się w siebie i próbował zrozumieć, co się właśnie wydarzyło.*

Ramię w ramię przekroczyli most zwodzony. Prowadził on nad strasznie szeroką fosą, pochodzącą, podobnie jak i sam most, z czasów wojny. Jak opowiedział im Hans podczas wchodzenia na wzgórze, zamek służył niegdyś biskupom z Bambergu za twierdzę obronną. Już przeszło trzysta lat temu pierwsi władcy biskupstwa znajdowali tutaj na górze schronienie, gdy wrogie wojska lub zbuntowani poganie z lasów atakowali miasto. Z biegiem czasu zamek został rozbudowany i stał się rezydencją biskupów, z salą audiencyjną, kaplicą nadworną i przyległymi budynkami dla ministrów czy urzędników rozbudowanej administracji diecezji. Właściwa rezydencja znajdowała się u podnóża zamku w mieście, nieopodal katedry i klasztorów, ale książę biskup Georg III już od zawsze miał szczególne upodobanie do tego starego zamku na wzgórzu.

Na końcu mostu wznosił się olbrzymi dom z bramą. Brama była zamknięta, ale jeszcze zanim zdążyli sięgnąć po kutą kołatkę, w prawym skrzydle bramy otwarło się okienko .

W otworze pojawiła się wąsata twarz młodego żołnierza pełniącego wartę.

– Czego dusza pragnie? – Gapił się na Amosa gniewnym wzrokiem.

– Chwała Bogu i cesarzowi – powiedział Amos – i biskupowi oczywiście też. Bądź tak miły i zapowiedz moje przybycie nadwornemu kapelanowi, jeśli mogę prosić.

Naraz wróciła mu cała jego wesołość i beztroska. Incydent z biednym Hansem wprowadził go w przejściowe zakłopotanie, ale całe to zdarzenie dowiodło tylko, jaki wielkim dziełem była *Księga duchów*. Budziła ona o wiele większe moce magiczne, niż kiedykolwiek obiecywał mu to Kronus – w każdym razie u samego Amosa.

– Wasza godność i pochodzenie? – zaterkotał żołnierz.

– Jestem Amos von Höhenstein, w towarzystwie Klary Thalgruber. Przekaż tę informację kapelanowi, a on nas przyjmie od razu.



Wąsacz zmarszczył czoło. Bez słowa zatrzasnął z powrotem okienko.

Amos i Klara wymienili się spojrzeniami. A może jednak sprawy nie potoczą się tutaj tak pomyślnie, jak miało to miejsce w jego nocnych wizjach? Ależ nie, sam w to nie wierzył. Uśmiechnął się uspokajająco do Klary i w tej samej chwili lewe skrzydło drzwi otworzyło się z cichym skrzypieniem.

– Wejdźcie! – Drugi z żołnierzy pełniących wartę, z rzadką czupryną i już nie całkiem młody, przytrzymał im bramę. – Kapelan nadworny Senft już was oczekuje. – Poprowadził ich w głąb zamku obok wąsacza, który stał przed furtą wartowniczą i wpatrywał się gniewnym wzrokiem w pustkę.

Przed nimi wznosiła się po prawej stronie wieża obronna, jeszcze wyższa od najpotężniejszych drzew-olbrzymów z Rogar. Naprzeciwko nich, wzdłuż wybrukowanej ulicy, ciągnęła się okazała budowla z oszklonymi oknami, wykuszami w stylu gotyckim i różnymi małymi oraz większymi przybudówkami. Mnisi i księża kroczyli między domami tam i z powrotem. Z naprzeciwka nadjechał powóz, w stajni parskaly konie, z ukrytej piekarni wiatr roznosił wyśmienity zapach świeżego chleba. Wszystko dookoła wydawało się tak rzeczywiste i tętniące życiem; było to miejsce, w którym nie podobna było sobie wyobrazić postaci z koszmarów, takich jak łowcy ksiązek w swych pancierzach. Jednak ledwo Amos zdążył dokończyć tę myśl, a już przed murami obronnymi za wieżą obronną spieszyło w ich stronę pół tuzina wojowników na usługach Kościoła.

Nie zwracając na nich najmniejszej uwagi, żołnierze przemaszerowali obok w swych purpurowych mundurach. Amos i Klara znów wymienili się szybkimi spojrzeniami.

– *To nie musi niczego oznaczać, Klaro. Z pewnością mają tu swoją bazę – jesteśmy w końcu w zamku jednego z ksiązek Kościoła.*

– *Ina szczęście jego gośćmi, a nie więźniami. Tak w każdym razie twierdzi odważny Hans.*

Wzajemnie się do siebie uśmiechnęli. Klara wspaniale wyglądała w lnianej szacie z kolorowymi haftami, którą znalazła w swojej izbie w gospodzie „Pod Dzikim Myśliwym”. Dla Amosa Hans Wolf przygotował, poza koszulą i spodniami, jeszcze kamizelkę z cudownie miękkiej skóry jagnięcej. Kamizelka miała po lewej stronie obszerną kieszeń wewnętrzną, wystarczająco dużą, by zmieściła się w niej książka. W ostatnim czasie Amos nie raz się obawiał, że *Księga duchów* wypadła mu z tobołka podczas jego dzikiej ucieczki lub że mu się wysunęła spod koszuli. Na szczęście nic takiego się nie stało, ale odtąd pusta kieszeń kamizelki będzie mu przypominała, co posiadał i co oddał.

Myśl o rozstaniu z *Księgą duchów* nagle straciła dla niego swoje kojące działanie. Jeszcze wczoraj wieczorem powiedział Klarze, że się trochę boi tych mocy, które wzbudziłyby w nim trzecia i czwarta opowieść. Z pewnością nie kłamał, ale bynajmniej nie była to też cała prawda. Ryzykował życiem, by ocalić książkę, a teraz chętnie zażądałby od tego bractwa odpowiedniej zapłaty: kopii trzeciej lub czwartej opowieści, albo, jeszcze lepiej, kopii całej książki. Wtedy sam mógłby zdecydować, czy w ogóle i kiedy przeczyta drugą połowę książki.

Tak sobie wszystko obmyślał i w tym samym czasie rzucał raz za razem wyprzedzające spojrzenie, by zapamiętać obok jakiej kolejnej budowli prowadzi ich w danej chwili żołnierz-wartownik. Między murami zamku a tylną ścianą budynku, pełnego wielkich sal, biegła wąska droga, którą podążą pewnie aż do jej końca. Również tylna strona wydłużonego budynku miała okazałą fasadę, z oknami ze szkła ołowiowego, gotyckimi wieżyczkami i drzwiami z żelaznymi okuciami, które następowały po sobie w regularnych odstępach. Ale wszystko to zostawili po prawej stronie i podążali dalej tą samą drogą aż do ledwo widocznych drzwiczek w równie niepozornej przybudówce.

Tutaj też zastukał żołnierz-wartownik, a gdy nie doczekał się reakcji, otworzył drzwi jednym pchnięciem.

– Proszę, wejdźcie – wykonał zachęcający ruch ręką – kapelan nadworny został już poinformowany. Nie będziecie musieli długo czekać.

Amos przestąpił próg, Klara podążała tuż za nim. I ledwo zdążyli wejść do środka, a wartownik już zamykał drzwi za ich plecami.

PRZEDPOKÓJ BYŁ TAK OPUSTOSZAŁY, jak Amos ujrzał to w wizji. Teraz jednak, gdy znalazł się w nim naprawdę, sala kominkowa wydała mu się jeszcze węższa i ciemniejsza. Mogło być to związane z bladym światłem porannego słońca lub z wyblakłymi malowidłami ściennymi, jednak poza tym wszystko było tak, jak zobaczył to w wiadomości, którą przekazano mu we śnie: ławki mocowane do ścian pod oknami w wykuszach, kilka stołów rozstawionych w całym pomieszczeniu, otoczonych fotelami i krzesłami. Prawdopodobnie w określonych godzinach wpychali się do tego pokoju petenci, którzy to jeden po drugim chcieli się zgłosić do nadwornego kapelana. Ale dziś nikt oprócz nich nie zostałby dopuszczony do niego, o co zatroszczyłby się w razie potrzeby pełniący wartę żołnierz, którego słyszeli maszerującego przed drzwiami tam i z powrotem.

Amos uśmiechnął się do Klary.

– *Wszystko przebiega dokładnie tak, jak to zobaczyłem.*

– *Ale tego, co nas samych tam czeka, już ci nie pokazali.* – Wskazała na drzwi znajdujące się na tylnym końcu prawej podłużnej ściany, przez którą od czasu do czasu można było usłyszeć strzępki wymiany zdań.

Niczego nie można było jednak zrozumieć. Później przez te drzwi wyjdzie mężczyzna z ognistym spojrzeniem, ale do tej chwili pozostało im nieco czasu. Czasu potrzebnego, by móc się psychicznie przygotować, pomyślał Amos, na spotkanie ze sławnym magiem Faustem.

Klara weszła do jednego z wykuszy i patrzyła w dół na budzące się miasto, tymczasem Amos chodził tam i z powrotem między poblakłymi malowidłami ściennymi. Trithemius – Faust – Kronus: coraz wyraźniej rysował się przed nim plan bractwa, który zakładał stworzenie *Księgi duchów* i określał kolejne etapy realizacji tego przedsięwzięcia. „Papież książek” Trithemius przez wiele lat ściągał z najbardziej odległych miejsc na świecie dzieła, które zawierały prastare przekazy oraz informacje o sztukach tajemnych, a ich kopie wysyłał do dawnego folwarku młyńskiego. Z kolei mag Faust wniósł do projektu żywą tradycję pochodzącą z ulegającego

zagładzie świata wędrownych czarowników i cudotwórców. A Kronus połączył w końcu skarby z tych i z pewnością kilku innych źródeł w swoich opowieściach w *Księdze duchów*. Tylko jak mu się udało przemienić prastarą sztukę magiczną w całkowicie nową sztukę opowiadania? – wciąż nic z tego nie rozumiał. Godną podziwu zagadką pozostawał fakt, że Kronusowi udało się stworzyć coś, czego nikt wcześniej nie potrafił. Dla Amosa był największym poetą, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi, magiem słów, jakiego jeszcze nie było i jaki pojawi się znowu może dopiero za jakieś pół tysiąca lat.

Nagle się zatrzymał i stał pośrodku pokoju.

– *Ten obraz tam z tyłu na frontowej ścianie, Klaro. Czy już go obejrzałaś? Przypomina mi.... Ale nie, to niemożliwe.*

– *Obejrzyj go sobie i pokaż mi, co widzisz.* – Odwróciła się do niego plecami i wyjrzała przez okno.

Amos podszedł do malowidła. Było częściowo tak wyblakłe, że ledwie można było w ogóle odgadnąć, co miało niegdyś przedstawiać. Farby łuszczyły się ze ściany, nałożono je zapewne bardzo dawno temu. Ale kilka części obrazu znajdowało się jeszcze w lepszym stanie i im dłużej Amos się temu przyglądał, tym bardziej nabierał pewności, że się nie mylił. Miejscem przedstawionym na obrazie było pogańskie sanktuarium Rogar z jego łagodnie wznoszącym się gajem i wielkimi bukami. Amosowi udało się nawet rozpoznać kilka spośród tajemniczo jaśniejących w liściach znaków. Rozpoznał też szczyt góry i znajdującą się nieco poniżej wierzchołka poziomą szczelinę skalną, która swym wyglądem przypominała wielkie, łagodnie uśmiechające się usta.

Ale to przecież niemożliwe, pomyślał po chwili, by ten obraz ukazywał Rogar. Było to z pewnością prastare malowidło. Mimo to w dolnej jego połowie przedstawiono strażników z Rogar, jak klęczą przed chrześcijańskim księdzem z twarzami zwróconymi ku niemu w pobożnym zachwycie. Ksiądz błogosławił ich i kropił wodą święconą. Tymczasem u góry obrazu inni księża i mnisi krzatali się żwawo. W rękach trzymali płonące pochodnie, którymi podpalali święte buki pogan, jeden po drugim. Z drzew położonych całkiem na górze, przy kopie, wzbijały się już jasne płomienie, jednak do klęczących strażników, najwidoczniej z powodu zachwyty, ledwie docierało, że zostali wybawieni od bałwochwalstwa, a w przyszłości będą mogli wielbić prawdziwego i jedyne Boga chrześcijan. I to wszystko było nadzwyczajne i niepojęte – bo jakże Rogar mógł zostać zniszczony setki lat temu, skoro jeszcze trzy dni temu spacerował tam z Klarą między prastarymi bukami, a nawet rozmawiali ze strażnikami?

Amos, całkiem zmieszany, gapił się na obraz. O wiele bardziej zagadkowe wydały mu się obie postaci, które zauważył w rzędzie klęczących. Zieleń oczu młodego strażnika była wyblakła, a jednak był to bez wątpienia męski sobowtór Klary, podobnie jak dryblasowata strażniczka z czarnymi lokami była jego własnym odbiciem, tyle że z łagodniejszymi, dziewczęcymi rysami. A może widział podobieństwa, gdzie ich wcale nie było? Może obraz ukazywał jakieś inne pogańskie miejsce kultu, którego strażnicy zostali nawróceni, a on dał się zmylić tylko przypadkowym zgodnościom?

Amos nie zauważył, że Klara podeszła do niego.

*– Nie, to musi być Rogdr, na pewno się nie mylisz. A i ten obraz ma już na pewno jakieś kilkaset lat, popatrz tylko, jaki jest wyblakły. Ale to może tak naprawdę oznaczać tylko, że...*

Popatrzyła na niego wielkimi oczyma, ale miał nadzieję, że Klara dokończy myśl za nich oboje – albo, jeszcze bardziej, że ją porzuci. Bo już samo wyobrażenie, że mogłaby dokończyć zdanie, powodowało tak silny zawrót głowy, jakby ziemia pod jego stopami miała się lada chwila rozewrzeć i porwać go w głąb, jak to się stało z Wawrzyńcem Answerem. Ale wszystko wskazywało na to, że Klara ma takie same odczucia, więc tylko popatrzyli na siebie bez słów, a w ich sercach czaił się lęk.

*– Ale jeśli sprawy tak się mają, jak oboje sądzimy – spytał w końcu – to jak łowcy ksiąg trafili tam za nami?* Klara uniosła i opuściła ramiona. Właśnie w tym momencie drzwi koło nich otworzyły się i wyszedł do nich czarownik Faust.

## 6

SŁAWNY MAG miał na sobie czarną pelerynę oraz zielony kapelusz z sokolimi piórami. Jego toga przypominała raczej uczonego, a kapelusz wędrowca, który połowę swego życia spędził pod gołym niebem. Ale Faust emanował wprawiającą w zakłopotanie mieszaniną obu tych rzeczy – była to dzika uczoneść rodem z lasu.

Miał ciemnobrązowe włosy, które opadały mu bujnymi lokami na niewyobrażalnie szerokie ramiona. Miał może z trzydzieści lat i był wyższy od wszystkich innych mężczyzn, jakich Amos kiedykolwiek spotkał, no może z wyjątkiem Höttschego. Ale w przeciwieństwie do kapitana rozbójników Faust był szczupły, przez co zdawał się jeszcze wyższy – tak jak wieże zawsze zdają się wznosić najwyżej ku niebu, nawet jeśli niejeden budynek znajdujący się w ich pobliżu jest w rzeczywistości tej samej wysokości. Jednak ten mag mógłby być równie dobrze karłem z kilkoma nędznymi kępkami włosów na czaszce oraz smętnie opadającymi ramionami – samymi tylko płonącymi, niebieskimi oczami i tak potrafiłby zniewolić cały świat.

Amos stał przed nim jak wryty i nie był już zdolny do niczego innego, poza wpatrywaniem się w jego oczy. Były jak czysty niebieski ogień i jednocześnie jak lustro, w którym same zdawały się ulegać zwielokrotnieniu. Im dłużej Amos gapił się w oczy Fausta, tym bardziej oślepiający i palący stawał się ich błękit, tym więcej płonących oczu patrzyło na niego równocześnie zewsząd. Z sufitu, ze wszystkich ścian, nawet z ziemi. Oczy gapiły się na niego, płonęły i przesywały go. Przed nimi nie można było ukryć niczego, na całym świecie nie było najmniejszego zakątka, który mógłby pozostać niedostępny dla tych oczu – ani w jego wnętrzu, ani nigdzie na zewnątrz.

Te oczy napawały go przerażaniem, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie odczuwał. Lęk inny niż wszystkie inne, przerażenie jak po zerwaniu się ze snu, gdy człowiek naraz uświadamia sobie, że wszystko to, co uważał za prawdziwe, było tylko miłym snem. Że świat, do którego się przebudził, jest pełen okropności, że nikt i nic go przed nimi nie ochroni, ale tylko ten świat jest prawdziwy i rzeczywisty.

Amos nie stracił wprawdzie świadomości, ale to, co się teraz z nim działo, przypominało aż za bardzo omdlenie w czasie koszmaru. Nie zapomniał całkiem, kim był i gdzie się znajdował, ale straciło to dla niego wszelkie znaczenie. Gdzieś wokół wciąż jeszcze znajdował się pewnie pokój przed gabinetem nadwornego kapelana, ale nawet jeśli byłaby to położona głęboko pod ziemią zatęchła piwniczna jama przed lochem, z której nigdy nie można by się wydostać na zewnątrz, i tak nie zrobiłoby to na nim wrażenia. Bo o wiele bardziej rzeczywiste było dla niego w tym momencie to, co zobaczył dzięki magowi Faustowi, co w głębi duszy odczuwał i co przeżywał, choć w jakimś zakątku swojej osobowości wiedział, że wszystko to było tylko zjawą.

Był otoczony wielokrotnie odbitymi, płonącymi niebieskimi oczami, a w tych błękitnych lustrach widział, jak świat wokół niego przemienia się z zawrotną prędkością. Chmury pędziły po niebie, lasy, wioski, całe miasta były porywane siłą, a wszystko gnało do przodu w stronę najodleglejszego horyzontu i tylko on sam był pchany do tyłu. Tak jakby potężna wichura zdmuchiwała wszystko, co napotkała na swej drodze, przed siebie i tylko jedna postać byłaby gnana w przeciwnym kierunku, niezależnie od tego, z jak wielką desperacją by się przed tym wzbraniała, a tym najbardziej osamotnionym spośród wszystkich stworzeń był on.

Norymberga, Wunsiedel, Kirchenlamitz – wszystkie miasta, które kiedykolwiek poznał, wirowały ku horyzontowi, coraz bardziej się od niego oddalając. Zamek Höhenstein przemknął koło niego, potem również folwark, gdzie spędził swoje dzieciństwo, a później został porwany do tyłu z tak zawrotną prędkością, że wszystko wokół niego rozmyło się w papkę w kolorze mgły. A gdy w końcu znów poczuł stały grunt pod nogami i ponownie mógł zobaczyć swoje otoczenie, dookoła niego nie było niczego oprócz najdzikszego lasu.

Był to gąszcz, tak gęsty i ciemny, że do tej pory żadnemu śmiertelnikowi nie udało się w niego zapuścić. Nie sposób było odróżnić żadnych szczegółów, nie było dróg czy ścieżek, żadnych drzew, krzaków ani nawet skał – wszystko to przypominało jedną tylko gębę, wykrzywioną grymasem dziczy i okrucieństwa. W powietrzu unosiło się warczenie, zgrzytanie i trzaskanie, jakby od zgryzania kości, a co jakiś czas pisk lub skamlanie, które zaraz cichło. Nagle stało się dla Amosa jasne, dokąd go zagnało przy użyciu czarów Fausta – do zamierzchłych, prehistorycznych czasów. Bardzo się bał, bo czuł potworny strach ludzi, którzy żyli tutaj, gnieźdząc się w ziemnych jamach.

Wtedy ziemia pod jego stopami znów zaczęła się ruszać, ale tym razem przemieszczał się w czasie do przodu, z równie zawrotną prędkością, co przedtem. Jednak już po krótkim czasie świat wokół niego ponownie zatrzymał się w miejscu, a on znalazł się na powrót w strasznie

gęstym lesie. Zrozumiał, że był to ten sam las, co uprzednio, tylko że wiele setek pokoleń później. Tam, gdzie początkowo były tylko krzaki, wykrzywione grymasem gęby i zgroza zgryzająca kości, znajdowała się teraz wioska z lepiankami, grządkami i okrągłym placem pośrodku. Siedziały tam razem w kucki grupy mężczyzn i kobiet, a małe dzieci oraz półdzikie psy skakały i ganiały się. Za wsią jednak była ściana skalna z jaskinią w połowie jej wysokości, a w wejściu siedział w kucki młodzieniec z nastroszonymi włosami, na wpół nagi, z biodrami przepasanymi kawałkiem kosmatej skóry niedźwiedzia. Tenże młody mężczyzna wyglądał zupełnie jak on, Amos von Höhenstein. Miał te same czarne włosy, jasne oczy, tę samą dryblasowatą sylwetkę. Siedział w jaskini z rękami na udach, a otwarte dłonie miał zwrócone ku górze. Jego oczy były zamknięte, ale zdawał się delikatnie uśmiechać, jakby potrafił dostrzec wiele różnych rzeczy, które były niewidoczne dla ludzi, tam na dole przy szalaszach. Amos zrozumiał, że ten chłopak, wyglądający całkiem tak jak on, rozmawiał z duchami.

Ziemia pod jego stopami znów zaczęła pędzić do przodu z zawrotną prędkością, tak że wszystko wokół niego ponownie rozmyło się we mgle. A gdy po chwili mógł cokolwiek zobaczyć, okazało się, że znalazł się w Rogdr. Jakiś mężczyzna kroczył przez gaj, a za nim podążała gromada młodych strażników i strażniczek. Ten mężczyzna był najwyższym magiem i kapłanem w sanktuarium, a wyglądał tak, jak Amos wyglądałby za piętnaście lub dwadzieścia lat. Jego włosy były nieco przerzedzone, sylwetkę wciąż miał dryblasowatą, a wokół oczu i ust rysowało się kilka zmarszczek. Mag uniósł swoją lewą rękę, w której trzymał kijek pokryty wyrytymi znakami.

W blasku słońca znaki odbijały się w liściach buków, a były to dokładnie takie same znaki, co na kiju maga, tyle że powiększone do ogromnych rozmiarów.

– *Llóma – fdrd – móhagdr* – zawołał melodyjnie monotonnym śpiewem. – Już nigdy nie staniemy się na powrót tacy, jakimi byliśmy we wcześniejszym życiu. Bo w każdym stworzeniu duchy mieszają się w niepowtarzalny sposób. Jednak w niektórych rodach pewne duchy mieszają ze szczególnym upodobaniem. Tak powstały wielkie rodziny magów, w których sztuki przekazywane są z pokolenia na pokolenie.

Wydawało się, że Faust patrzy teraz prosto na Amosa, ponad otchłanią czasów. Gdy spojrział w bok, Amos podążył za jego wzrokiem i zobaczył mnóstwo dzieci bawiących się tam między bukami w podszyciu lasu. I znów jedna z małych dziewczynek swym wyglądem przypominała go z czasów, gdy on sam był jeszcze dzieckiem, a jeden z małych chłopców miał zielone oczy Klary, jej księżycową skórę i jasne blond włosy. Amos pojął, że były to te same



osoby, które potem spotkał jako strażników w Rogar, a następnie ziemia pod jego stopami znów zaczęła pędzić i wszystko się rozmyło w mglistą papkę. A gdy świat dookoła niego ponownie zatrzymał się w miejscu, był z powrotem w przedpokoju nadwornego kapelana i siedział na ławce w wykuszu obok Klary, która patrzyła na niego z zatroskanym uśmiechem.

– *Wszystko w porządku, Amosie?*

Czuł w sobie straszny chaos i niepokój, a gdy rozejrzał się po pokoju, wydawało mu się, że widzi wszędzie na ścianach jeszcze niewyraźne pozostałości po ogromnych, lustrzanych oczach Fausta.

– *Ja...* – zaczął i zaraz urwał w środku zdania. Już samo to ja wydało mu się nagle bezsensowne. Cóż to miałyby być za ja, skoro zrodziło się ze zmieszania wielu różnych duchów? Które z pokolenia na pokolenie wcielały się w potomków jednego rodu, ale mimo całego tego ludzającego podobieństwa twarzy i postaci powracają zawsze tylko one, duchy?

– *Kręci mi się w głowie. Gdzie on się podział?*

– *Faust? Jest znów w środku u nadwornego kapelana. Zaraz poproszą nas do gabinetu, tyle zdążył jeszcze powiedzieć, zanim zniknął za drzwiami. Nie pamiętasz?*

– *Nie, chociaż może jednak coś pamiętam.* – Potarł sobie oczy i czoło rękami. – *Dał mi odczuć swoją moc – moc duchów.*

– *Co masz na myśli?*

– *Sam nie wiem dokładnie.* – Uśmiechnął się do niej. Stopniowo odzyskiwał jasność myślenia. Tylko budzące jego lęk oszołomienie, jakie odczuwał w swym wnętrzu, wciąż nie chciało ustąpić.

– *Amos von Höhenstein?* – Przez tylne drzwi wszedł do środka wysoki i chudy mężczyzna, który miał może nieco ponad dwadzieścia lat. Na jego twarzy, której bladość wskazywała, że jest wątłego zdrowia, widniał egzaltowany uśmiech. Z jego czarnej szaty wystawał u góry kołnierz, sztywny i biały jak całun. – *Przypadł mi zaszczyt zaprowadzenia was i waszej towarzyszki do wielmożnego nadwornego kapelana.* – Już w drodze do środka wyciągnął ku Amosowi obie ręce. – *Jestem Paul Lautensack, organista i jeden z waszych największych wielbicieli.* – Uścisnął dłoń Amosa i objął ją jednocześnie lewą ręką. Jego usta formowały się podczas uśmiechu tak, że przywodziły Amosowi na myśl dąsające się dziecko.

– *A wy musicie być Klara Thalgruber.* – Lautensack skinął głową w jej stronę i zaraz ponownie obrócił się do Amosa. – *Nawet nie możecie sobie wyobrazić, jak my się tu o was baliśmy. Ach tak, jeszcze jedna prośba, zanim zjeździemy na dół: sam biskup będzie obecny i nie*

chcemy go... jakby to najlepiej wyrazić – chcemy mu oszczędzić wszystkich zmartwień. Przez cały tydzień był na soborze reńskim. Najświeższe wiadomości z urzędu Kirchenlamitz chyba jeszcze do niego nie dotarły – tym lepiej dla was, dla nas i dla książki. – Jego głos miał aksamitną nutkę, jednak mówił tak powoli, że człowiekowi zaczynały puszczać nerwy, gdy go słuchał.

– Szczerze wyrazy współczucia, panie Amosie – dodał i posłał mu serdeczne spojrzenie. – Jestem pewien, że rozumiecie.

Nie, nie rozumiem niczego, cisnęło się Amosowi na język – mnie też nie oszczędzono żadnych zmartwień. Spalono mi rodziców, zasztyletowano siostrę, a łowcy ksiąg gнали nas przez pół kraju, zmuszając do walki na śmierć i życie. Ale stłumił w sobie wszystkie zarzuty.

Chudy i wysoki organista poprowadził ich przez drzwi, przez które wszedł uprzednio mag Faust. Gabinet nadwornego kapelana był jasnym, wygodnie urządzonej pomieszczeniem – z fotelami przed kominkiem, małą biblioteką we wnęce i klawikordem stojącym tuż obok.

– Na wyraźne życzenie jego eminencji biskupa – powiedział Paul Lautensack z uśmiechem proszącym o wyrozumiałość – nasze zebranie odbędzie się pod ziemią. – Wskazał na wąskie drzwi w tylnej ścianie. – W pomieszczeniu, które służyło za kaplicę podczas oblegania pogan za czasów biskupa Ottona, a więc około czterysta lat temu – dodał powoli. – Tylko proszę, nie dawajcie wiary temu, że zawsze się spotykamy w takich uświęconych miejscach. Ale wielmożny Georg ma po prostu takie życzenie. Pozwolicie, że – pójdę przodem?

W wykuszu stał pulpit, na widok którego Amos poczuł ukłucie. Kapelan nadworny Senft mógł tu, jak zawsze, spokojnie czytać i pisać przy pulpicie. Tymczasem skryptorium Kronusa dawno już strawiły płomienie, a sam mędrzec pewnie już nie żył.

Amos przełknął i tę gorzką myśl i poczuł na sobie wzrok Klary.

– *Wcale mi się to nie podoba, że musimy zejść do tej krypty.* – Wskazała głową na chudego i wysokiego organistę, który przechodził właśnie przez drzwi obok klawikordu. Oświetlone przytłumionym światłem dochodzącym z płomienia świecy, wąskie, kręte schody, prowadziły do podziemi. – *Jeśli coś pójdzie nie tak, znajdziemy się tam na dole w potrzasku.*

DAWNA KAPLICA PIWNICZNA była pozbawionym wszelkich ozdób, mrocznym pomieszczeniem o niskim sklepieniu. Trąciło tu wilgotnym kamieniem i czarnym od sadzy, gęstym dymem unoszącym się z zatkniętych na ścianach pochodni. Stół o ośmiu kątach, wraz z taką samą liczbą krzeseł, którymi był otoczony, stanowił prawie całe umeblowanie pomieszczenia. Przed jedną ze ścian stała jeszcze tylko oblepiona robakami, najwidoczniej bardzo stara skrzynia z zardzewiałymi okuciami, a tuż nad nią wisiał ogromny krucyfiks, który również zdawał się mieć kilkaset lat.

W chwili, gdy Paul Lautensack wchodził z Amosem i Klarą do dawnej kaplicy, przez drzwi naprzeciwko wkroczył do środka korpulentny mężczyzna w purpurowej todze. Na głowie miał złotą czapkę, która wyglądała prawie jak aureola. Lautensack wziął Amosa pod ramię i pociągnął go w stronę tego olbrzyma.

– Wasza Łaskawość – powiedział to jest Amos von Höhenstein, który przybył, by przekazać wam to poetyckie dzieło i zaświadczyć o jego miłemu Bogu działaniu.

Wszystkie drzwi zamknęły się dokładnie w tym momencie, jakby za sprawą jakiejś niewidzialnej mocy. Księżę biskup spojrział na Amosa nadzwyczaj wielkimi, żabio wybałuszonymi oczami. Jak Faust, używał imienia Georg, i podobnie jak mag, miał około trzydziestu lat, jednak trudno byłoby znaleźć dwie tak różniące się od siebie osoby, jak ci dwaj mężczyźni. Biskup był masywnej postury, oczy miał mokre, twarz – sinoczerwoną. Jego mięsiste usta poruszały się bez ustanku z cichym mlaskiem. I za każdym razem, gdy biskup robił wydech, głośno nadymał policzki.

– Bardzo pięknie, bardzo pięknie – powiedział z taką intonacją, jakby śpiewał psalmy, i podał Amosowi dłoń z pierścieniem biskupim – szerokim złotym pierścieniem z rzucającym się w oczy wielkim czerwonym rubinem, zatopionym w tłuszczu jego palców.

– *Musisz ucałować pierścień, Amosie. Albo przynajmniej udać, że to robisz.*

Z oporami Amos pochylił się w stronę pierścienia, uformował usta w dzióbek i szybko

podniósł się z powrotem.

– A to jest Klara Thalgruber, Wasza Eminencjo. Bez jej wsparcia już dawno straciłbym książkę. – Wziął Klarę za rękę i przyciągnął ją do siebie.

– *Teraz możesz mu oblizać ten jego pierścień.* – Klara ukloniła się i nienagannie dygnęła, a następnie chuchnęła, składając pocałunek na osadzonym w tłuszczu rubinie, po czym z uśmiechem na ustach ponownie się wyprostowała.

– Jak to, straciłbyś książkę? – Chciał się dowiedzieć biskup i patrzył na Klarę, wydmuchując powietrze.

– A więc, Eminencjo, mamy teraz niespokojne czasy. – Wmieszał się starszy już mężczyzna o pooranej zmarszczkami twarzy.

– Ulice i gospody pełne są złodziei. Kto się nie ma na baczności, szybko traci cały swój dobytek. – Był to mężczyzna o wątej postaci, który miał na sobie ściśle przylegające do ciała, szare ubranie. Siedział przy stole wraz z Faustem i jeszcze jednym mężczyzną w sutannie, i podniósł się, jak inni, gdy biskup wszedł do środka. Tym mężczyzną w średnim wieku, pomyślał Amos, musi być chyba nadworny kapelan Eberhard Senfit, wielki wielbiciel Trithemiusa.

Biskup skinął głową i poruszał ustami, cicho mlaszcząc.

– Pozwólcie, że się przedstawię. – Podstarzały człowieczek zwrócił się do Amosa. – Michael Wolgemut, artysta malarz z Norymbergi, mój uczeń Hans Wolf przyjmował was na promie. – Chwycił rękę Amosa i popatrzył przy tym na niego z powagą, wręcz uroczyście. – Muszę przyznać, młody panie, że ostatniej nocy nie mogłem zmrużyć oka, radośnie oczekując, aż wreszcie zobaczę was i cudowną książeczkę.

– My również odczuwamy ulgę, że poradziliśmy sobie z tym trudnym zadaniem – zapewnił Amos.

– Trudnym? – dociekał biskup. – Cóż innego, oprócz złodziei, dręczyło was w waszej podróży? Należałoby raczej przypuszczać, że była to ekscytująca wędrówka, uskrzydłona lekturą i dobrymi mocami, których powinna wam dodać.

– I tak też z pewnością było. – Tym, kto to powiedział, był mężczyzna w sutannie, który właśnie do nich podszedł. – Nasz młody przyjaciel chciałby się chyba tylko upewnić, że należycie docenimy nie tylko cudowne moce tej książeczki, lecz także jego własny wysiłek. Jednak o to możecie być spokojni, Amosie von Höhenstein.

Podał Amosowi prawą rękę, nie odwzajemniając jednak uścisku. Amos pośpiesznie puścił słabą dłoń nadwornego kapelana. Eberhard Senft wyglądał na wskroś niepozornie, był przeciętnej

postury, w średnim wieku, a jego wąską, bladą twarzą zapominało się, gdy tylko odwracało się do niego plecami. Za to nie sposób było zapomnieć jego głosu, co jednak nie powinno zbyt dziwić w przypadku nadwornego kaznodziei. Była w nim wibrująca nutka, zapewniająca mu natychmiastową uwagę wszystkich obecnych i nadająca jego każdej, nawet najbardziej przypadkowej wypowiedzi, dramatyczny ton.

– A teraz podajcie eminencji manuskrypt – dodał Senft – a potem dajcie nam pokaz miłych Bogu sztuczek magicznych, któreście sobie przyswoili, czytając księgę.

Już my wam damy pokaz, pomyślał Amos. Ale wyobrażenie, że miałby się rozstać z *Księgą duchów*, sprawiało mu ból, jakiego nie zaznał jeszcze kiedykolwiek wcześniej.

Panowie zasiedli teraz wszyscy za stołem. Amos i Klara też chcieli zająć miejsce, ale Paul Lautensack dał im znak, że mają dalej stać. Pięć par oczu pełnych oczekiwania, w tym jedna para oczu niebiesko płonących i jedna para oczu wybałuszonych jak u żaby, spoglądało na Amosa, który wyjmował właśnie z kamizelki księgę w czarnej oprawie, by położyć ją na stole przed księciem biskupem Georgiem.

Biskup patrzył i dyszał. Jego grube dłonie leżały rozłożone po obu stronach księgi, ale najwidoczniej nie mógł się od razu zdecydować, czy podnieść manuskrypt i go otworzyć. Jego usta otwierały się i zamykały na przemian. Tak uważnie patrzył w dół na książkę, że oczy wybałuszały mu się jeszcze bardziej niż zwykle.

– Naszym zamiarem było – powiedział powoli, prawie zaklinająco – oddzielenie tego, co ze starych sztuk dobre jest i godne ocalenia, od siejących zamęt pogańskich, diabelskich sprawek oraz zbłądzeń, a następnie przelanie tego destylatu do bezpiecznego naczynia, w którym nie wyrządzi żadnych szkód – a więc właśnie w poetyckie dzieło. Czy zgadzacie się ze mną, kapelanie?

– Jak zawsze w niedościgniony sposób formułujecie swoje myśli, Wasza Łaskawość – odpowiedział Senft, a powiedział to z taką intonacją, jakby stał na ambonie i wołał: „Hosanna, Zbawiciel" jest blisko!”.

Biskup nadął policzki.

– A tym godnym zachowania dobrem jest w pogańskiej magii – ciągnął tym samym zaklinającym tonem jak dotąd – dar empatii, dar wczuwania się w bliźnich, odczuwania wraz z nimi i rozumienia ich myśli. Jednym słowem, kto czyta tę książeczkę, ten w przyszłości o wiele lepiej i chętniej będzie okazywał miłość bliźniemu, której wymaga od nas wszystkich Zbawiciel. Bo to jest jedyny czarodziejski dar podobający się naszemu Panu w niebie. Czy zgadzacie się ze

mną? – Powiódł oczyma dookoła i tym razem jego wzrok spoczął na mistrzu Wolgemucie.

Malarz pośpiesznie przyznał mu rację.

– Jedyne miła Bogu magia, Wasza Łaskawość. Jeśli będziemy dodawać tego łagodnego czaru jako przyprawy do naszych dzieł sztuki, to nie zadziała on inaczej niż tylko kojąco na serca i dusze.

Jeszcze w czasie gdy mistrz Wolgemut przemawiał z takim namaszczeniem, w *Księdze duchów* dokonana się przemiana. Czarna skóra królicza już dawno straciła połysk, była matowa i pokryta plamami. Cała sterta pomiętych kartek, wyrwanych do połowy z grzbietu, zwisała z okładki jak język zziąjanego zwierzęcia. Ale tak było już od dłuższego czasu, co wynikało z piętrzących się podczas ucieczki przeciwności, kiedy to książka omal nie utonęła w rzece, a później znowu prawie strawiły ją płomienie. Jednak metamorfoza, którą książka przechodziła tym razem, była innego rodzaju.

Dobywał się z niej syk, jakby szepcące głosy, któremu towarzyszyły drobne języki ognia buchające z jej oprawy. A może Amos tylko to sobie uroił? Gdy przyjrzał się uważnie księdze, przez dłuższą chwilę znów wyglądała niepozornie. Ale gdy tylko na krótko odrywał od niej wzrok, znów rozpoczynało się szeptanie i buchanie płomieni ognia.

– *Czy też to widzisz, Klaro?* – Ta stała wtedy po drugiej stronie ośmiokątnego stołu, Paul Lautensack pokierował nią tam subtelnymi gestami.

– *Sądzę, że ma to jakiś związek z biskupem* – odpowiedziała mu. – *Za każdym razem, gdy chce ją wziąć do ręki, wszystko zaczyna się od nowa.*

Biskup tępo gapił się przed siebie na stół. Wydmuchał powietrze z płuc i już po chwili chwycił oburącz za książkę. Przez jakiś czas ścisnął ją kurczowo, a jego sztywne postawa przywodziła na myśl mężczyznę, który złapał jadowitego węża. Następnie rzucił precz książkę i znów wydmuchał z płuc powietrze. Książka upadła na środek stołu z trzaskiem. Wszyscy popatrzyli na nią nieruchomym wzrokiem, ale nikt jej nie podniósł.

– A teraz pokaz! – powiedział Eberhard Senft takim tonem, jakby ich wszystkich właśnie beatyfikowano. – Przygotowaliśmy parę kartek. Jeśli mogę prosić. – Dał znak swojemu organiście.

Paul Lautensack wstał i wyjął z kieszeni zapisaną kartkę, z którą podszedł do Klary.

– Tu napisałem dla was kilka zdań, panienko – powiedział to tak powoli, że ledwo można było to wytrzymać. – Zapamiętajcie sobie to dobrze, a później przekażcie w myślach tę informację swemu zacnemu sojusznikowi, przekażcie we właściwym, pobożnym znaczeniu tego

słowa.

– *Tylko spokojnie, mój wybrańcu.* – Klara uśmiechnęła się w jego stronę ponad głowami zebranych. – *Prowadzą nieuczciwą grę – z biskupem i z nami. Ale musimy brać w niej udział, nie mamy inny wyjścia.*

Amos zdawał sobie sprawę, że przynajmniej czarownik Faust będzie mógł śledzić wszystko, co Klara i on będą sobie wzajemnie przekazywali na drodze telepatii. I prawdopodobnie również „papież ksiązek” Trithemius, który przebywał daleko stąd w swoim klasztorze, będzie wszystko śledził, używając magii. Jednak sam Amos nie mógł – wbrew usilnym staraniom – całkowicie opanować swego gniewu.

– *Oni nie są tego warci, Klaro. Ale masz rację, nie pozostaje nam nic innego.*

Spojrzała na niego zaklinająco.

– *Nigdy przedtem w moim życiu nie czułem takiej bliskości Boga jak w dniach naszej wędrówki z Wunsiedel do Bambergu. Nigdy nie zapomnę, jak moja dusza radowała się na widok każdego kosa, każdego pawiego oczka, każdego maleńkiego chrząszcza pelzającego na skraju drogi. Wgłębi serca czułam wtedy, że Pan w niebiosach kocha całe swoje stworzenie i nigdy nie pozwoli na naszą zdradę.*

Amos gapił się ponad głowami biskupa i bractwa w stronę Klary. Na głowie księcia Kościoła połyskiwała złota piuska, jakby co najmniej sklepieniem swej czaszki należał już do zaświatów. Wszyscy skierowali wzrok na Amosa, a Paul Lautensack uśmiechnął się do niego z pełną egzaltacji nadąsaną miną. Poważnie i uroczyście spoglądał na niego stary malarz, ogniście – magik, biskup zaś gapił się na niego żabim wzrokiem, wydmuchując przy tym powietrze z płuc.

– A więc, młodzieńcze, zaśpiewajcie na chwałę Pana – wytrąbił kapelan.

– *Nie mogę, Klaro. Czuję się, jakbym miał zdradzić Kronusa, Ode, moich i twoich rodziców. Dlaczego oni wszyscy musieli umrzeć, czy po to, abyśmy dali tu pokaz pobożnego oszustwa.*

– A więc – doszedł głos mlaskającego biskupa – zdaje się, że pokaz się nie całkiem powiódł. A może zacniemy lepiej od czegoś łatwiejszego?

– Doskonały pomysł, Wasza Łaskawość – wytrąbił kapelan, a zabrzmiało to co najmniej jak „Błogosławionaś Ty między niewiastami!”. – Paulu, wymień kartki.

– Nie ma takiej potrzeby, duchowi bracia. – Amos popatrzył nieruchomym wzrokiem na ksiązkę. Żaden szept, żaden język ognia nie dobywał się już z jej wnętrza, odkąd biskup ją

odrzuć. Ale mimo to ciągle patrzył tylko na książkę, nie chciał patrzeć na nikogo w pomieszczeniu – nie patrzył nawet na Klarę, która teraz pewnie próbowałaby go odwieść od jego zamiarów. – Już dawno dotarła do mnie wiadomość – kontynuował – i zaczyna się następująco: „Nigdy wcześniej w moim życiu nie czułem takiej bliskości Boga”, i tak dalej. Ale żadne z tych słów nie jest prawdziwe. – Oderwał wzrok od książki o duchach i zmusił się do tego, by spojrzeć na biskupa. – Czy chcecie wiedzieć, panie, co zamiast tego przeżyliśmy i wycierpieliśmy?

Biskup trzymał teraz ręce złożone przed sobą na stole. Siedział całkiem spokojnie, tylko jego usta i szczęki były w ciągłym ruchu, jak miech.

– Złodzieje – wyrzucił. – I co jeszcze?

I znowu oczy wszystkich skierowały się na Amosa, także płomienny wzrok Fausta. Magik był jedyną osobą, która mogłaby go jeszcze powstrzymać, ale Faust skrzyżował ramiona przed szeroką klatką piersiową i patrzył na niego wyczekująco, a może nawet wyzywająco.

– *Amosie, rozumiem twój gniew aż za dobrze – napomniała go Klara – ale proszę cię, zastanów się, co chcesz mu opowiedzieć. Milcz o wszystkim, co się 'wydarzyło w Höhenstein. Jeśli wspomnisz o inkwizytorze, to nawet sam biskup nie będzie mógł nas już dłużej chronić.*

– *Sądzę, że i tak nie ma takiego zamiaru – ani on, ani tym bardziej inni. Im chodzi wyłącznie o książkę.*

Zaczerpnął głęboko powietrza i znów spojrzął na biskupa.



## 8

– MACIE DZIŚ Z PEWNOŚCIĄ wiele zadań do wykonania, panie – zaczął Amos – i gdybym chciał wam opowiedzieć wszystko, co musieliśmy znieść w ostatnich dniach, to utknęlibyście tutaj aż do późnego wieczoru. Dlatego wybrałem tylko jeden epizod, tak jak to nakazują reguły sztuki opowiadania. Wiecie przecież na pewno, gdzie jest pogańska kopa?

Biskup wydmuchał powietrze z płuc.

– Oczywiście, młodzieńcze. Znam każdy pagórek w moim księstwie, nawet jeśli upłynął kawał czasu, od kiedy wspinałem się na tamto wzniesienie po raz ostatni.

– Tam na górze – ciągnął Amos – odwiedziliśmy pogańskie sanktuarium o nazwie Rogdr. Pojechaliśmy...

– Bzdura! – przerwał mu biskup krzykiem. – To diabelskie zmieszanie! – Podniósł złożone ręce i grzmotnął nimi o stół.

– Utrzymujecie, że widzieliście tam na górze pogański gaj? Diabeł was zaślepił! To miejsce zostało zniszczone ponad czterysta lat temu, kapłani bożków zostali ochrzczeni. Mamy nawet w zamku szacowny obraz, który przedstawia nawrócenie ostatnich tutejszych pogan.

– Dopiero co widziałem ten obraz – odparł Amos – a mimo to jeszcze trzy dni temu byliśmy z Klarą na górze w Rogar. Agresorzy wdarli się do świętego gaju, zabili strażników i wszystko podpalili. Sami omal nie zginęliśmy w płomieniach.

Biskup gapił się na niego z otwartymi ustami. Próbował wstać, jednak najwyraźniej nie znalazł w sobie wystarczającej siły i opadł z powrotem na krzesło.

– Senfcie, na litość boską! – Zwrócił się do nadwornego kapelana, wciąż jeszcze prawie krzycząc. – Czyż nie ostrzegano nas, że ta książka poraża czytających ją ludzi szatańskim zaślepieniem? Że dla każdego, kto skosztuje jej czaru, świat zamienia się w przerażający chaos? Zawsze mnie zapewnialiście, że nic z tych rzeczy nie może się wydarzyć – i co powiecie teraz?

Nadworny kapelan spojrział na niego nieobecny wzrokiem. Zdawał się wsłuchiwać w siebie, a może odbierał też wiadomość od Trithemiusa, „papieża książek”.

– Co ja na to? – wytrąbił po chwili. – Chłopak robi nas w konia, nie ma powodu do niepokoju, Wasza Łaskawość. Wystarczy już tego – zbeształ Amosa. – A może sami chcecie się kompletnie zbłąźnić? Przypadkowo mamy właśnie w tym pomieszczeniu niezbity dowód. Paul – zwrócił się do organisty – przynieś no pogański flet ze skrzyni.

Lautensack zerwał się z miejsca i zaczął krzątać się przy oblatzłej robakami skrzyni. Wieko otwarło się z rdzawym piskiem, a ze środka powiało zapachem prastarego kurzu i rupieci. Zaraz potem błądy muzyk trzymał w ręce popielaty rekwizyt, który położył przez kapelanem na stole.

Była to jedna z wydrążonych kości, które Amos widział w Rogar. Strażnicy nosili takie dmuchawki, a do tego kołczan z pierzastymi strzałami na plecach. Jednak do tej dmuchawki nie była przymocowana żadna koaliczyjka, lecz złoty łańcuch. Wisiała na nim mosiężna tabliczka z napisem: *„Broń kapłana pogańskich bożków z gaju Rogar pod Wunsiedel, doszczętnie zniszczonego z niebiańską pomocą w Roku Pańskim 1089”*.

Amos wziął dmuchawkę do rąk.

– Skoro ten napis nie kłamie – powiedział – to jak to możliwe, że trzy dni temu napotkaliśmy tam z Klarą strażników, którzy mieli przy sobie dokładnie taką samą broń? – Obracał wydrążoną kość w tę i w tę. Był na niej wyryty szereg znaków i choć wciąż nie potrafił odczytać starego pisma, zdążył się już dowiedzieć, co te znaki oznaczały. – *Llóma – fdrd – móhagdr* – wymamrotał Amos.

I jeszcze w czasie, gdy wypowiadał ostatnią sylabę, został porwany z piwnicy wraz z dmuchawką z kości. Miał straszne zawroty głowy, gdy znów wciągało go do przeszłości. Przemierzał wszystkie epoki tak prędko, że wszystko wokół niego rozmywało się w mgłę. A gdy świat dookoła niego znów się zatrzymał, był ponownie w gaju Rogar.

Dokładnie tak, jak na wypłowiałym malowidle ściennym, strażnicy z Rogar klęczeli w długim rzędzie na ziemi. Ich twarze były zwrócone w górę ku mężczyznom, którzy stali przed nimi, ale twarze te nie były wykrzywione z zachwyty z powodu nawrócenia, lecz były zniekształcone zwierzęcym lękiem. A pośrodku nich klęczała młoda strażniczka wyglądająca dokładnie tak, jakby była kobiecym, lustrzanym odbiciem Amosa.

Ten wpatrywał się w nią i miał wrażenie, że kobieta jakimś sposobem będzie potrafiła go dostrzec. Czuł, że byli ze sobą powiązani magią, nie byli do końca jednością, nie byli też do końca od siebie oddzieleni. Wodziła dookoła płonącym wzorkiem, jakby kogoś szukała, ale najwyraźniej nie mogła go dostrzec. A i on nie mógł niczego uczynić, aby uratować życie jej lub

młodemu strażnikowi, który klęczał tuż obok niej, spoglądając zielonymi oczami Klary w górę na swego oprawcę.

Przed każdym klęczącym strażnikiem stał jeden rycerz z uniesionym mieczem. Dokładnie jak na wypłowiałym malowidle, i tutaj obecny był ksiądz w złocistym habicie, jednak nie błogosławił ani nie chrzczył pojmanych pogan. Stał tak po prostu nieruchomo, kilka kroków powyżej klęczących, i przyglądał się, jak mnisi chodzili po całym gaju od drzewa do drzewa i podpalali pochodniami święte buki.

W końcu uniósł prawą rękę.

– Wyślijcie ich do piekła – powiedział. I właśnie w tym momencie dane było Amosowi otrząsnąć z paralizującego przerażenia, które go wcześniej owładnęło. Poderwał w górę dmuchawkę z kości i nakreślił nią w powietrzu zawijas, tak jak to zaobserwował u Karola. Po chwili rycerze opuścili ze świstem swoje miecze, a Amos znów został porwany z Rogar, zaledwie krótką chwilę przed tym, zanim ostrze zanurzyło się w karku jego kobiecego, lustrzanego odbicia. Wokół niego wszystko znów rozmyło się w bladej mgle, a gdy wirujący świat się zatrzymał, znalazł się ponownie w dawnej kaplicy piwnicznej pod zamkiem biskupa.

Wszyscy gapili się na niego z bladymi i powykrzywianymi twarzami. Amos potarł się po karku i również patrzył nieruchomym wzrokiem na zgromadzonych. Biskup już nie stał, Klara przestała oddychać, kapelan nie grzmiał już, a organista nie miał już nadąsanej miny, a i u malarza Wolgemuta nie można było już dostrzec żadnych śladów uroczystego skupienia.

Faust, jako jedyny spośród zgromadzonych, siedział nadal nieprzyzwoicie wręcz opanowany ze skrzyżowanymi rękami.

Amos pojął, że wszyscy wraz z nim – i dzięki niemu – zobaczyli, co tak naprawdę wydarzyło się w Rogar w Roku Pańskim 1089. Chrześcijańscy księża i rycerze nie nawrócili wówczas strażników, lecz w okrutny sposób wyrznęli wszystkich do nogi. I dopiero teraz zrozumiał w pełni, że cały ten świat, który zobaczył z Klarą w Rogar, upadł wiele tysięcy lat temu. Jednak szczególnie zdziwiło go to, że podczas ich pobytu w pogańskim gaju oboje jednocześnie pozostawali sobą – ludźmi żyjącymi w roku 1499, których ścigają łowcy książek aż do Rogar. I Amos przeczuwał, że to tajemnicze miejsce, w którym zamierzchła przeszłość mieszała się w tak zagmatwany sposób z teraźniejszością, należało do „innego wymiaru rzeczywistości”, jak wyraził się niegdyś o nim Kronus – do świata, który raczej nie istniałby bez *Księgi duchów*.

Dopiero gdy spuścił wzrok, przyszło mu na myśl, że nie trzyma już w ręku dmuchawki z

kości. Na podłodze leżał przed nim złoty łańcuch z mosiężną tarczą, jednak po pogańskiej dmuchawce z wyrytym napisem *Llóma – fdrd – móhagdr* nie było już ani śladu. Mgliście przypomniał sobie, że spłonęła, w chwili, gdy on został porwany z Rogdr – dokładnie w ten sam sposób, jak niedawno magiczny kijek Karola.

– *Amosie, musimy się stąd wydostać. Nie słyszysz, co krzyczy biskup?*

Powiódł oczami w stronę Klary, a potem w kierunku masywnego mężczyzny w purpurowej todze. Biskupowi udało się jeszcze podnieść z krzesła. Z obliczem już teraz bardziej niebieskim niż sinawoczerwonym wykrzyczał wszystko na jednym jedynym wydechu.

– Diabelskie zaślepienie! Od wielu lat wszyscy szydzą z niezmordowanego brata Leona Cellariego – tymczasem on od początku miał rację! To jest księga, której poszukuje od tak dawna – tej bluźnierczej szmiry wprawiającej w diabelskie zmieszanie każdego, kto ją przeczyta, wskutek czego nieszczęśnik widzi już tylko wykrzywione gęby i szaleńcze urojenia! I to tysiącokrotnie gorsze, niż przewidział to sam Cellari. Kto przeczytał diabelską księgę, ten wciąga wszystko wokół siebie w swój szatański wir, czego właśnie byliśmy świadkami. – Dysząc i łapiąc powietrze, z wywalonymi, budzącymi strach oczami, umilkł na chwilę, by głęboko nabrać powietrza. – Ale poczyniłem pewne kroki w kierunku zaradzenia zła – krzyczał nadal. – Straż, do mnie! Łapać tego szatańskiego chłopaka i diabelską księgę!

W niecałą sekundę otwarły się gwałtownie drzwi, przez które przedtem wszedł biskup, a do środka wpadł jak burza żołnierz o sumiastych wąsach pełniący właśnie wartę.

Amos rzucił w stronę Klary szybkie spojrzenie.

– *Wymkniemy się przez salę kominkową kapelana.* – Rzucił się do przodu, porwał księgę ze stołu i już szybko obracał się w stronę drzwi, przez które sami wcześniej weszli. Ale gdy był już prawie przy wyjściu, także i tu drzwi gwałtownie się otworzyły, a w progu stanął drugi żołnierz pełniący wartę, który otworzył im bramę zamkową. Podobnie jak jego wąsaty kolega dzierżył w ręku drewnianą pałkę.

– *To już koniec. Przez wzgląd na naszą miłość poddaj się, Amosie, bo inaczej cię zabiją!*

Jednak on nie zważał na jej słowa, lecz pobiegł tak rozwścieczony w stronę starszego strażnika, jakby zamierzał przebić się przez niego na wylot. Mężczyzna podniósł pałkę, ale Amos chwycił go za rękę, wskutek czego żołnierz nie mógł go nią uderzyć. Zgodnie z jego przewidywaniami, nadbiegł teraz i wąsacz, by udzielić wsparcia koledze.

I tym razem Amosowi udało się jeszcze im wyrwać. Ponad głowami wszystkich zgromadzonych rzucił Klarze księgę o duchach.

*– Ratuj ją, siebie sam....*

Dalej nie zrobił już ani kroku. Pałka z trzaskiem opadła na jego potylicę. I jeszcze zanim runął na ziemię, zrobiło mu się ciemno przed oczami.

## 9

KLARA PRZESKOCZYŁA PRZEZ PRÓG na zewnątrz, szybko się obróciła i zatrzasnęła za sobą drzwi. U drzwi znajdował się masywny rygiel, który wepchnęła rozgorączkowanymi palcami w zamek, zaledwie dwie sekundy przed tym, jak ktoś z wewnątrz uderzył o ich powierzchnię. Znów szybko się obróciła – była teraz w wąskim, murowanym korytarzu, który rozświetlały ponuro zatknięte w ścianach pochodnie.

Zaczęła biec, a *Księga duchów* podskakiwała nieco za każdym krokiem pod jej ubraniem. Nie czuła zgoła niczego, tylko obojętność i determinację. Musiała uciec z zamku, zanim strażnicy podniosą alarm, wszystko inne nie miało teraz znaczenia. Musiała uratować książkę, bo tylko dzięki niej mogła uwolnić Amosa. Stało się to jasne dla nich oboje w chwili, gdy Amos rzucił w jej stronę książkę o duchach, a ona złapała ją jak spadającego ptaszka.

Ale która droga wyprowadzi ją z twierdzy możliwie najszybciej i niepostrzeżenie? Co parę kroków kolejne korytarze rozwidlały się w prawo lub w lewo. Wydawało się, że zamkowe podziemia przecinano niezliczonymi tajnymi korytarzami. Schody prowadziły w górę na powierzchnię lub jeszcze bardziej w głąb góry. Niektóre korytarze były szerzej rozbudowane i lepiej oświetlone niż inne, ale który spośród nich był właściwy? Jeśli jeszcze nie straciła orientacji, to musiała się znajdować mniej więcej w połowie drogi między kaplicą piwniczną a starą główną wieżą zamku i kierowała się właśnie w stronę północnych murów obronnych.

Wtedy nagle usłyszała gdzieś za swoimi plecami kroki. Zatrzymała się z mocno walącym sercem i desperacko usiłowała uspokoić swój oddech. Tuż obok niej we wnęce w ścianie płonąła pochodnia. Pomyślała, że w razie konieczności będzie musiała wyrwać ją z uchwytu i użyć jej jako ognistego miecza, aby odeprzeć atak napastnika.

Jeśli to w ogóle był napastnik, a nie tylko ktoś, kto przypadkowo przebiega tam z tyłu korytarzami. Ale czuła, że to nie był przypadek, że ktoś jej szukał i niepowstrzymanie się do niej zbliżał. Jego kroki już dudniły, już słyszała jego dyszenie i ciche przekleństwa, że jeszcze jej nie odnalazł.

Serce podskoczyło jej do gardła. Drżącą ręką sięgnęła po pochodnię i właśnie w tym momencie podążający za nią mężczyzna zatrzymał się przy rozwidleniu prowadzącym do jej korytarza. Dzieliło go od niej co najwyżej dwadzieścia kroków, jednak w migocącym świetle pochodni tylko niewyraźnie widziała jego twarz, a nawet jego sylwetkę.

Przekląła sama siebie za to, że zatrzymała się akurat koło pochodni, przy której stała oświetlona jak jakiś pomnik podczas pełni księżyca. Zostawiła pochodnię, obróciła się i zamierzała pobiec dalej w dół korytarza.

– Klaro! Zaczekaj!

To Hans Wolf szedł w jej stronę i w pierwszej chwili poczuła taką ulgę, że łzy napłynęły jej do oczu. Ale szybko je otarła. W żadnym wypadku nie mógł zauważyć, że uciekała przed strażnikami zamku.

– Co tu robisz tak zupełnie sama, Klaro? – Spojrzał na nią promiennym wzrokiem. – Od razu poznałem po krokach, że to możesz być tylko ty – są tak drobne i delikatne jak u anioła. – Znowu się nieco zaczerwienił. – Łatwo można pobłądzić w tym labiryncie, jeśli się nie ma przy sobie doświadczonego przewodnika.

Starala się beztrząsco uśmiechnąć. W tym samym czasie serce podskoczyło jej aż do gardła.

– A więc narada bardzo się przeciąga – mówiła prawie szeptem, starając się nadać swojemu głosowi konspiratorski ton. – Wyznam ci coś od razu, Hansie. Z tego też powodu pokłóciłam się trochę z Amosem. I dlatego chcę mu teraz napędzić strachu. Gdy się w końcu naradzi z panami, niech mnie daremnie szuka. Pomożesz mi w tym?

Oczy młodego malarza zabłysnęły pożądaniem.

– Moglibyśmy cię ukryć w mojej izbie. Chwilowo mieszkamy z Albrechtem z przodu zamku, w domu, aż do zakończenia prac w kaplicy.

– Myślałam raczej o gospodzie „Pod Dzikim Myśliwym”. W czasie gdy Amos będzie mnie szukał, przeczesując cały zamek, ja będę leżała na dole w cebrze i najspokojniej w świecie brała kąpiel.

Hans oblizał się.

– A więc dobrze, wchodzę w to. Ale ta droga nie prowadzi do tego domu, lecz do korytarza obronnego, który znajduje się nad najbardziej zewnętrznymi murami.

– Czy tamtędy nie można też jakoś wyjść na zewnątrz? Sam chyba rozumiesz, Hansie. Jeśli Amos będzie mnie szukał, a strażnicy doniosą mu, że wyszłam spacerowym krokiem przez

bramę, oczywiście od razu wpadnie na to, dokąd poszląm.

Malarz spojrział na nią spod zmarszczonych brwi. Najwyraźniej zmagaly się w nim lęk z pożądaniem, a Klara czuła się, jakby lada chwila ziemia miała zacząć płonąć pod jej stopami. Strażnicy na pewno dawno już zdążyli się wydostać przez drugie, otwarte drzwi i podnieśli alarm z przodu przed domem malarza. Ale ona nie mogła dać po sobie nic poznać, bo inaczej Hans straciłby całą swoją odwagę.

– Istnieje jeszcze jedna możliwość – powiedział z wyczuwalnym oporem – ale jest bardzo niebezpieczna i jeśli pomogę ci w ten sposób wydostać się na zewnątrz, to mogę mieć później poważne kłopoty. Uwiesiła się na nim i uśmiechnęła do niego obiecująco.

– Nie pożałujesz, obiecuję. Ale pośpieszmy się, Hansie. Nie mogę się już doczekać naszego sam na sam w mojej izbie.

Jeszcze nigdy dotąd nie rozmawiała z żadnym chłopcem w tak wyrachowany sposób i teraz sama ledwo mogła w to uwierzyć, że Hans dał się złapać na taki grubymi nićmi szyty podstęp.

Jednak on najwyraźniej wpadł już całkowicie w jej sidła.

– Obiecaj mi tylko dwie rzeczy, a wtedy ja zaprowadzę cię do gospody „Pod Dzikim Myśliwym” – powiedział ochrypłym głosem.

– Co takiego, drogi Hansie?

– Że Amos się o niczym nie dowie i że będę cię mógł namalować podczas kąpieli.

Tym razem trudno było stwierdzić, kto się bardziej zaczerwienił. Wtedy gdzieś daleko za ich plecami otwarły się z łomotem jakieś drzwi, a Klara szepnęła „obiecuję” i dała się w okamgnieniu pociągnąć w dół korytarza. Wiele razy skręcali w lewo i w prawo, aż w końcu dostali się na wąskie schody, które zdaniem Hansa prowadziły w górę do korytarza obronnego.

– Widzisz-wysapał, gdy znaleźli się już na górze na murach – dotrzymuję swoich obietnic.

– Pochylił się nad kalenicą muru, a Klara poszła w jego ślady. Stąd ich droga prowadziła co najmniej trzydzieści kroków pionowo w dół wzdłuż wału i skały. Między murami miasta a falującymi łąkami pszenicy ciągnęła się głęboko w dół wąska ścieżka, którą przybyli wczoraj od strony rzeki. W pewnej odległości Klara zobaczyła też ich gospodę, krzywy dom z pruskiego muru, zaszyty jakby między murami miejskimi a wzgórzem zamkowym.

Słońce stało wysoko na niebie. Po tym jak błąkała się w ciemnych korytarzach pod ziemią, jasne, ciepłe promienie słońca wydały jej się zupełnie nierzeczywiste. Ukradkiem spoglądała na lewo i na prawo – w zadaszonym korytarzu obronnym nie było ani strażników z



zamku, ani purpurowych wojowników.

– Ale jak tu się schodzi na dół? – spytała.

– To całkiem proste – powiedział Hans. – Siadasz tam w środku, a ja opuszczam cię ostrożnie w głąb doliny. – Wskazał na pleciony kosz, który zwisał pod ich stopami przy murze, a który swoim kształtem przypominał duży, wywrócony do góry nogami dzwon. Kosz był powiązany grubą jak ramię liną z wielokrążkiem, przymocowanym do otworu strzelniczego, który znajdował się u ich stóp. – Nie martw się – dodał, gdy dostrzegł jej pełne obaw zdziwienie. – Jeszcze wczoraj przewoziliśmy w tym koszu z Albrechtem całą bryłę marmuru na statwę, która ma przedstawiać biskupa. Możesz więc sobie wyobrazić, że to był dość spory blok. Kosz i lina na pewno nie zerwą się pod tak drobnym ciałem, jak twoje.

Klara odetchnęła głęboko i podała mu rękę. Nie miała innego wyboru. Wskoczyła więc na gzyms muru i jedną nogę wystawiła w stronę plecionego kosza.

– Tylko trzymaj mnie mocno, Hansie Wolfie – powiedziała – a nie będziesz musiał się obawiać gniewu Amosa. – Zadrzała, ale już po chwili uśmiechnęła się do niego tak obiecująco, że oczy zaszczyły mu żądzą.

## 10

– AMOSIE, PROSZĘ, DAJ MI JAKIŚ ZNAK!

Klara wsłuchiwała się w głąb swego serca. W nieznośnie wolnym tempie jej kosz osuwał się po ścianie skalnej w dół doliny. Od czasu do czasu zakołysał się, a potem znowu zahaczał o chropowatą skałę. Nieustannie skrzypiał nad nią wielokrażek.

– *Czuję, że żyjesz. Daj mi proszę odpowiedź, bo jeszcze umrę ze strachu.* Ale on jej nie odpowiadał, a gdy zamknęła oczy, widziała w swoim wnętrzu tylko tamto srebrzyste światełko, swoje osamotnione magiczne serce. Waliło i pulsowało w ciemności, a w jego pobliżu był jeszcze co najwyżej słaby, kurczowo drgający przecinek światła. Ale jak okiem sięgnąć, po Amosie nie było żadnego śladu.

Narastał w niej lęk o wiele szybciej, niż sama zsuwała się w dół w tym plecionym koszu. Ale raz za razem zwalczała swój strach – nie mogła teraz ulec panice czy przerażeniu tylko dlatego, że nie było przy niej Amosa.

Biskup wyda go inkwizytorowi – nie, nigdy do tego nie dopuszczę!

Leo Cellari osadzi go w więzieniu, będzie go torturował – ale, na wszystkie dobre duchy, do tego dojść nie może i nie dojdzie!

Klara tak mocno wahała się między obawami a nadzieją, że z początku nawet nie zauważyła, w jakie dzikie kołysanie wpadł kosz. Odchyliła głowę do tyłu. Wysoko nad sobą ujrzała czarną sylwetkę na tle jasnego, południowego nieba. Był to Hans Wolf, a koło niego stał drugi młody mężczyzna, wyższy i z długimi kręconymi włosami. Albrecht, pomyślała, to musi być tamten drugi uczeń – Albrecht Dlirer.

Obydwoje pochylili się nad murem i wołali coś na zmianę w jej stronę, ale niczego nie można było zrozumieć. Tymczasem jej kosz się uspokoił, a Klara rzuciła szybkie spojrzenie w dół. Była prawie u celu, może jeszcze tylko dziesięć stóp nad powierzchnią ziemi i nie rozumiała po prostu, czemu Hans nie kręcił dalej korby Kosz zwiślał teraz nieruchomo przed ścianą skalną, nie kołysząc się na boki ani nie opadając.

No pośpiesz się, Hansie, myślała, zaklinając go. Przypomnij sobie, co ci obiecałam. Ty i ja w mojej izbie całkiem sami.

Gdy spojrzała w górę, nie widać było już żadnego z mężczyzn, a zaraz potem znowu usłyszała skrzypienie wielokrążka. Dzięki Bogu, pomyślała. Lina zatrzęsała się i wprawiła kosz w drganie, a już po chwili i ją samą przeszyło o wiele jeszcze gorsze drzenie: ci dwaj idioci, tam w górze, naprawdę wciągali jej kosz z powrotem do zamku!

– *Na wszystkie dobre duchy, Amosie, co mam teraz zrobić* I tym razem nie otrzymała żadnej odpowiedzi, ale jej kosz nagle znów zaczął nabierać prędkości. Poruszał się w górę, rysując ścianę skalną – o wiele szybciej, niż Klara osuwała się w nim wcześniej w głąb doliny. Najwidoczniej obaj młodzi mężczyźni jednocześnie kręcili korbą.

Ale nie pozwoli, by ją tak traktowano – była Klarą Thalgruber, córką najwspanialszego spośród wszystkich wędrownych sztukmistrzów i nie pozwoli, by ci dwaj tak sobie nią kołysali w kółko. Wyprostowała się w chwiejącym się i uginającym koszu, uczepiła się jego przedniej krawędzi i gwałtownie się z niego wychyliła.

Pod naporem ciężaru jej ciała kosz w kształcie dzwonu wywrócił się do góry nogami, tak jak się tego spodziewała. Teraz zwisała pod dzwonem, z palcami wczepionymi w krawędź, i wyciągnęła się tak bardzo, jak tylko mogła.

– *Lece, najdroższy Amosie.*

Popatrzyła wzdłuż swego ciała w dół. Od koniuszków palców u jej nóg aż do ziemi było jeszcze co najmniej osiem stóp i z każdą chwilą dalszego zwlekania dystans dzielący ją od ziemi tylko dodatkowo by się zwiększał. Wymachując nogami, przedostała się dalej na prawo, by nie spaść na udeptaną drogę, lecz na miękki skraj pola pszenicy. Następnie zwolniła uścisk swych palców i spadła.

Z nogami wyciągniętymi do przodu wleciała z łoskotem w zboże, zręcznie upadając do przodu, na ręce i kolana, tak jak nauczyła się tego od swojego ojca. I jeszcze wykorzystując siłę rozmachu upadku, podskoczyła i od razu pobiegła ścieżką do gospody „Pod Dzikim Myśliwym”.

– *Jestem na zewnątrz, Amosie. Hans pomógł mi w opuścić zamek. Książkę mam przy sobie.* – W biegu poszukała jej dla pewności po omacku.

– *Nie martw się, najdroższy, znajdziemy sposób, by cię szybko uwolnić.*

Klara biegła i przyciskała schowaną pod ubraniem książkę do serca. Ale znów nie otrzymała odpowiedzi i nie mogła już dłużej powstrzymać łez. Jeszcze tylko dobry tuzin kroków dzielił ją od gospody, gdzie w stajni czekała na nią jej kasztanka. Biegając, ocierała sobie

ły z oczu. Nawet koniuch nie mógł zauważyć, co się z nią działo.

Przez krótką chwilę stała u drzwi do stajni, by uspokoić swój oddech. Wygładziła sobie włosy i ubrania. Cała była pokryta marmurowym pyłem z kosza, ale teraz nic już nie mogła na to poradzić.

Poza tym w stajni było mroczno, a pastuch koni cierpiał na wrodzoną głupotę i na pewno nie zauważyłby niczego podejrzanego.

Hansie Wolfie, jesteś tchórzem, pomyślała, w przyszłości powinieneś się nazywać raczej Hans Zajac niż Hans Wilk.

Pchnęła drzwi od stajni, skinęła głową w stronę chłopca, który dalej szczotkował szkapę z tyłu stajni i gapił się teraz w jej stronę głupio wyszczerzony. Nie zwracała na niego uwagi, lecz od razu pobiegła do kasztanki, zdjęła siodło z haka na ścianie i pozdrowiła ją znajomymi, nuconymi dźwiękami.

– *Musimy stąd pędzić, i to tak szybko jak wiatr*, pomyślała, a kasztanka kiwnęła łbem i parsknęła, jakby ją zrozumiała.

Klara zarzuciła na nią siodło i uzdę, mocno wszystko powiązała i wskoczyła na siodło jeszcze wewnątrz stajni. Jeśli na zewnątrz przed drzwiami będzie się kręciło kilku strażników zamkowych albo purpurowych wojowników, to ich strątuje i wykorzysta chwilę zamieszania do ucieczki galopem.

– *Amosie, błagam cię, daj mi jakiś znak!*

Gdy kierowała kasztankę ku drzwiom, podszedł do niej koniuch, głupkowato się szczerząc. Jedną rękę wycierał sobie siedzenie, drugą wskazywał na belkowanie nad jej głową. Ale cokolwiek by od niej chciał, postanowiła, że nie będzie się tym przejmować. Pochyliła się ku drzwiom stajni i otworzyła je, pociągając ku sobie. I zdążyła jeszcze tylko zobaczyć kątem oka niewyraźną postać, która spadła z belkowania dachowego na kasztankę tuż za plecami Klary. Przerażona klacz jednym susem znalazła się na zewnątrz i od razu pobiegła dalej wąską ścieżką, kierując się z powrotem ku rzece.

Klara poczuła zimne stalowe zęby na swoim gardle i chudą kościstą dłoń, która wsunęła się pod jej ubranie i obszukiwała jej skórę. Z lęku i obrzydzenia ledwo mogła się jeszcze w ogóle ruszać, tymczasem kasztanka – według własnego uznania – zbczyła przy rzece w prawo i podążyła niespokojnym klusem nadbrzeżną ścieżką.

Chudy jak szkapę pomocnik łowcy książek – bo tylko on mógł być tym, kto siedział za nią w kucki – prawą ręką przycisnął jej do gardła topór wojenny jego ostrą, zębatą stroną. Lewą ręką

sięgnął po książkę i wyszarpnął ją tak dziko spod jej ubrania, że lniane płótno porwało się na strzępy.

– Moja książka, moja cudowną książka z piekła rodem! – Słyszała jego skamłanie, a już po chwili spadł z konia na lewo i pokoziołkował ze skarpy do rzeki Regnitz.

Kasztanka zatrzymała się tak nagle, że Klara niemal nie poszła w jego ślady. Krzyknęła – najpierw z przerażenia, potem z bezradnej wściekłości. W pierwszej chwili pomyślała, że Johannes po prostu spadł z konia i że podczas upadku ze skarpy połamał sobie wszystkie kości, ale nic z tego nie okazało się prawdą. Potoczył się aż do wody, ale tam od razu zerwał się na równe nogi i pobiegł dalej, utykając niczym diabeł wcielony. Wymachiwał prawą ręką z toporem wojennym oraz lewą z książką o duchach, skamłając przy tym nieustannie ze szczęścia.

Kilka kroków przed nim na płytkiej wodzie, przy brzegu, unosiło się samotne czółno, i dopiero teraz Klara tak naprawdę uświadomiła sobie, co zamierza jej przeciwnik. Krzyknęła jeszcze głośniej, zeskoczyła z kasztanki i pobiegła za nim na oślep. Jej ubranie było od pasa w górę podarte w strzępy, ale tak bardzo kipiała z gniewu i przerażenia, że nawet tego nie zauważyła. Chudy jak szkapę Johannes, zanurzony w wodzie po kolana, sunął jak na szczydach w stronę czółna i już z daleka wrzucił do niego najpierw topór, a później także książkę, po czym sam do niej wskoczył głową do przodu. Łódź gwałtownie się zachwiała, a on wstał z trudem na nogi i wychylił się na zewnątrz, aby odwiązać czółno. Stało na cumach, przywiązane liną do nisko zwisającej gałęzi nadbrzeżnej wierzby, a w czasie gdy Klara biegła przez płytką wodę, pluskając, Johannes szarpał i rwał za linę.

Rzuciła się do przodu. Płynęła w stronę łodzi, rozpaczliwie wiosłując i uderzając rękami o wodę. W chwili, gdy jedną ręką chwyciła za tylną krawędź czółna, zobaczyła rozbłyskujący nad nią topór. Odskoczyła do tyłu i straciła grunt pod nogami. Ale nie puściła łodzi, która tym sposobem odchyliła się niemal do pionu, a chudy niczym szkapę chłopak przeleciał nad nią w powietrzu i wpadł z hukiem do rzeki.

Jeszcze w czasie, gdy starał się złapać oddech, kaszląc i prychając, Klara doskoczyła do niego. Zaczęła go okładać obydwojema rękami, krzycząc przy tym, jakby postradała zmysły.

– Ty obrzydliwy worku kości, już ja ci się odpłacę! – Chwyciła go za ostre, kościste ramiona i wcisnęła go pod wodę, mimo że wierzgał nogami, usiłując oderwać jej ręce ze swoich ramion.

Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy już się w ogóle nie ruszał. Chwyciła go za włosy i wyciągnęła aż do szyi z wody, ale oczy miał zamknięte, a jego twarz była nieruchoma jak u

nieboszczyka. Jej wzrok padł na czółno – wciąż stało na cumach pod wierzbą, a w nim leżały obok siebie topór wojenny i *Księga duchów* na ławce.

Uratowała księgę, ale za jaką cenę!

– Johannesie – zawołała Klara, ale chudy jak szkapa chłopak nie pisnął ani słowa. Sama ledwo łapała oddech i tym bardziej niezwykle wydawało się jej, że nie było słyhać, żeby choć cicho oddychał.

Ostatkiem sił chwyciła go pod ramiona i zaciągnęła na płytką wodę przy brzegu. Tutaj położyła nieruchomego przeciwnika na skarpie, uklękła przy nim i płaskimi rękami naciskała raz po raz jego klatkę piersiową. Nauczyła ją tego matka, a sama Klara już nieraz wykonywała tę czynność, by uratować przed śmiercią przez uduszenie ludzi, którzy wpadli do wody. Ale jeszcze nigdy przedtem żebra pod jej palcami nie były takie w dotyku – jak drewno opałowe lub stos kości zmarłych.

– Johannes – wysapała – przyjdź do siebie! – Naciskała jego klatkę piersiową i błagała, a łzy spływały jej po policzkach – łzy lęku, rozpacz i wściekłości.

I gdy już traciła resztki sił, właśnie wtedy ten przeklęty chłopak zaczął, charcząc, wydychać powietrze. Wypluł z siebie potok wody, uniósł powieki i zatrzepotał nimi.

– Co się stało... gdzie jestem? – wyrzucił z siebie. Kaszłał i pluł, aż żal było na niego patrzeć.

Klara uzmysłowiła sobie natychmiast, że musi ratować się ucieczką, jeszcze zanim Johannes odzyska siły. Podskoczyła i śpiesznie pobrodziła w kierunku czółna pod wierzbą. Schyliła się, lewą ręką chwyciła książkę, prawą – topór. Gdy spojrzała przez ramię, zobaczyła, że Johannes usiadł wyprostowany, nadal kaszłąc i dysząc. Opuściła ze świstem tę okropną broń na linę, a łódka, którą porwał nurt rzeki, odpłynęła z prędkością wiatru. Za nią rozległo się wycie Johanna, który zaczął potem krzyczeć, jakby go obdzierali ze skóry. Klara zamachnęła się, tak mocno, jak tylko mogła, i wyrzuciła topór wojenny wysokim łukiem za łódź. Broń z chlupnięciem wpadła do rzeki i zatonała.

Kasztanka czekała na górze przy ścieżce. Przywitała swoją właścicielkę radosnym parsknięciem, gdy ta ponownie wyszła – brodząc – z rzeki Regnitz. Przemoczona aż do pasa biegła w górę skarpy, a Johannes krzyczał i jęczał za nią. Gdy Klara spojrzała w jego stronę do tyłu, bezsilnie próbował wczołgać się na stromy brzeg, ale zaraz się poddał. Ze zwisającą zuchwą, sapiąc i skamlając, gapił się na Klarę, która wspięła się tymczasem na ścieżkę górską i jednym susem znalazła się na plecach kasztanki.

Wciąż jeszcze była wściekła na Johanna, ale jednocześnie przepelniała ją duma z samej siebie, a zwycięstwo oszałamiało ją.

– *Kościotrup ukradł mi książkę, ale natychmiast mu ją odbiłam.* – Wejrzała w głąb swego serca i właśnie wtedy poczuła znajome ssanie w okolicy żołądka, a zaraz potem szum w skroniach – *Amosie!* – Łzy znów napłynęły jej do oczu.

– *Klaro, gdzie jesteś... gdzie jestem ja...* – Jego telepatyczny głos brzmiał jak u śmiertelnie znużonego człowieka.

– *Na wszystkie dobre duchy, najdroższy Amosie, co oni z tobą zrobili?*

– *Musisz uciekać Klaro, tak szybko, jak tylko możesz. Zawiozq mnie do Norymberg, do więzienia inkwizycji. A oboje wiemy, że nikt już stamtąd nie wychodzi żywy, chyba że po to, aby umrzeć na stosie.*

Nie wiedziała, co ma na to powiedzieć. Nic nie przychodziło jej na myśl, a w głowie poczuła kompletną pustkę. Nie, wykrzyknęła potem w głębi duszy, to się nigdy nie może wydarzyć!

– *Uważaj na siebie, najdroższa Klaro! Na siebie i na książkę!*

– *Obiecuję ci to. I przysięgam na wszystkie duchy, że zawsze będę cię kochać i że cię stamtąd wydostanę. Przy użyciu mocy, wzbudzanych przez trzecią i czwartą opowieść, razem rozsadzimy wszystkie lochy, mój wybrańcu.*

Klara wsunęła książkę pod swoje ubranie i popędziła na przełaj w stronę lasu, który miał jej dać schronienie.

## POSŁOWIE

### POLOWANIE NA KSIĘGI I KONIEC ŚWIATA Prawda i fikcja w *Opus – Zakazana księga*.

U zarania czasów nowożytnych cenzura książkowa i polowanie na ludzi stanowiło smutną rzeczywistość, zwłaszcza Norymbergi i biskupstw frankońskich. Jednak główne postacie mojej powieści są zmyślane, a losy bohaterów i zdarzenia, w których uczestniczą, tak naprawdę nigdy nie miały miejsca. Bractwo Opus Spiritus nigdy nie istniało i jest raczej mało prawdopodobne, by *Księga duchów* kiedykolwiek ujrzała światło dzienne – a szkoda. Jednak mimo to uważam, że wszystko, co zostało tu opowiedziane, jest – w swojej istocie – prawdą i rzeczywistością. To świadectwo gwałtownych i wstrząsających przemian, które u początków czasów nowożytnych wpłynęły na bieg historii.

Poniżej przedstawiam zarysy relacji między „prawdą” a „fikcją” w *Zakazanej księdze*.

Koniec świata W chrześcijańskiej Europie końca XV w. kaznodzieje głoszący bliskie nadejście końca świata mogli liczyć na szczególnie żywe zainteresowanie ze strony szerokiej publiczności. Gromadami przemierzali cały kraj, głosząc wszędzie rychłe nadejście Sądu Ostatecznego. Jednak już w poprzednich wiekach, które określamy dzisiaj w dużym uproszczeniu średniowieczem, głęboko wierzący chrześcijanie byli bardzo podatni na tego typu apokaliptyczne przepowiednie – w istocie bowiem sam Jezus Chrystus zapowiedział przez swoich apostołów, że wkrótce powróci, by sprawować sąd nad światem.

Biblijne wizje obfitowały w znaki, które staną się w przyszłości zapowiedzią rychłego przybycia Syna Człowieczego – znaki na niebie, wojny, susza, głód lub dzuma. O podobne katastrofy było wówczas nietrudno – zdarzały się nader często. Wędrowni kaznodzieje i apokaliptyczni krzykacze mogli więc wykorzystywać ogarniętych lękiem ludzi, każdą większą katastrofę interpretując jako zapowiedź nadchodzącego Sądu Ostatecznego. Jeśli takie tragiczne wydarzenia zbiegały się dodatkowo w czasie z okrągłymi datami w kalendarzu – z końcem danego stulecia, z końcem danej połowy tysiąclecia lub z końcem całego millenium – to wtedy



mroczne interpretacje zyskiwały na sile i były bardziej przekonujące, a kaznodzieje głoszący koniec świata wzbudzali wielkie zainteresowanie wśród licznych słuchaczy. A gdy – wbrew szeroko rozpowszechnionym oczekiwaniom – Zbawiciel nie powrócił pod koniec pierwszego chrześcijańskiego tysiąclecia, wydawało się tym bardziej prawdopodobnym, że przeprowadzi sąd nad światem po upływie kolejnego tysiąclecia.

Czyżbyśmy mieli zatem do czynienia jedynie z „typowo średniowiecznymi przesadami”? Tak prosto pod koniec XV w. sprawy nie wyglądały. Jeśli twierdzenie o nadciągającym końcu świata natrafiło w ówczesnej kulturze na tak żywy oddźwięk, to można przypuszczać, że jej fundamenty zostały naruszone, a konstrukcja zyskała już groźne rysy i pęknięcia. Schemat, stanowiący podstawę wszystkich apokaliptycznych mitów i wizji, jest prawie zawsze taki sam: dokonuje się projekcji upadku świata duchowego lub społecznego na świat zewnętrzny, a zazwyczaj potęguje się to jeszcze, wykorzystując aspekt kosmologiczny Z nieba pada ogień, z głębi mórz i oceanów wpełzają najstraszliwsze potwory – jednak w takiej, niezwykle sugestywnej inscenizacji spustoszeniu i zniszczeniu ulegają nie realnie istniejące kraje, planety czy nawet galaktyki, lecz obowiązujący etos oraz systemy określające ład społeczny.

W tym przenośnym znaczeniu w chrześcijańskiej Europie około roku 1500 dokonuje się bez wątpienia „koniec świata” – załamuje się względnie spójny świat średniowiecznego myślenia i odczuwania. O grozie, a także o rozmiarach tego zjawiska w ówczesnym systemie społecznym i duchowym Zachodu można się przekonać, analizując nowe, głoszone powszechnie trendy.

„Nowy świat”

Na krótko przed końcem XV w. Krzysztof Kolumb „odkrył” przez pomyłkę Amerykę. W żadnym razie nie był on pierwszym, czy choćby nawet piątym lub dziesiątym odkrywcą, gdyż mieszkańcom tego ogromnego kontynentu, którzy w dalszym ciągu są błędnie określani „Indianami”, istnienie tej części świata było przecież znane już od dłuższego czasu. Jednak dla Europejczyków Ameryka – z wysoko rozwiniętymi kulturami Majów lub Meksykanów („Azteków”), którzy jeszcze nigdy nie słyszeli o rzekomo jedynym i wszechmogącym Bogu chrześcijan, a którzy mimo to posiadali własne pismo, matematykę, architekturę, agronomię, różnorakie dziedziny sztuki, mity i własnych bogów – była całkowicie „nowym światem”. Właściwie nie przystawała do starego obrazu rzeczywistości funkcjonującego w świadomości Europejczyków. Wprawdzie chrześcijańskim „odkrywcą” szybko udało się nawrócić ogniem i mieczem „indiańskich pogan”, jednak europocentryczny „stary świat” nigdy już nie będzie taki sam. Wielkim szokiem była bowiem świadomość, że poza Europą istnieje jeszcze co najmniej

jeden, „nowy” świat.

Nowe teorie na temat świata Nie tylko okazało się, że „świat” nie pokrywa się całkowicie z chrześcijańskim Zachodem, że Europa nie leży w jego centrum, a Rzym nie jest jego „pępkiem”. Odkryto także, iż Ziemia nie znajduje się w centrum wszechświata. Teorie te pojawiały się już około 1500 roku, nawet jeśli nikt nie odważył się jeszcze wyrazić ich wprost publicznie. Uważano, że tego typu „błędne nauki” powstawały tylko z podszeptu Szatana i uchodziły za najgorszą herezję. Jednak to właśnie nie kto inny, jak sam papież, wezwał w roku 1500 do Rzymu uczonego astronoma – Mikołaja Kopernika (1473-1543) – który wkrótce zadał miażdżący cios „geocentrycznej” nauce Kościoła.

W swym głównym dziele polski uczyony wykazuje, że to planety krążą wokół Słońca („heliocentryzm”), a nie na odwrót („geocentryzm”). Chyba tylko dzięki temu, że Kopernik stale odkładał publikację swego epokowego dzieła *De revohationibus orbium coelestium* („O obrotach ciał niebieskich”), uniknął tortur Świętej Inkwizycji. Pierwszy egzemplarz książki trzymał w ręku dopiero na łożu śmierci, a wersję drukowaną tego dzieła poszerzono o przedmowę, w której sprowadzono rewolucyjną teorię do rangi hipotezy.

Mimo to fundamenty „średniowiecznego świata” zostały naruszone *last but not least* przez to genialne naukowe dzieło. Watykańska cenzura nie zakazała całkowicie dzieła Kopernika, lecz zezwoliła na jego rozpowszechnianie w okrojonej, odpowiednio „opracowanej” przez kościelnych cenzorów formie. Ci ostatni bagatelizowali doniosłość Kopernikowskiej teorii, redukując ją do matematycznego modelu. W przyszłości inkwizycja z całą surowością i brutalnością będzie prześladowała wszystkich myślicieli oraz badaczy którzy – odwołując się do Kopernika – będą się starali podważyć geocentryzm w nauczaniu Kościoła i w Biblii.

I tak na przykład włoski poeta i uczyony Giordano Bruno (1548-1600) spłonął na stosie w Rzymie, gdyż odważył się twierdzić, że wszechświat jest nieskończony, a więc Ziemia nie stanowi centrum kosmosu i nie ma już w nim nigdzie miejsca, gdzie mogłyby się znajdować chrześcijańskie zaświaty. Dobre trzydzieści lat później włoski matematyk, astronom i fizyk Galileusz (Galileo Galilei, 1564-1642) uniknie takiego samego losu tylko dlatego, że – postawiony przed trybunałem inkwizycyjnym – wyprze się Kopernikowskiej teorii i wszystkich jej implikacji. Jednak wówczas było już jasne, że papież i inkwizycja ostatecznie przegrali swoją walkę o średniowieczny model świata.

Nowe Kościoły Dla Watykanu wystarczająco niepokojącym znakiem czasu był fakt, że fala nowych odkryć i myśli podkopywała autorytet Kościoła, który od tysiąca lat stał na straży

prawdy. Poza tym Rzym musiał się zmagać w coraz większym stopniu z własnymi problemami. Zaczęto kwestionować zasadność istnienia Kościoła, a nie były to tylko głosy z zewnątrz, lecz rozwijająca się opozycja wśród duchowieństwa.

Czeski ksiądz i uczyony Jan Hus (1370-1415) został spalony na stosie już na początku XV w. (Oda wdaje się w krótką dyskusję z Amosem na ten temat). Hus głosił heretyckie poglądy, według których Kościół powinien odciąć się od wszelkich doczesnych bogactw, księża – jak Jezus – winni żyć w biedzie i głosić kazania w języku zrozumiałym dla wiernych. Sto lat później takiego samego losu uniknie niemiecki reformator Marcin Luter (1483-1546), ponieważ uda mu się znaleźć orędowników i wyznawców wśród książąt, którzy obronią go przed inkwizycją.

Kościół choć próbował skutecznie negować fakt odkrycia nowych kontynentów i zwalczać nowe naukowe teorie o wszechświecie, nie zdołał już zapobiec rozwijającym się doktrynom religijnym.

Głoszony przez Lutera protestantyzm to najlepszy przykład na potwierdzenie tej tezy. Innym, choć mniej znanym, jest wymieniony w powieści „Kościół duchowy”. Jego zwolennicy zgadzali się z protestantami, husytami i innymi „heretykami” przede wszystkim w dwóch kwestiach: papież nie jest „zastępcą Chrystusa na ziemi” (lecz raczej Szatanem wcielonym), dlatego też Bóg nie przemawia do wiernych poprzez kapłanów i ich interpretacje Pisma Świętego, lecz jedynie poprzez samo Pismo. Kościół wraz ze swymi hierarchiami, regułami i przykazaniami nie tylko był postrzegany jako zbędny, lecz także jako przeszkoda na linii wierni-Bóg. Dlatego Kościół należało zwalczać i zniszczyć, a był to kolejny cios zadany fundamentom średniowiecznego świata.

Czas nowożytny Podczas gdy odkrywcy i uczeni systematycznie kruszyli ciasne mury starego świata, starego myślenia oraz starej wiary, życie ludzi ulegało coraz gwałtowniejszym przemianom. Oczywiście rzeczywistość wieków średnich sama w sobie nie stanowiła nigdy „zwartej” i „statycznej” formacji, ani w swej wczesnej fazie, ani w czasie największego rozkwitu, jak nam się często wydaje. Ale około roku 1500 gospodarka, społeczeństwo i życie codzienne raptownie przyspieszyły, a doświadczyły tego nawet najodleglejsze wsie Europy, gdzie zaczęły pojawiać się takie pojęcia, jak „postęp” czy „rewolucja”.

Świadcami kilku burzliwych przemian są również postacie mojej powieści: puls nowych czasów bije już nie w murach szlacheckich zamków i pałaców, czy klasztorach, lecz – w coraz większej mierze, a także bez porównania szybciej – w miejskich ośrodkach handlu i rzemiosła. Podobne życie jak rycerz Heribert von Höhenstein wiedzie już pokaźna część szlachty. Poddani

uciekają do miast, bo komu uda się znaleźć tam pracę, ten zazwyczaj może wieść życie swobodne, wygodne i bardziej urozmaicone niż na wsi. Niektórym rycerzom nie pozostaje więc nic innego, jak tylko „przekwalifikować się” na rycerzy-rozbójników – tak jak uczynił Gótz von Berlichingen, którego Goethe uwiecznił w swym dramacie o tym samym tytule, a którego adwersarzem był nie kto inny, jak sam Georg III, książę biskup w Bambergu.

U zarania czasów nowożytnych duże miasta, takie jak Norymberga czy Kolonia, ale także te mniejsze, takie jak Wunsiedel czy Bamberg, przyciągały całe rzesze ludzi swym dobrobytem, którym jeszcze pokolenie wcześniej mogła się cieszyć wyłącznie szlachta. „Globalizacja” światowej gospodarki, o której się dzisiaj tak dużo mówi, ma swoje początki właśnie w tamtych czasach: pochodzący z Augsburga Fuggerowie stworzyli sieć bankowo-handlową obejmującą cały znany wówczas świat. Fuggerowie finansowali wyprawy wojenne niemieckich królów, a także gwardię szwajcarską papieża. Już około roku 1525 importowali z „nowego świata” do Europy całe statki gwajakowego drewna, które uchodziło za cudowny specyfik na szalejącą wówczas chorobę weneryczną, syfilis. Gdy w 1529 roku słynny lekarz Paracelsus chciał wydrukować książkę, w której dowodził, że leczenie drewnem gwajakowym jest nieskuteczne, Fuggerom udało się przeforsować u norymberskich cenzorów zakaz jej publikacji.

Podobnie rośli w siłę mieszczenie. Wysyłali swoich synów do gimnazjów miejskich. Cieszące się największym powodzeniem rodziny mieszczańskie wkrótce zaczęły przewyższać pod względem władzy i bogactwa wiele starych rodów szlacheckich. Około roku 1500 miasto Norymberga ściągała z podatków i opłat kilkaset tysięcy guldenów rocznie. Jednocześnie w nowo powstających, potężnych bankach zadłużali się nawet sami królowie, bo czasem tylko w ten sposób mogli sfinansować odpowiednie co do stanu małżeństwo.

Czarnoksiężnicy nowych czasów Spośród wszystkich tych rewolucyjnych przemian, wyznaczających przełom między średniowieczem a czasami nowożytnymi, szczególne znaczenie miał wynalazek mechanicznego druku typograficznego. Pionierskie zasługi w tym względzie przypisuje się zazwyczaj mieszkańcowi Moguncji Janowi Gutenbergowi (1400 – 1468). Tymczasem w Azji podobne techniki drukarskie były znane już od dłuższego czasu. Mimo to prasa drukarska Gutenberga z ruchomymi, metalowymi czcionkami wywołała w połowie XV w. w Europie rewolucję techniczną i medialną o bardzo doniosłym znaczeniu.

Ówczesny Kościół katolicki zajął wobec rozwoju drukarstwa dwuznaczne stanowisko. Z jednej strony, nowa technika wychodziła naprzeciw jego zamierzeniom, ponieważ dzięki niej po raz pierwszy powstała możliwość reprodukcji jednolitych wersji danego tekstu w wielu

egzemplarzach. Z drugiej jednak strony, zaistniało niebezpieczeństwo, iż produkcja i powielanie pism mogłyby wymknąć się spod kościelnej kontroli, skoro każdy warsztat drukarski mógł – według własnego uznania – produkować i rozprowadzać ulotki lub całe grube tomy. Nieprzypadkowo więc drukarze bardzo szybko znaleźli się w kręgu podejrzeń jako „nowi czarnoksiężnicy” – było to wyzwisko odnoszące się pierwotnie do alchemików i czarowników parających się zakazaną „czarną” magią. Jedni i drudzy w swej pracy mieli do czynienia z ołowiem – drukarz dysponował ołowianymi czcionkami, a alchemik usiłował nielegalnie przetopić ołów w złoto w swoim laboratorium. Dlatego z punktu widzenia inkwizytorów wydawało się zupełnie uprawnione, by zaliczać sztukę drukarską, także w przenośni, do „diabelskich” sztuk – na pewno zaś wtedy, gdy nie służyła ona powielaniu Biblii i innych pobożnych pism.

Nie jest również kwestią przypadku, że sztuka drukarska i prześladowanie czarownic rozprzestrzeniły się w Europie końca XV wieku niemal równolegle – a wraz z nimi coraz bardziej restrykcyjna cenzura książek. Inkwizycja – od samego początku swego istnienia – to w istocie nic innego, jak tylko brutalna forma cenzury, której ofiarami padały nie tylko „heretyckie” pisma, lecz także paleni na stosach kacerze. Odpowiednie prawa wydał już na początku XIII w. cesarz Fryderyk II, z kolei papież Innocenty IV w 1252 roku oświadczył, iż stosowanie tortur w procesach inkwizycyjnych jest dozwolone. Jednak dopiero w 1484 roku papież Innocenty VIII zarządził systematyczne prześladowanie czarownic i czarowników na całym Zachodzie – a już tylko trzy lata później inkwizytor-dominikanin Heinrich Kramer przedłożył do druku osławiony *Malleus mafficarum* (*Młot na czarownice*), obszerny podręcznik dla łowców czarownic. Na marginesie można stwierdzić, iż, o ironio!, nowa sztuka drukarska, przeciwko której przynajmniej częściowo zwrócone było polowanie na czarownice, umożliwiła szybkie rozprowadzenie tej potwornej szmiry w setkach egzemplarzy, a tym samym paradoksalnie wyrządziła bez porównania więcej szkód, niż byłoby to możliwe w czasach ręcznego przepisywania tekstów.

Polowanie na książki w Norymberdze W minionych stuleciach, gdy czytać potrafili jedynie mnisi i zakonnice, a kopiowanie i rozprowadzanie pism było rzeczą żmudną i mozolną, Kościół mógł bez przeszkód kontrolować puszczone w obieg książki. Były one badane przez watykańskich cenzorów, a następnie albo dopuszczane do użytku (często z adnotacją „wersja skrócona i zredagowana”), albo umieszczane na osławionym indeksie. W tym ostatnim przypadku posiadanie, czytanie lub nawet rozprowadzanie tego rodzaju pism było zabronione

pod groźbą kary Jednak pod koniec XV w. ociężały Centralny Urząd Cenzury nie mógł sprostać gwałtownie rosnącej liczbie pism, zarówno tych, które już się ukazały drukiem, jak i tych, które zamierzano dopiero wydrukować. Chcąc nie chcąc, Watykan musiał przenieść prawo cenzury na instytucje zewnętrzne lub podrzędne urzędy kościelne.

Jako pierwszy wątpliwy „przywilej” cenzurowania książek w imieniu Kościoła zyskał Uniwersytet w Kolonii, w 1479 roku. Sześć lat później arcybiskup Moguncji – europejskiej kolebki nowoczesnej książki drukowanej – ustanowił komisję cenzorską. Ta miała dokonywać wstępnej cenzury wszelkich książek, które zamierzano przetłumaczyć na język niemiecki, kontrolować znajdujące się w obiegu książki drukowane na terytorium całego biskupstwa, a także niszczyć wszystkie „heretyckie” druki. I ten sam papież Innocenty VIII, który w 1484 roku wezwał do systematycznego prześladowania czarownic, wydał trzy lata później dekret cenzorski, który obowiązywał na terytorium całego Świętego Cesarstwa Rzymskiego. W dekrete tym zobowiązano wszystkich drukarzy do przedkładania urzędowi cenzury każdego pisma przeznaczonego do druku. Poza tym cenzorzy mieli badać także wstecz wszystkie opublikowane do tej pory książki. Wszelkie pisma, które uznano za „sprzeciwiające się prawowiernemu dogmatowi, bezbożne lub nieobyčajne”, miały zostać spalone, a drukarze puszczający w obieg tego rodzaju nikczemne książki – pociągnięci do odpowiedzialności.

W ciągu następnych lat ten system cenzorski ulegał dalszemu zaostrzeniu i udoskonalaniu. Papież Leon X zarządził w 1515 roku, że na pierwszej stronie wydrukowanego dzieła musi być zamieszczone urzędowe dopuszczenie do druku – *imprimatur*. Jeśli takiego zezwolenia brakowało, to daną książkę należało uznać za zakazaną, a autora, drukarza i czytelnika – odpowiednio ukarać. Watykan został zmuszony do działania między innymi dlatego, że ogromnym zainteresowaniem cieszyły się heretyckie pisma Marcina Lutra, które należałoby uznać za pierwszy bestseller w erze Gutenberga. Poprzez swoich delegatów papież wymusił na cesarzu rzymskim Karolu V, by ten włączył do tekstu edyktu wormackiego z 1521 roku zapis, który w opinii historyków mediów stanowi cezurę rozpoczynającą okres cenzury w Niemczech. W swym dosłownym brzmieniu wspomniany fragment jest skierowany wyłącznie przeciwko pismom Lutra, których w przyszłości nikomu nie wolno było „kupować, sprzedawać, czytać, zachowywać, odpisywać, drukować lub kopiować, lub oddawać do druku”, i które – jeżeli już do tego doszło – należało „spalić w ogniu, a tym samym całkowicie się ich pozbyć, zniszczyć, wytępić”. Jednak edykt ten stanowi zaledwie początek niekończącej się serii ogólnych decyzji cesarskich w kwestii cenzury i zarządzeń policyjnych w Rzeszy, które wydawano równoległe do

odpowiednich bulli kościelnych w ciągu następnych dziesięcioleci.

Koszty rosnące wraz z rozszerzającą się kontrolą cenzorską sprawiły, iż konieczne było nadawanie praw cenzorskich coraz to większej liczbie instytucji. Poza uniwersytetami i urzędami biskupimi „przywilej” nakładania cenzury przyznawano także radom większych miast. Szczególna rola w kontekście edyktu cesarskiego z 1524 roku przypada senatowi Norymbergi, która była wówczas największym i najpotężniejszym miastem Rzeszy i w której miały swoje siedziby liczne drukarnie. Pisma, których drukowania i rozpowszechniania zakazywała cenzura w Norymberdze, były automatycznie zabronione w całym cesarstwie.

Tym samym urząd cenzorski w Norymberdze zyskał pośrednio rangę „Urzędu Cenzorskiego Rzeszy”, o czym mógł się przekonać Paracelsus, gdy chciał wydrukować swoje pismo o gwajakowcu. W powieści mowa jest o Cesarskim Urzędzie Cenzorskim z siedzibą w Norymberdze, który w rzeczywistości nie istniał około 1500 roku, a – dokładniej rzecz biorąc – nie istniał w sensie urzędu z centralnym archiwum i aparatem urzędniczym, lecz został stworzony przez autora w duchu edyktów cesarskich oraz realnie wówczas istniejących mechanizmów cenzorskich.

Polowanie na kacerzy i czarownice we Frankonii Już w XIV w. Norymberga była jednym z głównych ośrodków polowań na heretyków w Rzeszy Niemieckiej i Europie Środkowej, sterowanym z Watykanu. Od roku 1332 do końca stulecia w Norymberdze odbywały się wielkie procesy inkwizycyjne, skierowane głównie przeciwko waldensom, beginkom i begardom – prekursorom Kościoła protestanckiego, których Watykan potępił jako heretyków. W 1348 roku papież Klemens VI powołał do życia urząd Wielkiego Inkwizytora dla Rzeszy Niemieckiej, który z kolei ustanawiał licznych niemieckich dominikanów – między innymi mnichów pochodzących z klasztoru w Bambergu – inkwizytorami regionalnymi.

Wraz z ogłoszeniem bulli papieskiej skierowanej przeciwko czarownicom, w 1484 roku, kościelne polowanie na ludzi przybrało nowe, przerażające rozmiary. Przede wszystkim w latach 1600-1630 prześladowaniem, torturowaniem i straceniami niezliczonej rzeszy domniemyanych wiedźm i czarowników niechlubnie wślawiły się frankońskie biskupstwa w Bambergu, Wiirzburgu i Eichstatt. Osoby podejrzewane o paranie się czarną magią mogły być sądzone zarówno przed sądami kościelnymi, jak i przed świeckimi.

Dla kleryków w Watykanie związki łączące czarownice z heretykami były wówczas oczywiste. W ich mniemaniu zarówno kacerze, jak i wiedźmy zawierali pakt z diabłem i uprawiali zakazaną magię. Ten zarzut był w wielu przypadkach naciągany, a mimo to, z punktu

widzenia samych strażników czystości wiary, ich troska miała pewne realne podstawy. W Europie Środkowej XIY XV i XVI wieku stara wiedza „pogańska”, pamięć o pewnych praktykach i zwyczajach, kulturowanych w czasach poprzedzających chrześcijaństwo lub w krajach jeszcze nieschrystianizowanych, bynajmniej nie przepadła całkowicie.

W owym czasie nie istniały już wprawdzie w tym rejonie żadne „pogańskie gniazda” – oficjalnie bowiem chrystianizacja kontynentu zakończyła się z powodzeniem, ale celtyckie rytury i mity oraz germańskie zaklęcia nie popadły bynajmniej w całkowite zapomnienie. Praktykowano zresztą wciąż żydowską magię ceremonialną, starożytną alchemię i krzewiono przekazywaną od pokoleń wiedzę „babek”, znajdujących się na leczeniu i antykoncepcji. Właśnie w tych „grupach z marginesu społecznego” (jakbyśmy je dzisiaj nazwali), wśród wędrowców, zielarek, niektórych „sekiarskich” wspólnot i tajnych stowarzyszeń, stare podania natrafiały na podatny grunt.

„Babki” i „zielarki” – z różnych powodów – były solą w oku watykańskich kleryków. Z jednej strony – zgodnie z kościelnym odczytaniem Jezusowej Ewangelii – kobiety winny być „podporządkowane mężowi”. Tymczasem w wielu kulturach „pogańskich”, na przykład u Celtów, kobiety zajmowały silną pozycję, w żadnym razie nie podrzędną względem mężczyzn. Przede wszystkim zaś zagrożenie dla katolickiej wykładni miłości cielesnej stanowiły akuszerki i „zielarki” ze swoją tradycyjną wiedzą na temat antykoncepcji. Seks był bowiem dozwolony jedynie w celach prokreacyjnych, był zastrzeżony wyłącznie dla małżonków, którym udzielono ślubu kościelnego, ściśle reglamentowany zgodnie z wolą księży. Ten wrogi zmysłowości dogmat mógł się jednak utrzymać tylko pod warunkiem, że kobiety stracą kontrolę nad swoją własną płodnością.

Jednak kobiety te potępiano jako „czarownice”, a od końca XV w. także zaszczuwano niczym dziką zwierzynę, nie tylko z powodu ich znajomości tradycyjnych technik służących do zapobiegania ciąży i – ewentualnie – spędzania płodu. W tym przypadku istniała pewna wspólnota interesów łącząca w działaniu sądy kościelne i świeckie. W erze bujnego rozkwitu handlu i rzemiosła władcy już dawno zorientowali się, że ich władza oraz bogactwo zależą niemal wyłącznie od dietności ich poddanych. Książętom było zupełnie obojętne, w jakiego Boga wierzyli chłopcy i mieszczanie. Jednak fakt, że kobiety mogły samowolnie hamować wzrost populacji poprzez regulację poczęć, nie mógł leżeć w ich interesie. Dlatego inkwizytorzy i policjanci Rzeszy razem zatrąbili na „polowanie na czarownice”.

Stare i nowe rzeczywistości Co się tyczy równouprawnienia płci i prawa do regulacji poczęć, to należy stwierdzić, iż współcześni Europejczycy przypomnieli sobie o



„przedchrześcijańskich” wartościach. Ale nie miejmy złudzeń – późnośredniowieczni inkwizytorzy bynajmniej nie zwalczali jedynie (w dzisiejszym tego słowa znaczeniu) „postępowych” myślicieli i „postępowych” idei, lecz prowadzili także krucjaty przeciwko obyczajom i zwyczajom, które również w kategoriach dzisiejszego „ducha czasu” postrzegalibyśmy jako „wsteczne”, jako nawrót do „irracjonalnych” i „nieoświeconych” światów wyobraźniowych.

Dotyczy to wszystkich „magicznych” sposobów myślenia i kultywowania przed niechrześcijańskich kultur Europy. Również po zaprzestaniu polowań na kacerzy i czarownice pozostawały one na indeksie zachodnich wyobrażeń o prawdzie i rzeczywistości. „Dzikie” myślenie na zasadzie skojarzeń i obrazowych analogii (zamiast logiki kauzalnej), „prawda serca” (intuicja) i ewidentność wizji, doświadczenia transu, szamańskie „wędrowki dusz”, empatyczna wrażliwość obejmująca zdolności telepatyczne – wszystko to oraz wiele innych rzeczy należało w czasach sprzed inkwizycji do powszechnie doświadczanej rzeczywistości, było ważnym elementem składającym się na postrzeganie świata, a także siebie samego. Postrzeganie to było o wiele bardziej zróżnicowane, ale również bez porównania bardziej zagmatwane niż nasze współczesne, racjonalistycznie zubożałe konstrukcje rzeczywistości.

Granicę między (dozwoloną, dającą się objaśnić w racjonalny sposób) „realnością” a (zakazaną, „irracjonalną”) „magią” wypalono w naszej świadomości kulturowej za pomocą ognia i tortur dopiero w tamtych czasach, w XV i XVI w. Właśnie dlatego można powiedzieć, skłaniając się ku głębszej refleksji, że równie potężne co gwałtowne przemiany zachodzące u progu czasów nowożytnych do dziś dotykają swoimi konsekwencjami każdego człowieka, który dorastał i żyje w zachodnioeuropejskiej kulturze.

O tym, jak nieostro przebiegała ta granica między „starą” i „nową” rzeczywistością jeszcze za czasów Lutera czy Dürera, można się przekonać na wielu różnych przykładach. Choćby żyjący w czasach późnego średniowiecza wędrowny medyk Paracelsus (1493-1541) uchodzi dzisiaj za pioniera i współzałożyciela naszej nowoczesnej medycyny. „Nowoczesny” był jednak głównie pod tym względem, że badał rzeczywiste działanie swoich teorii i receptur na pacjentach (co było czymś zupełnie niespotykanym w średniowiecznej medycynie). Same zaś teorie i receptury Paracelsusa należałoby już raczej przyporządkować do magicznych światów wyobraźniowych i myślenia w obrazowych analogiach.

Zgodnie z koncepcją Paracelsusa przyroda jawi się jako „Księga Boga”, więc wystarczy, że leczący będzie potrafił w niej „czytać”, a dla każdej choroby znajdzie odpowiednie lekarstwo.

I tak pewne czerwone jagody pomagają na niedokrwistość, a rośliny o liściach w kształcie serca przynoszą ulgę w dolegliwościach sercowych. Z kolei na jeszcze inną przypadłość Paracelsus, który zasłynął także jako astrolog, zaleca przyzywanie „duchów planet” – te mają rządzić poszczególnymi ciałami niebieskimi, które z kolei rzekomo wywołują u ludzi choroby i dolegliwości. Z dzisiejszej perspektywy brzmi to dziwnie. Zresztą nawet współcześni w żadnym razie nie postrzegali Paracelsusa jako „postępowego” medyka, lecz uważali go raczej za uzdrowiciela i świętego-dziwaka.

Współczesne biografie starają się zazwyczaj obnażyć tego rodzaju sprzeczności, posiłkując się frazesem mówiącym, że opisywane osoby tkwiły „jeszcze jedną nogą w średniowieczu”, i tylko drugą stały już na gruncie nowożytności. Taką formułę zdecydowanie odrzuciłby jednak zarówno Paracelsus, jak i Luter (któremu według własnego oświadczenia przynajmniej raz ukazał się diabeł). Myślenie w kategoriach związków przyczynowo-skutkowych było dla nich tylko jednym z wielu sposobów poznawania świata – uznanie jednego z nich za jedyny „właściwy” wydałoby się im tak samo bezsensowne jak żądanie, by odtąd postrzegać świat nie – jak do tej pory – za pomocą wszystkich pięciu zmysłów, lecz przy użyciu samego tylko zmysłu wzroku.

Kolejnym takim przykładem jest Johannes Trithemius (1423 – 1516), opat klasztoru w Sponheim, wymieniony w mojej powieści jako domniemany „magiczny słuchacz” spotkań na zamku biskupim w Bambergu. Trithemius był bardzo czytany samoukiem i rzeczywiście uchodził w ówczesnych kręgach uczonych za „papieża książek”. Dzieło, które przyniosło mu sławę uczonego i znawcy książek, obszerny katalog kościelnych autorów i ich dzieł, okazało się później w znacznym stopniu zmyślane. Był też autorem serii książek poświęconych magii. Pisał między innymi o telepatii i zaszyfrowanym przekazywaniu wiadomości przy pomocy duchów. Gdy znalazł się na celowniku inkwizycji, oczyścił się z zarzutu uprawiania zakazanych czarów, pisząc napastliwy traktat *Antipalus maleficiorum* (1508), podżegający przeciwko czarom i czarownicom.

Podsumowując, należałoby stwierdzić, że Johannes Trithemius był mężczyzną o tak wielu różnorodnych obliczach, że z dzisiejszej perspektywy można byłoby u niego zdiagnozować „osobowość wieloraką”. Był wszak uczonej i szarlatanem, magiem i kolekcjonerem książek, pobożnym mnichem i zaklinaczem demonów. Ale nawet jeśli ta złożona wielorakość wykraczała nieco poza rozumienie ludzi mu współczesnych, mimo wszystko Trithemius cieszył się wielkim poważaniem zarówno u kościelnych, jak i świeckich uczonych, uchodząc za jednego z

najmądrzejszych ludzi swoich czasów.

Tajne bractwo na zamku biskupim w Bambergu To, co Hans Wolf opowiada w mojej powieści na temat księcia biskupa Georga III (ok. 1470-1522) jest – z grubsza biorąc – prawdą. Georg jest wiernym Kościołowi katolikiem, co nie przeszkadza mu jednak sceptycznie podchodzić do pewnych watykańskich ekscesów, takich jak handel odpustami czy polowania na heretyków. Z pewnością nie jest tak barwnym człowiekiem jak Trithemius czy Paracelsus, jednak jeśli jako kryterium jego oceny przyjmiemy krąg ludzi, którymi się otaczał, to jego zainteresowania i przekonania będziemy musieli uznać – także w dzisiejszym rozumieniu – jako szerokie.

Cesarski kapłan, nadworny Eberhard Senft, jest w rzeczywistości żarliwym wielbicielem „papieża książek” i autora ksiąg poświęconych magii Johannes Trithemiusa. Nad Paulem Lautensackiem swój mecenat rozacza, jako malarzem i muzykiem, książę biskup Georg. Biskupowi bynajmniej nie przeszkadza fakt, iż młody artysta oddaje się apokaliptycznej mistyce i marzeniom o heretyckim Kościele duchowym. Do tego dochodzi jeszcze mający złą opinię czarodziej i astrolog Georg Faust.

Faust jest najsłynniejszym bohaterem niemieckiej historii i kierunków intelektualnych – liczni pisarze próbowali swych sił, starając się nakreślić literacki obraz tej fascynującej postaci (do pisarzy tych należy zaliczyć także autora niniejszej książki, w 2007 roku ukazała się jego książka pod tytułem *Faust, der Magier* Faust, magik). Do dziś toczy się pełna kontrowersji dyskusja, czy różnego rodzaju legendy i opowieści mrożące krew w żyłach o niecnym uczynkach oraz o okropnym końcu tego alchemika i astrologa, czarodzieja rzekomo paktującego z diabłem, mają w ogóle jakiegokolwiek pokrycie w rzeczywistości. Kilka wskazówek przemawia za tym, że niejaki Georg Faust przyszedł na świat około roku 1480 w Knittlingen pod Maulbronn. Ponadto jest raczej pewne, że pewien bluźnierca-cudotwórca, sam nazywający się doktorem Faustem, w 1506 roku wzbudził złość władz kościelnych i świeckich w Wolnym Mieście Rzeszy, Gelnhausen, przechwalając się pośród jarmarcznego zgiewku, iż potrafi powtórzyć cuda Chrystusa. Wydaje się, że rok później Faust przyjął posadę belfra (*Schulmeister*) w Kreuznach dzięki wstawiennictwu znanego reformatora i luteranina Franza von Sickingena (1481-1523). Badacze w żadnym razie nie są jednak zgodni co do tego, czy te nieliczne świadectwa odnoszą się do jednej osoby.

Dziś jeszcze trudniej ustalić, jak często i kiedy dokładnie ten niesławny magik odwiedzał biskupa Bambergu. Oficjalna tablica, znajdująca się w budynku z bramą wjazdową do zamku,

datuje jego pobyt w mieście na rok 1505. Poza tym zachował się także wpis do księgi kasowej dokonany przez księcia biskupa 12 lutego 1520 roku. Wpis poświadcza, iż w tym samym dniu Faust otrzymał pokaźne honorarium w wysokości dziesięciu guldenów jako wynagrodzenie za horoskop, który sporządził dla księcia biskupa dwa dni wcześniej.

Podjeżdżając się, że istniał przynajmniej luźny krąg artystów, magików i pełnych fantazji myślicieli, który przez wiele lat zbierał się od czasu do czasu na zamku biskupim. Można było tam dyskutować na różne tematy i wykonywać praktyki „magiczne”, za które w innych miejscach zaangażowane osoby trafiłyby przed sąd inkwizycyjny. Czy jednak ten krąg, w takiej formie, w jakiej istniał, miał rzeczywiście charakter tajnego bractwa, nie jest niczym innym jak tylko czystą spekulacją mojej powieściowej postaci, Amosa von Höhensteina. (Które z tych przypuszczeń było zasadne, okaże się w drugim tomie *Dzida*).

Poczynię jeszcze jedną uwagę dotyczącą dat występujących w *Zakazany księdze*. Z powodów, które można wywnioskować z dotychczasowych objaśnień, akcję powieści przenieśliem na symboliczny rok 1499. Siłą rzeczy konieczne było „dopasowanie” do tej daty innych „rzeczywistych” dat. I tak na przykład w roku 1499 Georg III był już wprawdzie kanonikiem w Bambergu, jednak na tronie biskupim zasiadł dopiero w 1505 roku.

I – odpowiednio – dopiero wiele lat później wokół biskupa zgromadzili się Senft, Lautensack, Faust i malarze norymberscy z warsztatu mistrza Wolgemuta.

Także słynny malarz Albrecht Durer (1471-1528), którego epizod umiejscowiłem pod koniec mojej powieści, rzeczywiście był uczniem mistrza Wolgemuta, ale nie w 1499 roku. Niemniej jednak on również mógł należeć do kręgu skupionego wokół Georga III, z tym małym zastrzeżeniem, że mogło to mieć miejsce znacznie później: w latach 1517 i 1520 poświadczono wielokrotne pobyty Dürera na zamku biskupim w Bambergu.

Jednak magia i literatura wymagają innej rzeczywistości.

Stara magia i nowa religia sztuki Postacie (*realfantastische*) takie jak Trithemius, Paracelsus czy Faust, ich „magiczne” spojrzenie na świat i „pogańskie” bogactwo, a więc możliwości poznawania rzeczywistości oraz samego siebie, stopniowo zanikały wraz z rozwojem nowoczesności. Przetrwały jednak tam, gdzie umieściłem Valentina Kronusa i Dzieło Duchowe (*Opus Spiritus*) – w świecie poetyckiej kreacji i w sztuce.

To, że „magiczny” świat średniowiecza zachował się do dziś, zawdzięczamy w decydującym stopniu wielkim poetom romantycznym – na nasz współczesny obraz średniowiecznego myślenia i odczuwania magii z czasów przed oświeceniem i religii przyrody

ogromny wpływ wywarły epokowe dzieła Novalisa *Henryk von Ojterdinger*, Josepha von Eichendorffa *Z życia nicponia* oraz opowiadania i nowele Ludwiga von Tiecka. Być może jeszcze tylko nieliczni czytelnicy (i prawdopodobnie niezbyt wielu autorów) tego rodzaju powieści zdają sobie sprawę z tej ironicznej relacji zależności. Jeśli czytamy dziś opisy „typowo średniowiecznych” postaci i scen, oglądamy „typowo średniowieczne” wizerunki zamków i wież w filmach, na obrazkach lub też „w rzeczywistości”, to prawie zawsze mamy do czynienia z reprodukcjami oraz wariacjami romantycznych wyobrażeń na temat średniowiecza.

W XIX wieku, szczytowym okresie romantyzmu, spora część burmistrzów i właścicieli pałaców kazała „zromanizować” „uromantyczyć” powierzone im mury, a więc wyposażyć w zdobione blankami wieże i pełne zawijasów wykusze, by nad tymi tuzinkowymi budowlami roztoczyć aurę „średniowiecznego zamku rycerskiego”. Wówczas, nie tak wcale rzadko, zdarzało się, że zafascynowani romantyzmem architekci krajobrazów zlecali budowę albo nowych ruin zamkowych, albo na wpół zapadających się głównych wież zamkowych na malowniczych wzniesieniach – takich jak na przykład labirynt skalny w Wunsiedel. Wieża podobna do tej, w której Amos zabarykadował się przed łowcami ksiąg, „rzeczywiście” wznosi się na szczycie skały – tyle tylko, że w jej przypadku mamy do czynienia z pseudośredniowiecznymi pozornymi ruinami z okresu romantyzmu.

W przeciwieństwie do wspomnianych właścicieli zamków lub autorów piszących w tym gatunku, poeci-kapłani epoki romantyzmu zdawali sobie sprawę, iż w przypadku romantycznego odradzania średniowiecznego świata tylko w niewielkim stopniu może chodzić o zabiegi kosmetyczne czy kostiumologię. I tak na przykład dla Novalisa poezja romantyczna była ni mniej, ni więcej, lecz nową, jedyną zgodną z duchem czasu religią, powieść romantyczno-fantastyczna zaś świętym gajem, w którym jeszcze dziś można doświadczać magii, cudów i duchowości.

W tym magiczno-romantycznym znaczeniu Valentin Kronus jest bez wątpienia duchowym bratem Novalisa, Tiecka i Eichendorffa. I chce nawet osiągnąć więcej niż oni – chce przywrócić magię naszej „trzeźwej” rzeczywistości poprzez wprawianie w zachwyt swoich czytelników.

*Coburg, wrzesień 2009 Andreas Goessling*